



Marian Keyes



*Czarujący
mężczyzna*

Tytuł oryginału: This Charming Man

Dla Caitriony Keyes, najzabawniejszej osoby, jaką znam

PODZIĘKOWANIA

Książkę tę pisałam żenująco długo, poza tym z pamięcią krótkotrwałą nie jest u mnie tak dobrze jak kiedyś – podobno tak się dzieje, kiedy przechodzi się perimenopauzę (nie menopauzę, podkreślam; do niej mam jeszcze daleko, a kiedy już nadejdzie, znowu będę wygrywać w „Mastermind”) – istnieje więc całkiem spore prawdopodobieństwo, że na początkowym etapie jej pisania ktoś udzielił mi bezcennej pomocy, a ja o tym już nie pamiętam. Jeśli to ty jesteś tą osobą, szczerze cię przepraszam.

Dziękuję mojemu wyjątkowemu, wizjonerskiemu wydawcy, Louise Moore, i wszystkim z wydawnictwa Michael Joseph za ich przyjaźń, entuzjazm i fenomenalną pracę przy moich książkach. Błogosławionam ja między pisarzami.

Podobnie dziękuję legendarnemu Jonathanowi Lloydowi i ekipie Curtisa Browna za ich bezgraniczne wsparcie. My – Louise, Jonathan i ja – pracujemy razem już ponad jedenaście lat i jest fantastycznie.

Dziękuję Bobowi Holtowi, który wraz z synami, Bobbym, Billym i Jamiem, przekazał znaczną kwotę na rzecz Fundacji Bobby'ego Moore'a zajmującej się w Zjednoczonym Królestwie badaniami nad nowotworem, a w zamian jego żona, Marilyn Holt, pojawiła się w tej książce.

Dziękuję także Angusowi Sprottowi, który przekazał równie znaczącą kwotę na Kampanię Raka Piersi, aby jego nazwisko mogło pojawić w mojej powieści.

Podobnie jak w przypadku moich pozostałych książek wielu ludzi odegrało rolę królików doświadczalnych, czytając to, co napisałam, sugerując zmiany i poprawki. Tak, wiele poprawek. Choć wtedy może i zdarzyło mi się płakać, chciałabym podkreślić, że jestem im bardzo za to wdzięczna. Podziękowania niech zechcą przyjąć: Chris Baines, Suzanne Benson, Jenny Boland, Ailish Connolly, Debbie Deegan, Susan Dillon, Caron Freeborn, Gai Griffin, Gwen Hollingsworth, Cathy Kelly, mama Keyes, Ljiljana Keyes, Rita–Anne Keyes, Eileen Prendergast, Kate Thompson i Louise Voss.

Specjalne podziękowania dla AnneMarie Scanlon, która pomogła mi podczas zbierania informacji i bez ogródek domagała się odpowiedzi na pytania, które ja wstydziłam się zadać. A jeszcze bardziej szczególne podziękowania dla mojej siostry Caitriony Keyes, za to, że na przestrzeni lat uraczyła mnie tyloma zabawnymi historyjkami i powiedzeniami, które ja bezwstydnie podprowadziłam. W dowód uznania za cały jej wkład to właśnie jej dedykuję tę książkę.

Jak zawsze dziękuję mojemu ukochanemu Tony'emu, bez którego nic nie byłoby możliwe.

Kilka słów wyjaśnienia: akcja części tej powieści rozgrywa się w nieatrakcyjnym, paskudnym świecie irlandzkiej polityki i pozwoliłam sobie zmienić nazwy dwóch głównych partii politycznych z Fianna Fail i Fine Gael na Nacjonalistyczną Partię Irlandii i Postępowych Chrześcijan. Nie była to próba uniknięcia pozwu o zniesławienie – naprawdę uważam, że irlandzcy politycy są równie okropni jak ci, którzy pojawiają się na stronach mojej powieści, o ile nie gorsi – ale chciałam w ten sposób ułatwić wymowę czytelnikom spoza Irlandii. Poza tym akronim TD (skrót od Teachta Dála) oznacza członka irlandzkiego parlamentu (zwanego Dail). (Który ma swoją siedzibę w Leinster House.) (Jeszcze jedno: większość irlandzkich rządów to koalicje.) (Więcej wyjaśnień prawdopodobnie nie jest potrzebnych.)

Podczas pisania tej książki musiałam zebrać naprawdę mnóstwo informacji, czego szczerze nie cierpię, ale ludzie okazali się niezwykle hojni, jeśli chodzi o ich czas i cierpliwość. Wszelkie błędy i pomyłki biorę na siebie. Dziękuję Martinie Devlin, Mary O'Sullivan, Madeleine Keane, Barry'emu Andrewsowi TD (wiedzicie, TD, teraz już wiecie, co to znaczy!); wszystkim z LHW Property Finance (zwłaszcza Niallowi Coughlanowi); Benowi Powerowi, „Amandzie”, „Chloe”, Natalie i wszystkim dziewczętom.

Dziękuję Andrew Fitzsimonsowi za słowo „bajdurzyć”.

Dziękuję wszystkim z Women's Aid, zarówno w oddziałach irlandzkich, jak i brytyjskich. I na koniec dziękuję wszystkim osobom, które przeżyły przemoc w rodzinie, a które – anonimowo – opowiedziały mi o tym, co im się przytrafiło. Podczas pisania tej książki moim skromnym zamiarem było uhonorowanie ich historii.

TTLR

*Co? A więc ty też?
Myślałem, że jestem jedyny.*

C. S. LEWIS

„Każdy pamięta, gdzie się znajdował w dniu, w którym usłyszał o tym, że Paddy de Courcy się żeni. Pracując w gazecie, dowiedziałam się o tym jako jedna z pierwszych, kiedy David Thornberry, korespondent polityczny (i jednocześnie najwyższy człowiek w Dublinie) ogłosił, że de Courcy zawiesza kawalerską działalność. Byłam zdziwiona. Znaczący się wszyscy byliśmy. Ale ja byłam wyjątkowo zdziwiona, i to jeszcze zanim się dowiedziałam, kim jest ta szczęściara. Ale nie mogłam dać tego po sobie poznać. Co nie znaczy, by ktokolwiek zwrócił na to uwagę. Mogłam paść na ulicy nieżywa, a ludzie i tak by mnie prosili o podwiezienie na dworzec. Tak wyglądało życie, kiedy się było tą zdrową częścią pary bliźniąt. Poza tym Jacinta Kinsella (szefowa) chciała, by na jej biurku jak najszybciej znalazł się krótki tekst na temat zaręczyn, musiałam więc odłożyć na bok własne uczucia i zachowywać się jak profesjonalistka”.

Grace Gildee

„Miło by było, gdybyś mnie najpierw o to zapytał”.

Alicia Thornton

„Siedziałam akurat w necie, sprawdzając na aukcji cenę torebki–sowy (Stelli McCartney, nie jakiejś tam zwyczajnej „sowy”) dla klientki, która miałaby ją zabrać na przyrodniczą imprezę charytatywną, kiedy dostrzegłam tytuł. *De Courcy się żeni*. Pomyślałam, że to jakaś ścierna. Media bez przerwy coś wymyślają i dokładają cellulit dziewczynom, które go nie mają, a wymazują tym, które mają. Kiedy się przekonałam, że to prawda, byłam w szoku. Prawdę mówiąc, wydawało mi się, że mam zawał. Zadzwoiłabym po karetkę, ale nie pamiętałam numeru 999. Wciąż miałam przed oczami 666. Diabelska liczba”.

Fionnola „Lola” Daly

„Nie waż mi się być szczęśliwy, ty draniu. Tak właśnie pomyślałam, kiedy się dowiedziałam. Nie waż mi się być szczęśliwy”.

Marnie Hunter

DE COURCY SIĘ ŻENI

Kobiety w całym kraju pogrążą się w żałobie na wieść o tym, że stanowiący najlepszą partię irlandzki polityk, Paddy „Quicksilver” de Courcy, ma zamiar odwiesić swe rękawice na kołek i się ustatkować. W ciągu minionej dekady de Courcy, częsty gość sal dla vipów modnych nocnych klubów w Dublinie, i o którym często się mówi, że z wyglądu przypomina Johna Kennedy'ego, związany był z niemałą liczbą słynnych kobiet, m.in. z byłą modelką, a obecnie aktorką Zarą Kaletsky i zdobywczynią Everestu Selmą Teeley, ale aż do teraz nie wykazywał żadnych oznak tego, że ma chęć się ustatkować.

Niewiele wiadomo na temat kobiety, która zawładnęła jego znanym z niestałości sercem, niejkiej Alicii Thornton, ale z całą pewnością nie jest to modelka ani himalaistka – jedynym wspinaniem, jakie wydaje się ją interesować, jest to po szczeblach drabiny społecznej. Pani Thornton (351.), podobno wdowa, pracuje w znanej agencji nieruchomości, ale po ślubie planuje zrezygnować z pracy, by „poświęcić się” doskonale się rozwijającej karierze politycznej męża. Jako żona niezwykle ambitnego „Quicksilvera” z całą pewnością nie będzie narzekać na brak pracy.

De Courcy (37 1.) jest wiceprzewodniczącym Nowej Irlandii, partii założonej przed trzema laty przez Dee Rossini i innych posłów, zniechęconych korupcją i kumoterstwem wszechobecnymi w największych irlandzkich partiach politycznych. Wbrew powszechnej opinii de Courcy nie jest jednym z członków–założycieli Nowej Irlandii, lecz dołączył do partii osiem miesięcy po jej powstaniu, kiedy stało się jasne, że rysują się przed nią dobre perspektywy.

LOLA

Dzień zero. Poniedziałek, 25 sierpnia, 14.25

Najgorszy dzień w moim życiu. Kiedy pierwsza fala szoku wypuściła mnie ze swego szatańskiego uścisku, dotarło do mnie, że Paddy nie dzwonił. Zły znak. Byłam jego dziewczyną, media szalały, że żeni się z inną, a on do mnie nie zadzwonił. Bardzo zły znak.

Zadzwoiłam na jego prywatną komórkę. Nie tę zwykłą prywatną, ale *prywatną* prywatną, której numer znałam tylko ja i jego osobisty trener. Po czterech sygnałach włączyła się poczta głosowa i wtedy wiedziałam już, że to prawda.

Koniec świata.

Zadzwoiłam do jego biura, do domu, wydzwaniałam na komórkę, zostawiłam pięćdziesiąt jeden wiadomości – liczyłam.

18.01

Zadzwoił telefon – to on!

–Widziałś gazety?

– W necie – odparłam. – Nie czytam papierowych wydań. (To nieistotne, ale w szoku mówi się różne dziwne rzeczy.)

– Przykro mi, że musiałaś się dowiedzieć w taki brutalny sposób. Chciałem ci to powiedzieć osobiście, ale jakiś

–Co? A *więc* to prawda? – zakrzyknęłam. – Przykro mi Lola. Nie sądziłem, że traktujesz naszą znajomość tak poważnie. Łączyła nas tylko dobra zabawa.

– Zabawa? *Zabawa?*

- Tak, tylko kilka miesięcy.
- Kilka? Szesnaście. Szesnaście miesięcy, Paddy. To dużo. Naprawdę żenisz się z tą kobietą?
- Tak.
- Dlaczego? Kochasz ją?
- Oczywiście. Nie żeniłbym się, gdyby było inaczej.
- Ale ja myślałam, że to mnie kochasz. Smutnym głosem odparł:
- Nigdy niczego ci nie obiecywałem, Lola. Ale jesteś naprawdę świetną dziewczyną. Jedną na milion. Dbaj o siebie.
- Czekał, nie rozłączaj się! Muszę się z tobą spotkać, Paddy, proszę, tylko na pięć minut.
- (Zero godności, ale nie mogłam się powstrzymać. Byłam zrozpaczona.)
- Postaraj się nie myśleć o mnie źle – powiedział. – Ja zawsze będę z czułością myśleć o tobie i naszych wspólnych chwilach. I pamiętaj...
- Tak? – zapytałam bez tchu, desperacko pragnąc usłyszeć coś, co choć odrobinę złagodziłoby ten straszny, nieznośny ból.
- Nie rozmawiaj z prasą.

18.05 do północy

Obdzwoniłam wszystkich. Łącznie z nim. Straciłam rachubę ile razy, ale wiele. Tego mogę być pewna. Liczba dwucyfrowa, a może nawet i trzy.

Telefon rozgrzały do czerwoności także połączenia przychodzące. Bridie, Treese i Jem – prawdziwi przyjaciele – mocno mnie pocieszali, choć wcale nie przepadali za Paddym. (Nigdy nie przyznali mi się do tego, ale ja wiedziałam swoje.) Zadzwońło także wielu fałszywych przyjaciół – ciekawscy! – by triumfować. Z grubsza wyglądało to tak: „Czy to prawda, że Paddy de Courcy

się żeni, ale nie z tobą? Biedactwo. To straszne. To dla ciebie naprawdę straszne. To takie upOKArzające. Takie ŻENUjące. Takie ZAWSTYdzające! Takie..."

Udało mi się zachować godność. Odpowiadałam: „Dziękuję ci za szczere życzenia. Muszę lecieć”.

Bridie pofatygowała się do mnie osobiście.

– Nigdy się nie nadawałaś na żonę polityka – stwierdziła. – Twoje ciuchy są zbyt odjazdowe, no i masz fioletowe pasemka.

– Molichino, błagam! – zawołałam. – Fioletowe brzmią tak, jakbym była... nastolatką.

– Strasznie cię kontrolował – rzekła. – W ogóle cię nie widywaliśmy. Zwłaszcza przez ostatnie miesiące.

– Byliśmy zakochani! Wiesz przecież, jak to jest być zakochanym.

Bridie rok temu wyszła za mąż, ale była mało uczuciowa.

– Miłość, zgoda, piękna sprawa, ale nie trzeba przy tym być jak papużki nierozłączki. Bez przerwy odwoływałaś nasze spotkania.

– Czas Paddy'ego jest cenny! To zajęty człowiek! Musiałam brać to, co mi się udawało!

– Poza tym – kontynuowała Bridie – w ogóle nie czytasz gazet, nic nie wiesz na temat bieżących wydarzeń.

– Mogłabym się dowiedzieć – odparowałam. – Mogłabym się zmienić!

Wtorek, 26 sierpnia

Mam wrażenie, jakby patrzył na mnie cały kraj, wytykając palcami i śmiejąc się. Wszystkim znajomym i wielu klientkom chwaliłam się Paddym, a teraz oni wiedzą, że żeni się z inną.

Moje opanowanie pękło jak bańka mydlana. Podczas sesji zdjęciowej w Wicklow Hills do bożonarodzeniowego katalogu Harveya Nicholasa prasowałam ciętą po skosie suknię wieczorową Chloe z perłowego jedwabiu (wiecie, o jaką mi chodzi?) zbyt gorącym żelazkiem i spaliłam ją! Dziura w kształcie żelazka na przedzie kultowej sukni wartej **2035** euro (w detalu). Katastrofa. Ta suknia miała być gwoździem całej sesji. Dobrze, że mnie nie obciążyli (tzn. nie chcieli ode mnie za nią kasy ani nie kazali mnie aresztować, ale kiedy teraz o tym myślę, to uważam, że tak naprawdę mogli zrobić jedno i drugie).

Nkechi przejęła kontrolę – to świetna asystentka, taka świetna, że wszyscy uważają, iż jest moją szefową – ponieważ trzęsły mi się ręce, koncentracja była cała w strzępach i ciągle musiałam biegać do tojtojki, by wymiotować.

I nie tylko wymiotować. Jelita zupełnie rozstrojone. Oszczędzę wam szczegółów.

20.30–0.34

Bridie i Treese zjawiły się u mnie w domu i siłą powstrzymały przed udaniem się do mieszkania Paddy'ego i domagania się audiencji.

3.00

Obudziłam się i pomyślałam: „Teraz pojedę!”. Wtedy zobaczyłam, że w łóżku jest ze mną Treese. Co gorsza, nie spała i była gotowa na walkę.

Środa, 27 sierpnia 11.05

Nieustanna gonitwa myśli w głowie: Żeni się z inną, żeni się z inną, żeni się z inną. A co kilka godzin myślę: „Co takiego? Co to znaczy, że żeni się z *inną*?”. Jakbym dopiero się o tym dowiedziała i PO PROSTU NIE MOGŁA W

TO UWIERZYĆ. Wtedy czuję, że muszę do niego zadzwonić, nakłonić do zmiany planów, ale on nigdy nie odbiera.

Potem gonitwa zaczyna się od nowa, potem zaskoczenie, potem muszę do niego zadzwonić, potem on nie odbiera – i tak raz za razem.

Widziałam zdjęcie tej całej Alicii Thornton. (W kiosku kupowałam batona, kiedy je zobaczyłam na pierwszej stronie „Independenta”.) Fotograf przyłapał ją, jak wychodzi ze swego biura w Ballsbridge. Nie jestem stuprocentowo pewna, ale chyba miała na sobie coś od Louise Kennedy. Co mówi samo za siebie. Bezpiecznie. Elegancko, ale bezpiecznie.

Rozpoznałam Alicję Thornton – w minionych miesiącach jej zdjęcia w towarzystwie Paddy'ego cztery razy zamieszczano w kronikach towarzyskich. Podpis zawsze głosił: „Paddy de Courcy i osoba towarzysząca”. Kiedy pojawiło się zdjęcie numer trzy, miałam wystarczająco śmiałości, by go o nią zapytać. Oskarżył mnie o to, że mu nie ufam i wyjaśnił, że jest przyjaciółką rodziny. Uwierzyłam mu. Ale jakiej rodziny? On nie miał żadnej rodziny!

12.11

Zadzwoniła Bridie.

– Wieczorem ruszamy w miasto.

– Nie! – zawołałam. – Nie dam rady stanąć twarzą w twarz ze światem!

– Ależ dasz! Będziesz trzymać głowę wysoko!

Bridie jest bardzo apodyktyczna. W gronie najbliższych nosi ksywkę „Sierżant Major”.

– Bridie, jestem cała rozstrojona. Roztrzęsiona i w ogóle. Nie mogę nigdzie iść. Błagam cię.

– To dla twojego dobra – odparła. – Zaopiekujemy się tobą.

– Nie możecie przyjść po prostu do mnie?

– Nie.

Długa chwila milczenia. Nie miało sensu wszczynać kłótni. Bridie to największy uparciuch, jakiego znam. Westchnęłam.

– Kto idzie?

– Nasza czwórka. Ty, ja, Treese, Jem...

– Nawet Jem? Claudia mu dała wychodne?

Claudia to narzeczona Jema. Bardzo o niego zazdrosna, choć sama jest ładna i chuda.

– Tak, Claudia mu dała wychodne – odparła Bridie. – Ja to załatwiłam.

Bridie i Claudię łączyła wzajemna antypatia.

Jem był świetnym kumplem dla mnie, Bridie i Treese, ale co dziwne, nie był gejem. Nie był nawet metroseksualny. (Raz rzeczywiście kupił džinsy w Marksie & Spencerze. Nie widział w tym nic złego, dopóki mu tego delikatnie nie wytknęłam.) Kiedy on i ja byliśmy nastolatkami, mieszkaliśmy na tej samej ulicy. Połączyło nas wspólne wystawanie w deszczowe poranki na zimnych przystankach autobusowych, gdzie w budrysówkach czekaliśmy na autobus, który miał nas zawieźć na uczelnię. On był bystrym inżynierem, ja zaś studiowałam modę. (Tak na marginesie: moja budrysówka była z jaskrawoniebieskiego winylu.)

20. 35

Cafe Albatros

Nogi jak galareta. Prawie spadłam ze schodów. Potknęłam się na trzech ostatnich stopniach i mało brakowało, a wjechałabym do środka na kolanach jak Chuck Berry. Co gorsza, w ogóle się tym nie przejęłam. Większym pośmiewiskiem już być przecież nie mogę. Bridie i Treese czekały na mnie.

Bridie – jak zawsze – wyglądała dziwacznie. Proste włosy w odcieniu czerwonego blondu ściągnięte miała w niski, babciny koczek i paradowała w zadziwiającym zielonym swetrze – skurczonym, asymetrycznym i z naszytymi maleńkimi dżokejami. Dziwny gust prezentowała od zawsze – od pierwszego dnia w szkole, kiedy to w wieku lat czterech uparła się, by jej rajstopy miały barwę zaschniętej krwi. Ale miała to totalnie gdzieś.

Treese, zajmująca się pozyskiwaniem sponsorów dla wielkiej organizacji dobroczynnej, ubrana była znacznie szykowniej. Jej włosy w kolorze lnu ułożone były w fale w stylu filmowej bogini z lat czterdziestych, robiąca wrażenie sukienka i żakiet do kompletu. (Z Whistles, ale na Treese można je było wziąć za Pradę.) Można by sądzić, że skoro ktoś pracuje w organizacji dobroczynnej, to wolno mu przychodzić do pracy w beżowych sztruksach i bluzie z kapturem, jednak wcale tak nie jest. Organizacja Treese zajmuje się krajami rozwijającymi się (nie „Trzeciego Świata”, nie można już tak mówić, byłoby to niepoprawne politycznie). Czasami musi spotykać się z ministrami i prosić o pieniądze, czasami musi nawet jechać do Hagi i o to samo prosić UE.

– Gdzie Jem? – zapytałam.

Pewna byłam, że odwołał swoje przybycie, no bo naprawdę rzadko całej naszej czwórce udawało się zebrać razem, nawet jeśli termin ustalany był kilka tygodni wcześniej, a co dopiero kilka godzin wcześniej, jak to miało miejsce w tym przypadku. (Trzeba przyznać, że ostatnimi czasy to ja najbardziej nawalałam na tym polu.)

– Oto i on! – zawołała Bridie.

Jem – pośpiech, teczka, płaszcz przeciwdeszczowy, sympatyczna okrągła twarz.

Zamówiono wino. Drinki popłynęły strumieniem. Języki się rozwiązały. Jak już mówiłam, zawsze podejrzewałam, że moi przyjaciele nie lubią Paddy'ego. Ale teraz, kiedy publicznie mnie ośmieszył, mogli swobodnie o tym mówić.

– Nigdy mu nie ufałam – oświadczył Jem. – Był zbyt czarujący.

– Zbyt czarujący? – zapytałam. – Jak możesz mówić, że był zbyt czarujący? Bycie czarującym to coś wspaniałego. Jak lody. Nie da się tym przejeść!

– Ależ da – odparł Jem. – Możesz zjeść litrowe pudełko Chunky Monkey, potem litrowe pudełko Cherry Garcia, a potem zwymiotować.

– Nie ja – stwierdziłam. – A poza tym pamiętam, że tamtego wieczoru wymiotowałam nie po lodach, a po joincie.

– Był zbyt przystojny – orzekła Bridie. Ponownie dałam wyraz swemu niedowierzaniu.

– Zbyt przystojny? To przecież niemożliwe. Wbrew wszelkim prawom fizyki. Albo czegoś tam. Może prawom ziemskim. – Czy mnie przypadkiem właśnie nie obrażono?

– Chcesz powiedzieć, że był zbyt przystojny dla mnie?

– Nie! – wykrzyknęły jednogłośnie. – Ależ skąd!

– Jesteś śliczna jak kwiatusek – oświadczył Jem.

– Kwiatusek! Jak nic równie przystojna jak on!

– Przystojniejsza! – wtrąciła Treese.

– Tak, przystojniejsza! – dołączyła się Bridie. – Tyle że inna. On jest zbyt oczywisty. Patrzysz na niego i myślisz: „Oto wysoki, ciemnowłosy, przystojny mężczyzna. Zbyt idealny!”. Ale jeśli chodzi o ciebie, myślisz: „Oto bardzo

ładna, średniego wzrostu, dziewczęca kobieta z włosami świetnie obciętymi na pazia, w ślicznym brązowym odcieniu przetykanym fioletem...

– Molichino, błagam!

– ... i całkiem smukłą jak na kogoś, kto nie pali. Błysk w oku – właściwie to w obu – i niewielki, symetryczny nos".

– (Bridie była przekonana, że jej nos jest zakrzywiony w lewo. Zazdrościła wszystkim, których nosy kierowały się prosto przed siebie.) – Im dłużej się na ciebie patrzy, Lola, tym bardziej się wydajesz atrakcyjna. Im dłużej się patrzy na Paddy'ego de Courcy, tym mniej wydaje się atrakcyjny. Coś pominęłam? – zapytała Treese i Jema.

– Uśmiech Loli rozświetla jej twarz – odparł Jem.

– Tak – zgodziła się Bridie. – Twój uśmiech rozświetla ci twarz. Nie tak jak u niego.

– Uśmiechy Paddy'ego de Courcy są nieszczerze. Jak Jokera w *Batmanie* – stwierdził Jem.

– Tak! Jak Jokera w *Batmanie*!

– Tak, no bo on JEST jak Joker w *Batmanie*. – Głos Bridie brzmiał stanowczo.

21. 55

Zadzwoiła komórka Bridie. Zerknęła na numer i rzekła:

– Muszę odebrać ten telefon.

Wstała, by wyjść, ale my pokazaliśmy jej na migi, żeby została. Chcieliśmy tego posłuchać. To jej szef (ważny bankowiec). Wyglądało na to, że chce lecieć do Mediolanu, a Bridie miałaby mu zorganizować przelot i hotel. Wyjęła z torby ogromny organizer. (Bardzo ładnej torby. Mulberry. Dlaczego ładna torba, ale przedziwne ciuchy? To bez sensu.)

– Nie – rzekła do szefa. – Nie może pan lecieć do Mediolanu. Jutro są urodziny pańskiej żony. Nie, nie zarezerwuję panu lotu. Tak, odmawiam. Podziękuj mi pan za to. Trzymam pana z dala od spraw rozwodowych. – Przez chwilę słuchała, po czym roześmiała się pogardliwie. – Zwolnić mnie? Niech pan nie będzie niemądry! – Po czym się rozłączyła. – No dobra – rzekła. – Na czym stanęliśmy?

– Bridie... – W głosie Treese słychać było niepokój. – Nie możesz odmawiać swojemu szefowi zarezerwowania lotu do Mediolanu. To może być coś ważnego.

– Wcale nie! – Machnęła lekceważąco ręką. – Wiem o wszystkim, co tam się dzieje. Sytuacja w Mediolanie nie wymaga jego obecności. Podejrzewam, że ma na oku jakąś Włoszkę. Nie będę mu ułatwiać podbojów.

22. 43

Desery. Ja zamówiłam tartę banoffi. Banany wydawały się oślizgłe, jak mokre liście w listopadzie. Odłożyłam głośno łyżeczkę i wyplułam banany do serwetki. Bridie spróbowała mojej tarty. Powiedziała, że nie jest oślizgła. Żadne tam mokre liście w listopadzie. Treese spróbowała. Powiedziała, że nie jest oślizgła. Jem spróbował. Powiedział, że nie jest oślizgła. Zjadł ją do końca. W ramach rekompensaty zaoferował mi swój kawałek bloku czekoladowego. Ale smakował jak czekoladowy smalec. Bridie spróbowała. Powiedziała, że nie smakuje jak czekoladowy smalec. Czekolada owszem, ale smalec nie. Treese się z tym zgodziła. Jem także.

Bridie zaoferowała mi swoją tartę jabłkową, ale ciasto smakowało jak wilgotna tektura, a kawałki jabłka jak coś nieżywego. Pozostali nie zgodzili się ze mną.

Treese nie zaproponowała mi swojego deseru, ponieważ w ogóle go nie zamówiła – dawno, dawno temu była pulchna i teraz starała się trzymać z dala od cukru. Jedzenie deserów innych ludzi było akceptowalne, ale zamawianie porcji dla siebie już nie.

Obecnie najczęściej potrafiła się kontrolować, ale zdarzały jej się gorsze dni. Przykład: jeśli w pracy miała dużo stresu, ponieważ UE odrzuciła jej wniosek o dotację na latryny w Addis Abebie, potrafiła zjeść nawet dwadzieścia batoników mars na raz. (Pewnie zjadłaby i więcej, ale sprzedawczynie w sklepie niedaleko jej biura nie pozwoliłaby na to. Powiedziałyby do Treese: „Wystarczy, kochana”. Jak życzliwy właściciel pubu. Powiedziałyby: „Treese, ciężko pracowałaś, by zgubić te wszystkie kilogramy, skarbie, nie chcesz być znowu tłuściochem. Pomyśl o tym swoim miłym mężu. Nie znał cię, kiedy byłaś korpulentna, prawda?”.)

Postanowiłam dać sobie spokój z deserami, zamiast tego zamówiłam kieliszek porto.

– Jak smakuje? – zapytała Bridie. – Gnijące botki? Oczy robali?

– Alkohol – odparłam. – Smakuje jak alkohol.

Po porto zamówiłam amaretto. A po amaretto cointreau.

23: 30

Przygotowałam się na to, że zostanę zmuszona do pójścia do jakiegoś klubu nocnego, bym tam też „chodziła z podniesioną głową”.

Ale nie! Ani słowa na temat klubu. Za to sporo na temat taksówek i pójścia rano do pracy. Wszyscy wracali do swoich ukochanych – Bridie wyszła za mąż w zeszłym roku, Treese w tym, Jem mieszkał z zaborczą Claudią. Po co chodzić na stek, skoro w domu ma się hamburgera?

Jem podrzucił mnie do domu taksówką i przekonywał, że kiedy tylko będę miała ochotę wyskoczyć gdzieś z nim i Claudią, to jestem mile widziana. Słodki ten Jem. Miły i życzliwy człowiek.

Ale oczywiście kłamał. Claudia mnie nie lubiła. Może nie aż tak jak Bridie, ale jednak nie lubiła.

(Mała uwaga. Powiedzieli, że Paddy był dla mnie zdecydowanie za przystojny, no nie? Cóż, to samo można powiedzieć o Claudii i Jemie. Claudia jest „długonoga” – fantastyczne słowo, tak bardzo w stylu lat sześćdziesiątych – opalona, jasnowłosa i powiększyła sobie piersi. To jedyna moja znajoma, która rzeczywiście ma implanty. Jeśli mam być szczerą, to nie są one jakieś groteskowo wielkie, niemniej jednak jest na czym zawiesić oko. Mam także podejrzenie, że przedłużyła sobie włosy – jednego tygodnia spotkałam ją i miała włosy do ramion, a następnego były dłuższe o prawie pół metra. No ale może zażywa po prostu dużo selenu.

Wygląda jak modelka. Właściwie to kiedyś pracowała jako modelka. Tak jakby. Siedziała w bikini na maskach samochodów. Próbowwała także swoich sił jako piosenkarka – brała udział w przesłuchaniu do *You're A Star* (programu telewizyjnego odkrywającego talenty). Próbowwała także być aktorką. (Wydała kupę kasy na zdjęcia próbne, ale kazano jej spadać, bo była beznadziejna.) Krążyły także plotki, że widziano ją w kolejce na casting do *Big Brothera*, ale tego akurat się wypiera.

Ale ja wcale jej nie oceniam. Boże mój, przecież ja też do tego, czym się zajmuję zawodowo, doszłam metodą prób i błędów, przegrywając na wszystkich innych polach itd. Należy chwalić Claudię za to, że ma odwagę wszystkiego spróbować.

Jedyny powód, dla którego nie lubię Claudii, to ten, że nie jest sympatyczna. Prawie w ogóle nie odzywa się do mnie ani do Treese, nie mówiąc już o Bridie. Mowa jej ciała jest zawsze taka sama i oświadcza: „Nie ZNOSZĘ przebywać w waszym towarzystwie, cymbały. Wolałabym być teraz w klubie i wciągać kokainę z uda prezenterki wiadomości”.

Zachowuje się tak, jakbyśmy przy najbliższej nadarzającej się okazji miały jej ukraść Jema sprzed nosa. Ale niepotrzebnie się tym przejmuję. Żadna z nas nie ma w stosunku do niego tego typu planów. Każda przeżyła z nim po małej przygodzie, kiedy byliśmy jeszcze nastolatkami. Wtedy jego twarz nie była taka okrągła i godna zaufania. Miała w sobie coś zawadiackiego i rozpustnego.

Jeśli chcecie znać moje zdanie, to czasami martwię się, że Claudia wcale nawet nie lubi Jema. Mam wrażenie, że traktuje go jak idiotycznego i nieposłusznego psa, który jeśli tylko zostanie spuszczone z oka, to będzie gryzł buty i rozrywał poduszki z gęsim pierzem.

Jem to uroczy, kochany człowiek. Zasługuje na uroczą, kochaną dziewczynę.

(Ostatnia informacja. Jem bardzo dobrze zarabia. Niczego nie sugeruję. Czynień jedynie spostrzeżenie.)

23. 48

Weszłam do mojego maleńkiego mieszkania. Rozejrzałam się po życiu, które było nic niewarte i pomyślałam, że jestem zupełnie sama. I tak już będzie do końca moich dni.

To nie rozczulanie się nad sobą, a jedynie zwykłe stwierdzenie faktu.

Czwartek, 28 sierpnia, 9. 00

Zadzwonił telefon. W słuchawce rozbrzmiał bardzo przyjacielski damski głos: – Lola, cześć!

– Cześć – odparłam ostrożnie.

No bo mogła to być klientka. Muszę udawać, że zawsze wiem, kto dzwoni i nigdy nie mogę zapytać „Kto to?”. Lubią myśleć, że są jedyne. (Czyż nie wszyscy to lubimy?)

– Lola, cześć! – kontynuował damski głos, bardzo przyjacielski. – Jestem Grace. Grace Gildee. Czy mogłybyśmy porozmawiać?

– Oczywiście – odparłam. (Bo uznałam, że to kobieta, która potrzebuje stylistki.)

– O moim dobrym znajomym – ciągnęła. – Jak sądzę, ty także go znasz. Paddy de Courcy?

– Tak – odpowiedziałam, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi. Nagle zrozumiałam! O nie! – Czy jesteś... dziennikarką?

– Tak! – rzekła takim tonem, jakby to nie było nic takiego. – Bardzo bym chciała porozmawiać o twojej relacji z Paddym.

Ale Paddy powiedział, żebym nie rozmawiała z prasą.

– Rzecz jasna sownie cię za to wynagrodzimy – kontynuowała kobieta. – Z tego co wiem, straciłaś ostatnio parę klientek. Przydadzą ci się pieniądze.

Co takiego? Straciłam parę klientek? Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– To będzie twoja szansa na przedstawienie swojej wersji wydarzeń. Wiem, że czujesz się paskudnie przez niego zdradzona.

– Nie, ja...

Bałam się. Autentycznie się bałam. Nie chciałam zobaczyć w gazecie artykułu o Paddym i o mnie. W ogóle się nie powinnam była przyznawać do tego, że go znam.

– Nie chcę o tym rozmawiać!

– Ale rzeczywiście ciebie i Paddy'ego łączyły bliskie relacje? – zapytała.

– Nie, ja, eee... Bez komentarza.

Nigdy nie sądziłam, że przyjdzie mi odbyć rozmowę, w której użyję słów „bez komentarza”.

– Wezmę to za odpowiedź twierdzącą – odparła ta Grace. I roześmiała się.

– Nie! Nie bierz. Muszę kończyć.

– Jeśli zmienisz zdanie, to daj mi znać. Grace Gildee. Dziennikarka ze „Spokesmana”. Stworzyłybyśmy świetny artykuł.

9. 23

Zadzwoiła Marcia Fitzgibbons, piastująca wysokie stanowisko w świecie biznesu i ważna klientka.

– Lola – rzekła. – Słyszałam, że świrowałaś podczas sesji dla Harveya Nicholasa.

– Świrowałam? – zapytałam wysokim głosem.

– Byłaś na głodzie.

– O czym pani mówi?

– Słyszałam, że byłaś w strasznym stanie. Pociłaś się, wymiotowałaś, nie byłaś w stanie poradzić sobie z prostą czynnością, taką jak wyprasowanie sukienki, nie niszcząc jej przy tym.

– Nie, nie – zaprotestowałam. – Marcia, to znaczy pani Fitzgibbons, ja wcale nie świrowałam. Mam po prostu złamane serce. Paddy de Courcy to mój chłopak, ale żeni się z inną.

– Właśnie słyszałam, że tak opowiadasz ludziom. Ale Paddy de Courcy twoim chłopakiem? Nie bądź niemądra! Masz fioletowe włosy!

– Molichino! – zawołałam. – Molichino!

– Nie mogę już z tobą współpracować – oświadczyła. – Mam taką zasadę, by wykazywać zerową tolerancję dla ćpunów. Jesteś doskonałą stylistką, ale zasady są zasadami.

Pewnie dlatego właśnie zajmuje takie wysokie stanowisko w świecie biznesu.

Nie było sensu dalej się bronić, ponieważ się rozłączyła. Czas to w końcu pieniędzy.

9: 26

Zatęskniło mi się ogromnie za mamusią. Teraz akurat bardzo by mi się przydała. Przypomniałam sobie, jak umierała – choć tak naprawdę to nie wiedziałam, że tak właśnie się dzieje, nikt mi tego nie powiedział, sądziłam jedynie, że potrzebuje dużo odpoczynku i leżenia w łóżku. Popołudniami, kiedy wracałam ze szkoły, kładłam się obok niej, nadal ubrana w mundurek, trzymałyśmy się za ręce i oglądałyśmy powtórki *EastEnders*. Bardzo bym chciała zrobić to teraz, położyć się do łóżka obok niej, trzymać ją za rękę i zasnąć na zawsze.

Gdybym tylko miała dużą rodzinę, która chroniłaby mnie i otaczała, i mówiła: „Cóż, kochamy cię. Nawet jeśli nie wiesz niczego na temat aktualnych wydarzeń”.

Ale ja byłam na tym świecie zupełnie sama. Lola, mała sierotka. Myślenie o sobie w taki sposób było paskudne, ponieważ mój tata żył. Mogłabym pojechać do Birmingham i go odwiedzić. Ale wiedziałam, że nie dałoby się tego wytrzymać. Byłoby tak, jak po śmierci mamy, kiedy żyliśmy jedno obok drugiego w cichym domu, żadne z nas nie miało pojęcia, jak

obsługiwać pralkę albo usmażyć kurczaka, oboje zaś przyjmowaliśmy antydepresanty.

Choć wiedziałam, że to bez sensu, zadzwoniłam do niego.

– Cześć, tato, mój chłopak żeni się z inną.

– A to łajdak! – Po tych słowach wydał głośne, długie, ciężkie westchnienie i rzekł: – Chcę jedynie, żebyś była szczęśliwa, Lola. Gdybyś tylko była szczęśliwa, ja też byłbym szczęśliwy.

Żałowałam, że zadzwoniłam. Zasmuciłam go, on wszystkim tak bardzo się przejmował. I już samo słuchanie go, tak wyraźnie pogrążonego w depresji... to znaczy ja też cierpiałam z powodu depresji, ale tak się tym nie afiszowałam.

Poza tym był kłamczuchem. Wcale nie byłby szczęśliwy, gdybym ja była. Jedynym, co by go uszczęśliwiło, byłby powrót mamy.

– No więc co słyhać w Birmingham? – zapytałam.

Ja przynajmniej poradziłam sobie jakoś z własnym życiem po śmierci mamy i nie przeprowadziłam się do Birmingham, nawet nie samego Birmingham, gdzie są dobre sklepy, włącznie z Harveyem Nicholsem, ale na przedmieścia, gdzie nic się nigdy nie dzieje. Tak bardzo się spieszył z tą przeprowadzką. Kiedy tylko skończyłam dwadzieścia jeden lat, wystrzelił z domu jak z procy, twierdząc, że potrzebny jest swemu starszemu bratu; ale ja podejrzewałam, że przeprowadził się dlatego, że tak trudno nam było ze sobą razem mieszkać. (Muszę się przyznać do tego, że sama zastanawiałam się nad przeprowadzką do Nowego Jorku, ale on mnie ubiegł i zaoszczędził problemów.)

– W Birmingham wszystko w porządku – odparł. –Aha.

Długa chwila milczenia.

- No dobra, to ja kończę – powiedziałam. – Kocham cię, tato.
- Grzeczna dziewczynka. Dobrze.
- I ty też mnie kochasz, tato.

18. 01

Wbrew wszelkim instyktom oglądałam wiadomości, mając nadzieję zobaczyć relację z Dail i być może dojrzeć gdzieś tam Paddy'ego. Jestem zmuszona do obejrzenia straszego, ale to straszego materiału o siedemnastu Nigeryjczykach, którzy są deportowani, mimo że mają irlandzkie dzieci; i o krajach europejskich, które wywożą swoje góry śmieci do krajów Trzeciego Świata (i owszem, powiedzieli „Trzeciego Świata”, a nie „rozwijające się”).

Wyczekiwałam na relację z Dail, na grubych, czerwonych na twarzy, wyglądających na skorumpowanych mężczyzn, stojących w pomieszczeniu z niebieskim dywanem, krzyczących na siebie. Ale nie doczekałam się.

Zbyt późno przypomniałam sobie, że są wakacje i że sesja (czy też jak to się nazywa) zacznie się dopiero dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Kiedy i tak będą musieli zrobić sobie przerwę na święta. Leniuchy.

Nim zdążyłam wyłączyć telewizor, moją uwagę przykuła informacja na temat trasy Cavan – Dublin, zamkniętej z powodu wywrócenia się ciężarówki wiozącej sześć tysięcy kur. I te wszystkie kury rozbiegły się na wszystkie strony. Ekran pełen był kur. Zastanowiłam się, czy moja rozpacz nie powoduje przypadkiem halucynacji. Choć jednak dość zabawnie jest mieć halucynacje związane z kurami. Odwróciłam wzrok, zamknęłam mocno oczy, po czym otworzyłam je i ponownie spojrzałam na ekran – nadal pełen był kur. Całe ich stado kierowało się ku otwartej drodze, spora grupa dreptała w górę wzgórza ku wolności, miejscowi kradli je i oddalali się, trzymając je za łapy, mężczyzna

z mikrofonem próbował mówić do kamery, ale stał zanurzony do kostek w falującym morzu rdzawych piór.

18. 55

Nie mogę się powstrzymać, by nie dzwonić do Paddy'ego. To jest niczym zaburzenia obsesyjno–kompulsyjne. Niczym nieustanne mycie rąk. Albo jedzenie orzechów nerkowca. Gdy tylko zacznę, nie jestem w stanie przestać.

Ani razu nie odebrał i ani razu nie oddzwonił. Miałam świadomość tego, że się poniżam, ale nie potrafiłam się powstrzymać. Tęskniłam za nim. Pragnęłam go.

Gdybym tylko mogła z nim porozmawiać! Być może nie udałoby mi się nakłonić go do zmiany zdania, ale mogłabym przynajmniej uzyskać odpowiedzi na kilka pytań. Na przykład dlaczego sprawiał, że czułam się taka wyjątkowa? Dlaczego był wobec mnie taki zaborczy? Skoro przez cały czas kryła się gdzieś ta druga kobieta.

Dręczyło mnie paskudne, nie dające spokoju uczucie, że to wszystko moja wina. Jak mogłam wierzyć, że mężczyzna tak przystojny i charyzmatyczny jak Paddy weźmie na poważnie kogoś takiego jak ja?

Czułam się wyjątkowo głupia. A prawda była taka, że nie jestem głupia. Płytką owszem, ale nie głupia. To wielka różnica. Fakt, że uwielbiam ciuchy i modę nie czynił ze mnie automatycznie tępaka. Może i nie wiedziałam, kto jest prezydentem Boliwii, ale posiadałam inteligencję emocjonalną. Czy też wydawało mi się, że ją posiadam. Zawsze udzielałam innym doskonałych rad. (Tylko wtedy gdy mnie poproszono. W przeciwnym wypadku coś takiego byłoby niegrzeczne.) Ale wygląda na to, że nie miałam do tego prawa. Szewc bez butów itd., itd.

Piątek, 29 sierpnia

Dalszy ciąg najgorszego tygodnia w moim życiu.

Podczas sesji zdjęciowej pisarki Petry McGillis weszłam do studio chwiejnym krokiem, dźwigając trzy wielkie walizki z ciuchami, które wybrałam zgodnie z wymogami Petry, ale kiedy je otworzyłam, zawołała z oburzeniem:

– Powiedziałam: żadnych kolorów! Powiedziałam: barwy neutralne, kolor płowy, toffi, tego rodzaju rzeczy! – Odwróciła się do kobiety, która jak się później dowiedziałam, była jej wydawcą, i wykrzyknęła: – Gwendoline, kogo ty ze mnie próbujesz zrobić? Pistacjowa zieleń? NIE jestem pisarką w pistacjowej zieleni!

Biedna Gwendoline upierała się, że nie próbuje nikogo z niej zrobić, a już na pewno nie osobę w pistacjowej zieleni. Powiedziała, że Petra sama rozmawiała przecież ze stylistką (ze mną) i przedstawiła jej swoje wymogi, i że nikt inny się w to nie mieszał.

– Ale ja powiedziałam: „Żadnych kolorów!”. Wyraziłam się jasno. Nigdy nie noszę kolorowych rzeczy! Jestem poważną pisarką.

Nagle wszyscy wpatrywali się we mnie – fotograf, wizażystka, dyrektor artystyczny, osoba od cateringu, listonosz dostarczający przesyłkę. To jej wina – oskarżały mnie ich spojrzenia. To ta stylistka. Ona myśli, że Petra McGillis lubi pistacjową zieleń.

I słusznie mnie oskarżali. Nie mogłam zrzucić na winy Nkechi. To ja odebrałam telefon, a kiedy Petra powiedziała: „Żadnych kolorów!”, mój rozstrojony mózg musiał usłyszeć: „Same kolory!”.

Nigdy dotąd nie przytrafiło mi się coś takiego. Zazwyczaj byłam taka dobra w spełnianiu wymagań klientek, że próbowały potem zwinąć rzeczy z sesji i miewałam kłopoty z biurem prasowym.

– Zostanę we własnych cholernych ciuchach – syknęła ze zniecierpliwieniem Petra.

Zaradna Nkechi wykonała kilka telefonów, szukając awaryjnego zestawu ubrań w neutralnych kolorach, jednak bez skutku.

Ona przynajmniej próbowała, tak bezgłośnie mówiły te wszystkie oskarżycielskie twarze. Że Nkechi to jedynie asystentka, ale wykazała się większą zaradnością niż sama stylistka.

Powinnam była wtedy wyjść, bo przecież nikomu nie byłam potrzebna. Ale przez pozostałą część sesji (trzy godziny) stałam tam, uśmiechając się dzielnie, starając się kontrolować drgający mięsień w wardze. Co jakiś czas podbiegałam, by poprawić Petrze kołnierz, by udawać, że mam powód do tego, by istnieć, ale to była katastrofa, paskudna, straszna katastrofa.

Dużo czasu poświęciłam na budowanie swojej pozycji zawodowej. Czy miała ona ulec zniszczeniu w ciągu kilku zaledwie dni z powodu Paddy'ego de Courcy?

Nie przejmowałam się tym jednak. Interesowało mnie tylko to, jak go odzyskać. A jeśli miałoby się to nie udać, jak przetrwać resztę życia bez niego. Zgoda, brzmiało to tak, jakbym przesadzała, ale gdybyście go znali... Na żywo był znacznie przystojniejszy i jeszcze bardziej charyzmatyczny niż w telewizji. Sprawiał, że czułam się, jakbym była jedyną osobą na świecie, i pachniał tak ładnie, że kiedy go poznałam, kupiłam sobie jego wodę po goleniu (Baldessini) i choć on dokładał do tego zapachu swój własny, niepowtarzalny składnik, wystarczyło, że raz powąchałam i od razu czułam się, jakbym zaraz miała zemdleć.

15. 15

Kolejny telefon od tej dziennikarki, Grace Gildee. Bezczelna. Skąd ona w ogóle miała mój numer? I skąd wiedziała, że Marcia Fitzgibbons zamierza mnie zwolnić? Prawdę mówiąc, przemknęło mi przez myśl, by ją zapytać, kto jeszcze ma zamiar mnie zwolnić, ale się powstrzymałam.

Po paru chwilach kluczenia i robienia uników (z mojej strony) zaproponowała mi za moją historię pięć tysięcy. Sporo kasy. Stylizowanie to niepewna praca. Jednego tygodnia można mieć dwanaście zleceń, a potem do końca miesiąca ani jednego. Ale nie dałam się skusić.

Jednakże – nie byłam ostatnią idiotką, pomimo tego że tak się czułam – zadzwoniłam do Paddy'ego i nagrałam wiadomość. „Dziennikarka Grace Gildee zaoferowała mi sporą sumkę za rozmowę o naszym związku. Co powinnam zrobić?”

Ledwie zdążyłam się rozłączyć, a oddzwonił.

– Nawet o tym nie myśl – rzekł. – Jestem osobą publiczną. Robię karierę. Zawsze on i ta jego kariera.

– Ja też robię karierę, wiesz – przypomniałam mu. – A przez moje złamane serce wali się jak domek z kart.

– Nie pozwól na to – odparł życzliwie. – Nie jestem tego warty.

– Zaproponowała mi pięć tysięcy.

– Lola. – Jego głos brzmiał przekonująco. – Nie sprzedawaj swej duszy za pieniądze, nie jesteś tego typu dziewczyną.

Ty i ja, dobrze nam było ze sobą. Zachowajmy właśnie takie wspomnienia. Przecież wiesz, że jeśli kiedyś będziesz pilnie potrzebować kilku tysięcy, to ja chętnie ci pomogę.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Mimo że zachowywał się jak oddany przyjaciel, to czy przypadkiem nie oferował mi pieniędzy za trzymanie buzi na kłódkę?

– Wiele bym mogła opowiedzieć tej Grace Gildee – rzuciłam odważnie.

Jego głos był tym razem inny. Niski, zimny.

– Niby co, do cholery?

Z mniejszą pewnością siebie odparłam:

– O rzeczach... rzeczach, które mi kupowałeś. O naszych zabawach...

– Jedno sobie wyjaśnijmy, Lola. – Lodowaty ton. – Z nikim nie porozmawiasz, a już na pewno nie z nią. – A potem dodał: – Muszę kończyć. Jestem zajęty. Trzymaj się.

I już go nie było!

20. 30

Wieczór w towarzystwie Bridie i Treese w wielkim domu Treese w Howth. Jej nowy mąż, Vincent, wyjechał. W duchu cieszyłam się z tego. W jego obecności nigdy nie czułam się tu mile widziana. Zawsze miałam wrażenie, że on sobie myśli: „Co ci nieznajomi robią w moim domu?”.

Nigdy się do nas nie przyłączał. Wchodził do pokoju i kiwał głową na powitanie, ale tylko dlatego, że chciał spytać Treese, gdzie są jego odebrane z pralni rzeczy; następnie oddalał się do czegoś ważniejszego niż spędzanie czasu z przyjaciółmi żony.

Nazywa Treese jej pełnym imieniem, Teresa, jakby nie ożenił się z naszą przyjaciółką, ale z kimś zupełnie innym.

Jest dość stary. Trzydzieści lat starszy od Treese. To jego drugie małżeństwo. Gdzieś tam czai się pierwsza żona i trójka małych dzieci. To wielka szucha w irlandzkiej organizacji rugby. Prawdę mówiąc, grał kiedyś w

barwach Irlandii i wie wszystko na każdy temat. Nie ma miejsca na dyskusję z Vincentem. Wypowiada jedno zdanie i cała rozmowa się kończy.

Miał budowę ciała gracza rugby – mięśnie, szerokie bary, uda tak potężne, że miał taki dziwny krok, jakby właśnie zsiadł z konia. Wielu kobietom – Treese najwyraźniej także, w końcu za niego wyszła – coś takiego się podobało. Ale nie mnie. Był zbyt napakowany i... szeroki. Pochłaniał niesamowite ilości jedzenia i strasznie dużo ważył, ale – chcę być sprawiedliwa – nie był gruby. Po prostu... ubity. Bardzo zwarty, jakby przez cały czas mieszkał w czarnej dziurze. Jego szyja miała w obwodzie tyle co beczka na deszczówkę, a jego głowa była niezwykle wielka. I był bardzo owłosiony. Fuj.

21. 15

Jedzenie było pyszne. Treese skończyła kurs gotowania w zakresie klasycznej kuchni francuskiej, by móc przyrządzać takie potrawy, jakich oczekiwali koledzy Vincenta, ci od rugby. Zjadłam dwa kęsy, po czym poczułam ściskanie w żołądku, a w ustach miałam smak wymiocin.

Bridie znowu miała na sobie ten dziwaczny zielony sweter. Choć pochłonięta byłam sobą i własnym bólem, nie mogłam przestać patrzeć na niego. Tak jak i poprzednio był asymetryczny, skurczony i miał wyhaftowanych dżokejów. O co w tym wszystkim chodziło?

Zastanawiałam się, czy powinnam coś na ten temat powiedzieć. Ale jej się podobał. Na pewno. W przeciwnym razie czemu miałyby go na sobie? Po co się więc wtrącać?

23.59

Wiele butelek wina później, choć nie tych z dolnej polki, jako że to wyjątkowe wina Vincenta i byłby zły, gdybyśmy je wypity. – Zostań na noc – rzekła do mnie Treese.

Treese miała cztery pokoje gościnne.

– Masz życie jak ta lala – stwierdziła Bridie. – Bogaty mąż, fantastyczny dom, świetne ciuchy...

– I pierwszą żonę, której ciągle mało pieniędzy! I rozpuszczonych pasierbów, którzy patrzą na mnie krzywo. I strasznie się martwię...

– Czym?

– Tym, że znowu pojawią się u mnie zaburzenia odżywiania i że napuchnę do stu dwudziestu kilo, i że będą mnie musieli wyturlać z tego domu i zabrać ciężarówką z platformą, a Vincent nie będzie mnie już kochał.

– Oczywiście, że będzie cię kochał! Nieważne, co by się miało stać!

Ale w najgłębszej głębi ducha, tam gdzie się kryły moje najbardziej mroczne myśli, nie byłam tego taka pewna. Vincent nie pozbył się pierwszej żony i dzieci po to, by dzielić życie z Jabbą Hurt.

0. 27

Umieszczona w Pokoju Gościnnym Numer Jeden. Najbardziej miękka poduszka, z jaką miałam do czynienia; wspaniałe, rzeźbione antyczne francuskie łóżko; krzesła z pałkowatymi nogami, obite tkaniną w wytłaczane wzory; lustra ze szkła Murano; ciężkie, marszczone zasłony z luksusowego materiału; i taka tapeta, jaką spotyka się tylko w hotelach.

– Wiesz co, Treese – powiedziałam – ten dywan ma dokładnie taki sam kolor, jak twoje włosy! Jest piękny, piękny, wszystko jest piękne...

Patrząc wstecz, widzę, że byłam dość mocno pijana.

– Śpij dobrze – rzekła Treese. – Karaluchy pod poduchy i tylko się nie obudź o czwartej trzydzieści sześć, nie zdecyduj wymknąć się stąd po cichu i pojechać do mieszkania Paddyego, by celować kamykami w jego okna i obrzucać wyzwiskami Alicię Thornton.

4. 36

Obudziłam się. Postanowiłam wymknąć się stąd po cichu i pojechać do mieszkania Paddy'ego, by celować kamykami w jego okna i obrzucać wyzwiskami Alicię Thornton („Matka Alicii Thornton bzyka się z proboszczem!", „Alicia Thornton nie myje bobra!", „Ojciec Alicii Thornton bije ich labradora!"). Ale kiedy otworzyłam drzwi domu Treese, zaczął wyc alarm, włączyły się światła, a w oddali słychać było szczekanie psów. Właściwie spodziewałam się nawet pojawienia się nad głową helikoptera, kiedy po schodach zbiegła Treese w jedwabnym, perłoworóżowym negliżu (koszuli nocnej) i peniuarze (szlafroku) do kompletu, światła zaś połyskiwały na srebrno na jej błyszczącej, jasnej koafiuarze (włosach). Spokojnie udzieliła mi reprimendy:

– Obiecałaś, że tego nie zrobisz. Wpadłaś. Wracaj do łóżka! Czerwona na twarzy.

Treese wyłączyła alarm, po czym popłynęła z powrotem na górę.

Sobota, 30 sierpnia, 12. 10

W domu.

Zadzwoiła Bridie. Zapytała, jak się czuję, a potem zapadła dziwna cisza. Niemal wyczekująca. Potem zapytała:

– Podobał ci się ten zielony sweterek, jaki miałam na sobie w środę i wczoraj?

Nie mogłam przecież odpowiedzieć: „Nie, tak dziwacznej rzeczy już dawno nie widziałam”. Odparłam więc:

– Uroczy! – A po chwili: – Eee... nowy?

– Tak. – Bridie powiedziała to niemal nieśmiało. A potem wyrzuciła z siebie jak ktoś, kto zdradza wielką, ekscytującą tajemnicę: – Moschino!

Moschino!

Wcześniej myślałam, że może kupiła go na kiermaszu własnych wyrobów w jej lokalnym zakładzie dla umysłowo chorych! Dobrze, że jej tego nie powiedziałam.

Choć i tak bym tego nie zrobiła. To nie w moim stylu. Mama zawsze mi mówiła, że jeśli nie mogę powiedzieć czegoś miłego, to lepiej, bym nic nie mówiła.

– Gdzie go kupiłaś, Bridie? – Zastanawiałam się, jak to możliwe, że ja, z moją encyklopedyczną wprost pamięcią do ubrań, nigdy na niego nie natrafiłam.

– Na eBay.

Kurdemol! Może to podróbka!

– Kosztował mnie kupę kasy, Lola. Ale warto było. Warto, prawda?

– Och, tak, tak, warto! Dżokeje bardzo... eee... wyprzedzają modę.

– Zauważyłam, że mu się przyglądasz, Lola. O tak, pewnie, że się przyglądałam.

Niedziela, 31 sierpnia

Artykuły na temat Paddy'ego we wszystkich gazetach. Kupiłam całe naręcze. (Zaskoczyło mnie to, jak tanie są gazety w porównaniu z magazynami. To zabawne, że zwraca się uwagę na takie rzeczy nawet wtedy,

gdy twoje życie się rozpada.) Ale w artykułach tak naprawdę niczego nie było. Tylko tyle, że niezły z niego gość, chluba irlandzkiej sceny politycznej.

W żadnym artykule nie było najmniejszej nawet wzmianki na mój temat. Powinnam poczuć ulgę – przynajmniej Paddy nie będzie zły – ale zamiast tego poczułam się osamotniona, jakbym nie istniała.

Poniedziałek, 1 września, 10. 07

Telefon z „Irish Tatlera”. Odwołali przysyłotygodniowe zlecenie. Przekaz był jasny: nikt nie lubi stylistki, która niszczy kolekcje. Wieści się rozchodzą.

10. 22

Zadzwoiła komórka. Wydawało mi się, że poznaję numer, nie byłam pewna, po czym dotarło do mnie, że to znowu ta dziennikarka Grace Gildee. Nękała mnie! Nie odebrałam, odsłuchałam jedynie wiadomość. Namawiała mnie na spotkanie i oferowała większą kwotę. Siedem tysięcy. Roześmiała się i oskarżyła o to, że ostro sobie pogrywam. Ale ja wcale nie pogrywałam! Chciałam jedynie, by dano mi święty spokój!

Wtorek, 2 września

Najgorszy cios do tej pory. Alicia Thornton znalazła się na okładce „VIP-a”, a tytuł artykułu brzmiał: „Jak zdobyłam serce Quicksilvera”.

Miły pan w kiosku dał mi szklanekę wody i pozwolił posiedzieć na swoim taborecie do czasu, aż minęły mi zawroty głowy.

Dwanaście stron ze zdjęciami. Paddy miał na nich makijaż. Podkład na bazie silikonów, z silikonowym wykończeniem, tak by wyglądał plastikowo, jak Ken.

Nie wiedziałam, kto był stylistą tej sesji, ale widać było, że otrzymał ściśle, konkretne wytyczne. Alicia (wysoka, chuda, blond paż, końska twarz, ale w taki nieładny sposób, nie jak Sarah Jessica Parker, bardziej jak Celine

Dion. I–ha!) w kremowej, tweedowej sukni Chanel i żakiecie. Paddy w garniturze godnym meża stanu (Zegna? Ford? Nie byłam pewna), siedzący za mahoniowym biurkiem, dzierżący srebrne pióro tak, jakby miał zaraz podpisać jakiś ważny traktat, Alicia stojąca za nim, jej dłoń na jego ramieniu, w pozie wspierającej żony. Następnie Paddy i Alicia w strojach wieczorowych. Paddy w smokingu, Alicia w długiej, czerwonej, odsłaniającej ramiona sukni MaxMary. Czerwony to nie jej kolor. Widać także ślad zarostu pod prawą pachą.

Na najgorszym zdjęciu Paddy i Alicia, ubrani w pasujące do siebie spodnie, koszulki polo z podniesionymi kołnierzykami, ze swetrami w warkocze przerzuconymi przez ramiona TRZYMAJĄ RAKIETY TENISOWE! Jak w tanim katalogu wysyłkowym.

Tym zdjęciom udało się sprawić, mimo iż Paddy to najprzystojniejszy mężczyzna na świecie, że wygląda jak męski model, który ma pecha.

W artykule napisano, że poznali się, gdy mieli po naście lat, ale że spotykają się ze sobą w kontekście romantycznym, w „dyskretny” sposób, od siedmiu miesięcy. Od siedmiu miesięcy! Ja spotykałam się z nim w „dyskretny” sposób od szesnastu miesięcy! I nic dziwnego, że powiedział, że powinniśmy być „dyskretni”. Powiedział, że życie (moje) stałoby się piekłem na ziemi, gdybym się pojawiała u jego boku na oficjalnych przyjęciach i ważnych imprezach. Prasa zamięczałaby mnie i byłabym zmuszona do nieustannego chodzenia w makijażu, nawet podczas snu, aby uniknąć zdjęć podpisanych „Dziewczyna Paddy'ego to pryszczaty niechluj”. (Przez lato w rubrykach towarzyskich pojawiły się dwie wzmianki na mój temat, ale biuro prasowe Paddy'ego wydało oświadczenie, że pomagałam mu w odpowiednim doborze stroju i wszyscy chyba dali temu wiarę.) Wtedy naprawdę sądziłam,

że Paddy ma na uwadze tylko i wyłącznie moje dobro. Gdy tymczasem to był jego sposób na to, by Alicia, jego „duchowa przyjaciółka” (tak właśnie o niej powiedział w wywiadzie) nie dowiedziała się o mnie. Ale ze mnie tępak.

Później we wtorek

Sesja zdjęciowa w „VIP-ie” okazała się ostatecznym ciosem. Przez cały dzień analizowałam te zdjęcia i rozmyślałam. Co miała ta Alicia Thornton, czego nie miałam ja? Przerzucałam strony, przyglądając się uważnie ich wspólnym zdjęciom, szukając wskazówek. Raz po raz. Próbując uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Ale skończyło się tym, że patrzyłam na niego zbyt długo i nie wyglądał już jak on – to tak, jak zbyt długie przypatrywanie się sobie w lustrze, kiedy robi się dziwnie, niemal przerażająco.

Jeszcze później we wtorek

Zła. Głowa pełna ciemnych, przepelnionych goryczą myśli. Ja sama przepelniona złymi, pełnymi ognia uczuciami. Ciężko oddychająca. Nagle rzuciłam „VIP-a” na podłogę i pomyślałam: „Zasługuję na odpowiedzi!”.

Pojechałam do mieszkania Paddy'ego i zadzwoniłam do drzwi. Dzwoniłam i dzwoniłam, i dzwoniłam, i dzwoniłam, i dzwoniłam. Nic się nie wydarzyło, ale postanowiłam, że do diabła z tym wszystkim, zostanę! Zaczekam, aż wróci. Nawet jeśli będę musiała czekać wiele dni. Może nawet parę tygodni. W końcu będzie musiał wrócić do domu.

Złe, pełne ognia uczucia dodały mi siły i czułam, że mogę czekać do końca świata. Jeśli się to okaże konieczne.

Poczyliłam plany. Zadzwoniłam do Bridie i poprosiłam, by przywiozła mi śpiwór i kanapki. Oraz termos z zupą.

– Ale nie minestrone – dodałam. – Nic, co miałyby grudki.

– Co takiego? – zapytała z niedowierzaniem. – Koczujesz pod mieszkaniem Paddy'ego?

– Musisz dodawać wszystkiemu dramatyzmu? Ja tylko czekam na jego powrót do domu. Ale to może potrwać kilka dni. Więc, jak powiedziałam, śpiwór, kanapki i zupa. I pamiętaj: bez grudek.

Wrzeszczała coś o tym, że martwi się o mnie i musiałam się rozłączyć. Straciłam cierpliwość.

Mijał czas. Złe, pełne ognia uczucia pomagały mi zachować koncentrację. Nieświadoma byłam niewygody, zimna i potrzeby pójścia do toalety. Jak buddyjski mnich.

Od czasu do czasu dzwoniłam do drzwi Paddy'ego, w zasadzie to głównie dlatego, by coś w ogóle robić. I uświadomiłam sobie, że złe, pełne ognia uczucia musiały nieco osłabnąć, jako że zaczęło mi się nudzić. Jeszcze raz zadzwoniłam do Bridie. Zapytałam:

– Czy mogłabyś mi przywieźć także nowy „InStyle”, książeczkę z sudoku i moją biografię Diany Vreeland?

– Nie! – odparła – Lola, proszę cię! Daj sobie z tym spokój. Odebrało ci rozum.

– Wprost przeciwnie. Jeszcze nigdy w życiu nie miałam go aż tak dużo!

– Lola, ty go prześladujesz. To osoba publiczna, możesz mieć przez to kłopoty! Możesz...

Znowu musiałam się rozłączyć. Bycie niegrzeczną nie sprawiało mi przyjemności, nie miałam jednak wyboru.

Dla zabicia nudy jeszcze kilka razy zadzwoniłam do mieszkania Paddy'ego, a potem zadzwoniła moja komórka. To Bridie! Stała przed bramą! Nie mogła wejść, bo nie знаła kodu!

– Masz śpiwór? – zapytałam. – I zupeę w termosie?

– Nie.

– Jest z tobą Barry? (Barry to jej mąż.)

– Tak, jest ze mną Barry. Lubisz przecież Barry'ego, prawda?

Owszem, ale widziałam oczami wyobraźni, jak razem wpychają mnie siłą do swojego auta i wywożą stąd. Nie ma mowy.

– Lola, proszę, wpuść nas.

– Nie – odparłam. – Przykro mi. I wyłączyłam komórkę.

Znowu zaczęłam wciskać dzwonek do mieszkania, nie spodziewając się żadnej reakcji, kiedy nagle za drzwiami z grubego szkła pojawił się zarys mężczyzny.

To był on! Był tam przez cały ten czas! Czułam ulgę, podekscytowanie – a potem pojawiły się ciemniejsze myśli: Dlaczego zszedł dopiero teraz? Dlaczego dalej mnie upokarza?

Ale to wcale nie był on! Zamiast niego za drzwiami pojawił się Hiszpan John, jego kierowca. Dobrze go znałam, ponieważ czasami przyjeżdżał po mnie i zawoził do Paddy'ego. Choć zawsze zachowywał się wobec mnie serdecznie, trochę się go bałam. Był potężny, zwałisty i wyglądał na faceta, który potrafi rozerwać ci szyję na dwie części, jakby to było skrzydełko kurczaka w sosie barbecue.

– Hiszpan John – odezwałam się błagalnie. – Muszę zobaczyć się z Paddym. Wpuść mnie, błagam cię.

Pokręcił głową i mruknął:

– Wracaj do domu, Lola.

– Ona jest z nim na górze? – zapytałam.

Hiszpan John był uosobieniem dyskrecji (i wcale nie Hiszpanem).

Powiedział jedynie:

– Chodź, Lola, podwiozę cię do domu.

– Ona tam jest!

Delikatnie, niemal uprzejmie, odciągnął mnie od drzwi i poprowadził w stronę saaba Paddy'ego.

– Nie trzeba – oświadczyłam z obrazą w głosie. – Mam swój samochód. Sama mogę się zawieźć.

– Powodzenia, Lola – rzekł. Stanowczo.

Taka stanowczość ośmieliła mnie do zadania pytania, na które zawsze chciałam poznać odpowiedź.

– A tak przy okazji – zaczęłam – to zawsze się zastanawiałam, dlaczego mówią na ciebie Hiszpan John, skoro nie jesteś Hiszpanem?

Przez chwilę myślałam, że doskoczy do mnie i zastosuje jakiś bardzo bolesny cios karate, ale jednak się powstrzymał.

– Popatrz tylko na mnie. – Pokazał na swoje rude włosy, mlecznobiałą skórę i mnóstwo piegów. – Widziałaś kiedyś kogoś, kto wyglądałby mniej hiszpańsko?

– Ach. – Zrozumiałam. – Ironia?

– Albo sarkazm. Zawsze mam problem z rozróżnieniem.

Nadal wtorek, jeszcze później

No i proszę, zostałam przegnana spod drzwi Paddy'ego jak jakaś śmierdząca żebraczka.

Wrócił mi rozsądek – było to niczym chluśnięcie wiadrem lodowatej wody prosto w twarz. Byłam zgorszona swoim zachowaniem. Zachowywałam

się jak chora psychicznie. Obląkana. Prześladowająca Paddy'ego. Tak, Bridie miała rację. Prześladowałam go.

No i byłam zbulwersowana tym, w jaki sposób potraktowałam Bridie. Kazałam jej przywieźć termos z zupą. Skąd Bridie miałyby wziąć zupę? A potem nie powiedziałam jej, jaki jest kod do bramy i rozłączyłam się. Bridie była przecież zaniepokojoną przyjaciółką!

Dostrzegłam, jaka byłam szalona, a najgorsze ze wszystkiego było to, że przebywając w szponach obłądu, byłam święcie przekonana, że działam rozsądnie. Ostateczny cios.

Nie mogłam ciągnąć tego dalej, nie jeść, nie spać, odstawiać szopki w pracy, traktować przyjaciół jak służących i jeździć po mieście bez nadzoru...

Pojechałam do Bridie. Była już w piżamie i bardzo się ucieszyła na mój widok.

Przeprosiłam z całego serca za to całe zamieszanie ze śpiworem, a potem z kodem do bramy.

– Przeprosiny przyjęte – rzekła Bridie. – Przyjęte. No więc co się dzieje?

– Podjęłam decyzję – oświadczyłam. – Postanowiłam spakować swoje życie i przeprowadzić się na koniec świata. Gdzieś, gdzie nic mi nie będzie przypominać o Paddym. Masz globus, prawda?

– Eee, tak...

(Od czasów lekcji geografii w szkole. Ona nigdy niczego nie wyrzuca.)

Globus Bridie pokazał, że koniec świata (w stosunku do Irlandii) to Nowa Zelandia. No i dobrze. Z tego co wiem, są tam prześliczne krajobrazy. Mogłabym się wybrać na wycieczkę śladami *Władcy pierścieni*. Ale Bridie była głosem rozsądku.

– Bilet do Nowej Zelandii kosztuje kupę kasy – stwierdziła. – Poza tym to strasznie daleko.

– Ale o to właśnie chodzi – zaprotestowałam. – Muszę wyjechać daleko stąd, tak bym nie musiała oglądać zdjęcia Alicii za każdym razem, kiedy idę kupić czekoladę, ani słyszeć o Paddym w wieczornych wiadomościach, co nie znaczy, bym je oglądała. Boże, są takie dołujące, z wyjątkiem tej zajawki o kurach, widzieliście to?

– A może chata wuja Toma? – zaproponował Barry. On także był w piżamie.

Chata wuja Toma to wakacyjny dom wujka Bridie. W hrabstwie Clare. Spędziłam tam weekend panieński Treese. Sporo rzeczy się zepsuło. (Nie ja sama je zepsułam, ale my wszyscy.)

– To daleko – dodał Barry.

– Tam nawet nie ma telewizora! – zgodziła się Bridie. – Ale jeśli zaczniesz ci odbijać z powodu samotności, trzy godziny i jesteś w domu, odkąd jest obwodnica Kildare.

(Ta obwodnica to najlepsze, co się mogło przytrafić wielopokoleniowej rodzinie Bridie, jako że spora jej część mieszkała w Dublinie, ale uwielbiała chatę wuja Toma. Tata Bridie twierdził, że dzięki niej zaoszczędza się czterdzieści pięć minut. Ale co mnie to obchodziło? Miałam trzydzieści jeden lat i o ile sama się nie zabiję, prawdopodobnie pożyję kolejne czterdzieści. Przez cały ten czas mogę tkwić w korku pod Kildare i nic to w ogóle nie zmieni.)

– Dzięki za tę życzliwą propozycję – powiedziałam. – Ale nie mogę przecież zostać w chacie wuja Toma na zawsze. Część waszej rodziny może chcieć z niej korzystać.

– Tym się nie martw, jest koniec lata. Słuchaj, masz złamane serce i wydaje ci się, że nigdy z tego nie wyjdiesz. Ale wyjdiesz i wtedy pożałujesz, że przeprowadziłaś się do Nowej Zelandii i przekreśliłaś swoją karierę tutaj. A może pojedziesz do Clare na parę tygodni, by odzyskać formę? Każ Nkechi zająć się wszystkim w pracy. Jaki masz w tej chwili terminarz? Napięty? –Nie.

Winę za to ponoszą nie tylko odwołane zlecenia, ale także pora roku. Skończyłam już wszystkie jesienno–zimowe stylizacje dla prywatnych klientek – zajętych, bogatych kobiet, które nie miały czasu na zakupy, ale musiały wyglądać stylowo, poważnie, porządnie. Kolejnym gorącym sezonem będzie okres przyjęć bożonarodzeniowych, który zaczynał się zaraz po Halloween. Do roboty można się było zabrać dopiero za parę tygodni. To znaczy zawsze istniała jakaś praca do wykonania. Mogłabym zabierać osoby odpowiedzialne za zaopatrzenie w Brown Thomas, Costume i innych dobrych sklepach na lunch, tak by potem odkładali swoje najlepsze stroje dla mnie, a nie innych stylistów. Stylizacja to biznes, w którym trzeba walczyć o swoje. Naprawdę bezwzględny. Tyle świetnych ciuchów jest na rynku i konkurencja jest zażarta. Ludzie nie zdają sobie z tego sprawy. Myślą, że to świetna zabawa dla dziewczyn, wybieranie drogich kiecek i sprawianie, że każdy wygląda olśniewająco. Nic z tych rzeczy.

– A kiedy wrócisz – kontynuowała Bridie – i będzie tak samo beznadziejnie jak teraz, wtedy możesz jechać do Nowej Zelandii.

– Wiem, kiedy ktoś robi sobie ze mnie jaja, Bridie. Nie do śmiechu ci jednak będzie, kiedy zamieszkałam sobie w ślicznym małym domku w Rotorua. No ale przyjmuję twoją życzliwą propozycję.

Jeszcze później

W drodze do domu

Nagle uświadomiłam sobie, że piżama Bridie to tak naprawdę nie była piżama, ale dziwne spodnie „rekreacyjne” do noszenia po domu. Rękę dałabym sobie uciąć, że z katalogu wysyłkowego. W normalnych okolicznościach doznany szok sprawiłby, że wylądowałabym na słupie. Nawet teraz byłam zaniepokojona. Jeszcze trochę i zacznie je nosić poza domem. Trzeba się było za nią zabrać. Barry powinien z nią porozmawiać, ale nie, przypomniałam sobie, że on także miał na sobie tego typu spodnie. On jej w tym pomagał. Nikomu nie uda się pomóc Bridie, jeśli on będzie ją zachęcał.

Środa, 3 września, 10. 00

Udałam się do „biura” (Patisserie Martine's). Pracowałam u siebie, ale moje mieszkanie było zbyt małe. To cena, jaką się płaciło za mieszkanie w centrum miasta. (Inna cena to pijani faceci uprawiający zapasy pod oknem twojej sypialni o czwartej nad ranem.)

Zamówiłam czekoladę i ciastko z morelami. Normalnie tak przepadałam za ciastkami z morelami, że musiałam je sobie racjonować, inaczej zjadłabym nawet i dziesięć. Dzisiaj jednak lepka polewa wyglądała odpychająco, a morela wgapiała się we mnie niczym złowrogie oko. Musiałam odsunąć to ciastko. Napiłam się odrobinę gorącej czekolady i natychmiast zachciało mi się wymiotować.

Dzwonek. Oznajmił przybycie Nkechi. Wszyscy na nią spojrzeli. Ładny widok. Nigeryjka, wspaniała postura, mnóstwo opadających na plecy warkoczyków, bardzo długie nogi i całkiem spory tyłek. Ale Nkechi nigdy nie próbowała ukrywać swojego tyłka. Była z niego dumna. Dla mnie to było fascynujące. Życie irlandzkich dziewcząt to nieustanne poszukiwanie strojów ukrywających bądź zmniejszających tyłek. Sporo się możemy nauczyć od innych kultur.

Nkechi, choć młoda (dwadzieścia trzy lata), miała genialne pomysły. Tak jak wtedy, kiedy Rosalind Croft (żona nadzianego kołosa, Maxwella Crofta) wybierała się na kolację dobroczynną w Mansion House. Dekolt jej sukni tak bardzo wyprzedzał modę, że nie pasowała do niego żadna biżuteria. Próbowaliśmy wszystkiego. Koszmar! Pani Croft już, już miała z nas zrezygnować, kiedy Nkechi oświadczyła: „Mam!”. I zdjęła z szyi apaszkę, swoją własną apaszkę (którą kupiła w sklepie z używanymi rzeczami za trzy euro), owinęła nią szyję pani Croft i uratowała sytuację.

– Nkechi – powiedziałam. – Na parę tygodni robię sobie wolne i wyjeżdżam do chaty wuja Toma.

Nkechi знаła ją. Była tam na wieczorze panieńskim Treese. To ona zepsuła toster, próbując wcisnąć do niego całego bajgla. Niezła była masakra. Czarny dym zaczął się wydobywać z boku toster, a za nim ze świstem płomień. Zbiła także ceramicznego delfina, który w rodzinie Bridie przetrwał trzydzieści osiem lat. Oddawała się pijackim tańcom i wykonała wysoki wykop nogą, w wyniku czego delfin poszybował nad barem niczym piłka do rugby, aż doleciał do ściany, gdzie rozbił się na kawałki. No ale to był wieczór panieński, takie rzeczy się zdarzają. Przynajmniej nikt nie wylądował w szpitalu. Nie tak jak podczas wieczoru panieńskiego Bridie.

– Wiem, że brzmi to dramatycznie, takie pakowanie życia – kontynuowałam – ale naprawdę, Nkechi, jestem w paskudnym stanie. Nie mogę pracować, nie mogę spać, mój system trawienny jest totalnie rozregulowany.

– Uważam, że to dobry pomysł – odparła. – Wycofaj się stąd na jakiś czas, nim jeszcze bardziej zszargasz sobie reputację.

Zapadła niezręczna cisza.

Jedno małe zastrzeżenie w stosunku do Nkechi – to doskonała stylistka, naprawdę świetna, ale ciut brak jej uczuć zbliżonych do empatii. Częścią pracy stylistki jest niedopuszczenie do tego, by klientka wyszła od nas, wyglądając jak kompletna idiotka. Do nas należy chronienie jej przed cierpkimi uwagami redaktorek kolumn towarzyskich. Jeśli klientka ma pokryty zmarszczkami dekolt, wybijamy jej z głowy głębokie wycięcia. Jeśli ma kolana niczym obwisłe policzki posokowca, sugerujemy suknie do kostek. Ale w sposób subtelny. Życzliwy.

Nkechi jednak nie zawsze zachowywała się tak dyplomatycznie, jak bym sobie tego życzyła. Na przykład wtedy, kiedy ubierała Sarah Jane Hutchinson. Biedna kobieta. Mąż zostawił ją dla młodego Filipińczyka. Publiczne upokorzenie. To była pierwsza impreza dobroczynna, w której brała udział jako porzucona żona, ważne więc było, by wyglądała i czuła się dobrze. Przymierzyła bardzo ładną suknię bez ramiączek od Matthew Williamsona, ale widać było, że to nie dla niej. Wyraźnie działała siła grawitacji. Już, już miałam taktownie zasugerować suknię od Rolanda Moureta (zapewniała znacznie więcej wsparcia, miała wbudowany, ale ukryty gorset), kiedy Nkechi wykrzyknęła: „Nie możesz tak wyjść z tymi skrzydłami! Trzeba ci rękawów, dziewczyno!”.

Rzekłam teraz:

– Nkechi, byłabym ci wdzięczna, gdybyś na czas mojej nieobecności przejęła stery.

– Jasne. Przejęła stery. Tak właśnie zrobię. Próbowałam odegnać od siebie niespokojne myśli.

Wszystko miałam pod kontrolą. Nkechi sobie poradzi. Może nawet aż za dobrze.

Nie podobał mi się sposób, w jaki powiedziała o przejęciu sterów.

– Nkechi – rzekłam. – Jesteś geniuszem. Będiesz kiedyś doskonałą stylistką, być może najlepszą z nas wszystkich. Ale na razie po prostu dopilnuj, by wszystko się kręciło. Proszę cię, nie zrób jakiegoś puczu podczas mojej nieobecności. Proszę cię, nie zakładaj własnego interesu. Nie skaperuj moich najbogatszych klientek. Bądź moją przyjaciółką. Pamiętaj: twoje imię w narzeczu joruba znaczy „lojalna”.

10. 47

Wlokę się ze zniechęceniem do domu, kiedy dostrzegam, że ktoś czeka przed moim budynkiem. Kobieta. Wysoka, džinsy, kozaki, bluza z kapturem. Krótkie, nastroszone jasne włosy. Wysyła w eter wiadomość: Mam was gdzieś.

Kim ona była? Co to za nowe piekło? I wtedy się domyśliłam! To ta dziennikarka, Grace Gildee! Jestem nachodzona we własnym domu jak... jak jakiś baron narkotykowy albo... albo... pedofil!

Zatrzymałam się w pół kroku. Dokąd powinnam pójść? Uciekać, uciekać! Ale dokąd? Miałam prawo udać się do własnego mieszkania. Bądź co bądź tam właśnie mieszkałam.

Za późno! Zobaczyła mnie!

– Lola? – Uśmiech, uśmiech i pospieszne gaszenie papierosa obcasem buta. – Witaj! – Wyciągnęła rękę. – Grace Gildee. Wspaniale cię poznać.

Nim byłam w stanie zareagować, jej ciepła, gładka dłoń znalazła się w mojej.

– Nie – powiedziałam, wrywając dłoń. – Proszę zostawić mnie w spokoju. Nie rozmawiam z tobą.

– Dlaczego? – zapytała.

Zignorowałam ją i zaczęłam szukać w torbie kluczy. Nie miałam zamiaru nawiązywać żadnego kontaktu wzrokowego, ale przyłapałam się na tym, że wbrew własnej woli patrzę jej prosto w twarz.

Z bliska dostrzegłam, że nie ma w ogóle makijażu. Dość niezwykle. Ale wcale go nie potrzebowała. Bardzo atrakcyjna, w typie chłopczycy. Orzechowe oczy i piegi na nosie. Typ kobiety, której mógł się skończyć szampon, a ona wtedy bez problemu myła włosy żelem pod prysznic. Podejrzywałam, że dobra była w nagłych wypadkach.

– Lola, możesz mi zaufać.

– Możesz mi zaufać! – wykrzyknęłam. – Jesteś banalna! Niemniej jednak coś w sobie miała. Przekonującego.

Łagodnym głosem powiedziała:

– Naprawdę możesz mi zaufać. Nie jestem taka jak pozostali dziennikarze. Wiem, jaki on jest.

Przerwałam błędzenie dłonią w przepastnych czeluściach mej torby w poszukiwaniu kluczy. Byłam zahipnotyzowana, jak przez węża.

– Znałam go przez połowę jego życia – dodała.

Nieoczekiwanie ogarnęło mnie pragnienie, by położyć głowę na jej ramieniu i szlochać, i pozwolić jej gładzić mnie po włosach.

Ale właśnie czegoś takiego ona by chciała. Tak właśnie robią wszyscy dziennikarze. Udają, że są twoimi przyjaciółmi. Tak jak podczas wywiadu z Sarah Jane Hutchinson na balu charytatywnym. Ta dziennikarka była słodka i urocza, pytała, skąd Sarah Jane ma tę wspaniałą suknię. I precudną biżuterię. I kto był odpowiedzialny za jej fryzurę? *Zaufaj mi, zaufaj mi, zaufaj mi.* A potem tytuł brzmiał następująco:

Z tyłu liceum, z przodu muzeum

Czy czterdziestokilkuletnia, niedawno porzucona żona nie widzi, jak wygląda? Chodzi po mieście ubrana w ciuchy swej nastoletniej córki. Próba odzyskania utraconej młodości? Czy też próba odzyskania utraconego męża? Zapomnijcie o tym, moje kochane. Tak czy inaczej to się nie sprawdza.

Moja dłoń zamknęła się na kluczach. Dzięki Bogu. Musiałam wejść do mieszkania. Musiałam uciec od tej Grace Gildee.

17. 07

Jestem w Knockavoy! Chata wuja Toma położona jest wśród łąk, kawałek za miastem.

Zjechałam z wąskiej, wyboistej drogi i zaparkowałam na zwirowanym niewielkim podjeździe przed wejściem.

Domek bielony wapnem. Grube, nierówne ściany. Małe okna. Czerwone, zamykane na zasuwę drzwi. Szerokie parapety. Uroczo.

Wysiadłam z samochodu i prawie mnie zdmuchnęło. Oczami wyobraźni zobaczyłam, jak unoszę się w powietrzu, wiruję i zostaję porwana wysoko, wysoko, hen nad zatokę, a potem rzucona w fale Atlantyku do wodnej mogiły. Paddy by wtedy pożałował. Pożałowałby dnia, w którym poznał Alicję Thornton.

No dalej, wietrze, błagałam. Zabierz mnie!

Stałam z zaciśniętymi powiekami i zachęcająco rozpostartymi ramionami, ale nic się nie stało. Irytujące.

Pochylając się na wietrze, ruszyłam w stronę drzwi wejściowych. Powietrze przesycone było morską solą. Zrzuca mi to włosy. Choć byłam bardzo dumna z moich pasemek Molichino, trzeba przyznać, że przez nie włosy były bardziej podatne na blaknięcie i łamanie. Miałam nadzieję, że w miejscowej drogerii mają jakieś intensywnie działające odżywki. Kurdemol!

Miałam nadzieję, że w ogóle jest tu jakaś drogeria. Z poprzednich wizyt pamiętałam jedynie puby, mnóstwo pubów, i nocny klub tak niesamowicie beznadziejny, że aż komiczny.

Otworzyłam urocze czerwone drzwi i wiatr pociągnął je do siebie, uderzając nimi z całej siły o ścianę. Wciągnęłam do środka swoje torby. Czy to moja wyobraźnia czy też w domu nadal było czuć dym z zepsutego tosterka, choć od tamtego wieczoru panieńskiego minęło już ładnych kilka miesięcy?

. Był tu jeden wielki salon, z sofami, dywanikami i dużym, otwartym kominkiem oraz bujanymi fotelami we wnęce. Okna z drugiej strony wychodziły na łąki, a dalej na Atlantyk, jakieś sto metrów stąd. Prawdę mówiąc, strzeliłam z tymi stoma metrami, nie miałam pojęcia, jak daleko jest do morza. Jedynie faceci potrafią tak robić. „Niecały kilometr”. „Pięćdziesiąt metrów”. Dawać wskazówki, tego rodzaju rzeczy. Ja potrafiłam popatrzeć na jakąś kobietę i orzec: „75C”. Albo „Spróbujmy o jeden rozmiar większy”. Ale nie miałam pojęcia, jak daleko znajduje się morze wuja Toma, z wyjątkiem tego, że nie chciałabym się tam wybrać w szpilkach.

W kuchni na ścianie, za tosterem (nowym), widać było ślady po przypaleniu. Znajdował się w niej stół przykryty ceratą w wiśnie, sześć ciężkich, drewnianych krzeseł, żółte wolno stojące szafki, niczym z kuchni z lat pięćdziesiątych, i stare fajansowe naczynia nie do kompletu, których część pokrywały malowane, wyblakłe kwiatki. Okna w kuchni także wychodziły na morze. Zamknęłam lewe oko i popatrzyłam przez okno. Nadal nie miałam pojęcia, ile jest stąd do morza.

Zadzwoiła komórka. Bridie.

– Jak droga?

– Dobrze – odparłam. Niełatwo mi wykrzesać z siebie entuzjazm.

– Ile ci zajęła?

Nie pamiętałam. Nie zwróciłam uwagi. Ale ona mnie wcześniej prosiła, bym zmierzyła czas podróży. No więc powiedziałam pierwsze, co mi przyszło do głowy:

– Dwie godziny i czterdzieści minut. Zagwizdała i rzekła:

– Jak na razie najszybciej. Kończę, muszę powiedzieć o tym tacie. W lipcu udało mu się przejechać w dwie godziny pięćdziesiąt, ale to było o wpół do szóstej rano. Zmartwi się, że został pobity. Zwłaszcza przez dziewczynę.

– No to mu nie mów – zasugerowałam. – Po co go martwić? Na świecie jest wystarczająco wiele zmartwień.

17. 30

Na górze były trzy pokoje. Wybrałam ten średni co do wielkości. Nie miałam o sobie tak wysokiego mniemania, aby wybrać największy, ale moje poczucie własnej wartości nie znajdowało się aż na tak niskim poziomie, bym automatycznie zdecydowała się na najmniejszy. (Dobry objaw.) Podwójne łóżko, ale bardzo wąskie. Jak ludzie radzili sobie w dawnych czasach? Nie można mnie było nazwać grubasem (choć chciałabym mieć znacznie mniejszy tyłek), ale w tym łóżku było miejsce naprawdę tylko dla mnie. Rama łóżka była żelazna i na pierwszy rzut oka narzuta wyglądała jak patchwork, i urzekło mnie to. Po chwili przyjrzałam się uważniej. To wcale nie patchwork. Narzuta udająca patchwork, którą w Penneys można dostać za dziesiątaka. Niemniej jednak z daleka wyglądała dobrze.

Takie same białe nierówne ściany jak na dole i dwa niewielkie okna z pomalowanymi na czerwono ramami. Wesoło. Z kwiecistymi zasłonkami. Przytulnie.

Otworzyłam walizkę. Szok. To co spakowałam, stanowiło dowód na mój rozstrój psychiczny. Nic praktycznego. Żadnych džinsów. Żadnych kozaków. Niemądre! Mieszkałam przecież pośród łąk. Potrzebne mi były przasane ciuchy! A ja zamiast nich przywiozłam sukienki, cekiny, boa ze strusich piór! Gdzie ja sobie wyobrażałam, że się wybieram? Jedyne, co może mi się tu przydać, to kalosze. Miało znaczenie to, że były różowe? Były przez to mniej praktyczne?

Powiesiłam swoje niepraktyczne ubrania w mahoniowej szafie. Rzeźbionej. Solidnej. Od frontu lustro upstrzone przez muchy. Wyglądała na zabytkową. W Dublinie kosztowałyby krocie.

18. 23

Na dole wypatrzyłam w kącie telewizor! Zirytowałam się na Bridie. Zadzwoiłam do niej.

- Jest tu telewizor! Mówiłaś, że nie ma!
- To nie telewizor – odparła.
- Wygląda jak telewizor!

Przejęta podeszłam do niego, przykucnęłam i przyjrzałam się uważnie. Byłam aż tak rozstrojona, że wzięłam coś innego za telewizor? Być może mikrofalówkę?

- Tak – rzekła Bridie. – Fizycznie to jest telewizor. Ale nie ma anteny.
- W takim razie po co tu stoi?
- Można na nim oglądać filmy na DVD.
- Skąd ja tu wezmę filmy?
- Z wypożyczalni.
- Długa droga dzieli mnie od wypożyczalni.
- Wcale nie. W supermarkecie na głównej ulicy mają całkiem spory wybór filmów. Nawet nowych.

– Okej. No więc... ach... jakieś wieści? To znaczy jakieś wieści o Paddym?

– Wyjechałaś dopiero parę godzin temu – odparła. – Wyczułam jednak w jej głosie wahanie.

– Są jakieś wieści! – zawołałam. – Mów natychmiast!

– Nie. Pojechałaś tam, żeby uciec przed wieściami!

– Powiedz mi, błagam! Teraz to już muszę wiedzieć. Umrę, jeśli się nie dowiem. Więcej cię o to nie poproszę, ale teraz muszę się dowiedzieć.

Westchnęła.

– Okej. W wieczornej gazecie. Ustalono datę. Ślub będzie w marcu. Przyjęcie weselne w K Club.

Dwie myśli. Pierwsza: do marca jest jeszcze bardzo, bardzo daleko. Możliwe, że Paddy zmieni zdanie. I druga myśl:

– K Club? Tylko koniarze urządzą przyjęcia ślubne w K Club. On nie jest koniarzem. A ona?

– Cóż, wygląda tak – stwierdziła Bridie. – To znaczy wygląda jak koń.

Bridie, lojalna przyjaciółka.

– Ale nie sądzę, by była koniarzem – dodała.

– Wszyscy wiedzą, że nie urządza się przyjęcia ślubnego w K Club, jeśli nie jest się koniarzem z Kildare.

– To tandetne – rzekła Bridie.

– Tak, tandetne.

18. 37

Miłe miasteczko. Sporo w nim ludzi. Dużo się dzieje. Więcej niż zapamiętałam. Jeden hotel (mały). Wiele pubów. Jeden supermarket. Jeden

butik. (Okropny – swetry z wełny Aran, tweedowe peleryny, szydełkowane czapki z pomponami. Nastawiony na turystów.) Jedna frytkarnia. Dwa sklepy dla surferów! Jedna kafejka internetowa. (Tak, wiem. Nie spodziewałam się.) Jeden nadmorski sklepik wielobranżowy, sprzedający powieści Jackie Collins, pamiątki i popielniczki w kształcie ubikacji z napisem: „Oprzyj znużonego cygareta”.

Decyzja. Postanowiłam zjeść wieczorem w pubie. Nie miałam z kim rozmawiać, ale mogłam się schować za gazetą. We wszystkich pubach serwowano jedzenie, wybrałam więc jeden losowo, mając nadzieję, że to nie ten, z którego nas wyproszono podczas wieczoru panińskiego Treese.

(Wieczory panińskie powinny zostać zakazane. Czujesz się moralnie zobowiązana do tego, by zachowywać się okropnie, a potem jest ci strasznie wstyd. Niewiele pamiętałam z tamtego wieczoru, z wyjątkiem tego, że nasza dziesiątka – właściwie to tylko ósemka, jako że Treese odpłynęła już w domku i w ogóle nie dotarła do miasta, a Jill leżała na podłodze w toalecie – uwiesiła się na barmanie, wołając: „Och, skarbie! Doprowadzasz nas do szaleństwa!”. I tak dalej w tym klimacie. Niejasno pamiętam, jak barman błagał: „Dajcie spokój, dziewczyny. Ja tu pracuję. To pub rodzinny! Ładnie was proszę”. Pamiętam, że prawie płakał.)

Otworzyłam drzwi do pubu, który nazywał się Loch i grupka nieprzyjaznych facetów podniosła głowy niczym zaniepokojone postacie z epoki kamienia łupanego. Zaczerwienione oczy, spiczaste brody i zapach siarki. Jak w teledysku do *Bohemian Rhapsody*. Wzdrygnęłam się.

Następny pub, Dąb, jasne światło, miękkie siedzenia, rodziny jedzące nuggetsy z kurczaka. Bezpieczniejszy. Nikt się nie gapił.

Usiadłam. Podeszedł do mnie barman i zapytał:

– Zdecydowała się pani na coś?

Uświadomiłam sobie, że być może nie jest Irlandczykiem – miał obcy akcent, skórę w kolorze toffi, czarne włosy i oczy jak rodzyнки (prawdę mówiąc, nie było to najszcześniejsze porównanie, ponieważ wcale nie były małe i skurczone. Wielkie, ciemne oczy. Pozostając przy suszonych owocach, to najlepiej byłoby powiedzieć, że miał oczy jak suszone śliwki. Ale nie mogłam tego powiedzieć, ponieważ śliwki niezbyt fajnie się kojarzą i od razu przywodzą na myśl mieszkańców domów starców, którym serwuje się sos z duszonymi śliwkami, by byli „regularni”. W każdym razie wystarczyło, że raz o tym pomyślałam, a nie byłam w stanie przestać myśleć o nim jako o Śliwkowych Oczach.)

– Jaką macie supię dnia? – zapytałam.

– Grzybową.

– Ma grudki?

– Nie.

– No dobra. I kieliszek czerwonego wina.

– Merlot?

– Doskonale.

20. 25

Zjadłam kolację. (Po supie dnia zamówiłam jeszcze sernik dnia – truskawkowy.) Stałam przed Dębem, zastanawiając się, co dalej.

Mogłam przejść się na spacer. Był piękny, jasny wieczór, a niedaleko znajdowała się urocza plaża. Mogłam pospacerować dla odświeżenia umysłu. (Właściwie to nie podobało mi się to określenie.) Albo mogłam iść po film. Tak, to dobry pomysł.

20. 29

Supermarket

Duży wybór filmów. Stojący za ladą dziewczyna i chłopak (plakietki z imionami: Kelly i Brandon) próbowali mi pomóc.

– *Polowanie na druhny* jest fajne – rzekła Kelly. Była dość korpulentna. Wyglądała na amatorkę chipsów.

(Która z nas zresztą nią nie jest?) Proste jak druty jasne włosy. Różowe spodnie od dresu bardzo nisko opuszczone. Nad gumką zwisało pięć centymetrów tłuszczu. W pępku złoty kolczyk, akrylowe paznokcie. Wyglądała tandetnie, mimo to podziwiałam jej pewność siebie.

- Nie *Polowanie na druhny* – odparłam.
- Fajne masz pasemka.
- Dziękuję...
- Sama je sobie zrobiłaś?
- Nie. Eee... nie. U fryzjerki...
- Fajny masz żakiet. Gdzie go kupiłaś? W Topshopie?
- ... Nie... Trafiłam na niego w pracy.
- Gdzie pracujesz?
- ... Mam własną firmę.
- Ile kosztował?
- ... Cóż, kupiłam go po przecenie...
- A ile kosztował przed przeceną?
- ... Nie jestem pewna.

Byłam pewna, ale był drogi. Za bardzo się wstydziłam powiedzieć, jak bardzo.

– Przymknij się – odezwał się Brandon. Widać było, że tak jak i Kelly dbał o swój wygląd. Łańcuchy na szyi, pierścienie, jasne włosy zebrane w

czub, żółtawy odcień, prawdopodobnie efekt domowego farbowania, podziwiałam jednak jego starania. – A może *Władca pierścieni*? – zapytał. – Mamy specjalną, rozszerzoną wersję.

– Nie. Dobry film, nie mówię, że nie, ale...

– W jakim jesteś nastroju?

– Potrzebuję czegoś, co mi go poprawi.

– Dlaczego? – zapytała Kelly.

Kurdemol, jaka wścibska!

– No cóóóó... – odparłam, ogarniętą nagłym pragnieniem mówienia o Paddym. – Mój chłopak żeni się z inną.

– Okej. – Kelly przekornie nie połknęła haczyka. – A może *Bezsenność w Seattle*?

Sfrustrowana! Nie miałam ochoty rozmawiać o cenie żakietu, ale chciałam wyrzucić z siebie wszystko o Paddym.

– Albo *Szczęśliwy dzień*. Można się porządnie wypłakać.

– Nie! – wtrącił Brandon. – Weź film o zemście! *Kill Bill*. *Brudny Harry*.

– *Brudny Harry!* – zawołałam. – Doskonale!

23. 08

Brudny Harry to fantastyczny film! Tego właśnie było mi trzeba. Ta scena zemsty jest wyśmienita.

W pewnym momencie odwróciłam się od Clinta Eastwooda i wyjrzałam przez okno chaty wuja Toma, i przez chwilę sądziłam, że na niebie wisi wielka okrągła tabletką musująca. Była jaskrawopomarańczowa i wyglądała tak, jakby się właśnie rozpuszczała, wysyłając w niebo całe mnóstwo zdrowych witamin. Zachód słońca! Nagle ucieszyłam się, że tu przyjechałam. Nauczyłam się doceniać piękno przyrody.

Całkiem przyjemny wieczór. Bez przerwy myślałam o Paddym, ale zadzwoniłam do niego tylko cztery razy.

23. 31

Czas iść spać. Bałam się, że nie zasnę, połknęłam więc dwie tabletki uspokajające i zgasiłam światło.

23. 32

Zapaliłam światło. Wzięłam pół prawdziwej tabletki na sen, wypełnionej chemikaliami, a nie jakiś beznadziejny ziołowy chłam. Strasznie by było, gdybym nie mogła zasnąć. Nie ma sensu ryzykować. Zgasiłam światło.

23.33

Zapaliłam światło. Wzięłam drugą połówkę tej tabletki. Nie mogłam ryzykować tego, że nie usnę. Zgasiłam światło. Podciągnęłam narzutę z udawanym patchworkiem pod samą szyję i wtuliłam głowę w poduszkę. Teraz, kiedy byłam już odurzona lekami, nie mogłam się doczekać cudownego, całonocnego snu.

23. 34

Na wsi jest bardzo cicho. Miło. Relaksująco.

23.35

Kojąco. Nie złowieszczo.

23. 36

Uspokajająco. Ani trochę złowieszczo.

23. 36

Jest złowieszczo! Za cicho na dworze. Groźnie. Jakby łąki planowały urządzić na mnie zasadzkę, gdy będę spała! Zapaliłam światło. Mocno waliło mi serce. Przydałoby mi się coś do czytania, ale za bardzo się bałam, żeby zejść na dół po „InStyle”. Na półce w pokoju stały same stare książki. Thrillery

autorstwa niejkiej Margery Allingham. Wybrałam sobie *Modę na całuny*, ponieważ była o projektancie mody z lat trzydziestych. Choć książka okazała się nieco mroczna, bardzo mi się podobała. Wszyscy nosili w niej kapelusze. Teraz już nikt ich nie nosi. Tragedia. Marsz nowoczesności.

Czwartek, 4 września, 9. 07

Obudziła mnie cisza. Bardzo destrukcyjna. Nigdy nie myślałam, że zatęsknię za pokrzykującymi i bijącymi się pod oknem pijaczkami. Jak widać, życie jest pełne niespodzianek.

Materac sprawiał wrażenie, jakby był wypełniony piłeczkami do tenisa. Jak dawniej ludzie dawali sobie radę? Inne systemy wartości. Wspólnota, noszenie kapeluszy i dzieci, które same mogły wracać ze szkoły. Nie przywiązywano wagi do doskonałej jakości materacy, ładnej pościeli, wygodnych poduszek.

Wychyliłam się z łóżka, i podniosłam z podłogi egzemplarz „VIP-a” i po raz milionowy wpatrywałam się w Paddy'ego, w jego uśmiech i raketę do tenisa, i zdumiona byłam tym, jak normalnie i zdrowo wyglądał. Kurdemol, gdyby wszyscy ci ludzie znali prawdę...

Snucie wspomnień

Zeszły rok, kwietniowa niedziela, wietrzna i zimna. Byłam na grobie mamy. Przysiadłam z boku i mówiłam do niej, opowiadając, jak mi idzie w pracy, co u taty – takie codzienne sprawy. Zabawne, ale akurat wtedy kiedy jej mówiłam, że nadal nie mam chłopaka, odkąd dałam kopa Malachy'emu za to, że chciał, abym schudła (fotograf, za dużo czasu spędzał w towarzystwie modelek), kiedy dostrzegłam, że kilka rzędów dalej ktoś stoi i mi się przygląda. Mężczyzna. Nie w moim typie. Zbyt stary. Wysoki. Poważny, jednorzędowy płaszcz, mieszanka kaszmiru i wełny (po szybkich oględzinach),

w ręku wielki bukiet żonkili. Ciemne włosy, trochę nastroszone (choć to akurat mogło stanowić skutek uboczny mocno wietrznego dnia).

Od razu poczułam rozdrażnienie. Byłam przecież na cmentarzu. Jeśli nie można rozmawiać ze swoją zmarłą matką tam, no to gdzie w takim razie?

– Mamo – powiedziałam. – Jakiś koleś patrzy, jak z tobą rozmawiam. To niegrzeczne!

Głos w mojej głowie odparł:

– Może on nie patrzy wcale na ciebie. Może wpatruje się w przestrzeń. Nie skreślaj ludzi tak od razu.

Ponownie na niego zerknęłam. Z całą pewnością mi się przyglądał i nagle oczami wyobraźni ujrzałam jego włosy mokre od potu po seksie ze mną.

Świątokradztwo! Na cmentarzu. Ale to pewnie miało nawet sens – seks i śmierć.

– No i? – zapytała mama.

– Eee... w porządku...

W końcu pożegnałam się z mamą i ruszyłam w stronę wyjścia. Po drodze do głównej drogi musiałam minąć Pana w Płaszczu i choć nie należę do ludzi, którzy stawiają się innym, czułam, że powinnam wziąć w obronę zmarłą matkę. Kiedy zbliżyłam się do niego, zatrzymałam się i oświadczyłam:

– Mówiłam do marmurowego nagrobka tylko dlatego, że nie mam wyboru. Wolałabym, żeby nadal żyła.

– Pani matka?

– Tak.

– Ja też.

Nagle nie czułam się już rozdrażniona, lecz smutna. Smutna z powodu nas obojga.

– Nie miałem zamiaru wprawiać pani w zakłopotanie – rzekł.

– Ale zrobił to pan.

Rozsypał na grobie swej matki żonkile i nie wiem czemu, ale wzruszyło mnie to. Mężczyźni jego pokroju mogli (sądząc po jakości jego płaszcza) kupić wielki egzotyczny bukiet, orchidee i lilie i tym podobne, a nie skromne żonkile.

– Uważam, że to... dobrze... że potrafi pani tak swobodnie rozmawiać... – Zawahał się, po czym ponownie na mnie spojrzął swymi niebieskimi oczami. – Zazdroszczę pani.

11. 08

Otworzyłam drzwi i odetchnęłam głęboko świeżym, wiejskim powietrzem. Pachniało krowim łajnem. Na sąsiedniej łące cztery czerwono-białe krowy machały leniwie ogonami. Winowajczyni.

Obeszłam dom i po drugiej stronie moim oczom ukazał się dziki Atlantyk. Fale i coś białego, i błyski słońca. Zapach ozonu i soli, i tego wszystkiego. Popatrzyłam na przyrodę i piękno, i w ogóle, i pomyślałam, że tęsknię za sklepami.

Niedobrze. Przyjazd tutaj to błąd. Nie miałam do kogo ust otworzyć, nie miałam telewizora. Zbyt dużo wolnego czasu na rozmyślanie o Paddym.

Powinnam była dać dyla do ekscytującego, pełnego życia miejsca, jak na przykład Nowy Jork, gdzie miałabym wiele rozrywek. Ale hotele w Nowym Jorku są drogie. Chata wuja Toma jest za darmo.

Wysłałam esemesa do Bridie:

Samotnie mi tu. Chyba wroce do domu.

Odpowiedź:

1 dzień zawsze najtrudn. Dasz rade!

11. 40

Przez cały ranek obdzwaniałam klientki, wyjaśniając „wypadnięcie z obiegu” na parę tygodni. Zostawiałam je w dobrych rękach Nkechi. Niektórym to pasowało. Ale innym nie. Bały się Nkechi. Sarah Jane Hutchinson kategorycznie odmawiała jakichkolwiek z nią kontaktów.

Poszłam do miasta. Mogłam jechać, ale to tylko pięciominutowy spacer. Wstyd wsiadać do samochodu. Przypomniało mi się, co psychiatra mówił po śmierci mamy. Najlepszy sposób na trzymanie depresji na dystans to wyjście z domu na krótki spacer. Kiedy się o tym dłużej pomyśli, wydaje się to śmieszne. Ponieważ kiedy ma się depresję, to ostatnim, czego się pragnie, jest wyjście z domu na krótki spacer. Tabletki są znacznie lepsze.

11. 42

Dziwna sprawa. Ciężkim krokiem szłam do miasta w swoich kaloszach i zbliżałam się do sąsiedniego domu, kiedy w niewielkim oknie z boku domu, wysoko pod samym dachem, dostrzegłam coś iskrzącego i błyszczącego.

Zatrzymałam się. Odwróciłam głowę. Okno wychodziło prawie prosto na morze, co znaczyło, że przechodnie raczej nie byli w stanie przez nie zajrzeć. (Ciężko mi to opisać. Nie jestem w czymś takim dobra.) Znalazłam się po prostu w dogodnym punkcie na zakręcie drogi i dopisało mi szczęście.

I wtedy zobaczyłam kobietę w sukni ślubnej, obracającą się raz za razem! Gładka, połyskująca biała satyna, obcisły gorset, szeroka spódnica, ale nie śmieszna beza, lecz rozszerzona litera A, jeśli umiecie to sobie wyobrazić. Jak odwrócony rożek. Byłam niemal pewna, że to Vera Wang. Frapujący widok. Pomimo tragicznych okoliczności nie byłam w stanie nie cieszyć się jej pięknem i oczywistym szczęściem.

Białe rękawiczki do łokci. Wyszukany naszyjnik ze strasu – możliwe, że Swarovski, ale nie miałam pewności z tej odległości. Olśniewające ciemne włosy, gęste, długie i gładkie, wirujące podczas obrotów, a na czubku głowy śliczna mała tiara.

Podeszła do okna, wypowiadając coś bezgłośnie – pewnie ćwiczyła słowa przysięgi – a potem uczyniła to, co robią ludzie na filmach, kiedy nagle uświadamiają sobie, że stoją na krokodylu. Zamarła, opuszczała spojrzenie bardzo, bardzo powoooooli, aż zrównało się one ze mną. Zmusiła się, by spojrzeć na mnie, stojącą na drodze i wpatrującą się w nią niczym petent. Mimo że nadal znajdowała się zbyt daleko, bym mogła stwierdzić, czy naszyjnik jest od Swarovskiego, nie mogłam nie zauważyć na jej twarzy szoku, a nawet przerażenia. Cofnęła się gwałtownie. Dlaczego? Co to za wielka tajemnica?

Nie ruszyłam się z miejsca na wypadek, gdyby miała się jeszcze pojawić, ale jakiś rolnik przytelepał się traktorem wypluwającym z siebie śmierdzący czarny dym i zawołał:

– Z drogi, paniusiu!

I próbował mnie przejechać.

11. 49

Kafejka internetowa

Mam BlackBerry, tak właściwie to nie musiałam tu przychodzić, ale szczerze mówiąc, chciało mi się z kimś pogadać.

W środku na taborecie siedziała dziewczyna z elegancko skrzyżowanymi nogami. Paliła papierosa. Bardzo krótkie ciemne włosy, jak Jean Seberg w *Do utraty tchu*. Niewielu osobom pasuje takie surowe cięcie. Piękne brwi.

Ciemnoczerwona szminka. Matowa. Interesujący wybór w tych czasach zdominowanych przez błyszczki.

– Eee... witam – rzekłam.

– Witam.

Francuski akcent. Ewentualnie cockneyowski.

Ubrania proste, lecz piękne. Czarny golf, czarno-biała spódnica, niemal bombka, ale umarszczona z umiarem. Szeroki pasek podkreślający talię. Czarne balerinki. Z prostotą, lecz szykownie. Francuzki mają do tego po prostu dryg. Tak jak Irlandczycy do opowiadania kawałów i zielonych piegów zamiast opalenizny.

– Mogę skorzystać z Internetu?

– Oczywiście – odparła.

– Jesteś stąd? – zapytałam. (Wiedziałam, że nie. Pretekst do rozmowy.)

– *Non. Ile France.*

Teraz już rozumiem, dlaczego wczoraj dziewczyna w sklepie z filmami była taka bezpośrednia. Jediną rozrywkę stanowi tutaj wściubianie nosa w życie innych ludzi.

– Kocham Francję! – odparłam. – To znaczy *j'aime* Francję!

Miałam nadzieję, że będziemy sobie mogły porozmawiać o paryskich butikach. Ale ona nie pochodziła z Paryża, ale z miejscowości zwanej Beaune. Nigdy o niej nie słyszałam, ale ona sprawiała wrażenie dumnej. Tacy są właśnie Francuzi. Są dumni z bycia Francuzami, palą gauloisy i świetnie im wychodzi strajkowanie. Czasami oddaje się temu cały kraj.

Przedstawiłam się. Miałam nadzieję, że nie wyszłam na desperatkę.

– *Bonjour, Lola. Je m'appelle Cecile.*

– Dlaczego tu mieszkasz, Cecile? – zapytałam. Powód? Mężczyzna.

- Jestem szaleńczo zakochana – odparła. – Jest surferem.
- Jak ma na imię?
- Zoran.
- Irlandczyk?
- Nie sędzę.
- Nie, Serb. Teraz tu mieszka.

Tylko jeden interesujący e-mail. Od Nkechi. Nakłoniła kobietę, która importuje do Irlandii Roberto Cavallego, by sprzedawała „nam” na wyłączność. Dobra wiadomość. Właściwie to świetna. Wszystkie Irlandki mające chrapkę na Cavallego będą musiały wynajmować do stylizacji mnie – czy też „nas”, jak to złowieszczo ujęła Nkechi. Kurdemol. Nie ma mnie dopiero jeden dzień, a ona już przejmuje kontrolę.

12. 16

Dąb

Ten sam barman co wczoraj. Śliwkowe Oczy. Zapytałam go:

- Jaka jest zupa dnia?
- Grzybowa.
- Okej. I kawę.
- Latte? Cappuccino? Espresso?
- Eee... latte.
- Z mlekiem sojowym? Odtłuszczonym?
- Eee... odtłuszczonym.

Nie spodziewałam się tutaj tak dużego wyboru.

- Skąd jesteś? – To ja zapytałam.

Kurdemol! Zrobiła się ze mnie irytująca osoba, która wszczyna rozmowy z każdym, kogo spotyka, a taka przecież nie jestem. W Dublinie mam zasadę,

by rozmawiać z tak niewielką liczbą osób, jak się da. Zwłaszcza podczas robienia zakupów. Zwróciliście ostatnio uwagę na to, jak sprzedawczyniom każe się wygłaszać niezobowiązujące uwagi podczas pakowania? Mówią: „Wspaniały kolor!” albo „Piękny, prawda?”.

Zawsze mam ochotę powiedzieć: „Właściwie to nie, bardzo nie podoba mi się ten kolor. To jeden z moich najmniej ulubionych”.

No bo przecież nie kupiłabym go, gdyby mi się nie podobał! Ale one jedynie wykonują swoją pracę. Nie ich wina.

– Z Egiptu – odparł Śliwkowe Oczy.

Z Egiptu! Towarzystwo międzynarodowe! Jak obsada *Zagubionych* tutaj, w Knockavoy!

– Znalazłeś się daleko od domu! – Ależ ze mnie idiotka. Zabrzmiało to jak kwestia wilka z *Czerwonego Kapturka*. No więc dodaję: – Na pewno tęsknisz za ładną pogodą. – Idiotka do kwadratu. Założę się, że wszyscy mu to mówią.

– Tak – odpowiada. – Tak właśnie wszyscy mówią. Ale życie to nie tylko pogoda.

– A co na przykład? – Nagle mnie zaciekawił. Zaśmiał się.

– Na przykład trzy posiłki dziennie. Brak prześladowań politycznych. Szansa na utrzymanie rodziny.

– No tak – mówię. – Łapię, o co ci biega.

Czuję się trochę lepiej. Nawiązałam więź z innym człowiekiem.

Przyjemna chwila przerwana przez faceta na końcu baru – rozwalonego na stole i zaniedbanego – wołającego: „Osama! Dość tych pogaduszek! Gdzie moje piwo?”.

– Naprawdę masz na imię Osama? – zapytałam, myśląc: „Kurdemol! To nawet gorsze niż Śliwkowe Oczy. Nic dziwnego, że cierpiał z powodu prześladowań politycznych!”.

– Nie. Ibrahim. Osama to przezwisko od tutejszych ludzi.

Późne popołudnie

Wróciłam do domu bulwarem. Minęłam śmieszny stary dom. Domy po obu stronach zostały zmodernizowane – plastikowe okna, świeża farba – ale ten był wysmagany wiatrem i jakiś taki pochylony. Z drzwi łuszczyła się wyblakła niebieska farba. Przypomniało mi się, jak miałam zrobiony peeling chemiczny. Na parapecie ukwiały, kamyki, piasek, brzegówki. Żadnych zasłon, mogłam więc zajrzeć do środka. Z sufitu zwisały sieci rybackie, rozgwiazdy, muszle, kawałki wyrzuconego na brzeg drewna, które wyglądały jak rzeźby. Dom nazywał się „Rafa”.

Magiczne miejsce. Miałam ochotę wejść do środka. »

18. 03

Zadzwoniła mi komórka. Rozpoznałam numer: Grace Gildee, charyzmatyczna dziennikarka. Nachodziła mnie! Wrzuciłam telefon do torebki, jakby parzył. Odejdź, odejdź, odejdź! Dziesięć sekund później podwójny sygnał nagranej wiadomości. Odejdź, odejdź, odejdź!

Skasowałam wiadomość bez odsłuchania. Bałam się. To oczywiste, że nie można się zmusić do mówienia, jeśli się tego nie chce. Niemniej jednak bałam się. Grace Gildee była bezczelna, przekonująca, zdeterminowana. A także – być może – miła.

20. 08

Sklep spożywczo/gazetowo/filmowy

W sklepie ponownie Brandon i Kelly. Pod wpływem sugestii Brandona wzięłam *Ojca chrzestnego*. Kelly próbowała namówić mnie na *Starsky'ego i Hutch*. Powiedziała:

– Tych dwóch byczków odciągnie twoje myśli od tego twojego faceta, który żeni się z inną. A więc powiedział ci to prosto w twarz?

Wprost się paliła, by się tego dowiedzieć, a ja wprost się paliłam, by o tym opowiedzieć. Gdy tylko wypowiedziałam słowa „Paddy de Courcy”, wykrzyknęła:

– Znam to nazwisko! Polityk, zgadza się? Widziałam go! W „VIP-ie”! Dawaj go tu! – Pokazała Brandonowi stojak z gazetami. – Idź i przynieś!

Zdjęcia dosłownie pożerała. Komentowała je. Stwierdziła, że Paddy wygląda „spoko” „jak na starszego gościa”, i że Alicia to „kaszalot”. Brandon rzekł, że Alicia to „wączacz”. Nie znałam tego słowa. Dowiedziałam się, że znaczy to samo, co kaszalot. Należy ubogacać słownictwo. Na obojgu zrobił wrażenie fakt, że mój były chłopak jest w magazynie o gwiazdach, nawet jeśli to tylko irlandzki magazyn.

– Jest coś o nim w „Heat”? – zapytała Kelly. – Albo w „Grazii”?

–Nie.

– Nie szkodzi. I nic nie wiedziałaś o tej drugiej lasce? Nic a nic?

Pokręciłam głową.

– Ja bym go zabiła. Zabiłabym go gołymi rękami.

–Wystarczyłoby, żebyś na nim usiadła – wtrącił Brandon z nieoczekiwanym jadem w głosie. – Niewielu ludzi przeżyłoby przygniecenie twoim tyłkiem.

– A ty? Wystarczyłoby, żebyś komuś chuchnął! – zripostowała entuzjastycznie.

Już mi się nie wydaje, aby Brandon i Kelly byli parą. Już prędzej rodzeństwem.

– A teraz ty przyjechałaś do domu Toma Twoomeya, by leczyć złamane serce.

– Dość często widzimy coś takiego – rzekł Brandon. – To znaczy kobiety. Przyjeżdżające tutaj. Ze złamanym sercem. Nie wiem czemu. Może myślą, że fale je naprawią. Dwadzieścia razy dziennie chodzą na plażę. Często zapuszczają się aż na wydmy. Nie wiedzą, że to teren klubu golfowego. Nagle znajdują się przy jedenastym dołku, piłki śmigają im nad głową. Odwożone są meleksem. Zwykle bardzo zdenerwowane.

– Bardzo – potwierdziła Kelly.

Nagle oboje wybuchnęli głośnym śmiechem.

– Przepraszam – wykrztusił Brandon, trzęsąc się ze śmiechu. – Ale... Ale...

– ... im wszystkim się wydaje, że są takie smętne i zadumane – wtrąciła Kelly z twarzą wykrzywioną śmiechem. – Że obcują z naturą... a potem... a potem... piłka golfowa prawie urywa im głowę...

– Ja nie mam w planach spacerów po plaży ani po żadnych wydmach – oświadczyłam zimno.

To nieładnie śmiać się ze zrozpaczonych kobiet. Od razu przestali się śmiać. Odkaszlnęli. Kelly powiedziała:

– Mogłabyś zacząć malować. Wyrzucić z siebie cały ten ból.

– Poważnie?

– Och, tak, często tak bywa. Malarstwo. – Albo poezja – wtrącił się Brandon.

– Albo garncarstwo.

" – Ale głównie malarstwo. Spójrzmy prawdzie w oczy, to lepsze niż obcięcie swojemu facetowi fiutka nożem do chleba. – Brandon posłał Kelly znaczące spojrzenie.

– Co takiego? – Odwróciła się do niego i wrzasnęła: – To był WYPADEK! – A potem rzekła do mnie: – Mamy kredki i zeszyty, ale jeśli potrzebujesz porządnych farb i tym podobnych, to mają je w sklepie w Ennistymon.

(Ennistymon to najbliższe porządne miasteczko.) Nie mam w planach zabierania się za malowanie.

Ani za poezję.

Ani garncarstwo.

Jest już wystarczająco źle.

23. 59

Ojciec chrzestny to świetny film. Naszpikowany zemstą. I nawet mi się podobał Al Pacino. Dobry objaw. Przez cały wieczór tylko trzy razy zadzwoniłam do Paddy'ego. Inaczej trzykrotnie. Podoba mi się to słowo. Znalazłam je w książce Margery Allingham.

0. 37

„Ległam do łóżka”, jak mówią u Margery Allingham. Dziwne określenie. Ale jeśli się nad tym zastanowić, to często tak bywa. Na przykład: „Nawet o tym nie myśl!”. Dziwne powiedzenie, chyba że mówi się o wyjeździe do Afganistanu albo udaniu się do Topshop w sobotnie popołudnie dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem.

2. 01

Nagle się obudziłam. Przerazona. Ogarnięta pragnieniem wskoczenia do samochodu i pojechania prosto do Dublina, by znaleźć Paddy'ego i błagać go,

by był ze mną. Zaczęłam się pakować. Mocno waliło mi serce. W ustach sucho. Dosłownie koszmar. Żenił się z inną kobietą? Ale to niemożliwe!

Powinnam wziąć prysznic? Nie. Powinnam się ubrać? Nie. Nie, tak. A jeślibym go rzeczywiście znalazła? Nie mogłam przecież wyglądać w piżamie jak uciekiniarka z domu dla obłąkanych. W co powinnam się ubrać? Nie mogłam się zdecydować. Miałam otępiałą głowę od tabletki nasennej, ale myśli gnały zbyt szybko. Tak szybko, że nie byłam w stanie złapać żadnej z nich.

Zniosłam na dół pierwszą torbę. Muszę iść do łazienki po swoje rzeczy. Nie. Zostaw je. Kogo to obchodzi? To tylko rzeczy. Otworzyłam drzwi wejściowe, chłodne nocne powietrze, wrzuciłam torbę do bagażnika, cofnęłam się do domu po drugą torbę.

Ale kiedy ciągnęłam ją za sobą po schodach, bicie serca zdążyło mi się już uspokoić. Myśli bardziej poukładane. Dostrzegłam własne szaleństwo. Nie miało sensu gnanie do Dublina. Nie spotkałby się ze mną. Taki miał wcześniej plan i wątpliwe, by teraz zmienił zdanie.

Usiadłam na schodkach przed drzwiami w piżamie i wpatrywałam się w ciemność. W ogóle nie widziałam otaczających mnie pól.

Snucie wspomnień

To zabawne, że kiedy na cmentarzu poznałam Paddy'ego de Courcy, nie przyszło mi do głowy, że się w nim zakocham. Nie był w moim typie. Poprzedni chłopak, fotograf Malachy, był zupełnie inny. Niewysoki, zadbany czaruś z błyskiem w oku. Kochał kobiety, a kobiety odwzajemniały mu się tym samym. Urokiem osobistym nakłaniał modelki pokroju Zary Kaletsky do tego, by robiły przed nim szalone pozy. (Prawdę mówiąc, to tak właśnie poznałam

Malachy'ego. Byłam stylistką Zary, dopóki tak nagle nie wyjechała z Irlandii. Ona nas spiknęła.)

Malachy nie był zbyt owłosiony. Ale kiedy tamtego dnia na cmentarzu smagał mnie lodowaty wiatr, popatrzyłam tylko na płaszcz Paddy'ego de Courcy i już wiedziałam, że ma owłosioną klatę. Wyłapywałam informacje podprogowe. Ciemny, gęsty zarost. Na grzbietach dłoni ciemne włoski. (Nie chodzi o włochate łapska King Konga – nic z tych rzeczy.) Gładki, pozbawiony włosków tors po prostu by nie pasował.

– Często tu pani przychodzi? – zapytał.

– Czy często tu przychodzę? – Przyglądałam się marmurowym płytom śmierci, rozciągającym się we wszystkich kierunkach. Wychodzi na to, że wszędzie można poznać faceta. – Mniej więcej raz w miesiącu.

– To dość niekonwencjonalne... – odparł. – Cmentarz i w ogóle... Mam wrócić tu za miesiąc z nadzieją wpadnięcie na panią, czy może miałyby pani ochotę teraz pójść ze mną na gorącą czekoladę?

Sprytnie. Gorąca czekolada to jedyne, na co bym się zgodziła. Bezpieczne. Byłoby zupełnie inaczej, gdyby mnie zaprosił na jakiegoś drinka. Albo herbatę. Drink – lubieżny napaleniak. Herbata – cymbał nadmiernie przywiązany do matki.

Poszliśmy do pubu po drugiej stronie ulicy (Herb Grabarza), gdzie piliśmy gorącą czekoladę, jedliśmy ptasie mleczko i wspominaliśmy nasze zmarłe matki.

Powiedział:

– Za każdym razem, kiedy przytrafia mi się coś dobrego, pragnę jej o tym powiedzieć, a za każdym razem, kiedy przytrafia mi się coś złego, potrzebuję jej pomocy.

Doskonale wiedziałam, co czuje. Oboje mieliśmy piętnaście lat, kiedy zmarły nasze mamy. Fajnie było – właściwie to okazało się to wielką ulgą – poznać kogoś, kto stracił mamę, gdy był dokładnie w tym samym wieku co ja. Otwarcie ze sobą rozmawialiśmy, porównywaliśmy uczucia, ciągnęło mnie do niego, ale nie podobał mi się. Prawdę powiedziawszy, czułam się tak, jakbym niemal mu wyświadczala przysługę tym, że spędzam z nim czas, by mógł porozmawiać o swojej matce.

– Pewnie to w złym guście, mając na uwadze fakt, gdzie się poznaliśmy, ale czy mógłbym ponownie się z tobą spotkać? – zapytał. – Obiecuję, że następnym razem nie będę mówił o mojej matce.

Skuliłam się na kanapie. Zaatakowała mnie wizja, w której on pochyła się nade mną nagi, owłosiony, ze sztywnym penisem w dłoni. Mój żołądek fiknął nieprzyjemnego koziołka. Podniecenie? Raczej nie. Może mdłości. Nie był w moim typie. Uważałam, że wygląda staro, poza tym (płytkie, płytkie! Owszem, wiem) nie podobały mi się jego ubrania. Zbyt sztywny, zbyt bezpieczny. Ale czemu by nie spróbować?

Na starym bilecie do kina zapisałam mu mój numer.

Przyjrzał mu się.

– *Mission Impossible*? Dobry?

– Nie widziałeś tego?

– Nie mam czasu na chodzenie do kina.

– Czemu?

– Jestem politykiem. Wiceprzewodniczącym Nowej Irlandii. To praca na cały etat.

Uznałam, że lepiej, jeśli zapytam go o nazwisko – tak właśnie należy robić, kiedy ktoś ci mówi, że jest pisarzem lub aktorem lub – tak – politykiem. Prawie tak, jakby się przymawiał, żebyś go o to zapytał.

– Paddy de Courcy.

Kiwnęłam głową i coś mruknęłam, by ukryć fakt, że nigdy o nim nie słyszałam.

Obserwował mnie, gdy śmignęłam obok niego w moim czerwonym mini, w jego oczach podziw. Zerknęłam na niego w tylnym lusterku. Nawet z tej odległości widziałam błękit jego oczu. Kolorowe soczewki kontaktowe? Nie. Kolorowe soczewki kontaktowe sprawiają, że spojrzenie wydaje się dziwnie martwe. Ci, co je noszą, wyglądają jak kosmici. Czasami klientki ubzdurają sobie, by je założyć na jakieś wielkie wyjście. („Mam ochotę być dzisiaj zielonooką kusicielką”.) Zawsze je od tego odwodzę. To takie tandetne. Takie... w stylu Mariah Carey.

Nie sprawdziłam go sobie w Google. To pokazuje, jak mało nim byłam zainteresowana.

Następnego dnia wczesnym rankiem zadzwoniła moja komórka. Nie rozpoznałam numeru, ale odebrałam, ponieważ mogła to być nowa klientka. Jakaś kobieta powiedziała:

– Dzwonię z kancelarii Paddy'ego de Courcy. Pan de Courcy chciałby się dowiedzieć, czy jest pani wolna dziś wieczorem. Podjedzie po panią o siódmej. Czy mogłabym prosić o pani adres?

Najpierw mnie zamurowało. Po chwili zaśmiałam się.

–Nie.

– Co nie?

– Nie podam adresu.

Za kogo on się uważa? Tym razem to ją zamurowało.

– To przecież Paddy de Courcy!

– Jeśli pan de Courcy chce poczynić ze mną ustalenia, to pan de Courcy może podnieść słuchawkę i zadzwonić do mnie osobiście.

– ... Tak... ale, pani Daly, pan de Courcy to bardzo zajęty człowiek...

Rozumiem bycie zajęтым. Większość moich klientek to osoby bardzo zajęte i zazwyczaj to asystentki klientek, a nie one same, do mnie dzwonią, by się umówić na spotkanie. Ale to była praca. To natomiast nie była praca.

– Muszę kończyć – rzekłam. – Dziękuję. Miło się z panią rozmawiało. Do widzenia.

(Uprzejmość nic nie kosztuje. Poza tym może się tak zdarzyć, że w przyszłości będzie potrzebować porad stylistki.)

Nie czułam nawet oburzenia. Po prostu dotarło do mnie, że miałam rację, myśląc, iż nie jest on w moim typie. Może tak właśnie żyją teraz niektórzy ludzie, każąc swym asystentkom umawiać ich na romantyczne spotkania. Być może w pewnych kręgach uznaje się to za naturalne.

Nie spodziewałam się, by oddzwonił i tak naprawdę miałam to gdzieś. Kiedy teraz myślę o podejmowanym przez siebie ryzyku, robi mi się na przemian zimno i gorąco. Mogłam to przecież niefrasobliwie odrzucić. Mogło się skończyć, nim w ogóle zdążyło się zacząć. Następnie dociera do mnie, że i tak się skończyło, i może byłoby lepiej, gdybym oszczędziła sobie bólu. Ale nie potrafiłam sobie wyobrazić tego, by nie było go w moim życiu. To było największe przeżycie. Najważniejszy mężczyzna. Najpiękniejszy, najseksowniejszy.

W każdym razie kilka minut później rzeczywiście zadzwonił. Śmiał się. Przeprosił za to, że jest aroganckim dupkiem.

– Wy, politycy, zupełnie straciliście kontakt z rzeczywistością – rzekłam.
(Żartobliwy ton. Przekomarzanie się.)

– Nieprawda.

– Czyżby? No to powiedz mi, ile kosztuje litr mleka? (Kiedyś przypadkiem oglądałam program, w którym zawstydzono ministra czegoś tam, bo tego nie wiedział. Prawdę mówiąc, to trochę mi było go szkoda. Sama nie byłam pewna ceny. Ale potrafiłam powiedzieć, co do euro, cenę całej kolekcji Chloe. W hurcie, z bonifikatą i detaliczną. Każdy z nas ma jakiś talent.)

Paddy de Courcy odparł:

– Nie wiem. Nie piję mleka.

– A dlaczego? Zbyt zajęty?

Roześmiał się. Przekomarzanie się dobrze nam szło.

– Nie polewasz mlekiem musli? – zapytałam.

– Nie jem musli.

– A co jesz na śniadanie?

Chwila milczenia. A potem spytał:

– Chciałabyś się przekonać?

Tandetne. Przypomniało mi się jego bujne owłosienie. Nie miałam już ochoty przekomarzać się.

– Przepraszam – rzekł. Dodał pokorniejszym tonem: – Jesteś wolna dziś wieczorem?

– Nie. – (Byłam, no ale naprawdę...)

– A jutro... nie, nie mogę jutro. Ani w środę. Chwileczkę – powiedział, po czym zawołał do kogoś: – Stephanie, możesz mnie wymiksować z tego czwartkowego spotkania z Brazylijczykami? – A potem zapytał mnie: – Czwartek?

– Sprawdzę w terminarzu. – Sprawdziłam, po czym odparłam: – Tak, czwartkowy wieczór może być.

– W takim razie czwartek. Przyjadę po ciebie. Siódma?

O co mu chodziło z tą siódmą? Dlaczego tak wcześnie?

– Zarezerwuję kilka stolików na kolację i ty wybierzesz.

Żachnęłam się na takie dyktowanie warunków, ale potem... nie wiem... jakoś przestałam.

– Jedna sprawa – rzekłam. – Jesteś żonaty?

– Czemu pytasz? Składasz mi propozycję?

I znowu tandeta.

– Tak czy nie? Żonaty czy nie?

– Nie.

– Dobrze.

– Naprawdę się nie mogę doczekać naszego spotkania – rzekł.

– ... Tak, ja też.

Ale wcale nie byłam tego taka pewna. A kiedy znalazłam się na tylnym siedzeniu jego samochodu, a on był Panem Dorosłym w tym swoim garniturze i z aktówką, pomyślałam: „O nie, koszmarne pomyłka”. Żołądek znowu zaczął mi fikać koziółki, znowu zaczęło mi być niedobrze. No i oczywiście w sklepie wszystko się jeszcze pogorszyło. Ale potem... rozbieranie się dla niego... wszystko się zmieniło. Zaczął mi się naprawdę podobać. Nigdy nie spojrzałam wstecz.

Piątek, 5 września, 12. 19

Obudziłam się. Wróciłam do łóżka około szóstej, kiedy słońce już wschodziło.

Nie czułam już oszalałej desperacji, by spotkać się z Paddym. Czułam po prostu, że nic nie jestem warta. Nie byłam dla niego wystarczająco dobra. Niewystarczająco dobra dla nikogo.

13.53

Przeszłam się do miasta. W powietrzu unosiła się wodna mgiełka, która jest bezlitosna dla włosów.

Kiedy doszłam do tego szczególnego miejsca na zakręcie, zatrzymałam się i popatrzyłam w okno sąsiada, mając nadzieję ujrzeć kobietę w sukni ślubnej. Byłam zaintrygowana. Właściwie to zżerała mnie ciekawość. Ale nie było po niej śladu.

14. 01

Dąb

Zupa dnia: grzybowa. Zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle serwują tu jakąś inną. Sernik dnia: truskawkowy. Te same przemyślenia.

15. 05

Kafejka internetowa

Pomyślałam, że odwiedzę kilka przyjemnych stron. Net-a-porter. LaRedoute. Możliwe, że dzięki oglądaniu ładnych rzeczy wróci mi radość życia. Ale kafejka zamknięta! Na kartce krzywymi literami było napisane: „Wyszłam na lunch”. Zirykowałam się. Ci Francuzi i ich przerwy na lunch! Ruszyłam gniewnie w stronę domu. Postanowiłam wrócić bulwarem, by znowu sobie popatrzeć na magiczny domek, i kogo ujrzały moje oczy przed magicznym domkiem? Cecile! Zwisła głową w dół z poręczy od strony morza, chichocząc z trzema surferami w strojach piankowych.

Z powodu grawitacji spódnice miała w okolicach ramion. Widać było majtki. Ładne. Bawełniane. Białe z czerwonymi makami i czerwoną lamówką.

Fajnie, że jest tak pozbawiona zahamowań. Właściwie to nie... to nieszczególnie fajna sprawa. Krępował mnie jej ekshibicjonizm. Nie jesteśmy teraz na Côte d'Azur.

Stojący w półkolu surferzy. Ogólne wrażenie: mokry piasek, duże, bose męskie stopy, potargane włosy, deski surfingowe, rozpięte kombinezony, gładkie nagie torsy, oczy błyszczące od słonej wody, cienkie łańcuszki wokół opalonych szyi, małe złote kółka w męskich brwiach. Nie umiałam ich od siebie odróżnić, tych młodych smakowitych chłopaków.

– Cecile? – zapytałam.

–*Oui?*

– Masz przerwę na lunch?

–*Oui.*

– Kiedy się skończy?

Nawet zwisając głową w dół, udało jej się wzruszyć ramionami w typowo francuski sposób.

– Nie umiem powiedzieć. – Zachichotała, posyłając jednemu z surferów kokietujące spojrzenie.

Drzwi do magicznego domku lekko uchylone. Widać było gołe, wyblakłe deski podłogowe, staromodne poręcze, białą łuszczącą się farbę, schody wiodące do magicznej sypialni.

Cecile uda się do magicznego domku, by uprawiać seks z jednym z surferów. Poczulałam ukłucie. Zazdrość. Osamotnienie. Z powodu tego, co straciłam i tego, czego nigdy nie miałam. Chciałabym być młoda. Chciałabym być piękna. Chciałabym być Francuzką.

19.57

Postanowiłam iść do innego baru niż Dąb. Nie miałam ochoty na kolejną miskę zupy grzybowej. Nie chciałam się także zbyt mocno uzależnić od Dębu. Mógł się przecież spalić albo coś w tym rodzaju i co by się wtedy stało ze mną? Wystarczy spojrzeć, jak się to wszystko dla mnie skończyło, kiedy po raz ostatni byłam od kogoś uzależniona (Paddy).

Wsadziłam głowę do baru golfowego, który nazywał się Pierwszy Dołek. Nie mogłam się przemóc, by wejść. Pełno w nim było facetów (plus jedna czy dwie kobiety, które powinny mieć więcej rozumu), obrzucających się wytwornymi obelgami z powodu tego, jak grali. (Wiecie, jacy są faceci. Jedyny dla nich sposób tworzenia więzi to bycie paskudnym.) Hałaśliwi. Rozkrzyczani. Jak politycy w parlamencie. I takie fatalne ubrania! Żółte swetry. Getry. Daszki! Mówię wam. Nawet nieprzydatne, nie w Irlandii, za mało słońca. To... to... rozmyślny brak gustu.

Zajrzałam do Butterfly's. Bardzo mały lokal. Wielkości pokoju. Kamienna podłoga, drewniany bar, przy nim trzy wysokie stołki. Na zawieszanej wysoko półce mały telewizor. Za barem uśmiechnięta starsza pani tryskająca entuzjazmem. (Określenie Margery Allingham.) Poza nią nikogo. Chciałam się wycofać, mówiąc: „Przepraszam, szukam drogerii! Pomyliłam się!”. Ale byłam zbyt dobrze wychowana. Zrobiłam rozbieg niczym tyczkarz, by zająć miejsce na wysokim stołku. (Nie znoszę ich, są takie niewygodne. Po pierwsze, za wysokie, nie ma się czego trzymać, nie ma się o co oprzeć, nie ma gdzie oprzeć stóp. Można powiedzieć, że wisi się w powietrzu. Bary śniadaniowe, tam też są! Dlaczego miałabym dobrowolnie zaczynać dzień od chwiania się na wysokim stołku, skoro można siedzieć na normalnym krześle? I dlaczego właśnie podczas śniadania?)

Butterly's to najdziwniej wyglądający bar, w jakim zdarzyło mi się być, oferujący zadziwiającą kolekcję drinków – wszystkie to słodkie, lepkie likiery. Poza tym rozmaite rzeczy na sprzedaż, a mianowicie: puszki z grochem łuskany, zapalki, słodki sos w proszku. Jak podczas zabawy w sklep, kiedy jest się dzieckiem. (Niemniej jednak warto wiedzieć. Któregoś wieczoru mogę popijać sobie czerwone wino i nagle ogarnie mnie nieodparta ochota na słodki sos, ochota, którą po prostu trzeba zaspokoić.) (Sarkastyczna uwaga.)

Starsza pani to pani Butterly we własnej osobie. Przyjemnie być w lokalu prowadzonym przez właściciela. Bardzo gadatliwa. Powiedziała, że bar to jej salon i otwiera go wtedy, kiedy ma ochotę na towarzystwo, a zamyka, gdy nie ma.

Nie miałam wielkiej nadziei, ale spytałam:

– Ma tu pani jedzenie?

Pokazała na dziwną kolekcję za barem.

– Chodziło mi o... coś... co mogłabym teraz zjeść.

Strasznie się bałam, że zaproponuje mi odgrzanie puszki z grochem łuskany. Wystarczyło, że spojrzałam na groch łuskany, a miałam ochotę się powiesić.

– Mogę ci zrobić kanapkę. Zobaczą, co jest w lodówce.

Zniknęła w drugim pomieszczeniu, zakładam, że to kuchnia. Wróciła z plastrem szynki konserwowej pomiędzy dwiema kromkami gumowatego pszennego chleba. W taki dziwny, staromodny sposób było to całkiem smaczne. Kiedy zjadłam, zaparzyła nam obu po herbacie i wyciągnęła paczkę okrągłych herbatników.

Chciałam kupić kieliszek czerwonego wina, ale odparła:

– Nie prowadzę wina. A może Tia Maria? A może to, co tam stoi? Cointreau?

Najbardziej zbliżony do normalnego drinka był Southern Comfort. Nie było lodu, więc dolałam najbardziej wygazowanego sprite'a, jakiego zdarzyło mi się pić. Z dwulitrowej butli, która stała na półce od, och, jakichś sześćdziesięciu lat. Nie ostał się w niej ani jeden mały bąbelek.

Nakłoniłam panią Butterly, by wypić drinka razem ze mną.

Zrewidowałam początkową opinię. Pani Butterly otoczyła mnie pajęczyną uroku. Podobało mi się to. Podobało mi się wszystko. Najlepszą częścią baru był jaskrawozielony plakat z napisem: „Zakaz wieczorów kawalerskich!”.

Wieczór kawalerski by się tu nie zmieścił! Musiano by im odmawiać na raty. Musieliby wysłać dwu- albo trzyosobową delegację, by otrzymać odpowiedź odmowną, a potem wpuścić następną transzę po to samo.

Kiedy wychodziłam, pani Butterly nie zgodziła się przyjąć zapłaty za jedzenie.

– To tylko kilka ciastek, na miłość boską.

– Ale, pani Butterly, kanapka...

– To tylko dwa kawałki chleba, na miłość boską.

Pełna życzliwości.

Ale nie da się tak prowadzić interesów.

21. 59

Wypożyczalnia filmów

Chciałam zapytać Kelly o ten nóż do chleba, ale w sklepie dużo ludzi. Weekendowi turyści z koszykami wypełnionymi mrożonymi pizzami i sześciopakami piwa. Miałam im za złe, że tu są, jakbym tu mieszkała.

Brandon zalatany, ale polecił mi *Chłopców z ferajny*.

0.57

Podobali mi się *Chłopcy z ferajny*, nie powiem, że nie. Nie chcę grymasić. Dużo przemocy, ale brak zemsty samej w sobie.

1.01

Olśnienie. Już wiem, dlaczego tak dobrze mi było u pani Butterly. To ten wygazowany sprite. Wygazowany sprite to napój zdrowotny. Mama mi go dawała, kiedy byłam chora. Podgrzewała go, aby pozbyć się wszystkich bąbelków, tak by nie podrażniały mi chorego gardła. Wygazowany sprite sprawia, że czuję się kochana. Jako że nikt mi nie chce tego zapewnić, sama się tym zajmę.

Sobota, 6 września, 8.01

Obudziło mnie trzaśnięcie drzwi w domu sąsiada. Wskoczyłam z łóżka i pobiegłam do drugiego pokoju, by wyrzeć przez okno od frontu, mając nadzieję zobaczyć dziewczynę od ślubnej sukni, ubraną po cywilnemu. To był jednak jej chłopak, pewnie narzeczony. Zlustrowałam go spojrzeniem. Ciekawiło mnie, jaki typ faceta upolował tę piękność w sukni Very Wang. Na pierwszy rzut oka nieszczególnie zadbany. Przed ślubem będzie mu potrzebna wizyta u fryzjera. Ciuchy miłośnika zabaw na świeżym powietrzu: džinsy i wielki, gruby granatowy polar, nadający się na biegun północny. Miał jednak ciekawe buty: adidasy w ciemnoszarym kolorze – w kręgach modowych ciemnoszary to „czarny dla lubiących ryzyko”. Wsiadł do samochodu – nie miałam pewności, co to za marka – trzasnął drzwiami i odjechał. Wróciłam do łóżka.

13. 10

W miasteczku sporo ludzi. Jednodniowi wycieczkowicze. Błękitne niebo, słoneczko, gorąco, bardzo ładna pogoda, jak na wrzesień, jeśli nie liczyć tego wszechobecnego, niszczącego każdą fryzurę wiatru.

Moją uwagę zwróciła kobieta na plaży, spacerująca w pojedynkę. Widziałam ją już wcześniej i po prostu wiedziałam, że to jedna z tych zrozpaczonych malarek, garncarek czy poetek. Nawet ze sporej odległości widać było, że jej twarz jest nieruchoma, tak jak u ludzi zrozpaczonych. Jak to jest, że bycie porzuconym przez ukochaną osobę sprawia, iż mięśnie twarzy zamierają? Wydziela się wtedy jakiś specjalny enzym? (Potencjalne odkrycie naukowe. Ci co mają depresję, nie uśmiechają się, prawda? Wszyscy kładą to na karb tego, że nie mają oni powodu, by się uśmiechać. Ale być może jest to wynikiem działania specjalnego enzymu, co oznacza, że nie są w stanie się uśmiechać. Za takiego rodzaju odkrycia otrzymuje się nagrody.)

20. 10

Wypożyczalnia filmów

Brandon polecił mi *Kill Bill* vol. 1. Wspaniale. Zemsta – dziesięć na dziesięć.

Niedziela, 7 września

Śliwkowe Oczy to muzułmanin! Nie wiem, czemu taka tym jestem zaskoczona. Pochodzi z Egiptu, który ma przecież sporą populację muzułmańską. Pewnie nie przyszło mi do głowy, by pobożny muzułmanin pracował w pubie. Jaskini alkoholu.

Coś tam powiedział o modleniu się w stronę Mekki, a ja zapytałam:

– Jesteś muzułmaninem?

A on odparł:

– Tak.

To nic takiego, ale nagle czuję skrępowanie, zamawiając u niego kieliszek wina. Czuję, że myśli: „Parszywa dziwka. Niewierna dziwka”.

Wstyd mi także z powodu moich ukochanych pasemek molichino. Nie tylko mam niczym nie zakryte włosy, ale tymi ślicznymi pasemkami zwracam na nie uwagę. Jest bardzo przyjacielski – wydaje się być naprawdę uroczym facetem – ale boję się, że udaje, i że głowę ma pełną paskudnych myśli na mój temat. Może nawet mruczy je pod nosem. Na przykład tak...

– Cześć, Ibrahim.

– Ach, witaj, Lola. *Parszywa niewierna dziwko*. Jak się masz?

– Dobrze. A ty?

– Wspaniale. *Zważywszy na to, że ja pójdę do raju, natomiast dla ciebie nie ma nadziei*. Co mogę ci podać?

– Poproszę kieliszek merlota. (Szeroki uśmiech.)

– Kieliszek merlota, Lola. *Brudna dziwko z Zachodu. Będziesz się smażyć w piekle, ty pijąca alkohol, jedząca wieprzowinę i niezastłaniająca włosów niewierna*. Już podaję!

Jestem rasistką? Czy też tylko mówię to, co wszyscy myślą? Tak jak kiedyś wszyscy sądzili, że każdy Irlandczyk to terrorysta IRA. „Witaj, tak, Paddy, wejdź, usiądź, napij się herbaty. Powiedz mi, dobry byłeś w szkole z chemii?”

Nie chcę być rasistką. Ale to niezaprzeczalne starcie systemów wartości. Lubię merlota. Muzułmanie są przeciwni merlotowi. Ja nie odmówiłabym komuś posady dlatego, że nie lubi merlota. Nie odmówiłabym komuś

obywatelstwa. Ale chcę cieszyć się tym merlotem. Nie chcę się bać, że będę się smażyć w piekle, jeśli wypiję kieliszek do lunchu.

Lepiej przyznać się do tego, że krępuje mnie obecność Ibrahima? Czy po prostu udawać, że wszystko w porządku, że między mną a nim nie ma żadnych różnic zdań? W jaki sposób najlepiej radzić sobie w społeczeństwie wielokulturowym? Wielki tyłek Nkechi, Armagedon Ibrahima. Cóż za wzniosłe zmartwienia. Kurdemol, nie wiem. To całe cholerstwo mnie wyczerpuje.

14. 38

Cecile od teraz prowadzi nie tylko kafejkę internetową, ale także butik! Po oficjalnym zakończeniu sezonu właściciel butiku (który jest także właścicielem kafejki internetowej, która nie chcę grymasić, ale tak naprawdę w ogóle nie jest kafejką, jako że nie można w niej kupić niczego do jedzenia czy picia) wyjechał na miesiąc do Puerto Banus, a Cecile będzie sama dowodzić jednym i drugim. Albo nie dowodzić. Chciałam posurfować po necie, ale na drzwiach kafejki wisiała kartka z napisem: „W Monique's”. A na drzwiach Monique's kartka z napisem „Na lunchu”.

Mając na uwadze dwie posady Cecile i jej przerwy na lunch w stylu europejskim to cud, jeśli komuś w Knockavoy w ogóle uda się wysłać jakiś e-mail.

Snucie wspomnień

Przypomniała mi się moja pierwsza randka z Paddym. Podjechał po mnie samochodem prowadzonym przez Hiszpana Johna. Paddy siedział z tyłu i miał na sobie garnitur. Na kolanach otwartą aktówkę.

– Na co masz ochotę? – zapytał. – Jesteś głodna?

– Nie bardzo. Jest trochę wcześniej. (Była dopiero siódma. Wyjątkowo wcześniej jak na randkę.)

– Okej – rzekł. – Jedźmy na zakupy.

– Jakie?

– Ubrania.

– Dla mnie czy dla ciebie?

Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie próbuje załatwić sobie tanio moich usług stylistki. Właściwie to za darmo.

– Dla ciebie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Zabawny rodzaj randki. Zazwyczaj nie mogę namówić faceta, by wybrał się ze mną na zakupy. Miałam także dziwne podejrzenie, że to nie będą normalne zakupy.

Następnie Hiszpan John otworzył drzwi, Paddy położył rękę na moich plecach, popychając w kierunku schodów. Dyskretne drzwi z ciemnego szkła, miękka wykładzina, przyjazny kobiecy głos, który nas powitał i zachęcił do rozejrzenia się. Sądziłam, że znam każdy sklep w Dublinie. Myliłam się. Podświetlone ciemne, błyszczące przedmioty. Lepiej się przyjrzałam. Wibrator. Czarna satynowa przepaska na oczy. Narzędzie do dawania klapsów. Małe onyksowe przedmioty, najpierw myślałam, że to kajdanki, potem zrozumiałam, że to klamerki na sutki.

Figi, staniki, pasy do pończoch, satyna, jedwab, koronka, skóra, spandeks, czerwone, czarne, różowe, białe, niebieskie, cieliste, we wzorki...

Staralam się zachowywać jak kobieta światowa – miałam już okazję być w tego typu przybytku; no i przecież zorganizowałam dwa wieczory panieńskie, co prawda nie w miejscu na takim wysokim poziomie – ale

musiałam przyznać, że czuję się raczej skrępowana. Zaniepokojona. Bardzo. Raczej nie tego oczekuje się od pierwszej randki.

Skierowałam się ku bieliźnie. Spodziewałam się doznać lekkiego elektrycznego wstrząsu ze strony tandetnych, syntetycznych materiałów, ale bielizna okazała się być dobrej jakości. Prawdziwy jedwab, satyna, koronka. Właściwie to było tam parę ślicznych „sztuk”, jak to nazywamy w świecie mody (kiedy teraz to mówię, ton mego głosu jest beztroski, ale uwierzcie mi, wtedy nie czułam się beztrosko, o nie). Ciemnoniebieski komplet haftowany w motyle, z ponaszywanymi piórami i dżetami. Jedwabne morwowo–czarne majteczki w kropki ze wstążeczkami po bokach. Skromny różowy komplet z różowymi różami – nie haftowanymi, ale prawdziwymi małymi różami – na miseczkach stanika i w kroku. Paskudnie by to wyglądało pod ciuchami. Nierówno.

Zaskoczył mnie widok ładnych, zwykłych czarnych majtek. Zupełnie nijakich. Wtedy uświadomiłam sobie, że są bez kroku i odskoczyłam od nich, jakby parzyły. Tak samo z nisko wyciętą bardotką. Miseczki wydawały się bardzo nisko wycięte, tak nisko, że ledwie by zakrywały sutki! Wtedy zrozumiałam – kurdemol! – że właśnie o to chodzi.

Obok mnie rozległ się głos Paddy'ego:

– Miałabyś ochotę coś przymierzyć?

Zamarłam. Ścisnęło mnie w żołądku. On był zboczony. Zboczony dziwak. Traktujący mnie jak obiekt seksualny. Co ja tu robiłam?

Ale czego się mogłam spodziewać, podrywając faceta na cmentarzu? Raczej nie tego, że zabierze mnie na pizzę i film z Benem Stillerem.

– Lola, wszystko w porządku? Czy to jest dla ciebie w porządku? – Przeszył mnie spojrzeniem niebieskich oczu. Wyraz twarzy życzliwy, cóż, tak jakby. Także coś na kształt wyzwania.

Wytrzymałam jego spojrzenie. Pomyślałam, że jest to chwila, w której podejmuję decyzję, czy mu zaufam czy też wyjdę stąd. Balansowałam na linie. Zerknęłam na drzwi. Mogłam po prostu wyjść. Nic się nie stało. Już nigdy się z nim nie spotkam. No bo sex shop! Na pierwszej randce! Byłam przerażona...

... ale i trochę podekscytowana. Jeśli wyjdę teraz, to co stracę... ?

Spojrzałam w te jego niebieskie oczy, możliwe, że nawet lekko beczelnie uniosłam brodę i powiedziałam:

–W porządku...

Podeszła do nas sprzedawczyni. Taka trochę mamusiowata. Zerknęła na moją klatkę piersiową. –75B?

– ... Tak...

– Co się pani podoba?

– To – odparłam, pokazując na ładny, najbardziej skromny komplet, jaki tu widziałam. (Jasnoniebieski, mocno wycięty, solidnie wyglądający krok.)

– I może to – zasugerował Paddy, wskazując coś bardziej frywolnego.

– Może nie – powiedziałam.

– Jasne, czemu by nie przymierzyć? – rzekła mamusiowata sprzedawczyni, niosąc naręcze bielizny do przymierzalni.

Wielka przymierzalnia. Prawie tak duża jak moja sypialnia. Różowe oświetlenie, obite brokatem krzesło, tapeta w stylu chińskim z kwiatami wiśni – a w ścianie krata, jak w konfesjonale... Po co tam ona była?

– Chciałaby pani, aby pani przyjaciel zaczekał w poczekalni? – zapytała mamusiowata kobieta.

– Po... czekalni... ?

– Tak, tam.

Pokazała na mniejsze pomieszczenie sąsiadujące z przymierzalnią, z krzesłem i kratą w ścianie. Taką samą jak w przymierzalni.

– Gdzie może panią obserwować – dodała sprzedawczyni.

Kurdemol! Gdzie Paddy de Courcy może sobie siedzieć i obserwować, jak przymierzam bieliznę. Gdzie może patrzeć, jak się rozbieram i widzieć mnie naga, jak w jakimś tandetnym peep-show! Przerazona. Zastygłe niezdecydowanie zdawało się trwać całe lata, po czym pękłam. Jeśli się powiedziało

A, należy powiedzieć i B.

Powody:

1) Byłam wydepilowana. Jedyne włosy na ciele poniżej pasa to mały kwadracik na kości łonowej, przypominający wąsik Adolfa Hitlera.

2) Różowe oświetlenie korzystne.

3) Nie chciałam wyjść na osobę pruderyjną.

4) Byłam niewątpliwie podekscytowana. Rozdarta, ale podekscytowana.

Kiedy się rozbierałam, stałam blisko ściany, tak że nie było mnie widać przez kratę. Nie byłam pewna, co robić. Czułam się zbyt skrępowana, by tańczyć, no i nie leciała żadna muzyka. Zastanawiałam się, czy nie chodzić tam i z powrotem, ale powstrzymał mnie strach, że będę wyglądać jak zwierzę w zoo, może lew. Jeszcze bym zaczęła potrząsać głową i ryczeć.

Kiedy jednak założyłam białe puchate klapki na wysokim obcasie i bardzo twarzowe czarne jedwabne figi i stanik, poczułam się jak zupełnie inna osoba. Udawałam, że Paddy de Courcy nie siedzi w sąsiednim pomieszczeniu, obserwując mnie przez otwór w ścianie. Udawałam, że jestem sama. (Ale

gdybym rzeczywiście była sama, nie pochylałabym się i nie wykonywała shimmy, by umieścić piersi w staniku. Nigdy bym nie oblizywała palca, a potem pocierała nim o sutki, by sterczały jak zatyczki na rękawkach do pływania, a potem nie podziwiałabym się w lustrze. Gdybym normalnie przymierzała majtki, nie zawracałabym sobie głowy gładzeniem dłonią kości łonowej, sprawdzając, czy materiał dobrze leży.)

Niespiesznie przebrałam się w następny komplet, rozpinając stanik i powoli zdejmując go, przesuwając ramiączka wzdłuż ramion, jakbym donikąd się nie spieszyła. Następne w kolejce były stanik i majtki w stylu lat pięćdziesiątych, ze sztywnej różowej satyny. Stanik mocno podnosił piersi – kiedy się nachyliłam, widać było sutki. Majtki ciągnęły się od talii aż do początków ud i miało się w nich figurę w kształcie klepsydry. Dzięki różowej poświacie od materiału uda wyglądały kremowo i gładko. Usiadłam na brokatowym krześle. Podobał mi się dotyk szorstkiego materiału na nagiej skórze. Powoli założyłam jedwabne pończochy i przytwierdziłam je do gumowego pasa.

Bardziej świadoma jego obecności za kratą i tego, że mi się przygląda.

Seksowna. Och, taka seksowna.

Co jakiś czas mamusiowata sprzedawczyni wsuwała głowę, pokazując wieszaki.

– Mam tu śliczny gorset bez kroku. Byłby świetny do wysokich kozaczków.

Albo:

– Chciałaby pani przymierzyć ten gumowy obcisły kombinezon? Czerwony mam w pani rozmiarze. Byłby świetny do wysokich kozaczków.

Chciałam, żeby zniknęła. Rozpraszała mnie. Bardzo podniecona. Ale podniecona samą sobą? Szalona?

Przymierzyłam prześliczny mały staniczek wykonany z zachodzących na siebie warstw cieniutkiego materiału, niczym płatki kwiatu. Rozpięłam mały perłowy guziczek na miseczce i odsuwałam płatek po płatku. Nie wiedziałam, kiedy dotrę do ostatniej warstwy. Była to niespodzianka zarówno dla mnie, jak i dla niego. Kiedy wyłonił się sutek, powiedziałam:

– Ooch!

I popatrzyłam prosto na niego. Zobaczyłam błysk w jego oczach i wtedy to poczułam. Ogarnęło mnie nieznośnie pożądanie i zakończyło wszystko w nagły sposób. Ubrałam się.

Trzęsły mi się ręce i zastanawiałam się, jak szybko będę mogła uprawiać z nim seks.

Kiedy szybkim krokiem wyszłam z przymierzalni, Paddy zapytał:

– Co ci się podoba?

Pokręciłam głową. Ceny nie na moją kieszeń.

– Pozwól mi się tym zająć.

– Nie! – Poczułam się jak utrzymanka, kochanka, prostytutka, wszystko w jednym.

– Nalegam – rzekł.

– Nalegasz?

– Proszę. Pozwól mi zapłacić. To ja będę czerpać korzyści.

– Zbyt wiele rzeczy bierzesz za pewnik!

Zawstydził się. Gorąco przeprosił. Brzmiało to szczerze. Ponownie zaproponował kupno bielizny.

– Dla ciebie – powiedział. – Nie dla mnie. Co powiesz na to?

Nadal czułam skrępowanie. Źle się czułam. Nie podobało mi się to. Ale w dziwny, poplątany sposób także podobało. Więc mu pozwoliłam.

Później (tak się akurat złożyło, że w łóżku) rzekłam do niego:

- Sporo ryzykowałeś. A co, jeśli byś mnie obraził?
- Wtedy nie okazałabyś się dziewczyną, za jaką cię uznałem.
- To znaczy jaką?
- Nieprzyzwoitą.

Nie miałam pewności, czy nią byłam, zawsze podejrzewałam, że jestem trochę pruderyjna, ale miło z jego strony, że tak powiedział.

Poniedziałek, 8 września

Szczęśliwy traf! Czysty zbieg okoliczności! O **7. 25** wieczorem zajrzałam do pani Butterly, by napić się trochę leczniczego, wygazowanego sprite'a, a ona zapytała:

– Nie będziesz mieć nic przeciwko, jeśli włączę telewizor? I włączyła *Coronation Street*! Mój ulubiony serial! Kiedy o **8. 00** skończył się, przełączyła na *EastEnders* – mój drugi ulubiony! A potem o **8. 30** na *Holby City*. Serial szpitalny. Widziałam go po raz pierwszy, ale na pewno mi się spodoba.

Istna serialowa orgia, której towarzyszył Southern Comfort i wygazowany sprite. Świetnie się bawiłam. Można by pomyśleć, że od miesiący nie oglądałam telewizji!

Pani Butterly powiedziała, że zapalała do mnie sympatią i obdarzyła mnie zaproszeniem otwartym na seriale co wieczór. Potem poprosiła, bym wyszła, gdyż chciała już pójść do łóżka.

– Coś jeszcze mogę ci podać, Lola, zanim zamknę? Pełna życzliwości odparłam:

- Pewnie, poproszę paczkę tego słodkiego sosu.

21. 03

Trochę bez celu pochodziłam razem z moim sosem po mieście, po czym przysiadłam na murku z widokiem na morze. Byłam w Knockavoy już prawie tydzień i jeszcze nie postawiłam nogi na plaży. Byłam z tego dumna. Zachowałam poczucie własnej wartości.

Obok mnie przeszedł mężczyzna z psem i rzekł:

– Dobry wieczór. To jest dopiero zachód słońca, prawda?

– Dobry wieczór, rzeczywiście – odparłam.

Wcześniej nie zwróciłam na to uwagi, ale teraz, kiedy się przyjrzałam, słońce znowu wyglądało jak wielka, musująca tabletką z witaminą B. Niebo całe pomarańczowe. Wspomagające system odpornościowy.

Kurdemol! Właśnie zauważyłam. W moją stronę zmierzała ta kobieta, którą widywałam, jak sama spacerowała po plaży. Ziemista cera, zapadnięte oczy, na wychudzonym ciele dres. Sądząc po kondycji jej włosów przebywała w Knockavoy już jakiś czas.

Instynkt kazał uciekać. Ale była już zbyt blisko. Nasze spojrzenia skrzyżowały się. Dalej szła w moją stronę. Urządzenie samonaprowadzające.

Zatrzymała się i próbowała wciągnąć mnie w rozmowę na temat zachodu słońca.

– Pięknie, no nie?

– Tak...

Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Nie przepadam za tego typu rozmowami – zachody słońca, przyroda itd. Gdyby to o białym kombinezonie Stelli ze mną teraz rozmawiała...

Westchnęła ciężko.

– Słońce i tak zachodzi co wieczór. I tak każdego ranka wschodzi. Trudno w to uwierzyć, prawda?

– ... Tak... Muszę lecieć.

Podejrzewałam, że Kelly i Brandon opowiedzieli jej moją historię i teraz badała, czy nadaję się na członka Klubu Zranionych Kobiet. Nie miałam ochoty się zapisywać. Jeśli chcą malować, pisać wiersze i lepić garnki, to bardzo dobrze. Ale ja się na to nie piszę.

Choć już nigdy nikogo nie pokocham, nie chcę się stać zgorzkniała. Ani twórcza.

Środek nocy

Obudziło mnie... coś. Co to było? Dostrzegłam za oknem czerwoną poświatę. Wschód słońca? Instyktownie wiedziałam, że za wcześnie na niego. Przez chwilę zastanawiałam się, czy słońce nie postanowiło przeskoczyć z powrotem nad horyzontem i bisować, skoro tylu ludziom tak bardzo się podobał jego pierwszy zachód.

Wyjrzałam przez okno. Za domem sąsiada widać było półkole czerwieni. Płomienie. Pożar!

Powinnam była zadzwonić po straż, ale zamiast tego postanowiłam przeprowadzić dochodzenie. Cóż za wścibskość. Dowód na to, że niebezpiecznie jest żyć bez rozrywki, jaką daje telewizor. W Dublinie nigdy bym niczego nie „dochodziła”.

Kalosze, wielki moherowy sweter na piżamę. Latarka. I dalej w chłodną noc.

Przeszłam przez dziurę w drucianym ogrodzeniu i popędziłam przez pole. Księżyc odbijał się od morza, oświetlając okolicę. W nocy trawa ładnie pachniała. Krowy w łózkach.

To nie był pożar niekontrolowany. Po prostu duże ognisko. Ale pozostawione bez nadzoru. Dziwne. Podeszłam bliżej. I nagle szok. Tam się paliły ubrania! Czarny tiul, niebieska tafta, wszystko się topiło. O zgrozo! Biała satyna! Suknia ślubna! Tylko nie suknia ślubna! Próbowałam wyciągnąć ją z płomieni, ale w moją stronę poszły iskry, no i zbyt było gorąco tak blisko ognia.

Byłam zrozpaczona. Boli mnie, gdy widzę, jak ktoś znęca się nad ubraniami. (Tak! Boli mnie także, gdy widzę, jak ktoś się znęca nad dziećmi i zwierzętami! Oczywiście! Nie jestem totalnie płytką ofiarą mody. BARDZO przejmuję się dziećmi i zwierzętami, tak bardzo, że muszę zmieniać kanał, kiedy pojawiają się smutne reklamy.)

Przyszło mi coś do głowy. Jeśli jakiś szaleniec wbija nóż w piękny obraz, wszyscy są oburzeni. Do telewizji zaprasza się ekspertów, by o tym mówili. Ale jeśli zniszczona zostaje przepiękna suknia – która jest także dziełem sztuki – nikt nie idzie do telewizji, by protestować. To dyskryminacja. Dzieje się tak dlatego, że przepiękna suknia to zmartwienie dziewczyn, podczas gdy obrazy to poważna, męska sprawa, nawet jeśli namalowały je kobiety.

Odgłos zbliżających się kroków. Przestraszyłam się. Kto to idzie? Z półmroku stopniowo wyłaniała się jakaś sylwetka. To ten zaniedbany narzeczony z naręczem ubrań. Czy jego oczy błyszczały dlatego, że oświetlały je płomienie, czy też – o zgrozo – płakał?

Postanowiłam dać mu znać, że tu jestem. Chrząknęłam i rzekłam:

– Witam.

– Jezu Chryste! – Prawie upuścił to, co miał w rękach. – Skąd się tu u diabła wzięłaś?

– Przepraszam – odparłam. – Ale zobaczyłam ogień. Bałam się, że to pożar.

Wpatrywał się we mnie. Raczej złowrogo. Na jego twarzy malowało się pytanie: Jeśli człowiekowi nie wolno spalić góry pięknych ubrań w środku nocy, to kiedy może to zrobić?

– Mieszkam tymczasowo w domu Toma Twoomeya. Jestem Lola Daly.
Nieprzyjazna cisza.

– Rossa Considine. Nie chciałem nikogo przestraszyć. Powinienem był cię uprzedzić, ale zrobiłem to pod wpływem impulsu...

Pokrętne przeprosiny.

– Co się dzieje? – zapytałam. – Tu była kobieta... w sukni ślub...

– Już jej nie ma – przerwał mi.

– A... wróci? (Głupie pytanie, raczej nie na miejscu, kiedy właśnie pali się jej suknia ślubna.)

Pokręcił głową.

– Nie. Nie wróci.

Niezręczne milczenie. Potrząsnął lekko trzymanymi w objęciach ubraniami. Widać było, że aż go korci, by wrzucić je do ognia.

– Cóż, w takim razie wracam do łóżka.

– Okej. Dobranoc.

Wróciłam polem do domu. Innych ludzi też dotykają tragedie. Biedny człowiek.

Nic by go jednak nie kosztowało, gdyby był uprzejmy.

Wtorek, 9 września, 8. 00

Obudziło mnie trzaśnięcie drzwi wejściowych (nie moich). Wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam do pokoju z oknami od frontu. Wyrzałam przez nie. Oto

Pan Podpalacz w swoich ciemnoszarych adidasach, udający się do pracy. Żadnych śladów po oparzeniach ani czarnych plam na twarzy, które by wskazywały na to, że zaledwie kilka godzin temu wywołał pożar.

Nadal nie potrafiłam rozpoznać marki jego samochodu.

18. 47

Kelly i Brandon SA parą! A gotowa byłam przysiąc, że się nie znoszą! Zebrałam się na odwagę i zapytałam, co się wydarzyło z tym nożem do chleba.

Kelly wyjaśniła, że uprawiali seks, a potem się pokłócili. Brandon leżał na sofie z postkoitalnym fiutkiem na wierzchu.

– Czyjej sofie? – zapytałam rzeczowo.

– Moich rodziców – odparła Kelly.

– A oni gdzie byli?

– Na fotelach obok sofy, oglądali teleturniej.

– Poważnie?

– Nabrałam cię! No coś ty! Spali u siebie na górze, a gdzież by indziej? Przecież nie robilibyśmy tego, gdyby byli w tym samym pokoju, co my. Gdyby nas przyłapano, mój tata ZABIŁBY Brandona. W każdym razie było tak, że dla żartu przyniosłam z kuchni nóż do chleba, by udawać, że mam zamiar odciąć Brandonowi fiutka.

Normalna sprawa.

– Ale wchodząc do salonu potknęłam się i przez przypadek lekko, ale to lekko drasnęłam mu fiutka. Leciutko. On dosłownie wpadł w szal. Powiedział, że się wykrwawi na śmierć, dostanie gangreny i straci fiutka, chciał dzwonić po karetkę. Nie mogłam się przestać śmiać. Nakleiłam mu plaster z Barbie. Boże, to było komiczne.

– Też mi się tak wydaje, jak patrzę na to wstecz – zaśmiał się Brandon.

Szczenięca miłość. Zazdroszczę im ich nieskomplikowanego szczęścia.

Środa, 10 września. 13. 28

Dąb

– Cześć, Ibrahim.

– Witaj, Lola. – *Parszywa niewierna dziwko.*

Nie mogę się powstrzymać! Prawda jest taka, że Śliwkowe Oczy jest taki miły. Przystojny, sympatyczny mężczyzna. Uprzejmy, pogodny, rozmowny, ale nie arogancki. Jednak na pewno nie pochwała mojego zachowania. Uosabiam sobą wiele rzeczy, których muzułmanie nie lubią. Jestem kobietą niezależną (powiedzmy). Odsłaniam twarz, włosy, a czasami i nogi. Piję alkohol. I lubię chipsy o smaku wędzonego boczku. Dezaprobata to wręcz jego obowiązek.

20. 15

Trzy kobiety weszły do pani Butterly, kiedy my oglądałyśmy *EastEnders*.

Pani B powiedziała od razu:

– Zamknięte.

– ... Ale...

– Tak, zamknięte. Do widzenia.

– ... Och, no cóż, okej...

– Po co mieć własny pub, jeśli raz na jakiś czas nie można pokazać, kto tu rządzi?

21. 08

Zachód słońca. Szłam do domu po serialowej orgii u pani Butterly. Samochód Podpalacza stał zaparkowany przed jego domem. Podeszłam do niego po cichu, żeby się lepiej przyjrzeć. Nazwa nic mi nie powiedziała. Prius.

Ach tak! Samochód ekologiczny. Jeździ na prąd. Jakiż to wartościowy człowiek.

Czwartek, 11 września, 13. 01

Kafejka internetowa

Ktoś już w niej był i rozmawiał z Cecile. Mężczyzna. Mimowolnie zatrzymałam się w drzwiach. Przystojny – długie, splecione od słonej wody jasne włosy, ciemna opalenizna, wyjątkowe usta Stevena Tylera (z lat młodości) i Micka Jaggera (także z lat młodości).

Siedział rozparty na dwóch krzesłach. Zrelaksowany. Tego typu mężczyzna, na którego widok inni stają jak wryci. Jak bóg.

Czułam lekkie skrepowanie, jakbym w czymś im przeszkodziła.

– Cześć, Cecile, co słyhać?

– *Bien*, Lola. Ciągnę diabła za ogon. – Cokolwiek to znaczyło. – Lola, to mój przyjaciel, Jake.

Popatrzył na mnie swymi błyszczącymi oczami – a ja się zarumieniłam! Było to dla mnie po prostu zbyt wiele. Taki seksowny, niemal jak jakieś dzikie stworzenie. Jakby go wychowały przystojne wilki..

Kiwnął głową i rzekł:

– Lola.

– Jake – odparłam.

Mam pytanie. Kiedy ludzie nadają swoim małym synkom imiona takie, jak Jake, skąd oni wiedzą, że ci chłopcy wyrosną na takich seksownych facetów? Geny czy wychowanie? Czy jeśli ktoś otrzymuje przeciętne imię, takie jak Brian czy Nigel, to czy wyrośnie na przeciętniaka? A jeśli otrzymają seksowne imiona, takie jak Lance czy – jak w tym przypadku – Jake, to czy

czują, że ich obowiązkiem jest spełnienie pokładanych w ich imieniu oczekiwań?

Mruknął niskim, głębokim głosem:

– No to ja się zbieram, Cecile. – Następnie ponownie kiwnął głową pod moim adresem. – Miło cię było poznać, Lola.

– ... Ciebie też... Jake.

I zarumieniłam się po raz drugi! Krew ledwie zdążyła odpłynąć mi z twarzy po pierwszym razie, a tu już musiała wrócić.

Po jego wyjściu pozwoliłam, by upłynęło kilka minut. Nie chciałam się wydać zbyt napalona.

– No więc, ach... Cecile, to był twój chłopak? Ten, w którym jesteś szaleńczo zakochana?

– Jake? Nie! Moja mała turkawka to Zoran. Jake to kolega Zorana.

– Skąd jest Jake? Też z Serbii?

– Jake? Nie, z Cork.

– To znaczy, jest Irlandczykiem?

– Równie irlandzki jak guinness. A to ci nowina.

Piątek, 12 września, 13. 45

W Dębie nowa zupa dnia! Wielowarzywna. Dużo grudek, więc nie mogłam jej strawić. Niemniej jednak zawsze to jakaś nowość.

16. 33

Grace Gildee znowu dzwoniła! Sądziłam, że przestała się mną interesować. Oczywiście nie odebrałam, ale zebrałam się na odwagę i odsłuchałam jej wiadomość.

– Witaj, Lola, to znowu ja, Grace Gildee. Tak się zastanawiałam, czy podjęłaś już decyzję odnośnie do tego wywiadu. Możesz mi zaufać, znam Paddy'ego od dawna. – Śmieje się. – Wiem, w czym leży sedno sprawy!

Skoro tak, to może przeprowadzić wywiad sama ze sobą!

18. 04

Wpadłam w emocjonalny dołek. Dlaczego nie byłam wystarczająco dobra dla Paddy'ego? Dlatego, że nie wykazywałam wystarczającego zainteresowania jego pracą?

Przychodził do mnie i rzucał się na sofę, w kiepskim humorze, i narzekał na któregoś tam ministra, że zrobił coś, czego nie powinien. Pieklił się i pieklił, a w końcu mówił:

– Nie masz o tym pojęcia, prawda?

–Nie.

Sądziłam, że to właśnie mu się we mnie podoba! Sądziłam, że jestem dla niego odskocznią od tego wszystkiego.

A poza tym co on wiedział na temat sukni od Rolanda Moureta?

Jednak z perspektywy czasu to było oczywiste, że powinnam była masować mu skronie i spiskować razem z nim, by obalić ministra zdrowia czy też podstępem nakłonić premiera do znalezienia się w kompromitującej sytuacji ze stadem kóz.

To zabawne, że przez całe życie najbardziej bałam się tego, że zostanę porzucona, i że tak właśnie ciągle się dzieje. Kiedy byłam mała, mówiłam do mamy i taty: „Czy możemy umrzeć wszyscy w tym samym czasie?”. Mama mi to obiecała. Ale kłamała. Poszła i umarła, kiedy miałam piętnaście lat. No ale szczerze mówiąc, nic nie mogła na to poradzić. Jakiś tydzień przed śmiercią wyrzuciła z siebie: „Serce mi się kraje, że muszę cię zostawić, Lola. To

okropne, że nie będzie mnie, kiedy dorośniesz. To okropne, że nie będę mogła cię pilnować i nie będę wiedzieć, co się z tobą dzieje".

Wtedy dotarło do mnie, że ona może odejść. Nikt mi tego wcześniej nie powiedział.

19. 12

Szukając pocieszenia, zadzwoniłam do taty.

– Nadal rozpaczasz po tym półgłówku?

– Tak.

– Niech to będzie dla ciebie nauką, Lola. Nigdy nie ufaj politykowi.

– Dzięki, tato. Pa.

Poniedziałek, 15 września, 12. 12;

Kafejka internetowa

– Cześć, Cecile. Co u ciebie?

– *Bien*, Lola. Jak kopnięta świnia.

Ona wciąż powtarza te dziwaczne irlandzkie powiedzonka ze wsi – na przykład „jak ta lala” albo „duśnie, duśnie!”. Nawet ja nie wiem, co to znaczy, a jestem Irlandką!

– Och, Lola, masz wielbiciela.

– Wielbiciela? – Tak.

– Nie! Poważnie?

– Mój przyjaciel Jake. Mówi, że masz fajne włosy. Jake? Bóg Miłości?

Nie! Niemożliwe. Może mieć każdą. Powiedziałam to na głos.

Cecile wzruszyła ramionami.

– Jesteś starsza. On lubi starsze.

– Jak dużo starsze? Ja mam dopiero trzydzieści jeden lat.

– On dwadzieścia pięć. Poza tym spał z każdą inną kobietą w Knockavoy. Ty jesteś „świeża krew”.

Kurdemol! Będziecie chcieli kiedyś coś sprzedać? Nie pozwólcie tego zrobić Cecile.

Przybita zabrałam się za sprawdzanie e-maili. Ale Cecile jeszcze nie skończyła.

– Lola – rzekła. – Co mam mu powiedzieć?

Co masz mu powiedzieć? Wróciliśmy do lat szkolnych? Mojemu koledze podoba się twoja koleżanka? Gniew tak szybko, jak się pojawił, zniknął.

– Nic – odparłam. – Poza tym w środę wracam do Dublina.

20. 16

Dwóch mężczyzn próbowało napić się czegoś u pani Butterly.

– Zamknięte – powiedziała.

– Ale przecież jest otwarte. Bezczelne typki.

– Macie wieczór kawalerski? – zapytała.

–Nie.

– Holendrzy?

–Nie.

– Golfisci?

– ... Eee, tak...

– Nie mogę was obsłużyć. Golfistom wstęp wzbroniony. Miałam już tu kłopoty z takimi jak wy.

– Odmawia pani obsłużenia nas?

–Tak.

– ... ale to...

– Tak zarządziło kierownictwo. Chyba że chcecie coś na wynos? Puskę łuskanego grochu? Pudełko zapalek?

Wtorek, 16 września

Gotowa do powrotu do Dublina. Pobyt tutaj był niczym wakacje – w pierwszy dzień nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Potem uspokoiłam się, potem dobrze mi tu było. Ustaliłam pewną rutynę, wtedy dni zaczęły mijać coraz szybciej, aż koło się zamknęło i znowu nie mogę znaleźć sobie miejsca.

Katusze z powodu Paddy'ego straciły na sile. Nie odczuwałam już ciekawości ani desperacji, by się z nim spotkać ani nawet (rzadko) oburzenia z powodu tego, że tak bezpardonowo się mnie pozbył.

Nie wyleczyłam się, rzecz jasna. W pewien sposób jest jeszcze gorzej. Kiedy cała byłam przepelniona nadzieją i szokiem, i złymi, pełnymi ognia uczuciami, nie widziałam wszystkiego.

Teraz towarzyszy mi nieodparte uczucie, że jestem nic niewarta. Zniknęła cała moja pewność siebie.

Czuję się także strasznie samotna. Paddy był moją wielką miłością i już nigdy nikogo nie poznam. Wiem, że każdy tak mówi, kiedy ma złamane serce, a inni przewracają wtedy oczami na ten pokaz uzalania się nad sobą i mówią: „Nie bądź niemądra!”. Ale on był wyjątkowym człowiekiem. Jedynym w swoim rodzaju. Nigdy wcześniej nie znałam nikogo takiego. I już nigdy nie poznam.

To jest mój bagaż. Akceptuję to. Uratuje mnie moja praca. Mam w planach poświęcić resztę życia pracy misyjnej

– sprawianiu, by kobiety w Irlandii wyglądały oszałamiająco za rozsądną cenę.

Środa, 17 września, 10. 13–11. 53

Pożegnanie

Odwiędziłam wszystkich znajomych w Knockavoy

– Śliwkowe Oczy, panią Butterly, Kelly i Brandona, Cecile.

– Tak, *oui*, do widzenia, opuszczam Knockavoy, wracam do stolicy, cudownie, tak, dziękuję, ty też, gdy będziesz w Dublinie. Nie, nie planuję powrotu.

11. 55

Wjechałam na wzgórze, patrzyłam w lusterku, jak Knockavoy staje się coraz mniejsze, zastanawiając się kiedy – i czy w ogóle – tu wrócę.

18. 30

W domu

Ledwo się dostałam do własnego mieszkania. Pełno w nim walizek, pokrowców na ubrania i ciuchów. Nic z tego nie należało do mnie. Nkechi musiała być bardzo zajęta. Nazbierała mnóstwo rzeczy. Składowała je w moim mieszkaniu.

Zadzwoił telefon. Bridie.

– Ile zajęła ci podróż?

– Trzy godziny dwadzieścia – odparłam. (Tak naprawdę to nie miałam pojęcia.)

– Okeeej – rzekła. – Trzy godziny dwadzieścia? W samym środku wykresu. Średni czas podróży to trzy godziny dwadzieścia siedem.

Usłyszałam klikanie klawiszy, jakby coś pisała.

– Bridie, prowadzisz rejestr?

– Tak. Wykresy. Diagramy kołowe. Arkusze kalkulacyjne. Znalazłam świetny program. Tyle różnych sposobów na prezentowanie różnych rzeczy.

Czwartek, 18 września, 9. 00

Patisserie Martine's

Świeży start. Spotkanie w „biurze” z Nkechi. Nkechi jak zwykle spóźnia się.

9. 14

Nkechi wchodzi jak gdyby nigdy nic, warkoczyki upięte wysoko na głowie. Długa kształtna szyja. Bardzo elegancka. Idzie jak królowa. Leniwie umieszcza swój tyłek na siedzeniu. Pyta:

– Przyjemny wyjazd?

– Tak, tak – odpowiadam pogodnie. Sugerując, że tę wredną (Margery Allingham) sprawę mam już za sobą. Wróciła dawna, kompetentna Lola. – No więc! – mówię, starając się, by zabrzmiało to dynamicznie. Nawet składam razem ręce w geście zapału. – Co się dzieje?

Nkechi odczytuje ze swojego BlackBerry:

– Dziś wieczorem Rosalind Croft. Galowa kolacja w jej domu. W Irlandii ma teraz miejsce konferencja, dług światowy, Afryka... – machnęła ręką –... tego typu sprawy. Mnóstwo sławnych osób. Kofi Annan. Prezydent RPA... – kolejne machnięcie –... tego typu ludzie. Wszyscy główni gracze zaproszeni do Croftów. Ta kobieta zwariowała. Zadzwoiła do mnie w środku nocy, chciała suknię Versace, którą widziała w amerykańskim „Vogue'u”. Cholerna suknia nie do zdobycia, została specjalnie zaprojektowana na wybieg. Kazała mi lecieć do Miami i ją znaleźć. Odwiodłam ją od tego, wybór sukni zawęził się do trzech. Balenciaga, Chanel, Prorsum Burberry. Wszystkie przyleciały z Londynu. Pasujące buty, biżuteria itd., wszystko spakowane w twoim mieszkaniu, gotowe do zabrania.

– Okej.

– Jutro sesja narciarska dla „Woman's World”. Tradycyjne zimowe bzdety. Futrzane kozaczki, nauszniaki, dzianiny. Następnego dnia: przymiarka sukni wieczorowej dla Tess Bickers.

– Kogo?

– Nowa klientka. Korporacyjna żona. Mnóstwo kasy. Chce, by ją zaopatrzyć na sezon przyjęć. Zamówiłam osiemnaście sukni. Myślę, że weźmie większość.

– Byłaś bardzo zajęta, Nkechi. Przejmę pałeczkę, zajmę się dzisiaj panią Croft.

–Ale...

– Ciężko pracowałaś, Nkechi. Zrób sobie wolny wieczór. . Czas przejąć kontrolę. Pokazać jej, kto tu jest szefem.

Nie miała ochoty się poddać. Z Rosalind Croft łączył ją „szczególny związek” od tamtego dnia, kiedy wyratowała ją z opresji apaszką z second handu. Pani Croft dużo może. Wie, co jest hot, a co nie. Warto ją mieć po swojej stronie.

Powtórzyłam:

– Naprawdę, Nkechi, zajmę się tym.

– ... Cóż, no dobrze. Chce, żebyś zjawiła się u niej o szóstej trzydzieści. To znaczy chce, żebym to ja zjawiła się u niej o szóstej trzydzieści, ale skoro nalegasz...

Nkechi epatuje niezadowoleniem. Z reguły nie przepadam za takim zachowaniem, ale jest to konieczne dla utrzymania przewagi.

17. 08

Koniec nieformalnego spotkania z kupcem z Brown Thomas

Lepiej, żebym się pospieszyła. Musiałam zabrać z domu rzeczy pani Croft i dostać się do Killiney na szóstą trzydzieści. Przez cały dzień zostaję w tyle. Nadal funkcjonuję według rytmu Knockavoy.

17. 15

Pędzę South William Street, lawirując między ludźmi. Samochód zaparkowany na drugiego. Blokujący ruch. Wiedziałam jeszcze, zanim się przekonałam, jeśli wiecie, o co mi chodzi. Może podświadomie rozpoznałam samochód, ponieważ zanim się zorientowałam dlaczego, ogarnęły mnie złe, pełne ognia uczucia.

To był Paddy. Pomagający kobiecie – koniowi, a komu by innemu? – wsiąść do samochodu zaparkowanego na drugiego. Pełen troski.

Stałam i się patrzyłam. Bulwersującą sceną. To ja byłam kiedyś kobietą na tylnym siedzeniu jego samochodu. Ale pozbyto się mnie, jak taniej czerwonej sukienki z dziurą po przypaleniu papierosem na sutku.

Żywy dowód mego braku znaczenia.

Wiedziałam, że zaraz zwymiotuję. Błagałam Boga: „Proszę cię jedynie o to, byś mnie uchronił przed zrobieniem tego na ulicy”.

17. 18

Pub Hogan's

Popędziłam w kierunku toalety niczym żeglarz ku suchemu lądowi, a przed oczami fruwały mi czarne plamy. W samą porę. Zwymiotowałam do umywalki. Osunęłam się na kolana. Wyszeptałam „przepraszam” do dwóch zniesmaczonych dziewczyn, które nakładały przed lustrem błyszczki. Kiedy zobaczyły, że nie jestem pijana w sztok, zrobiły się dla mnie miłe. Dały chusteczkę, listek gumy do żucia i powiedziały, że wszyscy faceci to dranie.

Zostały ze mną, gdy czekałam, aż nogi przestaną mi się trząść, a potem zaprowadziły na ulicę i wezwały taksówkę. Życzliwość ze strony nieznajomych. Zanim odjechałam, szepnęłam im, że dzisiaj jest sekretna wyprzedaż w atelier Lainey Keogh.

17. 47

Moje mieszkanie

Wpadłam jak po ogień. Umyłam zęby. W ekspresowym tempie obładowałam się niczym juczny koń i wyszłam chwiejnym krokiem do samochodu.

Kierowca taksówki rzucił okiem na bagaż i zapytał:

– Ulatnia się pani?

– Słucham?

– Żona mnie zostawiła. Pewnego dnia wróciłem do domu i zobaczyłem, że zniknęły wszystkie jej rzeczy. Nie mogę pomagać kobiecie, która w tajemnicy się ulatnia.

– Och, nie, nie, to tylko moja praca. – Po czym dodałam: – Przykro mi z powodu pańskich kłopotów.

18. 05

Straszne korki. Godzina szczytu. Jesteśmy wciśnięci pomiędzy nissana sunny (z przodu), toyotę corollę (z tyłu), oplą corsę (z boku) i skodę skodę (nie sądzę, by mieli różne modele) (przodem do nas, jadącą w przeciwnym kierunku).

18. 13

Od dziesięciu minut stoimy w miejscu. Spóźnię się. Najprawdopodobniej bardzo. Ja się nigdy nie spóźniam.

Zastanawiam się, czy nie opuścić szyby i nie wdać w rozmowę z mężczyzną z opła corysy. Mogłoby to ulżyć na chwilę memu niepokojowi.

Popełniłam błąd i podzieliłam się swoim cierpieniem z taksówkarzem. Gardzi on Paddym. Mówi, że jest on „bezwzględny”. Choć taksówkarz to człowiek rozgoryczony – nigdy nie wybaczył żonie i przysięga, że kobiecie nie można ufać w żadnej kwestii – chyba się z nim zgadzam.

18. 28

Nadal okropny korek. Oficjalnie jestem prawie spóźniona. Powinnam była wyjechać z miasta najpóźniej o piątej trzydzieści. Widok Paddy'ego i konia wytrącił mnie z rytmu. Gdybym nie musiała wpaść do tego pubu, by zwymiotować i odzyskać pewność siebie, wszystko byłoby w porządku. Nie ZNOSZĘ się spóźniać.

18. 35

Oficjalnie jestem spóźniona i daleko mam jeszcze do Killiney.

Z nerwów gryzę rękę.

18. 48

Ślady zębów na ręce.

19. 03

Leci mi krew.

19. 14

Nareszcie! Wjeżdżamy przez elektronicznie otwieraną bramę i jedziemy długim podjazdem oświetlonym płonącymi pochodniami. Drzwi wejściowe otwarte, a w nim rozgorączkowana gosposia.

– Szybko, szybko, pani Croft szaleje!

Gorączkowa praca, przekąski, umundurowany personel, światła odbijające się od kieliszków do szampana.

Wbiegam szybko po schodach, ciągnąc za sobą jedną walizkę, gosposia i jakiś niezidentyfikowany pracownik depczą mi po piętach, tachając resztę rzeczy. Pani Croft w jedwabnym szlafroku, siedzi przed lustrem w garderobie, obraz nędzy i rozpaczy. Fryzjer chodzi tam i z powrotem, stukając lokówką w dłoń. Dostrzega mnie. Wykrzykuje:

– Dzięki niebiosom! Czemu u diabła tak późno? Z trudem łapię powietrze.

– Strasznie przepraszam, pani Croft. Strasznie przepraszam. Okropny korek.

– Gdzie Nkechi?

– Ma wolny wieczór. Jestem zamiast niej.

– Och...

Otworzyłam walizki, odpięłam zamki przy pokrowcach, gdy tymczasem gosposia i niezidentyfikowany mężczyzna zabrali się za wypakowywanie rzeczy i rozwieszanie ich na wieszakach.

– Co to takiego? – Pani Croft wzięła do ręki krótki sweterek z białej angory.

– ... Ja... ach...

– I to? – Czerwony pulower w płatki śniegu.

– I to? – Czapka w paski.

Poczułam konsternację. Płatki śniegu? Wtedy pojawiło się straszliwe olśnienie. Straszliwe, straszliwe, nieznośnie straszliwe. Pot wystąpił mi na czoło i po raz drugi dzisiejszego wieczoru zebrało mi się na wymioty. To się nie mogło dziać naprawdę. To niemożliwe.

Zabrałam ze sobą nie te ubrania, co trzeba.

Dopiero teraz zobaczyłam, że Nkechi wszystko podpisała. Napisane było jak byk: „Sesja narciarska”.

– Gdzie moje suknie? – Pani Croft przekopywała się przez torby, w których znajdowały się pikowane anoraki z futerkiem na kapturach.

– Same kurtki – stwierdził fryzjer.

Pośród pozostałego personelu zapanowało poruszenie. Kurtki! Ale gdzie są eleganckie suknie pani Croft? Te, które przysłano specjalnie dla niej z Londynu?

Pani Croft chwyciła mnie za ramiona, wyglądając niczym potępieniec.

– Gdzie moje suknie? – zapytała błagalnie.

– Wszystko w porządku – odparłam cienkim i drżącym głosem. – Wszystko w porządku. Muszę tylko szybko gdzieś zadzwonić.

– To znaczy nie ma ich tutaj?

– Jeszcze nie.

– O Jezu! Słodki Jezu! Co się stało? Przywiozłaś nie to, co trzeba?

– Niefortunna pomyłka, pani Croft. Strasznie przepraszam. Wszystko będzie dobrze.

Starałam się zachować spokój, ponieważ z nas dwóch to ona była bliżej ataku hysterii wymagającego uderzenia w twarz i wzięcia się w garść.

– Gdzie moje suknie?

– W moim mieszkaniu.

– Czyli gdzie?

– W centrum.

– W centrum? Ale to piętnaście kilometrów stąd!

– Koszmarny korek – wtrącił ktoś. – Trzy godziny, żeby tam dojechać.

Miałam rękę tak spoconą ze strachu, że ledwie byłam w stanie utrzymać w niej telefon.

– Nkechi? – Głos mi drżał. – Nkechi. Stało się coś strasznego. Zabrałam do pani Croft nie te rzeczy, co trzeba.

Długie, długie, pełne potępienia milczenie. Usłyszałam w tle głos gosposi:

– Może Bono by pożyczył helikopter. Nkechi w końcu się odezwała:

– Już jadę.

Zatrzasnęłam telefon. Z histeryczną radością w głosie oświadczyłam:

– Nkechi jedzie! Lada chwila zjawią się właściwe ubrania.

– Moi goście także! – Pani Croft wstała i zaczęła gwałtownie oddychać. – Będzie tu Bono! Będzie Bill Clinton!

W moim domu! Tutaj! Wszyscy w moim domu! A ja nie mam się w co ubrać!

Walczyła o oddech. Zaczęła uderzać się pięścią w klatkę piersiową.

– Papierowa torba! – ktoś zakrzyknął. – Przynieście papierową torbę. Pani Croft hiperwentyluje!

Pojawiła się papierowa torba i pani Croft przyłożyła ją do twarzy jak worek na obrok i robiła wdech i wydech, wdech i wydech...

– Tak jest – mówiła do niej gosposia. – Tak jest. Wdech i wydech, spokojnie, wdech i wydech.

Pani Croft usiadła, wstała, odsunęła torbę od twarzy, usiadła, opuściła głowę między kolana, ponownie się wyprostowała, wstała, odwróciła i wrzasnęła do nas wszystkich:

– O Boże, o mój Boże! O Boże, Maxwell mnie zabije!

19. 32

Ciszę w garderobie przerwał męski głos:

– Gdzie się do diabła podziewa moja żona? O nie! Tylko nie Maxwell Croft!

Tak. W smokingu i muszce. Niski mężczyzna. Szeroka klatka piersiowa. Zawsze wyglądał, jakby był w złym humorze. Popatrzył na panią Croft. Groźna mina.

– Co się tu u licha dzieje? Czemu nie jesteś ubrana? Chwyć ją za nadgarstek i wyciągnął z garderoby do sypialni.

Ja, fryzjer, gosposia i niezidentyfikowany męski pracownik wbiliśmy wzrok w podłogę, próbując udawać, że ta potworność nie ma miejsca.

Maxwell Croft zapytał ostro niskim, groźnym głosem:

– Co się tu, do diabła, wyprawia? Co to znaczy, że sukni jeszcze tu nie ma? Dlaczego nie możesz mieć stylistki, na której można polegać? Ty pieprzona beznadziejna...

Pani Croft próbowała przeproszać:

– Przepraszam, Maxie, tak bardzo cię przepraszam. Ale pan Croft jej nie słuchał i mówił swoje:

– Wiesz, kto jest na dole? Bill Clinton. Pieprzony Bill Clinton. Samiec alfa wszystkich samców alfa. A ty robisz ze mnie cholerne pośmiewisko. Powinnaś być teraz na dole, pieprzona gospodyni!

– Założę jakąś inną suknię – rzekła nerwowo pani Croft.

– W żadnym, kurwa, razie! Założyć starą kieckę dla Billa Clintona? Chcesz, żeby ludzie sobie pomyśleli, że nie stać mnie na to, by kupić żonie nową suknię z najnowszych kolekcji? Och, dziękuję ci, Rosalind. Udało ci się.

Wtedy zapadła cisza i fryzjer wyszeptał bezgłośnie:

– Poszedł sobie? – Szturchnął mnie łokciem i szepnął: – Zajrzyj tam.

Wsunęłam głowę w drzwi, by zerknąć do sypialni i ze zdumieniem ujrzałam, że są tam oboje, zamknięci w dziwnym uścisku. I wtedy zobaczyłam dokładnie. O zgrozo! Pan Croft trzymał nadgarstek pani Croft w obu dłoniach i robił jej pokrzywkę! Biedna pani Croft cicho jęczała z bólu. A potem pan Croft puścił rękę pani Croft, pchnął ją mocno i wypadł jak burza z pokoju.

19.43

Czekanie na Nkechi. Pani Croft próbowała dyskretnie rozcierać bolący nadgarstek, my udawaliśmy, że tego nie widzimy. Pokrzywka. Bransoletka z małych czerwonych plamek, popękanych naczyń krwionośnych. Zmowa milczenia. Mimo że pozostali nie widzieli tego, co się stało, zachowywali się tak, jakby wiedzieli. Dochodziło do tego regularnie? Pani Croft zaczęła cicho płakać.

19.51

Czekanie trudne do zniesienia. Zadzwoiłam do Nkechi.

– Gdzie jesteś?

– Będę za dwie minuty.

– Dwie minuty? Jak to możliwe?

Dwie minuty później

Przyjazd Nkechi był niczym zbawienie. Mało brakowało, a ludzie padliby na kolana i zaczęli się żegnać. Wparowała do domu i wbiegła prosto na górę. Towarzyszyła jej inna Nigeryjka, jej kuzynka Abibi.

– Ale jak to możliwe, że przyjechałyście tak szybko? – zapytałam.

– Publiczne środki transportu – odparła. – Luas, potem Dart. Abibi odebrała mnie ze stacji Killiney.

Zaskoczyła mnie tym. Publiczne środki transportu! Jakże to zmyślne z jej strony! Publiczne środki transportu. Tak, jakby powiedziała: „Anioł zstąpił z niebios, wziął mnie na barana i przebrnęliśmy nad korkami”.

Nkechi natychmiast przejęła kontrolę. Niczym pracownik paramedyczny: proste, kompetentne gesty i krótkie, jasne polecenia. (Ciśnienie sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt i... DO GÓRY!)

Wystarczyło, że spojrzała na panią Croft i zdecydowała:

– Balenciaga. – Pstryknęła palcami na Abibi i rzekła:

– Balenciaga.

– Ale Chanel... – wtrąciłam.

– Nie ma czasu! – wypluła z siebie Nkechi. – Do Chanel pani Croft musiałaby zmienić fryzurę.

Miała oczywiście rację.

– Ty! – Nkechi zapukała w walizkę i pstryknęła palcami na mnie – mnie!

– Bielizna. Naszykuj. – Ty! – Pstryknęła palcami na Abibi. – Zajmij się biżuterią. A ja butami.

Jak podczas złodziejskiego skoku.

– Szybko! – rzuciła do mnie Nkechi. – Nie mogę zrobić niczego, dopóki nie będzie założonej bielizny!

Trzęsącymi się rękami przerzucałam stos „maleństw”. Kluczem do wyglądu olśniewająco w eleganckich sukniach jest staromodna bielizna. Solidna, porządna bielizna. Majtki, które zaczynają się pod biustem, a kończą tuż nad kolanami. Tak, poważnie. Z grubego, prawie nierozciągliwego materiału. Można się wykończyć, kiedy trzeba pójść do toalety, ale warto się pomęczyć.

No i halki. Halki są oczywiście przedmiotem żartów. Może i są staroświeckie, ale potrafią mnóstwo ukryć.

Rzuciłam solidne majty do Nkechi, która złapała je niczym zawodowy chwytacz, po czym wcisnęła w nie panią Croft. Suknia przeszła przez głowę pani Croft i ześlizgnęła się po jej ciele. Przepiękna. Jedwabna krepa w kolorze kości słoniowej, inspirowana togą. Jedno ramię odsłonięte, na drugim brosza, z której opadają delikatne plisy. W talii cieniutki pasek, na dole lekko rozkloszowana. Królewska suknia.

Na jej widok wszyscy wydali zgodne:

–Och!

Krzętałyśmy się wokół pani Croft niczym małe elfy: Nkechi wsuwała na jej stopy buty, Abibi zapinała na jej szyi naszyjnik z wisiosem, fryzjer zakręcał jeszcze raz niesforne loki, ja zwinnie poprawiałam taśmę na biuście, by nie było jej widać. No i gotowe.

– Na dół! Na dół, na dół, na dół!

20. 18

Do domu wróciłam taksówką. Mocno przygnębiona. Pani Croft już nigdy nie skorzysta z moich usług.

Ale możliwe, że będzie współpracować z Nkechi.

Piątek, 19 września, 8. 30

Zadzwoiła komórka. Nkechi. Poprosiła o spotkanie przed dzisiejszą sesją zdjęciową.

9. 30

Patisserie Martine's

Nkechi już tam była. Usiadłam na fotelu.

– Przepraszam za wczoraj – rzekłam.

– Za wczoraj? To mogło się skończyć międzynarodowym skandalem. A gdybym miała wyłączoną komórkę? Gdyby w żaden sposób nie udało się dostarczyć sukni na czas? I gdyby pani Croft nie mogła wystąpić w roli gospodyni? Kofi Annan i cała reszta źle by o niej myśleli! Uznaliby to za afront! Obrazę ze strony Irlandczyków. Wynegocjowane umowy mogłyby zostać unieważnione.

– Naprawdę sędzę, że przesadzasz.

– Prawda jest taka, Lola, że nie jesteś jeszcze gotowa do powrotu. – Położyła ręce na stoliku. – Posłuchaj, Lola, mam... propozycję.

Ogarnęły mnie złe przeczucia.

– Lola, byłaś dla mnie dobra. Przyzwoite zarobki. Obowiązki. Wiele się nauczyłam jako twoja asystentka. Ale teraz, gdy cierpisz z powodu złamanego serca, jesteś nieobliczalna.

– Tak było tylko dlatego, że wczoraj zobaczyłam Paddy'ego!

– Dublin jest mały. W każdej chwili możesz go spotkać. I wtedy sknocisz to, nad czym akurat pracujesz. Jeśli to się będzie powtarzać, Lola, nie zostaną ci żadne klientki.

– Nieprawda! Jedna pomyłka!

– Jedna koszmarna pomyłka. Poza tym więcej niż jedna. Całe mnóstwo. – Na jej twarzy pojawiło się lekkie zawstydzenie. – Posłuchaj, Lola, zawsze planowałam rozkręcenie własnego interesu, wiesz o tym.

Nie wiedziałam. Podejrzywałam. Wiedziałam, że jest ambitna. Ale nigdy nie wspomniała o tym ani słowem. Kiwnęłam jednak ostrożnie głową.

– Moja propozycja jest taka, że będę się zajmować twoimi klientkami do końca roku.

Słucham?

– Dobrze zadbam o twoje interesy. Na koniec roku założę własną firmę. Te klientki, które zechcą pójść ze mną, będą moje. Te, które zechcą zostać z tobą, będą twoje. Lista klientek ciągle się rozrasta. Wystarczy dla nas obu. Żadna z nas nie będzie stroną przegraną.

Byłam osłupiała i zaniemówiłam. Po chwili wrócił mi głos. Wychrypiałam:

– A w międzyczasie co ja będę robić?

– Wycofaj się z życia towarzyskiego. Wyjedź. Jak chcesz, to wróć do chaty wuja Toma. Ale – Nkechi uniosła palec wskazujący – nie rozpowiadaj, że wyjeżdżasz na wieś, bo uznają cię za ofiarę losu. Mów, że wybierasz się do Nowego Jorku do pracy. Badanie rynku. Wyszukiwanie nowych projektantów. Okej?

Kiwnęłam głową.

– No dobra, teraz sprawa kasy. – Potarła palce w międzynarodowym geście oznaczającym pieniądze. – To oczywiste, że wykonuję pracę starszej stylistki, no i jeszcze ratuję twój interes. Muszę także płacić Abibi. Potrzebuję więcej kaski. Wypisałam tu kwoty.

Położyła na stoliku arkusz z wyliczeniami. Wszystko czarno na białym. Nkechi to bystra dziewczyna. Odsunęłam go w jej stronę.

– Okej – powiedziałam.

– Okej? – Zabrzmiało to tak, jakby się spodziewała choć trochę targowania.

Ale ja byłam pokonana. Załamana.

– Okej, okej. Zgadzam się na wszystko. No dobra, lepiej już jedźmy.

– Dokąd?

– Na sesję narciarską.

– Ty nie jedziesz, Lola. Pamiętasz? Och tak, pamiętam.

9. 50

W drodze do domu

Dopiero dwadzieścia minut minęło od spotkania z Nkechi. Niewiele czasu na totalne wyfiletowanie życia.

Przypomniał mi się inny koszmaryny okres w moim życiu, kiedy byłam młodsza. Miałam dwadzieścia jeden lat. Mama nie żyła, tata mieszkał w Birmingham, chłopak, z którym byłam od dwóch lat, wyjechał do Nowego Jorku, nawijając o podbiciu Wall Street. (Tak się złożyło, że wpadł w kokainowy nałóg i kilka lat później wrócił do Irlandii okryty hańbą i bez grosza przy duszy, co, gdybym to wtedy wiedziała, stanowiłoby balsam na moją duszę, ale wtedy wiedziałam jedynie, że zostałam porzucona.) Jedyne, co wtedy trzymało w pionie, to praca. Pracowałam z Freddie A, topowym projektantem. Jednak zaledwie po trzech tygodniach oświadczył mi prosto z mostu:

– Lola, jesteś dobra, ale niewystarczająco dobra.

Potwierdził to, co sama zaczynałam podejrzewać. Bałam się chodzić do pracy, by przypadkiem nie popełnić niemożliwego do naprawienia błędu. Miałam nawracający sen o tym, że zaraz ma się zacząć pokaz, a żadne z ubrań nie jest gotowe. Ja, gorączkowo szyjąca w olbrzymim magazynie pełnym beli materiału, i modelki w bieliźnie głośno domagające się strojów.

– Panie A, będę ciężiej pracować! Przysięgam!

– To nie jest kwestia ciężkiej pracy, Lola. To kwestia talentu. A ty nie masz go wystarczająco wiele.

Bardzo się starał uczynić to w delikatny sposób, ale cios i tak był powalający. Od zawsze kochałam, po prostu kochałam ciuchy. Wycinałam

modele dla lalek i sama szylaam, juz jako dwunastolatka. Przyjaciolki Bridie, Treese i Sybil O'Sullivan (juz sie z nia nie przyjaznie, strasznie sie poklócilyśmy, zdazyłam zapomniec o co, ale zasada jest taka, ze musze jej nienawidzić, a kiedy ktoraś z nas natknie sie na nia, musi mówić: „Naprawde sie zapuscila. Przytyla, a włosy ma w strasznym stanie”) prosily mnie o skracanie spodnic i tym podobne. Od wczesnych lat moja ambicja bylo zostanie projektantka.

A teraz uslyszalam, ze nie jestem wystarczajaco utalentowana.

Puscila ostatnia, zakotwiczajaca mnie lina. Czulam sie jak totalny nieudacznik.

(Ostatecznie wszystko sie jakoś ulozilo. Wrócilaam do antydepresantów i poszlam na terapie. Gdy zastanawialam sie, co zrobic ze swoim zyciem, przypadkowo zajelam sie stylizacja. Poniewaz tak duzo wiedzialam na temat ciuchów, zaproponowano mi prace asystentki podczas sesji zdjeciowej. Bardzo ciezko pracowalam. Wykorzystywalam kazda nadarzajaca sie okazje. Wiele godzin poswiecilaam koncentracji, koncentracji, koncentracji. W jaki sposob moge uczynic ten stroj bardziej oryginalnym? Piękniejszym? Bardzo powoli pielam sie do gory. Na poczatku robota kiepsko platna. Niepewnosc. Ale ludzie zaczeli o mnie mówić. Wspominali o mnie innym. „Lola Daly jest dobra”. Tak jak teraz mówi sie o Nkechi.)

19. 01

– Najlepiej by bylo, gdybyś wrócila do Knockavoy, chociaz na jakis czas – oswiadczyla Treese.

– Tak, najlepiej wróc do Knockavoy – zgodzil sie z nia Jem.

– Ale skad bedzie miec pieniadze? (Bridie, jak zawsze praktyczna.)

– Pracowałam w pubach – odparłam. – Umiem nalewać piwo, zbierać szklanki. Spokojnie mogę też sprzątać w hotelu.

– Myślisz, że jak długo tam zostaniesz? – zapytała Treese.

– Już na zawsze – odpowiedziałam, po czym dodałam: – Nie wiem, zobaczę, jak się sytuacja będzie rozwijać.

22. 56

Na pożegnanie usłyszałam od Treese:

– Zapomnij o Paddym de Courcy. Nie jest wart tego, by niszczyć sobie przez niego życie. Nawet Vincent go nie lubi.

Zamknęłam drzwi, po czym zastanowiłam się. Co to znaczy nawet Vincent? Tak jakby Vincent był człowiekiem pełnym życzliwości jak Nelson Mandela, który widzi we wszystkich dobro!

Paddy i Vincent spotkali się tylko raz i był to nieopisanie okropny wieczór.

Treese zaprosiła na kolację mnie, Bridie, Jema i naszych partnerów. Przyjęcie jak dla dorosłych. Gdy tylko przyjechaliśmy, Vincent od razu zainteresował się Paddym. Sądziłam, że jest miły, ponieważ Paddy to nowa osoba w naszej grupie, ale powinnam była od razu wiedzieć, o co chodzi.

Nie pytając Paddy'ego, czego by się napił, Vincent podał mu kieliszek z dwoma centymetrami wina na dzień.

– Co o tym myślisz?

Z tym swoim umięśnionym ciałem, nastroszonymi włosami i szyją szeroką jak moja talia Vincent wyglądał jak złowrogi wół. Zwłaszcza w porównaniu z seksownym i przystojnym Paddym.

Paddy powąchał zawartość kieliszka, zamieszał, pociągnął łyk, za chwilę jeszcze jeden, omiółł nim głośno wnętrze ust, jakby używał płynu do płukania, po czym przełknął.

– Wyśmienite – stwierdził. – Tak, wyśmienite.

Jem i Barry przyglądali się temu z wyczekiwaniem, jak szczeniaki mające nadzieję na miłe słowo z ust swego pana, ale im nie zaproponowano tego wyjątkowego czerwonego wina. (Bridie, Treese, Claudii i mnie także nie, ale już sama myśl o czymś takim była śmieszna. Vincent to „męski facet”.)

– Co to jest? – zapytał Vincent Paddy'ego.

Wyzwanie.

– Wino? – zaśmiał się Paddy. Z nadzieją, że swoim urokiem nadrobi wszystko inne.

– Jaki rodzaj wina? – zapytał niecierpliwie Vincent.

– Czerwone?

– Wykazujesz się ignorancją, mój przyjacielu – oświadczył głośno Vincent, tak byśmy wszyscy mogli go usłyszeć.

Jemowi i Barry'emu nagle ulżyło, że nie zostali poczęstowani winem.

– To Cotes de coś tam – pysznił się Vincent. – Rocznik **1902**, z piwnicy jakiegoś tam Hrabi Francuza. Kupiłem je na aukcji za – (wymienił niebotyczną kwotę) – i przebiłem Bono. W Irlandii jest tylko skrzynka tego wina.

Vincent szczęśliwy. Zdążył już zagiąć Paddy'ego, a przyjęcie dopiero się zaczęło.

Przez cały wieczór się czepiał. Gdy tylko zniknęły przystawki, oświadczył:

– Ta twoja tak zwana NowaIrlandia nigdy nie wygra wyborów, dopóki liderem będzie kobieta.

– Partii konserwatywnej pod przywództwem Margaret Thatcher to nie powstrzymało – odparł grzecznie Paddy.

– To było w Brytanii, mój przyjacielu. Myślę, że się przekonasz, iż Irlandia jest nieco bardziej konserwatywna.

– Już nie...

– ... ależ tak! Irlandzkie kobiety nigdy nie zagłosują na kobietę. Jeśli w ogóle głosują, a najczęściej nie, to na mężczyznę.

Vincent nachylał się nad stołem w stronę Paddy'ego. Paddy także się nachylił, tak że niemal stykali się ze sobą czołami.

– Mieliśmy dwie panie prezydent – powiedział Paddy.

– Panie prezydent! – Vincent zarechotał. – Wymieniały uściski dłoni z przedstawicielami handlowymi z Chin. Ale prawdziwa władza? Nie dla kobiety.

To było okropne. Reszta nas pocila się z napięcia. Paddy zachowywał się uprzejmie, ponieważ a) był politykiem i musiał być miły dla każdego, tak by na niego głosowano, b) był gościem w domu Vincenta.

Nie było tu Treese, by przyhamowała zapędy męża. Znajdowała się akurat w kuchni i zdejmowała folię z dostarczonego przez firmę cateringową jedzenia (to było, jeszcze zanim zrobiła ten swój kurs gotowania), oraz w tajemnicy wpychała do ust czekoladkę za czekoladką z półkilogramowej bombonierki Butler's, którą przyniósł Jem. Wróciła zarumieniona i z poczuciem winy rysującym się na twarzy, niosąc w kieliszkach do jajek sorbety z ginu i toniku. Poprosiła:

– Vincent, mógłbyś zmienić płytę?

– Oczywiście, kochanie.

Po chwili pokój wypełniły dźwięki *In The Air Tonight*. Vincent wrócił do stolika, gdzie Paddy śmiał się głośno. Ale była to udawana wesołość. Rzekł do Vincenta:

– Phil Collins? Pokazujesz swój wiek, mój przyjacielu. Skoro już o tym mowa, to dlaczego nie Cliff Richard?

– Co masz przeciwko Philowi Collinsowi?

– To dupek.

Ale Vincenta nie dało się tak łatwo zgasić.

– Phil Collins to wytrawny artysta – oświadczył. – Umieścił więcej płyt na pierwszym miejscu... to najlepiej sprzedający się artysta w trzydziestu dwóch krajach... To wystarczająco o nim świadczy.

– To świadczy jedynie o tym, że całe mnóstwo ludzi chętnie kupuje dupiatą muzykę.

– Cóż, a skąd ty możesz o tym wiedzieć? Atmosfera koszmarna. Desperacko pragnęłam stąd iść.

Ale czekało jeszcze wiele dań. Treese zdecydowała się na opcję de luxe, tę najbardziej kosztowną. Maleńkie przystawki. Czyszczące podniebienie sorbety. Minidesery przed tymi prawdziwymi.

W pewnym momencie pomyślałam: „Ach, już rozumiem – umarłam i poszłam do piekła. Zostanę tu uwięziona na zawsze, mój chłopak będzie obrażany, atmosfera będzie toksyczna i przesycona wrogością”.

Kiedy już wiedziałam, że to piekło, a nie prawdziwe życie, poprawił mi się nastrój.

A potem... kawa Blue Mountain. Ciasteczka z marcepanem. Koniec blisko!

Zbyt szybko się ucieszyłam. Vincent rzekł do Treese:

– Zjedzmy może te czekoladki, które przyniósł Jim. (Vincent zawsze nazywał Jema „Jimem”. Wiedział, jak ma na imię, chciał być po prostu niemiły.)

– Nie! – zakrzyknęliśmy zgodnie. My, to znaczy Bridie, Treese, Jem i ja. Nawet Claudia się przyłączyła, choć raz z nami zamiast w opozycji. – Jesteśmy pełni. Nie trzeba już żadnych czekoladek!

– Zwymiotowałabym na ich widok – oświadczyła Bridie.

– Tak, ja też!

Wiedzieliśmy, że Treese zjadła ich większą część.

– Przynieś je – powiedział Vincent do Treese.

– Ja przyniosę – rzekłam. Po czym udałam się po swój żakiet i płaszcz Paddy'ego. Nie byłam w stanie znieść więcej.

– To był cudowny wieczór – rzuciłam. Zabrzmiało to histerycznie nawet w moich uszach. – Ale już późno. Musimy lecieć. Chodź, Paddy!

Paddy cały w uśmiechach, dopóki nie wypowiedziano ostatnich słów pożegnania i nie zamknęły się za nami drzwi. Wtedy zaszła w nim nagła zmiana. Wyprostowany ruszył szybkim krokiem do samochodu. Wsiadł i mocno zatrasnął za sobą drzwi. Wsiadłam obok niego. Niespokojna. Odjechaliśmy, pozostawiając za sobą chmurę kurzu. (Hiszpan John miał wolny wieczór, co należało do rzadkości.) Jechaliśmy w milczeniu, Paddy patrzył prosto przed siebie.

– Przepra... – zaczęłam.

Ale on mi przerwał. Wyszczekiwał słowa głosem niskim i pełnym wściekłości.

– Nigdy więcej nie rób mi czegoś takiego.

Niedziela, 21 września

Z powrotem w Knockavoy. Witam się ze znajomymi. „Witam, tak, *oui*, wróciłam. Niespodziewanie. Ha, ha, ha, tak, życie jest pełne niespodzianek”.
Zażenowana.

Poniedziałek, 22 września, 15. 17

Pytam w miejscowych lokalach o pracę. Zaczęłam od hotelu. Ale z końcem miesiąca zamykali interes. Zaproсили mnie, bym wróciła w kwietniu, kiedy znowu będzie otwarte. Dla mnie to nie jest dobra wiadomość, ale doceniłam ich pozytywne nastawienie: siedem punktów na dziesięć za uprzejmość.

15. 30

Pierwszy Dołek. Pub dla golfistów. Manager dość niemiły.

– Mamy wrzesień – stwierdził. – Koniec sezonu. Zwalniamy ludzi, a nie przyjmujemy.

Pogardliwa mina. Dwa punkty na dziesięć za grzeczność.

15. 37

Dąb. Śliwkowe Oczy szczerzy, lecz współczujący. Pracy tyle tylko, co dla niego. Jednak dziewięć punktów na dziesięć za życzliwość.

1543

Bar pani McGrory. W środku młodzi surferzy posilający się serwowanymi cały dzień śniadaniem. (Szybko przeczesalam wzrokiem pomieszczenie, ani śladu Boga Miłości.) Głupkowaty młokos powiedział, że wydaje mu się, iż mają dla mnie pracę. Kazał mi czekać piętnaście minut, gdy tymczasem sam poszedł zapytać kogoś o imieniu Mika, ale ten ktoś kazał przekazać, że nie ma pracy aż do maja. Niemniej jednak siedem punktów na dziesięć za dobre chęci.

16. 03

Loch. Ciemny, mało przyjemny lokal wypełniony całodziennymi klientami. Samymi mężczyznami, którzy zaśmiali się okrutnie, kiedy zapytałam o pracę, po czym zaproponowali, że kupią mi coś do picia. Już, już miałam odmówić, zawahałam się jednak, po czym zgodziłam się. Czemu nie? Usiadłam na wysokim stołku razem z trójką facetów, którzy jak później się dowiedziałam, byli zbiorczo nazywani Kącikiem Pijackim.

Natychmiast zaczęli mnie bombardować pytaniami. Jak mam na imię? Skąd się wzięłam w Knockavoy?

Przez parę minut zgrywałam wstydlivą, ale kiedy opowiedziałam im historię o Paddym, przyznali, że już ją znali. Zero tajemnic w miasteczku tak małym jak Knockavoy. Główny pytający, żwawy mężczyzna, na którego mówiono Boss, z całym mnóstwem popękanych żyłek i głową otoczoną aureolą siwych loków jak u oszalałego Arta Garfunkela, był ojcem Kelly z wypożyczalni. Kelly o wszystkim mu powiedziała.

– Wprost umierałem z pragnienia, by cię poznać – rzekł. – Przykro mi z powodu twoich kłopotów, ale wykazałaś się kiepską oceną. Czego można się było spodziewać po Postępowym Chrześcijaninie?

– Paddy de Courcy nie jest Postępowym Chrześcijaninem, ale członkiem NowejIrlandii.

– Przed NowąIrlandią był Postępowym. Zawsze nim będzie. Nie jest to coś, co można z siebie zmyć.

– O nie, nie można z siebie zmyć – przytaknął mężczyzna siedzący obok Bossa. Gruby, z ogoloną głową, w T-shircie, o imieniu Moss.

– Nie wynaleziono jeszcze mydła, które potrafiłoby zmyć smród Postępowych Chrześcijan – oświadczył trzeci mężczyzna, drobny, poważny

osobnik w lśniącym ze starości czarnym garniturze, od którego czuć było stęchlizną.

– Będzie cuchnącym Postępowym Chrześcijaninem aż do końca swoich dni.

– Pójdzie do grobu jako wstrętny Postępowy.

– Byłoby inaczej, gdyby Paddy de Courcy należał wcześniej do Nacjonalistycznej Partii Irlandii – orzekł Boss.

– Nie wystawiłby cię do wiatru, gdyby był Nacjonalistą. Nacjonalistyczna Partia Irlandii jest najlepsza.

Podejrzewam, że to zwolennicy NPI. (W skrócie „Napletki”.)

– Ale Nacjonalistyczna Partia jest bardzo skorumpowana, nie? – Powtórzyłam to, co wiedziałam od Paddy'ego.

– O, tak! Skorumpowana! Tak, to dobrze. W tym kraju nie osiągnie się niczego bez odrobiny korupcji. Ona wszystko napędza.

Miałam dla nich jeszcze jedną smakowitą informację.

– Słyszałam, że Teddy Taft, lider „Napletków” i premier, nie zmienia codziennie bielizny. Paddy mówi, że przekręca slipki na lewą stronę, by móc je nosić jeszcze jeden dzień.

– Nie mów na nich „Napletki” – upomniał mnie Boss, schodząc ze stołka. – To niegrzeczne.

Cała trójka zeszła ze stołków.

– Za de Valerę! – zakrzyknęli i unieśli kieliszki. – Za de Valerę!

(De Valera, były prezydent Irlandii, w grobie od co najmniej trzydziestu lat. Irlandczycy to pamiętliwy naród.)

Później się przekonałam, że odprawiali ten mały rytuał sławienia de Valery codziennie około 16. 30.

Zrobiło się małe zamieszanie. Mężczyzna na drugim końcu baru wstał z krzesła i powoli zbliżał się do nas. Moich trzech nowych znajomych trąciło się łokciami.

– Patrzcie, kto idzie – parsknęli.

Nowo przybyły uniósł drżący palec. Dziwnym, trzęsącym się głosem oświadczył:

– De Valera to nieślubny syn parszywej hiszpańskiej dziwki!

Naprawdę? Hiszpańskiej? Nie wiedziałam. No ale samo nazwisko wiele mówi.

Pojawiły się kolejne wyzwiska.

– Ty wstrętny zdrajco!

– Ty okropny wyzwoleńcu!

Dużo antypatii. Powód? Ich dziadkowie podczas wojny domowej walczyli po przeciwnych stronach.

Poleciało jeszcze kilka obelg, po czym nowo przybyły wrócił na swoje miejsce, a Boss rzekł do barmana:

– Daj mu piwo na nasz koszt.

Tymczasem przede mną zdążył się pojawić kolejny drink. Nie planowałam tu zostać, ale skoro miałam co pić...

– Opowiedz nam coś jeszcze – nakazał Boss. Oczy miał błyszczące, a twarz czerwoną.

Prawdę mówiąc, to ulżyło mi, gdy mogłam tak mówić, wyrzucić z siebie wszystko. Pojawił się kolejny drink. Wytłumaczyłam im swoją sytuację finansową. Nie spodobała im się postać Nkechi.

– Co twoje, to i moje, a co moje, to nie twoje – stwierdził drobny, śmierzący mężczyzna tonem wielkiego mędrca.

– Święta prawda! Święta prawda!

(Nazywali drobnego, śmierdzącego mężczyznę Profesorem. Nie dlatego, że posiadał taki tytuł naukowy, ale ponieważ kiedyś był dyrektorem szkoły dla chłopców.)

– Ale po co masz szukać pracy? – wykrzyknął Boss. – Możesz się postarać o zasiłek!

Nowatorski pomysł. Owszem, byłam krótko na zasiłku dla bezrobotnych dziesięć lat temu, po tym jak zwolniono mnie z domu mody, a zanim zaczęłam pracować jako stylistka. Ale od tamtej pory zawsze sama na siebie zarabiałam. Zdążyłam zapomnieć, że istnieje coś takiego, jak życie na koszt państwa.

– Szukałaś pracy – kontynuował Boss. – Niczego nie znalazłaś. Czemu nie miałybyś dostać zasiłku?

– Tak! – przyznałam, lekko już wstawiona. – Czemu nie miałabym dostać zasiłku?

– Ciężko pracowałaś, tak? Płaciłaś podatki?

– Nie – wtrącił Moss. – Daj jej spokój.

– Rzeczywiście płaciłam podatki.

–Tak?

Byli zaskoczeni, a po chwili zgorszeni. Uparli się, by z tej okazji kupić mi jeszcze jednego drinka. Konsensus był taki:

– Zaslugujesz na zasiłek.

– Jutro rano jedziemy się podpisać. Przyjedziemy po ciebie vanem.

Dobrze! Świetnie! Fantastyczny pomysł!

Wtorek, 23 września, 8. 30

Obudziłam się! Hałas! Co to było? Leżałam w łóżku i nasłuchiwałam. Coś ruszało się na dole. Osoba. Nie, ludzie! Głosy. Włamywacze!

Byłam przerażona. Nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. I znowu jakieś odgłosy. Brzmiące... prawdę mówiąc... jak gotujący się czajnik. Włamywacze robili sobie herbatę? Dość niezwykle. Ponownie jakieś głosy, a po nich odgłos mieszania w kubku. Mieszania i mieszania. A potem siorbnięcie. Naprawdę to usłyszałam! Siorbanie herbaty to najgorszy odgłos na świecie. Słyszac go, mam ochotę coś zdemolować.

Wciągnęłam na piżamę sweter i zeszłam na dół. Przy stole w kuchni Boss i Moss pili – nie, siorbali – herbatę.

– Oto i ona – rzekł Boss na mój widok.

– W dzbanku jest herbata – powiedział z kolei Moss. – Nalać ci?

Wróciła mi pamięć. Nowi znajomi. Wyjazd do Ennistymon na podpis.

W bezlitosnym świetle dnia wyglądali jeszcze bardziej niechlujnie. Włosy Arta Garfunkela, które nie widziały grzebienia od 2003, Moss w tym samym T-shircie co wczoraj. Jednak byli ucieszeni na mój widok. Uśmiechali się.

– Gdzie ten trzeci? Ten mały? Profesor? – zapytałam.

– Nie jedzie. Chore plecy. Jest na rencie inwalidzkiej. Wczoraj nie zauważyłam, by z jego plecami było coś nie

tak. Nie byłam pewna co do moralnego kalibru moich nowych znajomych.

– ... Już się ubieram.

9. 51

To nie był prawdziwy van. Po prostu samochód z dwoma siedzeniami z przodu i częścią vanową z tyłu, gdzie powinny się znajdować siedzenia. Kazano mi usiąść na przednim siedzeniu obok Bossa. Moss przykucnął z tyłu, podciągając kolana pod brodę. Van zadziwiająco brudny. I śmierdzący.

Papierosy. Zwierzęta. Cynamonowy odświeżacz powietrza. Musiałam opuścić szybę na wypadek, gdybym miała z wymiotować.

10. 17

Ennistymon

Niewiele większe od Knockavoy, ale prawdziwe miasteczko, a nie miejscowość turystyczna. Sklep sprzedający paszę dla zwierząt i nawozy, inny, w którym sprzedawano chyba tylko sznury. Zaskakująco duża ilość aptek. Czyżby mieszkańcy Ennistymon podatni byli na choroby? (Uwielbiam apteki, może zajrzę potem do którejś.)

Przed budynkiem opieki społecznej zaparkowaliśmy na miejscu dla niepełnosprawnych. Boss pogrzebał w walających się po podłodze śmieciach, znalazł naklejkę z wózkiem inwalidzkim i rzucił ją na deskę rozdzielczą.

Nie chciałam tam wchodzić. Wczoraj wieczorem, po alkoholu, miało to sens. Ale teraz byłam trzeźwa.

Nie znaczy to, bym uważała się za osobę, dla której ubieganie się o zasiłek jest poniżej jej godności. O, nie. Po prostu czułam znużenie na myśl o daremności tego, co mnie czeka.

Ubieganie się o zasiłek z opieki społecznej to jak dwanaście prac Herkulesa. Powinno to być proste – opłacałam składki, straciłam pracę, bezskutecznie próbowałam znaleźć sobie inną, byłam splukana. Ale pojawia się tor przeszkód. Proszę wypełnić ten formularz. Proszę wypełnić tamten formularz. Przedstawić dochody z zeszłego roku, dochody z tego roku, rachunek za usługi komunalne, dowód obywatelstwa Irlandii, pismo od ostatniego pracodawcy...

Gdyby z ogromnym wysiłkiem jakoś udało mi się to wszystko przedłożyć, i tak byłoby za mało. Kolejne wymagania, coraz bardziej

wydumane. Zdjęcie mojego pierwszego zwierzaka. Trzy białe trufle. Autograf Toma Cruise'a. Pierwsze wydanie *Lily the Pink*. Butelka limitowanej edycji Vanilla Tango (podchwytliwe zadanie, jako że Vanilla Tango można było dostać wyłącznie w puszkach). Narysowany węglem „portret” tyłka Zinedine'a Zidane'a. Estampaż świętego Graala. Gdybym to wszystko dostarczyła, otrzymałabym pismo z informacją: „Zakwestionowaliśmy pani dokumentację. Nie jest pani uprawniona do otrzymywania zasiłku, nigdy nie będzie do niego uprawniona, ale proszę nam dostarczyć w ładnym pudełku dziesięć gramów sproszkowanego rogu jednorożca, a zobaczymy, czy możemy dokonać jakiejś wypłaty”.

Jeśli ludziom udaje się wyszarpać jakieś pieniądze z opieki społecznej, nie dzieje się tak dlatego, że są do tego uprawnieni. To nagroda za nieustępliwość, czysty upór, wytrzymanie kafkowskiej małostkowości żądań urzędników i za to, że niewybuchnęli i nie wrzasnęli: „WSADŹCIE SOBIE WASZ NĘDZNY ZASIŁEK GDZIEŚ! JUŻ WOLEŃ UMRZEĆ Z GŁODU!”.

10. 45

Tak jak się spodziewałam, zbyto mnie (od czego właściwie pochodzi to słowo?).

– Jest pani nową petentką?

– Tak.

– Musi zostać pani poddana ocenie!

– Okej, mogę zostać poddana ocenie teraz?

– Nie może sobie tu pani wejść i oczekiwać oceny. Musi się pani umówić na spotkanie.

– Okej, mogę umówić się na spotkanie?

(Nie zawracałabym sobie tym głowy, gdyby obok mnie nie stali Boss i Moss i nie mówili: „Dalej, Lola! To twoje prawo, Lola!”.)

– Prawdę mówiąc, to jest wolny termin dziś rano.

– O której godzinie?

–... Teraz.

10. 46

Ponure pomieszczenie na tyłach urzędu. Nie chcę się wydać niemiła, ale widać było, dlaczego urzędnik zajmujący się oceną nie pracuje na widoku. Wydawał się taki jakiś... spiczasty. Jak lis. Ostre rysy, nos, podbródek. Lisie umaszczenie: rudawe włosy spięte w kucyk. Miał te specjalne okulary, które zdają się nosić wszyscy przesłuchujący. Te z wąskimi srebrnymi oprawkami, w których odbija się światło w sposób, który ma wywoływać niepokój. Podejrzliwe Srebrne Ramki.

– Stylistka? – zapytał z pogardą w głosie. – Co to za praca?

– Zaopatruję ludzi w ubrania.

– Zaopatruje pani? – zapytał tonem ośmieszającym to słowo. – A co to znaczy?

– Ja... znajduję... ludziom ubrania. Jeśli ktoś musi iść na elegancką imprezę z czerwonym dywanem, kontaktuję się z projektantami, by przysłali mi kilka sukienek. Albo jeśli ktoś jest mocno zajęty, wypożyczam różne rzeczy i ten ktoś może wszystko poprzymierzać bez potrzeby chodzenia po sklepach.

Spojrzał na mnie dziwnie.

– Proszę posłuchać – rzekłam obronnym tonem.

– Wiem, że nie jest to praca zasługująca na jakąś szczególną uwagę. Nie tak jak pielęgniarstwo czy... czy... pracownik pomocy społecznej w Bangladeszu.

Ale jest na nią zapotrzebowanie i ktoś musi się tym zajmować, a mnie się to podoba, więc równie dobrze tym kimś mogę być ja.

– W naszej raczej nie ma to wielkiego zapotrzebowania – stwierdził urzędnik.

– Wiem. Dlatego się tu znalazłam. Szukałam pracy w każdym barze w Knockavoy, ale jest koniec sezonu i nic się nie dzieje.

– Dlaczego przeprowadziła się pani do Knockavoy? – zapytał.

– Z powodów osobistych – odparłam, starając się, by nie zadrżał mi głos. Wargi zaczęła mi drgać, jakby próbowała wysłać wiadomość w alfabecie Morse'a.

– Będzie musiała pani powiedzieć coś więcej! Tutaj nie ma tajemnic.

– No dobrze – rzekłam, po czym wszystko z siebie wyrzuciłam: – Mój chłopak żeni się z inną. Szok miał na mnie kiepski wpływ. Knociłam po kolei każde zlecenie. Można powiedzieć, że trafiłam na zesłanie, by dojść do siebie, nim do końca zszargam sobie reputację. W międzyczasie muszę płacić swojej asystentce i jej kuzynce. Dla mnie nie zostaje już nic.

– Okej – rzekł, zapisując sobie wszystko. – Będziemy w kontakcie.

Zastanawiałam się, w jaki sposób zablokują mój wniosek. Byłam tego niemal ciekawa. Zrobią to dlatego, że pracuję na własny rachunek? Czy też powinnam składać wniosek w Dublinie? A może był to bardziej zły stan zdrowia, a nie bezrobocie jako takie, więc powinnam się ubiegać o zasiłek inwalidzki? Och, znałam te ich wszystkie sztuczki.

19. 22

W drodze do pani Butterly na oglądanie seriali minęłam Loch. Usłyszałam:

– Hej, Lola!

Trzy uradowane twarze: Moss, Boss i Profesor. Wyglądali specjalnie na mnie. Zawołałam z ulicy:

- Idę oglądać z panią Butterly *Coronation Street*.
- Wejdz na jednego!
- Szybkiego jednego!
- Zajrzę w drodze powrotnej, kiedy skończą się wszystkie seriale.

Sprawiali wrażenie rozczarowanych.

19.57

Gdy czekałyśmy na rozpoczęcie się *EastEnders*, zapytałam:

- Pani Butterly, zna pani ten dom obok mojego?
- Ten, w którym mieszka Rossa Considine? Miły człowiek. A czemu pytasz?

– Wie pani o tym, że miał się ożenić?

– Z kim?

– Już nie, ale miał zamiar...

– Wcale nie! – Pani Butterly powiedziała to dość kategorycznie. – Jest wolny jak ptak, odkąd osiem miesięcy temu złamał serce Gillian Kilbert. Miła dziewczyna, ale ma w sobie coś z fretki.

– Tak... ale...

Zawahałam się. Czy powinnam ją zapytać o tę kobietę w sukni ślubnej? Wahalam się jeszcze przez chwilę, po czym znudziło mi się wahanie. Wahanie ma ograniczony potencjał rozrywkowy. (Nie sądzę, by mogło się to kiedyś stać moim hobby. Wyobraźcie sobie tylko, jak to umieszczam na formularzu podczas zapisywania się na wieczór szybkich randek. Albo podczas ubiegania się o pracę. „Wymień zainteresowania”. „Moda. Filmy z Billym Wilderem. Joga. Wahanie”.)

Tak czy inaczej zrobiłam dygresję (a to akurat jest coś, co rzeczywiście lubię robić). Zaczynał się serial, a poza tym pani Butterly była już starszą osobą. Możliwe, że lekko zdziecinniała. Dałam więc spokój tej tajemniczej kobiecie Rossy Considine'a.

21. 40

Loch

Powitano mnie niczym powracającą do domu królową. Znaleziono dla mnie stołek, a nawet go wytarto, a na stoliku przede mną pojawił się drink oraz KitKat. Okazało się, że w Lochu był nie jeden, a dwa Kąciki Pijackie. Zaciekli wrogowie. Ten drugi kącik miał psa. Kącik Bossa miał mnie.

– Opowiedzcie mi o tej parze, która mieszka ze mną po sąsiedzku.

– Nie o parze – rzekł Boss. – Tam mieszka tylko facet. Rossa Considine. Mężczyzna stanu wolnego.

– Nie ma w tym jednak nic podejrzanego – wtrącił Profesor. – Nie tak, jak kiedyś, kiedy jeśli mężczyzna nie miał żony, to wszyscy nazywali go ciotą. Socjologiczna zmiana.

– Ale Rossa Considine miał dziewczynę? – zapytałam. – Jeszcze ze dwa tygodnie temu? Planowali ślub.

Głośny śmiech wskazujący na to, że już bardziej mylić się nie mogę.

– Ale – zaprotestowałam – widziałam w jego domu kobietę.

– Człowiek ma prawo do odrobiny rozrywki!

– Jaką kobietę? – zapytał Profesor. – Niską blondynkę z twarzą fretki? Gillian Kilbert. Wszyscy Kilbertowie mają taki sam fretkowaty wyraz twarzy. Dziedziczą to od strony ojca.

Przez chwilę się zastanawiałam.

– Nie – odparłam. – Nie było w niej nic fretkowatego. I miała na sobie suknię ślubną. Stała w oknie na piętrze i patrzyła na mnie.

Trzech mężczyzn popatrzyło na siebie z przestachem, a Boss zrobił się zupełnie biały na twarzy, co było nie lada wyczynem przy tej jego siateczce czerwonych żyłek. Następnie skierowali swe przestraszone spojrzenia na mnie.

– Dlaczego... dlaczego... tak na mnie patrzycie? Cisza. Dalej patrzyli.

– Ty Widzisz – oświadczył Boss.

– ... Że co? To znaczy sądzisz, że... ta kobieta, którą widziałam, była... duchem?

Mimowolnie zadrżałam. Przypomniałam sobie jej białą suknię i ciemne włosy. Jednak szybko wzięłam się w garść. Przecież Podpalacz palił w ognisku prawdziwą suknię, a nie suknię widmo! Ale z jakiegoś powodu nie chciałam o tym mówić w Kąciku Pijackim. Czułam po prostu, że... nie wiem... że to sprawa Podpalacza.

Boss zmarszczył brwi.

– Czy ta kobieta wyglądała jak Nasza Paniienka? Jaka paniienka?

– Kto?

– MATKA BOSKA. Wy, Dublińczycy, to banda pogan.

– Nie, nie wyglądała jak Matka Boska – odparłam.

– Zastanów się. Niebieska suknia? Aureola? Małe dziecko?

– Jestem pewna, że nie.

Wiedziałam, co chodzi po głowie Bossowi: jak zarobić trochę szmalu. Próbował mi wmówić, że objawiła mi się Matka Boska, by móc uczynić Knockavoy nowym miejscem pielgrzymek dla katolików.

– Daj spokój – wtrącił Profesor. – Nie było świadków. W Rzymie by tego nie kupili.

– Cholerni służbiści – mruknął Boss. – W każdym razie owszem, Rossa Considine to sympatyczny gość, z wyjątkiem tego, że ciągle wspina się po górach albo spuszcza liny do jaskiń. Pracuje dla departamentu ochrony środowiska. W jakimś tam zespole doradców do sprawy recyklingu. Prawdziwy zawód. Pamiętam, jak ludzie rzeczywiście mieli prawdziwe zawody. Pracowali w banku. Albo w biurze. Teraz to są sami projektanci stron internetowych i... i... terapeuci kognitywno-behawioralni, no i tacy jak ty. Styliści. Niepotrzebne, bezsensowne zawody.

Nic nie odpowiedziałam. Ale poczułam się urażona. Miałam ochotę rzec: „Ja przynajmniej mam pracę. W przeciwieństwie do waszej trójki, wy piwkujące wałkonie”.

Nagła zmiana nastroju. Jeden z mężczyzn z konkurencyjnego Kącika Pijackiego zawołał:

– Wyrecytuj coś, Profesorze!

Okazało się, że Profesor zna całe tomy koszmarnej poezji. Nie potrzebując dalszej zachęty, odkaszlnął, przymknął oczy i „wyrecytował” coś, co się nazywało *Zielone oko żółtego bożka*.

Potwornie długo to trwało.

Środa, 24 września, 8. 01

Obudziło mnie trzaśnięcie drzwi wejściowych (nie moich). Wskoczyłam z łóżka i popędziłam do drugiego pokoju, z okna którego zobaczyłam, jak Podpalacz Considine wychodzi do pracy.

Dziwne to wszystko bardzo. Podpalacz Considine miał w swoim domu kobietę. W porządku. Ale kobietę w sukni ślubnej? I nikt w miasteczku nie wiedział o jego ślubnych planach? No a potem jeszcze to palenie sukni w ognisku?

A może ją porwał i zabił? Ale to absurd. Gdyby została porwana, nie obracałaby się radośnie w sukni Very Wang. Na mój widok waliłaby w szybę i wołała bezgłośnie: „Pomocy! Jestem przetrzymywana wbrew własnej woli przez ekologa!”.

Tajemnica. Bezsprzecznie tajemnica.

Czwartek, 25 września, 11. 27

Zadzwoiła komórka. Numer miejscowy. To był ten lisi koleś od zasiłków. (Lisi nie w sensie, że seksowny, ale że przebiegły.) Chciał się ze mną spotkać.

– Jaki niejasny dokument chce pan, abym przywiozła? – zapytałam.

– Nie, chciałbym się spotkać z panią poza pracą. Spodobałam się lisiemu urzędnikowi! Kurdemol! Jeśli

chcę dostać zasiłek, to będę się musiała z nim przespać!

Jednak kiedy o tym pomyślałam, niewiele mnie to obeszło. O ile tylko będę mogła jedynie leżeć.

– Proszę posłuchać, panie Zasiłkowy...

– Noel, proszę mi mówić Noel – wtrącił.

Zasiłkowy Noel. Okej, powinnam to zapamiętać.

– Noel – rzekłam. – Właśnie skończył się mój związek, nie jestem w dobrej formie...

– Nie dlatego chcę się z tobą spotkać. Och?

– Wyjaśnię na miejscu. A tymczasem hasło przewodnie to dyskrecja. Nie możemy się spotkać w Ennistymon. Ściany mają uszy.

– Przyjedź do Knockavoy.

– Nie...

– Tutaj też ściany mają uszy?

Powiedziałam to z sarkazmem, ale on odparł jedynie:

– Dokładnie tak.

Dokładnie tak? Na litość boską!

– Znasz Miltown Malbay? – zapytał.

Miltown Malbay, następne miasteczko na wybrzeżu za Knockavoy.

– Spotkajmy się tam jutro wieczorem o dziesiątej. Lenihan's, Miltown Malbay. Nie dzwoń pod ten numer. I rozłączył się.

Piątek, 26 września, 8. 08

Obudziło mnie „bipnięcie” klaksonu. Wstałam z łóżka i poszłam do drugiego pokoju wyjrzeć przez okno. Przed sąsiednim domem stał brudny samochód terenowy z włączonym silnikiem. W samochodzie jakiś facet. Niewiele go było widać z powodu ubłoconych szyb, ale ogólne wrażenie rozbuchanej samczej siły.

Trzaśnięcie drzwi wejściowych. Na progu pojawił się Rossa Considine w traperkach, polarze North Face i z plecakiem. Przez ramię miał przewieszony zwój lin, z których zwisały jakieś małe metalowe przedmioty.

Ruszył w stronę ubrudzonego busu wycieczkowego i wykrzyknął jakieś wczesnoporanne męskie powitanie. (Coś w stylu: „Nie spodziewałem się, dziewczyny, że dacie radę zwlec się dziś z łóżka po tych wszystkich piwach, jakie wczoraj wypiliśmy”. Nie usłyszałam tego dokładnie, ale ton głosu był jasny.)

Nagle, jakby wyczuł, że jest obserwowany, odwrócił głowę ponad odzianym w polar ramieniem i spojrzał na chatę wuja Toma. Nerwowo cofnęłam się od okna. Ale za późno. Widział mnie. Rossa Considine posłał mi krzywy uśmiech, mówiący: „Przyłapałem cię, ty szpiegująca dziwaczko”,

pomachał mi sarkastycznie, otworzył drzwi samochodu, wsiadł do środka, po czym odjechał, rozpryskując naokoło błoto.

22. 12

Lenihan's, Miltown Malbay

Zasiłkowy Noel siedział w ustronnym kącie, spiczaste kolano skrzyżowane nad drugim spiczastym kolanem, spiczaste łokcie na stoliku. Rozejrzał się, a ja mogłam dokładnie przyjrzeć się jego całej lisiej spiczastości. Gdyby się na niego przewróciło, można by doznać całkiem poważnej rany klutej.

Wstał, wpuścił mnie do kąta i wyszeptał:

– Ktoś widział, jak tu wchodziłaś?

– Nie wiem. Nie mówiłaś, żebym się zakradała.

– Tak, wiem, ale to sprawa mocno poufna. Czekałam.

– Chodzi o twoją pracę – kontynuował po chwili. – Bycie stylistką.

Pomagałaś kiedyś w szukaniu ubrań w trudnych do znalezienia rozmiarach?

A więc o to chodziło?

– Oczywiście – odparłam. – Prawdę powiedziawszy, to specjalizuję się w tym. Pracowałam dla żony bankiera inwestycyjnego, która musiała bywać na bezlitosnej liczbie galowych kolacji, ale, co było niezwykle jak na żonę bankiera inwestycyjnego, nosiła rozmiar czterdzieści dwa.

– A dodatki?

– Zajmuję się wszystkim. Buty, torebki, biżuteria, bielizna.

– No bo wiesz, mam przyjaciółkę – rzekł. Zabrzmiało to nerwowo. Nagle oświadczył, niemalże z bólem: – Wiesz, jestem żonaty! I mam przyjaciółkę.

Ma żonę i dziewczynę? To dowód na to, że wyglądem to nie wszystko. Być może jest świetny w opowiadaniu dowcipów.

– Moja dziewczyna. Lubię kupować jej ładne rzeczy. Ale ma ona problem z dostaniem butów w swoim rozmiarze. Mogłabyś pomóc?

– Jestem pewna, że tak. Jaki ma rozmiar stopy? Po kłopotliwie długiej ciszy rzekł:

– Czterdzieści pięć i pół.

Czterdzieści pięć i pół! Czterdzieści pięć i pół to **KAJAK**. Nawet większość mężczyzn nie ma tak dużych stóp.

– ... To dość spory rozmiar, ale zobaczę, co da się zrobić...

– A jakieś ubrania dla niej?

– Jaki nosi rozmiar?

Patrzył na mnie. Patrzył, i patrzył, i patrzył.

– No co? – zapytałam. Zaczynał mnie przerażać.

Wypuścił głośno powietrze, tak jakby podjął decyzję, po czym powiedział:

– Słuchaj. – Na jego twarzy nieopisany ból. – Umiesz dochować tajemnicy?

Boże – jęknął, chowając twarz w dłoniach.

Podniósł głowę i ku swemu zdumieniu ujrzała, że jest mokra od łez.

– Tak bardzo cię przepraszam, tak cholernie cię przepraszam. Jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało, jedynym, co jest dobre. Wybacz mi, na rany Jezusa, powiedz, że mi wybaczysz. To już się nigdy nie powtórzy. Nie wiem, dlaczego to się stało. Stres w pracy długo się już kumulował, ale żeby wyżyć się akurat na tobie... – Urwał i rozplakał się na dobre. – Jakim zwierzęciem mnie to czyni? – jęknął.

– Już dobrze. – Dotknęła go niepewnie. Nie mogła znieść tego, że jest tak zdruzgotany.

– Dziękuję ci! Dzięki Bogu.

Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował, i choć jej rozcięta warga była teraz wrażliwa na dotyk, pozwoliła mu.

– O Boże.

GRACE

Tata otworzył drzwi i zapytał:

– Co się stało z twoją twarzą? – Po czym zerknął mi przez ramię, automatyczny gest, by się upewnić, czy nie zajęłam jego miejsca parkingowego. – Co zrobiłaś z samochodem? Nigdzie go nie widzę.

– To dlatego, że go tu nie ma. – Zeszłam za nim po schodach do kuchni.

– Skoro już o tym mowa, to mój samochód znajduje się na obwodnicy Tallaght, spalony na wiór.

– Ukradziono ci go?

– Nie, sama zrobiłam to wczoraj wieczorem. W telewizji nie leciało nic ciekawego. Oczywiście, że mi go ukradziono!

– Ach, moja droga, moja droga. „Kiedy kogo nawiedzają smutki, to nigdy luzem, a zawsze gromadnie”*. – Tata zawsze tak mówi. A to dlatego, że tata to intelektualista. – *Hamlet*. Akt czwarty, scena piąta – poinformował mnie.

– Gdzie mama?

– Z Bid. – Bid to siostra mojej matki, która mieszka z moimi rodzicami od czasu, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie. – Odbiera ją z chemii.

Wzdrygnęłam się. Dziesięć dni temu u Bid zdiagnozowano raka płuc. Potrzeba było czasu, żeby się z tym oswoić.

– Boże, tu jest pioruńsko zimno.

* *Tłumaczenie Józef Paszkowski*

Nawet w środku lata w tym domu jest zawsze zimno. Jest duży, stary i nie ma centralnego ogrzewania.

W kuchni oparłam się o wielki, żeliwny piec Aga. Usiadłabym na nim, gdybym się nie bała, że się usmażę. (Aga! Mówię wam. W mieście.)

– Chcesz się dowiedzieć, jakie są te inne smutki? – zapytał tata.

– Jest ich więcej?

– Mama mówi, że musimy rzucić fajki. Wszyscy. – Spiorunował mnie wzrokiem, by podkreślić znaczenie swych słów.

– Nie tylko Bid. My wszyscy. A ja jestem bardzo przywiązany do moich fajek – dodał smutno.

Wiedziałam, co on czuje. Nie potrafiłam sobie wyobrazić życia bez nikotyny.

Wyrzałam przez okno, pogrążona w papierosowej zadumie. W ogrodzie na tyłach domu Bingo uganiał się za pszczołą. Z zapalem podskakiwał i potykał się o własne łapy. Wyglądał, jakby był chory umysłowo.

Tata zobaczył, na co spoglądam.

– Wiem, że to urwis, ale go kochamy.

– Ja też go kocham. No i już dawno nie uciekł. – A jeśli nawet, to nie zaangażowano mnie do jego szukania.

– Jesteś ranna – rzekł tata. – Znowu się biłaś pod pubem, co? Zaczekałam. Siniaka już prawie nie było widać i miałam dość opowiadania o tym.

– To taka głupia historia...

– Czekaj... – Wydawało się, jakby nagle coś dostrzegł.

– Grace! Czy ty znowu rośniesz?

– Co takiego? Nie! – Mam tylko metr siedemdziesiąt dwa, ale oni robią ze mnie dziwoląga.

– Ależ tak! Spójrz tylko na nas, jesteśmy tego samego wzrostu, ty i ja! A nigdy wcześniej nie byliśmy. Popatrz!

– Przywołał mnie gestem, bym stanęła obok niego i zmierzył dłonią czubki naszych głów. – Zobacz!.

Miał rację.

– Tato, mój wzrost nie uległ zmianie. – Machnęłam bezradnie rękami. – Nie wiem, co powiedzieć. To widać ty się kurczysz.

– Auć! To starość. Jest pozbawiona godności. Smutki... i tak dalej...

Tata był drobnokościstym mężczyzną ze smutnymi oczami i dużym nosem. Razem z tym nosem i papierosami mógł uchodzić za Francuza. Podczas wakacji, raz we Włoszech i raz w Bułgarii, naprawdę brano go za Francuza, a jemu sprawiło to niebywałą radość. Uważa, że Francuzi to najbardziej cywilizowana nacja na świecie. Kocha, kocha, po prostu kocha J. P. Sartre'a. Także Thierry'ego Henri.

Usłyszałam, jak drzwi wejściowe otwierają się i zamykają. Wróciły mama i Bid.

– Jesteśmy w kuchni! – zawołał tata.

Zbiegły po schodach, po drodze ściągając rękawiczki i rozpinając płaszcze, i narzekając na niewielki rozmiar monet dziesięciocentowych (wyraźnie kontynuując rozmowę, jaką odbywały w samochodzie). Bardzo były do siebie podobne, obie drobnej postury, z wyjątkiem tego że ciocia Bid była na wpół łysa, a jej skóra miała kolor moczu.

– Bid... ? – zapytałam bezradnie.

– Świetnie się czuję. – Nieprzekonująco próbowała mnie uspokoić. – Tylko mnie nie przytulaj, mogę zwymiotować.

– Grace! – ucieszyła się mama na mój widok. – Nie widziałam przed domem twojego samochodu. – Zmarszczyła czoło. – Co ci się stało w twarz?

– Jej samochód został skradziony i spalony na obwodnicy Tallaght – wyjaśnił tata. – A ja się kurczę.

– Och! Och, Grace! – Mama się zasmuciła. – „Kiedy kogo nawiedzają smutki, to nigdy luzem, a zawsze gromadnie”. *Hamlet*, akt czwarty, scena piąta. – (Mama także jest intelektualistką.) Dotknęła lekko palcem mojej kości policzkowej. – Co ci się stało? No bo przecież nie zrobił tego Damien!

Nie mogłam się nie roześmiać.

– Damien to przystojny mężczyzna – oświadczyła chrapliwym głosem ciocia Bid.

– A co to ma z tym wszystkim wspólnego?

– Nic. Tak tylko mówię. Nie zwracajcie na mnie uwagi, nie jestem sobą. Chyba usiądę. – Wszyscy skoczyliśmy, by pomóc jej usiąść na krześle, skąd kontynuowała swoją nieoczekiwaną mowę: – Zawsze podobali mi się mężczyźni o mocnej budowie. Tak sobie myślę, że nagi Damien ma wspaniałe uda, co? Ma? – zapytała, kiedy nie odpowiedziałam. Byłam zbyt zdumiona. Nagie uda! Czy rak mógł mieć przerzuty na mózg?

– Eee, tak, chyba ma.

– No i oczywiście posepny; nie ma nic równie ponętnego jak posepny mężczyzna. – Westchnęła tęsknie. – Ta inteligencja, ta wrażliwość, ta zasadnicza niepoznawalność.

Tu akurat się myliła. Z udami mogłam się zgodzić, ale nie z ponętnością posepności. Co nie znaczy, że Damiena można było nazwać Heathcliffem.

– Gdyby Damien mnie kiedyś uderzył – próbowałam przejąć kontrolę nad tą rozmową – też bym go walnęła i on doskonale o tym wie.

– Kotku, jeśli cię kiedykolwiek tknie, pamiętaj, że zawsze czeka tu na ciebie wolne łóżko. – Mama na wszystko ma radę.

– Dzięki, mamó, ale zimno by mnie zabiło.

Mama i Bid odziedziczyły ten dom, kiedy ich cioteczny dziadek Padraig – jedyny członek rodziny, który „dobrze się ustawił” – opuścił ten padół. Dom na Yeoman Road trzydzieści dziewięć stanowił obiekt zachwytu Georgiańskiego Towarzystwa Ochrony Zabytków: wysokie pomieszczenia, gdzie lodowate powietrze mogło krążyć sobie leniwie; oryginalne okna z małymi szybkami, które uprzejmie dawały prawo wstępu przeciągom i pobrękiwały niczym pudełko ze sztucami za każdym razem, gdy ulicą przejeżdżała ciężarówka.

Wszyscy inni mieszkańcy Yeoman Road – tędzy ginekolodzy i właściciele agencji nieruchomości – kupili swoje domy za własne pieniądze. A jeszcze więcej zapłacili za ogrzewanie podłogowe i ergonomiczne niemieckie kuchnie oraz za lakierowanie drzwi wejściowych, tak by były lśniące i pewne siebie jak uśmiech polityka.

Mamy i taty, wyzywających w swej sfatygowanej, chłodnej dystynkcji, nigdy nie zaproszono do Stowarzyszenia Mieszkańców Yeoman Road, głównie dlatego, że tematem zebrań byli oni i fakt, że od czternastu lat nie odmalowali elewacji.

– Bid, chcesz herbaty? – Tata stał z czajnikiem w ręce.

Zrobiła przeczący gest.

– Chyba pójdę na razie na górę i zwymiotuję.

– Grzeczna dziewczynka.

Gdy tylko biedna Bid wyszła, natarłam na mamę.

– O co jej chodzi? Z tym gadaniem na temat Damiena?

Mama pokręciła ze smutkiem głową.

– Czyta harlequiny. Jest zbyt chora, by skoncentrować się na czymkolwiek innym. Te książki to trucizna. Rafinowany cukier dla mózgu.

– Tata mówi, że rzucacie palenie?

– Zgadza się. Musimy zapewnić Bid wsparcie. Prawdę mówiąc, Grace, to gdyby wiedziała, że ty także rzuciłaś palenie, naprawdę by to doceniła.

– Eee...

– Poproś o to także Damiena.

– Boże, nie wiem, czy mogę...

– Solidarność! Śmiało, on się śmiertelnie ciebie boi.

Wcale nie, mamó. – Wszyscy się ciebie boją. – Ach, mamó...

– Opowiedz mi, co się stało z twoim samochodem.

Westchnęłam.

– Nie ma wiele do opowiadania. Wczoraj wieczorem stał pod domem, a rano już go nie było. Zadzwoiłam do gliniarzy i znaleźli go spalonego na obwodnicy Tallaght. Takie rzeczy się zdarzają. Tyle że jest to potwornie upierdliwe.

– Miałaś ubezpieczenie? – zapytała mama, co z kolei podziało na tatę jak płachta na byka.

– Ubezpieczenie? – zawołał. – Jakby to miało jakieś znaczenie. Sprawdź to, co jest napisane małym drukiem na twojej polisie, Grace, a nie będę zaskoczony, jeśli się okaże, że jesteś ubezpieczona od absolutnie wszystkiego, z wyjątkiem spalenia pojazdu na obwodnicy Tallaght w czwartek pod koniec września. Ci ubezpieczyciele to banda amoralnych oszustów. Zbijają kasę na stawianiu zwykłego człowieka pod ścianą, straszaniu go ubóstwem,

wyciąganiu miliardów rocznie z jego mizernej pensji, nie mając zamiaru wywiązać się ze swoich obowiązków ubezpieczyciela...

Wyglądało na to, że tacie temat szybko się nie znudzi, więc odpowiedziałam mamie:

– Miałam ubezpieczenie, ale jak mówi tata, na pewno wytną jakiś numer, więc nie dostanę wystarczająco pieniędzy, bym mogła sobie kupić inne auto. – Przeszyło mnie dotkliwe poczucie straty. Kochałam ten samochód: zrywny i zwrotny, seksowny, tylko mój. Pierwszy nowy samochód w moim życiu i cieszyłam się nim tylko przez cztery miesiące. – Będę musiała wziąć kredyt albo wymyślić coś innego.

To doprowadziło tyradę taty do nagłego końca. On i mama szybko, wręcz z niecierpliwością, zacytowali chórem:

– „Pożyczek nie bierz ani nie udzielaj, bo dług to zawsze strata – czy pieniędzy czy przyjaciela”*.

Pokręciłam głową.

– Was nie będę brała pod uwagę.

– I bardzo dobrze. Nie da się o nas powiedzieć, byśmy mieli kupę kasy – powiedział tata.

– Będę uciekać.

– Dokąd?

– Do fryzjera. Farbowanie.

Mama nie pochwałała wizyt w salonie fryzjerskim. Swoje krótkie siwe włosy sama strzygła „pod garnek” nożyczkami do obcinania paznokci. Nawet tata bardziej przejmował się wyglądem. W wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat srebrzyste włosy wciąż miał gęste i raz w miesiącu bywał w salonie

fryzjerskim „Champion”, gdzie obcinano go w jego ulubionym stylu paryżanina intelektualisty rodem z 1953 roku.

Nie było już słycać wymiotującej cioci Bid w toalecie na górze (jedynej).

– Wiesz, ile Irlandki wydają rocznie na pielęgnację włosów? – zapytała mama. – To pieniądze, które można by lepiej wydać na...

– Proszę, mamó, to tylko kilka pasemek! – Teatralnym gestem pokazałam na mój czarny spodnium i buty na płaskim obcasie. – Trudno nazwać mnie Barbie!

W salonie mój siny policzek wywołał poruszenie.

– Musiałaś go naprawdę wkurzyć – stwierdziła Carol. – Co takiego zrobiłaś? Przypaliłaś obiad? Zapomniałaś mu wyprać bokserki?

Pomyślałam o mamie i miałam ochotę powiedzieć coś kwaśnego w stylu: „Przemoc w rodzinie to nic zabawnego”. Ale trzymałam buzię na kłódkę. Nikt przy zdrowych zmysłach nie ściera się ze swoją fryzjerką.

– Jestem dziennikarką – rzekłam więc. – Coś takiego jest nieodłączne.

– Ty? Ty piszesz o karmieniu piersią i pijanych nastolatkach. Reporterem kryminalnym to ty nie jesteś.

Carol dobrze mnie znała. Chodziłam do niej od lat. Nie miała zbyt dużej wyobraźni, ale to tak samo jak ja. Zawsze chciałam jedynie, by farbowała mi moje mysie odrosty na blond. Nie chciałam balejażu ani pasemek czy czegoś wymyślnego, a traf chciał, że ona nie umiała tego robić. To był układ, który odpowiadał nam obu.

– Powiedz mi, co się stało – rzekła.

– Nie uwierzysz.

– No ale i tak mi powiedz.

– Przewróciłam się na ulicy. Potknęłam się o obluzowaną płytę w chodniku przed Trinity i padłam jak długa na twarz. Widzieli mnie wszyscy ludzie czekający na 16A. Wielu się śmiało.

Carol sądziła, że nie mówię jej prawdy, zostawiła więc farbę zbyt długo i spaliła mi skórę na głowie.

Padał deszcz. Na przystanku znalazłam się akurat w godzinach szczytu i aby dostać się do autobusu, musiałam się przepychać wśród – zdawałoby się – setek nastoletnich uczniów, a kiedy dałam sobie spokój, ponieważ autobus był już pełen, mój nastrój mocno się pogorszył. Było mi smutno z powodu cioci Bid, mimo że była z niej przekorna stara torba, i smutno z powodu mojego samochodu. I strasznie się bałam, że być może będę musiała rzucić palenie.

Pomimo tego że całe stado nastolatków wlało się tłumnie do autobusu – mojego autobusu, zajmując moje miejsce – na przystanku zostało ich jeszcze strasznie dużo. Kwaśno się przyglądałam, jak wymachują do siebie swoimi torbami na ramię i puszczają w obieg papierosa. Uznałam, że nie znoszę nastoletnich chłopców. Po prostu nie znoszę. Nie znosiłam ich pryszczycy i hałaśliwości i nie znosiłam tego, że są w różnych rozmiarach. No bo spójrzcie tylko na nich! Niektórzy to miniaturowe gnojki o wzroście metr dwadzieścia, inni zaś to prawie dwumetrowe pacany ze zbyt długimi rękami, którymi szurali po ziemi, a wszyscy razem tworzyli absurdalnie niedopasowaną gromadę.

Moje niezadowolone spojrzenie przesunęło się na grupę dziewcząt, ukradkowo obserwujących chłopców spod wytuszowanych rzęs, i uznałam, że ich także nie znoszę. Ich afektowanego śmiechu i smrodu sztucznych truskawek i dwucentymetrowej warstwy lepkiego błyszczycy, dosłownie skapującego z ich wydętych ust. Także tego, że pogardzały mną za to, że jestem stara (trzydzieści pięć lat) i nie chodzę w szpilkach ani się mocno nie

maluję. *Jeśli kiedyś zmienię się w nią, to mnie zastrzel.* Raz usłyszałam, jak jedna z nich mówi coś takiego! (Co było strasznie niesprawiedliwe, ponieważ wtedy zdążyłam akurat spędzić czterdzieści dziewięć godzin na zimnym, pełnym błota polu, bez łazienki czy automatu do kawy, próbując zdobyć materiał do artykułu. Dlatego właśnie nie zajmuję się już trudnymi newsami. Zbyt dużo czasu trzeba wtedy poświęcać na moknięcie na zacinającym deszczu.)

Użalając się nad sobą, wysłałam Damienowi esemesa.

Gotujesz dziś?

Nie. A ty?

Westchnęłam i schowałam telefon z powrotem do kieszeni. Pójdziemy więc na coś hinduskiego.

Zza rogu wyłonił się kolejny autobus i tłum rzucił się do przodu. Boże, to było takie stresujące. Zacisnęłam zęby z ponurą determinacją. Wsiądę do tego autobusu, Bóg mi świadkiem. (Prawdę mówiąc, to prawdopodobnie nim nie był. Nie, jeśli wierzyć listom od czytelników oświadczających mi, że usmażę się w piekle.) A jeśli któryś z tych przyszczatych prymitywów spróbuje mnie tknąć, walnę go łokciem w śledzionę. Uszczypnij mnie w tyłek raz i uniknij kary – wstydz się. Uszczypnij mnie w tyłek dwa razy i uniknij kary – niech ja się wstydzę.

Tym razem wsiadłam. Udało mi się nawet usiąść i próbowałam oddać się czytaniu Dennisa Lehane'a, ale droga trwała nieznośnie długo, a na każdym przystanku wsiadała i wysiadała cała populacja Irlandii i co jakiś czas musiałam odkładać książkę i wzdychać głośno, demonstrując swoje wkurzenie.

Plus był taki, że przynajmniej będę miała o czym napisać w przyszłotygodniowym felietonie. Tak czy inaczej dzień był do dupy. Nie

codziennie kradną i palą ci samochód, i choć nie było to nic osobistego – a przynajmniej taką miałam nadzieję... na przestrzeni lat obraziłam jedną czy dwie osoby, no ale chyba nie wkurzyłam ich aż do takiego stopnia? – i tak zachowywałam się lekko paranoicznie, jakby świat nie był zbyt sympatycznym miejscem, którym oczywiście nie był, ale przez większość czasu mi to nie przeszkadzało.

Byłam głodna. Nie wiem, jak do tego dopuściłam. Bałam się długich godzin bez jedzenia i byłam zwolenniczką najadania się na zapas, jedzenia nawet wtedy, kiedy nie jest się głodnym, byle tego uniknąć.

Poczułam wibrowanie w kieszeni i kiedy wyjmowałam z niej telefon, niemal zepchnęłam na ziemię siedzącą obok mnie kobietę.

– Nie spodoba ci się moja wiadomość. – To była jedna z zastępczyń, Hannah Leary. – Big Daddy'emu nie podpasował twój felieton. Nie jest wystarczająco kontrowersyjny. Słuchaj, ja jestem tylko posłańcem. Możesz przesłać inny?

– Kiedy? – Wiedziałam kiedy. Było mi to po prostu nie na rękę.

– Za pół godziny.

Zamknęłam z trzaskiem telefon i poczułam ból w ręce. Ciągle o niej zapominam. Tym razem z większą ostrożnością wyjęłam z torby laptop, jeszcze raz przeprosiłam tę nieszczęsną, siedzącą obok mnie kobietę za to, że pcham się z łokciami, i zabrałam się za pisanie.

Ma być kontrowersyjnie? Proszę bardzo.

Do domu dotarłam za dziesięć ósma. Był to szeregowiec z czerwonej cegły na „ekskluzywnych przedmieściach Donnybrook”. (Cytuję agenta nieruchomości.) Ładny dom, bardzo czarujący i oryginalny. I niesamowicie mały.

To oczywiste, że nie znajdował się w samym centrum Donnybrook, ponieważ gdyby tak było, kosztowałby nas o wiele więcej i nie trzeba by tak długo iść od przystanku autobusowego pod apteką Donnybrook. Prawdę powiedziawszy, to żaden ze sklepów niedaleko nas nie miał w nazwie słowa „Donnybrook”. Nie był to dobry znak. Być może wcale nie mieszkaliśmy w Donnybrook. Być może zostaliśmy nabici w butelkę przez agenta nieruchomości i tak naprawdę mieszkaliśmy w Ranelagh, która to dzielnica nie była nawet w połowie tak przyjemna.

Damien – ten od potężnej sylwetki i pięknych nagich ud – stał przy kuchennym blacie, przed nim leżała otwarta gazeta, on zaś malował na czarno zęby na zdjęciu Bono. Wyglądał na wykończonego.

– Nareszcie! – oświadczył. Wzdrygnął się, jak za każdym razem, gdy widział moją posiniaczoną twarz. – Właśnie miałem ci wysłać esemesa. Co tak długo?

– Cholerny autobus. – Rzuciłam torbę i zaczęłam rozpinąć kurtkę. – Dziesięć minut na każdym przystanku.

– Przepraszam, że nie zadzwoniłem do ciebie przez cały dzień – rzekł. – Podczas sesji w Dail wybuchł mały skandal i wszyscy zabrali się do dzieła.

Machnięciem ręki zbyłam jego przeprosiny. Damien był także dziennikarzem, korespondentem politycznym w „Press”. Wiedziałam, co to znaczy napięty termin.

– Co miała do powiedzenia firma ubezpieczeniowa? – zapytał.

– Ha! Spodoba ci się. Gdyby mój samochód po prostu zniszczono, miałabym prawo do samochodu zastępczego do czasu, aż go naprawią. Ale ponieważ to wrak, mogę zapomnieć o samochodzie zastępczym. Możesz w to

uwierzyć? Cały ranek do nich wydzwaniałam, nic nie zrobiłam w pracy. Jacinta nie była zadowolona...

– ... Jacinta nigdy nie jest zadowolona.

– A potem wyszłam wcześniej, żeby iść do fryzjera.

– Ładna fryzura – rzekł pospiesznie. Roześmiałam się.

– Jak długo trzeba czekać na pieniądze z ubezpieczenia? – zapytał.

– Wiem tyle samo co i ty. A kwota, jaką otrzymam, i tak nie starczy na nowe auto. – Z ponurą miną rozpięłam kozaki.

– Nie zdejmuj ich. Zakładaj z powrotem kurtkę, chodźmy do Hindusa po coś na wynos. – Podszedł i mnie przytulił. – Grace, wszystko sobie spokojnie policzymy, zobaczymy, czy dadzą nam teraz w banku kredyt na nowe auto. A do tego czasu mogę cię wozić do pracy na motorze.

Damien był zbyt niecierpliwy, by jeździć samochodem. Zamiast tego jeździł slalomem w dublińskich korkach na czarno-srebrnym kawasaki. (Mama nazywa ten motor Kamikadze. Martwi się.)

– Ale będziesz musiał nadkładać kawał drogi.

Siedziba „Press” mieściła się w nieszczęsnej strefie przemysłowej przy autostradzie M50, gdzie można kupić osiem tysięcy skanerów, ale ani jednej kanapki, natomiast „Spokesman” miał swoje biura w centrum miasta.

– Nie szkodzi. Jesteś tego warta. No więc jak się czuje Bid?

– Kiepsko. Ni z tego, ni z owego oświadczyła, że masz świetne uda, kiedy jesteś nagi.

– Jezu! Skąd jej się to wzięło?

– Znikąd.

Zamilkł i na chwilę pograżył się we własnych myślach. Następnie zaśmiał się.

- Boże. No ale jak jej organizm reaguje na chemię?
- Wyglądała okropnie. Jej skóra miała kolor masła.
- Masła? Ale to ładny kolor. – Zastanowił się. – Może nie u ludzi.

Prawie osiem miesięcy temu Bid poszła do lekarza z powodu uporczywego kaszlu, który doprowadzał tatę do szaleństwa. Lekarz dał jej skierowanie na bronchoskopię, ale wolne terminy były dopiero za siedem miesięcy. Kiedy wreszcie się doczekała, od razu zdiagnozowano nowotwór. Z lewego płuca wycięto dziesięciocentymetrowego guza, ale jej węzły chłonne charakteryzowała „metastaza pozytywna”. Tłumaczenie: nastąpiły przerzuty do węzłów chłonnych. (Na początku zmyliło mnie słowo „pozytywna”. Myślałam, że to znaczy coś dobrego.) Bid miała zostać poddana sześciu „agresywnym” chemiom, z czterotygodniowymi przerwami. Dopiero w lutym dowiemy się, czy chemia coś da. Gdyby zrobiono jej bronchoskopię od razu po tej pierwszej wizycie u lekarza, nowotwór nie miałby czasu na zaatakowanie węzłów chłonnych i teraz czułaby się już lepiej.

– Biedna Bid – powiedział Damien.

– Ach... posłuchaj. – Postanowiłam pójść za ciosem. – Cieszę się, że tak jej współczujesz, ponieważ mam ci do powiedzenia coś, co ci się nie spodoba. Mama i tata rzucają palenie. Ty i ja także.

Wpatrywał się we mnie. – W ramach solidarności – dodałam.

– Solidarność – mruknął. – Z Bid jest tak, jakbym miał drugą teściową. Jestem największym pechowcem na świecie.

Co jakiś czas Damien i ja rozmawialiśmy o rzuceniu palenia. Najczęściej wtedy, kiedy krucho było z kasą, a jedno z nas wyliczało, ile wydajemy na fajki. Zawsze dochodziliśmy do wniosku, że rzucenie palenia byłoby tym, co należy zrobić, jednak rzadko przechodziliśmy od słów do czynów.

– Martwię się o Bid – powiedział. – Potrzebuję papierosów.
– Wszystko pięknie, ale wymyśl coś innego.
– Grace, jeśli przestaniemy palić, to każde z nas przytyje dwadzieścia pięć kilo.

– Moglibyśmy znowu zacząć biegać. Przez jakiś czas świetnie nam szło.
– Łatwo biegać latem.

Byliśmy tacy dobrzy. Przez cały maj i czerwiec biegaliśmy wczesnym rankiem, w takich samych dresach, niczym para z reklamy kredytów hipotecznych. Miałam w zwyczaju obserwować nas z zewnątrz i zachwycać się tym, jak przekonująco wyglądamy. Czasami uśmiechałam się do ludzi wychodzących po gazetę. Raz czy dwa pomachałam nawet mleczarzowi. Nie odmachał, jedynie patrzył za nami podejrzliwym wzrokiem, zastanawiając się, czy przypadkiem nie robimy sobie z niego jaj. Z upływem tygodni czyniliśmy postępy, a nasza trasa wydłużała się. A potem w lipcu wyjechaliśmy na wakacje, gdzie jedliśmy i piliśmy bez opamiętania, i już nie wróciliśmy do biegania.

– Już sama rozmowa o rzuceniu palenia sprawia, że mam ochotę na papierosa. – Damien sięgnął po paczkę fajek w taki sposób, w jaki pobożne katoliczki sięgają po paciorki różańca. – No to wypalmy strzemiennego.

Usiedliśmy przed domem na schodku, delektując się papierosami, które zdawały się nam smakować jeszcze bardziej niż zazwyczaj.

Wydmuchnąwszy długiego dymka, Damien zmrużył oczy i zapytał:

– Mówisz poważnie?

– Mama wzbudziła we mnie poczucie winy – odparłam. Jest w tym mistrzynią. Jednak zawsze w zbożnym celu. – Jeśli Bid nie wyzdrowieje, a ja

nie przestanę palić, to będzie moja wina. I twoja także, Damienie Stapletonie – dodałam.

– Morderco.

– Popatrz na to. – Damien wziął do ręki pilota.

– Co to takiego?

– Zobaczysz.

Ekran zrobił się najpierw niebieski, a po chwili ożył. W drzwiach domu na przedmieściach pojawił się mężczyzna, młody mężczyzna. Miał przydługie brązowe włosy i wprost emanował seksem. Kroczył dumnie, bardzo pewny siebie.

– O mój Boże! – zakrzyknęłam. – Ile miałaś wtedy lat?

– O ile dobrze liczę to dwadzieścia.

Na ekranie Damien zatrzymał się i oparł o maskę samochodu, po czym uśmiechnął się leniwie prosto do kamery.

– Co? – zapytał jego głos. – Nagrywasz mnie?

– Tak – odparł dziewczęcy głos. – Powiedz coś.

– Na przykład co? – Roześmiał się nieco zakłopotany, ciut nieśmiały, ale zdecydowanie seksowny.

Boże, pomyślałam. Szesnaście lat temu. Połowa życia.

– Powiedz coś głębokiego – popędził go damski głos. Dwudziestoletni Damien wzruszył ramionami.

– Nie jedzcie żółtego śniegu.

– Taki jest twój przekaz dla świata?

– Praca to przekleństwo klasy pijącej! – Zasalutował z zaciśniętą pięścią.

– Władza dla ludu.

– Dziękuję ci, Damienie Stapletonie.

Ekran ponownie zrobił się niebieski. Koniec nagrania.

– Skąd to masz? – zapytałam.

– Od Juno.

– ... Juno? Jego byłej żony.

Jeśli mam być szczerą, brzmi to prawdopodobnie bardziej dramatycznie niż jest w rzeczywistości. Byli małżeństwem tylko trzy lata, od dwudziestego drugiego do dwudziestego piątego roku życia. (Tak, oboje; byli równolatkami, chodzili razem do szkoły.) To był typowy związek dwudziestolatków, jaki każdy ma w swoim życiorysie, jedyna różnica jest taka, że oni popełnili błąd i wzięli ślub.

Niemniej jednak... Obeszlibyśmy się bez kolejnej porcji wspomnień; wciąż jeszcze nie całkiem doszliśmy do siebie po ostatniej.

– Juno? – zapytałam Damiena. – Jak to się stało?

– Przegrywa wszystkie rodzinne kasety na DVD i natrafiła na to. Wysłała to mamie, a ona przesłała mnie. Powiedziała mamie, że będzie jeszcze więcej – dodał.

Damiena poznałam dziesięć lat temu podczas prasowej wycieczki na Phuket, kiedy pracowałam w „Timesie”. Damiena w ogóle nie powinno tam być; był poważnym korespondentem politycznym, który nie zajmował się opisywaniem wycieczek do Tajlandii, ale był spłukany i desperacko potrzebował wakacji, więc redaktor działu artykułów zlitował się nad nim.

Zwróciłam na niego uwagę na lotnisku w kolejce do odprawy. Stał w grupie innych dziennikarzy, ale jakoś tak na uboczu, i przysięgam na wszystkie świętości, że poczułam się tak, jakbym otrzymała cios w głowę.

Było w nim coś takiego – rezerwa, niezależność – że natychmiast mnie zafascynował.

Od razu wiedziałam, że będzie wybredny. Wręcz trudny w obsłudze. Wiedziałam, że będzie stawiać opór. Aż do wtedy nie rozumiałam tych kobiet, które miały o sobie tak niskie mniemanie, że zakochiwały się tylko w mężczyznach niedostępnych emocjonalnie. No a ja co zrobiłam?

Ale nic nie byłam w stanie na to poradzić. Spojrzałam tylko na tego mężczyznę – kimkolwiek on był – i pomyślałam: chcę właśnie ciebie. Ta cała sprawa nieźle mnie przestraszyła.

Przyparłam do muru Trionę (autorkę artykułów w „Independent”) i zapytałam:

– Ten facet tam... ?

– Damien Stapleton z „Tribune”?

– Tak. Znasz go?

– Tak, a co chcesz... co... ? O nie, Grace, nie. Zaskoczyła mnie. Sądziłam, że wszystkie inne także go

pragną i że będzie mnie czekać zażarta walka.

– On wcale nie jest w twoim typie. – W głosie Triony słychać było niepokój. – Jest zbyt... z nim nigdy nic nie wiadomo.

Słuchałam jej jednym uchem. Dostrzegałam właśnie dodatkowe szczegóły, drugą warstwę atrakcyjności. Miał świetne ciało. Wyglądające na silne. I choć nie można go było nazwać tyczkowitzem, był wystarczająco wysoki – to znaczy mojego wzrostu. (Może nawet kilka centymetrów wyższy.)

– Nie ma poczucia humoru – ostrzegła Triona. To najgorsze, co można było powiedzieć o Irlandczyku.

Ale ja potrafiłam go rozśmieszyć.

Podczas każdej wycieczki autobusowej i kolacji na Phuket robiłam tak, by siedzieć obok Damiena Stapletona. Nawet kiedy mieliśmy „czas wolny”,

okazywało się, że leżymy głowa przy głowie nad basenem. Ale jeśli czuł się zdeprymowany moim pojawianiem się wszędzie tam, gdzie był on, nie powiedział na ten temat ani słowa.

W tym tkwił cały problem – nie odzywał się prawie w ogóle. To ja mówiłam, mówiłam i mówiłam, przytaczając swoje najlepsze anegdoty i zabawne historie. Często wyglądał na skonsternowanego – bywało nawet, że udreżonego – ale ani na chwilę nie spuszczał wzroku z mojej twarzy, a raz na jakiś czas, jeśli powiedziałam coś, z czym się zgadzał, uśmiechał się potakująco albo nawet śmiał się cicho. Dla mnie stanowiło to wystarczającą zachętę do kontynuowania swoich zabiegów.

Wszyscy inni dziennikarze błagali mnie:

– Grace, dasz w końcu spokój temu biedakowi? Śmiertelnie się ciebie boi.

Nawet Dickie McGuinness z działu kryminalnego „Timesa” – który tyle czasu spędzał w towarzystwie kryminalistów, że zaczął nabierać groźnych cech – mruknął budzące postrach ostrzeżenie:

– Dobra rada, Grace. To mężczyźni lubią polować.

– Nie – odparłam wojowniczo. – Mężczyźni są leniwi i pójdą po linii najmniejszego oporu. I przestań patrzeć na mnie tak, jakbyś miał zamiar przyszpilić mnie do ściany. W ogóle nie powinno cię tutaj być, pracujesz w dziale kryminalnym.

– Potrzebowałam... wakacji – rzekł z naciskiem na drugie słowo.

– Jestem ci wdzięczna za twoją radę, Dickie. Choć prawdę mówiąc to nie, wcale nie jestem. I nie udzielaj mi żadnych więcej rad, ponieważ nie mam zamiaru przyjmować ich do wiadomości.

Prawda była taka, że nie potrafiłam trzymać się z dala od Damiena – szczerze mówiąc, zaszokowało mnie to – a on co jakiś czas ofiarowywał mi mały strzęp informacji, który mnie przekonywał, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Na przykład nie lubił rzodkiewek (ja też nie) ani wycieczek łodzią po Shannon (ja też nie). Lubił thrillery (ja też) i przesiadywanie do późna, a także powtórki kiepskich programów z lat osiemdziesiątych, takich jak *Magnum PI* i *Knight Rider* (ja też). Uważał, że wakacje spędzone na zbieraniu owoców to niezły kant. (Uważałam tak także ja i nikt inny. Pozostali bardzo je lubili.)

W poszukiwaniu rady zadzwoniłam do mojej siostry bliźniaczki, Marnie. Zaczytywała się poradnikami na temat związków. Przepelniała ją mądrość. Poza tym wiedziałam, że ona nie będzie się ze mnie śmiać.

– Opisz absolutnie wszystko – poprosiła. – Jak wyglądał, gdy zobaczyłaś go po raz pierwszy, co miałaś wtedy na sobie...

Już sama rozmowa o nim sprawiała mi przyjemność, więc nawijałam i nawijałam. Zakończyłam zdaniem:

– Powiedz mi, co mam zrobić.

– Ja? – zapytała Marnie. – Trudno mnie nazwać przykładem dziewczyny, która umie zdobyć faceta.

– Zdobywasz ich całe mnóstwo.

– I nigdy nie udaje mi się ich przy sobie zatrzymać. Jestem zbyt stuknięta.

Smutne, ale prawdziwe. Marnie wykazywała się wielką intuicją, ale raczej tylko w przypadku innych ludzi; nie potrafiła jej wykorzystać do tego, by uporządkować własne życie. Jej związki najczęściej kończyły się jakąś katastrofą. Ale w przeciwieństwie do mnie, zakochującej się mniej więcej raz

na dekadę, Marnie rzucała się w ramiona wielkich namiętności co drugi tydzień. Prawdę powiedziawszy, nasze nastawienie wobec miłości było podobne do naszego zdrowia: Marnie dopadał każdy krążący po okolicy wirus, ale szybko zdrowiała; ja z kolei prawie nigdy nie chorowałam, ale kiedy już coś mnie zmogło, nijakie przeziębienie przekształcało się w zapalenie oskrzeli, zapalenie migdałków i, pewnego pamiętnego grudnia, w pryszczycę (nie jest to takie zabawne, jak by można sądzić po nazwie).

– Jak bardzo jest to poważne? – zapytała Marnie.

– Zapalenie płuc. Obu płuc. Zapalenie opłucnej... i całkiem możliwe, że gruźlica.

– Kiepska sprawa... Ale choć boję się, że zabrzmię jak mama, najlepszą radą, jakiej ci mogę udzielić, to po prostu bądź sobą, Grace. Nikt nie jest lepszy od ciebie.

– Daj spokój...

– Ależ tak jest! Wiesz dokładnie, kim jesteś, nie dajesz sobie wciskać kitu, umiesz dzielić w pamięci, opowiedzieć dobrą historię, nie przeszkadza ci, jeśli złapie cię deszcz, a nie masz przy sobie parasolki...

– Ale czy nie powinnam uprawiać jakichś gierek? Udawać, że wcale mi na nim nie zależy? Och, Marnie, to takie beznadziejne! Jeśli facetowi podoba się kobieta, wysyła jej kwiaty...

– Ty nie chciałybyś kwiatów. Wyśmiałybyś je. Miała rację. Tak właśnie bym zrobiła.

– ... albo po prostu dzwoni do niej i się z nią umawia. Dlaczego kobietom tak nie wolno? Dlaczego musimy udawać, że czujemy coś zupełnie innego niż to, co naprawdę czujemy? To kolejny przykład na to, że kobiety robione są w balona...

– Czy ty wypróbujesz na mnie swój felieton?

– Nie. Nie. Nie. – Prawdę mówiąc, być może. Zakończyłam ze zniechęceniem: – Jest rozwiedziony.

– I co z tego? Każdy ma jakiś bagaż.

Wycieczkom prasowym zazwyczaj towarzyszyła rozpusta, ale ja zachowywałam się nienagannie. Skoro nie mogłam mieć Damiena, nie chciałam nikogo innego.

Nie zaskoczył mnie fakt, że na postoju taksówek przed lotniskiem nie poprosił o mój numer telefonu. A ja nie poprosiłam o to samo jego, ponieważ po dziesięciu dniach zmierzania donikąd przekaz stał się jasny nawet dla mnie.

Wiedziałam, jak trudno jest postanowić, że nie zależy ci na kimś po prostu dlatego, że temu komuś nie zależy na tobie. Nie da się wyłączyć serca z sieci. Ale byłam osobą praktyczną i bardzo się starałam. No więc Damien nie był zainteresowany, ale inni owszem. (Nie jakaś ogromna liczba, tego nie twierdzę, ale istniała jedna czy dwie możliwości.) Dałam więc szansę Scottowi Holmesowi, prowadzącemu hulaszczy tryb życia Nowozelandczykowi, który pracował dla „Sunday Globe”. Ale pomimo moich najlepszych chęci – a naprawdę się starałam, by go polubić – w najlepszym wypadku można go było porównać do lekkiego kaszlu.

Sporadycznie docierały do mnie plotki na temat Damiena – że wrócił do żony, że widziano go, jak wsiadał późnym wieczorem do taksówki z Marcellą Kennedy z „Sunday Independent”...

Raz na jakiś czas wpadaliśmy na siebie (pomimo mojej determinacji, by zostawić za sobą tę nieodwzajemnioną miłość, zakolegowałam się z ludźmi z „Tribune” i nawet czasami wymykałam się na ogłoszenie jakiegoś manifestu politycznego), a on na mój widok zawsze sprawiał wrażenie zadowolonego.

Cóż, może niezupełnie zadowolonego – nie tak jak cocker spaniel, kiedy jego pan wraca do domu – ale odpowiadał na moje pytania bez wyraźnej niechęci.

Impreza z okazji trzydziestych urodzin Lucindy Breen niczym się pod tym względem nie różniła. Był późny wieczór i czułam się lekko wstawiona, lekko niebezpieczna i lekko rozgniewana, choć to nie jego wina, że mu się nie spodobałam.

– Jak się masz, Grace?

Bolał mnie nawet sposób, w jaki wypowiadał moje imię.

– Jestem zła. Dlaczego mężczyźni mają we wszystkim dużo łatwiej?

– Naprawdę?

– Mogą sikać na stojąco. – A potem przeszłam od ogółu do szczegółu. – A kiedy ktoś im się podoba, to mogą po prostu zaczepić tego kogoś i powiedzieć coś tandetnego.

– Na przykład?

– Na przykład... czy gdybym powiedziała, że masz piękne ciało, miałbyś mi to za złe?

– Tak – odparł. – Tak co?

– Tak, miałbym ci to za złe.

Na dobre dziesięć sekund oniemiałam.

– Naprawdę?

– Tak. Myślałem, że nigdy nie zapytasz.

I znowu oniemiałam.

– Dlaczego ja powinnam o to pytać? To ty jesteś mężczyzną.

– Grace Gildee, nie miałem pojęcia, że jesteś romantyczką.

– Nie jestem.

– Tak właśnie sądziłem.

– Ale gdybyś był... zainteresowany... jesteś zainteresowany, prawda? Nie robię z siebie teraz idiotki, co?

–Nie.

–Nie?

– Nie, nie robisz z siebie idiotki. Tak, jestem zainteresowany.

Czy to się działo naprawdę?

– Dlaczego więc nic mi o tym nie powiedziałeś?

– Nie byłem pewny. Zachowywałaś się przyjacielsko, ale ty tak się zachowujesz wobec wszystkich... Na długo wypadłem z gry.

Nie mogłam uwierzyć, że to mówi. Było tak, jakby moje prawdziwe życie i to w marzeniach nagle się połączyły. Z jego ust wydobywały się dokładnie te słowa, o których marzyłam.

– Jesteś taka pełna życia – powiedział. – Sądziłem, że nigdy nie będę dla ciebie wystarczająco dobry. Słoneczko.

–Co?

– To moje imię dla ciebie. Słoneczko Gildee. Ponieważ mnie oślepiasz i oszałamiasz.

Miał dla mnie imię?

Fragment felietonu z serii „Bez cukru” ze „Spokesmana”, autorstwa Grace Gildee, sobota, 27 września

Nie znoszę nastoletnich chłopców. Nie znoszę ich pryszczki i ich prostactwa, ale przede wszystkim tego, że kobiety tylek postrzegają jako coś, co można uszczypnąć. Każdy tylek to dla nich sposobność.

I, szczerze mówiąc, są szkaradni. Od razu po wejściu w wiek dojrzewania wszystkich nastoletnich chłopców powinno się spędzić w jedno miejsce i

umieścić w zakładzie zamkniętym, a wypuścić dopiero wtedy, gdy stuknie im osiemnastka. To by oczyściło nasze ulice.

A gdy już tam będą, mogą zapomnieć o czytaniu „Nuts”, „Loaded” i „Maxima”. Ich restrykcyjna dieta powinna się składać z literatury feministycznej, począwszy od Germaine Greer aż do Julie Burchill. I kiedy ich już wypuścimy, będą dorośli, wolni od pryszczki i wyedukowani w temacie kobiet. Może nawet będą czuć wobec nas odrobinę szacunku?

Pojechałam po bandzie, wiem, ale płacono mi za to, bym była kontrowersyjna.

– Przyciśnij... ! – zawołał Damien przez ramię.

– Co? – Nie dosłyszałam, co mi kazał przycisnąć.

– Nogi! – Uniósł osłonę kasku. – Przyciśnij je mocno do motoru!

Zobaczyłam dlaczego. Miał właśnie zamiar przejechać przez wąski przesmyk między ciemnoniebieskim vanem a busem.

– Zrób wdech! – zawołał.

Podróż do pracy na jego motorze była elektryzująca. W bardzo złym tego słowa znaczeniu. Damien we wszystkim widział wyzwanie. Żadna przestrzeń nie była zbyt wąska, żadne światła zbyt pomarańczowe, żaden korek zbyt duży, by nie dało się go pokonać serią zmyślnych zygzaków. Gdyby miał okazję przelecieć nad osiemnastoma busami po to, by zaoszczędzić kilka sekund, bez wahania by to uczynił.

Może w jego życiu nie było wystarczająco dużo ekscytacji?

Zatrzymał się przed „Spokesmanem” i uniósł osłonę, by dać mi buziaka. Jego kurtka motocyklowa, warkot silnika między moimi nogami, cóż, to wszystko było całkiem seksowne...

– Bądź silny – rzekłam.

Nie chodziło mi o dalszą część jego podróży, ale o coś znacznie bardziej przytłaczającego – naszą decyzję o rzuceniu papierosów. Mama nakryła Bid na ukradkowym paleniu w łazience i wydmuchiwaniu dymu przez okno.

– Jak nastolatka! – poskarżyła mi się przez telefon. – Tego już za wiele.

Następnie przekazała słuchawkę Bid, a ja usłyszałam wypowiedane przez siebie słowa, że skoro ja potrafiłam rzucić fajki z dnia na dzień, to i ona da radę.

– I Damien! – zawołała mama.

– I Damien – dodałam niechętnie, gdy tymczasem on schował twarz w dłoniach i jęknął: „Nie!”.

– Silny – powtórzył teraz sardonicznie.

– Damien, ty nie tyle tracisz...

– ... przyjaciela – wtrącił.

– ... jakiś nawyk, ale zyskujesz nowe, zdrowe ciało.

Nie odpowiedział. Opuścił jedynie zasłonę i oddalił się z rykiem, niczym kot pokazujący mi tyłek.

To podwożenie do pracy motorem na dłuższą metę się nie sprawdzi. W pracy potrzebny był mi samochód. Nie tylko do przemieszczania się, ale także służący jako szafa. W bagażniku trzymałam stroje na każdą okazję. Do nakłonienia miłej kobiety z klasy średniej do rozmowy o śmierci jej dziecka miałam skromną, ładną garsonkę, czólenka na płaskim obcasie, a nawet sznur pereł. Do stania na przeraźliwie zimnym nadbrzeżu i czekania na to, by się przekonać, czy rybacy z wywróconego trawlera żyją czy nie, miałam rękawice, kozaki i koszulkę termoaktywną (moją sekretną broń). Dla artykułu o narkotykach miałam ciuchy sportowe w stylu dilerskim.

Yusuf podskoczył do szklanych drzwi, by mi je otworzyć. Nie było to coś, co miał w zwyczaju czynić, ale chciał mnie o coś zapytać. Śmiał się, a jego zęby wydawały się bardzo białe na tle ciemnej twarzy.

– Czy to ty byłaś na tym motorze?

Kiwnęłam głową. Kłamanie nie miało sensu, nawet gdybym chciała, ponieważ niosłam w ręce kask. Posłał podekscytowane spojrzenie pani Farrell, recepcjonistce i najbardziej wszechwładnej osobie w „Spokesmanie”. Biada temu, kto z nią zadarł. Równie dobrze można było złożyć wymówienie. Mogła nie łączyć do ciebie telefonów od umierającej matki, „przypadkowo” podać szaleńcom twój adres domowy albo „zapomnieć” ci przekazać, że jest już świeża nerka, potrzebna do twojego przeszczepu. Nawet Big Daddy (Coleman Brien, redaktor naczelny) chodził koło niej na paluszkach.

– Co się stało z twoim samochodem? – zapytała.

– Skradziony. Spalony.

Ponownie kłamanie nie miało sensu. Dickie McGuinness z działu kryminalnego potrzebowałby dwóch sekund, by wyciągnąć to z policyjnej bazy danych. (Tak się składało, że Dickie i ja zawsze łądownaliśmy w tej samej gazecie. Pracowaliśmy razem w „Timesie”; kiedy odeszłam do „Independenta”, on zjawił się tam po miesiącu; następnie on przeniósł się do „Spokesmana”, a sześć miesięcy później gazeta ta zaproponowała mi pracę.)

– Boże, to straszne.

I Yusuf, i pani Farrell wybuchnęli śmiechem.

Kiedy Yusuf zjawił się u nas, był słodkim, łagodnym Somalijczykiem. Potem zaraziła go pani Farrell i etos „Spokesmana”. Był teraz paskudny, paskudny jak my wszyscy.

Pani Farrell rzuciła się do telefonu. To było niczym powtórka poprzedniego piątku, kiedy moja posiniaczona, skaleczona twarz wywołała podobne poruszenie. Radośnie dzieliła się ze wszystkimi moją żalną historią. Głupotą było sądzić, że kradzież samochodu pozostanie tajemnicą i teraz czekał mnie cały dzień kpin i różnorodnych prezentów na biurku: pudełek zapalek, małych spalonych czerwonych samochodów, rozkładu autobusów...

– Dzieńdoberek, Sugarfree.

Nazywają mnie Sugarfree, ponieważ uchodzę za kwaśną i zgryźliwą*. (Jednak gdybym była mężczyzną, uznawano by mnie po prostu za szczerą.) Poza tym Sugarfree rymuje się z Gildee. Każdy w „Spokesmanie” ma jakąś opisową ksywkę. Na przykład Hannah Leary ciągle narzeka na późną dostawę gazety i nigdy nie wyskakuje z nami na drinka w piątkowy wieczór. A więc ona to „Hannah Leary, nudna jak flaki z olejem”. (Hannah wie o tym. Wszyscy znają swoje ksywki. Redakcja gazety to srogie, szczerze środowisko.)

W dziale artykułów i felietonów dzwoniły telefony i byli już prawie wszyscy. Z wyjątkiem, rzecz jasna, Casey Kaplana. On ustalał własne godziny pracy. Poniedziałek, dziewiąta rano? Casey prawdopodobnie popijał whisky z colą w jakimś wcześnie otwieranym pubie w towarzystwie Bono. Przywitałam się z Lorraine, Joanne, Tarą i Clare – w Artykułach pracowały niemal wyłącznie kobiety; godziny pracy były bardziej regularne niż w Wiadomościach, co ułatwiało życie, jeśli się miało dzieci. Ponieważ byłam jedyną dziennikarką z Artykułów, która ich nie miała, to mnie przydzielano wszystkie nieprzewidziane zadania, w przypadku których nie było gwarancji, że zakończą się punkt o siedemnastej trzydzieści.

* *Sugarfree – ang. bez cukru.*

Przy sąsiednim biurku TC Scanlan stukał szybko w klawiaturę. Jako rodzynek w damskim gronie był obiektem wielu seksistowskich uwag, z których nasza ulubiona to „on siada przy sikaniu”. (Jak już mówiłam, redakcja gazety to okrutne miejsce.)

– Przykro mi z powodu twojego samochodu – rzekł.

– Wiesz, zastanawiałem się, o co chodziło w piątek, te wszystkie potajemne telefony! – Szeroki uśmiech na jego twarzy. Cieszył się, że już wiedział. Wstał i sięgnął ręką do kieszeni spodni, po czym odliczył kilka monet. – Proszę. Euro dwadzieścia. Na bilet autobusowy do domu.

Zadzwoił telefon i od razu włączyła się poczta głosowa – nigdy nie odbieraliśmy osobiście.

– Dziś rano aktywowali się poirytowani czytelnicy – powiedział. – Chodzi o ten kawałek o nastolatkach. Jest prawie tyle samo skarg co wtedy, gdy napisałaś o tym, że nie chcesz mieć dzieci.

Tak. Zrozumiałam, że przeholowałam, kiedy w sobotę rano zadzwoniła do mnie mama. Nie należała ona do wiernych czytelników „Spokesmana”, zdecydowanie preferowała „Guardiana”, ale lubiła mieć baczenie na to, o czym pisze jej córka.

– Grace – rzekła. – Ten twój felieton to już za wiele! Tak, ja też nie znoszę nastoletnich chłopców. Są tacy... cóż... tłuści. Nie tylko ich cera, oni naprawdę nie są nic w stanie na to poradzić, to kwestia hormonów. Ale nakładają na włosy specyfiki, przez które są one... cóż... tłuste to jedyne słowo, jakie przychodzi mi do głowy, a być może po prostu nie myją włosów przez kilka tygodni z rzędu. Ale nie możesz sobie żartować z internowania, nawet w kontekście nastolatków.

– I dodała: – Podobała mi się jednak ta wzmianka o literaturze feministycznej.

– Jakieś grożenie śmiercią? – zapytałam TC.

– Jak zawsze.

– Doskonale.

Mówi się, że zawsze pamięta się swój pierwszy raz: pierwszą miłość, pierwszy samochód, pierwsze grożenie śmiercią. Jakieś trzy lata temu, kiedy zaczęłam pracować w „Spokesmanie”, dla wyrobienia sobie pozycji napisałam kontrowersyjny artykuł na temat tyranii karmienia piersią. Następnego ranka na mojej poczcie głosowej czekała wiadomość: „Zabiję cię, Grace Gildee, ty feministyczna zdziro. Wiem, jak wyglądasz, i wiem, gdzie mieszkasz”. Choć tekst ten był mało oryginalny, trzęsłam się jak dziecko. Nigdy dotąd nikt mi nie groził śmiercią. Nigdy, nawet na początku mojej kariery, kiedy pracowałam w „Timesie” w dziale kryminalnym.

Zawsze uważałam się za bojownika, ale nie mogłam uwierzyć, jak wielkie czułam przerażenie. I zaczęłam się wtedy zastanawiać, jak bym dawała sobie radę w miejscu pokroju Algierii, gdzie jeśli napisze się, że w nowej fryzurze prezydent wygląda jak Elton John, można spodziewać się tego, że przy następnym przekręcaniu kluczyka w stacyjce swego samochodu zrobi się nagle wielkie bum.

Powiedziałam o tej wiadomości TC, a on powiedział Jacincie Kinselli, która posłuchała pierwszych dwóch sekund i powiedziała z irytacją:

– Och, to ten głupiec. Pan Wiem–Gdzie–Mieszkasz. Sądziłam, że się go pozbyliśmy. – Wykasowała wiadomość. – „Wiem, jak wyglądasz?”. Wystarczy, że spojrzy na twoje zdjęcie, na litość boską!

– Nie ma się więc czym przejmować?

– Nie ma, nie ma – odparła ze zniecierpliwieniem. Była już w trakcie wychodzenia na lunch (o **10. 35**).

Teraz takie groźby otrzymuję dość regularnie. (Jedyne co trzeba zrobić, to zadzwonić na centralę i powiedzieć do pani Farrell: „Chcę zostawić Grace Gildee wiadomość, że ją zabiję”, a uzyska się połączenie.) Mam pięciu lub sześciu stałych groźących i wygląda to tak, jakby mieli wspólny grafik.

Jednak żaden z nich nie spełnił swoich gróźb, więc jakoś się tym przestałam przejmować.

– Co masz dla mnie, Grace?

– Ciebie też miło widzieć – odparłam.

To Jacinta Kinsella z jedną ze swoich pięciu toreb Birkin. Mąż kupował jej jedną za każdym razem, kiedy rodziła dziecko, i jeśli mam być szczerą, to jeśli taka miałyby być za to cena, wolałabym nosić swoje rzeczy w plastikowej torbie, która śmierdziała curry. Dzisiejsza torba była czarna, dopasowana do nastroju. Kiedy zjawiała się z żółtą, ogarniała nas ogólna radość. To oznaczało, że prawdopodobnie kupi nam wszystkim po lodzie.

Ta nasza Jacinta była bardzo efektowna. Codziennie rano modelowała swoje kruczoczarne włosy i zawsze ubierała się tak, jakby się wybierała na wyścigi. Za każdym razem gdy trzeba było opisać jakiś pogrzeb, wysyłano tam Jacintę, ponieważ jej płaszcz był zawsze najbardziej elegancki.

– Pozwól, że wyjmę notatki – rzekłam.

Jacinta jest szefową Artykułów, a ja głównym dziennikarzem działu i łączą nas dobre relacje. Cóż, o tyle o ile – gdyby nie była przekonana, że ostrzę sobie zęby na jej stanowisko, i oczywiście gdybym ja nie modliła się o to, by odeszła na wcześniejszą emeryturę lub została zwerbowana przez inną gazetę...

Raz na jakiś czas coś zawała i wtedy Big Daddy próbuje ją zwolnić, ale ona zawiadamia wtedy związki zawodowe i obrzuca wszystkich odpowiedzialnością niczym Jackson Pollock puszką z farbą. W zasadzie nie ma jak się jej pozbyć. (Jej ksywka to niezwyciężona Jacinta Kinsella.)

– Jacinta! – zawołał do niej TC. – Wiadomość od Caseya. Tropi historię tak wybuchową, że, cytuję: „wstrząśnie naszym światem”. Koniec cytatu.

– On tak naprawdę powiedział? – zapytałam. – Że to wstrząśnie naszym światem?

– O której się zjawi? – zapytała ostro Jacinta. TC pokręcił ze smutkiem głową.

– Mnie nie pytaj. Ja tu jestem nikim.

Jacinta nie miała kontroli nad Caseyem. Żadnej. Big Daddy zwerbował go z „Sunday Globe”, by „nas podkreślić”, po czym wcisnął go Jacincie ze słowami: „Jeszcze jeden mężczyzna dla Artykułów”.

Big Daddy był zachwycony tym nabytkiem: Casey wyrobił sobie nazwisko dzięki swoim wywiadom i właściwie sam stał się poniekąd gwiazdą. Jego wywiady były mocne i z grubsza można je było podzielić na dwa rodzaje.

Wersja pierwsza: bezlitosna (co prawda zabawna) analiza gwiazdy, jej banalności i głupoty, dziwacznych wymagań w stosunku do swoich pracowników oraz to, jak nieatrakcyjnie wyglądała z bliska bez sztucznej opalenizny.

Wersja druga: strumień świadomości, relacja przy użyciu czasu teraźniejszego z osiemnastogodzinnego pijackiego maratonu z zespołami rockowymi czy gwiazdami filmowymi, które odbijały się rykoszetem od klubu do klubu, aż w końcu lądowały w hotelowym apartamencie zawałonym torebkami z koką i na wpół zjedzonymi kanapkami klubowymi.

Nie znosiłam jego artykułów. Były wyrachowane i egoistyczne. Ale nie mogłam powiedzieć tego na głos, ponieważ wszyscy by pomyśleli, że jestem zazdrosna. A byłam.

– Sugarfree? Przerwa na papieroska? Wstrząśnię twoim światem.

– Dasz wiarę temu idiocie? – Wyjęłam paczkę gumy nicorette. Uważałam, że należy zapewnić sobie tyle ochrony, ile to tylko możliwe. – Poza tym zła wiadomość, TC, rzucam palenie.

– Znowu? Powodzenia – odparł. – To nietrudnego. Sam wiele razy rzucałem.

Ze smutkiem dotknęłam paczki gum i przyglądałam się, jak on i pozostali palacze wychodzą na schody pożarowe. Nie tylko nikotyny było mi trzeba, ale także kontaktu z ludźmi. Najlepsze rozmowy to zawsze te przy papierosie. Palacze byli niczym sekretne stowarzyszenie, a nawet – co miało miejsce w pubach – kiedy nas zaganiano na padoki dla palaczy, jak niedotykalnych, papierosy zapewniały poczucie koleżeństwa i zażyłości. W przeszłości rzucałam już palenie, więc to uczucie – głęboki smutek, jakby bardzo bliski przyjaciel przeprowadził się do Australii – nie był mi obcy, jednak to wcale niczego nie ułatwiało.

Dziewiętnaście nowych e-maili od ostatniego sprawdzenia – niecałą godzinę temu. Komunikat prasowy za komunikatem prasowym z firm PR, i wszystkie prosiły o relacje: zestawy domowego grilla; korzyści płynące z olejku z drzewa herbacianego; raport na temat niekontrolowania czynności fizjologicznych; książka kucharska napisana przez gwiazdę programów kulinarnych; newsletter z Women's Aid...

Było tu coś, czym mogłabym się zająć? Gdy przewijałam listę w dół, moją uwagę zwrócił raport na temat powiększania prącia. To mogłoby być zabawne.

Wtedy zobaczyłam coś, co mnie zelektryzowało: na trzy koncerty przyjeżdżała do Irlandii Madonna. Ale wszystkie media w kraju będą się o nią bić – czy ja się czymś wyróżniałam? Wiedziałam po prostu, że świetnie bym sobie z tym poradziła. Lepiej niż inni.

Dałam sobie spokój ze wszystkim innym i zabrałam się za tworzenie boleśnie idealnego pisma do rzecznika prasowego Madonny – starając się zademonstrować, że jestem jednocześnie tchórzliwa, inteligentna i zabawna – zapoczątkowując tym samym złożony proces zabiegania o wielką gwiazdę.

Wracałam właśnie z paczką żelków owocowych, bułką z serem i dwoma opakowaniami chipsów – idąc po schodach, zdążyłam już zjeść owocowo-orzechowego batona, byle jakoś zamortyzować upadek z Góry Nikotyny – kiedy znalazłam się w samym środku marszu na poranne zebranie redakcyjne. Wszyscy szefowie działów maszerowali, jak jedno ciało, w stronę gabinetu redaktora naczelnego. (Coleman Brien, w jego przypadku nawet nie próbujemy rymowanej ksywki.)

Podbiegła do mnie Jacinta.

– Grace, gdzie ty się podziewałaś? Pokazałam na swój łup.

– Słuchaj, nie mogę być na tym zebraniu.

Zawsze coś jej wyskakiwało. Musiała zaprowadzić dziecko do dentysty, dietetyka albo Eurodisneylandu...

– Okej. Które tematy mam przedstawić?

Przeleciała wzrokiem po moich notatkach.

– Lifting powiek w porze lunchu. Rak piersi. Grube bachory.

Otworzyłam żelki i wepchnęłam do buzi garść tych ciemnych. Nie mogłam zabrać ich ze sobą na zebranie, ponieważ Big Daddy wpadał w furję, gdy słyszał szeleszczenie.

Wślizgnęłam się do jego gabinetu. Zebranie zdążyło się już zacząć. Jonno Fido z redakcji wiadomości przekazywał, co ważnego dzieje się dzisiaj. Oparłam się o szafę na dokumenty, słuchając jednym uchem i cicho ssąc żelki. Cudowne słodyczne. Nagle... o nie! Kwaśny smak. Trafił mi się żółty! Jak do tego doszło? Musiał leżeć i czekać, ukrywając się między czerwonymi i czarnymi.

Nie mogłam wypluć i zawołać, tak jak bym zrobiła to w domu: „Żółty, żółty! Misja zakończona niepowodzeniem!”. Musiałam go wyssać aż do końca.

Skończył Jonno; po nim szef działu zagranicznego, następnie sportu, a potem kryminalnego. Długo to trwało.

– Polityka?

David Thornberry wyprostował się.

– Dalszy ciąg tej historii Dee Rossini. W piątek się okazało, że pomalowano jej za darmo dom.

Wiedziałam o tym. Ten miniskandal zatrzymał Damiena w pracy do późna. Przestałam w duchu gderać na żółte żelki i ich zdradziecką naturę i zaczęłam słuchać. Dee Rossini była ministrem edukacji i przewodniczącą Nowej Irlandii, partii Paddy'ego.

– Przez weekend sprawa się wyjaśniła: Rossini wysłała w listopadzie firmie malarskiej czek, tyle że nie został spieniężony. Ale zdobyłem inną informację. Na wyłączność. Miała zapłacić za przyjęcie weselne swojej córki, ale hotel nie otrzymał zapłaty. Pogrzebałem trochę: hotel należy do Grupy Mannix... – Uczynił pauzę dla lepszego efektu. – Która jest właścicielem R&D

Decorations, tej, która pomalowała za darmo jej dom. To oczywiste, że ma z nimi jakiś układ.

Dawał do zrozumienia, że jako minister edukacji Dee Rossini miała uprawnienia do podpisywania kontraktów na budowę szkół, zaś Grupa Mannix oferowała jej darmowe usługi w zamian za przyszłe zlecenia. Gdyby się okazało, że to prawda, mocno by to zaszkodziło Nowej Irlandii.

– Albo może ktoś ją wrabia? – zapytał Big Daddy. Należał do fanów Nowej Irlandii. – Daj sobie z tym spokój.

– A co, jeśli to prawda i będziemy wyglądać, jakbyśmy to popierali? – W Davidzie buzował gniew. Widział, jak jego ekscytujący materiał na wyłączność oddala się i znika. – Jeśli my tego nie zamieścimy, zrobi to ktoś inny. Mój informator zabierze to gdzieś indziej.

– Mówię ci, żebyś dał sobie spokój – powtórzył Big Daddy. Miał głęboki, grzmiący głos, który wprawiał szyby w wibracje.

– Jeśli damy sobie spokój, jutro będą mieli to wszyscy, a my wyjdziemy na durni, że zbagatelizowaliśmy taką historię. I jak wyglądają w tym wszystkim Napletki, w koalicji z oszustami?

– Dee Rossini nie jest oszustką. A jeśli Nacjonalistycznej Partii Irlandii przeszkadzałoby to, że władza jest w rękach oszustów, wszyscy musieliby odejść.

– Na litość...

– No dobrze – rzekł Big Daddy. – Artykuły?

Rozejrzał się w poszukiwaniu Jacinty i uniosłam rękę.

– Kazała przeprosić.

– Co masz?

– Lifting powiek w porze lunchu?

– Jacinta Kinsella nie będzie sobie robić powiek w czasie pracy.

Następny temat!

– Rak piersi. Właśnie pojawił się raport. Irlandia ma wysoki odsetek błędnych testów negatywnych, znacznie wyższy niż wynosi średnia w UE.

– Coś jeszcze?

– Otyłość u dzieci w wieku szkolnym. Nowe dane, sytuacja pogarsza się.

– Nie. Nie, nie. Robi mi się od tego niedobrze. PlayStation, dania gotowe, tłuszcze trans. Weź się za raka piersi.

Dobrze. Właśnie na tym temacie mi zależało. Zadzwoiła moja komórka.

– Przepraszam.

W przeciwieństwie do reszty świata pozostawienie włączonej komórki na zebraniu redakcyjnym nie było śmiertelnym grzechem, ponieważ szefowie działów wiadomości i kryminalnego musieli być stale dostępni dla swych reporterów w terenie.

Zerknęłam na numer i pomyślałam, że chyba mam omamy wzrokowe. Czego on chciał?

Szybko wyłączyłam telefon.

– Dodatek sobotni?

To Desmond Hume, niski, przesadnie skrupulatny mężczyzna, którego styl opowiadania był zdumiewająco nużący. Pokręcił głową. Był dopiero poniedziałek.

– Kronika towarzyska?

– Tutaj – odezwał się Declan O'Dowd.

Nie on był szefem tego działu. Szef – Roger McEliss – siedział teraz w domu, prawdopodobnie pochylając się nad muszlą klozetową i wymiotując.

(Często rozważana zagadka w stylu jajka i kury: co było pierwsze, dziennikarz kroniki towarzyskiej czy problem alkoholowy?)

Declan O'Dowd to biedny dureń, który musiał się trudzić za biurkiem, starając się sklecić stronę ze skrawków informacji, jakie udało mu się wydobyć z McElissa pomiędzy jego atakami nudności. Prawdziwym dziennikarzem – chodzącym na premiery i przyjęcia – bywał dwa razy w roku, kiedy McEllis udawał się na odtrucie.

– Widziano, jak przyszła żona Paddy'ego de Courcy mierzy suknie ślubne.

– Zdjęcia?

– Tak.

Pewnie, że tak. Głód nikotynowy czynił mnie jeszcze bardziej niecierpliwą niż zazwyczaj.

– Z anonimowego źródła? – zapytałam zgryźliwie. – I założę się, że źródło nie chciało za to pieniędzy?

To oczywiste, że zdjęcia pochodziły z biura prasowego Nowej Irlandii. W czasie gdy Dee Rossini otaczała atmosfera miniskandali, zdjęcia promiennej przyszłej żony Paddy'ego w białej koronkowej sukni mogły mieć skutek nieco neutralizujący.

Zbieraliśmy się, by odejść do swoich biurek, kiedy Big Daddy zawołał:

– Sugarfree?

Chryste przenajświętszy, czego on chciał? Laurki na temat lokalu z kebabem, który otworzyła jego synowa? Dwóch tysięcy słów o nowej fryzurze jego wnuka?

– Proszę – podał mi monetę. – Na bilet autobusowy. Słyszałem o twoim samochodzie. Miał tylko cztery miesiące? Twój pierwszy nowy samochód? – Na jego twarzy rysowało się rozbawienie.

– Cha, cha, cha – rzekłam. No bo przecież musiałam. Po czym dodałam:
– Pięćdziesiąt centów?

– Nie wystarczy?

– Nie. Euro dwadzieścia.

– Aż tyle? – zaczął grzebać w kieszeni spodni, ja zaś cofnęłam się o krok.

– Nie, panie Brien. Nie trzeba.

Podał mi euro.

– Reszta dla ciebie. Właściwie... – zachichotał – to przyda ci się na jutrzejszy bilet!

David Thornberry dawał upust wściekłości. Słyszałam go, choć dzieliło nas dwadzieścia biurk.

– Możecie w to uwierzyć? Co za głupiec! Nie można wstrzymywać publikacji tylko dlatego, że lubi się osobę, która jest jej bohaterem. Nie da się, kurwa mać, wydawać w ten sposób gazety.

Ale on nie miał racji. Gazety zawsze popierały swoich przyjaciół i dokopywały wrogom. Dziennikarze zabierali ze sobą do grobu historie, ujawnienie których mogło doprowadzić do upadku rządów, zaś zupełnie niewinnych ludzi wypędzano z pracy i kraju tylko dlatego, że media uznały, iż pora urządzić polowanie na czarownice.

– Ma ktoś numer komórki Paddy'ego de Courcy? – zawołał David.

– W bazie danych.

– Chodzi mi o ten prawdziwy.

Opuściłam głowę. Powinnam go podać– co by to miało zmienić? Już nigdy więcej nie zamierzałam z nim rozmawiać – ale...

Jacinta jeszcze nie wróciła. Próbowałam zarekwirować TC, ale pracował nad czymś innym, poprosiłam więc błagalnie Lorraine:

– Mam tutaj sympatyczny raport. Mnóstwo liczb. Przetłumacz go na angielski, dobrze? I mogłabyś przygotować krótki tekst na czterysta słów o tym, jak powstają przerzuty? Czas, reakcje na leczenie i tym podobne...

Następnie zaczęłam wydzwaniać w poszukiwaniu kobiet, którym powiedziano, że nie mają raka piersi, choć rzeczywistość była inna. Zadzwoiłam do Irlandzkiego Towarzystwa Onkologicznego, Szpitala Onkologicznego Świętego Łukasza i czterech hospicjów. Wszyscy byli bardzo mili i zapisali sobie mój numer, mówiąc, że zobaczą, czy uda im się znaleźć pacjentkę gotową do rozmowy.

– Dzisiaj – podkreśliłam. – To do jutrzejszego wydania.

Próbowałam szczęścia w internetowych grupach wsparcia, ale bez powodzenia. Następnie zadzwoniłam do Bid, mając nadzieję, że podczas jej chemii na sąsiednim łóżku leżała kobieta z rakiem piersi, ale nie. Rak jelita, proszę bardzo. Prostaty, jajników i oczywiście płuc, ale nie piersi.

– Chryste, oto nadchodzi – mruknął TC.

Molekularna struktura powietrza uległa zmianie: o dwunastej trzydzieści siedem Casey Kaplan w końcu pojawił się w pracy. Wkroczył butnie w czarnych skórzanych spodniach, na tyle obcisłych, by świat mógł się dowiedzieć, iż układa małego na lewą stronę, czarnej koszuli z białą lamówką w stylu ranczerskim, brązowej skórzanej kamizelce i skórzanym rzemyku na szyi.

Spojrzał na mnie.

– Wiadomość od Dana Spancila. – Muzyka, którego kiedyś opisywałam. Tak cholernie trudno było zdobyć prawa do tego wywiadu, przez kilka tygodni musiałam się bujać z jego rzecznikiem prasowym, a Casey Kaplan zachowuje się tak, jakby właśnie spędził weekend w jego towarzystwie. – Mówi, że jesteś niezła.

– Jak miło – odparłam z werwą. – On też.

– Jest Jacinta? – Stanął przed moim biurkiem.

Ostentacyjnie podniosłam głowę znad notatek.

–Nie.

– A gdzie jest?

– Wyszła.

– A ty zajęta?

– Tak.

Zaśmiał się. Kpi z mojej pracowitości?

– Dobra kobieta.

Oddalił się leniwie, ja zaś mogłam ponownie skupić się na pracy. Próbowałam sobie przypomnieć ludzi, z którymi rozmawiałam na przyjęciach, poznanymi służbowo. Czy ktoś kiedykolwiek wspomniał, że pracuje na onkologii, albo że jego siostra ma raka piersi? Ale pomimo kontaktów w najdziwniejszych miejscach, w świecie raka piersi nie znałam nikogo. Z rozgoryczeniem zrzucałam winę na brak nikotyny w moim organizmie. Założę się, że gdybym zapaliła, to na pewno coś bym sobie przypomniała.

Ostatnią deskę ratunku stanowiły internetowe zwierzenia, ale to by nie wystarczyło. Potrzebowałam „koloru” – opisów takich rzeczy, jak dom chorej („ładne zasłonki w kwiaty, na gzymsie kominka mnóstwo rodzinnych fotografii zrobionych w szczęśliwszych czasach”).

Stukałam długopisem w biurko. Chciałam to zrobić należycie. Wszystkie moje historie chciałam robić należycie, ale niedbałe, charakteryzujące się skąpstwem podejście do kobiecego zdrowia sprawiało, że miałam czasami ochotę krzyknąć z frustracji. Gdyby tak duża liczba błędnych wyników ujemnych wystąpiła w przypadku raka jądra – nowotworu męskiego – zapanowałoby istne pandemonium.

– Przestań stukać tym długopisem! – krzyknął TC.

Mogłam się po prostu udać do hospicjum i krążyć po korytarzach, wypytując umierające kobiety, aż w końcu znalazłabym kogoś, z kim mogłabym zrobić wywiad, ale miałam skrupuły przed takim zachowaniem.

Uznałam, że jedyne co mogę zrobić, to wejść prosto w paszczę lwa i skontaktować się z jednym ze szpitalnych oddziałów onkologicznych, które zostały wymienione w raporcie. Nie było sensu do nich dzwonić, to oczywiste, że przyjmą pozycję obronną. Udam się tam osobiście.

Z powrotem włączyłam komórkę i w napięciu czekałam na podwójny sygnał. Ale się nie rozległ. Nie zostawił wiadomości.

– Wychodzę po materiał.

Bardzo szybko zaklikałam długopisem przy uchu TC, dziewięć czy dziesięć razy, po czym wyszłam.

– Biopsje? – mruknełam do recepcjonistki.

– W lewo, a potem jeszcze raz w lewo, przez drzwi dwuskrzydłowe.

Udałam się do poczekalni, usiadłam i zaczęłam przeglądać zaskakująco aktualne gazety. Zastanawiałam się, jak to rozegrać. Potrzebny był mi wgląd do gromadzonych w komputerze danych pacjentek, a nie poradzę z tym sobie bez pomocy kogoś, kto tu pracował. Najlepiej kogoś, kto nie znosił swojej pracy.

Dziewczyna przy biurku pełniącym rolę recepcji zawzięcie stuknęła w klawiaturę. Służbistka. Nie przyda mi się.

Dobry dziennikarz to połączenie cierpliwości i tupetu. Na chwilę obecną musiałam być po prostu cierpliwa. Patrzyłam i czekałam, patrzyłam i czekałam, stukając palcami w kolano.

Panował tu spory ruch. Pojawiali się ludzie, podawali swoje dane służbistce i siadali, aż w końcu wołały ich pielęgniarki. Pod pretekstem pójścia do toalety zrobiłam mały obchód i dyskretnie wetknęłam głowę do paru pomieszczeń, ale nie zobaczyłam niczego godnego zainteresowania, wystraszyłam zaś mężczyznę poddawanego badaniu doodbytniczemu. Wróciłam i usiadłam. Zaczął mnie boleć żołądek, kiedy dotarła do mnie paskudna prawda. To niemożliwe, będę musiała wrócić z pustymi rękami.

Nienawidziłam porażek, czułam się wtedy fatalnie, a nie było istoty równie żalostnej jak dziennikarz, który wracał bez materiału na artykuł. W mojej głowie pojawiła się szalona myśl. Mogłabym sobie wszystko wymyślić! Bazować na cioci Bid! I tym, co znajdę w Internecie!

Myśl ta zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Wydałoby się, zostałabym zwolniona i nikt by mnie już nigdy nie zatrudnił.

Będę musiała stawić temu czoła. Nieczęsto nie udawało mi się zdobyć materiału. Wtedy przypominałam sobie – piasek w mojej ostrydze, kamyk w bucie – tę cholerną Lolę Daly. Ależ wszyscy mieli wtedy ze mnie ubaw. Głupiutka stylistka z fioletowymi włosami, a mnie nie udało się do niej dotrzeć i porozmawiać o jej byłym facecie.

Ale w przeciwieństwie do Loli Daly ta historia była ważna. Te wszystkie biedne kobiety, którym powiedziano, że są zdrowe i pozwolono, by choroba panoszyła się w ich ciele, zasługiwały na prawo do wypowiedzenia się. Nie

wspominając o możliwości zawstydzenia Ministerstwa Zdrowia, które mogłoby się starać, by coś takiego się nie powtórzyło.

Byłam tak pochłonięta ponurymi myślami, że niemal przeoczyłam żołądkującą się, przechodzącą obok mnie kobietę. Mówiła do siebie jak Biały Królik i wprost emanowało z niej niezadowolenie.

Wparowała do pomieszczenia znajdującego się obok biurka i trzasnęła drzwiami, zdążyłam jednak usłyszeć jej podniesiony głos:

– Ile razy... Dzięki ci, Boże!

Wyłoniła się stamtąd kilka minut później i ruszyła korytarzem, a ja za nią. Kiedy zatrzymała się przed drzwiami, a potem je otworzyła, wykonałam swój ruch. Wystarczająco długo byłam cierpliwa; pora wykazać się tupetem.

– Przepraszam panią – powiedziałam.

Odwróciła się do mnie wrogo.

–Co?

Zdecydowanie aspołeczna osoba. Uśmiechnęłam się szeroko.

– Witam! Nazywam się Grace Gildee. Czy mogłybyśmy zamienić kilka słów na temat wyników biopsji?

– Nie mam nic wspólnego z biopsjami. Proszę iść tym korytarzem. Zapytać przy biurku.

Odwróciła się i jedną nogą weszła już do środka, kiedy powiedziałam:

– Prawdę mówiąc, to nawet lepiej, że nie ma pani nic wspólnego z biopsjami.

– Dlaczego? – Odwróciła się. Zaciekawiałam ją.

– Ponieważ tak się zastanawiałam, czy nie mogłaby mi pani pomóc. – Uśmiechałam się jak szalona.

Na jej twarzy pokazywały się emocje. Konsternacja. Ciekawość. Przebiegłość. Zrozumienie. Było to niczym pokaz slajdów.

– Jest pani dziennikarką? Chodzi o ten raport?

– Dokładnie! – Kolejny szeroki uśmiech. Przekonałam się, że kiedy próbuje się nakłonić kogoś do zrobienia czegoś nie do końca uczciwego, to jeśli się uśmiechasz, ten ktoś zaczyna myśleć, że nie robi niczego niewłaściwego.

To była ta chwila. Albo zadzwoni po ochroniarzy, albo zgodzi się pomóc.

– Potrzebuję jedynie kilka nazwisk i adresów – przymilałam się. – Nikt się nie dowie, że mam je od pani.

Nadal się wahała. Chciałaby, aby jej pracodawcy mieli kłopoty, ale widać było, że pomaganie komukolwiek nie leży w jej naturze.

– Czy oddział będzie miał kłopoty? – zapytała.

– Tak – odparłam grzecznie. – Będzie miał. Potrzebuję od pani jedynie paru nazwisk i adresów. Maksimum trzech. Z całą pewnością nie więcej niż czterech. I najlepiej, żeby te osoby mieszkały w Dublinie.

– Prosi pani naprawdę o niewiele.

Zignorowałam irytację i tęsknotę za papierosem, które wzbierały we mnie, i zmusiłam się do kolejnego promiennego uśmiechu.

– Tylko nazwiska i adresy pięciu kobiet z Dublina, które błędnie zdiagnozowano. Wyświadczy mi tym pani ogromną przysługę.

Przygryzła wargę i zastanawiała się.

– To nie moja działka, ale spróbuję. Proszę poczekać na parkingu. Jest tam duży biały pomnik. Jezus na krzyżu z oplakującą go matką. Jeśli uda mi się coś zdobyć, to tam do pani przyjdę.

Miałam ochotę zapytać, jak długo to potrwa, ale czułam, że to kiepski pomysł. Takim pytaniem można było wszystko zaprzepaścić.

Przysiadłam z drugiej strony oplakującej matki i czekałam. I czekałam. I czekałam. I żałowałam, że nie mogę zapalić. Dziennikarzowi papierosy są naprawdę potrzebne. Tyle czasu się spędza na czekaniu i co innego ma się wtedy robić? A kiedy ma się już swoją historię, trzeba się mocno streszczać, by ją napisać; wtedy także przydaje się pomoc papierosów.

Ale w perwersyjny sposób to wyrzeczenie podobało mi się: pokuta.

Mijały kolejne minuty i powrócił palący ból w brzuchu. Czy Biały Królik stracił odwagę? A może przez cały ten czas tylko się ze mną bawiła? Z takimi jak ona nigdy nic nie wiadomo. Poszukałam w torebce zotanu (tabletek przeciw wrzodom żołądka) i połknęłam jedną.

Ponownie zaczęłam myśleć o tym, że będę musiała wrócić z pustymi rękami. Już to widziałam oczami wyobraźni – pogardliwy śmiech, wściekłość Jacinty, gniew Big Daddy'ego z powodu wielkiej białej dziury w gazecie – kiedy przede mną pojawiła się ta kobieta. Wcisnęła mi w dłoń kartkę papieru i rzekła:

– Nie dostała tego pani ode mnie.

Po czym zniknęła.

– Wielkie dzięki!

Sześć nazwisk i adresów. A więc udało się. Poszukałam najbliższego adresu, wezwałam taksówkę i zadzwoniłam do działu fotoreporterskiego, szukając fotografa.

Zatrzymałam się przed domem. („Schludny bliźniak z zadbanym ogrodem”.) Drzwi otworzyła nastolatka. („Świeża farba, lśniący mosiądz”.)

Zmusiłam do pracy mięśnie odpowiadające za uśmiechanie się. W takiej właśnie sytuacji przydałaby się moja garsonka i sznur pereł.

– Dzień dobry. Czy mogłabym rozmawiać z twoją matką?

– Jest w łóżku.

– Mam na imię Grace. Jestem ze „Spokesmana”. Wiem, że twoja mama jest bardzo chora, ale czy udałoby mi się przez chwilę z nią porozmawiać? Zajmę jej tylko kilka minut.

Wyraz jej twarzy nie zmienił się.

– Zapytam się. – Wbiegła po schodach, a po chwili wróciła. – Pyta, o co chodzi.

Odparłam delikatnie:

– O wyniki jej biopsji. Te, które wykazały, że jest zdrowa.

Przez twarz dziewczyny przebiegł spazm, tak szybko, że można go było przeoczyć. Ponownie wbiegła po schodach, a kiedy wróciła, rzekła:

– Mówi, żeby pani weszła.

Wąskimi schodami („beżowa wykładzina, grafiki Jacka Vettriano”) weszłam na górę, do sypialni. Zastłony były zaciągnięte i unosił się tam straszny zapach choroby. Postać w łóżku miała żółtą cerę i wyglądała na wycieńczoną. Ta kobieta umierała.

– Pani Singer. – Zbliżyłam się powoli. – Bardzo przepraszam, że tak tu panią nachodzę. – Wyjaśniłam jej cel mojej wizyty. – I tak sobie pomyślałam, czy nie chciałaby mi pani opowiedzieć swojej historii?

Nie zareagowała, po czym wyrzęziła:

– Dobrze.

Chryste przenajświętszy, to dopiero była tragedia. Znalazła guzek w piersi – szok dla każdej kobiety – a kiedy wyniki biopsji wykazały brak zmian

nowotworowych, całej rodzinie tak ulżyło, że wyjechali razem na wakacje. Ale jakieś sześć tygodni później poczuła się wykończona, a w nocy zaczęła się pocić tak intensywnie, że mokre było całe łóżko. Poddano ją wielu różnym badaniom, ale raka piersi nie brano pod uwagę z powodu wyników niedawnej biopsji. Poprosiła o skierowanie na jeszcze jedną biopsję, ponieważ podejrzewała, dzięki intuicji, jaką ma każdy w odniesieniu do własnego ciała, że tam właśnie tkwi źródło problemów, ale odrzucono jej prośbę. Kiedy znalazła drugi guzek, nowotwór zdążył już zaatakować węzły chłonne. Podano jej chemię – tak jak miało to miejsce w przypadku Bid – ale było już za późno. *Game over*. W koniuszkach palców poczułam dreszcz strachu. Czy dla Bid także było za późno?

Głos pani Singer był po chemii tak chrapliwy, że dyktafon go nie wyłapywał. Zapisywałam wszystko w notesie, starając się niczego nie pominąć, kiedy ktoś zaczął wbiegać po schodach. Do pokoju wpadła dziewczyna, która otworzyła mi drzwi, i poskarżyła się:

- Mamo, a Susan nie chce obrać ziemniaków.
- Obrałabyś je więc ty, Nicola, skarbie?
- Ale ja muszę włożyć rękę w tyłek kurczaka. To gorsze!

Nicola zbiegła po schodach i z pomieszczenia pod nami dobiegły podniesione głosy.

– Martwię się o dziewczynki – rzekła pani Singer. – Mają dopiero czternaście i piętnaście lat. To kiepski wiek na to, by je zostawić.

Kiwnęłam głową. Nigdy nie płakałam w pracy, przez te wszystkie lata wytrenowałam się tak, by tego nie robić. Ale czasami czułam takie jakby rozpychanie w zatokach, zbierające się pod grzbietem nosa, któremu towarzyszyło uczucie przejmującego smutku. Tak jak teraz.

Wróciła Nicola.

– Na dole jest jakiś pan. Mówi, że jest fotografem.

– Pani Singer – Chryste, to już było trochę za wiele – powinnam była wspomnieć, że się zjawi.

– Zbyt okropnie wyglądam, by robiono mi zdjęcia. Niestety o to właśnie chodziło.

– Susan i ja możemy cię trochę podmalować! – oświadczyła Nicola. – A czy my też możemy być na zdjęciu?

Czekaliśmy dwadzieścia minut, gdy tymczasem Nicola i Susan nakładały puder brązujący i tony lepkiego, różowego błyszczyku, a od patrzenia na zdjęcie – dwie młode, zdrowe dziewczyny, a w środku ich umierająca matka – mogło pęknąć serce.

Keith Christie, fotograf, miał samochód. Pojechaliśmy razem pod najbliższy adres na liście, gdzie mąż kobiety kazał nam się odpieprzyć.

– Cholerne sępy! – zawołał za nami, kiedy Keith wycofywał auto ze ślepej uliczki.

– Gdzie teraz? – zapytał.

– Booterstown.

Zadzwoiła moja komórka. Zdenerwowany tata.

– Bingo uciekł. Listonosz. Otwarte drzwi. Zobaczył okazję i ją wykorzystał. Nieustraszony duch. Widziano go w Killiney. Musisz przyjechać.

– Tato, pracuję nad artykułem.

– Ale mama nie wie, jak się ustawia ostrość w lornetce.

– No to posadź ją za kierownicą.

– Jej reakcje są za wolne. Kiedy mówię „w lewo”, mam na myśli „w lewo, teraz!”, a nie „w lewo za dziesięć minut”.

– Tato, jestem w pracy. – Nie mogłam poświęcić reszty popołudnia na jeżdżenie po przedmieściach z lornetką przy twarzy i przeczesywanie okolicy w poszukiwaniu Bingo. – Powodzenia, mam nadzieję, że go znajdziecie.

Zatrzasnęłam klapkę telefonu.

– Pies? – zapytał Keith. – Znowu na wolności?

Kiwnęłam głową.

– Skoro tak bardzo chce uciec, to może powinni mu po prostu na to pozwolić.

– Może – westchnęłam.

– Okej, jesteśmy na miejscu. Ty idź i mów, a ja poczekam z włączonym silnikiem na wypadek, gdyby miało się zrobić nieprzyjemnie.

Tym razem zostaliśmy wpuszczeni do środka i choć kobieta miała jakieś dziesięć lat więcej niż pani Singer, jej historia była równie ponura.

Keith i ja wróciliśmy w milczeniu do redakcji – ja, aby napisać artykuł, a on, by zająć się zdjęciami. Choć lata kontaktu z najbardziej rozdzierającymi serce historiami, jakie można sobie wyobrazić, sprawiły, że byłam twarda, przebywanie tak blisko śmierci mocno mnie zdołowało. Myślałam o Bid. Oby tylko ona nie umarła.

Chryste, tak bym chciała zapalić.

Wchodząc po schodach do pokoju redakcji informacyjnej, usłyszałam wybuchy śmiechu, po czym jeden czy dwa piski. Pchnęłam drzwi. Spora grupka zgromadziła się wokół kartki papieru. Ktoś czytał na głos zdanie, po którym następował kolejny wybuch śmiechu.

– Grace, Grace, chodź do nas, popatrz na to – powiedział rozbawiony głos.

– Co to? – Zbliżyłam się z ciekawością. Po czym zatrzymałam się. Już wiedziałam, co to takiego. – Cha, cha, cha – rzekłam.

Była to kopia policyjnego raportu na temat mojego skradzionego samochodu. Dickie McGuinness włamał się do policyjnej bazy danych i przesłał to mailem do wszystkich pracowników. Dla lepszej zabawy niektóre zdania zostały podkreślone. „Samochód miał cztery miesiące...”, „oblany benzyną i podpalony...”, „nie zostało nic oprócz metalowej konstrukcji...”.

Powiedzcie mi, dlaczego powolni pływacy wchodzą na średni tor, skoro jest dla nich przeznaczony odpowiedni wolny tor, gdzie mogą się guzdrać niczym niedzielni kierowcy? I dlaczego ci agresywni, szybcy, pryskający wodą wchodzą na średni tor i onieśmielają nas wszystkich, skoro mogą znaleźć się wśród swoich na szybkim torze?

Wystarczająco ciężko jest mi się wybrać choćby w pobliże basenu i fajnie by było, gdybym po wszystkim czuła, że było warto.

Późno wyszłam z pracy. Najczęściej nie otrzymuję szansy na to, by uczynić świat nieco lepszym, a ten artykuł o raku piersi musiał być obiektywny i wyważony. Musiał być wojowniczy, ale nie można w nim było nikomu wymyślać, musiał być wzruszający, ale nie nazbyt ckliwy, bo wtedy ludzie by go nie czytali. Stanowił dla mnie wyzwanie i kiedy go w końcu skończyłam, miałam ochotę na alkohol, ale jako że był poniedziałek, to nikt się nie wybierał do Dinnegans. Zamiast tego – zapewniam, że cholernie niechętnie – udałam się na zdrową, łagodzącą stres sesję pływania, ale na torze znajdowało się tylu ludzi pływających nie w tym tempie co trzeba, że po wyjściu z wody byłam jeszcze bardziej wkurzona.

I nie wiem, co jest z tymi basenowymi przebieralniami, ale nigdy nie potrafię się porządnie wysuszyć. Tył ud zawsze zostaje wyzywająco wilgotny,

a jeśli mam rajstopy (prawie nigdy, jeśli mam być szczerą), to wciągnięcie ich aż do pasa przypomina prawdziwą walkę.

Na dworze, gdzie wiatr wdzierał mi się pod spodnie i chłodził wilgotne nogi, pomyślałam, że autobus to już zbyt wiele. Całe to przystawanie i ruszanie z miejsca za bardzo przypominało rozczarowującą wizytę na basenie. Ruszyłam więc pieszo, układając sobie w głowie ambitny plan czynienia tego każdego dnia, dopóki nie rozwiąże się kwestia samochodu. Możliwe, że zrównoważy to nieuchronny przyrost wagi spowodowany rzuceniem fajek.

Po drodze odsłuchiwałam wiadomości na poczcie głosowej. Jedną była od taty. Bingo został schwytany i osadzony w areszcie.

– Nie dzięki tobie – dodał znacząco.

– Odpieprzcie się ode mnie – powiedziałam do wiadomości. – Byłam w pracy.

Następnie zadzwoniłam do Damiena i opowiedziałam mu o pani Singer.

– Było mi tak smutno.

– To dobrze – odparł Damien. – Nie jesteś na tyle zblazowana, by cię to nie obchodziło.

– Dzięki wielkie. Miłego wieczoru.

Poniedziałkowy wieczór należał do Damiena i „chłopaków”. Pił wtedy whisky i grał w pokera, i generalnie zaspokajał swoją często podkreślaną potrzebę posiadania „własnej przestrzeni”.

– Wrócę późno – powiedział.

– Wróc tak późno, jak tylko chcesz.

– Sarkazm, Grace? Dlaczego żałujesz mi tego jednego wieczoru?

Lubił się zachowywać tak, jakbym miała mu za złe każdą sekundę, jaką spędza w towarzystwie kumpli, a ja radośnie mu w tym pomagałam. Mężczyzna potrzebuje mieć o co walczyć.

Weszłam do pustego domu – lubiłam mieć go dla siebie – i zaczęłam grzebać w kuchni w poszukiwaniu jedzenia. Jadłam przez cały dzień, teraz powinnam dać sobie spokój, wiedziałam jednak, że tego nie zrobię. Z przyzwyczajenia włączyłam w salonie wiadomości i kiedy usłyszałam: „... Paddy de Courcy...”, wypadłam z kuchni i stanęłam w drzwiach, by obejrzeć telewizję. Paddy szedł korytarzem, ubrany w wyglądający na drogi granatowy garnitur. W ślad za nim mknęła kobieta z podkładką do pisania z klipsem, zaś obok niego podskakiwał reporter, przytrzymując mikrofon przy jego pięknych ustach, by uchwycić mądre perełki, którymi Paddy zamierzał się podzielić. Paddy się uśmiechał. Paddy się zawsze uśmiechał. Z wyjątkiem tych momentów, kiedy wydarzyła się jakaś tragedia – wtedy był stosownie ponury. Pytano go o Dee Rossini.

– Dee jest uczciwa i czysta jak łza – rzekł. – Ma pełne poparcie moje i całej partii.

Zadzwoił telefon i podskoczyłam, poczuwając się do winy. To mógł być Damien. Czasami, pomiędzy czwartym a piątym drinkiem, stawał się sentymentalny.

– Grace?

– Marnie! – Szybko! Włącz Sky.

Chwyciłam pilota i przełączyłam na program o człowieku, który nauczył swoją małpkę robić na drutach. To było naprawdę niezwykle. Małpka – która miała na imię Ginger – trzymała w łapach druty i niezgrabnie dodawała dwa oczka do małego czerwonego szalika w małpim rozmiarze. Właściciel małpki

powiedział, że kiedy Ginger skończy szalik, to w planach mają bućki. Ja oglądałam to w Dublinie, a Marnie w Londynie i obie zaśmiewaliśmy się do łez.

– O Boże, to fantastyczne – rzekła Marnie. – Czegoś takiego mi było trzeba.

Poczułam ukłucie w sercu. Zawsze się o nią martwiłam, a ostatnimi czasy jeszcze bardziej niż zwykle.

Nade wszystko pragnęłam, by była szczęśliwa, lecz ona nigdy nie sprawiała takiego wrażenia. Nie widać było po niej pełni szczęścia. Nawet w te najbardziej radosne dni jej życia – kiedy przyszły na świat Daisy i Verity – zdawała się skrywać w sobie pewną dozę melancholii.

– Co się dzieje? – zapytałam.

– Nie mogę przestać myśleć o Bid – odparła. – Rozmawiałam z nią wczoraj, głos miała w porządku, ale jak według ciebie sobie radzi?

– Trudno powiedzieć. Dowiemy się dopiero, jak skończy sześć serii chemii.

– Cóż, za trzy dni sama się będę mogła przekonać. – Kiedy tylko u Bid zdiagnozowano nowotwór, Marnie załatwiła sobie wolne w pracy. W czwartek przylatywała z Londynu razem z dziewczynkami i swoim mężem, Nickiem.

– Pojadę do mamy zaraz po pracy – rzekłam.

– A jak praca?

Informowałam ją na bieżąco o moim braku pewności siebie w stosunku do Kapłana. Była jedyną osobą, poza Damienem, co do której miałam pewność, że mogę jej zaufać.

Z nas dwóch to Marnie była tą bystrzejszą, ale jakimś cudem wylądowała w otępiającym biurze pośredników kredytowych, gdy tymczasem mnie udawało się czasem przeprowadzać wywiady z gwiazdami.

Ale nigdy nie dawała mi odczuć tego, że to mnie bardziej się poszczęściło.

– Pozwól, że zgadnę – rzekła teraz. – Wysłano cię, byś przygotowała relację z zawodów orania ziemi, natomiast twój ulubiony Casey Kaplan przeprowadzał wywiady z Papieżem, Johnnym Deppem... powiedz jeszcze jedno nazwisko.

– JD Salingerem, nie udzielił żadnego wywiadu od stu lat.

– Myślałam, że nie żyje.

– Boże, może i tak.

– Cóż, jeśli tak, to byłoby naprawdę coś. Zaczekaj, mam coś lepszego. Marilyn Monroe odezwała się z tamtego świata i oświadczyła, że udzieli tylko jednego wywiadu i upiera się, by był to Kaplan.

Właśnie miałam położyć się do łóżka razem z Michaeliem Connollym, kiedy ponownie zadzwonił telefon.

– Dobry wieczór, z tej strony Manus Gildee, twój ojciec.

– Cześć, tato.

– Miał mnie zamiar przeprosić – formalne przedstawienie się zawsze poprzedzało uderzenie się w pierś, tak jakby chciał się zdystansować od związanego z tym wstydu.

– Jak sądzę, jestem ci winien przeprosiny. Mama mówiła, że byłem dla ciebie zbyt ostry w kwestii Bingo. To przez te papierosy, Grace. Już nie mogę bez nich wytrzymać. Wybaczasz mi?

– Wybaczam.

– Mama chce także wiedzieć, o której godzinie odbierasz w czwartek z lotniska Marnie i resztę.

– Ja?

– A kto?

– Eee... ty?

– Nie chcę ich odbierać – wyjąkał. – Ostatnim razem Verity zwymiotowała w samochodzie. Wycieraczka nadal brzydko pachnie. Denerwuje to Bingo.

– Tato, ja przecież nie mam nawet samochodu. Usłyszałam, jak mruczy pod nosem coś o kolejnym koszmarze.

– Nadal spalony, tak?

– Tak, tato, nadal spalony.

– Pozwól, że ci powiem, jak na chwilę obecną wygląda moje życie. Ludzie mnie pytają: jakieś plany na wieczór, Manus? Może teatr? Koncert? Kolacja z przyjaciółmi? A ja odpowiadam: Niepalenie. Tak, cały wieczór, od chwili gdy zjem kolację aż do pójścia do łóżka będę Nie Palił. To czynność sama w sobie.

Chryste, a to dopiero jeden dzień. Co to będzie po tygodniu bez nikotyny?

– Zajmiesz się więc ich odebraniem, tato?

– Bez papierosów czuję się, jak by to ująć... niedokończony?

– Odbierzesz ich z lotniska?

– Jak brzmi kwestia z tego niemądrego filmu, który Marnie kazała mi obejrzeć? – Usłyszałam, jak pstryka palcami. – Tak, chyba mam. „One mnie czynią pełnym”.

– Czy mam rozumieć...

– Tak, tak – przerwał mi z irytacją. – Zajmę się tym głupim lotniskiem.

Właśnie odpływałam w objęcia Morfeusza, kiedy usłyszałam otwieranie się drzwi wejściowych, a po nich odgłos teczki, wkopywanej pod stół na korytarzu. Wrócił Damien ze swojego męskiego wieczoru.

– Grace... – Wszedł po schodach – nie śpisz?

– Śpię. Co się dzieje? I streszczaj się, bo za cztery godziny muszę wstać i lecieć do Londynu.

– Okej. Czy powinniśmy mieć dziecko?

– Teraz? – Zmierzyłam go podejrzliwym wzrokiem. Roześmiał się i usiadł na łóżku, by zdjąć buty.

– Skąd ten temat? – zapytałam. Poruszał go zazwyczaj wtedy, gdy odczuwał brak satysfakcji z życia. A jeśli nie dzieci, to może powinniśmy rzucić pracę, wynająć nasz dom i wyruszyć w podróż dookoła świata. – Komuś z grupy pokerowej właśnie urodziło się dziecko?

– Taa, Seanowi. I wszyscy w pracy je mają.

– Chryste, Damien... dziecko to nie samochód służbowy.

– No wiem, wiem... ale powinnaś ich usłyszeć, tych wszystkich facetów chlubiących się tym, że muszą wstawać w nocy trzy razy, by nakarmić dziecko.

– Naprawdę? – ziewnęłam. Już sama myśl o nocnym karmieniu wystarczała, by mnie zniechęcić.

– Czterech ma maleńkie dzieci i co rano przychodzą z nowymi opowieściami, Grace. Prześcigają się w braku snu. Angus Sprott nie spał od lipca, sprawiają, że czuję się... jak outsider, jakbym nie miał jaj... przez to, że śpię pełnych siedem godzin.

– Trawa jest zawsze bardziej zielona w ogrodzie sąsiada.

– Powiedz coś jeszcze.

– Byłbyś okropnym ojcem, jesteś zbyt humorzasty. Na te słowa się rozpromienił.

– No bo byłbym, nie?

– Chryste, tak. A gdybyśmy mieli dziecko, to musielibyśmy sprzedać ten dom. Jest za mały. Musielibyśmy się przeprowadzić bardzo daleko stąd i kupić dom dla młodych małżeństw na osiedlu z dwudziestoma tysiącami identycznych domów.

– Może nie powinniśmy mieć dziecka – stwierdził Damien. – To była chwila szaleństwa. Już mi przeszło.

– Może nie powinniśmy.

Nie chciałam mieć dzieci. Ze wszystkich wstydliwych rzeczy, do których mogła się przyznać kobieta – powiększenie piersi, seks z ojcem swego chłopaka – to stanowiło największe tabu.

Przeczytałam wystarczająco wiele magazynów, by się spodziewać, że gdy będę się zbliżać do trzydziestki, to kontrolę przejmą hormony, a ja ponad wszystko zapragnę dziecka. Byłam tym nawet podekscytowana – tyle że po prostu do tego nie doszło. Marnie z kolei od zawsze uwielbiała wprost dzieci i nie mogła się doczekać posiadania własnych. Czasami zastanawiałam się, czy w macicy nie doszło do jakiegoś pomieszania i czy nie otrzymała mojej części instynktu macierzyńskiego.

Dziwna rzecz – a może nie dziwna, nie wiem – ale szczerze współczułam kobietom, które nie mogły zajść w ciążę, ponieważ wiedziałam, co to znaczy nie być w stanie kontrolować własnego ciała. Ja chciałam chcieć zajść w ciążę, ale nigdy do tego nie doszło.

Damien był jeszcze bardziej niechętny posiadaniu dzieci niż ja. Gdy go naciskałam, mruzczał coś o tym, że świat jest już wystarczająco przeludniony i że nie powinno się sprowadzać na niego kolejnego człowieka. Ale ja podejrzewałam, że pies pogrzebany jest gdzie indziej – w jego rodzinie. Trudno to zrozumieć, jeśli się nie spędziło z nimi więcej czasu, ponieważ to uroczy ludzie. Naprawdę, ja wcale nie staram się być uprzejma. Byli ciepłi, zabawni, życzliwi, bystrzy. Bystrzy. Zwłaszcza bystrzy. I w tym właśnie leżało sedno problemów. Damien miał dwóch braci i dwie siostry: brata i siostrę starszych od siebie; brata i siostrę młodszych. On był środkowym dzieckiem. A z czwórki jego rodzeństwa troje – Brian, Hugh i Christine – to chirurdzy. Prawdę mówiąc, tata Damiena, Brian senior, był także chirurgiem. (Kolejna informacja, którą możecie uznać za interesującą: matka Damiena ma na imię Christine. Innymi słowy państwo Stapleton nadali swoim najstarszym dzieciom imiona po sobie, co jeśli się nad tym zastanowić, wiele o nich mówi.)

Oprócz Damiena tylko Deidree nie była chirurgiem. I to dlatego, że z powodzeniem prowadziła własną firmę zajmującą się „kreowaniem” dziecięcych pokoi. Zaczęło się jako hobby przy własnych dzieciach, ale udało jej się wyczarować tak magiczne, fascynujące królestwa, że wszyscy zaczęli ją prosić, by zrobiła coś podobnego dla ich dzieci, i nie minęło wiele czasu, a była właścicielką fantastycznie prosperującej firmy. Co nie znaczy, by się tym kiedykolwiek przechwalała. Żadne z nich nigdy się nie przechwalało. (Jeszcze jedna informacja: pomimo uprzejmości Stapletonów Bid ich nie znosiła. Mówiła: „Ma się ich dosyć”.)

W każdym razie w jakiegokolwiek innej rodzinie Damiena uważano by za kandydata do Mensy. Ale nie u Stapletonów. Damien raz mi powiedział, że czuje się, jakby był tylko członkiem sympatykiem swojej rodziny, a nie

pełnym jej członkiem z należnymi mu prawami i przywilejami, i sądzę, że prawdziwy powód jego niechęci do posiadania dzieci nie ma nic wspólnego z przeludnieniem naszej planety, ale z tym, że nie chce on, by ktoś inny czuł się outsiderem, tak jak on się czuje.

(Kolejna informacja: nigdy bym nie powiedziała tego Damienowi. On nie wierzy w tanią psychologię i analizowanie. Prawdę powiedziawszy to ja też nie...)

. Raz na jakiś czas próbowałam pisać felietony wstawiające się za kobietami mojego pokroju, ale kończyło się to zawsze osądzeniem mnie i otrzymywałam tony listów, w których informowano mnie, że jestem „sprzeczną z naturą”, że jestem „dziwolągiem”, i że jestem dowodem rozszalałego feminizmu.

Ostrzegano mnie (często czynili to mężczyźni, a przecież skąd u diabła mogli to wiedzieć?), że kiedy tylko wejdę w okres menopauzy, przygniecie mnie poczucie straty, a wtedy będzie za późno na odkręcenie mojego „egoistycznego” wyboru.

Co było niesprawiedliwe, no bo ja nie osądzałam tych, którzy mieli dzieci, mimo że stawali się – w imieniu swojego dziecka – najbardziej egoistycznymi postaciami na ziemi.

Czy obchodziło mnie to, że ich dziecko lubi zmiksowanego bakłażana, ale nie zmiksowany pasternak? Nie. Ale robiłam zainteresowaną minę i przenosiłam rozmowę do punktu bez powrotu, pytając o zmiksowaną marchew, zmiksowane ziemniaki i – co było dość kontrowersyjne – zmiksowanego kurczaka.

Czy miałam coś przeciwko, gdy otwierali okno, tak by „maleństwo” (któremu było ciepło jak na tajskiej plaży pod stertą technologicznie

dostosowanych kocyków) mogło zażyć świeżego powietrza, choć w pomieszczeniu było już i tak przeraźliwie zimno?

Czy miałam coś przeciwko temu, że choć plan był taki, by pójść do parku i staliśmy wszyscy przy drzwiach w płaszczach i czapkach, „maleństwo” nagle zasypiało i wszelkie działania wstrzymywano na trudny do określenia okres?

Dziwne pozostawało to, że dobrze radziłam sobie z dziećmi. Uwielbiałam ich mleczny, pudrowy zapach i ich ciepły, miękki ciężar w swoich ramionach. Nie protestowałam przeciwko zmianie pieluchy i nie przejmowałam się tym, że zwymiotowały na mnie swój obiad. I z jakiegoś powodu, który autentycznie wkurzał tych, którzy nie pochwalali mojego wyboru, zawsze potrafiłam je uspokoić.

Kochałam dzieci. Nie chciałam mieć po prostu własnych.

Słoneczko. Słoneczko! Nawet teraz pamiętam połączenie przyprawiającej o zawrót głowy radości i nadziei, kiedy na przyjęciu urodzinowym Lucindy Breen Damien powiedział, że ma dla mnie imię – w dodatku takie fantastycznie imię! Byłam tak przejęta, że na krótką chwilę straciłam czucie w stopach i minęły tygodnie, nim mi przeszło. (Od tamtego wieczoru mam słabość do Lucindy Breen.)

Kiedy jednak minęła pierwsza miłosna faza, musiałam dotrzeć do sedna sprawy z jego byłą żoną. Wszyscy faceci mają być dziewczyny, ale Damien wziął z tą kobietą ślub.

– Tylko spokojnie – poradziła mi Marnie. – To pewny sposób na to, by dał drapak.

– Ale ja się muszę dowiedzieć!

– Skoro już musisz, to zrób to subtelnie! Ale czy ja kiedykolwiek byłam subtelna? Zaczekałam do szczególnie namiętneho seksu, a kiedy nasze oddechy w końcu się uspokoiły, powiedziałam:

– Damien, jesteś mężczyzną i nie będziesz miał ochoty odpowiadać na te pytania, ale opowiedz mi o swojej byłej żonie. Juno, tak ma na imię?

Położył głowę na poduszce i wyszeptał:

– O, nie.

– Muszę wiedzieć. A jeśli nadal jesteś z nią jakoś związany...

– Nie jestem. To moja była żona. Była.

– Tak, no ale co się stało? Wzięliście ślub? Dlaczego? I dlaczego się rozstaliście? I dlaczego...

W końcu, kiedy już po prostu nie mógł się dłużej uchylać od odpowiedzi, złamał się i wyrzucił z siebie:

– Były trzy powody, dla których nam nie wyszło. – Pokazywał na palcach. – Jeden. Byliśmy za młodzi, gdy wzięliśmy ślub. Dwa. Pracowałem do późna, więc rzadko się widywaliśmy. I trzy. Ona zaczęła bzykać się z szefem.

Sądził, że to koniec dyskusji – tymczasem ja uważałam, że jego trzypunktowy wybuch był po prostu interesującym otwierającym gambitem.

Przekręciłam się tak, że leżałam na nim i popatrzyłam mu w oczy.

– Opowiedz mi o wszystkim – rzekłam. – Ulży ci.

– Nie.

Utrzymywałam kontakt wzrokowy.

– Jesteś uparty, ale ja bardziej.

Patrzyliśmy sobie w oczy i patrzyliśmy, aż w końcu on zamrugał.

– Mrugnąłeś! Wygrałam.

Zamknął oczy, po czym otworzył je i rzekł niemal ze śmiechem:

– Okej. Co chcesz wiedzieć?

– Gdzie się poznaliście?

– W szkole. Marflee's.

Marflee's to płatna placówka dla dzieci dobrze sytuowanych rodziców, zapewniająca „wszechstronne” wykształcenie. W praktyce oznaczało to, że nawet jeśli uczniowie byli głupi jak noga stołowa, ich figurki wycinane z kartofla tak bardzo chwalono, że fakt, iż ledwie były w stanie się podpisać, zupełnie do nich nie docierał. Wśród absolwentów Marflee's był wyższy od przeciętnego odsetek dyplomatów, zwycięzców triatlonu, chirurgów i zarządzających funduszami hedgingowymi.

Choć Juno i Damien chodzili do tej samej klasy, zakochali się w sobie dopiero po skończeniu szkoły i pójściu na studia do Trinity.

– Ale dlaczego wzięliście ślub? – zapytałam. Nie mogli się po prostu kochać jak normalni ludzie?

– Zaczęło się to trochę jako żart – odparł Damien takim tonem, jakby sam nie mógł w to uwierzyć.

Czytając między wierszami, domyśliłam się, że Juno była znudzona i uznała, że ślub to świetny pretekst do urządzenia imprezy. Ale prawdziwym bodźcem stało się to, że po obu stronach rodzice sprzeciwiali się temu pomysłowi. Twierdzili, że oboje są zbyt młodzi.

Problem z Damienem był taki, czego się szybko uczyłam, że jest on uparty. Nie można kazać mu czegoś nie robić. Im dłużej słyszałam, że jest zbyt młody na małżeństwo, tym bardziej stawał się zdeterminowany, by sprawa znalazła swój finał przed ołtarzem.

– Wiesz, jak to jest, im więcej nam mówili, że jesteśmy zbyt niedojrzali, tym bardziej byliśmy przekonani, że łączy nas o wiele więcej niż ich.

– *They say we're young and we don't know, we won't find out until we grow* – powiedziałam.

–Co?

– *I Got You Babe*. Sonny i Cher. – „Mówią, że jesteśmy młodzi, ale my dowiemy się o tym dopiero, gdy dorośniemy.

– Zgadza się, tak, właśnie.

W końcu on i Juno postawili na swoim. W pierwsze lato po skończeniu studiów wzięli ślub.

– No więc mieliście po dwadzieścia dwa lata i byliście małżeństwem – podsunęłam.

– Totalne szaleństwo. – Pokręcił głową. – Pracowałem sześćdziesiąt godzin tygodniowo jako początkujący reporter w „Timesie”, a wieczorowo studiowałem nauki polityczne. I byliśmy splukani.

Rzekłam ze współczuciem:

–*They say our love won't pay the rent, before it's earned our money's all been spent* – „Mówią, że miłością nie opłacimy czynszu, że wydamy wszystko wcześniej, niż zarobimy”.

– Właśnie.

– A Juno? – zapytałam. – Krzątała się po domu i piekła ciasteczka?

– Nie, ona też pracowała. W PR.

– W jakiej firmie?

– Browning and Eagle.

To powiedziało mi wszystko, co musiałam wiedzieć na temat Juno. Wbrew powszechnej opinii nie wszystkie dziewczyny z PR to podłe pijawki –

w swojej pracy często miewałam z nimi do czynienia, wiedziałam więc, o czym mówię.

Ale istniał pewien typ, który łączył tupet ze śmiertelnie nudnym brakiem wiary w ich produkt. Nie potrafiły sprzedać alkoholikowi puszki dwunastoprocentowego cydru i odnosiło się wrażenie, że wykonują tę pracę tylko po to, by móc modelować u fryzjera włosy i stać w Four Seasons w sali przeznaczonej na uroczystości i traktować innych protekcjonalnie.

Juno była jedną z takich osób.

Oczywiście wiedziałam to, nigdy jej nie poznawszy.

– I co się działo dalej? – zapytałam.

– O Boże. – Przeczesał palcami włosy. – Na okrągło pracowałem. Wiesz, jak to jest, kiedy się zaczyna.

Oczywiście, że wiedziałam. Jest się zdany na łaskę redaktora naczelnego. Z marszu mogłeś zostać wysłany do Antwerpii i musiałeś z tym sobie poradzić, ponieważ zdobywałeś doświadczenie i budowałeś swoją pozycję.

– A kiedy nie pracowałem, to studiowałem. Ale jej praca była bardzo towarzyska. I ona była bardzo towarzyska. Ciągle miała jakieś promocje i imprezy, i weekendowe wyjazdy, a ja nie byłem w stanie dotrzymać jej kroku. Potrzebowałem tytułu magistra, by dostać porządną pracę. Można więc powiedzieć, że wypracowaliśmy pewną rutynę: ona robiła swoje, a ja swoje, i możliwe, że przez pierwsze dwa lata nie była aż tak bardzo znudzona. Ale w trzecim roku... – Urwał, a ja czekałam. – Nadszedł pewien sobotni wieczór – kontynuował. – Wyjechała na weekend do zamku Ballynahinch, na promocję czegoś tam. Mój tydzień to było osiemdziesiąt godzin pracy i widziałem ją jedynie przez piętnaście minut, kiedy się pakowała. Potem ona pojechała, a ja

zabrałem się za materiał na pięć tysięcy słów na temat marksizmu i globalizmu. Pracowałem nad nim przez cały piątkowy wieczór, potem przez całą sobotę i skończyłem około dwudziestej drugiej...

– Tak...

– I nagle nie miałem nic do zrobienia. To był gorący wieczór. W telewizji musiał lecieć jakiś mecz, bo co jakiś czas słyszałem głośne ryki. Cały świat świetnie się bawił. Poczułem się jak najbardziej samotny człowiek w Irlandii. A potem... potem przypomniałem sobie, jak Juno się pakowała. Jak wyjęła z szuflady takie coś czarne i połyskujące.

– Coś czarne i połyskujące?

– Taa. Coś w rodzaju baskinki. I zacząłem się zastanawiać, po co zabiera baskinkę na wyjazd służbowy. – Spojrzał na mnie. – Wtedy przypomniałem sobie, jak często wspominała o Oliverze Browningu, swoim szefie.

Znałam go. Odrażająca menda, która farbowała włosy; powinny być brązowe, ale miały paskudny, pomarańczowy odcień.

– Wydawało mi się, że każda nasza rozmowa w ciągu ostatnich Bóg wie ilu miesięcy dotyczyła jego i tego, jaki jest wspaniały. – Wzruszył ramionami. – Nagle wszystko stało się jasne. No i wiesz już wszystko, Grace.

– Och – rzekłam. Co za smutna historia. – A doszło do ostatecznej rozgrywki między tobą a nią?

– Ostateczna rozgrywka to chyba zbyt dramatyczne określenie. Kiedy przyjechała, zapytałem ją, co się dzieje. Powiedziała mi wszystko. Powiedziała, że się od siebie oddaliśmy.

– Oddaliliście... ?

– Taa, jak w jakimś durnym programie telewizyjnym. Ale my się rzeczywiście oddaliśmy; dorośliśmy i każde poszło w innym kierunku. To

wszystko od początku do końca naszpikowane było banałami. – Zaśmiał się. – Ale ja ją kochałem. To bolało.

– Śmiejesz się.

– Śmieję się teraz. Wtedy nie było mi do śmiechu.

Po pełnej szacunku chwili milczenia ponownie podjęłam temat.

– A więc się rozwiedliście?

– Zgadza się. A ona ponownie wyszła za męża.

– Nie za Olivera Browninga? – Jestem pewna, że bym o tym słyszała.

– Nie, za kogoś innego. Ale ten sam typ. Bogaty przedsiębiorca. Facet, z którym świetnie można spędzać czas. Ascot, Wimbledon i Glyndebourne. Dał jej to, czego pragnęła. Są dla siebie stworzeni.

– Jesteś rozgoryczony? Czy pod tą posępną, niezbyt komunikatywną fasadą pielęgnujesz źródło goryczy?

– Nie.

– Słowa nic nie kosztują.

– Poszedłem na jej ślub!

– Poważnie? – Fascynujące. – Jak było?

– Och, Grace. – Jęknął i zakrył dłońmi twarz.

– Byłeś szczęśliwy? Smutny? Ani jedno, ani drugie?

Westchnął ciężko i dał za wygraną.

– Nie byłem szczęśliwy. Czułem, że poniosłem porażkę. Słowa przysięgi małżeńskiej traktowałem poważnie. Kiedy mówiłem „na zawsze”, czy też jak to się mówi...

– „Dopóki oboje żyć będziemy”.

– Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że „dopóki nas śmierć nie rozłączy”.

– Teraz już chyba tak się nie mówi.

– A więc byłaś na moim ślubie, tak?

– Nie, ale...

– Nieważne, jak brzmiały dokładnie słowa, ja w każdym razie traktowałem je poważnie. Wiem, wiem, byłem naiwnym dwudziestodwulatkiem. Nie miałem pojęcia o niczym, a sądziłem, że pozjadałem wszystkie rozumy. Wszyscy mieli przeczucie, że to nie wypali. Ale przyglądając się, jak moja była żona ponownie wychodzi za mąż, czułem zaskoczenie. W sensie negatywnym.

– Kogo ze sobą zabrałeś jako osobę towarzyszącą?

– Nikogo.

– Poszedłeś sam? Na ślub byłej żony?

– Nie miałem dziewczyny – zaprotestowałem. – A trudno, żebym zaproponował jakiejś nieznajomej: „Hej, robisz coś w sobotę? Masz ochotę iść ze mną popatrzeć, jak moja była żona ponownie wychodzi za mąż?”.

– To po co w ogóle szedłeś?

– Daj spokój, Grace, musiałem.

– Kwestia dumy?

– No i Juno byłoby smutno...

– Oj, oj, oj.

– Musiałem iść – odparł krótko. Rozumiałam to.

– No ale pokazać się tam samemu... a skoro już mowa o zjawie na przyjęciu. Założyłeś czarny garnitur?

– Oczywiście. Długi surdut... –

– ... z czarnymi getrami...

– ... i wysoki cylinder. Wyglądałem jak grabarz...

– ... wiktoriański grabarz...

To Damien zaczął się pierwszy śmiać, potem mogłam bezpiecznie i ja. Wizja jego w wysokim cylindrze była dla mnie nieznośnie zabawna i tragiczna. Śmialiśmy się i śmialiśmy, aż Damien przestał na wystarczająco długą chwilę, by powiedzieć:

– A kiedy ksiądz zapytał, czy ktoś zna jakiś powód, dla którego małżeństwo nie może zostać zawarte, ja odegrałem dwa pierwsze takty marsza żałobnego...

– ... na blaszanej fujarce...

– ... nie, na syntezatorze człowieka orkiestry... –... na którym grałeś łokciem.

Ponownie dopadła mnie wesołość i tak się śmiałam, że aż się zakrztusiłam. Ale nawet wtedy i tak uważałam, że to trochę smutne. Biedny Damien. Musiał – sam – być świadkiem, jak jego była żona w sukni za dziesięć tysięcy euro (zgadywałam, ale gotowa się byłam założyć, że mam rację), wkracza radośnie w nowe życie; czuł się zobowiązany wziąć w tym udział, ale był zbyt dużym samotnikiem, by czerpać pociechę z towarzystwa drugiego człowieka.

– Jeszcze tylko jedno pytanie, panie Stapleton.

– Nie! Koniec pytań.

– Widujesz się teraz z Juno?

– Nie.

– A co, gdybyś na nią wpadł?

– Byłoby... w porządku.

Boże, ależ mi się chciało siku.

Gorączkowo stukałam nogą o podłogę i zastanawiałam się, czy nie poprosić kogoś, by przytrzymał mi miejsce, gdy ja tymczasem skoczę do

ubikacji. Znajdowałam się na korytarzu przed hotelowym pokojem w centrum Londynu, wraz z tuzinem innych dziennikarzy. Wszyscy mieliśmy przeprowadzić wywiad z Antonią Allen, młodą, atrakcyjną aktorką hollywoodzką. Wszystkich nas umówiono na dziewiątą, a teraz była już pora lunchu i nie istniała jakaś ustalona kolejność, w której wzywano nas do kryjówki gwiazdy.

Zerknęłam na siedzącą obok mnie dziewczynę. Czy mogłam jej zaufać i poprosić o zajęcie miejsca? Uznałam, że nie. Prawie że czuć było jej wolę walki. Gdy tylko pobiegłabym do toalety, ona powiedziałaaby tej groźnej kobiecie z podkładką do pisania z klipsem, że dziennikarka ze „Spokesmana” poszła sobie do domu.

Krzesło było takie twarde, że w pośladkach nie miałam już czucia. Mogłabym wbijać w nie igły, zrobić sobie z tyłka poduszczkę do szpilek, a i tak nic bym nie poczuła. Może powinnam to zrobić, by rozerwać pozostałych dziennikarzy? („Śmiało, nie, śmiało, głębiej, wytrzymam”.) Tak dla zabicia czasu.

Ale nie wyglądali oni na skorych do zabawy, porzuciłam więc ten pomysł. Chciało mi się siusiu, papierosa i ośmiu tostów.

Zamknęłam oczy. Och tosty, tosty, jak ja was kocham. Jednego zjadłabym z masłem, jednego z masłem orzechowym, jednego z serkiem Philadelphia, jednego z dżemem truskawkowym i cztery z nutellą. Najpierw zjadłabym tost z nutellą, potem z masłem orzechowym, potem znowu z nutellą, potem z dżemem, potem dwadzieścia papierosów, skoro już sobie marzę. Miałabym do wyboru sześć muszli klozetowych, poduszkę z pierza pod pupę, i zjadłabym kolejne tosty, a potem wypaliła kolejne papierosy...

I pomyśleć, że moją pracę inni uważali czasami za fantastyczną. Ponieważ gwiazdom nie chciało się przylatywać na wywiady do Dublina, dość

regularnie bywałam w Londynie i dlatego ludzie (spoza światka dziennikarskiego) nieustannie mi powtarzali: „Ty to masz szczęście”.

Gdyby tylko znali prawdę. Dziś rano musiałam wstać

O 4. 45, by zdążyć na samolot bydlęcy linii Ryanair o 6. 45 i zjawić się w Londynie na 9. 00. W samolocie niczego nie zjadłam, ponieważ po pierwsze, było za wcześnie, a po drugie, bałam się, że mogłabym puścić pawia. Teraz natomiast umierałam z głodu.

– Założę się, że mają w pokoju domowej roboty ciasteczka – powiedziałam do nikogo w szczególności. – Zawsze je mają w tego typu hotelach, ale mnie wystarczyłyby delicje.

Kilka osób podniosło głowy znad swego sprzętu (laptopy, BlackBerry, komórki), ale byli zbyt spięci, by zareagować. Normalnie ludzie pokroju Antonii Allen nie stanowiliby źródła nadmiernego stresu – była to po prostu kolejna chuda blondynka z alergią na pszenicę, grająca w schematycznym filmie o denerwująco wysokim budżecie. Ale przed czterema dniami jej chłopak został nakryty na uprawianiu seksu z podającym się za kogoś innego reporterem (mężczyzną, żeby wszystko było jasne) i nagle zrobiło się o niej głośno. Wysłano mnie do Londynu.

– Masz wrócić z historią o chłopaku geju – polecił mi Big Daddy po lekturze brukowców – albo w ogóle nie wracaj.

Miałam ze sobą książkę Val McDermid, ale nie byłam w stanie się na niej skoncentrować: niepokój wypalał mi dziurę w żołądku. Ludzie Antonii uprzedzili, że jeśli pojawi się słowo „gej”, wywiad zostanie natychmiast zakończony. Jak miałam sprawić, by się przede mną otworzyła?

Przed przyjazdem tutaj pogrzebałam trochę w Internecie i jedyne, co odkryłam to fakt, że Antonia jest absolutnie niezwykła. Nade mną wisiała

świadomość – czyniąca wszystko jeszcze bardziej stresującym – że Caseyowi Kaplanowi by się udało. W ciągu tych trzech tygodni, odkąd zaczął pracować w „Spokesmanie”, olśniewał nas sławnymi zdobyczami, jakie przyciągał ze swoich polowań. Choć mieliśmy inne tytuły i inny zakres obowiązków (ja byłam „głównym dziennikarzem”, on był „dziennikarzem ds. celebrytów”), byłam do niego przyrównywana. Zadzwoiłam do TC.

– Coś nowego?

– Casey Kaplan w końcu wtajemniczył nas w tę historię, która miała zatrząść naszym światem.

– No? – Żeby tylko nie było to coś dobrego.

– Żona Wayne'a Diffneya jest w ciąży.

Wayne Diffney był kiedyś członkiem okropnego boysbandu Laddz (on to ten „szurnięty” z fryzurą, która wyglądała jak budynek opery w Sydney). Teraz desperacko próbował się wybić jako rockman. Zapuścił rzadką i rozwichrzoną brodę, przechwalał się tym, że nie używa antyperspirantu, a na antenie ogólnokrajowego radia wypowiedział z wahaniem słowo „kurwa”.

– To wszystko? Wayne Diffney? Okej. Jak tam twój świat?

– Nie wstrząśnięty. Twój?

– Spokojny. Dość spokojny.

Dalsze czekanie. Dalsze stukanie nogą. Piknął mi telefon. Esemes od Damiena.

kredyt przyznany! nowy samoch. dla ciebie!

Od weekendu negocjowaliśmy z instytucjami finansowymi. To była bardzo dobra wiadomość.

Z pokoju wyszedł dziennikarz i wszyscy podnieśliśmy głowy. Jaka była Antonia? Skora do rozmowy? Ale jego twarz pokerzysty nie zdradzała

niczego. Albo Antonia się rozgadała i strzegł swych informacji, by mieć je na wyłączność. Albo nic nie mówiła, a on maskował teraz porażkę.

Zadzwonił mój telefon.

–TC?

– Nie spodoba ci się to, co powiem.

–Wal.

– Wayne Diffney nie jest ojcem. Jest nim Shocko O'Shaughnessy.

W brzuchu eksplodowała mi kula ognia. Harry „Shocko” O'Shaughnessy to nie byle kto, to prawdziwy rockman. Posiadał liczne grono fanów, był bogaty jak Krezus, mieszkał w strzeżonej rezydencji w Killiney, z której się czasem wyłaniał, uśmiechnięty i rozczochrany, by wręczać nagrody podczas głośnych imprez charytatywnych i zabawiać supermodelki.

– Hailey odeszła...

– Kto?

– Pani Diffney, ma na imię Hailey. Odeszła od Wayne'a i wprowadziła się do Shocko. Kapłan przebywał akurat w sali bilardowej Shocko, grając z Bono, kiedy przyjechała taksówką. On i Bono udali się do najbliższej apteki i kupili test ciążowy. A przynajmniej tak twierdzi. Nie mieli tam służby, która by to zrobiła za nich? W każdym razie godzinę później zjawił się Diffney z kijem do hokeja, by policzyć się z O'Shaughnessym, no i oczywiście nie udało mu się staranować wejścia. Ale Kapłan – pieprzony Kofi Annan – przekonał Shocko, by go wpuścił i dał mu powiedzieć swoje. Kiedy tylko Diffney znalazł się w środku, zaczął szaleć z kijem. Rozwalił cztery platynowe płyty, walnął Bono w lewe kolano ze słowami „To za *Zooropę*”, a potem uderzył Shocko „we włosy”. To najgorętsza historia na świecie i Kapłan był jej świadkiem.

Na żywo Antonia była drobniejsza. Z nimi tak zawsze bywa. Znużona i skurczona – z jakiegoś powodu przypominała mi suszony grzyb – zupełnie nie wyglądała jak olśniewająca księżniczka, która pojawiała się na czerwonym dywanie w sukniach z kolekcji *couture*. („Ból spowodowany zdradą odbija się na niej niekorzystnie, czyniąc ją dziwnie podobną do grzyba... ”)

– Podoba ci się Londyn? – zapytałam. – Czy też jedyne co tu oglądasz, to ten hotelowy pokój.

(Dawno temu zmęczony wywiadami Bruce Willis powiedział mi ostrym tonem, że nie zwiedza żadnego z miast, w których bywa, że aktorzy w trasach promocyjnych zawsze tak mają. Uczepiłam się tej informacji i wykorzystuję ją, kiedy chcę, by sądzono, że wykazuję się przenikliwością.)

Antonia kiwnęła głową.

– Tylko te cztery ściany.

– Moja siostra bliźniaczka mieszka w Londynie. – Nigdy nie zaszkodzi powiedzieć o sobie czegoś osobistego. – Ale nigdy nie mam okazji się z nią spotkać, kiedy przyjeżdżam tu do pracy.

– Fatalnie – rzekła Antonia, nieszczerze tym zainteresowana.

– Tak. – Staralam się wyglądać na zasmuconą. – Fatalnie.

Megiera z podkładką z klipsem usiadła na stojącej nieopodal sofie i obserwowała nas twardym wzrokiem. Odczuwałam pustkę pomiędzy dwoma pierwszymi palcami. Zawsze miałam ochotę na papierosa, kiedy byłam zdenerwowana, a teraz byłam, i to nawet bardzo. Te cenne pół godziny stanowiło moją jedyną szansę na zdobycie historii o chłopaku geju, a wszystko wskazywało na to, że odejdę z kwitkiem.

Antonia piła ziołową herbatę. Co prawda nie spodziewałam się, że może uderzyć w gaz – choć bądź co bądź doznała szoku – ale to oznaczało blokadę

kolejnej możliwości; niewielka szansa na to, że język rozwiąże jej parę suszonych listków malin.

Zaczęłam od kilku rozgrzewających, włączających w dupę pytań o jej „sztukę”. Aktorzy uwielbiają rozmawiać o swojej sztuce. Jednak czytanie o tym jest nużące, dlatego coś takiego raczej nie pojawia się w artykułach.

Kiwałam poważnie głową, gdy kruszyła ciastka (tak, domowej roboty, zgodnie z moimi przewidywaniami) na swoim talerzyku i wyjaśniała, jak się wczuwała w rolę ciężko pracującej dziewczyny Owena Wilsona.

– Pracowałam w kancelarii prawnej, gdzie odbierałam telefony.

– Jak długo?

– Tylko jeden ranek, ale ja szybko się uczę.

Przełknęłam duży kawałek ciastka, niemalże przebijając sobie przełyk. Odpowiadała zbyt szybko, nie dawała mi wystarczająco czasu, bym mogła je pogryźć. Gdy tylko byłam się w stanie odezwać, napomknęłam o pewnym badziewiastym filmie autorskim, w którym zagrała dwa lata temu.

– To było naprawdę coś ważnego – rzekłam, by pokazać, że do niej „dotarłam”: nie była kolejną czterdziestokilową nakręcaną lalką, była poważną aktorką. – Jakies plany na coś podobnego w przyszłości?

Pokręciła głową. Cholera. Miałam nadzieję poprowadzić rozmowę w kierunku przydatności osobistego bólu w jej sztuce. Czas wyłączyć ją z autopilota.

– Antonia, kiedy ostatni raz skłamałaś?

Posłała przestraszone spojrzenie pani Podkładce, a ja rzekłam szybko, próbując odzyskać utraconą pozycję:

– Tylko żartowałam. Opowiedz mi o swoich najmocniejszych stronach.

– Jestem... ach... dobrze pracuję w zespole. Mam duże poczucie humoru. Widzę w ludziach to, co najlepsze. Jestem troskliwa, wrażliwa, ciepła...

Tak, tak.

– A, tym razem nie tak łatwo, twoje najgorsze cechy?

Udawała, że się zastanawia.

– Chyba... jestem perfekcjonistką. Pracoholiczką. Tak, tak. Zawsze mówią o perfekcjonizmie.

– Co wywołuje w tobie gniew?

– niesprawiedliwość. Ubóstwo. Głód na świecie.

To co zwykle. A może to, że twój chłopak nadstawia tyłek drugiemu kolesioniowi? Chryste, Antonia, to wkurzyłoby nawet świętego.

Ale poczułam, że coś się zmienia. Minimalna zmiana nastroju. Zaczęła łamać kolejne ciastko, a ja zaryzykowałam:

– Antonia, dlaczego tego nie jesz?

– Nie jem?

Pani Podkładka patrzyła podejrzliwie.

– To tylko ciastko – odparłam. – Potrafi poprawić nastrój. A bez wdawania się w szczegóły... – znacząca pauza, współczujące spojrzenie – prawdopodobnie przydałoby ci się teraz coś takiego.

Nie odrywając ode mnie wzroku, zjadła ciastko, dzieląc je na trzy szybkie kęsy.

– Dobrze? – zapytałam.

Kiwnęła głową.

Zamknęłam notes. Dyktafon pozostał włączony, ale zamknięcie notesu sugerowało, że to już koniec.

– Skończyliśmy? – Była zaskoczona. Zakończenie przed czasem to dobre posunięcie. Strach

przed tym, że czyjeś zainteresowanie słabnie, wywołuje w nich panikę.

– Nie chcę zabierać ci zbyt dużo czasu. Zwłaszcza zważywszy na to, przez co teraz przechodzisz. Prasa... – pokręciłam głową. – To, jak cię nękają...

Zaufaj mi, zaufaj mi. Jestem życzliwą, obdarzoną przenikliwością dziennikarką z siostrą bliźniaczką, którą nieczęsto widuję. A ty najpewniej marzysz o przedstawieniu swojej wersji wydarzeń...

– Mój redaktor naczelny kazał mi nie wracać, jeśli nie zapytam o ciebie i Jaina. – Wzruszyłam bezradnie ramionami. – Ale... – Wsadziłam notes do teczki.

– Och. Będziesz mieć kłopoty?

Uczyniłam gest, który miałam nadzieję, sugerował, iż zostanę zwolniona.

– Ale kto by się przejmował? – Strzepnęłam okruszki ze spodni, szykując się do wstania.

– Słuchaj – powiedziała szybko. – To w sumie nic wielkiego. Ten związek i tak był już skończony. Już go nie kochałam. I nieważne, co mówią inni, ale ja nie jestem głupia. Wiedziałam, że mnie zdradza. Nie sądziłam tylko, że jest gejem.

Pani Podkładka spojrzała na nas ostro.

– Antonia! Pani, eee... – Sięgnęła po swoją podkładkę. Jak ja się nazywałam? – Pani Gildee!

– Cieszę się, że masz ludzi, którzy się o ciebie troszczą. – powiedziałam pośpiesznie. – Czy zachowanie Jaina wskazywało na to, że może być gejem? – *Mów, Antonia, mów.*

– Dużo trenował na siłowni, dbał o cerę, ale który facet tego nie robi?

– Płyty Judy Garland?

– Pani Gildee!

– Wiesz co? Nie. Ale rzeczywiście poleciał do Vegas na koncert Celine Dion.

– No a co z seksem?

– Pani Gildee, nakazuję pani przestać natych...

– Seks był super!

– Ale czy był heteroseksualny? – Poszłam na całość, wyścig do mety pomiędzy mną a panią Podkładką.

– Ten wywiad jest zakończony w tej chwili...

– Chodzi mi o to... nie przychodzi mi do głowy, jak to łagodniej ująć... – Jest pora na bycie przymilnym i pora na bycie wstrętnym. – Czy następowało to przez główne drzwi czy wejście dla dostawców?

– O co ci... ? Och! Czy tak właśnie wszyscy mówią? – Antonia zarumieniona była z oburzenia. – Że uprawialiśmy tylko seks analny?

– Antonia, nie! Nie mów niczego...

– Jeśli chcesz wiedzieć, to seks był nie zawsze analny! Był urozmaicony!

– Jeśli chcę wiedzieć? – Wzięłam do ręki dyktafon i wyłączyłam go. –

Dziękuję, Antonio, i pani Podkładko.

Gdy pędziłam korytarzem do toalety, było mi wstyd. Wrobiłam Antonię w zrzucenie maski. Potem pomyślałam: Oj tam, daj spokój. To dwudziestoletnia piękność, która dostawała darmowe ciuchy od Gucciego i kasowała pięć milionów dolarów za film. Ja byłam kiepsko wynagradzaną dziennikarką, która jedynie wykonywała swoją pracę.

– Gardło mam posiniaczone od przelknięcia dużych kawałków ciastek. – Lawirowałam pomiędzy ławicą turystów, którzy właśnie przylecieli z

Zakynthos, trzymając przy uchu telefon. – Mój pęcherz niemożliwie się rozciągnął, już nigdy nie wróci do poprzedniego stanu...

– Jak sweter wyprany w niewłaściwej temperaturze.

– Jeśli chcesz mieć sweter wyprany we właściwej temperaturze, to sam go sobie wypierz. – Kontynuowałam swoją litanie nieszczęść: – Studio wpisze mnie na czarną listę. Już nigdy nie pozwolą mi przeprowadzać wywiadów ze swoimi ludźmi. Nie musiałam posuwać się aż tak daleko, Damien. Big Daddy nie opublikuje czegoś tak ordynarnego, jak: „Antonia Allen przyznaje się do seksu analnego”. Właśnie to sobie uświadomiłam. Ten taniec pomiędzy gwiazdami a mediami odbywa się zawsze na ich zasadach. I... – do tego akurat ciężko się było przyznać – ciągle nade mną wisiało widmo Caseya Kaplana. Złamałam własne zasady i czuję się paskudnie...

– Uprawialiśmy seks analny? – zapytał Damien.

– Och, na litość boską! Tak jakby.

– Tak jakby?

– Pijacki eksperyment. Nie bardzo nam to wyszło. I nie będziemy próbować ponownie.

– Ja nie pamiętam.

– Cóż, ja tak i nie będziemy już próbować.

Drgnęłam, gdy mijałam kioski z bezcłowymi papierosami. Mimo że już nie należały do towarów wolnocłowych. A ja już nie paliłam.

– Pojedziemy wieczorem kupić samochód? – zapytał.

– Ale dzisiaj jest ostatni dzień miesiąca. Wieczór randkowy.

Jako że oboje tak dużo pracujemy, Damien jakiś czas temu postanowił, że powinniśmy spróbować spędzać jeden romantyczny (czytaj: „seks”) wieczór w miesiącu.

– Chryste!

– Wielkie dzięki! To był twój pomysł.

Ja byłam raczej przeciwna takiemu ustaleniu.

– Nie chodzi mi o sam pomysł, ale o słowo. „Randka” – rzekł. – Kiedy się stało częścią naszego słownictwa? Podobnie jak „zdrada”. Kiedy jako naród osiągnęliśmy konsensus co do tego, by stosować je zamiast słowa „niewierność”? I „liczyć na kogoś”. To kolejny zwrot. „Możesz na mnie liczyć”. „Liczę na nią”. „Wszyscy możemy na siebie liczyć”. Kulturowy imperializm. Teraz wszyscy jesteśmy Amerykanami.

– No więc będzie czy nie będzie? – Byłam w nastroju na seks.

– Chcesz?

– A ty?

– Tak.

– W takim razie będzie.

Dziwna sprawa, ale mój lot nie miał opóźnień i do domu dotarłam przed Damienem. Włączyłam muzykę, zgasiłam światło i pozapalałam świeczki. W zamrażalniku czekały lody, w lodówce jagody (będą musiały robić za truskawki), a na ławie butelka czerwonego wina. (Bez prawdziwego jedzenia. Ja w samolocie zjadłam beznadziejne panini, a on powiedział, że kupi sobie coś w pracy.)

Czekałam niecierpliwie. Rozebrałam się do stanika i majtek, narzuciłam na siebie szlafrok i nieoczekiwanie przyjrzałam się uważniej swojej bieliźnie. Czarne bawełniane figi, zwykły czarny stanik. (Dwa różne odcienie czerni.) Nic w tym złego, ale ta bielizna nie była... fajna. Czy coś by mi się stało, gdybym kupowała ładne rzeczy? W zasadzie nie. Ale chyba tak do końca tego

nie popierałam. Byłam prawdziwą kobietą, dlaczego więc powinnam się ubierać jak uosobienie męskich fantazji?

Damien twierdził, że ma gdzieś wyrafinowane majteczki. Ale jeśli kłamał? A jeśli zostawi mnie dla jakiejś panienki z jedwabistą skórą i szufladą pełną czerwonych pasów do pończoch i zdobionych dżetami stringów... ?

Przez dłuższą chwilę myślałam o tej przygnębiającej ewentualności. Potem dałam sobie spokój. Uznałam, że gdyby okazał się na tyle głupi, to droga wolna.

Nalałam sobie wino i położyłam się na sofie. Nie mogłam się już doczekać. Długo trwała posucha.

Wrócił!

Rzuciłam się w stronę drzwi i wręczyłam mu kieliszek z winem. Jak żona z lat pięćdziesiątych aż się paliłam do tego, by wymazać stres i napięcie świata zewnętrznego – tak by szybko się znalazł w nastroju na seks.

– Jak ci minął dzień? Napij się.

Uprzejmości były wskazane, mimo że Damien w zasadzie zawsze był w takim nastroju. Za co byłam mu wdzięczna – czymś strasznym musi być usłyszenie odmowy, kiedy jest się zdesperowanym. Czasami żał mi było mężczyzn. (Ale tylko czasami.)

Sterczały mu włosy po zdjęciu kasku. Rozpiął skórę, odsłaniając garnitur; czułam się tak, jakbym oglądała Supermana, tyle że od końca.

Pociągnęłam go za krawat do salonu.

– Jezu, daj mi chwilę – rzekł, próbując napić się wina, po czym uderzył kolanem w półkę na książki, na którą go niechcący skierowałam.

Na sofie usiadłam na nim okrakiem i wsunęłam mu dłoń pod koszulę; zawsze lubiłam jego tors.

Ale dzisiaj byłam zbyt niecierpliwa. Zsunęłam się z niego i włożyłam mu rękę w spodnie, po czym zaczęłam wykonywać palcami koliste, drażniące ruchy, delikatnie skubiąc paznokciami.

– Co się stało z grą wstępną? – zapytał.

– Nie ma czasu. Jestem zbyt napalona.

Moje ruchy natychmiast zadziałały i przypominało to przyspieszone nagranie cyklu życiowego rośliny – maleńki, niewinnie wyglądający pączek, który zaczyna się rozwijać, prostować, grubieć, prostować, twardnieć, aż w końcu sterczy dumnie wyprostowany. Uwielbiałam to czuć, tę twardość spoczywającą w mojej dłoni.

– Podnieś – poleciłam mu, łapiąc go za biodra, bym mogła ściągnąć mu spodnie. Sam rozpiął już koszulę, by po chwili odrzucić ją na bok.

Rozpiął mi stanik, a ja pochyliłam się, by sam spadł. Damien natychmiast sięgnął do moich piersi: ważył je w dłoniach i pieścił brodawki dwoma palcami. Jego spojrzenie stało się szkliste i w mojej głowie pojawiła się nagle niepożądana myśl: jakie to dziwne, że seks ma się łączyć z zażyłością; czasami było dokładnie na odwrót, tak jakby nasze ciała zamieszkiwały inne osoby.

– Opowiedz mi o swoich fantazjach – szepnęłam, starając się odzyskać poczucie bliskości.

Jego fantazje dotyczyły najczęściej mnie w akcji z drugą kobietą. Trochę powtarzalne, ale nieszkodliwe. Nie miałam pewności, czy byłabym zadowolona, gdyby fantazjował o zakładaniu pieluch dla dorosłych czy przebieraniu się za łasicę.

– Grace – wyszeptał.

–Tak?

– Chodźmy do sypialni.

– Nie. Jesteśmy spontaniczni.

Znajdowaliśmy się na podłodze w salonie, ja na górze. Zamknęłam oczy, by wróciło podniecenie.

– Grace.

– Co?

– Cholernie mnie bołą łopatki. Chodźmy na górę.

– Okej.

Zaczynały mnie boleć kolana.

– Teraz właśnie brakuje mi ich najbardziej – powiedział Damien, waląc w poduszkę tak mocno, jakby właśnie nazwała jego matkę dziwką. – Błogość po seksie nie jest nawet w połowie tak fajna bez papierosów.

– Bądź bohaterem.

– Niektórzy ludzie to po prostu urodzeni palacze. To fundamentalna część ich osobowości.

– Zjedz jagodę.

– Zjedz jagodę, mówi ona. – Wpatrywał się w sufit.

– Milion jagód nie wypełni sobą tej wyrwy. Śniły mi się dzisiaj w nocy.

– Jagody?

– Papierosy.

– Naprawdę powinieneś spróbować tych gum.

– E tam. To nie działa.

Nic nie powiedziałam, ale nie było mi łatwo. Damien miał tę charakterystyczną dla macho cechę, która kazała mu wierzyć, że nic mu nie pomoże. Kiedy bolała go głowa (często), nie brał tabletek. („A jaki z nich pożytek?”) Kiedy dopadała go infekcja dróg oddechowych (co styczeń), nie

szedł do lekarza. („Da mi tylko receptę na antybiotyki".) Doprowadzało mnie to do szału.

– Nie zapomnij – rzekłam – że w czwartek wieczorem przylatują z Londynu Marnie, Nick i dzieciaki. Mama szykuje kolację.

– Nie zapomniałem. Nie zostawiaj mnie samego z Nickiem.

Nick to mąż Marnie, przystojny szczęściarz, który wykroczył poza swoje robotnicze pochodzenie i został maklerem towarowym, opływającym w gotówkę. (Mama i tata, starzy socjaliści, próbowali odnosić się z dezaprobatą do niego i jego thatcherowskiej ekonomii, ale jemu nie można się było oprzeć.)

Mieszkali w wielkim domu w Wandsworth Common i byli bardzo „luksusowi" – Marnie jeździła porsche SUV.

– W świecie Nicka nie ma miejsca na przygębienie – rzekł Damien. – Będę musiał wysłuchiwać, jak nadaje o zaletach nowego jaguara i nowego astona martina i o tym, którego powinien sobie sprawić.

– Może tak nie będzie. Wygląda na to, że w tym roku znowu nie dostanie premii. Drugi rok z rzędu. Ceny konopi na świecie nie są już takie jak kiedyś.

Wiedziałam wszystko na temat stanu ich finansów. Marnie mi powiedziała.

– Jego nic nie złamie. A ty nie zapomnij, że na piątek wieczór Christine wezwała nas na kolację.

Christine była starszą siostrą Damiena i podejrzewaliśmy, że to nie jest taka sobie zwykła rodzinna wizyta. Nieczęsto umawialiśmy się na kameralne kolacje z jego rodzeństwem, było po prostu zbyt liczne, by wpadać do wszystkich po kolei. Rodzinę Damiena na ogół spotykaliśmy *en masse* (dosłownie *en masse*: dziesięcioro siostrzeńców, siostrzenic i bratanków w wieku od zera do dwunastu lat – prawdę powiedziawszy, mamy tabelę z

powpisywanymi datami ich urodzin) na wielkich, przytłaczających przyjęciach: czterdziestych urodzinach, złotych godach i pierwszych komuniach.

Ale wydedukowaliśmy, że powodem, dla którego zostaliśmy zaproszeni do Christine i Richarda tylko my, jest fakt, iż niedawno przyszło na świat ich czwarte dziecko i zamierzali nas prosić na rodziców chrzestnych. To miało sens. Pozostała trójka rodzeństwa Damiena – Brian, Hugh i Deirdree – była już rodzicami chrzestnymi starszych trojga dzieci Christine. Teraz, kiedy urodziło im się czwarte, było oczywiste, że nadeszła kolej na Damiena i prawdopodobnie mnie.

– Co konkretnie musi robić rodzic chrzestny? – zapytał mnie Damien.

– Nic – odparłam. Byłam matką chrzestną Daisy. – Jedyne dawać pieniądze na Gwiazdkę i urodziny.

– Nie trzeba zajmować się ich wychowaniem duchowym?

– Tylko wtedy, gdy rodzice umrą.

– Ale Christine i Richard nie umrą. – Nie, nigdy by nie uczynili czegoś tak prostackiego. – Hej, dowódcu bombowca! – wykrzyknął nagle Damien. – Robię coś w następny piątek, co?

– Nie jestem twoim stróżem.

– Ha! A to zabawne. Zorganizowałaś coś dla mnie na ten dzień?

– A czemu pytasz?

– Jest zjazd absolwentów. Dwudziestolecie ukończenia szkoły.

– Zjazd absolwentów? Ty?

Damien był jednym z najmniej towarzyskich ludzi, jakich znałam. Ciężko było gdziekolwiek go wyciągnąć. Często mówił, że nie znosi wszystkich ludzi,

że chciałby mieszkać na szczycie odludnej góry, i że jedyna osoba, której stała obecność jest w stanie tolerować, to ja.

I nagle już wiedziałam, o co w tym wszystkim chodzi. Poczułam ściskanie w żołądku.

– Juno tam będzie?

– Pewnie tak.

– Pewnie tak?

– To ona organizuje ten zjazd, więc tak, pewnie tak. Czekałam na coś takiego, odkąd przysłała ten cholerny film.

– Co się dzieje?

–Nic!

– Dzwoniła do ciebie? Ty zadzwoniłeś do niej? Czy co?

– Ona zadzwoniła do mamy. Mama zadzwoniła do mnie. Ja zadzwoniłem do Juno.

– Kiedy?

– A bo ja wiem. Kiedy był poniedziałek?

– Wczoraj.

– W takim razie wczoraj.

Bacznie mu się przyglądałam.

– Co się dzieje?

– Nie ufasz mi?

– Tak. Nie. Nie wiem.

– Jeden ostrożny właściciel... i jeszcze kilku nieostrożnych. Tylko żartuję. Cha, cha, cha. – Terry, sprzedawca używanych samochodów (kolejna zagadka w stylu jajka i kury: co było pierwsze, praca sprzedawcy używanych samochodów czy podejrzana, nadmiernie spoufalająca się osoba?) spojrzał

Damienowi w oczy. – Poważnie. Jeden właściciel, kobieta, nigdy nie jeździła szybciej niż siedemdziesiątką.

Podskakiwałam raz po raz, próbując przerwać kontakt wzrokowy pomiędzy Damienem a Terrym.

– ... pełna historia serwisowa...

Musiałam sprawić, by wiązka laserowa spojrzenia Terry'ego przekierowała się na moją twarz.

– ... komplet nowych opon...

Damien pokazał na mnie.

– Powiedz to Grace – rzekł, ale Terry trzymał go w śmiertelnym wzrokowym uścisku.

– Terry! – zawołałam.

Udawał, że mnie nie słyszy.

– ... opłacony podatek drogowy...

– Terry. – Stałam dziesięć centymetrów od niego i powiedziałam mu bardzo głośno prosto w twarz: – Samochód. Jest. Dla. Mnie.

– Och, wybacz, skarbie. – Mrugnął do Damiena.

– Nie szkodzi, skarbie. Ale nie winię cię za to, że mrugasz do Damiena. Przystojniak z niego, no nie?

– Czułem się, jakby mnie zahipnotyzował – przeprosił mnie Damien, kiedy odjechaliśmy. – Po prostu nie potrafiłem oderwać od niego wzroku.

– Nie ma sprawy! – Super było mieć znowu samochód! Kolejną mazdę, nie tak ładną, nie tak nową, ale nie zamierzałam narzekać. – Wybierzmy się na przejażdżkę!

– Do Dun Laoghaire? Popatrzeć na morze?

– A potem zajrzemy na Yeoman Road? Sprawdzimy, czy Bid ma się lepiej i czy możemy znowu zacząć palić?

Prawie w ogóle się nie wahał, co było dowodem na jego fantastyczny nastrój. (Zawsze się wahał, kiedy się wybieraliśmy z wizytą do mojej rodziny. Jego także, ale tego akurat można się było spodziewać. Upierał się, że bardzo lubi moich rodziców – i w miarę lubi Bid, na więcej zresztą nie zasługiwała, zważywszy na to, jak się czasami zachowywała – ale że rodziny jako takie napędzają mu stracha.)

Powitał nas ogłuszający Szostakowicz. Tata siedział z zamkniętymi oczami na fotelu i dyrygował. Bingo ostrożnie stapał do przodu i do tyłu, tańcząc jak postać z adaptacji Jane Austen. Brakowało mu jedynie czepka. Mama siedziała w kuchni przy stole i czytała *Islamofobię: jak Zachód zrekonfigurował ideologię muzułmańską*. Bid miała na pozbawionej włosów głowie żółto-białą, robioną na drutach czapeczkę – która wyglądała jak ocieplacz na jajka – i przerzucała kartki książki zatytułowanej *Ukochany dla Susie*. Wszyscy – łącznie z Bingo – pili obrzydliwe wino z mleczy, którego produkcją zajmował się tata.

Pierwsza zobaczyła nas mama.

– Co tu robicie?

– Mam nowy samochód!

Tata otworzył oczy i wyprostował się.

– Ci wyłudający oszuści jednak zapłacili?

– Tak! – skłamał Damien. Miną miesiące, nim zobaczymy choćby grosz, ale żadne z nas nie miało ochoty wysłuchiwać żołądkowania się taty. – Jak się czujesz, Bid?

Odłożyła na bok książkę.

- Strasznie mi się chce zapalić, dziękuję, że pytasz.
- Chodziło mi o twoje zdrowie...
- Ach, o to – odparła ze smutkiem. – Jeszcze tylko pięć serii chemii i wszyscy będziemy mogli znowu zacząć palić.
- Po jej żółtawym policzku spłynęła łza.
- Proszę, nie płacz – powiedziałam z niepokojem.
- Nic na to nie poradzę. Tak bardzo... bardzo... bardzo mi brakuje papierosów – wykrztusiła.
- Och, mnie też, Bid, kochana, mnie też. – Mama zamknęła swoją książkę, a potem ona też zaczęła płakać – i tata też!
- To takie wyczerpujące – rzekł ochryplym głosem. Trzęsły mu się ramiona. Bingo podbiegł do niego, stukając pazurami o linoleum, i położył mu głowę na kolanach. – To taka cholerna udreka. – Tata nieco szaleńczo głaskał głowę psa.
- To jedyne, o czym, myślę, a trzymanie się od nich z dala to praca na pełen etat.
- Nie przeszkadza mi to, że mam raka. – Bid uniosła głowę. Twarz miała mokrą od łez. – To brak papierosów mnie dobija.
- Śnią mi się – wyznała mama.
- Mnie też!
- Mnie też – powiedział Damien.
- I mnie – dołączył się tata. – Jeszcze nigdy nie jadłem tylu słodczy. Nie rozumiem, jaki jest sens w rzucaniu palenia, skoro zabijają nas tłuszcze trans.
- Jak twój harlequin? – Kiwnęłam głową w stronę książki Bid.

– To nie harlequin, ale książka erotyczna. O dziewczynie, która ma na imię Susie i ciągle chodzi z kimś do łóżka. Niemądra, bardzo niemądra, ale sceny seksu są niezłe.

– To dobrze! Świetnie!

Jezus, Marnie zrobiła się taka chuda. Przez jeden z wełnianych kardiganów mamy mogłam wyczuć jej żebra. Zawsze była chuda, ale nigdy aż tak. Czy nie było tak, że z wiekiem nabierało się ciała? Nawet jeśli nie rzuciło się palenia? (Minęły dopiero cztery dni, a ja już miałam problemy z dopięciem spodni.)

– Przemarzałam na kość – powiedziała. – Ten dom. Gdzie Damien?

– W drodze. – Lepiej, żeby to była prawda. – Jesteś bardzo chuda.

– Naprawdę? To dobrze.

O Boże, pomyślałam, mam nadzieję, że na domiar wszystkiego nie wpadła w anoreksję. Niedawno pisałam artykuł o tym, że dotyka ona coraz więcej kobiet po czterdziestce, i choć Marnie miała dopiero trzydzieści pięć lat, zawsze lubiła wyprzedzać trendy.

Na dole w kuchni panował chaos. Daisy i Verity galopowały wokół stołu, udając kucyki, mama mieszała coś w garnku i rozwiązywała krzyżówkę, tata zaś pochłonięty był biografią Henry'ego Millera.

Wyglądało na to, że eksplodowała różowa bomba: różowe plecaki, różowe kurtki, lalki w różowych ubrankach...

– Witaj, słonko. – Nick nachylił się (gwoli ścisłości to wychylił), by mnie pocałować. – Wyglądasz fantastycznie!

On też. Miał niecałe metr siedemdziesiąt wzrostu, ale był bardzo przystojny, w taki szelmowski sposób. Miał modnie obcięte włosy, dzinsy i T -

shirt z długim rękawem, który wyglądał na nowy i (jak powiedziała później mama) „gazetowy”.

– Przywitajcie się z ciocią Grace! – poleciła dziewczynkom Marnie.

– Nie możemy – odparła Daisy. – Jesteśmy kucykami. Kucyki nie potrafią mówić.

Przebiegła obok mnie, a ja chwyciłam ją i ucałowałam gładką jak płatek kwiatu twarz. Wykręcała się, wołając:

– Pocałowała konia, ciocia Grace pocałowała konia!

– Zdarzało jej się całować gorsze stwory. – Zjawił się Damien.

– Cieszę się, że się wyrobiłeś – powiedziałam do niego cicho.

– Ja nie.

Nie powinnam się śmiać, to go jeszcze bardziej ośmielało. Uszczypnęłam go więc w udo, na tyle mocno, by zaboląło.

– Zuchwały jesteś. Kto cię wpuścił?

– Bid. Poszła się położyć. Dlaczego Bingo jest na dworze? Bingo przyciskał pysk do szyby, żałośnie się przyglądając, jak wszyscy w kuchni dobrze się bawią.

– Verity nagle zaczęła bać się psów.

– Wujek Damien!

Daisy rzuciła się na niego i próbowała wspiać się po jego nodze, niczym małpka po drzewie. Złapał ją za kostki i trzymał głową w dół, gdy tymczasem ona piszcziała ze strachu i zachwytu. Postawił ją na ziemi, po czym wyciągnął ręce w stronę Verity. Ale ona zajęła pozycję obronną za stołem.

– Przywitaj się z wujkiem – powiedziała Marnie.

Ale Verity cofnęła się jeszcze bardziej i stała oparta plecami o ścianę, wpatrując się z lękiem w Damiena.

– Nie przejmuj się, Verity – rzekł życzliwie. – Nie pierwszy raz kobieta daje mi kosza.

Biedna Verity nie przedstawiała sobą ładnego widoku. Wyglądała na dziwnie skurczoną i na dodatek miała starą twarz. I jeszcze wadę wzroku – nic poważnego – i musiała nosić okulary, przez co wyglądała dorośle i świadomie.

Bycie młodszą siostrą Daisy musiało być trudne. Daisy była taka pogodna i pewna siebie, wysoka jak na swój wiek i wyglądała jak mały aniołek.

– Piwo, Damien? – zapytał Nick.

– Jasne, Nick, piwo, super! – Damien w stosunku do Nicka zawsze się zachowuje superkumplowsko, rekompensując w ten sposób fakt, że nie ma z nim o czym rozmawiać.

– No więc jak tam praca?

– Świetnie. A twoja?

– Taa! Świetnie!

– Może wina? – Znalazłam butelkę czerwonego i napełniłam cztery kieliszki.

– Ja dziękuję – odparła ze smutkiem Marnie. – Biorę antybiotyki.

Tata podniósł głowę znad książki. Na jego twarzy malowała się czujność i właśnie miał rozpocząć swoją tyradę przeciwko producentom leków.

– Niech ktoś go powstrzyma – odezwał się Damien.

– Zamknij się – powiedziała mama do taty. – Ty głupi starcze. Nikt nie ma ochoty cię słuchać.

– Co ci się stało? – zapytałam Marnie.

– Infekcja nerki.

Boże wszechmogący, jak nie urok to sraczka. Moja siostra była najbardziej chorowitą osobą, jaką znałam.

– To wszystko przez ciebie – uśmiechnęła się szeroko. – W brzuchu mamy zagarniałaś dla siebie wszystkie składniki odżywcze. Dla mnie nie zostawało nic.

Stara śpiewka, ale patrząc na nas, nie można się było nie zgodzić. Marnie było szczuplutka, drobnokoścista i miała tylko metr pięćdziesiąt. Śliczna była z tą swoją małą, chudą twarzą, wielkimi niebieskimi oczami i długimi kasztanowymi włosami. Przy niej czułam się jak ospały koń pociągowy.

I znowu zaczęło się galopowanie, kucyki wpadały na krzesła (szczególnie to, na którym siedział tata), piszcząc, śmiejąc się i dudniąc.

– Wy dwie! – zaskrzeczał nagle tata, kiedy po raz piąty wytrąciły mu książkę z ręki. – Przestańcie, przestańcie! Na wszystkie świętości, przestańcie! Idźcie do pokoju pooglądać telewizję.

– Nic w niej nie ma – odparła Daisy. – Nie macie kablówki.

– Poczytajcie książkę – zaproponowała mama. Wszyscy ją zignorowali.

– Każ nam pooglądać DVD – poleciła mi Daisy.

– Pooglądajcie DVD – rzekłam.

– Nie możemy. – Daisy chwyciła mnie za nadgarstek i dodała, z oczami pełnymi autentycznego zdziwienia: – Ponieważ tu nie ma odtwarzacza DVD!

Wpatrywałyśmy się w siebie z udawanym zdumieniem.

Tata wstał.

– Idę na spacer z Bingo.

– Już byłeś – powiedziała mama. – Siadaj. Marnie! Skąd masz te siniaki?

– Jakie siniaki? – Rękawy jej swetra podjechały wysoko, odsłaniając sinofioletowe plamy na obu przedramionach. Zerknęła na nie. – Ach, to. Akupunktura.

– A po co się kłujesz?

– Na uciszenie pragnień.

Spojrzałam mimowolnie na Nicka. Odwrócił ode mnie wzrok.

– Jakich pragnień? – zapytała mama.

– Och, no wiecie. Żeby mieć metr osiemdziesiąt. Być urodzoną optymistką. Wygrać milion w totka.

– Po akupunkturze zostają takie sińce?

– Pewnie nie, ale wiecie, jak to już ze mną jest.

– Mały problem. – Nick zszedł po schodach do kuchni. – Verity nie chce pójść do łóżka. Twierdzi, że ten dom jest nawiedzony.

Mama sprawiała wrażenie osłupiałej.

– Ale on nie jest nawiedzony. To pewnie jedyne, co jest z nim w porządku.

– Gdyby był, to moglibyśmy zacząć pobierać opłaty – dodał tata.

– Chce wracać do domu, do Londynu.

Na podeście stała Verity ze spakowanym różowym plecaczkiem, z ponurą miną unikając kontaktu wzrokowego.

– W tym domu nie ma żadnych duchów – powiedziałam do niej.

– Wszystkie przeniosły się do sąsiadów, kiedy kupili sobie kablówkę. –

Na schodach za mną stanął Damien.

– Nie chcę wujka! – zawołała Verity, nagle ożywiona. – Chcę do mamy!

– Dobrze, świetnie, sorki. – Damien wycofał się.

Kontrolę przejęła Marnie. Przykucnęła obok Verity i rozmawiała z nią cicho, starając się rozproszyć jej obawy, nie robiąc tego w sposób protekcyjny. Była nieskończenie cierpliwa. Tak nieskończenie, że bałam się, iż całą noc spędzimy na schodach, ale Verity nagle skapitulowała.

– Przepraszam, mamusiu. Kocham cię, mamusiu.

– Ja ciebie też, skarbie.

Poszła do łóżka, a Marnie razem z nią.

– Poleżę z nią chwilę, dopóki nie zaśnie. To nie potrwa długo.

Gdy zesłam na dół, dorwał mnie Damien.

– Śpi? Możemy jechać? Proszę, dowódco bombowca.

– Chcę sobie porządnie pogadać z Marnie.

– A mogę ja jechać? Wczesnie rano mam zebranie. I zaczynam tracić radość życia. Przez ostatnie dziewięć żyć rozmawiam z Nickiem. Zmieniły się pory roku. Drzewa kwitły, uschły, po czym znowu zakwitły. Może gdybym palił, ale moja tolerancja nie jest już taka jak kiedyś...

Nie było sensu go zmuszać.

– No dobrze. – Zaśmiałam się. – Ja jednak zostanę.

Tata zobaczył, że Damien się zbiera i natychmiast się ożywił.

– Wychodzisz na piwo?

– Nie, ach... po prostu jadę do domu.

– Naprawdę? – Rozczarowane twarze. – Dlaczego? Dlaczego jedziesz?

Dlaczego?

– Muszę wczesnie wstać. – Uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Pa, Damien. – Mama poklepała go po policzku. – „Kocham majestat ludzkiego cierpienia”. Vigny. *La Maison du Berger*.

– Pa – powiedział i zwiął.

Tata popatrzył na drzwi, za którymi zniknął Damien, i stwierdził refleksyjnie:

– Interesujące jest to, że pod tą całą otoczką to przyzwoity człowiek. Oddałby ci swoją ostatnią koszulę.

– Choć narzekałby, że to jego ulubiona koszula i że bardzo mu jej będzie brakować – wtrąciła mama, po czym ona i tata nagle zaczęli się głośno śmiać.

– Dajcie mu spokój! – zaprotestowałam.

Pojawiła się Marnie.

– Gdzie Damien?

– Potrzebuje przestrzeni.

Marnie pokręciła głową.

– Nie wiem, jak ty to robisz. Ja mam zbyt mało wiary w siebie, by być z kimś takim jak Damien. Kiedy tylko wpadałby w zły nastrój, uważałabym, że to moja wina.

– Ale on zawsze jest w złym nastroju! – zawołał tata.

Miał taką minę, jakby właśnie powiedział coś niesamowicie dowcipnego, po czym on i mama ponownie wybuchnęli śmiechem i długo nie mogli się uspokoić.

Próbowałam wślizgnąć się do łóżka tak, by nie obudzić Damiena, ale on usiadł i włączył światło.

– Co się dzieje z Verity? – zapytał zaspanym głosem.

– Nie wiem.

– Te okulary? Wygląda w nich jak ekonomistka.

– Albo księgowa. Wiem.

– Jest dziwaczna.

– To tylko mała dziewczynka.

– Jest jak Carrie. Założę się, że potrafiłaby wzniecić pożar.

Nic nie powiedziałam. Wiedziałam, o co mu chodzi.

– Wejdz, Grace, wejdz.

Dee Rossini. Tuż po czterdziestce. Oliwkowa cera. Czerwona szminka. Bystre brązowe oczy. Czarne loki zebrane w kok. Szerokie spodnie w stylu Katherine Hepburn. Kardigan do bioder, zawiązany ciasno w szczupłej talii.

Poprowadziła mnie krótkim korytarzem.

– Herbata? Kawa? Makaroniki? Właśnie wyjęłam z pieca.

– Co takiego? Upiekłaś makaroniki? Sama?

– Ktoś z armii moich pomocników kupił je w M&S i wsadził do piekarnika dziesięć minut przed twoim przybyciem.

– Po raz pierwszy uśmiechnęła się. – Tak, domowej roboty.

Miała jedną z tych kuchni, no wiecie jakich – na parapecie doniczki z bazylią, na półkach mnóstwo słoików i puszek w stylu retro wypełnionych ryżem arborio i dziwnie powyginanym makaronem (jak odpadki, które można by pomyśleć, że na końcu dnia daje się miejscowym chłopom, ale które są droższe od normalnego, ładnie wyglądającego makaronu).

Była przytulna, zapraszająca i pachniało w niej ciepłą czekoladą i widać było, że gdyby Dee poproszono o zrobienie czegokolwiek, miałyby pod ręką składniki. (Mongolski gulasz z jaka? „Tylko rozmrozę kilka steków z jaka”. Zupa ze świeżych trufli? „Mam w ogrodzie niewielką uprawę trufli, zaraz pójde i je wywacam”.) Nieco pocieszające było to, że przydałoby się odkurzyć sufit nad szafkami.

Big Daddy zarządził, że przedstawimy sylwetkę Dee, ale Jacinta odmówiła podjęcia się przeprowadzenia z nią wywiadu. Miało to coś wspólnego z apaszką od Hermesa – twierdziła, że Dee Rossini wydarła ostatnią

w Irlandii prosto spod jej nosa – zapytałam więc, czy ja nie mogłabym się tym zająć.

Mama była zadowolona; uwielbiała Dee Rossini – która była jednym z siedmiorga dzieci matki Irlandki i ojca Włocha, na własnej skórze doświadczyła przemocy w rodzinie, była samotną matką i pierwszą kobietą w irlandzkiej polityce, która utworzyła jedną z głównych partii politycznych. Zakładanie własnej partii zazwyczaj kończyło się łzami, zwłaszcza w Irlandii, gdzie polityką rządził hermetyczny klub mężczyzn. Ale wbrew wszelkim oczekiwaniom NowaIrlandia przetrwała, nie jako partia–skrzydło, ale partner w rządzie koalicyjnym z Napletkami (Nacjonalistyczną Partią Irlandii). Pomimo tego, że musiała śpiewać ten sam hymn, co Napletki, Dee Rossini głośno wyrażała opinię na temat wszystkiego, co dotyczyło kobiet: bezsensownych przepisów związanych z opieką nad dziećmi, braku funduszy na schroniska dla kobiet, braku regulacji prawnych dotyczących operacji plastycznych.

– Siadaj, siadaj. – Wysunęła dla mnie krzesło. Rzadko przeprowadzało się wywiad w domu polityka.

A jeszcze rzadziej polityk osobiście parzył ci kawę i stawiał na stole babciną tacę z górą ciepłych, upieczonych przez siebie makaroników.

– Nie miałaś problemów z parkowaniem? – zapytała.

– Żadnych. Przyjechałam z redakcji, ale czy uwierzysz, że mieszkam zaledwie pięć minut od ciebie? Na Ledbury Road.

– Jaki ten świat mały.

– Czy mogę... ? – Pokazałam na dyktafon. Machnęła ze zniecierpliwieniem ręką.

– Oczywiście. Wolę, żebyś wiernie mnie zacytowała. Nie masz nic przeciwko, że w międzyczasie będę malować paznokcie?

– Jedna z wielu ról kobiety.

– To jeszcze nawet nie połowa. Wykonuję także ćwiczenia na dno macicy. I myślę o tym, co ugotuję dziś na kolację. I martwię się długiem Trzeciego Świata.

– No dobrze, Dee. – Otworzyłam notes. – „Skandale”. – Nie ma sensu kluczyć. Artykuł miał na celu pozwolić Dee bronić się. – Kto mógłby chcieć cię wrobić?

– Różni ludzie. Opozycja rzecz jasna. Odnieśliby mnóstwo korzyści, gdyby partnerzy koalicyjni Napletków zostali pogrążeni. Nawet wśród Nacjonalistów jest mnóstwo osób, które mnie uważają za wrzód na tyłku.

Celna uwaga. Zawsze uwypuklała niesprawiedliwe traktowanie kobiet, nawet jeśli wina leżała po stronie Napletków. Zaledwie tydzień temu sprzeciwiła się wyznaczeniu (przez Napletki) sędziego, którego kontrkandydatką była kobieta, podkreślając, że gwałciciele i damscy bokserzy rzadko otrzymywali surowe wyroki od przychylnych sędziów, niemal wyłącznie mężczyzn.

– Ale czy masz jakieś konkretne teorie? Podejrzewasz konkretne osoby?

Zaśmiała się.

– I w okamgnieniu pozywa się mnie o oszczerstwo?

– Przeanalizujmy to, co się wydarzyło. Pomalowano ci dom. W jaki sposób wybrałaś tę, a nie inną firmę? Czy to oni zwrócili się do ciebie?

– Boże, nie. Nie jestem aż taka głupia. „Dzień dobry, pani minister edukacji, możemy pomalować za darmo pani dom?”. Ktoś mi ich polecił.

– Okej. No więc zjawili się, malowali twój dom, przez parę tygodni uprzykrzali ci życie, potem przysłali rachunek?

– Nie przysłali. Dzwoniłam tam cztery razy, w końcu dowiedziałam się, jaka to kwota i wysłałam czek.

– Więc nie było rachunku. I nie ma dowodu na to, że zapłaciłaś. Ile kosztowało to malowanie?

– Dwa tysiące.

– Większość z nas zauważyłaby, gdyby z naszego konta nie zniknęły dwa tysiące.

– Nic mi o tym nie mów. Ale to był rachunek, na który co miesiąc coś przelewam, z przeznaczeniem na większe prace, takie jak wymiana bojlera czy nowe dachówki. Niewiele się na nim dzieje, więc niezbyt często tam zaglądam. Pracuję osiemnaście godzin na dobę. Siedem dni w tygodniu. Nie wszystkiego udaje mi się dopilnować.

Mówiąc, malowała paznokcie z wprawą eksperta. Trzy idealne pociągnięcia – środek, lewa strona, prawa strona – na każdym paznokciu. Przyglądanie się temu było bardzo uspokajające. A kolor – jasny, jasny brązowy, jak kawa z dużą ilością mleka, na który większość kobiet (np. ja) w ogóle nie zwróciłyby uwagi w drogerii – wyglądał tak niekonwencjonalnie i pięknie, że założyłam się, iż ludzie nieustannie ją pytali, skąd go ma. Była zadziwiająco elegancka. (To pewnie jej włoska krew.)

– Okej. Przyjęcie weselne twojej córki? Dlaczego nie zapłaciłaś za nie? (Pomimo prób Big Daddy'ego, by wyciszyć tę historię, podchwyciły ją wszystkie inne gazety.)

– Większa część została zapłacona jeszcze przed weselem. W maju wpłaciłam depozyt w wysokości osiemdziesięciu procent i tak, czek został

zrealizowany. Przyznaję, że różnica nie została uregulowana, ponieważ, Boże... – westchnęła –... tak dużo rzeczy schrzaniłi podczas tego przyjęcia. Nie było dań wegetariańskich, zabrakło im dania głównego, siedmioro ludzi obeszło się smakiem. Zgubili tort weselny, do teraz nie wiemy, co się z nim stało. Nie działała damska toaleta, a parkiet był niczym lodowisko. Wszyscy się na nim ślizgali i potykali, a nowy teść Torii musiał jechać na pogotowie ze zwichniętą nogą. Wiem, że jestem ministrem i powinnam stać na straży pewnych standardów, ale to był przecież ślub mojej jedynej córki. Kiwnęłam ze współczuciem głową.

– Od tego czasu minęły dopiero dwa miesiące, a my się nadal spieramy, ale oczywiście, że im zapłacę, kiedy już dojdziemy do porozumienia w sprawie kwoty. – Wyglądała na zasmuconą.

– Nie przeraża cię to, że ktoś mógłby cię wrobić? Śledzić twoje życie i wiedzieć, że nie zapłaciłaś brakującej kwoty za przyjęcie weselne? A potem wykorzystać tę informację po to, by cię zdyskredytować?

– To nieodłączna część bycia politykiem. – Uśmiechnęła się cierpko. – Miałam już do czynienia z gorszymi rzeczami.

Przypomniała mi się jej przeszłość. Osiem razy była hospitalizowana z powodu byłego męża, aż w końcu od niego odeszła – i za to została wyklęta przez swoją żarliwie katolicką rodzinę.

Z nagłą, autentyczną ciekawością zapytałam:

– Robisz czasem risotto tylko dla siebie?

Risotto to prawdziwe cholerstwo, te wszystkie pieczolowicie dodawane łyżki bulionu, komu by się chciało?

– To nie jest podchwytliwe pytanie – dodałam.

Przez chwilę się zastanawiała.

– Czasami.

Wiedziałam. Podziwiałam ludzi, którzy nawet gdy umierają z głodu, wolą poświęcić czas i przygotować coś przepysznego. Kiedy ja byłam głodna, zjadłabym cokolwiek, o ile tylko byłoby to dostępne od ręki: czerstwe pieczywo, szerniałe banany lub garść płatków prosto z pudełka.

– No a jak tam mężczyźni? – zapytałam.

– To znaczy? – Promienny uśmiech.

– Jest ktoś szczególny?

– Nie, brak czasu. A jedyni mężczyźni, jakich poznaję, to politycy, a naprawdę trzeba by być mocno zdesperowaną...

Ale była seksowna. I oczywiście gorącokrwista. Cóż, przynajmniej jej włoska połowa. Potrafiłam wyobrazić sobie, jak uprawia niespieszny seks i je brzoskwinie z różnego typu mężczyznami – śmiesznie przystojnymi aktorami, aroganckimi, posiadającymi konie wyścigowe milionerami...

– Okej, Dee, myślę, że mam wszystko, czego potrzebuję. Dzięki za makaroniki. Przepraszam, że żadnego nie zjadłam.

– W porządku. Paddy przychodzi później na kolację roboczą, wmuszę je w niego.

– Jak ci się pracuje z Paddym? – Nie powinnam pytać.

– Z Paddym? – Uniosła głowę i przyjrzała się sufitowi w kącie, po czym uśmiechnęła się lekko. – Spójrz tylko na te wielkie pajęczyny. Normalnie w domu nie noszę soczewek kontaktowych. Kiedy zaczyna być brudno, po prostu zdejmuję okulary. Od razu wszystko się rozmazuje. – Spojrzała ponownie na mnie. – No wiesz – rzekła. – Paddy jest super.

– Cóż, wszyscy to wiemy. Mogłabym przed wyjściem skorzystać z toalety?

Przez ułamek sekundy na jej twarzy widać było niepokój.

– Jest na górze. Chodź, zaprowadzę cię.

Zamknęłam za sobą drzwi łazienki. Dee czaiła się na podeście, wyglądając na podenerwowaną. Doskonale ją rozumiałam. Dziennikarze zawsze pisali straszne rzeczy o osobistych rzeczach, jakie znajdowali w łazienkach swoich rozmówców.

Co nie znaczy, że ja miałam taki plan. Poza tym łazienka była czysta i nie znalazłam w niej nawet pokrytej pleśnią zasłonki prysznicowej czy domowego zestawu do wstrzykiwania botoksu. Kiepski łup.

Kiedy wyszłam, Dee zdążyła już zniknąć. Na piętrze znajdowało się troje drzwi. Sypialnie, i było tak, jakby szeptały: Otwórz mnie, śmiało, Grace, otwórz mnie. A ja nie potrafiłam się oprzeć. Udawałam, że to mój instynkt dziennikarski szuka dodatkowego tła dla artykułu; ale szczerze mówiąc, byłam po prostu wścibska.

Przekręciłam gałkę w drzwiach, pchnęłam je i otworzyłam, i choć w pokoju było ciemno, z zaskoczeniem poczułam w nim obecność drugiego człowieka. Przez moje ciało przebiegł dreszcz strachu. Posunęłam się za daleko. A jeśli to jakiś umięśniony murarz, którego Dee poderwała na dziki, anonimowy seks?

Wycofywałam się, kiedy zobaczyłam, że to kobieta – tak naprawdę dziewczyna – która leżała w łóżku. Usiadła, kiedy drzwi otworzyły się i do środka wpadło światło z okna na podeście. Byłam zaszokowana. Miała złamany nos, oczy tak opuchnięte i fioletowe, że pewnie nic nie widziała. Otworzyła usta. Brak jej było dwóch przednich zębów.

– Przepraszam! – I cofałam się.

– Dee! – zawołała dziewczyna z paniką w głosie. – DE–EEEE!

– Nie, cicho, proszę, wszystko w porządku, cicho. – Dee by mnie zabiła.

Dee wbiegła po schodach.

– Co tu się dzieje?

– To moja wina. Chciałam tylko rzucić okiem. Nie powinnam była.

Westchnęła.

– Jeśli chciałaś zajrzeć do mojej szuflady z bielizną, wystarczyło poprosić.

Minęła mnie i przytuliła dziewczynę, a ja żałowałam, że nie oparłam się syreniemu wołaniu zamkniętych drzwi i nie zesłam na dół jak normalny człowiek.

– Nie chciałam cię przestraszyć – zawołałam do dziewczyny, stojąc w progu. – Bardzo przepraszam.

– Elena, *pulako, pulako* – powiedziała śpiewnie Dee, uspokajając ją w jakimś obcym języku. W końcu poraniona dziewczyna popatrzyła na mnie z niepokojem i pozwoliła się znowu położyć.

Dee zamknęła drzwi do sypialni i rzekła:

– Nie widziałas tego.

– Nikomu nie powiem. Przysięgam.

Połykałam słowa, pragnąc ją uspokoić. Rozumiałam już, dlaczego Dee była tak niespokojna, prowadząc mnie na górę. Nie miało to nic wspólnego z wyglądem jej łazienki.

– Mówię poważnie, Grace, nie możesz nikomu pisnąć ani słowa. Dla bezpieczeństwa tej dziewczyny. Ma dopiero piętnaście lat. – Przez chwilę wyglądała tak, jakby miała wybuchnąć płaczem.

– Dee, przysięgam na wszystko, co jest mi drogie. – (Nie miałam do końca pewności, co to jest, ale pragnęłam dowieść swojej szczerości.) – Ale co się jej stało? Elena, tak ma na imię?

– To zrobił jej chłopak, alfons, jakkolwiek byś go nazwała. Nie wie, gdzie ona teraz jest. Jeśli się dowie, to przyjdzie po nią. Przyprawiono ją tutaj zaledwie parę godzin temu. Było już za późno, by zmieniać miejsce naszego wywiadu i gdybyś tylko nie musiała skorzystać z ubikacji...

– ... i wściubiać nosa tam, gdzie nie powinnam. Przysięgam na Boga, Dee, nikomu nic nie powiem.

– Nawet swojemu partnerowi. Jest dziennikarzem, prawda? Czy możesz utrzymać to przed nim w tajemnicy?

– Tak.

– Sama piecze makaroniki. Umie malować paznokcie lewą ręką.

Ukrywa zbiegłe kobiety. Zna jakiś słowiańsko brzmiący język.

Chyba się trochę zadurzyłam w Dee Rossini...

– I jest seksowna – stwierdził Damien. – Bardzo przystojna partia z tej Nowej Irlandii. No nie?

... ale miałam także w jej obecności lekkie poczucie niższości.

– Paddy de Courcy? – dodał, kiedy nie odpowiedziałam.

– W połowie człowiek, w połowie komunikat prasowy? Przystojny jest, nie?

– Powinnam więcej robić – mruknęłam.

– Więcej czego? – zapytał Damien.

– Po prostu... więcej.

– To wujek Damien! Damien, Damien, Damien!

Po drugiej stronie ciężkich, dębowych drzwi Alex, czteroletni siostrzeniec Damiena, dosłownie szalał.

– Julius, Julius, człowieku! – zawołał Alex do swego siedmioletniego brata. – Otwórz drzwi, człowieku. Damien przyszedł.

Drzwi otworzyły się i Alex popędził ku Damienowi i mnie. Miał na sobie rajtki Supermana, niebieskie lakierowane kozaczki zapinane na suwak (podejrzewam, że należały do jego dziewięcioletniej siostry, Augustyny), a na głowie durszlak.

– Motor! Motor! – Trochę przypominał mi Bingo, miał w sobie taką samą radosną energię. – Wrrrrrrrrrr!

Próbował prześlizgnąć się koło Damiena i wybiec na dwór, by móc usiąść na Kamikadze i udawać, że jedzie, ale Damien zablokował mu przejście kolanami. – Dziś nie ma motoru, Alex.

Zamiast tego taksówka. Byśmy mogli się napić.

– Nie ma motoru? – Energia uciekła z Alexa, jakby ktoś pociągnął za korek. – Dlaczego, człowieku?

– Bo tak wyszło, człowieku. – Damien przykucnął, by znaleźć się na poziomie Alexa. – Następnym razem przyjadę motorem.

– Obiecujesz, człowieku? Mają tu nowe dziecko. Ale nie wpuszczaj go na motor, tylko mnie?

– Tylko ciebie. Obiecuję.

Christine, wysoka, elegancka i zdumiewająco smukła jak na kobietę, która zaledwie pięć tygodni temu urodziła dziecko, przyszła, by nas przywitać.

– Wchodźcie, wchodźcie. Przepraszam, jestem w domu sama i jest trochę... – Zdjęła durszlak z głowy Alexa. – Szukałam go.

Chłopiec zajęczał w proteście.

– To moja pokrywka, człowieku.

– Niedługo powinien wrócić Richard.

Richard to mąż Christine. Wykonywał jeden z tych tajemniczych zawodów, gdzie spędza się czternaście godzin dziennie przy biurku, telefonując i zarabiając pieniądze. Damien i ja żartowaliśmy między sobą, że każdego dnia zamykają go w gabinecie i nie wolno mu wyjść, dopóki nie zarobi kolejnych stu milionów euro. („Dziewięćdziesiąt osiem... dziewięćdziesiąt dziewięć... nadal dziewięćdziesiąt dziewięć... dziewięćdziesiąt dziewięć – i sto! Dobra robota, zmykaj do domu, Richard".)

Udaliśmy się za Christine do olbrzymiej kuchni pełnej najnowocześniejszych sprzętów, gdzie wyglądająca na zdenerwowaną młoda Polka robiła coś przy mikrofalówce.

– To jest Marta – rzekła Christine. – Nasza nowa niania.

Marta skinęła głową na powitanie i szybko dała drapaką.

– A to... – Christine popatrzyła czule na koszyk, w którym spało maleńkie dziecko z różową skórą –... jest Maximillian.

(Zgadza się, Christine i Richard nadali całej swojej czwórce cesarskie imiona. Wiem, że wygląda to tak, jakby byli jakimiś wielce ambitnymi stukniętymi rodzicami, ale wcale tacy nie są.)

Damien i ja przyglądaliśmy się grzecznie śpiącemu niemowlęciu.

– Okej, możecie przestać podziwiać. – Christine sięgnęła po korkociąg. – Wino?

– Tak. Mogę ci w czymś pomóc?

To było pytanie retoryczne. Nikt nigdy nie mógł pomóc Christine. Robiła wszystko znacznie lepiej i szybciej niż inni i pomaganie jej pozbawione było

sensu. Poza tym nie miałam ochoty pomagać. Zostałam zaproszona na kolację, czemu miałabym chcieć robić to, co musiałam w swoim domu?

– Wszystko gotowe – odparła Christine. – Większość zrobiłam wczoraj wieczorem.

– Patrzę na twój spodniom i zastanawiam się, jak to możliwe, że jest taki czysty. Chyba jeszcze nie wróciłaś do pracy?

– Boże, nie. Wpadam tam jedynie na dwie godziny dziennie, po to tylko, by sprawdzić, co się dzieje.

Christine była taka bystra i wyjątkowa, że nie musiała już szorować rąk, nosić zielonego fartucha i własnoręcznie operować. Zamiast tego piastowała stanowisko dyrektora oddziału chirurgii w najdroższym szpitalu w Dublinie i była pierwszą kobietą na tak wysokim stanowisku. (A może była najmłodszym dyrektorem. Niełatwo było to wszystko spamiętać, jako że Stapletonowie zawsze zajmowali te zaszczytne miejsca. Gdybyśmy za każdym razem gdy jedno z nich awansowało czy zdobywało nagrodę, należycie to czcili, wszyscy wyładowałibyśmy na odwyku.)

– A gdzie Augustina? – Rozejrzałam się.

– Na lekcji sanskrytu? – zapytał Damien.

– Bardzo śmieszne. Prawdę mówiąc to mandaryńskiego.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że Christine mówi poważnie.

– Nie zmuszamy jej do tego – powiedziała, gdy tymczasem ja próbowałam ukryć swoje zdumienie, cóż, właściwie to niepokój. – Poprosiła nas, by mogła chodzić na te zajęcia.

To zbyt dziwaczne. Która dziewięciolatka prosiłaby o to, by mogła się uczyć mandaryńskiego?

– A my jej pilnujemy – dodała Christine.

- Pilnujecie równowagi pomiędzy jej życiem zawodowym a osobistym?
- zapytał z udawaną powagą Damien.
- Gdyby brać na poważnie to, co mówisz... W każdym razie na zdrowie.
- Uniosła kieliszek. – Cudownie widzieć was oboje.

Nastąpiła pełna wyczekiwania cisza, a Damien i ja zrobiliśmy miny mówiące: „Tak, będziemy zaszczyceni, mogąc zostać duchowymi strażnikami Maximilliana, gdyby tak się stało, że ty i Richard umrzecie, do czego oczywiście nie dojdzie”, ale wszystko popsuła Augustina, wchodząc do kuchni i mówiąc chłodno:

– Dzień dobry, wujku Damienie, dzień dobry, ciociu Grace.

Bez wielkiego entuzjazmu ucałowała nas oboje. Była wysoka jak na dziewięciolatkę i bardzo ładna. Pociągnęła swym maleńkim nosem i westchnęła.

- Na kolację znowu kuchnia marokańska.
- Co miałaś dziś na lekcji? – zapytała Christine. – Czego się nauczyłaś?
- Mogę cię o coś spytać? – zapytała Augustina. – Nie znasz mandaryńskiego, prawda? Po co mam więc ci mówić, czego się nauczyłam? I tak byś nie zrozumiała ani słowa.

Mała zołza, pomyślałam. Nic dziwnego, że nie chcę mieć dzieci. Dajesz im wszystko, a one dziękują ci tym, że tobą później pogardzają.

Augustina skierowała swoją uwagę na mnie.

- Mam dla was niespodziankę.
- Och? A co to takiego?

Zmarszczyła brwi, jakby nie była w stanie pojąć bezmiaru naszej głupoty.

- N-i-e-s-p-o-d-z-i-a-n-k-a – przeliterowała. – Macie nie wiedzieć, co to takiego. Dowiedcie się później.

– Dzień dobry – rozległ się cichy głos.

To Richard, który wrócił do domu po wykonaniu dziennej normy, czyli zarobieniu stu milionów euro. Miał szary garnitur, siwe włosy i był szary ze zmęczenia. Przez chwilę prowadził zdawkową rozmowę z Damienem.

– Dobry był ten twój artykuł o Białorusi – rzekł. – No więc co słyhać w „Press”? Redaktorem naczelnym nadal jest Mick Brennan?

Wszyscy mężczyźni z rodziny Stapletonów – bracia, szwagrowie i pan Stapleton senior – robili to za każdym razem, gdy spotykali się z Damienem. Najpierw chwalili jeden z jego ostatnich artykułów, następnie pytali, czy Mick Brennan pozostaje redaktorem naczelnym „Press”.

Może jestem przewrażliwiona w imieniu Damiena, ale zawsze odnoszę wrażenie, że sugerują, iż Damien poniósł swego rodzaju porażkę, nie usuwając Micka Brennana z jego stanowiska i nie zajmując jego miejsca.

Damien ma dopiero trzydzieści sześć lat i nie mam wątpliwości co do tego, że pewnego dnia będzie zarządzał jakąś ogólnokrajową gazetą, ale w tej rodzinie mądrali, osiągających wyniki lepsze niż doskonałe, oczekiwania są nadmiernie wyśrubowane.

– Kolacja – oświadczyła Christine. – Zapraszam wszystkich do stołu.

Na stole czekało jagnięce udo pachnące kminkiem oraz półmisek parującego kuskusu.

– Tylko nie kuskus – jęknął Julius. – Nie znoszę kuskusu. – Dziobał widelcem wierzch swej dłoni.

– Po prostu go jedz, człowieku. – Alex miał teraz na głowie sito, którego rączka znajdowała się z tyłu, tak że wyglądało ono jak bejsbolówka.

Jedzenie było pyszne i niemal zapomniałam pochwalić za to Christine, ponieważ doszło do tego, że zaakceptowałam fakt, iż wszystko co robiła, robiła perfekcyjnie. Rozmowa jednakże nie dorównywała jakością jedzeniu.

Richard jadł szybko i w milczeniu, po czym mruknął coś o hawajskiej giełdzie i opuścił salon.

– Deser? – Christine wstała i zaczęła zbierać talerze.

– Tak.

– Augustina upiekła dla was czekoladowe brownie.

– Nie mów im! – wybuchła Augustina. – To ta niespodzianka. Ja chcę im powiedzieć!

– Więc powiedz.

– Ciociu i wujku, upiekłam na waszą cześć czekoladowe brownie. Ale możliwe, że wam nie będzie smakować.

– Jestem pewna, że ciasto będzie pyszne – rzekłam.

– Ciociu. – Zamknęła oczy w sposób, jakiego wyraźnie nauczyła się od Christine. – Nie trzeba. Gdybyście pozwolili mi skończyć...

Jezu Chryste! Machnęłam ręką w geście „proszę bardzo, kontynuuj”.

– Próbuję wam powiedzieć – Augustina mówiła takim tonem, jakby bardzo się starała zachować cierpliwość – że może wam nie smakować, ponieważ czekolada, jakiej użyłam, ma osiemdziesięciopięcioprocentową zawartość kakao. Nie każdy to lubi.

– Lubię ciemną czekoladę.

– Ale pewnie myślisz, że siedemdziesiąt procent kakao to sporo. Moja czekolada to Fairtrade, osiemdziesiąt pięć procent.

– Brzmi super – rzekł Damien. – Etycznie i pysznie.

Augustina patrzyła to na mnie, to na Damiena, jakby próbowała zdecydować, czy zasługujemy na jej ciasto. W końcu powiedziała:

– Bardzo dobrze.

Christine skończyła już sprzątać po obiedzie i rozstawiała teraz talerzyki do ciasta.

– Richard! – zawołała. – Richard! Chodź tutaj.

– Rozmawia przez telefon. Krzyczy – poinformował Julius.

– Powiedz mu, żeby przyszedł. Potrzebuję go teraz tutaj.

Julius po chwili zjawił się z powrotem.

– Nie sądzę, by przyszedł. Ktoś w Waikiki nawalił.

– Oj, człowieku. – Alex pokręcił ze smutkiem głową i spadło mu sito. – Cholera, ktoś będzie musiał się pospieszyć.

Christine nie mogła się zdecydować, czy udzielić reprimendy Alexowi czy upierać się, by Richard natychmiast tu przyszedł.

– Och, nieważne! – zawołała. – Sama to zrobię.

Wzięła głęboki oddech, a ja się wyprostowałam na krześle, szykując się do przywołania na twarz uprzejmego uśmiechu, wyrażającego zgodę.

– Grace i Damienie, jak wiecie, urodziłam kolejne dziecko. – Kiwnęła głową w stronę koszyka. – I będzie ono potrzebować rodziców chrzestnych. I pomyśleliśmy, że najlepiej będą się do tego nadawać Brian i Sybilla. Są już rodzicami chrzestnymi Augustyny, a wy jeszcze o tym nie wiecie, ale Sybilla jest znowu w ciąży, więc Maximillian będzie w wieku zbliżonym do swego nowego kuzyna.

Mój uprzejmy, wyrażający zgodę uśmiech zamarł mi na ustach. Wydarzenia przybrały zupełnie nieoczekiwany obrót. Rodzicami chrzestnymi zostaną Brian i Sybilla. Po raz drugi.

Przede mną pojawiło się brownie z osiemdziesięciopięcioprocentową zawartością kakao i automatycznie – tak, jak zawsze, gdy widzę jedzenie – włożyłam sobie kawałek do ust.

– Jestem pewna, że wam to nie przeszkadza – kontynuowała Christine. – Jestem pewna, że czujecie ulgę. To po prostu nie w waszym stylu, no nie? Kościół, wyrzekanie się szatana i te wszystkie ceregiele. I nie chcecie mieć własnych dzieci. Ale ja chciałam powiedzieć wam to obojgu, nim się dowiecie, że poprosiliśmy na chrzestnych Briana i Sybillę. Uznałam, że tak będzie uprzejmie.

Kawałek brownie utkwiał mi na języku i nie byłam w stanie go przełknąć. Nie chodziło o to, że chciałam być chrzestną Maximilliana, dla mnie nie miało to żadnego znaczenia. Ale nieoczekiwanie ogarnął mnie gniew w imieniu Damiena. Czworo dzieci, czworo rodzeństwa, powinny być cztery pary rodziców chrzestnych.

Damien świetnie się dogadywał z dziećmi, a z tymi akurat znacznie lepiej niż Richard, ich cholerny rodzony ojciec.

Augustina przyglądała mi się.

– Nie jesz ciasta.

–... Nie.

Wyglądała na zadowoloną.

– Za gorzkie?

– Za gorzkie.

Poniedziałek rano. Dzień z czerwoną torebką: zniecierpliwienie.

– Odsuńcie się. – Jacinta pomachała rękami. – Osaczacie mnie.

Odbywało się nasze cotygodniowe zebranie, którego celem było omówienie nowych pomysłów. Cały dział Artykułów – z wyjątkiem Caseya

Kaplana, którego miejsce pobytu pozostawało nieznane – tłoczył się wokół biurka Jacinty.

– Odsuńcie się – powtórzyła. – Nie mogę oddychać. Grace. Pomysły. I oby były dobre.

– Okej. – Bez nikotyny byłam wolniejsza, bardziej śpiąca, a synapsy w moim mózgu nie działały jak należy. Minał już cały tydzień, a w ogóle mi to nie przeszło. – Może przemoc w rodzinie?

– Że co? – Jej pisk był tak przenikliwy, że odwróciły się wszystkie głowy aż do działu sportowego. – Niepotrzebnie myślałaś, że skoro nakłoniłaś Antonię Allen do przyznania, że daje sobie wsadzać w tyłek, to możesz pisać, o czym tylko chcesz!

(Przez weekend mój artykuł o Antonii Allen sprzedał się do gazet na całym świecie, zapewniając „Spokesmanowi” spory dochód. To był jedyny wywiad, w którym Antonia odniosła się do „bolesnego związku z gejem Jainem”. (Nie moje słowa.) Big Daddy był bardzo zadowolony. Wahał się pomiędzy złagodzeniem tonu i umieszczeniem tego na pierwszej stronie, by w końcu wybrać pieniądze.

Nikt nie skomentował mojego artykułu o raku piersi. A to dlatego, że nie został opublikowany. Niespodziewana lawina w argentyńskim ośrodku narciarskim oznaczała, że moja historia trafiła do kosza. Pani Singer i jej tragedia nigdy nie ujrzą światła dziennego, ponieważ raport ten nie był już sprawą bieżącą. Tak właśnie jest w świecie dziennikarskim, wszystko biegnie szybko, zbyt szybko, by pozwolić sobie na zaangażowanie się. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich się uczy, to przyzwyczajenie się do tego. Ale ja nigdy się tego nie nauczyłam.

– Pomyślałam sobie – kontynuowałam, jakby Jacinta dopiero co na mnie nie wrzasnęła – że przez sześć tygodni zamieszczalibyśmy sylwetki sześciu różnych kobiet z różnych środowisk. Moglibyśmy urządzić kampanię.

– Skąd, do jasnej cholery, wziął ci się ten temat?

– To prawdziwy próbie...

– Jest jakiś raport? –Nie.

– Nie ma nawet raportu, na którym można by się oprzeć! Nikogo nie obchodzi przemoc w rodzinie! To Dee Rossini, no nie? Uległaś jej urokowi.

– Wcale nie.

Prawdę mówiąc to, całkiem możliwe. Mój wywiad z nią, który cyzelowałam przez całe piątkowe popołudnie, stawiał ją w doskonałym świetle; a w sobotę, kiedy byłam w Bootsie, rozglądałam się za tym zabawnym, jasnobrązowym lakierem do paznokci, ale go nie znalazłam. Wczoraj zadzwoniłam nawet, by zapytać o Elenę. (Dee odpowiedziała zwięźle, że jest „bezpieczna”.)

– Jedna na pięć Irlandek doświadczy w którymś momencie swego życia przemocy w rodzinie – rzekłam. Tak mi powiedziała Dee.

– Mam to gdzieś – oświadczyła zimno Jacinta. – Mam to gdzieś, czy każda z nich jej doświadczy...

– ... nas – wtrąciłam.

–Co?

– Każda z nas, nie nich. To my, Jacinto.

– To nie pieprzone my! Ja jej nie doświadczam, ty jej nie doświadczasz, Joanne jej nie doświadcza, prawda, Joanne? Lorraine, Tara i Clare, żadna z nich jej nie doświadcza! ULEGŁAŚ urokowi Dee Rossini. Ale nie będziemy się tym zajmować!

– Świetnie – mruknęłam, marząc, och, marząc o papierosie. Całej paczce, dwudziestu papierosach wypalonych jeden po drugim. Pragnienie to było tak wielkie, że aż mnie zaczęło ścisnąć w zatokach, ciasna opaska z powstrzymywanych łez, napierająca na kości twarzy. Nie słuchałam, jak inni przedstawiają swoje pomysły, a słuch mi wrócił dopiero wtedy, kiedy Jacinta oświadczyła:

– Przedstawiamy sylwetkę Alicii Thornton.

– Kogo? – Może były dwie Alicie Thornton.

– Narzeczoną Paddy'ego de Courcy.

– Ale... dlaczego?

– Ponieważ tak każe Big Daddy.

– Ale kim ona jest? – zapytałam. – Co jest w niej interesującego?

– To kobieta, „która zdobyła serce Quicksilvera” – odparła Jacinta.

– Ale ona jest nudna i... to po prostu posłuszna kobieta polityka. Jak masz zamiar opisać ją w dwóch tysiącach słów?

– Lepiej zmień szybko swoje nastawienie, ponieważ to ty przeprowadzasz z nią wywiad.

– Nie! – Chwilę trwało, nim zapanowałam nad sobą.

– Nie ma mowy.

– Jak to nie?

– Nie, nie chcę tego robić. – Pokazałam palcem na TC.

– Wyślij jego. Albo Lorraine. Wyślij Caseya.

– Ty to zrobisz.

– Nie mogę.

– Jak to nie mogę?

– Jacinta. – Nie miałam wyboru, musiałam powiedzieć prawdę. – Znam...
znałam... Paddy'ego de Courcy. W innym życiu. Zagraża to mojej uczciwości
zawodowej. Jestem niewłaściwą osobą.

Pokręciła głową.

– Ty to zrobisz.

– Dlaczego?

– Ponieważ poprosiła o ciebie. Właśnie o ciebie. Jeśli ty tego nie zrobisz,
udzieli wywiadu innej gazecie. Musisz się tym zająć.

TTLR

Próbowała wywinąć się z jego uścisku, ale był dużo od niej silniejszy.

– Nie chcę.

Spodnie od piżamy miała opuszczone do kolan, uda pokryte gęsią skórą, a on wchodził w nią raz za razem, pomimo jej suchego oporu. Bolało. Krótkie, brutalne pchnięcia, a każdemu towarzyszyło stęknienie.

– Proszę...

– Zamknij. Się. – Wypowiedział te słowa z zaciśniętymi zębami.

Natychmiast przestała się wyrywać i pozwoliła mu pastwić się nad sobą, a krawędź umywalki boleśnie wbijała jej się w plecy.

Stękanie stało się głośniejsze, pchnięcia jeszcze bardziej kłujące, a potem on zadrzał i jęknął. Rozluźnił się i oparł całym ciężarem na niej, tak że twarz miała skrytą w jego klatce piersiowej. Ledwie była w stanie oddychać. Ale nie skarżyła się. Czekala, aż on zrobi wszystko, na co ma ochotę. Po jakimś czasie odsunął się i uśmiechnął do niej czule.

– Chodź, położymy cię z powrotem do łóżka – rzekł.

MARNIE

Na wdechu „Ja”. Na wydechu „Umieram”.

Na wdechu „Ja”. Na wydechu „Umieram”.

Na wdechu „Ja”. Na wydechu „Umieram”.

Na wdechu „Ja”. Na wydechu „Umieram”.

Na wdechu „Ja”. Na wydechu „Umieram”.

Na wdechu „Ja”. Na wydechu „Umieram”.

Na wdechu „Ja”. Na wydechu „Umieram”.

Na wdechu „Ja”. Na wydechu „Umieram”.

Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram.

Na wdechu „Ja”. Na wydechu „Umieram”.

To nie ta mantra co trzeba. Powinno być: Na wdechu „Wszystko”. Na wydechu „Dobrze”. Wszystko dobrze. Wszystko dobrze. Wszystko dobrze. Wszystko dobrze. Wszystko dobrze. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram. Ja umieram ja umieramjaumieramjaumieramjaumieram–jaumieram.

Ale ona nie umierała. Pragnęła jedynie, by tak się stało. Delikatny dźwięk dzwonek. Głos Poppy: – Wracajcie do mnie.

Otworzyła oczy. Ośmioro ludzi, głównie kobiety, siedziało w kręgu w migającym świetle świec.

– Czuliście to? – Poppy wcześniej kazała im skupić się na ich duszy. – Poczuliście połączenie?

Tak, wymruczały głosy, tak, tak.

- Niech każdy po kolei podzieli się swoim przeżyciem.
- Moja dusza jest srebrzystym światłem.
- Moja dusza to złota kula.
- Moja dusza jest biała i lśniąca.
- Marnie?

Jej dusza? Czują, jakby była pomidorem, który zostawiono w dolnej szufladzie lodówki na cztery miesiące. Czarna, śmierdząca, gnijąca. Raz dotknąć i się rozpadnie. Tkwiła w jej ciele, zatruwając ją całą.

- Moja dusza... – zaczęła.
- Tak?
- ... jest jak słońce.
- Piękna metaforyka – zaszemrała Poppy.

Zbliżyła się na palcach do mozaikowej miski i włożyła do niej starannie złożony banknot dziesięciofuntowy. Zawsze zostawiała więcej niż pozostali.

– Do zobaczenia za tydzień – wyszeptwała Poppy, siedząc po turecku na podłodze.

Tak, tak, i pamiętaj, by się uśmiechać.

Stukając obcasami, udała się szybkim krokiem do samochodu. Wsiadła i zatrzasnęła drzwi. Właściwie to mocniej niż było konieczne.

Koniec z medytacjami.

Leki to jednak zupełnie inna sprawa.

- Żadnej poprawy? – zapytała doktor Kay.
- Nie. Jest jeszcze gorzej.

Nie powinna była jechać do Dublina. Weekend udawania przed rodziną wesołości mocno ją wyczerpał i po wszystkim czuła się jeszcze bardziej zdołowana.

– W takim przypadku zwiększymy dawkę. – Dr Kay zajrzała do karty zdrowia Marnie. – Możemy ją zwiększyć o 75 miligramów.

– Wolałabym... czy mogę zmienić rodzaj leku? – Pora na coś lepszego. – Mogłabym dostać prozac?

– Prozac? – Dr Kay była zaskoczona. – Prozac jest trochę przestarzały. W zasadzie nikt go już nie przepisuje. Twój obecny lek pochodzi z tej samej grupy, ale jest nowszy, bardziej złożony. Mniej skutków ubocznych, większa skuteczność. – Sięgnęła po encyklopedię leków. – Mogę ci pokazać.

Nie, nie, nie.

– Proszę, nie, nie trzeba. – Nie wytrzymałaby, gdyby dr Kay miała znaleźć tam prozac, pokazać jej listę przeciwwskazań, następnie znaleźć ten drugi lek. Nie trwałoby to pewnie dłużej niż minutę, ale ona nie miała w sobie tej minuty. – Proszę. Chciałabym spróbować prozacu. Mam dobre przeczucie.

– Ale... a może... zastanawiałaś się nad terapią?

– Chodziłam na terapię. Całymi latami. – Jakiś czas tak, jakiś czas nie. – Sporo się nauczyłam, ale... nadal okropnie się czuję. Proszę, dr Kay... – Wiedziała tylko jedno: nie wyjdzie, dopóki nie otrzyma recepty na prozac.

Rzuciła spojrzenie na zamknięte drzwi, by przypomnieć dr Kay o poczekalni pełnej chorych ludzi, czekających na przyjęcie. To było okrutne, ale czuła się zdesperowana. Nie była w stanie żyć dalej tak jak teraz. Proszę, daj mi prozac.

Dr Kay przyglądała jej się z powątpiewaniem.

Proszę, daj mi prozac.

Wtedy lekarka oderwała od niej wzrok. Było po wszystkim. Marnie tak bardzo się nastawiła na czekanie, że aż ją to zaskoczyło. Jak wtedy, gdy upada

jakiś tyrański reżim; tak właśnie się czuła, kiedy z Afganistanu usunięto talibów.

– No dobrze. Spróbujemy przez dwa miesiące i zobaczymy, jak się będziesz czuła. – Dr Kay sięgnęła po bloczek z receptami. – Coś jeszcze, Marnie? Coś jeszcze, co cię... niepokoi?

– Nie, dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Wyszła, z wdzięcznością trzymając w ręce receptę. Wszyscy to wiedzieli. Prozac pomagał.

Kiedy otworzyła drzwi wejściowe, z kuchni wypadł Nick. Wyglądał na zrozpaczonego. Co się stało? I wtedy już wiedziała.

– Znowu nie będzie premii? – Co?

– Zero premii? Dowiedziałeś się?

– Nie, nie chodzi o to. – Chwycił ją za ramiona. – Gdzie ty się u diabła podziewałaś?

– Mówiłam ci. U lekarza.

– Ale jest ósma.

– Nie byłam umówiona. Musiałam czekać. Gdzie dziewczynki?

– W pokoju zabaw.

Oglądały *Piękną i Bestię*. Znowu. Daisy leżała na sofie z nogami na oparciu; Verity siedziała skulona i ssała kciuk.

– Cześć, maluchy.

– Cześć, mamó.

– Jak tam szkoła?

Żadna nie odpowiedziała. Były w transie. Czytała kiedyś, że kiedy dzieci oglądają telewizję, wskaźnik ich metabolizmu jest niższy niż wtedy, gdy śpią.

– Długo już to oglądają?

– Jakaś godzinę.

– Och, Nick. Nie mogłeś się z nimi pobawić? Zamiast sadzać je przed telewizorem?

– Nie mogłaś wrócić szybciej?

Poszedł za Marnie do kuchni, jeden krok za nią, jej cień. Otworzyła lodówkę i zastanawiała się, co by tu zjeść.

Poczuła, jak Nick wpatruje się w nią i odwróciła się.

– Co? – zapytała.

– Co: co?

– Dlaczego mi się przyglądasz?

– O której wyszłaś z pracy?

– Co dałeś im jeść?

– Lasagne. O której wyszłaś z pracy?

– Ile zjadła Verity?

– Wystarczająco. O której wyszłaś z pracy?.

– O szóstej.

– Również o szóstej?

– Nick, nie wiem. – Westchnęła. – Ale jakoś tak. Może trzy minuty po, może pięć.

– I pojechałaś prosto do lekarza?

– Pojechałam prosto do lekarza.

– I byłaś tam przez cały czas?

– Byłam tam przez cały czas.

– Co robiłaś, kiedy czekałaś?

– Czytałam gazety.

– Jakie?

– Niech sobie przypomnę... „Good Housekeeping”. „Red”. I jeszcze jakąś, chyba „Eve”.

– Potem pojechałaś prosto do domu?

– Pojechałam prosto do domu. Przyglądał jej się, a ona opuściła wzrok.

W zamrażalniku powinno być coś, co mogłaby rozmrozić. Otworzyła i zamknęła dwie szuflady. Musaka z Marksa i Spencera, może być. I mrożony groszek. Białko; jeśli jadło się go za mało, wszystko stawało się jeszcze gorsze. Zamknęła biodrem drzwi zamrażarki, a kiedy odwróciła się, Nick stał zaraz za nią, tak blisko, że wpadła na niego.

– Jezus!

Nie ruszył się.

– Stoisz mi na drodze.

Jego ciało przygważdżało ją w kącie pomiędzy lodówką a ścianą i znajdowało się na tyle blisko, że czuła jego oddech.

– Nick. – Jej głos brzmiał spokojnie. – Stoisz mi na drodze.

– Czyżby?

Przyglądał się uważnie jej twarzy, tak jakby katalogował wszystko, co widzi. Nie potrafiła rozszyfrować jego miny, ale poczuła zdenerwowanie. Chwila ta trwała i trwała, aż w końcu odsunął się na bok, by pozwolić jej przejść.

Było coś lekko żenującego w tym, że nie miało się daleko do pracy. Dwudziestominutowe dojazdy były dla nieudaczników. Prawdziwi ludzie znosili godzinę i kwadrans; ważne było, by mieć na co narzekać.

Kiedy się zatrzymała na światłach na Wimbledon High Street, przejechał przed nią autobus z wielkimi literami na boku – reklama filmu – które płynęły

ulicą niczym transparent. NIEUSTRASZONY. Trafiło to w jej serce niczym pieczęć. To była wiadomość.

Nieustraszona. Dzisiaj będę nieustraszona. Dzisiaj będę nieustraszona. Dzisiaj będę nieustraszona.

Ale nawet po powtórzeniu tego po wielekroć, pełna była wątpliwości. Jakoś tego nie czuła. Nie, to nie była wiadomość dla niej. Będzie nią reklama na następnym autobusie.

A jeśli żaden się nie pojawi przed zmianą świateł? Wtedy dzisiaj będzie musiała sobie poradzić bez wiadomości.

Była niespokojna. Pragnęła otrzymać instrukcje.

Nie zmieniajcie się, nie zmieniajcie się, nie zmieniajcie się, błagała w duchu światła.

Pomiędzy drzewami po prawej stronie dostrzegła coś dużego i czerwonego. Nadjeżdżał autobus. Patrzyła z wyczekiwaniem. Co jej powie? Pojawiały się słowa, jedno po drugim. Odłóż. Wszystko. Na. Potem. Odłóż Wszystko Na Potem.

Co to mogło znaczyć? Utrzymaj wszystko tak, jak jest? Nie podejmuj żadnych ważnych decyzji?

Wtedy przypomniała sobie, że to tylko reklama na autobusie i że w odniesieniu do jej życia pewnie nie znaczy zupełnie nic.

Gdy czekała, aż uniesie się szlaban na parkingu podziemnym, zobaczyła, że jest dziesięć minut spóźniona. Nie potrafiła tego zrozumieć. Miała rano sporo wolnego czasu. Ale czas płatał jej figle: skakał, rozciągał się, kurczył. Chciał, by wiedziała, że nie może go kontrolować, a to ją przerażało.

Zaparkowała pomiędzy astonem martinem, należącym do Rico, a land roverem Henry'ego. Jaguar Craiga, saab Wena–Yi, pontiac trans am Lindki –

garaż przypominał luksusowy salon sprzedaży. Jej porsche świetnie tam pasowało, tyle że w przeciwieństwie do reszty to nie ona zapłaciła za swoje auto.

Rozejrzała się, mając nadzieję, że nie zobaczy lotusa. Ale stał tam: znaczy, że Guy już był w pracy.

Pora, by otworzyła drzwi i dołączyła do świata, zamiast się kulić na przednim siedzeniu. Osiem godzin. W towarzystwie innych ludzi. Będzie musiała rozmawiać. Będzie musiała podejmować decyzje.

Wysiadaj wysiadaj wysiadaj.

Była tak samo unieruchomiona, jak przyszpilony w gablocie motyl, ale jej paraliżowi towarzyszyła nieprzyjemna świadomość, że znowu się spóźniła i że z każdą sekundą jej spóźnienie staje się większe.

Wysiadaj wysiadaj wysiadaj.

Poruszyła się. Wyszła z samochodu. Ołowiana bryła na miejscu jej żołądka zrobiła się tak duża, że Marnie ledwie była w stanie znieść jej ciężar. Idąc w stronę windy, miała wrażenie, że się zatacza.

Zabijcie mnie zabijcie mnie zabijcie mnie.

Popatrzyła na przycisk przywołujący windę. Miała go wcisnąć jej dłoń. Nic się nie działo. Wciśnij wciśnij wciśnij.

Rico był pierwszą osobą, jaką zobaczyła po otwarciu drzwi. Czekał na nią. Jego ciemne oczy pełne były ciepła.

– Jak się masz?

Nie żyję nie żyję nie żyję.

– Dobrze. A ty?

Na dźwięk jej głosu Guy uniósł głowę. Zastukał w zegarek.

– Dwanaście minut, Marnie – powiedział chłodno.

- Bardzo przepraszam. – Udała się pospiesznie do swego biurka.
- Przepraszam? – zawołał za nią. – I to wszystko? Żadnego wyjaśnienia?
- Roboty drogowe.
- Roboty drogowe? Roboty drogowe psują szyki nam wszystkim. Nikt inny się nie spóźnił.

Henry odłożył słuchawkę telefonu.

– Nowa sprawa! Dyrektor Coutt's. Coś dużego. Mnóstwo szmalu. – Część trafi do kieszeni Henry'go. Pośrednicy otrzymywali jeden procent wartości sprzedaży każdej upolowanej przez siebie nieruchomości.

– Gdzie go znalazłeś? – zapytał z zazdrością Craig. Nowy klient jednego pośrednika oznaczał jednego mniej dla pozostałych. Konkurencja była zacięta.

– Na pogrzebie ojca kuzyna mojej żony – oświadczył.

– Dałeś komuś wizytówkę na pogrzebie? – zapytała Lindka.

Henry wzruszył dobrodusznie ramionami.

– Mili faceci kończą ostatni.

Lindka wzięła do ręki „Telegraph” Guya i otworzyła na stronie z nekrologami.

– Jest ich tu całe mnóstwo. Podzielmy się. „Przykro mi z powodu pańskiej straty. Potrzebuje pan kredytu hipotecznego?”. Wszyscy roześmieli się.

Marnie uśmiechnęła się krzywo. Dawno temu była jedną z nich: rekinem. Na ślubach i przyjęciach urodzinowych krążyła między gośćmi, uśmiechając się, zagadując, zadając pytania natury ogólnej („Gdzie pani mieszka?”), z których przechodziła w sposób możliwie taktowny do szczegółowych („Myślała pani o przeprowadzce?”), starając się ignorować głosy w głowie, mówiące jej, że czymś strasznie nie na miejscu jest zabieganie o klientów

podczas uroczystości rodzinnych. Powtarzała sobie, że liczą się tylko następujące potem telefony. Kiedy na jej konto wpływał jeden procent ceny zakupu, wiedziała, że warto było znosić te wszystkie zniesmaczone spojrzenia.

Jednak nawet w swoich najlepszych czasach nie należała do osób generujących największe zyski, takich jak Guy, właściciel firmy, czy Wen–Yi, który sprawiał wrażenie, jakby klientów brał dosłownie z powietrza. Nie miała w sobie tego czegoś, co pozwalało gonić za kimś aż do samego końca. Jeśli intuicyjnie wyczuwała, że ktoś jest zirytowany czy skrupowany, wycofywała się. Paradoksalnie czasami działało to na jej korzyść. Ludziom podobało się to, że była uprzejma – cóż, niektórym; inni uważali ją za słabeuszkę, która nie załatwi im dobrego dealu, i zamiast niej wybierali butnego kombinatora pokroju Craiga czy pewnego siebie elegancika, takiego jak Henry.

Kiedy zaszła w ciążę z Daisy, dała sobie z tym spokój. Dochody Nicka były wystarczająco wysokie, no i chciała być pełnoetatową matką. Jednak prawda była taka, że ciąża ją uratowała. Szczęście zaczynało się od niej odwracać, czuła to. Odeszła, nim inni także się o tym dowiedzieli.

Nie planowała powrotu do pracy, ale rok temu Nick nie dostał corocznej premii i nagle w ich budżecie domowym pojawiła się przerażająca dziura. Brakowało ogromnej sumy na spłatę kredytu hipotecznego i opłatę czesnego za szkołę.

Gdy minął szok i zaczęły się cięcia, myśl o powrocie do pracy po sześcioletniej przerwie zaczęła wydawać się ożywcza. Nagle Marnie zrozumiała, że czuła się taka nieszczęśliwa dlatego, że nie dla niej rola siedzącej w domu matki. Wręcz do bólu kochała Daisy i Verity, ale być może niezbędna była dla niej stymulacja z zewnątrz.

Guy przyjął ją z powrotem do pracy i kiedy pojawiła się tam pierwszego dnia, w nowym spodniemie i butach na obcasie, pękała z dumy: była użytecznym członkiem rodziny. Była ważna. Ale – dosłownie w ciągu kilku dni – stało się jasne, że do tej akurat pracy już się nie nadaje.

Nie pozyskiwała żadnych nowych klientów. Nie wychodziła już tak często, jak w czasach przed dziećmi, miała więc mniej okazji, by nawiązywać kontakty. Jednakże Nick miał w pracy mnóstwo nadzianych kolegów i gdyby była wystarczająco zaangażowana, mogłaby ich właśnie obrać za cel. To się jednak okazało niemożliwe. Po prostu nie umiała już rozmawiać z ludźmi. Nie umiała kombinować i w zasadzie to nawet nie wiedziała dlaczego. Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodziło jej do głowy, to wstyd. Nie chciała zawracać ludziom głowy; nie chciała zwracać na siebie uwagi; nie chciała o nic prosić, ponieważ nie była w stanie znieść odmowy.

Nie miała jednak wyboru, zmuszała się więc do tego, by próbować. Ale nie była w stanie użyć właściwego tonu: radosnego (zazwyczaj w kontaktach z mężczyznami) lub spokojnego (z kobietami). Jej prawdziwy głos leżał pogrzebany pod górą kamieni, zdradzieckie usta nie chciały wypowiadać właściwych słów, a kiedy próbowała się uśmiechać, zamiast tego wzdrygała się. Sprawiała wrażenie aroganckiej, dziwnej i zdesperowanej; wprawiała ludzi w zakłopotanie.

Wcześniej sądziła, że powrót do pracy jej pomoże, ale on tylko wszystko pogorszył.

Przez cztery miesiące nie pozyskała ani jednego nowego klienta, co było kiepską wiadomością dla firmy, ale jeszcze gorszą dla niej, jako że nie otrzymała żadnej prowizji.

Guy był cierpliwy i każdy inny szef już dawno wręczyłby jej wymówienie, wiedziała jednak, że jego wyrozumiałość nie będzie trwać wiecznie.

Wtedy z pracy odeszła Bea, kierowniczką biura, i Guy zaproponował Marnie, by to ona ją zastąpiła. Okazało się to zarazem ulgą – teraz przynajmniej będzie dostawać regularną pensję – i upokorzeniem. Poniosła porażkę. Po raz kolejny.

Nowe stanowisko oznaczało, że była teraz pracownikiem administracyjnym, a więc koniec długich, zakrapianych alkoholem lunchów i urywania się w piątki już w południe.

Jej obowiązkiem było siedzieć w biurze od dziewiątej do szóstej, nawet jeśli wszyscy inni się zerwali, by odbierać telefony i przesyłki, uspokajając rozhisteryzowanych klientów... To tak, jakby została przepędzona z raj; kiedyś była na równi z pozostałymi, teraz musiała im robić ksero. Mimo to była desperacko wdzięczna za to, że ma pracę. Guy płacił jej więcej, niż na to zasługiwała. Mógł za mniejsze pieniądze znaleźć na to miejsce kogoś innego.

Na jej biurku, niczym oskarżenie, czekała teczka. Jednego z klientów Wena–Yi, pana Lee. Poczowała ściskanie w żołądku.

Ta sprawa od samego początku była pechowa. Tyle rzeczy poszło nie tak jak trzeba. Wysłała oryginalne dokumenty pod niewłaściwy adres, do jednej z wielu nieruchomości wynajmowanych przez pana Lee, gdzie przez dwa i pół tygodnia zbierały kurz na nieużywanej wycieraczce. Do towarzystwa budowlanego wysłała kopie, a nie oryginały: prawdziwe wykroczenie. Zgubiła – nie da się tego inaczej wytłumaczyć – formularz zlecenia płatniczego, upoważniającego towarzystwo budowlane do potrącania comiesięcznych płatności; powinien znajdować się w teczce pana Lee, ale go tam nie było i nie

miała pojęcia, co się mogło z nim stać. Co gorsza pamiętała, że go widziała, nie mogła więc zrzucić winy na pana Lee i twierdzić, że w ogóle go nie przekazał.

Jej pomyłki i przeoczenia o kilka tygodni opóźniły sprzedaż; nie potrafiła zmusić się do tego, by policzyć, o ile, ale czasami mózg wymykał jej się spod kontroli i uciekał, drwiąc z niej i wymieniając inne opóźnienia, gdy tymczasem ona desperacko próbowała przywołać go do porządku i uciszyć.

– Dowód jego rezydencji w UK – powiedział Wen–Yi. Głos miał spokojny, ale wiedziała, że jest rozgniewany. – Gdzie formularz?

Patrzyła na niego ze zdumieniem.

– Nie wiedziałam... że jest mu potrzebny.

– Więc go nie masz?

– Nie wiedziałam, że będzie potrzebny.

– Przy przyznawaniu kredytu w UK od obcokrajowców wymaga się dowodu rezydencji. To standard.

Pośrednicy współpracowali z dwudziestoma sześcioma różnymi bankami i firmami hipotecznymi, i wszystkie posiadały własne listy wymagań. Po raz pierwszy Marnie miała do czynienia z obcokrajowcem biorącym kredyt w UK, ale to nie stanowiło usprawiedliwienia. Powinna była wiedzieć.

– Zaraz mu to wyślę, Wen–Yi. Przepraszam, naprawdę cię przepraszam.

– Pieniądze już czekają – powiedział Wen–Yi. – Moglibyśmy zamknąć sprawę dzisiaj, ale ten formularz wszystko wstrzymuje. Sprzedający mają dużo cierpliwości, ale zaczynają przebąkiwać o ponownym wystawieniu nieruchomości na sprzedaż. Lepiej, żeby do tego nie doszło.

Odwrócił się i odszedł. Pozostali udawali, że nie słuchali i przykleili spojrzenia do swoich monitorów, z wyjątkiem Rico, który patrzył na nią współczująco.

Podeszła do stojącej za jej biurkiem szafy i drżącymi palcami zaczęła szukać właściwego formularza. Znajdowały się tu dosłownie setki różnych dokumentów, ale Bea wprowadziła dobry system i kiedy Marnie go znalazła, przeczytała kilka razy. Tak, to kredyty w UK. Nie pożyczki w UK. Nie brytyjskie kredyty. I był to „Dowód rezydencji dla obcokrajowców”. Nie „Dowód zamieszkania”. Nie „Zaświadczenie o niekaralności”.

Zadowolona z tego, że znalazła właściwy dokument, zaczęła go wypełniać, tak bardzo starając się niczego nie pomylić, że aż się spociła. Co się z nią działo? Kiedy jej pewność siebie zmalowała aż tak bardzo, że Marnie nie wierzyła, iż jest w stanie poradzić sobie z tak prostym zadaniem?

– Poczta – powiedział Guy, kładąc na jej biurku spory stos kopert. Aż podskoczyła. – Przepraszam. Przestraszyłem cię?

– Nic się nie stało. – Zaśmiała się drżąc.

– Jesteś roztrzęsiona – rzekł.

Dla niewtajemniczonych jego jasnoniebieskie oczy wyglądały na zimne, ale kiedy lepiej się go poznało, widziało się w nich życzliwość.

– Mogłabyś to szybko pootwierać? – Polecenia wydawane przez Guya zawsze były grzeczne. – Powinny się tam znajdować podpisane dokumenty od Findlaterów. Potrzebuję ich jak najszybciej.

Polecenia Guya były ważniejsze od tego, co kazał jej zrobić Wen-Yi; musiała zająć się pocztą. Odłożyła formularz pana Lee na tackę na korespondencję i zaczęła paznokciami rozrywać koperty.

Guy zmarszczył brwi.

– Użyj noża do kopert.

– Oczywiście.

Nawet poczty nie potrafiła właściwie otworzyć. Sięgnęła po nóż i ujrzała nagle, jak wbija go sobie w serce.

Zamiast tego mechanicznie pootwierała koperty i poukładała ich zawartość w schludne stosiki.

– Guy, są tutaj. – Uniosła dokumenty od Findlaterów, by mógł je zobaczyć.

– Doskonale. Skseruj je i przekaz oryginały do banku.

Kiedy stała przy kopiarce, postanowiła skserować od razu wszystkie inne podpisane dokumenty, które dziś przyszły. Zmusiła się do koncentracji na tym, by nie mieszać dokumentów i do teczek schować kopie, oryginały zaś odłożyć na bok, by potem odesłać do banków. Świadoma była tego, że to żadna filozofia, ale tyle już razy zdarzyło jej się to mieszać.

Chwyciła plik kopert A4 i wróciła do biurka, by przygotować oryginały do wysyłki. Ta praca miała na nią uspokajający wpływ i kiedy się przekonała, że ostatnią kopertę wykorzystuje do ostatniego dokumentu, zrobiło jej się lekko na duszy.

Zbieg okoliczności, wcale nie liczyła, ile potrzebuje kopert, po prostu tak się akurat złożyło, że wzięła ich dokładnie tyle, ile było trzeba.

Czuję się lepiej, pomyślała. To na pewno prozac.

Choć tak naprawdę jeszcze nie zaczęła go przyjmować. Już samo noszenie w torebce recepty zdawało się mieć na nią pozytywny wpływ.

Wtedy spojrzenie Marnie padło na formularz pana Lee – czekający cierpliwie na tacy na umieszczenie go w kopercie i wysłanie – i uleciała z niej cała radość. Nie miała dla niego koperty. Szafka z materiałami biurowymi

znajdowała się zaledwie kilka metrów od niej, ale nie była w stanie wstać i tam pójść. Nie potrafiła tego zrozumieć. To nie było wyczerpanie fizyczne, jej nogi nie były zmęczone. Czuła, jakby przygniatał ją jakiś nieznośny ciężar. Mogła żartobliwie poprosić kogoś o pomoc – Rico by to zrobił – ale dziwnie było prosić o coś takiego. A poza tym teraz nie była się już w stanie nawet odezwać. Zużyła wszystkie zapasy energii.

To pilne to pilne to pilne.

Ale właśnie dlatego nie była w stanie tego zrobić: to było zbyt przerażające.

Zajmę się tym niedługo zajmę się tym niedługo zajmę się tym niedługo.

Ale kiedy tylko kątem oka dostrzegła formularz, czuła się tak, jakby żywcem obdzierano ją ze skóry, wzięła go więc z tacki i schowała do szuflady, pod fiolkę z witaminą B5 – „witaminą szczęścia” – i pudełkiem herbaty z dziurawca.

– Marnie! – zawołała mama. – To zabawne, że dzwonisz. Właśnie czytam jakiś paskudny brukowiec Bid, i jest tam zdjęcie Paddy'ego de Courcy i jego „uroczej przyszłej żony”.

Było tak, jakby się potknęła: wystarczyło, że Marnie usłyszała jego imię. Automatycznie dotknęła środkowym palcem centralnej części wierzchu prawej dłoni; wystarczyło wspomnieć o Paddym, a to miejsce zaczynało ją swędzieć.

W sierpniu, kiedy rozeszły się wieści o jego zaręczynach, zadzwoniła do niej Grace.

– Muszę ci coś powiedzieć. Chodzi o Paddy'ego. Żeni się.

Me waż mi się być szczęśliwy, ty draniu.

– Dobrze się czujesz? – Grace była oszczędna w słowach; nie mogła znieść tego, że sprawia Marnie ból.

Niespodziewane ukłucie bólu natychmiast zniknęło i dla Marnie ważniejsze się stało to, by uspokoić siostrę.

– Dobrze. Ale cieszę się, że mi o tym powiedziałaś. Cieszę się, że nie dowiedziałam się o tym w jakiś inny sposób.

– Mama i tata mogliby ci o tym wspomnieć. Chciałam, żebyś była przygotowana.

Istniała spora szansa na to, że mama i tata by jej o tym powiedzieli. Nie pochwalali polityki Paddy'ego, ale nie byli w stanie przestać się nim interesować.

Mama mówiła dalej:

– Piszą tu, że drużbą będzie Sheridan. Pokrzepiające w tych czasach artykułów jednorazowego użytku jest to, że ich przyjaźń przetrwała tyle lat, prawda? Muszę powiedzieć, że patrzę na Paddy'ego w tych jego garniturach i wracam myślami do tego, jak siedział przy stole w mojej kuchni, bez grosza przy duszy i z tymi wielkimi, głodnymi oczami, a żadne z nas nie miało pojęcia, że w przyszłości zostanie... cóż, jedyne słowo to mąż stanu. Jest trochę cienki, jeśli chodzi o konkretną politykę, ale kiedy ma się tego rodzaju charyzmę, ludzie nie zwracają na to uwagi. Twój ojciec upiera się oczywiście, że nigdy go nie lubił, ale on po prostu jest trudny.

– Mmm. – Teraz było już dobrze, zazwyczaj szybko dochodziła do siebie.

– Paddy przypomina mi trochę młodego Billa Clintona – stwierdziła mama. – Zastanawiam się, czy ma ten sam problem z utrzymaniem kutasa w portkach.

– Mamo, nie możesz mówić „kutas”. – Na szczęście wszyscy wyszli na lunch, nie musiała się więc przejmować tym, że ktoś ją może usłyszeć.

– Dziękuję ci, kotku, zawsze byłaś taką grzeczną dziewczyną. Jakiego więc powinnam użyć słowa? Penis? Chuj? Fiutek?

– Fiutek byłby chyba najlepszy.

– Wracając do mojego wcześniejszego pytania, ciekawe, czy ma ten sam problem, co Bill Clinton z utrzymaniem fiutka w portkach. A mogę mówić portki?

– To zależy. Masz na myśli spodnie czy obcisłe szorty?

– Raczej spodnie.

– No to mów spodnie. Portki to amerykańskie określenie spodni.

Mama za nic nie chciała pozwolić na to, by oskarżono ją o bycie amerykańską.

– Ciekawe, czy ma problem z utrzymaniem fiutka w spodniach.

– Bardzo możliwe.

– Też mi się tak wydaje. Oczywiście nie mam powodu, by tak sądzić, z wyjątkiem tego, że często łączy się go z pięknymi kobietami. Jeśli się coś takiego lubi, wyrzeczenie się musi być trudne. „Mężczyźni potrzebują czterech rzeczy: jedzenia, schronienia, cipki i nieznanej cipki”. Jay McInerney, nie pamiętam tytułu książki. Mówię to oczywiście ironicznie, nie znoszę, kiedy cudzołźnicy używają jako wymówki imperatywu biologicznego, niemniej jednak Alicie Thornton czeka mnóstwo pracy.

– Wie, w co się pakuje.

– No i na dodatek jest wdową. Na co zmarł jej mąż?

– Prawdopodobnie popełnił samobójstwo, ponieważ nie mógł dłużej znosić bycia jej mężem.

Mama była zdumiona.

– No ale dlaczego tak mówisz? Ile ona ma lat?

- Wiesz, ile ma lat, trzydzieści pięć, tyle samo co ja.
- A skąd mam to wiedzieć?
- Mamo... ponieważ ją znasz.
- Zapewniam cię, że nie.
- Mamo, nie mogę uwierzyć... Myślałam, że wiesz...
- Wiem co, kotku?
- Przyjrzyj się jej zdjęciu, mamo. Wyobraź ją sobie bez jasnych pasemek. Słysząc było szelest branej do rąk gazety.
- I bez makijażu. I z dłuższymi włosami. I znacznie młodszą. Mama gwałtownie wciągnęła powietrze.
- Chryste na motorze, to nie...
- Tak, to ona.

Przez cały dzień Marnie nie wzięła ani jednej witaminy B5 – nic dziwnego, że czuła się tak fatalnie – ale kiedy otworzyła szufladę, zobaczyła formularz pana Lee, chowający się pod fiolką z tabletkami. Nadal nie wysłany. Nogi się pod nią ugięły. Jak mogła tego nie zrobić? Skoro to takie ważne?

A teraz było już za późno, przegapiła dzisiejszą pocztę.

Obiecała sobie solennie, że wyśle go jutro z samego rana. Ale co, jeśli Wen–Yi znajdzie ten formularz? Jeśli postanowi ją sprawdzić i po jej wyjściu przeszukać jej rzeczy?

Ogarnięta przerażeniem, wyjęła z szuflady kartkę papieru i szybko wsunęła ją do swojej torby.

A Wen–Yi jakby wyczuł coś, gdyż uniósł głowę i zapytał:

- Wysłałaś panu Lee jego formularz rezydencji?
- Tak.

– Marnie? Szybki drink? – zapytał Rico. – Pomożesz mi świętować najwyższą z dotychczasowych prowizję?

Zastanawiała się. Tylko przez chwilę, ale wystarczyło to, by wzbudzić w niej przemożne pragnienie. Możliwość ucieczki... Ale nie mogła. Dzieci spodziewały się jej w domu kwadrans po szóstej. Melodie, niania, będzie już czekać przy drzwiach, gotowa do biegu do drugiej pracy. No i pamiętała przecież, co się stało ostatnim razem, kiedy poszła na drinka z Rico.

– Nie, ja... – Nagle poczuła, że jest obserwowana. Odwróciła głowę: ich rozmowie przysłuchiwał się Guy. Natychmiast opuścił wzrok.

Pokręciła głową.

– Nie, Rico, nie mogę.

– Szkoda. – Wydawał się autentycznie zasmucony.

Ale znajdzie kogoś innego, przystojnego mężczyznę, takiego jak on.

Piąta rano. Zbyt wcześnie, by wstać, zbyt późno, by znowu zasnąć. Powinna zająć się w tym czasie czymś pożytecznym. Mogła zejść na dół i poćwiczyć jogę, ale joga się nie sprawdzała. Nie u niej. Miała działać uspokajająco. Albo podnosić na duchu. Albo mogła zmienić życie, jeśli się miało prawdziwe szczęście. Jennifer Aniston twierdziła, że to właśnie joga pomogła jej przetrwać rozwód z Bradem Pittem.

Dlaczego więc ją nudziła tak bardzo, że aby wytrzymać, musiała jednocześnie rozwiązywać sudoku?

Formularz pana Lee. Dlaczego nie mogła go wysłać? To naprawdę nic takiego. Zabrałoby jej to najwyżej dwadzieścia sekund. Nie zrobiła tego jednak, a teraz przeżywała katusze z powodu swego lenistwa, leżąc w łóżku, martwiąc się i bojąc.

Pocieszyła ją dopiero złożona sobie obietnica – ponowna – że zrobi to od razu po wejściu do biura. Zanim jeszcze zdąży zdjąć płaszcz. Do tego czasu pozostawała bezsilna. Nic nie mogę zrobić nic nie mogę zrobić nic nie mogę zrobić. Pozwoliła myślom odpłynąć w poszukiwaniu czegoś, czego by się mogły uczeplić. W jej głowie rozbrzmiały słowa: W jakimś miejscu na świecie, właśnie teraz, ktoś jest poddawany torturom. Niech się skończą. Niech się skończą. Niech się skończą. Niech się skończą. Niech się skończą. Niech się skończą.

Kimkolwiek jest ta osoba, gdziekolwiek się znajduje, niech zazna ulgi.

Sama sobie była winna. W późnowieczornych wiadomościach pokazano materiał o dwóch nastolatkach, które zostały porwane przez czterech mężczyzn. Mężczyźni dręczyli je w niewyobrażalnie okrutny sposób w ramach zemsty za nieudany deal narkotykowy, w który zamieszane były nie te dziewczyny, ale ich ojcowie.

Wiedziała, że nie powinna tego oglądać. Wiedziała, że w pewnym momencie przyjdzie jej za to zapłacić. Ale paskudna fascynacja nie pozwoliła jej się oderwać od telewizora. Z jednej strony pragnęła niczego nie słyszeć, z drugiej zaś była strasznie ciekawa, jakie okropne rzeczy ludzie mogą robić sobie nawzajem.

Pomyślała, że coś takiego mogłoby się przytrafić dziewczynkom. Grace. Zrobiło jej się niedobrze.

Nie wiedziała, że oprawcy mogą mieć tyle pomysłów i zastanawiała się, jakiego rodzaju są to ludzie. Czy byli do tego zmuszani? Niektórzy na pewno robili to po to, by uniknąć losu ofiary. Ale innym musiało się to podobać.

I dlaczego nikt inny nie miał na tym punkcie takiej obsesji jak ona? Kiedy jako nastolatka podzieliła się swymi obawami z siostrą, odpowiedź

Grace była praktyczna: „Jeśli przytrafi ci się kiedyś coś takiego, powiedz im po prostu wszystko, co chcą wiedzieć”.

To było, zanim Marnie się przekonała, że niektórzy ludzie stosują tortury po prostu dla zabawy.

Sięgnęła ręką na podłogę i podniosła książkę. Czytała *Szklany klosz*. Po raz kolejny. Nick mówił, że to nic dziwnego, iż jest przygnębiona. Próbowała czytać coś pogodnego – powieści, które obiecywały, że będzie „śmiać się w głos” – ale musiała przestać, ponieważ wszystkie były takie niemądre. W przypadku Sylvii Plath czerpała przynajmniej pociechę z faktu, że ktoś inny też to przechodził. Tyle że wiadomo było, jak to wszystko się dla niej skończyło.

Przysunęła książkę blisko twarzy, starając się odczytać słowa w szarym, wczesnoporannym świetle. Nick poruszył się na łóżku; obudziła go, przewracając strony.

– Która godzina? – mruknął niewyraźnie.

– Dwadzieścia po piątej.

– Och, na litość boską.

Zwinał się pod kołdrę w gniewną kulkę, próbując na nowo zasnąć. Rozległo się stuknięcie w drzwi. Ciche kroki małych stóp. Verity.

Biedna Verity. Czy też „Dziwaczka”, jak nazywały ją inne dzieci. Nigdy nie przespała całej nocy.

– Mogę wejść, mammo?

Marnie kiwnęła głową, przyłożyła palec do ust – nie obudź tatusia – i uniosła zapraszająco kołdrę. Małe, ciepłe ciało Verity położyło się obok niej. Mocno ją przytuliła.

– Mammo? – wyszeptała.

– Ćśś, nie obudź tatusia.

- Tatuś nie śpi. – Był rozdrażniony.
- Mamo, co się stanie, kiedy umrzesz?
- Nie umrę.
- A jeśli zachorujesz i będziesz musiała iść do szpitala?
- Mów szeptem, kochanie. Nie zachoruję.
- Co się stanie, jeśli tatuś straci pracę?
- Tatuś nie straci pracy.

Ale możliwe, że nie dostanie w tym roku premii. Znowu.

Głaskała włosy Verity i próbowała ją jeszcze uspić. Skąd się brały te jej wszystkie lęki?

Była matką Verity, to z pewnością była jej wina.

- Mamo, uczesz mnie w warkocz! Ale nie na dole, ale taki wysoko.
- Mamo! Nie mogę znaleźć mojego różowego notesu. Marnie, gorączkowo sznurująca ubłocone adidas Verity, rozejrzała się po kuchni.
- Tam jest.
- Nie ten różowy, ale różowy błyszczący!
- Zobacz w swoim plecaku.
- Nie ma go w plecaku.
- Sprawdź jeszcze raz.
- Och, a sprawdzisz ty, mamo?
- Maa–mo – rzekła z frustracją Daisy. – Proszę, czy **możesz** mnie uczesać? Nigdy o nic cię nie proszę.
- Okej, okej. Daj mi to skończyć, potem muszę spakować wam drugie śniadanie, a potem zajmę się twoimi włosami. Verity! Gdzie masz okulary?
- Zgubiłam.
- Znajdź je.

– Nie. Nie znoszę ich. Marnie ścisnęło się serce.

– Wiem, kochanie. Ale nie będziesz musiała nosić ich wiecznie. Proszę, łap. – Rzuciła Verity jej adidasy. – Schowaj je do worka. Okej, Daisy, teraz twoje włosy.

– Ale powiedziałaś, że znajdziesz mój notes! – Verity była niezadowolona.

– I musisz najpierw przygotować nam drugie śniadanie – dodała Daisy. – Bo znowu zapomnisz.

Jezu Chryste. Raz o tym zapomniała. Raz na ile dni? Ale nie istniało coś takiego jak rozgrzeszenie, kiedy było się matką.

– Nie zapomnę, a teraz podaj mi szczotkę. – Uczesała ją nie tak, jak trzeba. Zamiast wysokiego warkocza zaplotła niski. – Ale jaki, do diabła, jest wysoki?

– Nie mów „do diabła”.

Marnie zaczynała wpadać w panikę. Czas nieubłaganie uciekał. Nie mogła się znowu spóźnić do pracy. Nadużywała cierpliwości Guya. Nie wiedziała, gdzie się ona kończy, ale intuicyjnie czuła, że zbliża się do tego momentu.

– Najpierw w kitkę, potem warkocz!

– Okej, szybko. – Rozplotła warkocz Daisy i uczesała ją raz jeszcze, zbyt szybko, tak że warkocz sterczał wysoko i wyglądał jak antena. – Proszę bardzo, ślicznie wyglądasz.

– Wyglądam absurdalnie.

– Jesteś za mała, żeby używać takich słów.

– Jestem dzieckiem, chłonę jak gąbka to, co słyszę. Skąd mam wiedzieć, na mówienie czego jestem za mała?

– Tak czy inaczej jesteś śliczna. No to wychodzimy.

– Pudełka z drugim śniadaniem!

Marnie wrzucała winogrona i bezcukrowe batoniki zbożowe do pudełek z Angeliną Balleriną, Daisy zaś nadzorowała jej działania z powagą inspektora ONZ.

Puszka z małymi paczuszkami chipsów z organicznych warzyw była pusta – jak to się stało?

– Tata je zjadł – wyjaśniła Daisy. – Powiedziałam mu, że są dla nas na drugie śniadanie, ale odparł, że znajdziesz coś innego.

Cholerny Nick. Co miała im dać zamiast tego?

Co było w lodówce? Buraki? Przez jeden szalony moment zastanawiała się, czy nie mogłaby im dać po buraku. Istniała niewielka szansa, że Verity by go zjadła, skuszona ładnym kolorem, ale Daisy za bardzo liczyła się z tym, co przynosili w pudełkach jej koledzy z klasy.

W szafie znajdowało się pudełko czekoladowych wafelków, podarowanych przez kogoś, kto był u nich na kolacji. Mogą być.

– Wafelki? – zapytała ostro Daisy. Skoro pozwalano im jeść rafinowany cukier, to znaczyło, że u wrót znaleźli się barbarzyńcy. – Nie wolno nam przynosić słodyczy. A ty dobrze o tym wiesz – dodała ze zmęczonym westchnieniem.

Wafle wróciły do szafki.

– Więcej winogron – zasugerowała Daisy.

Więcej winogron, tak jest. Nie było innego wyboru. Marnie zamknęła pudełka i podała je córkom. Ale nie mogła wypuścić Daisy z taką fryzurą – warkocz sterczał tak bardzo, że wyglądał, jakby był w stanie odbierać sygnały z kosmosu.

– Zaczekaj, Daisy, poprawię ci włosy. Gdy to zrobiła, rzekła:

– Miłego dnia w szkole i opiekuj się Verity.

Daisy świadoma była swej naturalnej przewagi, jaką miała nad Verity. Była ładna, popularna, bystra i dobra w sporcie, i wiedziała, że w parze z władzą idzie odpowiedzialność.

Ale zamiast obiecać jak zawsze, że będzie się opiekować siostrą, Daisy rzekła cicho:

– Mamo, nie zawsze będę mogła to robić. Musi się nauczyć sama dbać o siebie.

Marnie zaniemówiła. Popatrzyła na Daisy i pomyślała: masz sześć lat. Co się stało z niewinnością wiążącą się z dzieciństwem? Przekonaniem, że świat jest bezpieczny? Ale rozumiała, co czuje Daisy. Próba niedopuszczenia do tego, by Verity czuła ból poprzez odczuwanie go za nią, to zbyt duża odpowiedzialność.

To tak, jak kiedyś ona i Grace.

Daisy ponownie westchnęła. Było to głośne, dorosłe westchnienie.

– Zrobię, co się da, mamo, ale nie zawsze mogę być przy niej.

– W porządku, kochanie, w porządku. Nie martw się.

Przytuliła Daisy. Teraz przeżywała nie tylko wieczny niepokój Verity, ale także wyrzuty sumienia i niezadowolenie Daisy.

Jak mogę je ochronić przed bólem istnienia?

– Mamo, to boli.

– Naprawdę? Przepraszam. Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Spojrzała w brązowe oczy Daisy i pomyślała: kocham cię tak bardzo, że aż cierpię katusze. Kocham cię tak bardzo, że żałuję, iż cię urodziłam. Was obie. Lepiej by wam było, gdybyście nie żyły.

Dopiero po chwili zapytała siebie, nawet nieszczególnie zaskoczona: czy ja myślę o zabiciu swoich dzieci?

Wyrzuciła je przy szkolnej bramie. Większość rodziców szła razem z dziećmi do klasy i przekazywała je, niczym pałeczki w biegu sztafetowym, dopiero wtedy, kiedy mieli pewność, że nauczyciele mocno je trzymają. Ale ona nie miała dzisiaj na coś takiego czasu. W lusterku wstecznym obserwowała, jak dwie dziewczynki idą przez dziedziniec w szkolnych mundurkach, podkolanówkach i słomkowych kapeluszach, obładowane pudełkami z drugim śniadaniem, workami ze strojami na gimnastykę, plecakami i instrumentami – skrzypce dla Daisy, skromniejszy flet dla Verity. Włączyła się do ruchu, nadal dręczona wyrzutami sumienia.

Wen–Yi ją obserwował. Od jego okularów odbijało się światło i nie zawsze widziała jego oczy, ale czuła, jak śledzi każdy jej ruch. Nie była w stanie wyjąć formularza z torby i wsunąć go do koperty: od razu by to zobaczył. W czasie przerwy na lunch wyszła, planując kupić kopertę i znaczki i skorzystać z anonimowej skrzynki pocztowej. Ale w Rymans była długa kolejka. Działała tylko jedna kasa. Jakiś mężczyzna kupował mnóstwo rzeczy – wyglądało to tak, jakby od zera wyposażał swoje biuro i długo trwało pakowanie jego pudełek, segregatorów, tacek i tym podobnych. Kiedy w końcu chciał zapłacić, okazało się, że nie działa linia telefoniczna. Nie można było dokonać płatności kartą, udał się więc do bankomatu. Kiedy wrócił, trzeba było zmienić rolkę w kasie. Inni klienci zostawiali swoje zakupy na ladzie i odchodzili, mrużąc gniewnie pod nosem. Marnie chciało się płakać z frustracji i wściekłości, ale nie zamierzała się ugiąć.

W końcu obładowany zakupami klient poszedł sobie i kolejka przesunęła się o jedno miejsce. Ale następny klient kupował całe naręczce kart

katalogowych, z których na żadnej nie widniał kod kreskowy. Chłopak z kasy musiał opuścić swoje stanowisko i udać się razem z klientem do miejsca, skąd wzięły te karty, ponieważ w systemie nie było po nich śladu. Strasznie długo nie wracali.

Jestem testowana jestem testowana jestem testowana.

Nie będzie patrzeć na zegarek. Nie mogła tego robić. Przyglądanie się, jak czas ucieka, doprowadzało ją do szaleństwa. Wtedy mężczyzna przed nią rzekł: „Cholera jasna, już pięć po drugiej!”. I wiedziała, że musi wracać, ponieważ choć zostawiła dziewczynki przy bramie, znowu spóźniła się do pracy.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zostawić dychy na ladzie i nie wyjść z kopertami. Ale i tak nie miała znaczków

– trzymano je w kasie – a znając jej szczęście, zostanie aresztowana za kradzież; zbyt duże ryzyko. Z rozpaczą zostawiła na ladzie zakupy i dzień zakończył się tak samo, jak zaczął: z formularzem pana Lee w jej torbie.

– Dlaczego się tu pani zjawiała?

– Chcę być szczęśliwa. – Cóż za żenująca kwestia.

– A nie jest pani?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Mam wszystko... męża, dwójkę wspaniałych dzieci, dom...

– W porządku. Ja pani nie oceniam.

Trening kognitywny. Przeczytała o tym w niedzielnym dodatku. Dziesięć krótkich sesji zmieniło życie dziennikarki, rozprasząc jej odwieczne uczucie bezsensu i wypełniając ją ciepłym szmerem satysfakcji. Marnie natychmiast zadzwoniła pod podany na dole strony numer, ale nie udało jej się umówić na

sesję z terapeutką opisaną w artykule – dzięki szerokiej reklamie wolne terminy miała dopiero za rok. Jednak w Internecie znalazła Amandę Cook z Wimbledonu, która oferowała „doradztwo kognitywne”.

– Czy to jest to samo co „trening kognitywny”? – zapytała ją przez telefon.

– A co to jest „trening kognitywny”?

– Och. – Marnie zakładała, że osoba z kręgu terapeutów będzie na bieżąco z różnymi jej dyscyplinami. – Cóż, w gazecie był artykuł...

– Małe ostrzeżenie – przerwała jej surowo Amanda. – W tej branży kręci się wielu nieodpowiedzialnych typów. Nadają sobie ładny tytuł i...

Marnie z niepokojem poczuła, że jej nadzieja zaczyna maleć; nie mogła na to pozwolić, musiała wierzyć w to, że ktoś jest w stanie jej pomóc. Ta kobieta zajmowała się czymś, co w nazwie miało modne słowo „kognitywny” i to musiało wystarczyć.

– Okej, w porządku! Czy mogę się umówić na wizytę?

– Może być jutro? – zapytała Amanda. – Mam wolny cały dzień. A może środa?

Ponownie nadzieja Marnie oklapła: wolałaby wiedzieć, że ta terapeutką, trenerką, czy też jak się zwała, była nieco bardziej rozchwytywana.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna się wybrać po prostu do normalnego, niekognitywnego terapeuty... Ale w ciągu kilku lat wypróbowała wielu i żaden jej nie pomógł. I być może to coś „kognitywnego” dopiero się przyjmowało, być może za trzy miesiące niemożliwością będzie umówić się na sesję u Amandy. Zgodziła się więc na spotkanie o 18. 15 w czwartek.

– Mam gabinet tuż przy High Street – wyjaśniła Amanda Cook. – Jest tam rząd sklepów, ja mieszcę się nad apteką...

– I sądzi pani, że będzie w stanie mi pomóc?

– Tak, ale proszę nie parkować przed sklepami. Trzeba mieć pozwolenie. Proszę spróbować na Ridley Road, tam często są wolne miejsca; cóż, o szóstej piętnaście powinny być, gorzej byłoby po siódmej.

– Dobrze. I czy mogę spytać... – Chciała poznać kwalifikacje Amandy Cook, tak radzono w artykule, ale straciła odwagę. Nie chciała jej urazić. – Nie, nic takiego. Więc... eee... tak, do zobaczenia.

Gdy Marnie wchodziła po wąskich, zakurzonych schodach do mieszczącego się na pierwszym piętrze gabinetu, zastanawiała się, jaka jest ta kobieta, która ma ją uratować. Tak jak fryzjer czy nauczyciel jogi, terapeuta powinien być chodzącą reklamą swojej profesji. No bo jak inaczej ludzie mieli mu wierzyć?

Na szczęście pierwsze wrażenie okazało się całkiem dobre. Amanda zbliżała się najprawdopodobniej do czterdziestki – choć trudno to było odgadnąć po jej okrągławej twarzy – była pogodna i miała na sobie spódnicę i luźną bluzkę. Jej włosy były kasztanowe, ani proste, ani kręcone. Marnie natomiast poczuła się chuda i neurotyczna w swoim spodniemie i gładkim kocyku.

– Wejdz, moja droga. – W głosie Amandy pobrzmiwał akcent z południowo-zachodniej części Anglii. Przyjemny i ciepły, i Marnie starała się nie pamiętać o tym, że taki akcent kojarzy jej się zawsze z półgłówkami.

– Gdzie zaparkowałaś?

– Na Ridley Road.

– Nie pod domem? Ponieważ trzeba mieć zezwolenie. Jeśli ktoś zostawi samochód tutaj, dzwonią później i przeszkadzają w sesji.

– Tak. Mówiła mi pani o tym przez telefon.

– Proszę, usiądź.

Wskazała Marnie pomarańczowy, obity tapicerką fotel. Na fotelu naprzeciwko leżała na wpół zjedzona paczka chipsów (koktajl z krewetek). Amanda przesunęła ją na bok i siadła na fotelu.

Pozytywne pierwsze wrażenie szybko się zacierało i Marnie ogarnął niepokój. W żadnym razie nie powinno się osądzać kogoś po wyglądzie. Ale pragnęła, by Amanda Cook była cudotwórcą, a gdyby Amanda Cook rzeczywiście była cudotwórcą, to czy byłaby taka... zwalista?

Nie myśl w taki sposób. Kardiochirurdzy nie operowali samych siebie. Trenerzy koni wyścigowych nie przeskakiwali przez Beecher's Brook.

Zamiast tego Marnie zapewniła sobie, że być może jest tak dlatego, iż Amanda Cook jest z siebie tak bardzo zadowolona, że pozostaje beztrosko nieświadoma – trudno było to określić z powodu luźnych ubrań – jakichś dwudziestu kilogramów nadwagi.

– Stosuję połączenie terapii kognitywno-behawioralnej i life coachingu, aby pomóc osiągnąć idealne życie – oświadczyła Amanda. – W przeciwieństwie do tradycyjnej psychoterapii, podczas której latami można przeżywać na nowo krzywdy z przeszłości, doradztwo kognitywne opiera się na terażniejszości. Dzięki kombinacji wizualizacji i praktycznych zmian osiągam bardzo szybkie rezultaty.

Cóż za pewność siebie! Nawet z takimi włosami.

– Zawsze? – zapytała Marnie. – Zawsze bardzo szybkie rezultaty?

– Tak.

– Mnie się nic nie udaje.

– Tak się tylko postrzegasz, moja droga.

Marnie nie chciała się czepiać, ale wcale tak nie było. To był niezbity fakt, wielokrotnie udowodniany.

– Pomagała pani ludziom takim jak ja?

– Jacy ludzie są tacy jak ty?

– Bezradni... bez nadziei... że coś może się zmienić lub polepszyć.

– Nie naruszając tajemnicy zawodowej, mogę ci powiedzieć, że niedawno odwiodłam kogoś od samobójstwa.

Cóż, to nie byle co.

– Musisz po prostu zmienić swoje myślenie, moja droga. Pozwól, że poznam kilka szczegółów związanych z twoim życiem. Mieszkasz... ?

– Wandsworth Common.

– Ładna okolica. W jednym z tych wielkich domów?

– Ta...

– Czym się zajmuje twój mąż?

– Jest maklerem towarowym, ale...

– Chcę cię po prostu lepiej poznać. – Amanda zaznaczyła coś sobie w notesie. – I masz dwoje dzieci. Dziewczynki?

– Dziewczynki, sześć i pięć lat.

– No dobrze, Marnie, chciałabym, żebyś zamknęła oczy, pozwoliła zniknąć całemu światu, a potem opisała mi swoje idealne życie.

To ją zaalarmowało.

– Moje idealne życie?

Amanda uśmiechnęła się.

– Jeśli nie będziesz wiedzieć, jak ono wygląda, jak możesz sprawić, by żyć właśnie w taki sposób?

Celna uwaga.

– Ale... ja nie wiem, jak wygląda moje idealne życie.

I jeśli miała być szczerą, podejrzewała, że problemem nie jest jej życie, lecz ona sama.

– Musisz przywołać swoje marzenia – zagdakała Amanda. – Bądź ambitna dla siebie samej!

– Tak, ale...

– Pamiętaj, jedynym ograniczeniem naszego szczęścia jest nasza wyobraźnia.

I znowu Marnie nie chciała się czepiać, ale do stwierdzenia czegoś takiego nie potrzebowała terapii. To wszystko było takie niespodziewane. Oczekiwała praktycznego skupienia się na suchych faktach dotyczących jej obecnego życia, a nie na tych nedorzecznych mrzonkach.

– Uwolnij swoje marzenia. Poddaj się ich energii, a pojawią się właściwe słowa.

Czyżby? Wątpiła w to, naprawdę w to wątpiła, niemniej jednak pragnęła, by udowodniono jej, że jest inaczej.

– No dalej, Marnie, nie bój się. Jesteś w bezpiecznym miejscu i to jest twój czas.

Codziennie przez większość dnia przepełniona była pragnieniami, aż do bólu, i dziwna sprawa, ale teraz, kiedy musiała wypowiedzieć je na głos, nic nie przychodziło jej do głowy. Zaczęła wzbierać w niej panika. Szukała gorączkowo w myślach, szukała czegokolwiek. Nie mogła zawalić także tego, to przekraczało ludzkie możliwości.

– Zacznij od czegoś małego – podpowiedziała życzliwie Amanda. – Czegoś, co ci pomoże iść dalej.

– Okej. – Iść dalej. Wzięła głęboki, głęboki oddech. – To trochę bzdurne, ale chciałabym umieć... naprawiać rzeczy. Na przykład zrobić pasek klinowy z rajstop.

– Konserwacja samochodów?

– Niezupełnie. – Truchlała na myśl o nieporozumieniu. – Myślałam o seksownej, dobrej podczas kryzysu... ale chwileczkę, chwileczkę! Mam coś. – W jej głowie pojawił się pewien pomysł i uchwyciła się go z bezbrzeżną wdzięcznością. – Właściwie to chciałabym być jedną z tych fantastycznych kobiet...

– Fantastycznych kobiet?

– ... jedną z tych białych Afrykanek z *Białej gorączki*. – Mimo że nie widziała tego filmu. – Która umie latać samolotem i ujeżdżać zwierzęta.

Amanda poczyniła kolejne zapiski w notesie.

– Opisz mi, proszę, swoje codzienne życie jako jednej z tych „fantastycznych kobiet”.

– Aaach... – Na litość boską, jak miała to zrobić? Nie widziała tego cholernego filmu. – Ja... ach... ja... nie muszę gotować, prać ani prasować.

Na twarzy Amandy widać było pogardę.

– To przecież twoje idealne życie. No dalej, Marnie, uwolnij marzenia! Masz służących, tak?

– Pewnie tak.

– Opisz spotkanie z jednym z nich. Dokonaj wizualizacji.

– Aaach... – To było absurdalne. – Wchodzę do domu. Mam na sobie bryczesy i czarne skórzane buty do konnej jazdy... Rzucam się na sofę przykrytą skórą zebry i mówię: „Przynieś mi duży gin z tonikiem, Mwaba”. – Po chwili namysłu dodała: – „Migiem, Mwaba”.

– Doskonale. Kontynuuj.

– Och. Cóż, przynosi mi drinka, a ja... a ja mu nie dziękuję. Nigdy nikomu za nic nie dziękuję. Kiedy gdzieś przyjeżdżam, rzucam kluczyki od mojego land rovera pierwszej osobie, jaką widzę, i mówię: „Zaparkuj go, okej?”.

Zasmuciło to Marnie. Dziękowanie innym było czymś, co nic nie kosztowało, a ona odmówiła tego biednemu, wyimaginowanemu Mwabie po to tylko, by uzyskać aprobatę Amandy.

– Jak wyglądasz? – zapytała Amanda.

– Boże, nie wiem. – To było takie trudne. – Pewnie jestem wysoka. Szczupła. Ale nie przejmuję się swoim wyglądem. – Dobrze to brzmiało. – Nie używam odżywki do włosów ani nie smaruję twarzy kremami, i noszę te bezrękawniki khaki, w których dobrze się wygląda.

– Ale jesteś piękna?

– Och, czemu nie?

– Masz męża? W tym swoim idealnym życiu? Pustka w głowie.

– Tak. Nie. Tak. Kiedy miałam dwadzieścia jeden lat, mój pierwszy mąż się zastrzelił, a z drugim rozwiodłam się, gdy miałam dwadzieścia siedem lat. – Nagle w jej głowie pojawiało się coraz więcej pomysłów. Może w końcu zaczynała robić to, co należy. – Teraz w moim idealnym życiu mam trzydzieści pięć lat, to znaczy w prawdziwym życiu też, ale mówię o tym pierwszym. I jestem w trakcie rozwodu z trzecim mężem. Mam ognisty romans ze znacznie młodszym mężczyzną. – Chwila zastanowienia. – I ze znacznie starszym. – A czemu by nie? – Nie jakoś dużo starszym, tylko kilka lat. Pięć. Siedem. Tak, siedem.

Kolejna uwaga w notesie Amandy.

– Mów dalej.

– Jest tu zawsze gorąco i wilgotno. Czai się malaria, ale to dobra wymówka, by pić więcej ginu z powodu chininy w toniku. Mówię: „Nie strawiłabym tego cholernego toniku nierozcieńczonego. Zwymiotowałabym”. Moje przyjaciółki to Bitsy, Monty i Fenella i wszędzie, gdziekolwiek się udam, spotykam tych samych ludzi. Raz na jakiś czas latam własnym samolotem do Jo'burga, ale szybko rwę się z powrotem do buszu. – Rozkręcała się. W końcu była w swoim żywiole. – W buszu pijemy jak szaleni, a kolację podaje się nie prędzej niż o jedenastej w nocy, kiedy wszyscy są już zbyt pijani, by jeść. Nie interesuje nas jedzenie, ale przeraża nas to, że mógłby skończyć się gin. Obserwujemy niebo, zastanawiając się, kiedy zjawi się samolot dostawczy.

Amanda przestała notować. Siedziała jedynie i słuchała.

– Mój mąż bełkocze coś w rodzaju: „Moja piękna żona”. Chce, by brzmiało to ironicznie, ale jest we mnie w tak oczywisty sposób zakochany, że wypada to żałośnie. Mówię: „Zamknij się, Johnny, jesteś pijany”. Kiedyś był przystojny, ale teraz ma twarz opuchniętą od alkoholu. „Zimna jak lód” – bełkocze. „Zimna jak pieprzony lód”. Nikt, z wyjątkiem mojego młodszego faceta, nie jest mi w stanie dotrzymać kroku w picciu. – Marnie wzięła kolejny oddech, by kontynuować, dobrze się teraz bawiła – ale chwilę później już nie.

Amanda przyglądała się jej z dziwną miną, częściowo była to troska, częściowo coś jeszcze. Być może pogarda?

– No dobrze! – Amanda wyprostowała się i rzekła z udawaną pogodą: – Ciężka sprawa, Marnie. Spróbujmy z tym, co mamy. Mieszkałaś kiedyś na kontynencie afrykańskim?

– Nie.

– Potrafisz latać samolotem?

–Nie.

– A strzelać z broni?

– Nie. – Głos Marnie był zaledwie szeptem. – Ale posiadam bezrękawnik khaki. – Z lekcji jazdy konnej, na które krótko uczęszczała. – I mam samochód z napędem na cztery koła.

– Samochód? Jakżeby nie.

Amanda wpatrywała się w swój notes i do Marnie dotarło, że trwa to zbyt długo.

W końcu uniosła głowę i oświadczyła:

– Nie mogę ci pomóc.

Marnie zamarła. Szok odebrał jej zdolność mówienia.

Ona myśli, że jestem po prostu zepsuta, znudzona gospodynią domową.

Nie jestem gospodynią domową. Mam pracę. Ale słowa te pozostały nie wypowiedziane.

– Mogłabym wziąć od ciebie pieniądze, ale to by było nieetyczne. Nic sobie nie policzę za dzisiejszą sesję. Marnie płonęły policzki.

Nie chcę mieszkać w Afryce. Nie chcę być niegrzeczna dla innych. Powiedziałam to tylko dlatego, by cię zadowolić.

Ze spuszczoną głową założyła zakiet i podniosła torbę ogłuszona tym, co zaszło. Czy to możliwe, że Amanda Cook osądziła ją na podstawie jej domu w Wandsworth i – nieprawdziwych – śmiertelnie nudnych dążeń? Czy to możliwe, że Amanda Cook po prostu uznała, że jej nie lubi?

Nic, nic, nie będę nic czuć.

Marnie na odchodne skinęła głową Amandzie, która nadal siedziała władczo na fotelu, po czym wyszła i powstrzymała się przed zbiegnięciem ze schodów, by nie potknąć się z powodu drżących nóg.

Gdy wynurzyła się na świat zewnętrzny, a chłodny wieczorny wiatr zaczął ją smagać po rozpalonych policzkach, uświadomiła sobie, że na ścianach nie dostrzegła żadnych oprawionych w ramki dyplomów. Czy to możliwe, że Amanda Cook nie miała kwalifikacji zawodowych? Ale zamiast poczuć się lepiej – przynajmniej nie był to prawdziwy terapeuta, który ocenił ją i znalazł w niej tyle braków – poczuła się jeszcze gorzej. Oddała siebie i swoje zdrowie psychiczne w ręce kobiety, która możliwe, że była jednym z tych podejrzanych pseudoterapeutów, przed którymi ostrzegano Marnie.

Jakąż była idiotką! Jak mogła mieć o sobie aż tak niskie mniemanie, by nawet nie sprawdzić, czy ktoś posiada odpowiednie kwalifikacje?

Głęboko w niej skrywał się wstyd, ale szybki chód pomagał w tym, by nie wy dostał się on na powierzchnię. Słuchanie stukania obcasów o chodnik działało na nią uspokajająco. To oznaczało, że jej nogi się poruszały, mimo że kolana miała jak z waty.

Nick czekał na nią na korytarzu. Widać było, że jest wzburzony.

Nie spóźniła się. Nie zrobiła niczego złego. To musiała być...

– Premia? – wyszeptała bezgłośnie.

Jego mina powiedziała wszystko. Było to więc już oficjalne: w tym roku znowu nie ma premii. Kuuuuurwa.

Dzieci wyczuły wcześniej atmosferę nadciągającej katastrofy i schowały się w pokoju zabaw.

– Kiepski rok na giełdzie – przeprosił.

– Nikt cię za to nie wini.

Był zdruzgotany; zarabianie pieniędzy nadawało mu ważność.

– Coś wymyślimy – rzekła Marnie.

Później, kiedy położyła dziewczynki spać, znalazła Nicka w jego gabinecie, otoczonego segregatorami pełnymi wyciągów z konta i rachunków za karty kredytowe.

– Gdzie się to, kurwa, wszystko rozchodzi? – zapytał bezradnie. – Wszystko jest takie drogie.

Przede wszystkim hipoteka. Dom z pięcioma sypialniami kupili trzy lata temu, na krótko przed tym jak wszystko, czego się dotknął Nick, przestało zamieniać się w pieniądze. To Nick nalegał na kupno takiego dużego domu. Twierdził, że Marnie zasługuje na taki. Jej się podobało tam, gdzie akurat mieszkali, ale skoro tak bardzo nalegał, to się zgodziła. I uwierzyła mu, kiedy ją zapewnił, że stać ich na ten dom. A potem stopy procentowe podskoczyły o kilka punktów, co może nie wpłynęłoby znacznie na normalny kredyt, ale przy tak potężnym jak ich...

– Zapiszmy wszystko, na co wydajemy pieniądze i zobaczmy, bez czego możemy się obejść – zasugerowała. – Czesne – zaczęła. – Moglibyśmy przenieść dziewczynki do jakiejś tańszej szkoły.

– Nie. – Jęknął, jakby go coś rzeczywiście bolało. Nick dumny był z tego, że jego dzieci chodzą do prywatnej szkoły. – Potrzebna im stabilność, a poza tym Verity nie dałaby sobie rady w szkole państwowej. – W obecnej szkole były małe klasy z indywidualnym podejściem do uczniów. – Zostałaby zamęczona na śmierć. No a Melodie? Dalibyśmy sobie radę bez niej?

Melodie była ich nianią, sprawną Nowozelandką, która miała jakieś dwadzieścia innych posad.

– Pracuje u nas niezbędne minimum. – Marnie odwoziła dziewczynki do szkoły, a Melodie opiekowała się nimi od 14. 30 do 18. 15. – Jeśli ona odejdzie, to wtedy ja nie będę mogła pracować.

– Mogłabyś przejść na pół etatu? Pracować tylko rano?

– Nie. – Pytała już o to Guya. – To posada na pełny etat. Nick zapisał na kartce kilka równań, by się przekonać,

czy pensja Marnie jest wyższa od pensji Melodie i okazało się, że owszem, choć niewiele.

– Pani Stevenson? – zapytał. Ich pani do sprzątanania.

– Jestem matką pracującą na pełny etat. Ona jest fantastyczna. I kosztuje nas tylko pięćdziesiąt funtów tygodniowo.

– No dobrze, dobrze – mruknął. Stukał długopisem w notes. – Ale na czymś trzeba zaoszczędzić. – Omiótł ją spojrzeniem. – Strasznie dużo wydajesz na fryzjera.

Wpatrywała się w niego bez słowa. Potrzebowała fryzjera nawet bardziej niż pani Stevenson. Gotowa była zrezygnować z drogiego obcięcia, ale nie z farbowania. Oczami wyobraźni zobaczyła siebie z pięciocentymetrowymi, siwymi odrostami. Już nigdy więcej nie wyszłaby z domu. Wystarczająco dużym wyzwaniem było to dla niej teraz, mimo że miała idealnie zrobione pasemka.

– I te wszystkie... leczenia, którym się poddajesz. Medytacja i akupunktura i... jak się nazywa to, na czym byłaś dzisiaj? Kognitywne co?

– Doradztwo. Ale już tam nie wrócę. I na pozostałe też już nie chodzę. – Ponieważ żadne nie pomagało. – A może twój karnet na siłownię? – zasugerowała. – Może mógłbyś zamiast tego biegać po błoniach?

– Siłownia jest mi potrzebna – odparł z niezadowoleniem. – Cholernie jestem zestresowany. Poza tym mam już opłacony karnet do końca roku.

– Okej. – Przygotowała się na poruszenie drażliwego tematu. – Twój samochód...

– Mój... ? Zwariowałaś? Jeśli przyjadę do pracy fordem fiestą, to tak, jakbym napisał sobie na czole „nieudacznik”. Potrzebuję jaguara, by mnie szanowano.

– Nie sugeruję forda fiesty. Ale...

– A może twój? Porsche? Czemu ty nie przesiądziesz się do forda fiesty?

– Dobrze. Nie zależy mi na tym.

Porsche SUV było zbyt duże, spalało przerażającą ilość benzyny i banalnie kojarzyło się z bogatymi mamusiami z przedmieść.

Ale to zdawało się jeszcze bardziej irytować Nicka. Powinno jej na tym zależeć.

– Wakacje – rzekła. – Wydajemy na nie dużo pieniędzy.

– Ale potrzebujemy wakacji. To coś, co jest nam naprawdę potrzebne.

– Niczego tak naprawdę nie potrzebujemy.

Przyzwyczał się do wydawania tysiąca na garnitur; kupował trzy za jednym zamachem. Ona także się do tego przyzwyczała. Potrafiła wydać ponad siedemset funtów na torebkę – zaledwie coś, w czym nosiła swoje rzeczy – kiedy mogła równie dobrze kupić ją w Next za trzydzieści funtów.

Ale Nicka cieszyły jej ekstrawagancje: skoro jego żonę stać było na wydanie stu pięćdziesięciu funtów na fryzjera, oznaczało to, że odniósł sukces jako mężczyzna.

Upokarzało go proszenie o ograniczenia w ich stylu życia.

– Przynajmniej mamy siebie – powiedział. – Damy sobie radę.

Było to tak nieszczerze stwierdzenie, że Marnie nic nie odpowiedziała. Otworzył usta, by coś dodać, po czym zmienił zdanie.

Siedząc pośród segregatorów, które dokumentowały ich ekstrawaganckie próby kupienia sobie szczęścia, wyglądał na pokonanego; Marnie ogarnął bezbrzeżny smutek, tak ogromny, że aż jej zabrakło tchu.

– Przykro mi, Nick – wyszeptała. – Tak bardzo, bardzo mi przykro.

– Chcę być żoną na pokaz.

Były szesnaste urodziny Marnie – Grace oczywiście także – i rozmowa przy uroczystej kolacji zesłała na zastanawianie się, co w zanadrzu chowa dla nich przyszłość.

Grace oświadczyła, że jej ambicją jest dziennikarstwo; Leechy, która zawsze była obecna podczas rodzinnych uroczystości, powiedziała, że chce pracować w „zawodzie para–medycznym”.

– Może jako pielęgniarka.

– Lekarz – rzekła szybko mama. – Zapomnij o tym, by być w tym kraju pielęgniarką. Zarabiasz psie pieniądze, a musisz zaszuwać dniami i nocami.

Wtedy wszyscy popatrzyli na nią. Marnie, kim chcesz być, kiedy dorośniesz?

Nie miała pojęcia. Już się czuła dorosła – czasami nawet mocno znużona – i nie pałała do niczego jakimś szczególnym entuzjazmem. Jednego była pewna: bardzo by chciała mieć dzieci. Ale tutaj coś takiego nie uszłoby za karierę zawodową.

– No dalej, Marnie, kim chcesz być, kiedy będziesz dorosła?

– Chcę być szczęśliwa.

– Ale jaki chcesz wykonywać zawód? – zapytała Bid. Zakłopotana tym, że po raz kolejny pozostaje krok za resztą, już już miała powiedzieć, że chciałaby zostać stewardesą, po czym dotarło do niej, że jej ambicja, by być żoną na pokaz, jeszcze bardziej by ich zdenerwowała. Co nie znaczy, by miała

szansę zostać taką żoną; nie była wystarczająco wysoka. Tak jak w zawodzie policjantki i modelki, także w tym przypadku istniały wymagania, jeśli chodzi o minimalny wzrost.

– Żona! – Mama była zgorzonna. – Marnie Gildee, wychowałam cię, abys myślała w nieco inny sposób.

– Nie taką sobie zwykłą żoną – odparła nonszalancko Marnie. – Prawdziwą żoną na pokaz. – Powiedziała to, by zaszokować pozostałych, dlatego, że krępowała ją pewność Grace i Leechy. – Ty wyszłaś za mąż – rzekła oskarżycielskim tonem do mamy. – Jesteś żoną.

– Ale nie było to moją wyłączną ambicją. – Mama przez całe życie udzielała się w związkach zawodowych. Tak właśnie poznała swego męża.

– Nie jesteś nawet blondynką. – W głosie Bid słyhać było nagły jad. – Takie żony to zawsze blondynki.

– Mogę być blondynką, jeśli rzeczywiście będę musiała. Choć nie do końca miała pewność, czy to prawda. Jakiś

czas temu próbowała rozjaśnić sobie pasmo włosów i zrobiło się ono zielone. Ale nie miała zamiaru dać teraz za wygraną.

– Jaki sens w tym, bym miała plany kariery zawodowej? – zapytała Marnie. – We wszystkim jestem beznadziejna.

– Ty? Ty jesteś taka uzdolniona. – Mama podniosła głos.

– Mogłabyś zostać, kim tylko zechcesz. Jesteś znacznie bystrzejsza od Grace i Leechy, wybaczcie, dziewczynki, nazywam po prostu rzeczy po imieniu. Zaprzepaszczanie czegoś takiego powinno być karane.

– Ja? – Teraz Marnie była już prawie zagniewana. – Z kim ty mnie mylisz?

Ona i mama wpatrywały się w siebie gniewnie, po czym mama odwróciła wzrok; nie wierzyła w to, że matki i nastoletnie córki muszą drzeć ze sobą koty, twierdziła, że to mit rozpowszechniany przez opery mydlane.

– Pewność siebie – rzekła mama. – To jedyne, czego ci brakuje.

– We wszystkim jestem beznadziejna – powtórzyła stanowczo Marnie.

I udowodniła, że miała rację.

Do czasu, kiedy Grace opisywała dla „Timesa” okaleczone ciała, Marnie zdążyła skończyć na trójkach ekonomię i spełniły się jej przepowiednie odnośnie do znalezienia pracy: owszem, zapraszano ją na wiele rozmów kwalifikacyjnych, ale nie potrafiła nikogo przekonać, by ją zatrudnił.

Wtedy właśnie odkryła, że wcale nie kłamała, kiedy mówiła, że chce być żoną.

Bez męża czuła się mała i taka jakaś niedokończona. Chłopak by nie wystarczył, nawet taki na dłuższą metę. Chciała obrączki na palcu i innego nazwiska, ponieważ w pojedynkę nie była „kompletna”.

Poczucie wstydu było niemal równie destrukcyjne jak to pragnienie – była córką Olwen Gildee; wraz z mlekiem matki wyssała pewną dozę niezależności jako kobieta i kolidowało to nieco z jej pragnieniem poddania się.

Ale wyjście za mąż nie okazało się takie proste, jak przewidywała.

Istniały dwa typy mężczyzn: ci, którzy tak bardzo nie dorastali do pięt Paddy'emu i jego charyzmu, że nie mogła się przemóc, by pozwolić im się dotknąć, i ci Dobrzy Faceci. Z nimi z kolei powtarzała się sytuacja towarzysząca jej poszukiwaniu pracy. Na początku pełni byli entuzjazmu, ale kiedy tylko ich znajomość docierała do pewnego punktu, coś się zmieniało: widzieli w niej osobę, jaką była naprawdę, i zaczęli się wycofywać.

To była jej wina. Przeholowywała z alkoholem i zwierzała im się z tego, co siedziało w jej głowie: panicznego strachu przed światem i kondycji człowieczeństwa. Pewnego ranka obudziła się skacowana i przypomniała sobie, jak poprzedniego wieczoru powiedziała Duncanowi, niefrasobliwemu prawnikowi:

– Nie zastanawia cię nigdy, dlaczego stworzono nas z ograniczoną zdolnością przeżywania przyjemności, ale nieograniczoną zdolnością przeżywania bólu? Nasz pułap przyjemności jest niski, za to dolna granica bólu ciągnie się bez końca.

Próbował wysuwać różne argumenty – był bądź co bądź prawnikiem – ale jej przygnębienie go przerastało. W końcu rzekł, bliski paniki:

– Potrzebna ci pomoc. Mam nadzieję, że wszystko ci się ułoży.

Zapłacił za kolację, odwiózł ją do domu, ale już nigdy więcej nie zadzwonił.

W wieku dwudziestu pięciu lat mieszkała w Londynie i zdążył się już utrzczyć pewien schemat: odstraszała wszystkich Dobrych Facetów. Siebie także przerażała tym, że nie jest w stanie przestać.

Londyn charakteryzował się tym, że miał stałe dostawy nowych mężczyzn. Zwracanie na siebie ich uwagi nie sprawiało problemu – miała taką melancholijną urodę, która działała na mężczyzn – ale była mistrzynią samozniszczenia.

Ze współczuciem i irytacją Grace nazywała ją pilotem samobójcą.

Kiedy Marnie miała dwadzieścia siedem lat, przyzwyczała się do tego, że budzi się rankiem zbyt wcześnie, cała przerażona. Coraz bardziej się izolując, stała się sumą swoich odrzuceń. Zaczynała się poddawać.

Wtedy poznała Nicka. Był przystojny (choć niezbyt wysoki) niczym nieoszlifowany diament i chodził z kogucią pewnością siebie, co ją bawiło. Jego zawód wymagał stalowych nerwów; kochał dzieci; tryskał zaraźliwym optymizmem. Z całą pewnością był Dobrym Facetem. Zapragnął jej od chwili, gdy ją zobaczył. Rozpoznała ten wyraz twarzy, wystarczająco wiele razy go widziała, ale nie robiła sobie wielkich nadziei. Wiedziała, co się później zawsze dzieje. Pomimo obiecywania sobie, że tego nie zrobi, upiła się i stała dziwaczna. Dziwne natomiast było to, że Nicka to nie odstraszyło.

Kiedy mu powiedziała o strasznych rzeczach siedzących w jej głowie, roześmiał się, ale towarzyszyła temu czułość.

– Powiedz mi, dlaczego tak właśnie myślisz, kotku.

Nie do końca do niej dotarł, ale pełen był zapału. Intencje miał jasne: jego projektem było jej szczęście. Dotąd wszystko mu się udawało i nie miał zamiaru pozwolić, by teraz stało się inaczej.

Jeśli chodziło o nią, to Nick wydawał jej się niezwykły. Nie miał akademickiego wykształcenia, ale potrafił bacznie obserwować każdą sytuację – międzyludzką, polityczną – następnie błyskawicznie ją filetował i zostawały mu te najistotniejsze fakty. Otaczały go energia i swoista prężność i zawsze nieco wyprzedzał ducha czasu w kwestii wyboru wina, wyjazdów na wakacje czy fryzur...

Jeśli chodzi o jego cechy charakteru, to od opanowania ważniejsza była sentymentalność. Nick płakał, gdy krzywda działa się dzieciom i zwierzętom, i choć Marnie przekomarzała się z nim, że jest przesadnie uczuciowy, czuła ulgę. Oziębłość od razu by go zdyskwalifikowała.

– Dlaczego mnie kochasz? – zapytała go. – Nie dlatego, że pochodzę z klasy średniej, prawda? Proszę, nie mów mi, że uważasz, iż robisz dobry interes?

– Odpieprz się! – odparł. – A kogo to wszystko obchodzi? Kocham cię, bo jesteś kurdupłem. – Nick miał niecały metr siedemdziesiąt. – Jeśli chodzi o wzrost, to jesteśmy dla siebie stworzeni.

– Mówi na nas Niski i Niższa – powiedziała siostrze, gdy Grace zadzwoniła kontrolnie.

– Przewiska. Wszystko dobrze się układa.

– Tak – odparła Marnie, ale w jej głosie słychać było niepewność.

– Nieważne, dlaczego cię kocha. A ty dlaczego kochasz jego?

– Nie wiem, czy kocham. Podoba mi się, ja naprawdę... seks, no wiesz, jest boski, ale nie wiem, czy go kocham.

Zmieniło się to pewnego wieczoru, kiedy wracali z restauracji do miejsca, gdzie Nick zaparkował samochód. Usłyszeli odgłos rozbijanej szyby i wycie alarmu, po czym Nick wykrzyknął:

– To mój! – (Kiedyś oświadczył jej, że zawsze rozpozna alarm swojego auta, tak jak matka płacz dziecka.) Rzucił szybko okiem na ulicę, by zobaczyć, czy jest bezpiecznie. – Wzięłaś telefon, Marnie? Zaczekaj tu.

Po czym puścił się biegiem w kierunku trzech kolesi, którzy włamywali mu się do samochodu. Zobaczyli, że nadbiega i dali drapaką, ale ku zdumieniu Marnie, Nick pobiegł za nimi. Było ich trzech i rozdzielili się, ale Nick biegł za jednym z nich – tym największym. Obaj zniknęli w alejce prowadzącej na osiedle i kilka minut później zdyszany i rozczarowany Nick wrócił.

– Uciekł mi.

– Nick, to mogło być niebezpieczne... mogłeś...

– Wiem – wydyszał. – Przepraszam, kotku. Nie powinienem był cię tu samej zostawiać.

To było dla niej punktem zwrotnym: jego odwaga i pogoń za tym, co właściwe, sprawiły, że zakochała się w nim. Uwierzyła w niego. Pragnęła być jego.

Uznała, że pora zabrać go do Dublina, by wzięła go w obroty jej rodzina – i wizyta ta okazała się udana.

Oczarował mamę i tatę, mimo że wyznawali odmienne ideologie ekonomiczne. Zrędliva Bid (która gdzieś miała socjalizm) i Big Jim Larkin (pies przed Bingo) dosłownie go uwielbiali.

– Jak można go nie lubić? – zapytała Grace.

Nawet z Damiena dało się wyciągnąć stwierdzenie, że Nick to „przyzwoity gość”.

Nick bezustannie mówił, kupował wszystkim drinki i oświadczył, że zachwyciła go Irlandia.

– To koniec – rzekła Grace do Marnie. – Dni twojej wolności są policzone.

I tak się właśnie stało. Mężczyzna zobaczył nie tylko jej zwodniczą, ładną twarz, ale także mroczne wnętrze, i mimo to nie uciekł, gdzie pieprz rośnie – ale ona wciąż to musiała sprawdzać.

– Dlaczego mnie kochasz? – pytała Nicka raz za razem.

– Jesteś solą ziemi.

– Naprawdę?

– Tak! Nie znam drugiej osoby o tak dobrym sercu jak twoje. Płaczesz z powodu ludzi, których nawet nie znasz.

– To nie dobroć, to... nerwica.

– Dobroć – upierał się. – Jesteś także bystra. Poza tym masz świetne nogi, przyrządzasz pyszne curry, a kiedy nie beczysz nad kondycją świata, można się z tobą dobrze bawić. Dlatego właśnie cię kocham.

– Już więcej nie zapytam – przeprosiła.

– Pytaj tyle razy, ile tylko chcesz, słonko, odpowiedź zawsze będzie taka sama. Zadowolona?

– Tak.

– Nie. Prawie.

Marnie starała się zaakceptować fakt, że w końcu dostała to, czego pragnęła. Ale nie mogła pozbyć się strachu, że tkwi w tym jakiś haczyk.

We wszystkim przecież tkwił.

Piątek. Wen–Yi krążył wokół jej biurka.

– Marnie – wysyczał, gdy tylko ją zobaczył. – Pan Lee? Wczoraj powinien otrzymać ten formularz. Jedyne, co musiał zrobić, to go podpisać i odesłać.

– Nie było jeszcze poczty. Jak tylko przyjdzie listonosz, to dam ci znać.

– Pan Lee to potężny człowiek – rzekł Wen–Yi. – Nie byłby zadowolony, gdyby ta sprzedaż nie doszła do skutku.

Nie znosiła, kiedy mówił takie rzeczy. Robiło jej się wtedy niedobrze ze strachu.

– Właśnie przyniesiono pocztę – odezwał się Guy. – Przekonajmy się.

Zabrała się za otwieranie kopert, usilnie się starając, by na jej twarzy malowało się autentyczne oczekiwanie, iż każda może zawierać odesłany formularz pana Lee. Mniej więcej w połowie zaczęła wierzyć, że rzeczywiście może tak się stać.

Tak mocno była o tym przekonana, że po otwarciu wszystkiego odczuwała prawdziwą konsternację.

– To dziwne – rzekła. – Nie ma go.

– Dlaczego? Dlaczego nie ma? – Wen–Yi z wściekłością uderzył zszywaczem w biurko. – Gdzie jest?

Nie mogła się powstrzymać, by nie zerkać na swoją torbę. Częściowo się spodziewała, że zacznie pulsować i świecić.

– Musiał zaginać na poczcie.

Wcześniej próbowała już takiej wymówki, ale Guy jej oświadczył, że dzieje się tak tylko raz na dziesięć milionów listów. Wymówka ta była równie przekonująca jak stwierdzenie, że pies zjadł ci pracę domową.

Poirytowany i sfrustrowany Wen–Yi polecił jej:

– Zadzwoń do niego. Dowiedz się, co się dzieje.

– Dobrze.

Ale jaki byłby tego sens? Zamiast tego zadzwoniła na swoją komórkę i zostawiła wiadomość, prosząc pana Lee o jak najszybsze oddzwonienie.

Następnie napisała sobie na kartce jego adres i oświadczyła:

– Wychodzę na chwilę. – Starła się, by brzmiało to pogodnie. – Muszę iść do apteki.

Guy bacznie ją obserwował, gdy wychodziła, ale nic nie powiedział.

Pobiegła do Rymans i tym razem udało jej się kupić kopertę i znaczek. Pan Lee otrzyma ten formularz w poniedziałek, natychmiast go podpisze i Wen–Yi będzie go miał na biurku we wtorek.

Och, ileż z tym wszystkim komplikacji.

– Lunch? – zapytał Rico. – Pomożesz mi świętować?

Zamarła, ogarnięta przerażeniem i pragnieniem.

– Ładny dziś dzień – rzekł. – Może pójdziemy do parku?

Odpreżyła się i zaczęła znowu oddychać. Tak, mogłaby się z nim wybrać do parku.

– Musiałabym opuścić zajęcia pilates – powiedziała.

Zapłaciła z góry za dziesięć zajęć, ale nie chodziła już od trzech tygodni. Wcześniej miała nadzieję, tak jak w przypadku wszystkiego, czego próbowała, że pilates jej pomoże, ale jedynym wpływem tych zajęć było to, że – dziwna sprawa – chciało jej się palić. W przeciwieństwie do reszty rodziny paliła naprawdę sporadycznie, ale w ćwiczeniach pilates było coś takiego, że miała ochotę zedrzeć folię z paczki papierosów i wypalić całą, jednego papierosa za drugim, aż minie ta przerażająca nuda.

– Jeśli wolisz na nie pójść... – Wyglądał na rozczarowanego.

– Nie. Pilates ma mocno spowolnione podejście do fitnessu. Cieszę się, że mam wymówkę. Co świętujemy tym razem?

– Sprzedaż biurowca.

– Małego! – zawołał Craig. Niemniej jednak biurowca.

Rico, czaruś nad czarusie, najmłodszy i najprzystojniejszy z pośredników Guya, miał niezwykły rok, zdobywając prowizję za prowizją.

Było słonecznie i ciepło, jak na dziesiąty października. Usiedli na ławce, a ich stopy skąpane były w suchych liściach, rdzawych i purpurowych.

– Jesień to moja ulubiona pora roku. – Rico podał jej kanapkę.

– Mmm. – Ona nie znosiła jesieni.

Jesień gniła. Wszędzie dokoła śmierć i stan rozkładu. Licho wie, co skrywało się pod tymi liśćmi.

Ale nie znosiła także lata. Było zbyt krzykliwie wesołe i histeryczne.

– Jaka jest twoja ulubiona pora roku? – zapytał.

– Wiosna – skłamała. Wiosny także nienawidziła. Działała jej na nerwy. Cała ta świeżość i nadzieja, które i tak nie były nic warte. Gdyby wiosna była człowiekiem, to z pewnością Pollyanną.

Zima to jedyna pora roku, która miała dla niej sens. Ale zachowywała to dla siebie. Jeśli głosiło się publicznie, że twoja ulubiona pora to zima, było się zobowiązaniem do rozplływania się nad bałwanami i ajerkoniakiem, by nikt nie odkrył, jaki z ciebie dziwak.

– Szampana, proszę pani? – W rękach Rico nie wiadomo skąd znalazły się butelka i dwa wąskie, wysokie kieliszki.

Zawładnęło ją przerażenie. Nie była na to przygotowana. Chwilę trwało, nim odzyskała zdolność mówienia.

– Nie, Rico, nie. Odłóż to. Mam kupę roboty. Nie mogę.

– Myślałem, że lubisz szampana. – Był już w trakcie usuwania folii.

– Lubię, oczywiście, ale nie, Rico, proszę. Przestań. Nie otwieraj go.

– Nie chcesz mi pomóc świętować? – Miał minę niewiniątka.

– Oczywiście, że chcę, ale nie w czasie przerwy na lunch.

– Po pracy?

– Nie dzisiaj.

– Nie dzisiaj. Okej. Zostawię to na inny raz. – Nie okazując urazy, schował butelkę i kieliszki do reklamówki.

– Gniewasz się na mnie? – zapytała.

– Nie umiałbym się na ciebie gniewać.

Zbyt szybka i gładka odpowiedź, ale nie miała dziś siły, by się w to zagłębiać. Teraz żałowała, że nie pozwoliła mu otworzyć tej butelki.

– Jakies plany na weekend? – Rico odwrócił się w jej stronę, skupiając na niej całą swoją uwagę.

– To co zwykle. Wożenie dziewczynek na ich różne zajęcia pozalekcyjne. W niedzielę pójdziemy pewnie do kina.

– Na co?

– Jakiś film Pixara. Wiesz, dosłownie nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam na filmie, który nie byłby przeznaczony dla dzieci. A co ty będziesz robił?

– Po pracy kilka drinków. Jutro wieczorem kolacja.

– Z dziewczyną?

Kiwnął głową i popatrzył na park, uciekając przed jej wzrokiem.

Przeszyła ją strzała czegoś bolesnego. Zazdrość? Nie na tyle groźnego, by utkwić w jej ciele, ale dobrze się z tym poczuła. Normalna reakcja dawała jej nadzieję..

– Zazdrosna? – zapytał.

– Troszkę.

– Niepotrzebnie. Nie jest tak dobra jak ty. Żadna nie jest.

Nie wzbudzaj we mnie jeszcze większych wyrzutów sumienia.

– Ale dopóki nie będziesz dostępna...

Rico ujął jej dłoń i zaczął bawić się palcami. Pozwalała mu na to przez chwilę, po czym ją zabrała.

W multipleksie wszędzie kłębiły się tłumy dzieciaków. W powietrzu unosił się zapach zjełczałego masła. Jestem tu jedyną żywą osobą, pomyślała Marnie. Wszyscy inni są martwi, ale o tym nie wiedzą. Ja jestem żywa, sama i uwięziona. Przez chwilę w to wierzyła i ogarnęło ją przerażenie, które było nieomal przyjemne.

Daisy i jej przyjaciółka Genevieve przybiegły do niej, używając jej nóg jako bariery bezpieczeństwa.

– Dostałyśmy słodycze!

Kolumnę zamykali Verity i Nick. Pozwolił im na stanowczo zbyt wiele podczas wybierania przekąsek, ale nie chciało jej się go za to gromić. A niech próchnieją im zęby. Pewnego dnia wszyscy będziemy martwi i nie będzie miało znaczenia to, czy każdy jeden ząb to czarny kikut.

Wtedy Marnie zobaczyła tę kobietę: wysoką, szczupłą i uśmiechniętą, z kasztanowymi włosami spiętymi w kucyk. Na początku nie wiedziała, skąd ją zna. Kiedy sobie przypomniała, wokół jej serca niczym pięść zacisnął się strach.

Nie zobacz mnie nie zobacz mnie nie zobacz mnie.

Kobieta – jak ona miała na imię? Jules, tak – zauważyła ją i zaczęła iść w jej kierunku. Właśnie miała się przywitać, być może nawet zatrzymać, kiedy przy boku Marnie zobaczyła Nicka. Opuściła wzrok i minęła ich z bladym uśmiechem.

Nick to oczywiście zauważył. On wszystko zauważał. On zawsze zachowywał czujność.

– Znasz ją?

– Nie...

To w niej wzbierało. Marnie to czuła. Nick to czuł. I oboje wiedzieli, że niedługo do tego dojdzie.

– Dość tego! – oświadczył ze wzburzeniem Wen-Yi, kiedy w poniedziałkowej korespondencji nie pojawił się podpisany formularz pana Lee.

– Wyślij jeszcze jeden, natychmiast! Kurierem. Niech kurier zaczeka, aż on podpisze, a potem niech zawiezie to bezpośrednio do banku. – W weekend rozmawiał ze sprzedającymi. – Jeśli nie zamkniemy tej sprzedaży dzisiaj, stracimy ją.

Co oznaczało, że straci swój jeden procent – dużo pieniędzy – ale znacznie gorsze było to, czego się można było domyślić z insynuacji Wena–Yi, a mianowicie, że pan Lee będzie „niezadowolony”.

Marnie z mocno bijącym sercem podniosła słuchawkę. Wszystko będzie dobrze. Aby się dowiedzieć, gdzie wysłać kuriera, zadzwoniła na komórkę pana Lee; odebrała jakaś kobieta.

Z chińskim akcentem rzekła:

– Pana Lee nie ma. On w Chinach. Wraca przyszły miesiąc.

Boże, nie.

Wezbrała w niej panika. W ustach czuła lepkość i gorycz.

– Kiedy pojechał?

– Zeszły tydzień.

– Ja... ja oddzwonię do pani.

Podeszła do biurka Wena–Yi i powiedziała cicho:

– Pan Lee jest w Chinach. Wróci dopiero w przyszłym miesiącu.

Wen–Yi nie należał do tych, co lubią krzyczeć. Wściekłość wyrażał w cichy, napawający strachem sposób. Teraz też jego głos nie był wiele głośniejszy od szeptu.

– Dlaczego nie powiedział, że jedzie do Chin, kiedy z nim rozmawiałaś?

– Nie wiem.

– Rozmawiałaś z nim?

– Tak. – Słowo to samo wydostało się z jej ust. Wpatrywał się w nią gniewnie; wiedział, że kłamie.

– Nie rozmawiałaś z nim. Nie zadzwoniłaś do niego.

– Zadzwoniłam. – Ale jej głos był słaby i nieprzekonujący.

Spojrzał na nią ze wstrętem.

–Jeśli stracimy tę nieruchomość, pan Lee... – Otarł ręką czoło i zastanawiał się przez chwilę. – Wyślij formularz kurierem do Chin.

– Tak jest – odparła Marnie. Karykatura efektywności. Otrzymała kolejne pogardliwe spojrzenie.

Ledwie będąc w stanie oddychać, ponownie zadzwoniła na komórkę i zapytała kobietę, która ją odebrała:

– Czy mogłaby mi pani podać adres pana Lee w Chinach?

– W Szanghaj. Nie ma adres. Numer telefonu.

– Czy mogłaby mi go pani podać w takim razie?

Zapisała go drżącą ręką, po czym sięgnęła po książkę telefoniczną, by poszukać numeru kierunkowego do Chin. Która godzina była teraz w Szanghaju?

– Mam to gdzieś, jak bardzo jest tam późno czy wcześnie. – Wen–Yi czytał w jej myślach. – Dzwon do niego.

Tak bardzo trzęsły jej się dłonie, że dopiero za piątym razem udało jej się wybrać prawidłowy numer. Po wielu kliknięciach i sykach telefon na odległym kontynencie w końcu zaczął dzwonić.

Odbierz go odbierz go odbierz go.

Odebrała mówiąca w obcym języku kobieta. Głos Marnie był piskliwy i drżący, a język przyklejał się do suchego podniebienia, gdy próbowała wyjaśnić, o co jej chodzi.

– Muszę coś wysłać panu Lee. Zna pani pana Lee? Proszę znaj go proszę znaj go proszę znaj go.

– Tak, znam pana Lee. – Słowa kobiety odbijały się niczym gumki recepturki. – Podam pani adres.

Dzięki ci Boże dzięki ci Boże dzięki ci Boże.

Ale akcent tej kobiety trudno było zrozumieć i coś się zapodziało podczas tłumaczenia, ponieważ w UPS nie znano przedmieść Szanghaju, gdzie rzekomo przebywał pan Lee.

– Nie ma takiego miejsca – oświadczyła pogodna Australijka. – Bez adresu nic nie da się zrobić.

– Nie brzmi to podobnie do jakiejś innej dzielnicy?

– Ani trochę.

Oddzwoń do niej oddzwoń do niej oddzwoń do niej. Nie mogę nie mogę nie mogę.

Walczyła z neodpartą chęcią wstania od biurka, porzucenia biura i wyjścia na ulicę i tego, by iść i iść i iść, aż daleko za sobą zostawi Londyn, aż znajdzie się na twardym poboczu autostrady, samochody będą ją mijać z rykiem, a ona będzie szła i szła i szła już zawsze. Podeszwy jej butów się zedną, ze spodniemu zostaną brudne strzępy, stopy będą przypominać tatar, a ona wciąż będzie szła.

– Zadzwoń do niej jeszcze raz – polecił Wen–Yi, ziejąc nienawiścią.

– Dobrze – wyszeptwała.

Tym razem kobieta właściwie przeliterowała adres. Marnie przyglądała się sobie, jak przygotowuje przesyłkę i czekała razem z sobą przy drzwiach, aż zjawił się kurier z UPS, by osobiście mu wręczyć kopertę.

Jej nienawiść do samej siebie była tak ogromna, że Marnie wyszła ze swego ciała. W końcu będzie musiała wrócić, by wypić piwo, które nawarzyła, ale na chwilę obecną przebywała w nicości.

– Marnie? Drink?

Rico stał przed nią, taki przystojny, taki życzliwy, taki przekonujący. Jej jedyny sojusznik. Istniało tak wiele powodów, by odmówić, znała je wszystkie,

ale ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że wtrąciła się ta stanowcza część jej mózgu i poinformowała ją, że się zgodzi.

Po tym strasznym dniu, po serii następujących po sobie strasznych dni, zniknął strach i powściągliwość, podjęta zaś została decyzja. Przetrwiała tygodnie zaciskania szczęki i koniec tego – tak nieoczekiwany – był niesamowicie przyjemny. Nagle poczuła się cudownie, radośnie lekka i wolna.

Była Marnie Hunter i przed nikim nie odpowiadała.

– Zadzwoń tylko do niani – rzekła do Rico. – Jeśli będzie mogła zostać z dziewczynkami, to droga wolna.

Nawet gdyby Melodie nie mogła zostać, i tak miała zamiar iść na tego drinka. Nie wiedziała jak, ale miała pewność, że do tego dojdzie.

– Melodie, z tej strony Marnie. Strasznie mi przykro, ale trochę się dziś spóźnię. Kryzys w pracy. – Zobaczyła, że Rico się uśmiecha.

W głosie Melodie słychać było niepokój.

– Pani H., o szóstej piętnaście muszę stąd wychodzić.

– Zapłacę ci dodatkowo.

Wtedy Marnie dostrzegła Guya. Słuchał jej z drugiego końca biura, emanując dezaprobatą.

Pieprzyć go. Szła na drinka ze swoim kolegą z pracy. Wszyscy tak robili. To było coś najzupełniej normalnego. Miała ochotę zakryć słuchawkę dłonią i zawołać do niego: To NORMALNE.

– Pani H., to nie chodzi o pieniądze – odparła Melodie. – Muszę lecieć do mojej drugiej pracy.

– Będę w domu przed szóstą piętnaście. Na litość boską. – Nie potrafiła ukryć swego zniecierpliwienia. – To tylko szybki drink.

– Szybki drink? Mówiła pani, że kryzys w pracy. Pan H. wie?

Pieprzyć pana H. Rozłączyła się i uśmiechnęła do Rico.

– Idziemy!

.....*nie*.....

.....*podnosić ciężary*.....

.....*nie*.....

.....*stawać się lżejszym*.....

.....*i unosić miarowo, by wydostać się na powierzchnię*.

Nagle tam była. Wcześniej nie była, ale teraz tak. Przeniosła się ze stanu nieistnienia do istnienia, z niczego do czegoś. Jakby się narodziła.

Gdzie? Gdzie narodziła się tym razem?

Coś jakby sufit, ściany. Prawdopodobnie znajdowała się w jakimś domu. Pod nią miękkość. Leżała na łóżku. Ale nie знаła tego pokoju.

W oknie zasłony. Próbowwała się skupić, ale widziała je podwójnie. Unosiły się, płynęły, krzyżowały i zamazywały. Za chwilę znowu spróbuje.

Bolały ją zęby, bolała ją zuchwa, czuła pulsowanie w gałkach ocznych. Czaiły się mdłości, czekając na jakiś jej ruch.

Teraz już poznawała to łóżko. Jej własne łóżko. Lepsze niż łóżko kogoś nieznanego? Łóżko szpitalne? Może nie.

Była ubrana, ale w co? Dotknęła palcami brzucha. Sprawdziła na plecach. Chłodna, gładka bawełna. Koszula nocna.

Teraz sprawdzanie, jak duże są szkody. Najpierw twarz. Ale ręka pozostawała poza jej kontrolą, poruszyła się zbyt szybko i z głuchym plaśnięciem wylądowała na jej policzku. Ból. Szok. Wymiociny w gardle.

Kości twarzy miała obolałe, ale całe. Ostrożnie przejechała językiem po wnętrzu ust i kiedy jeden z zębów się zachybotał, poczuła pierwszą falę

prawdziwego przerażenia. Inne części ciała da się naprawić, ale jeśli straci się ząb, już nigdy się go nie odzyska. Trwałe uszkodzenie.

Sprawdźmy niżej. Żebra kiepsko. Miednica kiepsko. Kręgi w porządku. Tym razem obrażenia tylko z przodu. Sprawdziła nogi – podeszwą stopy badała drugą nogę. Przez całą ich długość, na obu nogach, znajdowały się bolesne miejsca, które rozwiną się w okrągłe, czarne pąki.

Na końcu potarła stopy. Nawet one były posiniaczone. Od czubka głowy aż do stóp... Kolejna fala wielkiego przerażenia. Przyjdzie jeszcze więcej, odstępów staną się coraz krótsze, aż w końcu zleje się to w jeden ciąg, a ona zawiśnie w niekończącym się przerażeniu, marząc o unicestwieniu.

Żywi zazdrościć będą umarłym. To cytat z Biblii, jedyny, który w ogóle ją poruszył.

Jak do tego doszło tym razem? Nie pamiętała. Jeszcze nie. Może nigdy sobie nie przypomni. Gdzie dzieci? Panika. Gdzie są dzieci?

– Nick. – Jej słaby głos ją zaskoczył. Nie pasował do jej zaniepokojenia.

– Nick. – Ostatnia osoba, jaką pragnęła widzieć, ale nie miała wyboru.

Cień w drzwiach. Nick. Stał i przyglądał się w milczeniu.

– Gdzie dzieci? – zapytała. – Nic im nie jest?

– Są u mojej mamy. Nie chciałem, by oglądały cię w takim stanie.

– Przepraszam – wyszeptała.

Jeśli powiesz o tym komukolwiek – rzekł – to cię zabiję. Okej? Okej? – zapytał, tym razem głośniej.

Ścierała krew z twarzy, zaskoczona jej ilością i czerwienią.

– Okej.

ALICIA

Podeszła bliżej lustra, by sprawdzić, czy wszystko jest idealnie. O, nie. Ostatnie pół godziny spędziła na nakładaniu makijażu tak starannego, jak chyba jeszcze nigdy, a teraz proszę: płatki skóry zaczęły odstawać w zagłębieniach wokół nosa, niczym popekana ziemia w miejscu dotkniętym suszą. Grace Gildee na pewno to zauważy. Alicia delikatnie usunęła paznokciem odstające skórki. Tyle że teraz wokół dziurek widniały czerwone kręgi. Sięgnęła po gąbeczkę i ponownie nałożyła podkład na te miejsca. I znowu skórki.

Kurwa.

Kurwa mać.

Była roztrzęsiona. Udzieliła wielu wywiadów, odkąd prasa dowiedziała się o niej i Paddym, ale nigdy nie denerwowała się aż tak.

Co nie znaczy, by istniał ku temu powód. To była jej chwila triumfu, jej prywatny moment w stylu *Pretty Woman*, kiedy mogła mówić: „Ha!” wszystkim tym, którzy w przeszłości byli dla niej paskudni.

Była kobietą, która odpowiednio długo czekała i w końcu otrzymała wszystko, czego pragnęła: Grace Gildee musiała przeprowadzić z nią wywiad, ponieważ ona, tak, ona, Alicia Thornton, brała ślub z Paddym de Courcy.

Nie musiała się więc denerwować. To Grace Gildee powinna być tą, która dygocze w tych swoich martensach (czy jakichś innych ciężkich buciorach, jakie nosi obecnie).

Nałożyła jeszcze jedną warstwę szminki, po czym wsunęła palec w usta i mocno zassała. Przydatna sztuczka, by uniknąć szminki na zębach.

Ale zaraz zerknęła niespokojnie w lustro: czy wyszała zbyt dużo? Zachowanie równowagi było trudną sztuką – szminka zbyt oczywista, wyglądało się na zdesperowaną; szminka zbyt dyskretna, wyglądało się żałośnie skromnie.

Postanowiła dołożyć jeszcze jedną warstwę, ponieważ ostatnie czego pragnęła, to wyglądać żałośnie skromnie. Nie przy Grace Gildee. Pragnęła wyglądać... jak? Wyrafinowanie, pewnie, elegancko. Nigdy nie będzie piękna, już dawno temu zaakceptowała ten fakt. I bardzo dobrze, ponieważ na każdą przymilną wzmiankę w prasie na temat jej., werwy" przypadało kpiące nawiązanie do pociągłych rysów twarzy. Pierwsza i najbardziej bolesna uwaga brzmiała: „Wio do ołtarza!”. Była zdruzgotana – i mocno skonsternowana – wrogością, z jaką niektóre artykuły w gazetach przyjęły jej zaręczyny. Jedna sugerowała nawet, że związała się z Paddym tylko dlatego, iż jest karierowiczką. Co uważała za szalone. Paddy był piękny. Kochałaby go nawet, gdyby był lalkarzem czy osobą, która siedzi przy przenośniku taśmowym i wyszukuje M&M's-y o nieregularnych kształtach.

- Możemy ich pozwać? – zapytała go wtedy ze łzami w oczach.
- Nie możemy. – Paddy był rozdrażniony. – Przyzwyczaj się do tego.
- To sądzisz, że może być więcej takich artykułów?
- Jasne.
- Ale dlaczego?

Wcześniej spodziewała się, że zdobędzie serce mediów, jako że wychodziła za Paddy'ego. Przecież wszyscy uwielbiali go tak bardzo jak ona, no nie?

- Uwielbiają – przyznał otwarcie. –I zazdroszczą ci. Zazdroszczą!

Gdy dotarło to do niej, wszystko uległo zmianie. Nie sądziła, by w jej dotychczasowym życiu ktoś jej czegoś zazdrościł; raczej nie wywoływała tego typu reakcji. Ale teraz... cóż... zazdroścą...

Czasami, kiedy rano się ubierała, przeglądała się w wielkim lustrze i szeptała:

– Ja sobie zazdroścę, ty mi zazdrościsz, on, ona, ono mi zazdrości. My zazdrościmy mi, wy mi zazdrościcie, oni, one mi zazdroścą.

Usunęła chusteczką nadmiar szminki i zerknęła na zegarek. Która to godzina?

Pięć po jedenastej. Prawdę powiedziawszy to sześć. Grace była sześć minut spóźniona.

Alice udała się do kuchni, otworzyła lodówkę i sprawdziła, czy wino nadal się w niej chłodzi. Tak. Wyjrzała przez okno; tak, trawnik nadal tam był, jedno piętro niżej. Ale ani śladu Grace.

Kolejne zerknięcie na zegarek. Osiem minut spóźnienia.

Co powinna uczynić? Nie było przy niej Sidneya Brolly'ego, rzecznika prasowego Nowej Irlandii; podczas tego akurat wywiadu pragnęła prywatności. Ale gdyby tu był, dzwoniłby już na komórkę Grace, obsztorcowując ją i dowiadując się, dlaczego jest spóźniona.

A może Grace w ogóle nie zamierzała się zjawić? W końcu z nią nigdy nic nie wiadomo...

Chryste Wszechmogący! Dzwonek! Nerwy Alicii napięte były jak postronki. Ten dzwonek jeszcze nigdy nie brzmiał tak ostro. Co, na litość boską, Grace mu takiego zrobiła?

Alicia nacisnęła przycisk otwierający bramę, a kilka chwil później usłyszała kroki na wspólnym korytarzu.

Jeszcze jedno spojrzenie w lustro – te cholerne skórki nadal tam były – po czym otworzyła drzwi.

O mój Boże. Grace nic się nie zmieniła. Krótkie włosy, wyzywające spojrzenie; miała na sobie dżinsy i kurtkę khaki, jedne z najbrzydszych ubrań, jakie dane jej było oglądać.

– Grace! Cudownie cię widzieć. – Nachyliła się do powitalnego pocałunku, ale Grace odwróciła głowę i jej umknęła. – Wejdz, proszę! Pozwól, że powieszę ci kurtkę.

– Dzień dobry, pani Thornton. Pani Thornton?

– Pani Thornton? Grace! To ja! Mów do mnie Alicia!

– Alicia.

Cień wątpliwości.

– Grace, wiesz przecież, kim jestem?

– Alicią Thornton.

– Ale pamiętasz mnie, prawda?

– Zaczynamy – odparła zwięźle Grace. – Gdzie chcesz to zrobić?

– Tutaj... – Alicia, z której zdążyło ujść sporo powietrza, zaprowadziła ją do salonu. To oczywiste, że Grace ją pamiętała: zachowywałaby się o wiele, wiele milej, gdyby było inaczej.

– Ładne mieszkanie – stwierdziła Grace.

– Cóż, tak naprawdę to nie mogę sobie przypisać za to zasług...

– ... ponieważ jest Paddy'ego, tak? Kiedy się wprowadziłaś?

– Nie wprowadziłam się – odparła szybko. – Nadal mam własne mieszkanie.

Prawda była taka, że już od kilku miesięcy nie spędziła u siebie ani jednej nocy, ale Paddy powiedział, że muszą udawać. Twierdził, że irlandzki elektorat

to nieprzewidywalna bestia: w jednej chwili liberalny, że hej, w następnej zionie gniewem i oburzeniem w stosunku do ludzi „żyjących w grzechu”. Prawdę powiedziawszy, to Paddy próbował się upierać, by rzeczywiście aż do ślubu mieszkali osobno, ale to była jedyna kwestia, co do której Alicia postawiła na swoim. Tak długo na niego czekała, tak bardzo go kochała, że nie potrafiła nie być z nim.

– Dlaczego więc nie przeprowadzamy tego wywiadu u ciebie? – zapytała Grace.

– Ponieważ... ach...

Tak naprawdę to popisywała się przed Grace: patrz, widzisz mnie, oto jestem zaręczona z Paddym de Courcy i mieszkam z nim. Ale kto przy zdrowych zmysłach by się do tego przyznał? Przez krótką, szaloną chwilę w jej głowie rozbrzmiewały słowa: pęknięta rura. Tak. Pęknięta rura, zalane mieszkanie, zniszczone dywany, pół metra wody, kalosze, gipsowanie sufitów... Nie. Kłamstwa odpadały; nic dobrego by z nich nie wyszło – Grace i tak by się wszystkiego dowiedziała.

Mogła jedynie zignorować to pytanie.

– Masz ochotę na herbatę, Grace? Kawę? Kieliszek wina?

– Nie, dziękuję.

– Nie chcesz nawet kieliszka wina? – Po czym dodała śmiało: – W końcu to swego rodzaju spotkanie po latach.

– Nie, dziękuję.

– Popielniczkę? Nadal palisz?

– Nie palę. Zaczynamy. – Grace włączyła dyktafon. – Gdzie spędziłaś dzieciństwo?

– Dun Laoghaire.

– Gdzie chodziłaś do szkoły?

– Ale Grace, ty wiesz to wszystko.

– Muszę ustalić niezbędne fakty. Byłabym wdzięczna, gdybyś po prostu odpowiadała na moje pytania.

– Nie jestem oskarżona o zabójstwo. – Alicia starała się, by zabrzmiało to lekko. – To wszystko jest takie formalne.

– Tak właśnie pracuję. Poprosiłaś konkretnie o mnie. Jeśli to ci nie odpowiada, w „Spokesmanie” jest wielu innych dziennikarzy.

– Ale ja myślałam... że skoro się znamy, to te wszystkie formalności nie będą potrzebne. – Oczywiście, że nie taki był powód, dla którego upierała się przy Grace, ale co tam.

– My się nie znamy. – Grace była szczerą.

– Ależ znamy...

– Może i kiedyś się znałyśmy, ale to było dawno, dawno temu i teraz nie ma to już żadnego znaczenia.

Alicia zaszokowana była tą krótką przemową. No i proszę, oto wrogość ze strony Grace, nawet nieskrywana. Nie tego oczekiwała po dzisiejszym dniu.

Żywiła przekonanie, że Grace będzie się zachowywać przyjacielsko, pojednawczo, być może nawet pokornie, zobowiązana okolicznościami do tego, by ją traktować jak równą sobie. Właściwie to nawet sobie nieśmiało fantazjowała, że ona i Grace mogłyby pośmiać się razem z tego, jak się wszystko poukładało.

Ale błędnie oceniła tę sytuację.

Przyprawiający o zawroty głowy niepokój, który dręczył Alicię przez cały ranek, teraz zniknął. Czuła się odrzucona, rozczarowana i – co mocno ją zaalarmowało – lekko przestraszona.

- No to miejmy to już za sobą – powiedziała Grace. Zerknęła do swoich notatek. – Więc jesteś... wdową? – zapytała niemal tak, jakby w to wątpiła.
- ... Tak.
- Na co umarł twój mąż? – Pytanie zostało postawione bez ogródek, bez ani odrobiny współczucia, jakie cechowało w tej kwestii innych dziennikarzy.
- Zawał.
- Był stary?
- Nie. Pięćdziesiąt osiem lat.
- Pięćdziesiąt osiem. No to stary. W porównaniu z tobą. Czym się zajmował zawodowo?
- Wcale nie stary.
- Czym się zajmował zawodowo?
- Był prawnikiem.
- To tak jak Paddy. Z pewnością nie brakowało mu grosza. Zostawił ci sporą sumkę...
- Słuchaj, on nie był stary, a ja miałam swoją pracę i nigdy nie byłam od niego zależna finansowo. – Nie miała zamiaru pozwolić Grace Gildee sugerować, że ona to Anna Nicole Smith. W tym wszystkim chodziło o zupełnie co innego. Tyle że rzeczywistość była prawdopodobnie jeszcze bardziej interesująca...
- Jak długo byliście małżeństwem?
- Osiem lat.
- Osiem lat? Długo. Musiało być ci ciężko po jego śmierci.
- Tak, było... ciężko. – Alicia patrzyła przed siebie ze smutną miną, jaką Sidney kazał jej robić za każdym razem, gdy w wywiadach pojawiał się temat zmarłego męża.

– A dziesięć miesięcy później jesteś zaręczona z Paddym de Courcy. Chryste, Alicia, musiałaś być zdruzgotana.

– Wcale tak nie było! Znam Paddy'ego od wielu lat, sama to wiesz, Grace, i on pocieszał mnie po śmierci mojego męża. Ta przyjaźń przerodziła się w miłość.

– Przerodziła się w miłość – powtórzyła Grace z drwiącym uśmiechem.

– No dobrze. Jesteś więc kobietą, która w końcu chwyciła nieuchwytnego Paddy'ego za pysk? Co w związku z tym jest w tobie takiego wyjątkowego?

Alicia zastanawiała się, czy nie powinna zaprotestować przeciwko określeniu „chwycić za pysk”, ale zamiast tego rzekła:

– Myślę, że to Paddy'ego powinnaś o to spytać.

– Pytam ciebie.

– Nie mogę mówić w jego imieniu.

– Daj spokój, Alicio Thornton, jesteś dorosłą kobietą. Odpowiedz na pytanie: Co czyni cię inną?

– Jestem bardzo... lojalna.

– Rzeczywiście? – zapytała Grace z ponurą wesołością. – A jego inne dziewczyny nie były?

– Wcale tak nie twierdzę, w żadnym razie! – Chryste, Paddy się wścieknie. Mówił jej, żeby podczas wywiadów nigdy nikogo nie obsmarowywała. Fatalnie to wyglądało w druku, znacznie gorzej niż podczas nagranej rozmowy. – Ale ja jestem wyjątkowo oddana.

– Jaką według ciebie rolę odgrywa oddanie we współczesnym małżeństwie?

– Co masz na myśli?

– To żadna tajemnica, że Paddy cieszy się dużym powodzeniem u pań. Czy gdyby światło dzienne ujrzął skandal związany z cudzołóstwem, zostałabyś przy nim? Wzięłabyś udział w rodzinnej sesji zdjęciowej w waszym ogrodzie? Czy też odeszłabyś?

Pytania pojawiały się zbyt szybko. Alicia nie знаła właściwych odpowiedzi. Gorzko pożałowała, że przegoniła Sidneya; on by teraz wkroczył i stanowczo położył kres tego typu pytaniom.

– Zostałabyś czy odeszła? – naciskała Grace.

Alicia wahała się. Nie wiedziała, jaka odpowiedź jest właściwa. Pomyślała o Paddym; co on by chciał, żeby powiedziała?

– Zostałabym przy nim.

Grace Gildee zmrużyła pogardliwie oczy.

– Musisz mieć o sobie kiepskie zdanie, skoro postanawiasz z góry, że wybaczysz cudzołóstwo. Czy to nie daje twojemu przyszłemu mężowi *carte blanche* na nieprzyzwoite zachowanie?

– Nie!

– Nie musisz krzyczeć.

– Nie krzyczałam. Wcale niczego nie usprawiedliwiam. Twierdzę jedynie, że małżeństwo to święte śluby.

– Święte śluby? – powtórzyła Grace. – To, że jedna osoba łamie te śluby, nie oznacza, że druga też ma tak zrobić?

– Nie. – To brzmiało dobrze.

Po niecałym kwadransie Grace wyłączyła dyktafon i powiedziała:

– Okej, mam wszystko, czego potrzebuję.

Zabrzmiało to nieco jak groźba.

Wstała, zaś Alicia pozostała na sofie, nie mogąc pojąć tego, że wywiad dobiegł już końca. Był za krótki. Tak wiele miała oczekiwać, ale nic nie potoczyło się po jej myśli.

– Moja kurtka – rzekła nagle Grace, gdy Alicia nadal siedziała.

– Ach tak... – W końcu otrząsnęła się ze stanu oszołomienia i z szafy na korytarzu wyjęła tę okropną kurtkę.

– Śliczna kurtka – rzekła, podając ją Grace. – Świetny kolor.

Pieprzyć to, musiała mieć w tym dniu choć jedną przyjemną chwilę.

Grace popatrzyła na nią twardym wzrokiem. Widać było, że usłyszała sarkazm. Nigdy nie udawało jej się to z Grace. Nawet teraz.

W ostatniej, rozpaczliwej próbie uratowania wszystkiego, Alicia zapytała ciepło:

– Powiedz mi, co u Marnie?

– Fantastycznie. Mieszka w Londynie, ma świetnego męża i dwójkę cudownych dzieciaków.

– Super. Pozdrów ją ode mnie.

Grace wwiercała w nią gniewne spojrzenie. Tak długo, aż Alicia struchlała.

Słuchała, jak Grace schodzi na dół. Niedługo później rozległ się dźwięk uruchamianego silnika, a po nim pisk opon ruszającego samochodu. Grace pojechała. Wyraźnie spieszyła się, by wrócić do redakcji i napisać miażdżący artykuł. Przez chwilę Alicia myślała, że zaraz zemdleje ze strachu.

Musiała zadzwonić do Paddy'ego. Kazał jej to zrobić od razu po wyjściu Grace. Ale na razie czuła się zbyt zraniona i upokorzona.

W ciągu dni i tygodni poprzedzających ten wywiad miała pewność, że to ona będzie górą. Zamiast tego dostała niezłe bary.

I była to tylko i wyłącznie jej wina: to ona się upierała przy Grace. Paddy jej to odradzał, ale ona tak bardzo tego pragnęła, że powiedziała mu, iż to może być jego prezent ślubny dla niej.

– A jaki będzie twój prezent dla mnie? – zapytał.

– A co byś chciał?

– Nie znam jeszcze konkretnych szczegółów – odparł wymijająco. – Ale może nadejść czas, kiedy poproszę cię o zrobienie czegoś dla mnie i chciałbym, abyś to zapamiętała i zrobiła wtedy to, o co cię poproszę.

Nie miała pojęcia, o co mu chodzi, niemniej jednak zgodziła się.

Niechętnie wystukała numer Paddy'ego.

– Jak poszło z Grace Gildee? – zapytał.

– Cóż... okej.

– Okej? – Wysunęły mu się wszystkie czułki.

– Och, Paddy, taka z niej suka.

– Dlaczego tak mówisz? Co się stało? A ostrzegałem cię! Wysłałam do niej Sidneya.

– Nie, Paddy, nie, nie. Nie powiedziała niczego złego, po prostu nie była miła.

– Cóż, a czego się spodziewałaś?

Kiedy wyszła za Jeremy'ego, nawet gdy prowadzona przez ojca szła do ołtarza, wiedziała, że nie kocha go tak, jak kochała Paddy'ego.

Niemniej jednak go kochała. Jeremy był wspaniałym człowiekiem.

Poznali się w pracy – poprosił ją, by pośredniczyła w sprzedaży jego mieszkania – i natychmiast między nimi zaiskrzyło.

Był pewny siebie, inteligentny, życzliwy i traktował życie jak wielką przygodę. Miał duże grono przyjaciół, z którymi umawiał się na degustacje trufli, festiwale jazzowe i loty helikopterem nad biegunem północnym.

W porównaniu z Jeremym Alicia nigdzie nie była, nic nie zrobiła i nic nie wiedziała, ale jemu spodobał się ten jej brak obycia. Zabierał ją na festiwale operowe. Zabierał na zakupy do Mediolanu. Zabrał do barcelońskiej restauracji, w której na stolik trzeba było czekać sześć lat.

– Dzięki tobie wszystko jest dla mnie nowe i świeże – oświadczył jej.

Żyli intensywnie i w pośpiechu. Prawdę powiedziawszy, to w takim pośpiechu, iż tak jakby zapomniała zwrócić uwagę na to, że seks nie jest porywający.

Jeremy podobał jej się, zdecydowanie jej się podobał, mimo tego że był od niej dwadzieścia trzy lata starszy – dwa lata młodszy od jej taty. Ale w niczym nie przypominał jej taty; jak na starszego mężczyznę był bardzo przystojny. Miał ciemne włosy (farbował je, no ale ona swoje także), ciemne, zawsze skrzące się oczy, regularnie grał w tenisa, co zapobiegało odkładaniu się tłuszczu po jedzeniu tych wszystkich trufli.

Widząc jego apetyt na życie, spodziewała się, że w łóżku będzie wymagający, może nawet nieco nieprzyzwoity (szczerze mówiąc, to trochę się tym martwiła), ale ku jej zdziwieniu nic takiego nie nastąpiło. Nawet przed ślubem nie kochali się jakoś szczególnie często, a kiedy już do tego dochodziło, było szybko i nijako. Zaniepokoiło ją to i rozczarowało. Skoro tak nudnawo było na początku związku, kiedy powinni przecież szaleć na punkcie wspólnego seksu, dalej mogło być tylko gorzej.

Zmierzyła się z niewygodną prawdą: życie z Jeremym będzie życiem bez namiętności. Ale taką cenę płaciło się za poślubienie starszego mężczyzny, a

taki właśnie mężczyzna był jej przeznaczeniem, co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Zawsze była bardziej rozsądna od rówieśników – jej matka zwykła mówić, że „ma lat siedem, a zachowuje się jakby miała trzydzieści siedem” – i nigdy jej nie wychodziło z chłopakami w podobnym wieku. Nie była wystarczająco ładna, wystarczająco wyluzowana czy wystarczająco jakaś tam. Ale bez względu na to, czego jej brakowało, Jeremy był gotowy przymknąć na to oko. Potrzeba było kogoś z życiowym doświadczeniem Jeremy'ego, by dostrzegł jej prawdziwą wartość.

Wiedziała, że coś jest nie tak, kiedy na miesiąc miodowy do Lizbony wybrało się razem z nimi trzech jego kolegów. Cała historia się wyjaśniła, kiedy pewnego wieczoru „przypadkiem” znaleźli się w barze dla gejów. Przerażona Alicia siedziała przyklejona do stołka, gdy tymczasem jej świeżo poślubiony mąż i jego koledzy flirtowali zawzięcie z młodymi chłopcami.

Zbulwersowało ją okrucieństwo Jeremy'ego.

A więc był gejem. Ale nie miał w sobie dość odwagi, by o tym powiedzieć, wołał jej to po prostu zademonstrować.

Kiedy odzyskała zdolność ruchu, zsunęła się z barowego stołka i skierowała ku drzwiom.

– Gdzie idziesz? – zapytał Jeremy.

– Wracam do hotelu.

– Pójdę z tobą.

Kiedy już znaleźli się w swoim pokoju, Alicia zaczęła wrzucać do walizki ubrania i buty.

– Co robisz?

– A jak ci się wydaje? Odchodzę od ciebie.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Mogłeś mi napomknąć o tym, że jesteś gejem.

– Gwoli ścisłości to bi. Alicia, myślałem, że wiesz i że ci to nie przeszkadza.

– Za jaką kobietę ty mnie uważasz? Taką, która by wyszła za geja i nic by jej to nie przeszkadzało?

Jego oczy powiedziały jej wszystko. Były rozbiegane i pełne poczucia winy. Tak naprawdę to wcale nie sądził, że ona wie. Ale myślał, że kiedy to odkryje, pogodzi się z tym.

Alicia pomyślała, że prędzej czy później każdy cię rozczarowuje.

– Oszukałeś mnie – powiedziała. – Dlaczego się ze mną ożeniłeś?

– Czas już był najwyższy, żebym się ustatkował. Mam pięćdziesiąt lat.

– Tak, masz pięćdziesiąt lat. Po co zawracać sobie tym głowę?

– Au, pani Thornton, pani wie, jak sypać sól na rany.

– Czy choć raz możesz być poważny?

– Dlaczego? Skoro zamiast tego możemy się pośmiać?

– Jeremy, muszę to wiedzieć. Dlaczego się ze mną ożeniłeś?

Nie odpowiedział.

– Dlaczego, Jeremy?

– Wiesz dlaczego.

– Nie wiem.

– Ty tego chciałaś.

To prawda. A teraz, kiedy wypowiedział to na głos, przyznała, że ślub był tylko i wyłącznie jej inicjatywą. Chciała wyjść za mąż, zawsze tego chciała, tak się przecież robiło, to było normalne zachowanie. I taką radosną odmianą było to, że w końcu spotkała mężczyznę, który uczyni to, czego chce ona; przed Jeremym miała problemy z nakłonieniem mężczyzn choćby do

tego, by do niej zadzwonili. Ale w przypadku Jeremy'ego była w stanie rzucać żartobliwie: „Ile zamierzasz wydać na pierścionek zaręczynowy?” i „Gdzie spędzimy nasz miesiąc miodowy?”.

– Cóż, wielkie dzięki – rzekła. – Bardzo to miłe z twojej strony. Ale wiedząc, że jesteś gejem i w ogóle, nie musiałeś zawracać sobie tym głowy.

– Alicia, dlaczego ty za mnie wyszłaś?

– Ponieważ cię kocham.

–I?

–I nic.

– Jasne – powiedział, patrząc jej prosto w oczy. Uświadomiła sobie, że on wie. Może nie wiedział, że tym

mężczyzną jest Paddy, ale wiedział, że istnieje ktoś. Obnażył się współudział, była to chwila, kiedy światło dzienne ujrzała ich wzajemna nieszczerłość.

Oboje kłamali, zarówno Jeremy, jak i ona. Oboje znaleźli się przed ołtarzem z niewłaściwych pobudek – ona poślubiła Jeremy'ego, ponieważ skoro nie mogła mieć Paddy'ego, on jej wystarczał – a bezmiar jej cynizmu sprawił, że czuła większy wstyd i przygnębienie niż w całym swoim dotychczasowym życiu.

– Nie jedź dzisiaj – poprosił Jeremy. – Prześpij się z tym, zaczekaj do rana. Chodź. – I wyciągnął do niej ramiona, oferując pocieszenie. Pozwoliła mu się tulić, ponieważ na swój sposób go kochała.

Rankiem przekonał ją, by została do końca ich miesiąca miodowego. A kiedy wrócili do Dublina i wprowadzili do ich małżeńskiego domu, zbyt była zakłopotana, by natychmiast odejść. Nie dałaby rady znieść zażenowania i wstydu wiążącego się z rozstaniem z mężem w trakcie miesiąca miodowego.

Postanowiła poczekać rok, by zachować twarz. I w którymś momencie w trakcie tego roku wybaczyła mu.

Nigdy więcej ze sobą nie spali – prawdę powiedziawszy, to ich małżeństwo nie zostało w ogóle skonsumowane – ale byli przyjaciółmi, bardzo dobrymi przyjaciółmi.

– Dlaczego nie możesz być otwarcie gejem? – pytała go czasami. – Irlandia się zmieniła. Teraz jest już w porządku.

– Jestem z innego niż ty pokolenia.

– Błagam, przestań mi przypominać o tym, że jesteś staruszką.

– Chcesz, by wszyscy wiedzieli, że twój mąż nadstawia tyłka wynajętym dziewiętnastolatkom?

– A robisz to? – Była zafascynowana.

– Tak.

Nie, nie chciała, by ktokolwiek o tym wiedział.

Ale zastanawiała się, czy Paddy wie.

Spotykała go od czasu do czasu podczas dużych imprez towarzyskich, takich jak bale charytatywne, gdzie rozmowy były krótkie i żartobliwe. Gdy po raz pierwszy po ich zaręczynach spotkał Jeremy'ego i Alicję, przeświecił ich nieuprzejmym spojrzeniem, którego intensywność sprawiła, że poczuła się nieswojo. Pamiętała, jak przyglądał się mu, przyglądał się im – badawczo, przyrównująco, wartościująco – i zastanawiała się, co takiego widział.

Jej siostra Camilla także wiedziała – ponieważ Alicia powiedziała jej o tym. Musiała się komuś zwierzyć, ale potem tego żałowała, gdyż Camilla rzekła jej najgorszą możliwą rzecz:

– Dlaczego tak tanio się sprzedajesz? Dlaczego nie odejdziesz i nie poszukasz prawdziwej miłości?

– Ponieważ poznałam już tego jedyne go, którego zawsze będę kochać. Wiem, kim on jest.

Taka pewność zapewniała jej swego rodzaju pociechę. To nie jej wina, że była beznadziejnie zakochana w mężczyźnie, którego mieć nie mogła. W dawnych czasach wstąpiłaby do klasztoru i taki byłby koniec wszystkiego. Z Jeremym miała przynajmniej ciekawe życie, jeździła na narty, na zakupy, dobrze się bawiła.

Mam torebkę Kelly z jaszczurczej skóry, powtarzała sobie.

Poznałam Tigera Woodsa.

Leciałam prywatnym samolotem.

Ale czasami w tych smętnych godzinach przed świtem budziła ją prawda i Alicia nie mogła unikać zastanawiania się, co jest z nią nie tak. Dlaczego miała o sobie tak niskie mniemanie, że pozostawała żoną geja? Dlaczego odpowiadało jej takie spaczone życie na pół gwizdka?

Ale jest dobrze, mówiła sobie. Jesteśmy szczęśliwi.

Przeczytała w „Marie Claire” artykuł o związkach, w których pary nie uprawiają już seksu. Podobno było to bardziej powszechne, niż sądzono i przyznawano. Tak naprawdę jestem normalna, szeptała do siebie w szarym świetle. Anormalni są ci, którzy często uprawiają seks.

Wiedziała, że wszystko sprowadza się do Paddy'ego. On ją zniszczył dla wszystkich innych mężczyzn.

– Może powinnaś się z kimś spotkać – sugerowała jej siostra. – Może z jakimś psychoanalitykiem.

– Psychoanalityk nie pomoże mi znaleźć mężczyzny tak dobrego, jak Paddy.

Camilla nie naciskała. Jej także podobał się Paddy.

Pomimo braku seksu Alicii dobrze się żyło z Jeremym. Poczucie humoru, pieniądze, picie, jedzenie i podróże sprawiały, że nie robiło się zbyt ponuro ani poważnie. Kochał ją, wiedziała, że tak było. Zawsze traktował ją z wielką czułością i oddaniem.

A kiedy zmarł, jej żal był szczery.

W większość wieczorów około dziesiątej trzydzieści Sidney podrzucił Paddy'emu jutrzejsze wydania gazet. Najczęściej nie było to nic takiego – Sidney wręczał mu plik, po czym zmywał się, a Paddy leniwie przeglądał gazety – dziś jednak kiedy Paddy wrócił do salonu, wniósł ze sobą tyle czarnej energii, że Alicja od razu wiedziała, iż coś jest na rzeczy.

– Już jest – rzekł. – Ten wywiad z Grace Gildee. Żołądek Alicii pomknął niemal do jej gardła. Spodziewali

się, że ukaże się dopiero w przyszłym tygodniu.

Paddy otworzył „Spokesmana” na stronie z wywiadem i tak był na tym skupiony, że ona musiała czytać ponad jego ramieniem. Artykuł był długi, na dwie strony, tytuł zaś wydrukowano dużymi czarnymi literami.

TRWAĆ PRZY SWOIM MĘŻCZYŹNIE

Powszechnie wiadomo, że kawalerowi z rozbuchanymi ambicjami politycznymi potrzebna jest żona.

Boże. Alicja posłała Paddy'emu przerażone spojrzenie. Przeczytał kilka zdań, po czym zawołał z oburzeniem:

– Po co, u licha, proponowałaś jej kieliszek wina o pieprzonej jedenastej?

– Myślałam... – Co takiego myślała? Że ona i Grace może się lekko razem wstawią i pośmieją z dawnych czasów?

Paddy czytał dalej: nudne detale dotyczące jej dzieciństwa, lat szkolnych, historii pracy. Jak na razie nie najgorzej – a potem katastrofa.

Wartości Thornton nawiązują do tych z lat pięćdziesiątych, kiedy kobiety trwały przy niewiernych mężczyznach, ponieważ „małżeństwo to święte śluby. To, że jedna osoba łamie te śluby nie oznacza, że druga też ma tak zrobić”.

– Czy ty tak powiedziałaś? – zapytał ostro Paddy.

– Częściowo...

– A ona dopowiedziała resztę, a ty przytaknęłaś?

– Tak... – Zbyt późno przypomniała sobie, że jeśli się zgadza ze stwierdzeniami czynionymi przez dziennikarza, on cię może potem zacytować.

– Mam reprezentować nowoczesną, kurwa, Irlandię!

– Przepraszam, Paddy.

– Nie jakiś katolicki relikwiarz, cholerną republikę bananową! Po co, do kurwy nędzy, posłaliśmy cię na szkolenie medialne, skoro nie pamiętasz podstawowych zasad?

– Przepraszam, Paddy.

– Dlaczego nie pozwoliłaś Sidneyowi być przy tym?

Ale wiedział dlaczego. Oboje wiedzieli.

Czytała dalej.

Thornton uważa, że udało jej się usidlić skaczącego z kwiatka na kwiatek polityka dzięki temu, że jest „lojalna i oddana”. To może się okazać zaskoczeniem dla himalaistki Selmy Teeley, która – bardzo lojalnie, trzeba przyznać – sześć lat temu przekazała część niemałych pieniędzy od swych sponsorów na sfinansowanie kampanii wyborczej Paddy'ego de Courcy.

Naprawdę? Alicia o tym nie wiedziała. Popatrzyła zdziwiona na Paddy'ego, po czym szybko odwróciła wzrok. To nie był dobry moment na kontakt wzrokowy.

Uświadomiła sobie fakt, że chyba najgorsze w tym artykule jest to, iż Grace szczerze wszystko opisała. Nie zawierał złośliwych interpretacji; po prostu cytowała samą Alicję.

Wyszła na uległe popychadło i sama sobie była winna.

Kiedy Paddy skończył czytać, odrzucił na bok gazetę i usiadł zachmurzony w fotelu.

– Głupia suka – powiedział.

LOLA

piątek, 17 października, 11. 07

Obudziłam się. Zerknęłam na budzik. Zadowolona. 11. 07 – dobry czas. Mniej dnia do marnowania. Jak na razie najpóźniej obudziłam się tutaj o 12. 47, ale wtedy długo siedziałam w nocy, oglądając *Czas Apokalipsy*. Intensywne, przejmujące doznanie. No i bardzo długie. Naszykowałam sobie kawę i miskę płatków Crunchy Nut, wyniosłam krzesło na tył domu i napawałam się widokiem na Atlantyki. Stało się to moim zwyczajem, bo pogoda jest śliczna, choć to już październik.

Irlandia to dziwny, bardzo dziwny kraj. W lipcu – według moich obliczeń lipiec to lato – potrafi być żenująco zimno i mokro. Wszyscy ci biedni amerykańscy turyści, oglądający Pierścień Kerry z okien otulonych mgłą autokarów. A teraz proszę bardzo! Połowa października! Każdy dzień słoneczny i wietrzny, niebo błękitne i bezkresne, podniecone morze, młodzi surferzy. Olbrzymia plaża w ciągu tygodnia wyludniona, z wyjątkiem pogrążonych w cierpieniu kobiet, drepczących po niej tam i z powrotem,

mających nadzieję na – nie wiem – wychodzenie sobie szczęścia? Nadal się do nich nie przyłączyłam. Nigdy tego nie zrobię. Kwestia dumy.

Leniwie polałam płatki mlekiem. Śniadanie w Knockavoy trwa średnio czterdzieści trzy minuty – zdumiewająco długo. W Dublinie poświęciłabym dziewięć sekund na wepchnięcie sobie tostów do buzi, jednocześnie nakładając korektor, oglądając *Irlandię o poranku* i szukając zawieruszonych rzeczy.

Dziś widać sześciu lub siedmiu surferów, śliskich w tych swoich strojach piankowych niczym fok. Bardzo bym chciała surfować. Nie, nie tak. Bardzo bym chciała umieć surfować. To coś innego. Podejrzewam, że pływanie na desce wcale by mi się nie spodobało. Woda w nosie i uszach, no i pomyślcie, co by się działo z włosami. Ale gdybym mówiła ludziom – mężczyznom, bądźmy szczerzy, mężczyznom – że pływam na desce, uważaliby mnie za seksowną. Piękna opalenizna na całym ciele (pomimo pianki), lina przy kostce, pewność siebie. Zgoda, włosy byłyby porażką, ale ludzie nie będą ci mieli tego za złe, kiedy wyjaśnisz, że jesteś surferką. Nagle splątane, zniszczone włosy przestają być splątanymi i zniszczonymi włosami, a stają się seksownymi, surferskimi włosami. Dobrze myślę?

Ocean tymczasowo bez fal. Surferzy leżeli na brzuchach na swych deskach, czekając. Surfowanie wymaga cierpliwości; długo trzeba czekać, a nie można zabijać czasu, wysyłając esemesy.

Jadłam powoli. Pod wpływem przeczytanego artykułu nabrałam nawyku żucia każdego kęsa dwadzieścia razy. Ostrzeżenie! W zachodnim świecie niedostatecznie przeżuujemy jedzenie. Połykamy je niemal w całości. Kiepska sprawa, ponieważ jelita nie mają zębów. Żucie każdego kęsa dwadzieścia razy dobrze wpływa na proces trawienia.

Pomaga także zabić czas.

Żułam i żułam, i żułam, i żułam, i przyglądałam się surferom. Czy to moja wyobraźnia czy też jeden z nich rzeczywiście patrzył w moją stronę? Bóg Miłości Jake? Nagły błysk srebrnego światła – niewielki, ale intensywny – zdawał się skradać od jego strony i eksplodować w mojej głowie. Nie jakaś mała błyskawica, ale mrugnięcie jego srebrnawych oczu.

Czy to jedynie słońce odbijające się od powierzchni wody? No bo to przecież niemożliwe, bym zobaczyła kolor jego oczu, nawet jeśli był niezwykle intensywny? Dzieliła nas spora odległość (Dziesięć metrów? Niecały kilometr?). Zmrużyłam oczy, próbując lepiej widzieć (dziwna sprawa – dlaczego miałyby się czynić oczy mniejszymi, skoro próbowało się widzieć więcej?). W następnej chwili surfer pomachał. To musiał być Jake!

Odmachałam mu, lekko skrepowana. Usłyszałam ciche wołanie:

– Cześć, Loo–Laa!

Słowa te niosły się na wielu, wielu cząsteczkach soli, obecnych w morskim powietrzu.

– Cześć, Jake! – odkrzyknęłam.

Ale mój głos brzmiał cicho i słabo. Wiedziałam, że cząsteczki soli nie pomogły, że jedyną osobą, która mnie usłyszała, byłam ja sama. Zrobiło mi się głupio.

Za każdym razem gdy wpadałam w Knockavoy na Jake'a, posyłał mi seksowny uśmiech i długie, znaczące spojrzenie, po czym oddalał się, nie wystosowawszy żadnego konkretnego zaproszenia.

– Podobasz mu się – mówiła mi Cecile przy każdym naszym spotkaniu, czyli prawie codziennie.

– Skoro tak twierdzisz – odpowiadałam. – Ale nic w związku z tym nie robi.

– Nie jest przyzwyczajony do tego, by być myśliwym. Dziewczyny zawsze go w tym wyęcują.

– Ta akurat dziewczyna nie ma zamiaru – odparłam, tak jakby moje poczucie własnej wartości i godności znajdowało się na wysokim poziomie. Wcale nie. Prawda była taka, że Jake i jego numery co prawda zapewniały mi nieco rozrywki, ale zbyt byłam wyniszczona przez Paddy'ego.

Wiatr dość silny. Porwał mi z miski płatek i poniósł go, odbijający się od ziemi, w stronę morza. Zimno w szyję. Weszłam do środka, by znaleźć szalik lub coś w tym rodzaju. Na sofie leżało różowe pierzaste boa. Mogło być. A może nie... ?

Nagle dostrzegłam, że mam na sobie piżamę, kalosze i różowe pierzaste boa. Niebezpiecznie było mieszkać samemu. Musiałam się pilnować, by nie zrobiła się ze mnie dziwaczka. W przeciwnym razie może się to skończyć tak, że poproszę Bridie o pożyczenie mi jej swetra z dżokejami.

12. 03

Umyłam miskę, kubek, łyżki. Codzienna rutyna. Wytarłam zlew, rozwiesiłam ściereczkę i przez krótką, króciutką chwilę nie byłam do końca pewna, jaki będzie mój kolejny ruch. Błąd! To wystarczyło, by wtargnęło przerażenie i ścisnęło mnie tak mocno, że ledwie byłam w stanie oddychać. Co ja tu u diabła robię?

Mogłam nastawiać zegarek według nadejścia przerażenia. Każdego dnia, kiedy rozwiesiłam ściereczkę, ono się pojawiała. Pragnęłam zadzwonić do Nkechi, Bridie, kogokolwiek, i błagać: „Proszę, czy mogę wrócić do Dublina? Mogę już wrócić do domu?”.

Jakiś czas temu dałam sobie spokój z takimi telefonami, ponieważ nie miały one sensu. Nikt mi nie pozwalał wrócić do Dublina. Ale, och, moja praca, moja wspaniała praca...

Jako że nie mam męża, dzieci, rodziny ani jakiegoś wielkiego talentu – np. umiejętności wycinania z marchewki kwiatów, naparstnic, rododendronów – bez pracy jestem nikim.

Nie potrafiłam wyrzucić z głowy myśli o Nkechi, spiskującej i planującej ukraść mi sprzed nosa moją firmę, ale potem przypomniały mi się potworne szopki, jakie odstawiłam podczas ostatniej próby powrotu do pracy i przyznałam, że pewnie lepiej, iż siedzę w Knockavoy. Sama szybciej bym zniszczyła swoją firmę niż Nkechi.

Nie pomagało to, że nieustannie dzwonił telefon. „Nkechi fantastycznie sobie poradziła!”, „Nkechi bajecznie mnie ubrała na Galę Osipy!”, „Dzięki Nkechi na imprezie charytatywnej olśniłam wszystkich!”. Przekaz: Nkechi jest znakomita, znakomita, znakomita. Ty jesteś nic niewarta, nic niewarta, nic niewarta.

Bridie nie podzielała mojej opinii.

– Są po prostu miłe...

– Miłe? Te kobiety nie wiedzą, jak to jest być miłym.

– ... a Nkechi nad wszystkim czuwa podczas twojej nieobecności.

– Wszystkie będą chciały zostać jej klientkami, kiedy założy własną firmę.

– Wcale nie. Prawo średnich chociażby.

Jedyne pocieszenie: Abibi nie cieszy się popularnością.

12. 46

– Lola? – Przed domem rozległ się męski głos. Zaskoczenie. –Lola?

Paddy po mnie przyjechał! Żeby mi powiedzieć, że to wszystko było straszliwą pomyłką!

Nie. Oczywiście, że nie. Ale to nie chce odejść. Nawet kiedy nie myślę o niczym konkretnym, przerażenie cały czas się czai i wystarczy coś bardzo, bardzo małego – np. wzmianka w gazecie o Louise Kennedy – by w ekspresowym tempie sprowadziło na mnie cały łańcuch bolesnych myśli. Na przykład tak:

„Najnowsza kolekcja Louise Kennedy... ” = Alicia Thornton w garsonce od Louise Kennedy na zdjęciu w gazecie = gazeta oświadczająca, że to kobieta, która „zdobyła serce Quicksilvera” = Paddy żeni się z inną = Co takiego? Paddy żeni się z inną? = nieznośny smutek.

Wszystko to działo się w czasie krótszym niż sekunda. Wbijał się we mnie rozgrzany do czerwoności szpikulec udręki, nim mózg miał czas na ustalenie przyczyn. Każda inna komórka mego ciała wiedziała, o co chodzi; biedny mózg o wszystkim dowiadywał się ostatni.

Moje życie określało rozstanie z Paddym. Zawsze kiedy zrywałam z innymi chłopakami, byłam smutna, zgoda, nie wypieram się tego. Ale niezmiennie miałam nadzieję, że przyszłość nadal przede mną. Ale poznałam Paddy'ego, poznałam Tego Jedyne. Odszedł, a moja przyszłość była pusta.

12. 47

Otworzyłam drzwi. W progu osiłkowaty mężczyzna. Na drodze stał samochód dostawczy DHL.

– Lola Daly? – zapytał osiłek.

–To ja.

– Paczka dla pani. Proszę tu podpisać.

Ciekawe, co to takiego? Kto mi coś przysłał?

W rubryce „zawartość” wpisano „buty”. Już wiedziałam, co tam się kryje.

Kurier odwrócił pudełko do góry nogami, by przeczytać kartkę.

– Buty, tak?

W Dublinie swoim wścibstwem zasłużyłby na chłodne spojrzenie. Ale w Knockavoy nie dawało się czegoś takiego uniknąć. Byłam zobowiązana do tego, by oprzeć się ramieniem o futrynę w pozie wskazującej, że mam mnóstwo czasu na pogawędkę.

– Tak, buty.

– Na wesele, tak?

– Eee, nie, nie na wesele.

Te buty nie były nawet dla mnie, ale nie mogłam mu tego powiedzieć, nieważne jak bardzo powinnam być rozmowna. Wiązała mnie tajemnica. Dylemat. Byłam ciągnięta w dwóch różnych kierunkach, podlegałam rozkazom dwóch panów.

– Po prostu zachciało się pani kupić buty, co?

– Właśnie. Po prostu... no wie pan... zachciało mi się.

– Jest tu pani na wakacjach, tak?

– Eee, nie, na dłużej.

– Dużo dłużej?

– Nie mam... eee... planów. – Wstydziłam się swego życia. Nie mogłam powiedzieć, że tkwię tutaj, dopóki moi przyjaciele i współpracownicy nie uznają, że jestem na tyle poczytalna, by wolno mi było wrócić do Dublina. – Po prostu... ach... zobaczę, jak się sytuacja będzie rozwijać... wie pan?

– Więc możliwe, że się jeszcze spotkamy?

– Całkiem możliwe.

– Niall – rzekł, wyciągając do mnie rękę.

– Lola – odparłam.

– Och, wiem.

12. 57

Zaczekałam, aż odjedzie, po czym otworzyłam karton, by sprawdzić, czy to na pewno to, co myślę. Owszem. Zadzwoiłam do Zasiłkowego Noela.

– Przyszła twoja przesyłka – powiedziałam mu.

– W końcu! Czas najwyższy. Git. – (Noel bardzo lubi to słowo, oznacza ono „super”, „doskonale” itd.) – Wpadnę wieczorem po pracy. O której ci pasuje?

Ciężka sprawa. Wieczorami byłam najbardziej zajęta. Musiałam siedzieć na murku przy plaży i wymieniać uprzejmości z nieznajomymi na temat pięknego zachodu słońca. W Dębie musiałam zjeść bezgrudkową zupę dnia. Musiałam oglądać seriale z panią Butterfly. Podczas wybierania filmów musiałam odbywać długie rozmowy z Brandonem i Kelly. Musiałam spędzać czas w Lochu razem z Bossem, Mossem i Profesorem, słuchając, jak Profesor recytuje nieprawdopodobnie długie wiersze. Napięty harmonogram.

Ale dzisiaj psuło go coś znacznie bardziej doniosłego.

– Przykro mi, Zasiłkowy Noelu, przyjeżdżają do mnie na weekend przyjaciele.

Chwila zaskoczonego milczenia.

– Świetnie! – odparł w końcu. – Proszę bardzo. Ci twoi przyjaciele to, jak mniemam, z Dublina? – zapytał szyderczo, jakby Dublin był pretensjonalną dziurą.

Chwileczkę...

– To ty nalegałeś na utrzymanie wszystkiego w tajemnicy – oświadczyłam. – Mnie nie przeszkadza, jeśli przyjedziesz po paczkę wtedy, gdy inni tu będą.

Noel miał dość trudny charakter i skłonność do nagłych wybuchów, ale sprawa mojego zasiłku załatwiona została bezprecedensowo szybko – nie musiałam zawozić sproszkowanego rogu jednorożca ani estempażu świętego Graala. To było wręcz niezgodne z przepisami. Ciągle się spodziewałam, że otrzymam przerażające pismo z informacją, że nastąpiła pomyłka i że muszę zwrócić całą kwotę co do grosza, wraz z odsetkami.

W tych okolicznościach pewnie lepiej będzie nie nadepnąć Noelowi na odcisk.

– Okej, zaczekam – odezwał się po chwili obrażonego milczenia. – Ale masz tym swoim przyjaciółom z Dublina nie mówić o mnie.

– No jasne. – Kłamstwo. Zamierzałam im powiedzieć, ale rzecz jasna, kazać im przysiąc, że zachowają to w tajemnicy.

– To może poniedziałek? – zapytał Noel.

Do poniedziałku daleko. Do tego czasu mogło się zdarzyć, że zostanę uznana za zdrową i zabrana do Dublina. Ale to raczej mało prawdopodobne.

– Może być. Przyjedź po pracy.

13. 06

Późno. Pognałam do miasta. Jakby to miało znaczenie. Szybko wszystko załatwiłam – zakup jedzenia, wina i bardzo dużej ilości czekolady na przyjazd Bridie, Treese i Jema – po czym pędem wróciłam do domu. Przebrałam się z powrotem w piżamę, kalosze i pierzaste boa. Przeciągnęłam sofę na tył domu i przez całe popołudnie leżałam na niej, czytając thriller Margery Allingham.

To zabawne. Gdyby poproszono ludzi o opisanie idealnego życia, możliwe, że opisaliby moje: mieszkanie w przepięknej okolicy – morze, przyroda i tym podobne – brak konieczności wstawania o świcie, spanie przez pół dnia, zero stresów związanych z pracą, czas na oglądanie filmów o zemście, czytanie starych thrillerów i przeżuwanie każdego kęsa dwadzieścia razy. Ale ja nie potrafię się tym cieszyć. Jestem niespokojna i podenerwowana. Czuję, że życie przecieka mi między palcami. Czuję, jak oddala się wszystko, na co tak ciężko pracowałam.

Wstydzę się swojej niewdzięczności. No to mam kolejne nieprzyjemne uczucie do kompletu. Różnorodność jest przyjemna. Miła odmiana po przerażeniu i cierpieniu.

Wygłosiłam do siebie samej zagrzewającą przemowę (w myślach, nie dotarłam jeszcze do etapu głośnego mówienia do siebie): Pewnego dnia życie będzie inne, znowu stresujące i zajęte, i będę miała ogromną ochotę zaszyć się w małym, ślicznym miasteczku i nic nie robić. Więc naprawdę muszę spróbować się cieszyć tym, co teraz mam. To nie będzie trwać wiecznie!

16. 27

Odłożyłam książkę, zamknęłam oczy i oddałam się rozmyślaniom na temat Paddy'ego. Czasami wydawało mi się, że się z tym pogodziłam. Ale bywa, że ogarnia mnie gorączka tęsknoty za nim i za tym, żeby z nim być. Od czasu do czasu nadal myślę: skoro łączyła nas taka więź, uczucie to nie mogło tak po prostu odejść tylko dlatego, że Paddy żeni się z inną kobietą.

Nie dzwoniłam do niego, odkąd wróciłam do Knockavoy. No dobrze, tylko raz. Oczywiście po pijaku. Tylko wtedy miewałam jeszcze nadzieję. (Upiłam się przez przypadek. Wszyscy mi wtedy stawiali, począwszy od Śliwkowych Oczu, przez panią Butterly, Bossa i rywalizujący Pijacki Kącik.

Niegrzecznie jest odmawiać, gdy miejscowi starają się być gościnni. Mogliby się jeszcze strasznie obrazić.)

Szłam sobie do domu, wesola i pełna nadziei i – spójrzmy prawdzie w oczy – narąbana, i postanowiłam do niego zadzwonić. Przekonać go, by zerwał z tą całą Alicią Thornton. Piękny wieczór. Ciepły. Księżyc uśmiechał się do „czerwonego jak wino” morza (cytując Profesora). Wszystko wydawało się możliwe.

Niestety takie nie było.

Zadzwoniłam. Ale włączyła się poczta głosowa. Powinnam się była rozłączyć, ale znajdowałam się w szponach niepowstrzymanej siły.

– Paddy, tu Lola. Tak tylko dzwonię, by powiedzieć cześć. Eee... to wszystko. Eee, nie żeń się z tą kobietą. No dobrze... ach... dobranoc.

Już, już miałam zadzwonić na numer domowy, ale nagle ogarnęły mnie nudności. Pewnie zbyt wiele emocji. Albo być może sprawiło to połączenie czerwonego wina, likieru Southern Comfort i guinnessa, osłodzone sokiem z czarnej porzeczki.

Nazajutrz rano sądziłam, że to mi się tylko śniło. Miałam nadzieję, że to mi się śniło. Ale zmusiłam się, by sprawdzić połączenia w komórce. Nie. Z całą pewnością do niego zadzwoniłam.

Wstyd. Duży wstyd.

Co świadczyło o tym, że czynię postępy. Zaraz po wybuchnięciu bomby z zaręczynami Paddy'ego rzucał się w oczy brak wstydu.

17. 30

Nie szpiegowałam. Tym razem nie. Wciągałam do środka sofę, kiedy rzuciłam okiem w stronę domu Podpalacza Considine'a i zobaczyłam, że jest w kuchni. Pierwsza myśl w stylu wścibskiego sąsiada: wcześniej dziś wrócił z

pracy. Druga myśl: czy to NAPRAWDĘ Podpalacz Considine, a jeśli tak, to co on MA NA SOBIE?

Wpatrywałam się. Intensywnie. Czy on naprawdę miał założone okulary do pływania i czepek? Tak. Bezsprzecznie.

Dziwne rzeczy działy się w tym domu.

18. 57

Przyjazd Bridie i Barry'ego

Nasłuchuję samochodu niczym samotny wieśniak. Słyszę go dużo wcześniej, nim widzę. Nie dlatego, że to jedyny samochód na drodze – w żadnym razie, z Knockavoy prowadzi ona do autostrady Milton Malbay i jest całkiem ruchliwa – ale z powodu muzyki, jaką puszcza Bridie. Oasis, o ile się nie mylę. Gust muzyczny Bridie jest niemal równie beznadziejny jak jej gust w kwestii doboru ubrań, ale nie odczuwa z tego powodu skruchy.

Samochód zatrzymuje się przy mnie, muzyka gwałtownie cichnie i od strony kierowcy wyłania się Barry. Otrzymał pozwolenie przyjazdu na ten weekend, ponieważ robi wszystko, co się mu każe, nie wyraża własnych opinii, nie powoduje tarć. Nie tak, jak mężowie innych osób.

– Trzy godziny, czterdzieści dziewięć minut. – To pierwsze słowa Bridie.
– Doskonały czas jak na piątkowe godziny szczytu. Zaczekajcie, muszę to sobie zapisać.

19. 35

Przyjazd Treese i Jema

Treese przyjeżdża uroczym małym niebieskim audi TT

– prezentem od Vincenta! Być może w ramach przeprosin za to, że ma on nienormalnie dużą głowę? Jem siedzi na miejscu dla pasażera i wygląda na skępowanego. Fotele są za nisko, a poza tym Jem jest ciut zbyt pulchny do

tego samochodziku. Zażenowany także tym, że siedzi w takim dziewczęcym pojeździe? (Claudia jest na weekendzie panieńskim, dlatego Jem otrzymał zezwolenie na przyjazd do mnie.)

Treese wygląda bardzo elegancko w szpilkach i dopasowanej garsonce.

– Rewelacyjnie wyglądasz – mówię.

Ludzie mówili kiedyś o Treese: „urocza, jak na grubaskę”. Protekcyjnie. A bezpośrednio do niej: „Treese, naprawdę powinnaś odstawić słodycze. Mojej szwagierce to pomogło, zgubiła dwadzieścia pięć kilo. Gdybyś schudła, byłabyś całkiem atrakcyjna”.

Kiedy rzeczywiście schudła, nagle zrobiła się z niej niezwykle atrakcyjna kobieta. Ci, którzy tak usilnie namawiali ją na schudnięcie, musieli wtedy przełknąć gorzką pigułkę. Byli zaskoczeni. Czuli się zmyleni. Niezadowoleni. Koleżanki trzymały ją z dala od swoich chłopaków.

– Co u Vincenta? – zapytałam. – Wszystko dobrze?

Musiałam zapytać. Uprzejmość tak nakazuje. Otrzymał zaproszenie na weekend – musiał, skoro otrzymał je także Barry – ale nic nie odpowiedział. Nawet „Vincent dziękuje za zaproszenie, ale jest w ten weekend zajęty, będą mu zmniejszać głowę”. Wszystkich nas – łącznie z Treese – łączyło milczące przekonanie, że lepiej, iż nie przyjechał.

19. 38 – 19. 45

Nowo przybyli głęboko oddychają słonym powietrzem. Stoją przodem do morza, z rękami na biodrach i napełniają płuca ozonem, mówiąc:

– Boże, jest fantastycznie!

Trwało to siedem do ośmiu minut. Następnie Jem klasnął w dłonie i oświadczył:

– No dobra! To który pub?

20. 07

Dąb, na kielonka przed jedzeniem (Margery Allingham)

Śliwkowe Oczy zrobił sobie wolne i przysiadł się do nas. Uśmiechnięty, w oczach błyski, sympatyczny. Powiedział reszcie, że dużo o nich słyszał. Rozkoszny. Czułam się dumna, niemal tak, jakbym go sama stworzyła.

Opowiedział im, jak przychodzę tu każdego dnia w porze lunchu (wcale nie każdego, ale nieważne, nie pora zaprzeczać, tyle tu fruwało dobrej woli) na zupełny dzień.

– Zawsze pyta: „Ibrahim, ma grudki?” – Roześmiał się głośno, uderzył w uda i powtórzył: – „Ibrahim, ma grudki?”. Każdego dnia.

Pozostali też zaczęli się śmiać, nie do końca pewni z czego, ale oczarowani tym, że on to uważał za takie zabawne. (Inna kultura, inne poczucie humoru.)

– Ibrahim, mogę ci postawić drinka? – zapytała Bridie.

– Nie, dziękuję. Nie piję.

– A to czemu? Jesteś alkoholikiem?

Bridie jest taka wścibska!

– Nie piję alkoholu z powodów religijnych.

Bridie wpatrywała się w niego, wyraźnie zastanawiając się, jaka osobliwa religia zabrania alkoholu. Będąc katolikiem, jest się praktycznie zobowiązany do tego, by go nadużywać.

– Jaka to religia? Christian Science*?

* *Organizacja religijna prowadząca działalność oświatową i wydawniczą.*

– Muzułmanizm – odparł.

– No tak, o niej nie pomyślałam. Cóż... eee... takie są reguły.

Dalsza rozmowa trochę sztywna. Wtedy weszło dwóch golfistów, szukając chwili wytchnienia od ciągłego ujadania w Pierwszym Dołku, i Ibrahim musiał wrócić do swoich obowiązków.

Gdy tylko sobie poszedł, Bridie nachyliła się ku nam i wysyczała:

– To straszne, ale kiedy słyszę, że ktoś jest muzułmaninem, moja pierwsza myśl jest taka, że to ukrywający się zamachowiec samobójca.

– Tak! – przyznał Jem podekscytowanym szeptem. – I że mną pogardza.

– Tak!

– Kiedy byłem w Maroku z Claudią, mężczyźni patrzyli na nią, jakby była dziwką.

To dlatego, że jest dziwką. Bridie i ja miałyśmy chwilę intensywnego kontaktu wzrokowego, podczas którego ta informacja przepłynęła między nami.

– Nie szanują kobiet – oświadczył Jem. – Biją swoje żony, kiedy nie zakrywają włosów!

Treese zaczynała się robić wzburzona i próbowała się wtrącić.

– To oburza...

– I założę się, że za zamkniętymi drzwiami wszyscy to szalone ochlaptusy – stwierdziła Bridie. – Udają...

– To oburza...

– ... abstynentów i mówią, że wszyscy inni to nieczyste świnię, jeśli raz na jakiś czas wypiją kieliszek wina i zjedzą kanapkę z szynką.

– To oburzające, taki sposób myślenia! – Treese w końcu udało się dojść do głosu. – Powinniście się wstydzić! Na świecie są ponad dwa miliardy

muzułmanów, WSZYSCY nie mogą być zamachowcami! To nic innego, jak rasizm!

Potwierdziły się moje najgorsze obawy. Nie chcę być rasistką.

– Zdecydowana, ZDECYDOWANA większość muzułmanów to osoby o umiarkowanych poglądach.

– Oczywiście, oczywiście – rzekł uspokajająco Jem.

Ale było już za późno. Musieliśmy wysłuchać wykładu, w którym z grubsza chodziło o to, że wszyscy ludzie na świecie, bez względu na rasę i wyznanie, mają prawo do szacunku i dobrze działających latryn.

Dwie godziny później

Wróciliśmy do Dębu po przekąszeniu czegoś w lokalu pani McGrory.

Znacznie więcej ludzi. Śliwkowe Oczy zwiął się jak w ukropie.

Jem udał się do baru, by kupić kolejkę i wrócił zadowolony.

– Zostaliśmy zaproszeni na jutro na imprezę!

Nawiązał nowe znajomości w trakcie kupowania drinków. Nie pierwszy raz komuś się coś takiego przytrafiło. Nie chciałam być cyniczna, ale...

– Na jaką imprezę? – zapytała Bridie.

– Do tych chłopaków przy barze.

Surferzy. Pięciu czy sześciu. Bardziej rozebrani niż ubrani, japonki, obcięte dzinsy, opalenizna, kolczyki, sól. A wśród nich Jake, w spranym T-shircie, dzinsach, z wisiorkiem w kształcie zęba rekina. Opierał się o bar z drinkiem w ręce i przyglądał mi się. Powiedział bezgłośnie „Lola” i uśmiechnął się.

Bridie natarła na mnie:

– ZNASZ GO?

– Jake'a?... Eee... tak.

Prawdę mówiąc, czułam całkiem sporą dumę. To tak, jakby się kupiło fantastyczny nowy płaszcz Chloe, ale nikomu o tym nie powiedziało, tylko przybyło się w nim i patrzyło na miny znajomych.

– Podobasz mu się! – Bridie szturchnęła łokciem Barry'ego. – Prawda?

– Na to wygląda. – (Uważał, by nie wyrazić własnej opinii.)

– Jak on się na ciebie patrzył! – Bridie ukradkiem zerknęła jeszcze raz w stronę Jake'a. – Nadal to robi! Podobasz mu się, to pewne jak w banku!

– Prawdę mówiąc. – Odkaszlnęłam, przygotowując się na chwilę triumfu.

– To owszem.

To ją przyblokowało.

– Naprawdę? Skąd wiesz?

– Cecile mi powiedziała.

– KIM JEST CECILE? – Bridie lubiła wszystko wiedzieć. W chwili obecnej nie wiedziała prawie nic.

– Francuzka. Zresztą tam jest.

Cecile stała pośród surferów, chichocząc i wzruszając ramionami. Miała na sobie rybaczki i balerinki, na szyi zaś apaszkę zawiązaną nonszalancko w sposób, jakiego Irlandki nigdy nie podrobiją, nawet gdyby przez miesiąc ćwiczyły przed lustrem. (Nawet Treese się to nie udawało.)

– Zawołaj ją – poleciła Bridie. – Hej, Cecile, Cecile! Chodź do nas!

Zaskoczona Cecile zasznurowała czerwone usta i uniosła swe idealne brwi, ale odpowiedziała na wezwanie Bridie.

– Cecile? – zapytała Bridie. – Ty jesteś Cecile? – Przedstawianie w przyspieszonym tempie. – Bridie, Barry, Treese, Jem, Lolę znasz. No dobra, powiedz mi, ten blondas przy barze, Jake, czy to prawda? Podoba mu się Lola?

Cecile zachichotała.

– O tak, chce ją posuwać aż do przyszłego tygodnia. Treese wzdrygnęła się. Ale to nie wina Cecile. Ona nie

była tak naprawdę prostytutką, tylko Francuzką. Nie rozumiała wszystkiego, co mówi, a jedynie powtarzała to, co usłyszała, jak małe dziecko.

– Chce ją posuwać tak, żeby przez miesiąc nie mogła prosto chodzić.

– Dziękuję ci. Bardzo nam pomogłaś. Cecile odprawiona.

– No dobrze! – oświadczyła Bridie. – Oto, co sędzę. Najlepsze, co mogłoby na chwilę obecną spotkać Lolę, to przygoda z tym Jake'em. Zgadza się? – Popatrzyła na pozostałych. Tak, zgadzali się. – Ale nie możesz oczekiwać niczego na dłuższą metę – ostrzegła Bridie. – Jest zbyt przystojny.

– O co chodzi z tym, że wciąż mi powtarzasz, iż wszyscy faceci są dla mnie zbyt przystojni?

– Bez obrazy, Lola, ty też jesteś przystojna. Ale spójrz tylko na tego całego Jake'a. Jest NIENORMALNIE przystojny. To wybryk natury. Te jego usta! Jest taki seksowny! Wszystkim musi się podobać. Nawet mnie się podoba! Sorki – rzuciła do Barry'ego.

– W porządku – odparł. – Mnie też się podoba.

– Naprawdę?

– Moglibyśmy zabawić się z nim w trójkącik – rzekł, po czym nachylili się ku sobie i zaśmiali zgodnie, jakby to był ich jakiś prywatny żart, gdy tymczasem reszta nas patrzyła na nich, czując lekkie zakłopotanie.

1. 30

Z powrotem w domu

Choć byłam wstawiona, mocno się zaniepokoiłam, kiedy Bridie i Barry przebrali się w te dziwne spodnie rekreacyjne, w których już ich widziałam.

Workowate, ale umarszczone w kostkach, coś na kształt spodni, jakie nosił kiedyś MC Hammer. Spodnie Bridie mają niebiesko–czerwony wzór zebry, zaś u Barry'ego widać latawce i balony.

Ohyda.

Coś trzeba im powiedzieć.

Sobota, 18 października, południe

Wszyscy wstali.

Plan na resztę dnia: spacer, oddychanie świeżym powietrzem, innymi słowy zdrowe rozrywki przed „wieczornym bezlitosnym bojem”, cytując Jema.

Pierwsza sprawa: trzeba wyskoczyć do miasta, bo skończyło nam się mleko.

– Ja pójdę – powiedziałam. – Bo jestem tu gospodynią. Mój obowiązek.

– Nie, ja pójdę – oświadczył Jem. – Bo to ja je wypilem o piątej rano.

– Nie, ja pójdę – zaprotestowała Bridie. Ponieważ lubi rządzić innymi.

– A może wszyscy pójdziemy? – zaproponowała Treese.

– Okej!

– Lepiej się ubierzcie. – Popatrzyłam znacząco na spodnie Bridie i Barry'ego. Spodnie MC Hammera.

– O co ci chodzi? Jesteśmy ubrani!

Kurdemol. Fatalnie, że noszą te ohydne spodnie we własnym domu, ale na ulicy? Straszne.

12. 18

W drodze do miasta

Bridie zaczyna mówić o Jake'u. Znowu.

– Dobrze by było, gdybyś się z nim przespała. Dobrze dla twojego ego, dobrze dla twojej pewności siebie. Co o nim wiesz?

– Nic. Ma dwadzieścia pięć lat, jest z Cork, uprawiał seks z każdą inną kobietą w Knockavoy i jak słyszałaś, chce mnie posuwać tak, bym przez miesiąc nie mogła prosto chodzić.

– Ale ma jakąś pracę? – naciskała Treese. – W jaki sposób zarabia na utrzymanie?

– Nie wiem i mam to gdzieś. Nie chcę wiedzieć, że jego matka jest nauczycielką, a ojciec policjantem, że ma starszą siostrę i dwóch młodszych braci, że w szkole był dobry w hokeju na trawie, ale nie szła mu piłka nożna. Nie chcę wiedzieć, że miał wspólny pokój z bratem, a do ściany przyklejone zdjęcia Roya Keane'a. Nie chcę wiedzieć, że jako sześciolatek miał szerokie szpary między zębami, a jako dziesięciolatek paskudnie obcięte włosy. Nie chcę, by był kimś zwyczajnym i nie chcę żadnego dowodu na to, że nie zawsze był piękny.

– Ale ty go nie traktujesz jak człowieka – zaprotestowała Treese.

– Wiem. Nie chcę znać jego planów i marzeń.

– To żadna podstawa związku – upierała się Treese.

– Ale ona nie będzie z nim w związku! – oświadczyła Bridie. – Mam już dość powtarzania tego, ale on jest po prostu zbyt przystojny.

– Chwileczkę! A co z tym, czego chcę ja? Wszyscy zachowujecie się tak, jakbym była największą szczęściarą na świecie, ponieważ mu się podobam – a podobam mu się tylko dlatego, że jestem tu nowością i atrakcją – ale co z moimi pragnieniami? Może mnie on się wcale nie podoba!

– No dobrze, to podoba ci się? – zapytała Bridie. Przez chwilę się zastanawiałam.

– Nie bardzo.

Głośne okrzyki niedowierzania. Nawet Jem się przyłączył.

- Już dobrze, uspokójcie się! Jest na czym oko zawiesić!
- Grasz po prostu trudną do zdobycia – orzekła Bridie. – Daj sobie z tym spokój. On i tak nie zwiąże się z tobą.
- Nie gram trudnej do zdobycia. Nadal kocham Paddy'ego.
- Chcesz zrezygnować z gorącego seksu z Bogiem Miłości tylko dlatego, że wciąż wzdychasz do tego obleśnego polityka z uśmiechem Jokera z *Batmana*? – Bridie oburzona. – Polityka, który nawiasem mówiąc, żeni się z koniem.

12. 49

Gdy wracaliśmy ze sklepu, skusił nas Loch. Minęliśmy otwarte, co się rzadko zdarzało, drzwi. Zazwyczaj Loch wystrzegał się słonecznego światła, jakby było ono radioaktywne. Podejrzywałam, że to Pijacki Kącik mnie wypatruje. No i rzeczywiście Boss mnie dostrzegł i zawołał:

- Hej, Lola Daly! Już nie jesteśmy dla ciebie wystarczająco dobrzy?

To nieprawda, ale nie bardzo chciałam, by drogi moich dublińskich przyjaciół zeszyły się z drogami Bossa i spółki. Jeszcze by się martwili, że utrzymuję podejrzone znajomości. Rzekłam więc:

- Cha, cha, cha.

I szłam dalej, ale Bridie zapytała:

- Co to za facet? Jak to możliwe, że znasz tu tylu ludzi?

Upierała się, że chce poznać Bossa. Próbowałam ją od tego odwieść, jednak na próżno. Nie wiadomo kiedy znalazłam się w mrocznym wnętrzu i dokonałam prezentacji:

- Bridie, Barry, Treese, Jem, poznajcie Bossa, Mossa i Profesora.

Boss nie posiadał się z radosnego podniecenia. Jego okrągła czerwona twarz zrobiła się jeszcze bardziej czerwona.

– Wiem o was WSZYSTKO! Zobaczmy, czy was rozpoznam. – Pokazał na Treese. – Ty jesteś mądrąłą?

– Ach... Kurdemol!

– Nie, to ja jestem mądrąłą – powiedziała Bridie.

– No to ty musisz być tą, która kiedyś była gruba? – zapytał Treese.

Kiwnęła głową.

– A niech mnie! – Boss był pod dużym wrażeniem. – Nigdy bym nie powiedział, teraz wyglądasz jak chart. Prawda, chłopcy?

Podczas gdy Boss, Moss i Profesor przypatrywali się Treese i wyrażali niedowierzanie, że kiedyś ważyła prawie dziewięćdziesiąt kilo, mnie podskoczyło ciśnienie. Gorzko pożałowałam tego, że tak otwarcie opowiadałam klientom Lochu o moich przyjaciółach.

– A ty to mąż mądrali, pantoflarz? – Boss zapytał Barry'ego.

Barry posłał Bridie nerwowe spojrzenie.

– Tak – odparł, odczytując sygnał. – Zgadza się.

– Widać, że nie jesteś byłym graczem rugby z olbrzymią głową – rzekł Boss do Jema. – A więc musisz być tym kolesiem, z którym Lola się tylko przyjaźni.

Słowom „tylko przyjaźni” nadał wiadome znaczenie.

– Eee... tak...

– A gdzie jest ta słodka idiotka, twoja narzeczona?

– Na wieczorze panińskim.

– Nie ma jej tutaj? Ależ jestem rozczarowany. Słyszałem, że ma sztuczny biust. Chciałem zobaczyć taki, nim umrę.

Skończ natychmiast, pomyślałam. Skończ natychmiast!

Niezręczna sytuacja. Pragnęłam gorąco, byśmy jak najprędzej opuścili Loch i wrócili do chaty wuja Toma, ale Boss nalegał – NALEGAŁ – by kupić wszystkim kolejkę. Kiedy ktoś taki jak Boss nalega na kupno kolejki, nie masz wyboru, absolutnie żadnego wyboru.

A jeśli chodzi o coś bezalkoholowego? Zapomnij.

Jem popełnił ten błąd i prosił o colę. Wydawało się, jakby nagle w całym pubie ucichły wszystkie rozmowy. Słysząc było ciche głosy: „Przesłyszałem się, czy ten koleś w piżamie właśnie poprosił o colę?”. „To nie ten koleś w piżamie, to ten drugi”.

– COLA? – zapytał ostro Boss. – Jesteś mężczyzną czy myszą? – Po czym spojrzał pogardliwie na Barry'ego. – Wiem wszystko o tobie. Ty jesteś myszą. Ale dzisiaj możesz być myszą, która ryczy. Piwo? Pięć piw! – zawołał do barmana.

Z łaski przyjął guinnessa. Szybko go wypić. Chciałam stąd sływać. (Dziwne słowo.) Nim jednak zdążyliśmy dopić nasze piwa, Moss zamówił drugą kolejkę. I w połowie drugiego piwa nagle się odprężyłam. Boss skończył z wywlekaniem żenujących rewelacji i sprawiał wrażenie tak uradowanego poznaniem moich przyjaciół, że – wbrew rozsądkowi – ogarnęło mnie wzruszenie.

– To był wspaniały dzień, kiedy Lola Daly zaszczyliła Knockavoy swoją obecnością – rzekł ciepło do Bridie. – Przyniosła nam szczęście. Odkąd przyjechała, Profesor wygrał w konkursie zdrapki trzysta pięćdziesiąt euro, a ja wygrałam ciasto z owocami w loterii, w której zbierano na nowy odtwarzacz DVD dla proboszcza. Na domiar wszystkiego u śmiertelnego wroga zdiagnozowano raka prostaty. Nieoperacyjnego. Lola to urocza dziewczyna, przepadamy tu za nią.

– Zniżył głos, choć ja i tak wszystko słyszałam. – Oczywiście o pomstę do nieba woła sposób, w jaki została wystawiona przez tę Postępową gnidę.

– Paddy'ego de Courcy? Ale on jest w NowejIrlandii.

– Przed NowąIrlandią był Postępowym Chrześcijaninem. Raz jest się cuchnącym Postępowym, już zawsze jest się cuchnącym Postępowym. Nieważne, jak się teraz każe tytułować. Postępowy Chrześcijanin! Fuj!

Błagam, pomyślałam, błagam, nie pluj.

Pojawiły się kolejne piwa – tym razem kupił je Barry – a wraz z nimi dalsza gorąca dyskusja. Głównym ich tematem byłam niestety ja.

Usłyszałam:

– ... zbyt przystojny dla niej...

– ... fałszywy uśmiech... jak Joker z *Batmana*...

–... niewłaściwa walizka z ubraniami... nieomal doprowadziła do międzynarodowego incydentu...

Wytworzyła się między nimi naprawdę duża więź. Gdy wypiliśmy już po pięć piw na łebka, Bridie się ocknęła.

– Stracimy wieczorną imprezę, jeśli natychmiast nie przystopujemy.

Wyciągnęła Barry'ego na chwiejny spacer po plaży.

– Morskie powietrze nas otrzeźwi.

Reszta poszła do domu i zasnęła. Obudziliśmy się dwie godziny później, głodni jak wilki.

19. 25

Dąb

Lekka kolacja. Kanapki grillowane i zupa dnia (grzybowa).

– Powiedz to – błagał mnie Śliwkowe Oczy. – Powiedz.

– Ale wiem, że nie ma.

– Ale i tak powiedz.

– Okej. Ma grudki?

Jeszcze nigdy nie widziałam, by ktoś tak bardzo się śmiał.

– Całkiem możliwe, że w Egipcie zrobiłabyś karierę artystki komediowej

– rzekł do mnie cicho Jem.

20. 39

U pani Butterly

Niemile zaskoczenie. Były już tam dwie osoby. Nigdy dotąd nie musiałam się dzielić panią Butterly – Honour (ona nie wie, że znam jej imię; Boss mi je zdradził; to niczym poznanie imienia swojej nauczycielki, kiedy się chodzi do pierwszej klasy) – z innymi klientami.

Wtedy dostrzegłam, że jednym z klientów jest Podpalacz! Rossa Considine. Był razem z jakąś kobietą. Pogodził się z narzeczoną? Ale po dokładniejszych oględzinach okazało się, że z całą pewnością nie była kobietą od ślubnej sukni. Właściwie to było w niej coś z fretki. Czy mogła to być ta dziewczyna, o której się dowiedziałam od Kącika Pijackiego? Pomimo niezaprzeczalnej fretkowatości – miało to coś wspólnego z jej zębami – nie była kaszalotem. Ani wachaczem. Prawdę mówiąc, była całkiem ładna.

Ale o co w tym wszystkim chodziło? Rossa Considine rzucił Fretkę, kiedy poznał dziewczynę od sukni ślubnej? A teraz, kiedy dziewczyna od sukni ślubnej dała nogę, próbował naprawić stosunki z Fretką?

Pani Butterly wpadła w lekką panikę.

– Nie wiem, gdzie wszystkich pomieszczę. Wybacz, Lola, wiem, że to twoi przyjaciele, ale nie mogę przyjąć ich wszystkich. Nie mam tyle szklanek. Wezmę ciebie... – pokazała na Treese, jakby był to jakiś modny klub nocny z ostrą selekcją – i ciebie. – Jem także spełnił wymogi.

Ale nie Bridie i Barry. Bridie wyglądała na zaszokowaną. I bardzo zmartwioną.

– Dlaczego wybrała pani ich, a nie nas?

– Bez urazy, ale nie wolno mi obsługiwać ludzi w piżamach. Zarządzenie kierownictwa. Poza tym nie ma miejsca.

– W porządku – odezwał się Rossa Considine. – My właśnie kończymy. Mogą zająć nasze miejsca.

– No dobrze. Uczynię wyjątek, skoro jesteście przyjaciółmi Loli.

Rossa Considine przecisnął się obok mnie i rzekł:

– Cześć, Lola.

– Cześć, Rossa – odparłam.

Niewtajemniczonym to powitanie mogło się wydać spokojne i grzeczne. Ale pozostało mnóstwo niedopowiedzeń. Sądząc po sarkazmie widocznym w jego spojrzeniu, Rossa Considine tak naprawdę mówił: „Wiele razy widzę rano, jak mnie szpiegujesz, ty wścibska dziwaczko”.

A moje spojrzenie odpowiadało: „Czyżby? Cóż, przyłapałam cię na paleniu w środku nocy sukni twojej byłej narzeczonej. I na tańczeniu po kuchni w okularach do pływania i czepku. I mnie nazywasz dziwaczką?”.

– Kto to? – zapytała Treese, kiedy Rossa i jego towarzyszką wyszli.

– Sąsiad.

– Wydaje się miły.

A co ty możesz wiedzieć, pomyślałam.

Poczułam się lekko zraniona. Co ja takiego zrobiłam Rossie Considine'owi? Poza tym, że czasem szpiegowałam go rankiem? No a co w tym takiego złego?

– Widzę, że nawiązałaś całkiem sporo znajomości! – Bridie była pod wrażeniem tego, że znam tu tylu ludzi. Bridie i reszcie nie było łatwo. Ponieważ w zasadzie nie mam rodziny, są mną obarczeni. Bridie musiała jednak jeszcze wyjaśnić coś pani Butterly: – To nie piżama. To spodnie rekreacyjne.

– Jestem starą kobietą. Długo żyję na tym świecie. Potrafię rozpoznać piżamę.

0. 12

Impreza w domu surferów

Głośna muzyka. Mnóstwo ludzi. Skąd się oni wszyscy wzięli? Nie wiedziałam, że w Knockavoy jest tyle młodych, atrakcyjnych osób.

W tłumie na korytarzu dostrzegłam Jake'a, rozmawiającego z dziewczyną z długimi ciemnymi włosami. Pomimo chmary krążących wokół ludzi nieprawdopodobnie długo udało mu się patrzeć mi w oczy. Uśmiechnął się; uśmiech powolny, lśniący bielą, znaczący.

Szorstko skinęłam głową i zaczerwieniłam się.

Treese i ja usiadłyśmy skromnie na futonie, gdy tymczasem Bridie rozdierała piwa niczym matka na pikniku. Barry i Jem w szczytowej formie.

– W Knockavoy jest super! – oświadczył Jem, chwiejąc się lekko. – Ale świetna piosenka!

– Kto to?

– Nie mam pojęcia! – odparł radośnie. – Ale jest cholernie świetna! Chodźcie wszyscy, tańczymy!

Choć czułam się ciutkę stara i zbyt dobrze ubrana, byłam na tyle pijana, by zerwać się z futonu. Bridie i Barry także ruszyli w tany i tylko Treese została na miejscu, uśmiechając się enigmatycznie. Można by pomyśleć, że

Treese nie tańczy, ponieważ jest zbyt wyrafinowana, ale jej najbliżsi wiedzieli, że to dlatego, iż jako grubaska nie nauczyła się czerpać radości z tańca.

Tańczyłam sobie wesoło, kiedy nagle poczułam mocne szturchnięcie w plecy. Dość bolesne, jeśli mam być szczerą. Chyba dostałam w nerkę. Odwróciłam się. To była ta długowłosa dziewczyna, z którą rozmawiał Jake. Młoda, wysportowana, mnóstwo tatuaży. (Ja też miałam tatuaż, dyskretnego motylka na kostce. Jednak ta dziewczyna mnie zdeklasowała: jej ramię otaczał węzeł celtycki, miała promienie słoneczne wokół pępka i symbol om na nadgarstku.)

– Ty jesteś Lola? – zapytała.

Przyzwyczyłam się do tego, że w Knockavoy wszyscy wszystko o mnie wiedzą, ale to było coś innego.

– Eee... tak.

Zmierzyła mnie od stóp do głów.

– Jestem Jaz. Zapamiętaj moje imię.

Nim zdążyłam się roześmiać, słysząc taką tandetną kwestię, ona się oddaliła, wpadając po drodze na Jema. On wpadł na Bridie, która walnęła go i rzekła:

– Uważaj, gdzie tańczysz.

Smutne to życie, nie? Dziewczyna z tatuażami była wyraźnie zadurzona w Jakem, ale on podrywał mnie. Ale ja nie byłam zainteresowana Jake'em, ponieważ byłam zakochana w Paddym. Ale Paddy żenił się z Alicią i prawdę mówiąc, łańcuch się na tym kończył, ponieważ Alicia musi być zakochana w Paddym. No bo jak mogłoby być inaczej?

1. 01

– Chodź na chwilę na górę – wyszeptała mi do ucha Bridie.

– Czemu?

– Po prostu chodź.

Przecisnęłyśmy się między obściskującymi się na schodach ludźmi. Potem jeszcze jedne schody, na tych akurat nikt się nie obściskiwał. Podążałam za Bridie, która szła na palcach po gołych, drewnianych stopniach. Na samej górze pchnęła czubkami palców drzwi, ale nie przeszła przez próg.

– To sypialnia Boga Miłości – oświadczyła.

– Skąd wiesz?

– Popytałam tu i tam.

Stałyśmy w drzwiach i zaglądałyśmy do środka. Pokój wyglądał magicznie. W gotyckim trójramiennym kandelabrze paliły się trzy grube białe świece, omiatając pomieszczenie migającym, przyćmionym światłem. Jasna drewniana podłoga. Piasek. Drewniane łóżko z baldachimem, za który służyły udrapowane sieci rybackie (ale nie śmierdzące). Przechylona szafka. Farba łuszczyła się, ale nie przyprawiało to o depresję. Było to w pewnym sensie piękne.

Otwarte okna, poruszane wiatrem muślinowe zasłony, odgłos uderzających o brzeg fal.

– Co w tym pokoju musi się dzieć... – westchnęła Bridie. Nagle i boleśnie chwyciła mnie za ramię. – Zajrzyj do szuflady koło łóżka – poleciła mi. – No dalej, zobacz, czy ma w niej gumki. Założę się, że tak. No idź, Lola.

– Nie. – Nie miałam ochoty niszczyć iluzji tylko po to, by zaspokoić chorą ciekawość Bridie.

Nie chciałam oglądać zapalek, zepsutego zegarka, kepek włosów, paracetamolu, bibulek do papierosów, ciekących długopisów, kłaczek i innych rzeczy, które zalegają szuflady obok łóżek.

– Świece... – westchnęła ponownie Bridie. – To takie romantyczne.

– Pewnie dlatego, że jest zbyt leniwy, by zmienić przepaloną żarówkę – rzekłam.

No i jakim trzeba być nieodpowiedzialnym głupcem, by zostawić bez nadzoru otwarty ogień?

Trzema mocnymi dmuchnięciami zgasiałam świece. Bridie poirytowana.

1. 12

Z powrotem na dole. Jake w pokoju z muzyką. Zobaczył, jak wchodzę, odwrócił się szybko do wieży, zrobił z nią coś i nagle muzyka zmieniła się z Arctic Monkeys (chyba) na coś wolnego. Tańczący zaskoczeni. Przerwano im w najlepszym momencie. Usłyszałam, jak ktoś pyta:

– Co to za badziewie?

Jake przedarł się przez nich, stanął przede mną i cicho zadał mi pytanie. – Hmmm?

Wiedziałam, o co pyta, ale chciałam zobaczyć, jak jego usta wypowiadają to jeszcze raz.

– Masz ochotę zatańczyć? – zapytał głośniej.

– Okej...

Dworskim gestem wziął mnie za rękę i zaprowadził na środek pokoju.

– Dalej, Lola! – zawołał Jem. Jakby podczas Grand National zagrzewał do biegu konia. Był naprawdę nieźle wstawiony.

Usłyszałam syk Bridie:

– Przymknij się, Jem, ty imbecyлу!

Jake otworzył ramiona – pięknie umięśnione; bicepsy wydatne, ale nie paskudne, nie takie, jak u Mistera Universum – a ja uczyniłam krok w jego stronę. Uderzyło mnie gorąco jego ciała.

Trudno opisać, co czułam. Nie czułam pożądania ani nie kręciło mi się w głowie z miłości. Ale nie czułam także niechęci. Nie odpychał mnie fakt, że to nie Paddy. Chyba byłam... byłam... zainteresowana.

Położył jedną dłoń między moimi łopatkami, drugą zaś na karku. Miło. Na chwilę obecną w moim życiu tak mało było kontaktu fizycznego. (Pani Butterly bardzo mnie lubiła, ale to prosta irlandzka kobieta: prędzej by umarła, niż mnie przytuliła.)

Otoczyłam ramionami jego szyję, dotykając dłońmi włosów na karku. Fajne miejsce pod obojczykiem, na prawo od rekiniego zęba, gdzie można było oprzeć głowę. Tytułem próby oparłam ją. Tak, przyjemnie. Dobre miejsce. Odprężyłam się. Zamknęłam oczy.

Jego T-shirt ciepły i miękki, tors pod nim ciepły i twardy. Przyjemnie, przyjemnie, och, niezaprzeczalnie przyjemnie.

Chyba osiem tysięcy lat minęło, odkąd po raz ostatni tańczyłam z facetem przytulańca. Tego się już po prostu nie robi po ukończeniu piętnastego roku życia, no nie?

Jego skóra pachniała solą. Podejrzewałam, że gdybym wystawiła język i dotknęła nim szyi Jake'a, poczułabym sól.

Prawdę mówiąc, oddychając, poczułam, że lekko czuć od niego potem. Dość niezwykle. Ludzie zachowywali się tak, jakby ich własne zapachy były okropne. To, że on nie pachniał cytrusami, wydawało się nieokrzesane... ale być może to ja taka byłam? Może tak właśnie żyli teraz młodzi ludzie: nie myli się tak często, nie zatykali gruczołów potowych białym świństwem, które potem lądowało na ciuchach, nie spryskiwali się gryzącymi chemikaliami (to znaczy wodą po goleniu). Być może ja i moje przywiązanie do płynu do zmiękczenia tkanin o zapachu magnolii im wydawało się śmieszne.

Jake mocniej mnie przytulił, przesuwał jedną dłoń z karku na talię. W porządku. Ale skupiałam się powyżej linii wody. Jeśli poniżej pojawiły się jakieś drgnięcia – u niego czy u mnie – po prostu nie chciałam o tym wiedzieć.

Piosenka dobiegła końca. Zaczęła się nowa, także wolna. Ale ja miałam dość. Nie potrafię tego lepiej opisać. Podobały mi się jego dotyk i jego zapach, ale na dziś wystarczy.

– Dziękuję. – Odsunęłam się od niego. Sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– To wszystko, Lola?

– To wszystko, Jake. Uśmiechnął się.

W jego oczach podziw? Szacunek? Może nie. Kto wie? Wróciłam do reszty.

– Dlaczego to przerwałaś? – zapytała ostro Bridie.

– Bo tak chciałam.

– Rozumiem, grasz trudną do zdobycia...

– Wcale nie.

– ... ale nic ci to nie da. Równie dobrze możesz od razu wejść po tych schodach i pójść z nim do łóżka!

Nic nie odpowiedziałam. To co robiła Bridie, to przeniesienie. Jake jej się podobał.

Niedziela, 19 października, 13. 17

Obudziłam się i czułam się dziwnie. Miałam oczywiście kaca. Jem był jedyną osobą, która nie spała. Siedział w kuchni i czytał gazetę.

– Zadzwoń do taty – powiedziałam. – Dzwonię do niego w każdą niedzielę mniej więcej o tej porze.

Wyszłam przed dom, usiadłam na schodku i zadzwoniłam pod numer w odległym Birmingham.

Tata odebrał, recytując ich numer telefonu. To staroświeckie, no nie?
(Robią tak w książkach Margery Allingham. „Whitehall 90210” itd.)

– Tata?

– Och... Lola.

– Nieodpowiednia pora?

–Nie.

– Jesteś pewny? Masz głos...

– Jaki?

– ... jakby pora była nieodpowiednia. Jakbyś nie chciał ze mną rozmawiać.

– Czemu miałbym nie chcieć z tobą rozmawiać?

– Eee... ach... – Zebrałam się na odwagę. – Tato, dlaczego ty nigdy do mnie nie dzwonisz?

– Ponieważ ty dzwonisz w każdą niedzielę.

Ale nie mogłam się przestać zastanawiać: A gdybym nie zadzwoniła? Ile by trwało, nim w końcu on zadzwoniłby do mnie? Czasami miałam ochotę go przetestować, ale nie mogłam ryzykować, że może po prostu nigdy nie zadzwonić – nigdy – a wtedy ja nie miałabym ojca.

Zdawkowa rozmowa. Mówiłam głównie ja. Wtedy tata zapytał:

– Co chcesz na Gwiazdkę?

– Mamy dopiero październik.

– Ani się obejrzymy, a będzie grudzień. No więc co chcesz?

– Perfumy. – To tego typu prezent, jaki on uważa, że ojcowie powinni dawać swym córkom.

– Jakie perfumy?

– Dowolne. Niespodziankowe.

– Ty je kup, ja ci pocztą wyślę przekaz.

Przekaz! A dlaczego nie czek? Miał przecież swoje konto w banku! Nie musiał wysyłać przekazu.

Kiedy myślę o życiu, jakie wiodą tata i jego brat – wujek Francis, także wdowiec, także ze skłonnością do depresji – zawsze wyobrażam sobie przygnębiającą sztukę teatralną o życiu na irlandzkiej wsi w latach pięćdziesiątych. Oczami wyobraźni widzę, jak mieszkają w małej ponurej chatce, gdzie w kuchni jest pełno pary od nieustannie gotującego się olbrzymiego gara z ziemniakami. Od wczesnych godzin porannych aż do zachodu słońca obaj ciężko pracują, uprawiając rolę i dojąc krowy, ubrani w staroświeckie białe koszule i spodnie od garnituru wyświechtane na tyłku. Nie istnieje coś takiego jak rozmowa. Co wieczór każdy z nich zjada trzynaście mącznych kartofli i wypija pół litra portera, słuchając w radiu prognozy pogody dla terenów nadmorskich. Następnie klękają na twardej kuchennej podłodze i opierając się łokciami o drewniane krzesło, odmawiają piętnaście zdrowasiek, po czym rozbierają się do podkoszulka i kalesonów i śpią razem w wąskim żelaznym łóżku. Przez wiele lat kolejne dni ciągną się w podobnym duchu, aż w końcu jeden z nich wiesz się w oborze.

Wiem, że rzeczywistość wygląda inaczej. Dom wujka Francisca na przedmieściach Birmingham jest mały, ale funkcjonalny. Jest w nim prąd i bieżąca woda, nie tak jak w domu w mojej głowie. Poza tym każdy ma własny pokój i wiem na sto procent, że tata posiada piżamę i kraciasty szlafrok i nie musi spać w kalesonach. W domu mają jednak sporo religijnej ikonografii. Na honorowym miejscu wisi Najświętsze Serce Pana Jezusa: obraz przedstawiający Jezusa i czerwone serce – to znaczy organ wewnętrzny – na jego piersi. Obraz taki wisi w wielu katolickich domach, ale wujek Francis

szarpnął się na wersję de luxe – w serce wstawione są czerwone migające światełka. Przerazające. Raz musiałam wstać w nocy, by napić się wody i kiedy zobaczyłam migające w ciemnościach czerwone serce, moje własne podeszło mi do gardła ze strachu. Co niedziela chodzą na mszę do kościoła, ale poza tym nie mam pojęcia, co robią ze swoim czasem. Wiem, że wybrali się na szumnie reklamowane ponowne otwarcie: Areny. (Dla waszej informacji Arena to centrum handlowe w centrum Birmingham, a nie prawdziwa arena.)
Inne wielkie wyjście – kino i głośny *Kod da Vinci*. (Biedactwa przyjęli pozycję obronną. „Lepiej jest wiedzieć o atakach na Kościół katolicki. To straszne, w jaki sposób przedstawiono w tym filmie Opus Dei. To porządna organizacja, pełna porządnych ludzi, i nie trzeba nosić tej rzeczy na nodze, jeśli się naprawdę nie chce".)

W końcu rozmowa utknęła w martwym punkcie. Moja cierpliwość wyczerpała się, pożegnałam się więc szorstko, zatrzasnęłam klapkę telefonu i wróciłam do kuchni do Jema.

– Co u taty? – zapytał.

– Jest dla mnie emocjonalnie nieosiągalny. – (Nauczyłam się tego zwrotu na terapii.) – Wiesz co, Jem! – Nagły atak frustracji. – Nic dziwnego, że jestem trochę popieprzona. No bo popatrz tylko na moją rodzinę: matka nie żyje, ojciec w depresji, wujek w depresji. Biorąc to wszystko pod uwagę, to w zasadzie jestem dość normalna!

– Tak! – zgodził się Jem. – No jasne! Jem, lojalny przyjaciel.

14. 12

Bridie zmusiła nas do spaceru po plaży – znalazłam się tam po raz pierwszy od swojego przyjazdu do Knockavoy. Z satysfakcją zobaczyłam, że Bridie i Barry są ubrani normalnie. Potem wyciągnęła nas do pubu na kilka kolejek, by „maksymalnie wykorzystać ten weekend”. (Barry miał szlaban na picie, ponieważ będzie kierowcą.)

Nie miałam ochoty na alkohol – dokuczał mi kac, właściwie było mi niedobrze po tej ilości, jaką skonsumowałam wczoraj – ale Bridie go we mnie wmusiła.

– Nie w każdy weekend masz gości z Dublina!

17. 38

Pomachałam na pożegnanie Bridie, Barry'emu, Treese i Jemowi. Byłam dość mocno wstawiona.

– Źle się czuję z tym, że tak cię tu samą zostawiamy – rzekł Jem.

– Dam sobie radę! Cieszę się, że wracacie do domu. Jestem wykończona.

Nie mam już zdrowia na to całe picie i rozpustę. Bardzo was wszystkich lubię, ale nie wracajcie zbyt szybko.

Poniedziałek, 20 października, 10. 07

Obudziłam się zdecydowanie za wcześnie. Kiepsko się czułam. Dobowy rytm zakłócony przez weekend picia i zarywania nocy. Zadzwoiłam do Bridie, by pogadać.

– Po co dzwonisz? – zapytała.

– Chcę pogadać.

– Pogadać? Spędziłam z tobą cały cholerny weekend. Muszę lecieć.

Rozłączyła się, a ja wpatrywałam się w telefon.

– Pieprz się – powiedziałam.

Kiedy trochę mi przeszło, zadzwoniłam do Treese. Odebrał ktoś, nie Treese.

– Biuro Treese Noonan.

– Czy mogłabym rozmawiać z Treese? – Niełatwo porozmawiać bezpośrednio z nią. To ważna osoba.

– Pani godność?

– Lola Dały.

– A w jakiej sprawie?

– Latryn.

Zostałam od razu połączona. Wiedziałam, że tak będzie. Latryny, magiczne słowo w świecie Treese.

– Wszystko w porządku, Lola?

– Och tak, zadzwoniłam po prostu, by pogadać. Ale Treese także nie mogła poświęcić mi czasu.

– Lola, sorki. Mamy tu kryzys.

W tle słyhać było udręczone krzyki i jęki. Co drugie słowo to „latryny”.

– A tak przy okazji – dodała – to powinnaś się przespać z tym surferem.

I rozłączyła się.

Byłam przybita. Niezaprzeczalnie przybita. Wpatrywałam się ponuro w telefon. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Jema, ale nie zniosłabym kolejnego odrzucenia. Wtedy telefon zadzwonił! Jem!

– Podobno chcesz pogadać.

– Ach – odparłam. – W porządku. Już mi przeszło. Bardzo to jednak było miłe.

14. 08

Nie poszłam do miasta. Chodziłam po domu z kąta w kąt, bezskutecznie próbując się czymś zająć. Jem przywiózł mi z Dublina korespondencję: mnóstwo katalogów od projektantów, ale oglądanie ich okazało się zbyt bolesne. Byłam zbyt smutna, by coś przypominało mi o moim statusie osoby bezrobotnej. W desperacji popełniłam straszliwy błąd i przejrzałam gazety, które zostawił Jem. Nie powinnam była tego robić. W rubryce towarzyskiej znajdowało się oczywiście zdjęcie Paddy'ego i Alicii – konia z otwarcia jakiejś tam wystawy sztuki.

Koszmarnie się zdenerwowałam. Cała drżałam – oczywiste części ciała, takie jak dłonie, kolana i usta, ale także to, co pozostawało schowane: żołądek, pęcherz i płuca. Ogarnęła mnie szaleńcza tęsknota za mamą. Tak strasznie mi jej brakowało. Pragnęłam iść na jej grób i pogadać. Ale nie mogłam jechać do Dublina. Za bardzo drżały mi dłonie. Poza tym miałam zakaz.

Wpadłam na pomysł. Pójdę na cmentarz w Knockavoy, odwiedzę grób kogoś innego, jakiejś kobiety w wieku zbliżonym do mamy, i sobie z nią pogadam.

15. 04

Udałam się na cmentarz pieszo, mając nadzieję, że aktywność fizyczna choć trochę mi pomoże – endorfiny, serotonina i tym podobne – ale szłam dopiero od kilku minut, kiedy zatrzymał się przy mnie samochód. Towarzyszył temu głośny brzęk szkła. Rossa Considine w swoim ekopojeździe. Złe, palące uczucia. Czego on chciał?

– Podrzucić cię do miasta? – zapytał. – Nie będziesz musiała pokonywać pieszo tych osiemdziesięciu metrów.

– Nie idę do miasta.

– A gdzie?

– Na cmentarz. – Nie wdawałam się w szczegóły. No bo i czemu?

– Mogę cię podrzucić. Wsiadaj.

Złe, pełne ognia uczucia. Nie chciałam wsiadać. Nie chciałam rozmawiać z drugim człowiekiem (a przynajmniej nie żywym). Chciałam zostać sama ze swoimi złymi, pełnymi ognia myślami. Ale bałam się, że jeśli wzgardzę jego propozycją, to się domyśli, iż podejrzewam go o to, że jest porywaczem i dziwakiem w okularkach pływackich, więc wsiadłam.

Nie miałam mu nic do powiedzenia. Jechaliśmy w złej, pełnej ognia ciszy.

– Dlaczego idziesz na cmentarz? – zapytał w końcu.

– Porozmawiać z moją matką.

– Jest tu pochowana?

– Nie. Jest pochowana w Dublinie. – Nie miałam ochoty niczego wyjaśniać.

– To jakiś żart?

– Nie.

Cisza.

– Czemu nie jesteś w pracy? – zapytałam, czując się w obowiązku być uprzejmą, ponieważ zaproponowano mi podwiezienie, nawet jeśli nie miałam na to ochoty.

– Dzień wolny. Znowu cisza.

– Rozmowny jesteś – rzekłam.

Wzruszył ramionami, jakby mówił: przyganiał kociół garnkowi.

– Gdzie jedziesz? – zapytałam chłodno. – A może to także jest ściśle tajne?

– Do punktu recydingu. Banku butelek. Chcesz jechać? – Sarkastyczny uśmiech. – Tłuczenie butelek może poprawi ci humor.

– Jaki humor? Nie jestem w żadnym humorze. Zbliżaliśmy się do rozwidlenia dróg. Rossa zwolnił.

– Czas na podjęcie decyzji – rzekł. – Co ma być? Cmentarz czy bank butelek?

– Cmentarz czy bank butelek? Nic dziwnego, że cieszysz się u dziewczyn tak ogromnym powodzeniem.

Zmarszczył brwi – irytacja? – więc szybko dodałam:

– Bank butelek.

No bo czemu nie? Cóż innego miałam dziś do roboty? Na cmentarz mogłam pójść sobie jutro.

– Spontaniczność nadaje życiu smak – powiedziałam.

– Różnorodność.

– Słucham?

– Różnorodność nadaje życiu smak. Nie spontaniczność.

Kurdemol, co za przemądrzały dupek.

Siedziałam sztywno wyprostowana. Właściwie to w ogóle nie dotykałam plecami oparcia. Czułam, że jeśli to zrobię, to stracę animusz. Poza tym bardzo chciałam znaleźć wady w tym jego samochodzie. Ale musiałam przyznać, że auto napędzane elektrycznością funkcjonuje równie dobrze, jak to na benzynę.

Okolica, przez którą jechaliśmy, była dzika i... tak, dzika. Po lewej stronie rozszalały Atlantyk grzmocił falami w wybrzeże; po prawej jałowe ziemie, na których widać było tylko kamienie i raz na jakiś czas skarłowaciałe drzewo.

Po chwili Considine bez słowa włączył radio. Audycja o Colinie Farrellu; podobno był kiedyś *przemieszczającym się tancerzem*, wykonującym rodzaj tańca country i western.

– Bzdura! – Rossa Considine nagle przerwał milczenie. – Colin Farrell to awanturnik. Awanturnicy nie wykonują tego tańca.

Choć raz musiałam mu przyznać rację.

– A kim dokładnie jest przemieszczający się tancerz? – zapytałam.

– Też jestem ciekawy. – W jego głosie słychać było autentyczne zainteresowanie. – Czy to oznacza, że przemieszczał się po parkiecie czy też przemieszczał się po kraju?

15.24

Bank butelek znajdował się w absolutnie przepięknym miejscu. Czy tak właśnie powinno być?

– Proszę. – Rossa Considine podał mi karton z pobrzękującymi butelkami. – Bierz się za tłuczenie.

Wiele da się o kimś powiedzieć na podstawie jego śmieci. Rossa Considine pił piwo, także czerwone wino, ale nie była to jakaś zatrważająco duża ilość, chyba że wystarczało mu to tylko na weekend. Do gotowania używał oliwy z oliwek i sosu sojowego, łykał witaminę C i używał wody po goleniu (Cool Water). No ale nie dostrzegłam niczego, co zdradzałoby, dlaczego trzymał w swoim domu tajemniczą pannę młodą albo nosił w kuchni okularki pływackie.

Recycling zaskakująco przyjemny. Oczywiście, że fajnie jest pomóc środowisku naturalnemu, ale nie doceniałam dotąd tego, jak przyjemnie jest coś tłuc. Rzucanie butelkami i słuchanie, jak rozbijają się na kawałeczki, było emocjonujące. Udało mi się wytłuc wszystkie złe, pełne ognia myśli i uczucia.

– Powinnam była zabrać swoje butelki – rzekłam. – Mam całe tony po weekendzie. Odwiedziny przyjaciół.

– Dam ci znać, gdy będę tu jechał następnym razem.

– Dziękuję. – Chciałam dodać coś niemiłego w rodzaju: „Jakie to z twojej strony miłościwe”, ale nie dodałam. Nieważne, jak na to spojrzeć, jego propozycja zawiezienia mnie do banku butelek nie zawierała sarkazmu.

18. 33

Przed domem zaparkowany samochód, praktycznie obok drzwi. Zasiłkowemu Noelowi ledwie udało się otworzyć drzwi i wysiąść. Szybko i w kucki pokonał drogę od samochodu do domu. Nie chciał, by ktoś go widział. Kiedy już wszedł, wyprostował się i podał mi butelkę wina. Niespodzianka. Miła, nawet jeśli wino było różowe.

– Lola, jakie masz śliczne boa. Co to... pióra strusia? Och, jest cudowne.

– Zaskoczył mnie. Nie byłam przyzwyczajona do tego, że jest dla mnie miły. – No więc gdzie je masz? Gdzie moje maleństwa?

– Tutaj. – Pokazałam na karton.

Niecierpliwie rozpakował parę szpilek w panterkę w rozmiarze czterdzieści pięć i pół. Tulił je do siebie niczym nowo narodzone jagniątko. Głaskał się nimi po swojej lisiej twarzy.

Przyglądałam się temu z niepokojem. Miałam niemal nieodparte pragnienie zasłonięcia sobie oczu. Bałam się, że zamierza dokonać z ich użyciem jakiegoś aktu seksualnego, na przykład spuścić się w nie.

Jakby czytając w moich myślach, rzekł gniewnie:

– Nie jestem zboczeńcem. Ja chcę jedynie je nosić.

Zrzucił adidas i skarpetki i podciągnął nogawki spodni do kolan. Zdjął krawat i zawiązał go sobie wokół głowy, jak jakąś opaskę zakładaną przez aktorki.

– I jeszcze jedno – dodał. – Nie jestem gejem. Jestem równie hetero jak Colin Farrell. – Druga wzmianka na temat Colina Farrrella w ciągu jednego dnia. Co to mogło oznaczać? – Mam ładną żonę, która nie ma żadnych zastrzeżeń w kwestii wiesz jakiej.

Kurdemol! Nie miałam ochoty myśleć o lisim Noelu w takim kontekście.

Powoli i z szacunkiem postawił buty na podłodze. Zmysłowo wsunął w nie jedną stopę, potem drugą.

– Pasują! Pasują! – Chwila godna Kopciuszka. Paradował tam i z powrotem.

– Uwielbiam odgłos wydawany przez obcasy – rzekł radośnie. I dalej stukał. – Och, to mój autobus! Proszę czekać! Proszę nie odjeżdżać beze mnie! – zapiszczał, puszczając się groteskowym „biegiem”. – Och, dziękuję, panie kierowco, że pan na mnie zaczekał. – W kokieteryjnym geście przyłożył dłoń do szyi. – Bardzo pan tę damę uszczęśliwił.

Kurdemol.

– Gdzie mogę się przebrać? – zapytał, wracając do męskiego głosu.

– Przebrać?

– Przebrać się w sukienkę.

– Sukienkę?

– Tak, sukienkę! – Z irytacją poklepał swoją teczkę. O Boże.

– Masz w teczce ubrania transki?

– To crossdressing*! Crossdressing, ile razy mam ci powtarzać?

** Akt ubierania się w stroje uznawane w danym społeczeństwie za typowe dla płci przeciwne).*

Nie chciałam, żeby przebierał się w sukienkę. Chciałam, by wyszedł. Ale nie mogłam tego powiedzieć w obawie przed tym, że pomyślałby sobie, iż go osądzam. Ale ja go nie osądzałam za to, że jest transką. Po prostu go nie lubiłam.

– Przebierz się w kuchni.

Nie chciałam, żeby wchodził na górę. Wszelkie granice i tak już zostały przekroczone.

19. 07

Zniknął w kuchni, z fałszywą skromnością zamykając za sobą drzwi. Usiadłam na kanapie i czekałam. W dość marnym nastroju. Znalazłam się w trudnej sytuacji. Nie byłam pewna, jak do tego doszło.

Wszystko zaczęło się wtedy, gdy tamtego wieczoru w pubie w Miltown Malbay zapytał mnie:

– Umiesz dochować tajemnicy?

– Nie – odparłam. – Nie potrafię trzymać buzi na kłódkę. Słynę z braku dyskrecji.

Nieprawda. Po prostu nie chciałam dochowywać jego tajemnicy. Bez względu na to co to było, w jakiś paskudny sposób by mnie z nim związało.

Ale jemu to nie przeszkadzało. Potrzebował spowiednika.

– Lubię nosić damskie ubrania.

Nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć. Zdecydowałam się na:

– Ja też lubię nosić damskie ubrania.

– Tak, ale ty jesteś kobietą.

– Więc ty jesteś transką?

– Crossdresserem.

Transka, crossdresser... czy to nie to samo?

– Tak naprawdę to nie masz dziewczyny? – zapytałam.

–Nie.

– Te buty w rozmiarze czterdzieści pięć i pół mają być dla ciebie?

–Tak.

(Wiedziałam, że nie może mieć i żony, i dziewczyny. Miał szczęście, że posiadał chociaż jedną kobietę.)

W czasie następnej godziny poznałam historię jego życia. Damskich ciuchów pragnął, odkąd był nastolatkiem. Kiedy miał dom dla siebie – rzadko – malował się kosmetykami żony i przymierzał jej bieliznę. Ale nie ubrania – „zbyt abnegackie”.

Na przestrzeni lat skompletował własny strój – sukienkę, dodatki, perukę, kosmetyki, ale nie buty. Musiały mu wystarczyć pantofle bez pięty i palców w rozmiarze czterdzieści jeden, największym, jakie udało mu się zdobyć. Ale palce i pięty wystawały i chodzenie w nich było bolesne. Trzymał ten strój w torbie w bagażniku swojego auta. Żył w strachu, że żona się o tym dowie.

A potem nastąpił przełom: pojechał do Amsterdamu na weekend kawalerski. Wymknął się swoim kompanom. Znalazł sklep dla transek. Był zachwycony, mogąc przymierzać buty w swoim rozmiarze, bieliznę, peniuary, suknie.

– Nie sądziłem, że to może być takie cudowne!

Kupił tego sporą ilość, ale po wyjściu ze sklepu stracił odwagę. Bał się, że na lotnisku może zostać poddany wrywkowej kontroli i że każą mu otworzyć walizkę – i to przy jego kumplach. Wstyd by go zabił. Postanowił

pozbyć się tych rzeczy. Godzinami chodził po Amsterdamie. W końcu wrzucił zakupy do kanału. Kiedy wrócił do hotelu, koledzy chcieli wiedzieć, gdzie się podziewał. Musiał skłamać i powiedział, że był u prostytutki. Koledzy zgorszeni. Do końca weekendu atmosfera napięta.

W domu Noel nie mógł znaleźć sobie miejsca. Koledzy trzymali się od niego z daleka z powodu jego wysokoku z prostytutką. Ale gorsze było to, że nie potrafił zapomnieć o tym, jak się czuł, kiedy obracał się przed lustrem w sklepie dla transek.

– Przez ten krótki czas czułem się prawdziwym sobą. Coś to we mnie obudziło. Próbowałem zapomnieć, ale bezskutecznie. I wtedy ty weszłaś do mojego biura i oświadczyłaś, że jesteś stylistką!

– Eee... tak... ale nie jestem ci potrzebna. Jestem pewna, że możesz znaleźć takie rzeczy w Internecie.

– Nie mogę. W pracy nie mogę wchodzić na takie strony. Mogliby sprawdzić. Nawet jeśli je wykasuję, i tak zostaną na twardym dysku. A nawet gdybym mógł to robić w anonimowej kafejce internetowej gdzieś daleko od Ennistymon, nie mogę adresować przesyłek do domu. Żona by zobaczyła. Otworzyłyby paczki.

– Nawet jeśli byłyby zaadresowane do ciebie? – Miała tupet ta jego żona.

– Cóż, może by nie otworzyła, ale suszyłaby mi głowę, pytając, co jest w środku, dla kogo, czy może zobaczyć...

W mojej głowie pojawiła się pewna myśl.

– Czy byłoby naprawdę źle, gdyby się o tym dowiedziała?

– Jezus! – Ukrył twarz w dłoniach. – Nie chcę nawet o tym myśleć! Nikt nie może wiedzieć! Mam trójkę małych dzieci. Jestem szanowanym członkiem społeczeństwa. Ogromnie ryzykuję, mówiąc ci to wszystko.

– W porządku. Wcale nie musisz.

Ostatecznie skończyło się to tak, że zgodziłam się zamówić dla niego katalogi dla transek. Kiedy przyszedł pierwszy

– ze specjalistycznym obuwiem – kazał mi zamówić lamparcie szpilki.

– Nie mogę zapłacić za to kartą. Dervla zauważy.

Dervla (żona) musiała być prawdziwą megierą.

Musiałam użyć swojej karty – szczerze mówiąc, to dobrze, że została zaakceptowana, mając na uwadze stan moich finansów – a adresem dostawy była chata wuja Toma. Trzeba jednak przyznać, że Zasiłkowy Noel od razu zwrócił mi pieniądze.

(Trudno mi się do tego przyznać, ale nie jestem zwolenniczką transwestytyzmu. To nie tak, że chciałabym, aby ci ludzie przestali to robić, ale dla mnie to trochę... Ujmę to tak: nie spodobałoby mi się, gdyby robił to Paddy. Myśl o nim w damskiej bieliźnie i z umalowanymi ustami, próbującego zachowywać się uwodzicielsko... Wyglądałby... Prawdę mówiąc, robiło mi się niedobrze na samą o tym myśl... O, nie. Jestem nie tylko rasistką, ale i osobą nienawidzącą transek. Od przyjazdu do Knockavoy dowiaduję się o sobie różnych nieprzyjemnych rzeczy.)

19. 22

– Ta daaa!

Dumnie i zarazem nieśmiało Noel wyłonił się z kuchni, ubrany w krótką, rozciągliwą sukienkę w pomarańczowo–czarne lamparcie cętki, długie do łokci rękawiczki w cętki i – oczywiście – cętkowane buty. Wyglądało na to, że lubi cętki. (Z doświadczenia wiem, że często lubią je rudowłosi.) Rajstopy kabaretki, peruka Tiny Turner, kiepsko zrobiony makijaż. Wyglądał dość

szmirowato. Zbyt oczywiście. Często się okazuje, że mniej znaczy więcej. Ale nic nie powiedziałam. To jego wygląd, jego sprawa.

Poza tym nie chciałam się w to angażować i przedłużać jego obecności w chacie wuja Toma.

– Jestem Natasha – odezwał się „kobiecy” głosem. – Masz moje nowe katalogi?

– Eee... tak... proszę.

– Podrinkujmy sobie. Po kieliszku.

Spojrzałam na niego gniewnie. Nie miałam ochoty na drinkowanie. Po pierwsze, strułam się w weekend, a po drugie, to zmierzało coraz bardziej w stronę królestwa koszmaru.

– To wino, które przyniosłam – rzekł ze zniecierpliwieniem. – Otwórz je.

Och. A więc to nie prezent dla mnie. Wino było dla niego. Cóż, dla Natashy.

Otworzyłam butelkę. Nalałam mu kieliszek. Niespiesznie sączył wino i przeglądał katalogi, z nogą założoną na nogę, jak u fryzjera. Całkiem kształtne te jego kulasy. Długie, szczupłe, niezbyt dużo włosów, a te, które były, miały jasnorudy kolor. Wiele kobiet byłoby dumnych z takich nóg.

Przyglądałam się. Niespokojnie. Jak długo miał tu zamiar zostać? Miałam na wieczór plany. (Murek nad morzem, pani Butterly itd.)

Uniósł głowę.

– Masz jakieś przekąski?

– Przekąski? Na przykład co?

– Paluszki serowe.

. – Paluszki serowe? Gdzie w Knockavoy dostałbyś paluszki serowe?

– Okej. Może chipsy? Orzeszki?

– Raczej nie.

– Sprawdź.

Niechętnie poszłam do kuchni. Na dnie jednej z szafek znalazłam pół paczki tłustych orzeszków.

– Znalazłam orzeszki, ale licho wie, od jak dawna tam leżą...

– Wsymp je do miski, ładnej miski, i poczęstuj mnie.

– Na co umarł twój ostatni niewolnik? – mruknęłam pod nosem i cofnęłam się do kuchni, gdzie wsypałam orzeszki do miski, ale z czystej złościwości nie do jakiejś ładnej. – Orzeszka, Noel?

– Natasha.

– Orzeszka, Natasha?

– Och, nie mogę! Dbam o figurę!

– Ale dopiero co mnie o nie poprosiłeś!

Wtedy zrozumiałam. To wszystko była fikcja. Poczułam się w obowiązku, by się do niej przyłączyć.

– Ale ty masz przecież fantastyczną figurę, Natasha. Przez cały tydzień nie jadłaś deseru, a dziś rano byłaś na zajęciach Biodra Pośladki Uda. – Poniosło mnie. Czułam się lekko histerycznie. – Bądź niegrzeczną dziewczynką. Zjedz sobie orzeszka. I jeszcze trochę podrinkuj!

Dolałam mu wina do kieliszka.

– Och! Śmiało sobie poczynasz! Napiję się jeszcze, jeśli się do mnie przyłączysz. – Szelmowski błysk w oku. Tak dużo niebieskiego cienia! – No dalej, Lola, jeden mały drinuś ci nie zaszkodzi.

Czy tak zachowują się dziewczyny? To właśnie on widzi?

Zgodziłam się na małego drinusa. Na tym etapie byłam za niego wdzięczna.

– Okej, Lola, możesz mi zamówić te dwie seksowne suknie? Zaznaczyłam ci je. I jeszcze skąpy peniuar, czarny i różowy.

Zamarło mi serce. Relacja nie zakończona. Poza tym miał taki okropny gust.

– Mogę zostawić moje nowe buty tutaj? – zapytał. – Zbyt ładne, by wrzucać je do bagażnika.

– Ale jaki z nich będziesz mieć pożytek, jeśli zostawisz je tutaj? – Dręczył mnie coraz większy niepokój.

– Mogę je odwiedzać. Moglibyśmy uzgodnić jakiś stały termin. Na przykład każdy piątkowy wieczór. Żona myśli, że chodzę po pracy na kilka piw. Mógłbym zamiast tego przyjeżdżać tutaj.

Oficjalnie w uścisku paraliżującego strachu. Nie chciałam mieć stałego terminu z Zasiłkowym Noelem!

– Ale to nie jest mój dom! I w każdej chwili mogę wrócić do Dublina!

Zmarszczył brwi. Niezadowolony.

– Natychmiast będziesz musiała zgłosić zmianę adresu. Gdy tylko opuścisz jurysdykcję, nie będzie już zasiłku z hrabstwa Clare.

– Tak, wiem. – Jasno i dobitnie mi to wcześniej wyjaśnił.

– Poza tym nie wyglądasz na wystarczająco zdrową, by wrócić do Dublina. Popatrz tylko na siebie.

Tak. Ulubiony strój. Piżama, kalosze, pierzaste boa.

Pożałowałam, że założyłam boa. Ono niewłaściwie się ludziom kojarzyło. Pierzaste boa to atrybut prawdziwego ekscentryka.

– Od teraz piątkowy wieczór to babski wieczór! – zarządził. – Okej, Lola?

– Będę musiała to uzgodnić z Tomem Twoomeyem, właścicielem tego domu.

– Uzgodnić co? Po prostu zapraszasz znajomego na drinka.

– Tak, ale...

– Po prostu zapraszasz znajomego na drinka – powtórzył. – Okej, Lola? Zgadzą się w tej kwestii?

Smętnie kiwnęłam głową. Nie miałam wyboru. Wyglądało na to, że moje relacje z Zasiłkowym Noelem tak szybko się nie zakończą. Nie byłam z tego powodu szczęśliwa. Naprawdę go nie lubiłam.

Ale – co już mówiłam – dzięki niemu zasiłek przychodził do mnie regularnie i na czas. Noel trzymał mnie w garści.

20. 58

Kiedy tylko ucichł w oddali odgłos samochodu Noela, uznałam, że mam to gdzieś, czy trzyma mnie w garści. Zadzwoiłam do Bridie i wyjaśniłam transkową sytuację.

– Wuj Tom musi o tym wiedzieć – rzekłam. – To pogwałcenie jego domu. Najpewniej postawi się i będzie nalegał na natychmiastowe ustanie czynności transkowych na terenie swojej posiadłości.

– Wuj Tom jest bardzo wyrozumiały.

– Najpewniej będzie zgorszony. Zgorszony!

– Nie sądzę – odparła Bridie. – Przespałaś się już z surferem?

Wtorek, 21 października, 10. 38

Wiadomość na poczcie głosowej. Sarah Jane Hutchinson. Jej głos brzmiał histerycznie. Miała „różnicę zdań” z Nkechi. Wcześniej Sarah Jane naprawdę próbowała się do niej przekonać, ale się nie udało.

– To się nie sprawdza! – zapiszczała. – Nkechi nie jest miła, nie taka miła jak ty. A jeśli chodzi o tę całą Abibi...

Nic nie mogłam poradzić na to, że ogarnęło mnie przyjemne uczucie zadowolenia.

– Nie daję rady! Czekają mnie cztery bale charytatywne. Nie mogę zrobić tego sama! Te suki z kręgów charytatywnych będą patrzeć i śmiać się ze mnie!

Smutne, ale prawdziwe. Sarah Jane nie reagowała paranoicznie ani nie miała nadmiernie wysokiego mniemania o sobie. Prawdziwe, prawdziwe, prawdziwe.

– Lola, jesteś mi potrzebna. Przylatuję do Nowego Jorku, by się z tobą spotkać. Gdzie się zatrzymałaś? Pierre? Carlyle?

Ech, ci bogacze! Nawet tacy mili, jak Sarah Jane! Nie mieli pojęcia o prawdziwym życiu.

Nie stać mnie było choćby na jedną noc w którymś z tych przybytków, nie wspominając o pobycie na czas nieokreślony.

Zadzwoiłam do Sarah Jane. Wiem, że nie powinnam. Część umowy z Nkechi. Ale kazała mi to uczynić zwykłą przyzwoitością.

– Lola, och, Lola, ratujesz mi życie! – Była żałośnie wdzięczna, że oddzwoniłam. – Nie mogę pracować z tą Nkechi! I nie mogę znaleźć żadnej innej stylistki, która zajmie się mną z marszu. Przylatuję do ciebie.

– Nie jestem w Nowym Jorku.

– Nieważne, gdzie jesteś, przylecę. Nawet do Mongolii.

– Jestem dalej. W hrabstwie Clare.

– W Irlandii? Ale to żaden problem. Przyjadę samochodem.

– Ale to zachodnie wybrzeże, ty mieszkasz na wschodnim.

– Dzięki obwodnicy Kildare podróż nie trwa długo. Kolejna miłośniczka obwodnicy Kildare! Powinnam

skontaktować ją z Bridie. Mogłyby założyć klub.

Omówiliśmy potrzeby Sarah Jane. Obiecałam, że zamówię suknie, buty, biżuterię, torebki wieczorowe. Będę musiała się zdemaskować, ale co tam. Co było takiego złego w tym, że przebywam w hrabstwie Clare, a nie w Nowym Jorku?

Nkechi to paranoiczka.

12. 05

Zadzwoiłam do Marilyn Holt, przemiłej biyerki we Frock (według mnie to najlepszy sklep w Irlandii).

– Czy to Lola? – wykrzyknęła.

– Tak, tak. – Pokrótce wyjaśniłam swoją sytuację, a mianowicie, że tymczasowo mieszkam w Knockavoy.

– Myślałam, że jesteś w Nowym Jorku.

– Tak, cóż, teraz jestem w hrabstwie Clare.

– Oczywiście – odparła z dyskrecją. – Oczywiście. Nie muszę znać szczegółów.

Marilyn Holt, bardzo miła kobieta. Bardzo miła.

To oczywiste, że każdy w kręgach mody znalazł moją tragiczną historię. W tym małym kraju niczego nie utrzyma się w sekrecie. Na chwilę ogarnęło mnie złe, pełne ognia uczucie.

Kiedy jednak skończyłam rozmawiać z Marilyn, która obiecała przesłać mi całe tony rzeczy, byłam w duchu zadowolona. Wyglądało na to, że nadal potrafię wyciągać królika z kapelusza. Nadal byłam siłą, z którą się trzeba liczyć.

13. 12

Cmentarz w Knockavoy

Po długim szukaniu i potykaniu się o nagrobki przysłonięte rozszalałymi chwastami i czytaniu płyt znalazłam idealny grób. Katie Cullinan, zmarła w 1897 roku, mając trzydzieści dziewięć lat, tyle samo co mama. Wystarczy na czas mojego pobytu w Knockavoy. Wyrwałam kilka chwastów – grób zarośnięty i omszały, kamień nagrobny cały w plamy – i ucięłam sobie miłą pogawędkę z mamą. Powinnam dodać, że miłą pogawędkę w głowie, nie na głos. Nie było tu nikogo poza mną, niemniej jednak nie chciałam ryzykować.

15. 01

Droga z cmentarza do domu Zadzwonił telefon. Bridie.

– Rozmawiałam z wujem Tomem o tej twojej transce – rzekła.

– I co powiedział? – zapytałam niecierpliwie. – Był zgorszony?

– Mówi, że o ile tylko nikt nie popsuje znowu tostera, to możecie robić, co wam się żywnie podoba.

– Ale mu powiedziałaś, że Noel przebiera się w damskie ciuchy, maluje się i... i... zakłada bieliznę i w ogóle?

– Tak, tak! Nie przeszkadza mu to! Mówi, że ten, kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem. Mówi, że transki to nieszczęśliwe biedaczyska i że nie wyrządzają nikomu żadnej szkody.

– Rozumiem, rozumiem, rozuuuumiem... Wuj Tom to bardzo miły człowiek...

Niemiała wiadomość.

Środa, 22 października, 4. 18 (czas przybliżony)

Miałam przedziwny sen. Tańczyłam country i western z Rossą Considine'em i Colinem Farrellem. Znajdowaliśmy się w pierwszym rzędzie,

za nami wielu, wielu innych tancerzy. Pokazywaliśmy kroki, ponieważ byliśmy najlepsi. Pięta, palce, pięta, palce, przeskok na drugą nogę, pięta, palce, pięta, palce, pięta, palce, kciuki wsunięte za szlufki spodni. We śnie słyszałam nawet piosenkę: *Achy Breaky Heart*. Mieliśmy na sobie haftowane koszule, kowbojki, a na głowach czerwone stetsony. W swoim śnie byłam fantastyczną tancerką, znałam wszystkie kroki i przecinałam parkiet jak uskrzydłona. Potem przerodziło się to w zawody. (Snów nie charakteryzowała wiarygodna fabuła. Podobnie rzecz się miała z telenowelami.) Rossa Considine zajął pierwsze miejsce. Colin Farrell rozgoryczony: oskarżył go o oszukiwanie. O to, że niewłaściwie „przemieszczał się”.

14.13

Kafejka internetowa

Cud! Otwarta. Cecile towarzyszył Zoran, jej „mała turkawka”, i Bóg Miłości Jake.

Kiedy Cecile mnie zobaczyła, zerwała się na równe nogi.

– Hej, Lola, wyglądasz kwitnąco. Zoran, chodź ze mną. Musimy coś załatwić.

Wygoniła z kafejki Zorana – ciemnowłosego, ciemnookiego przystojniaka – zostawiając mnie samą z Jakiem. Patrzył, jak wychodzą, po czym rzekł:

– Urocza dziewczyna, ale ma subtelność słonia.

Głos miał tak niski, że musiałam się uważnie przyglądać jego rozkosznym ustom, niemal czytać z tych ust. Ale oczarował mnie swoim spostrzeżeniem.

Wcześniej założyłam, że przy takim wyglądzie i surferskim życiu może być nieco głupi. Być może zbyt pośpiesznie go oceniłam?

Pytanie do niego.

– Jake, dlaczego masz na imię Jake?

– Skrót od Jacoba.

– Jacoba? Jesteś Żydem?

–Nie.

– Pochodzisz z dziwnej religijnej rodziny, gdzie wszyscy noszą biblijne imiona?

– Tak jak Dinglesowie z *Emmerdale*? – (Dinglesowie, rodzina z telenoweli, gdzie wszyscy jej członkowie noszą imiona Kain, Charity*, Dawid i tym podobne) – Nie. Moja mama w ciąży ze mną jadła dużo krakersów Jacob's. Przez kilka miesięcy tylko po nich nie wymiotowała. Z wdzięczności nazwała mnie Jacob. Mówi, że nie byłoby mnie na świecie, gdyby nie one.

Widzicie? Zbyt dużo informacji. Mit Boga Miłości już zaczyna mieć pęknięcia. Oglądał telenowełe, a jego seksowne imię pochodziło od krakersów!

Czwartek, 23 października. 11. 08

Odebrałam od Nialla, osiłkowego i gadatliwego kuriera z DHL, wielką przesyłkę z ubraniami. Myślałam, że nigdy się go nie pozbędę.

Zerknęłam na karton. Byłam podekscytowana. I pełna niecierpliwego oczekiwania. Poczułam dawne prądy.

Rozerwałam karton. Nagle ogarnęło mnie złe, palące uczucie. Co tu robiły te tandeciarskie kiecki? Marilyn Holt przysłała mi szajs! Wcale nie byłam już siłą, z którą należy się liczyć! Byłam stylistką pośmiewiskiem, której można powierzyć jedynie pozapokazowe ciuchy z syntetycznych materiałów!

* *Ang miłosierdzie.*

Byłam zdruzgotana. Autentycznie zdruzgotana.

Jeszcze raz się przyjrzałam. To nie śliczne suknie z Frock, ale tandetne rzeczy dla Noela! Uff!

18. 38

W drodze do miasta na wieczorne czynności

Mijałam płot Rossy Considine'a. Wkładał właśnie coś do swego ekoauta. Skinęłam oschle głową. W odpowiedzi otrzymałam szorstkie skinienie głową.

Wtedy przypomniałam sobie o śnie.

– Hej – rzekłam. Słowo to wydostało się z mych ust bez mojej woli.

Considine podniósł głowę. Podszedł do furtki.

– Coś mi się przypomniało. W nocy miałam szalony sen. Śniło mi się, że ty i ja tańczyliśmy country i western z Colinem Farrellem.

– Och? Och! To pewnie przez tę audycję w radiu!

– Tak. I byliśmy fantastyczni.

– Naprawdę? – Wyglądał na mocno tym zaskoczonego.

– Ty zajęłeś pierwsze miejsce, a Colin Farrell był bardzo rozżalony. Oskarżył cię o oszukiwanie. O to, że niewłaściwie się przemieszczałeś.

– A jakie przemieszczanie się jest właściwe?

– Nie mam pojęcia. To był tylko sen. Nie jakaś mistyczna lekcja tańca country i western. Ale trzeba przyznać, że bardzo realistyczny był ten sen. Słyszałam nawet piosenkę. *Achy Breaky Heart*.

Skrzywił się.

– Przez cały tydzień będzie mi teraz ta piosenka siedzieć w głowie.

Dzięki, Lola.

Co za maruda.

Kiedy następnym razem mi się przyśni, nie pozwolę mu wygrać żadnej nagrody.

Piątek, 24 października. 11. 09

Niall z DHL – znowu. Tym razem dostarczył prawdziwe sukienki. Kurdemol, piękne, piękne, niezwykle piękne. Materiały, kroje, detale. Całe metry jedwabiu w kolorze kości słoniowej, lśniącego niczym tafla wody; warstwowe spódnice z szeleszczącej tafty; czarne satynowe gorsety.

Tak piękne, że gotowa się byłam popłakać.

Tęskniłam za pracą bardziej, niż to sobie uświadamiałam.

16. 35

Zadzwoił telefon. Zasiłkowy Noel. Po kiego on dzwonił? Jak nic chciał odwołać spotkanie!

– Zjawię się koło siódmej – rzekł. No i nie odwołał! – Nie zapomnij o przekąskach. Ustaw w kuchni lustro i połóż tam moje nowe ubrania. I mam małą niespodziankę. Przyjedzie ze mną kolega.

– Kolega?

– Tak, znalazłem go w Internecie w chat roomie. Mieszka tylko piętnaście kilometrów stąd. Powiedziałem mu o tobie i kryjówce...

Kryjówka!

– Noel, nie możesz sprowadzać innej transki!

– Dlaczego nie?

– A dlaczego tak? – wyplułam z siebie. – To nie jest nawet mój dom.

– Dla celów zasiłkowych to twój adres. Poza tym nie robisz niczego złego. Znajomi wpadną po prostu na małego drinka. Do zobaczenia o siódmej.

Przemierzałam pokój. Naprawdę przemierzałam. Bardzo rozstrojona. Załamywałabym ręce, gdybym wiedziała, jak się to robi. Zastanawiałam się,

czy to jest w ogóle legalne. Czy trzeba posiadać licencję na organizowanie spotkań transek?

19.03

Noel przemknął obok mnie, ciągnąc za sobą do kuchni drugiego mężczyznę. Krótka chwila zażenowania, po czym drzwi się zamknęły.

Zza drzwi dochodziły rozmowy i chichot.

19. 19

Noel wyglądał nawet ponętnie w swojej nowej toalecie – czarnej sukni-tubie ze spandeksu – ale tego drugiego koleś – Blanche

– w życiu nie dałoby się wziąć za kobietę: kawał chłopca, szeroka twarz; czerwone usta; gruba warstwa podkładu; widoczny zarost; peruka Margaret Thatcher; staroświecka fioletoworóżowa garsonka z tweedu (na przedzie spódnicy wyraźnie odznaczało mu się jego męskie wybrzuszenie) i jasnoróżowa bluzka – dokładnie w kolorze plastrów – no i jeszcze krzywo zawiązana kokarda, tuż pod wybitnie dużym jabłkiem Adama.

Uściskał mi dłoń – jego łapy wielkie i szorstkie jak papier ścierny. Pracownik fizyczny?

– Bardzo ci jestem wdzięczna za zaproszenie mnie do swojego domu – mruknął z nieśmiałym uśmiechem.

– Tak naprawdę to nie jest mój dom – powiedziałam szybko.

– W tej chwili owszem. – Noel obrócił się przez odziane w spandeks ramię i podreptał do kuchni, by otworzyć wino.

– Tutaj jest wysyłany zasiłek.

Nieustannie mi to wypominał!

– Usiądź, proszę – rzekłam do Blanche, wskazując na kanapę. – Może coś przekąsisz?

– Nie – wyszeptała w stronę podłogi. Siedziała z rozchylonymi szeroko nogami, zaś wielkie dłonie zwisały jej nad kolanami.

Czułam się nieswojo.

– Skąd masz tę garsonkę – wyrzuciłam z siebie.

– Po mojej matce, niech jej ziemia lekka będzie.

– Śliczny... eee... kolor. – No bo przecież musiałam coś powiedzieć.

– Czas na małego drinusia! – Noel rozdał kieliszki z różowym winem.

Nie mogłam nie zauważyć, że w moim było go znacznie mniej niż w ich. Nie zasługiwałam na pełen kieliszek, ponieważ nie byłam transką. – Zdrówko, moja droga – rzekł, stukając się kieliszkiem z Blanche. – Do dna, dziewczęta.

Złe, palące uczucie. Miałam ochotę powiedzieć Natashy, że żadna mi znana kobieta nigdy by nie powiedziała „do dna”.

– Masz supersukienkę, Lola – odezwała się nieśmiało Blanche. – To Dior?

Rzeczywiście! Vintage rzecz jasna, w życiu by mnie nie było stać na nową. Byłam pod wrażeniem.

– To Dior!

– Dzieło sztuki – mruknęła. – Dzieło sztuki.

– Cudna suknia – zgodziła się Natasha, próbując wtrącić swoje trzy grosze.

– Skąd wiedziałaś, że to Dior? – zapytałam.

– Po prostu wiedziałam – odparła Natasha.

– Nie ty! – Nie ukrywałam irytacji. – Blanche.

– Czytam dużo książek o modzie. Oczywiście w tajemnicy.

– Naprawdę? A ubierasz się... w damskie ciuchy... od dawna?

– Całe swoje życie, Lola, całe swoje życie. Odkąd byłam mała.

Fascynujące.

– A twoi rodzice wiedzieli o tym?

– O, tak. Za każdym razem kiedy mnie przyłapali, ojciec bił mnie pasem na kwaśnie jabłko. – Dziwnie optymistycznie to brzmiało. – Ale nic nie mogłam na to poradzić, Lola. Milion razy próbowałam przestać. Koszmarnie się wstydziłam.

Bardziej rozmowna niż wydawało się na początku.

– A jak jest obecnie... eee... Blanche? Masz żonę?

– W rzeczy samej.

– A twoja żona wie? Chwila milczenia.

– Próbowałam jej powiedzieć. Myślała, że chcę jej powiedzieć, że jestem homoseksualistą. Naskoczyła na mnie. Prościej było zostawić to wszystko tak, jak jest... Ale jest mi ciężko. Żyję w kłamstwie, Lola, żyję w kłamstwie. Wtedy Natasha mi powiedziała, że mogę tu przyjść. To było niczym lina ratownicza, mówię ci, lina ratownicza. Myślałam, że nie dam już tak dłużej rady. Myślałam o założeniu sobie pętli na szyję.

– To znaczy... zamierzałaś się zabić?

Wzruszyła ramionami.

– Jestem strasznie samotna.

Kurdemol!

Bałam się, że się rozpłaczę.

– Uwielbiam piękne rzeczy – powiedziała. – – Czasami chcę je nosić.

Czy to robi ze mnie potwora?

– Nie. Nie, w żadnym razie!

– Nie jestem jakimś... zboczeńcem ani... dewiantem. To nie ma absolutnie nic wspólnego z seksem. Wystarczyłoby mi, gdybym mogła w moich strojach oglądać telewizję.

– Oczywiście!

– Natasha mówi, że pomożesz mi zamówić z katalogów ubrania i buty? Kurdemol. Wzdrygnęłam się z przerażeniem. Ale współczułam temu biednemu człowiekowi. Pragnęłam pomóc. Mogłam pomóc.

19. 37– 20. 18

Noel zaprezentował się w swoich nowych strojach, włącznie ze skąpą różową koszulką nocną i majteczkami do kompletu. Niełatwo to było przetrwać.

20. 19 – 20. 40

Ożywiona dyskusja na temat przepięknych sukni w *Tańcu z gwiazdami*. Nie widziałam go z powodu braku telewizora, nie mogłam się więc przyłączyć.

20. 41 – 22. 10

Noel hałaśliwie przekartkował „Vogue'a” i skrytykował wszystkie modelki, nazywając je „tłustymi sukami”.

Blanche przejrzała katalogi dla transek. Większość sukni zlekceważyła jako „zbyt barwne i pikantne”, ale zastukała stwardniałym palcem w granatową luźną sukienkę i dostojny kardigan z miękkiej owczej wełny.

– Klasyka.

– Tak – zgodziłam się. – Oplywowy krój. Ładnie byś w tym wyglądała. – Przyszedł mi do głowy pomysł! – Czy wolno mi coś zasugerować? Nie poczujesz się urażona? Gdybyś założyła na szyję naszyjnik z pereł, zakryłby on jabłko Adama.

– Ani trochę mnie nie uraziłaś.

– I może granatowe czółenka na niewysokim obcasie?

–Tak.

–I... ojej, mam nadzieję, że się nie obrazisz... ale co powiesz na specjalną bieliznę, by ukryć skromność? – To znaczy by wcisnąć w nią twoje męskie klejnoty, tak by nie było ich widać w tej granatowej sukience. Zrozumiała. Nie obraziła się. Właściwie to się ucieszyła.

Kiedy skończyliśmy wybieranie, wyjęła ołówek, polizała go, zsumowała ceny, wsunęła ołówek za ucho, otworzyła przedpotopową torebkę, wyjęła spory plik brudnych banknotów o nominale pięćdziesięciu euro, odliczyła całkiem sporo, po czym wcisnęła mi je do ręki tak, jakbym jej właśnie sprzedawała medalowego byczka.

– Dałaś mi za dużo – rzekłam.

– To za fatygę.

Noel podniósł głowę znad magazynu.

– Musisz zgłaszać każdy dochód – odezwał się ostro.

– To nie dochód – odparła Blanche. – To prezent. Czułam się nieswojo.

Wiele problematycznych kwestii.

Czy Blanche mnie przekupywała, bym była dla niej miła? Czy prowadziłam interesy w chacie wuja Toma? Jak się to wszystko skończy?

22. 15

Wieczór dobiegł końca. Blanche musiał jechać. Miał gospodarstwo mleczne. Posiadał sześćdziesiąt sztuk bydła i musiał wstawać o piątej, by je wydoić. Blanche to mężczyzna dobrze sytuowany.

– Mogę przyjechać ponownie w przyszły piątek? – zapytał.

– Tak, i w każdy inny piątek – odparł Noel.

– Porządna z ciebie kobieta – rzekł do mnie Blanche. – Czułem się taki samotny.

22. 30

W drodze do miasta

Chłodna noc, ale mnie było ciepło. Obmyśliłam plan. Jeśli wuj Tom zgodzi się na to, by w jego domu gościła nie jedna transka, ale dwie, wtedy im pomogę. Cóż, prawdę mówiąc, nie miałam ochoty pomagać Noelowi, wcale go nie lubiłam, zrobię dla niego niezbędne minimum. Ale ten biedny Blanche. Nauczę go malować się – okropny był sposób, w jaki nakładał makijaż, jakby bielił ścianę. Nauczę go, jak dobierać dodatki. Udzielę mu lekcji odpowiedniego poruszania się. Przez całe życie starałam się czynić kobiety pięknymi. Niczym się to nie różniło od sytuacji, w której kobietami byli mężczyźni.

Przyszedł mi do głowy świetny pomysł – na następny piątek wypożyczę dla nas jakiś fajny film. Fajny film, gdzie ważną rolę będą grały ubrania. Byłoby podwójnie wspaniale, gdyby mógł to być także film o zemście. Powiem o tym Brandonowi. To będzie dla niego wyzwaniem.

0. 12

Hmmm. Szłam do domu. Postanowiłam, że zamiast ulicą pójdę dołem, drogą przy plaży. Powód? Żaden. Chciałam jedynie... zobaczyć... dom surferów, ale kiedy się zbliżyłam, okazało się, że jest w nim ciemno. Poczułam przygnębienie.

Stałam przed nim chwilę, patrząc w okno na piętrze, wypatrując migającego światła świec. Był tam?

Nic. Fale poniżej przybijały do brzegu i się cofały. Odwróciłam się, by ruszyć dalej, kiedy usłyszałam, jak ktoś mówi niskim głosem, ledwie głośniejszym od szumu fal:

– Lola.

Zaskoczyło mnie to. To był Jake. Siedział po turecku na parapecie. Prawie w ogóle go nie widziałam, jedynie srebrzysty błysk, gdy światło z nad morza docierało do jego oczu.

– Co robisz, siedząc tak po ciemku? – zapytałam.

– Słucham morza. – Pauza. – Myślę o tobie. – Pauza. – I oto się zjawiaś.

Wszystkie zmysły mi się wyostrzyły, jak u zwierzęcia w niebezpieczeństwie. Nieważne, że nosił imię po krakersach – czułam mrowienie w koniuszkach palców, brodawki mi stwardniały, nagle stałam się świadoma swoich bawełnianych majteczek.

– A co ty robisz? – zapytał. Jego głos... taki przejmujący.

– Idę do domu.

– Już nie. Chodź tutaj.

Zastanawiałam się przez chwilę. Co by było, gdybym tak właśnie zrobiła?

– Jest tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć – powiedział Jake, czytając w moich myślach.

Uczyniłam trzy kroki w jego stronę, a kiedy byłam już wystarczająco blisko, on zmienił pozycję i za pomocą nóg szybko przyciągnął mnie do siebie. Nagle znalazłam się na tyle blisko, by czuć sól, by czuć pot. Lekko zaszokowała mnie jego bliskość. Nie byłam na nią przygotowana. Nasze twarze na tej samej wysokości, nasze spojrzenia skrzyżowane, jego legendarne usta zaledwie piętnaście centymetrów od moich ust.

Przyciągnął mnie jeszcze bliżej. Oparł dłonie na moich ramionach. W kącikach jego ust lekki uśmiech. Wyzwanie? Podziw?

Nie wiedziałam, co zrobić z rękami. Wtedy postanowiłam: a co mi tam? Byłam dorosła. Zarzuciłam mu je na szyję.

– To mi się podoba. – Wpatrywałam się w jego usta. – Posłuchaj morza – szepnął. – Zamknij oczy i słuchaj.

Zamknęłam oczy. Szum fal od razu głośniejszy. Słyszałam oddech Jake'a. Wtedy, szok! Poczułam na ustach czubeczek jego języka. Powoli, boleśnie powoli przesuwiał nim po mojej dolnej wardze. Boże, to było przyjemne. Boże, to było naprawdę przyjemne. Jego język dotarł w końcu do kącika mych ust i rozpoczął drogę wzdłuż górnej wargi, oszłamiając moje zakończenia nerwowe. A potem zaczęliśmy się całować na poważnie.

– Wejź do środka – rzekł mi do ucha, niskim i ciepłym głosem.

Pomyślałam o magicznej sypialni. Pomyślałam o tym wszystkim, co mogło się zdarzyć, gdybym przekroczyła próg.

Atak paniki. Był za blisko. Zbyt dużo mężczyzny, który nie był Paddym.

Wyrwałam się z jego uścisku niczym dopominająca się uwagi bohaterka melodramatu.

– Nie mogę.

– Och, Lola.

W jego głosie słychać było irytację, ale kiedy oddalałam się pospiesznie, nie poszedł za mną.

To dobrze. Nie powinnam była tam chodzić. Nie powinnam się była z nim całować. Byłam roztrzęsiona. Bóg Miłości oferował mi seks. Na tacy! I na sam koniec straciłam odwagę. To wszystko przez Paddy'ego de Courcy. Przez niego nie mogłam uprawiać normalnego seksu z innymi mężczyznami!

Nieprzyjemna myśl. Byłam rasistką, nie lubiłam transek, a teraz okazałam się także podpuszczalską.

Snucie wspomnień

Paddy tak bardzo się różnił od innych mężczyzn. Był potężny. Nago wydawał się jeszcze potężniejszy. Owłosiony tors. W seksie bardzo skupiony. Błyszczące oczy. Amator zabaw. Mnóstwo inwencji. Lubił rekwizyty.

Po pierwszej randce pragnęłam następnej. Nie miałam już wątpliwości, w zamian czułam się zniewolona. Jedyne, czego pragnęłam, to pójść z nim znowu do łóżka. Za każdym razem gdy zamykałam oczy, widziałam go pochylającego się nade mną, mokrego od potu, tak jak to sobie wyobraziłam na cmentarzu.

Próbowałam porozmawiać o tym z mamą, ale nie słyszałam w głowie jej odpowiedzi. Zarządziłam więc spotkanie na szczycie w restauracji z Bridie, Treese i Jemem. Opowiedziałam im całą historię: samochód, sklep, bielizna, pożądanie i ekspresowa droga do mojego mieszkania, gdzie uprawialiśmy szalony seks. Na początku mojej historii wydawali okrzyki zaskoczenia i uznania, ale z czasem robili się coraz cichsi. Kiedy skończyłam opowiadać, przy stoliku panowała cisza. Trzy pary oczu uciekały przed moim spojrzeniem. Nikt się nie odezwał. Nagle pożałowałam, że im o tym powiedziałam.

– Eee... – Wzięłam do ręki nóż do masła i uważnie mu się przyglądałam.

Odezwała się Bridie:

– Widzę, że żyję pod kloszem! – oświadczyła z nieoczekiwaną goryczą. – Zazdroszczę ci, Lola, tak, przyznaję, zazdroszczę ci.

– Boże – mruknął Jem. – Napaliłem się. Chyba będę musiał pójść do domu. Sorki.

– Jeśli to właśnie dzieje się na pierwszej randce z Paddym de Courcy – odezwała się Treese – to co będzie dalej?

Jemowi zaświeciły się oczy.

– Koniecznie nam o tym opowiedz, Lola.

Treese nie była rozbawiona.

– Lola, nie rób niczego, czego nie chcesz.

(A kiedykolwiek coś takiego robiłam? Cóż, może nie zawsze od razu czegoś chciałam, ale prędzej czy później zawsze zmieniałam zdanie.)

Druga randka z Paddym zaczęła się bez fajerwerków: z mieszkania odebrał mnie Hiszpan John i po długim czasie spędzonym w dublińskich korkach zaparkował przed niczym niewyróżniającym się domem w stylu georgiańskim. Zadzwoił gdzieś, mówiąc cicho, że już jesteśmy. Wtedy nijakie drzwi otworzyły się i jakiś dżentelmen wprowadził mnie do środka. Sporo boksów z czerwonego pluszu. Uświadomiłam sobie, że znalazłam się w prywatnym klubie, nie w jakiejś zwykłej restauracji.

Personel – wyłącznie mężczyźni – wbijał spojrzenia w dywan, starannie prezentując dyskrecję.

Paddy czekał już w jednym z boksów z wysokim oparciem, pochylony nad jakimś dokumentem. Zaznaczał w nim coś na czerwono. Drgnęło coś we mnie na widok jego puszących się włosów. Wtedy przeszył mnie spojrzeniem swych niebieskich, mocno niebieskich oczu i byłam już stracona.

– Co za miejsce! Cóż za przedstawienie! – zaśmiałam się, gdy usiadłam.

– Założę się, że jeśli kelnerzy zobaczą coś, czego nie powinni, ochoczo wykipią sobie oczy, jeśli się ich o to poprosi.

– Nieco tu przesadzają – przyznał Paddy.

– Średnia wieku bardzo wysoka – rzekłam, rozglądając się.

– Tak. Boję się, że nabawię się podagry, jeśli będę tu spędzał zbyt dużo czasu, ale tu przynajmniej mogę się zrelaksować. Nie istnieje niebezpieczeństwo, że w gazecie ukaże się moje zdjęcie.

Osobiście nie miałabym problemu z tym, że moje zdjęcie ukaże się w gazecie, ale powstrzymałam się od wypowiedzenia tego na głos. Nie chciałam, żeby pomyślał sobie, iż jestem z nim dla sławy i pieniędzy.

Menu zgodnie z przewidywaniami.

– Sarnina! Pieczeń ze słonki! Popatrz tylko na te dania! Stek wieprzowy z plastrem ananasa! Budzi wspomnienia! Moja mama przyrządzała go, kiedy byłam mała. Chyba właśnie to zamówię w imię starych dobrych czasów.

Paddy złożył za mnie zamówienie – niedopuszczalne! Ale powiedział, że kelnerzy nie słyszą kobiet, że byli tak jakby słuchowymi eunuchami.

– Opowiedz mi, co dzisiaj robiłaś – rzekł.

Zdałam mu relację z sesji zdjęciowej dla magazynu, czując się – trochę – jak dziecko opowiadające o tym, co robiło w szkole.

– Tym właśnie zawsze się chciałaś zajmować? Stylizacją?

– Kurdemol, nie. Miałam znacznie wznioślejsze ambicje, by zostać projektantką, ale się nie udało.

Zamilkł, wyraźnie pogrążony w myślach. Nagle ponownie się skoncentrował, po raz kolejny przyszpilając mnie swymi niebieskimi reflektorami.

– Myślisz, że zmienił kierunek twego życia fakt, że tak wcześnie straciłaś matkę?

– Nie wiem. Pewnie się nigdy tego nie dowiem. Nie wiem, czy w ogóle miałam talent potrzebny projektantowi. Może dzięki jej wsparciu lepiej by mi

poszło... Kto wie? Być może lepiej bym sobie radziła w byciu szczęśliwą. A jak jest w twoim przypadku?

Patrzył chwilę przed siebie.

– Tak – powiedział powoli. – Może lepiej bym sobie radził, jak to ujęłaś, w byciu szczęśliwym. Kiedy umiera ci rodzic, gdy jesteś jeszcze młody, dowiadujesz się nagle, że może się przytrafić najgorsze. Tracisz tę niewinność, tę wiarę w szczęśliwe zakończenia. Świat wydaje ci się dużo bardziej ponury niż innym. Wiesz, co mnie naprawdę wkurza? – zapytał. – To, jak ludzie narzekają zawsze na swoje matki!

– Tak! Ciągłe opowiadają, że ich matka to zrzęda, która ciągle pyta, dlaczego się jeszcze nie poślubiło miłego mężczyzny z porządnym funduszem emerytalnym.

– Albo śmieją się z tego, że ich matki przygotowują staroświeckie obiady, na przykład gulasz czy kotlety. Wystarczyłoby, że przez jakiś czas nie mieliby matki, a bardzo by się ucieszyli z kotleta!

Odkryliśmy także, że mamy nieobecnych ojców. Oboje byliśmy w pewnym sensie sierotami!

– Mój mieszka w Birmingham – rzekłam.

– Mój równie dobrze może mieszkać w Birmingham.

– Dlaczego?

– Szkoda dla niego miejsca! – odparł z lekceważeniem. Po czym dodał z odrobiną goryczy: – W ogóle się nie widzimy. – Paddy, wrażliwy człowiek. Nigdy byś nie powiedział, że to taki zbok.

Kolacja przydługa. Niekończąca się parada półmisków z serami, porto i armagnacu. Na stole coraz więcej wszystkiego. Kiedy w końcu pojawił się rachunek – w grubej czerwonej teczce – zaczynałam już odczuwać lekką

desperację. Mężczyzna, który go przyniósł, był tak służalczy, że niemal czołgał się na brzuchu.

– Ja zapłacę – rzekłam.

Paddy pokręcił głową. Szepnął mi do ucha:

– Gdyby kobieta próbowała tutaj zapłacić, zabiłby ich szok. Nadal uważają, że kobietom nie wolno wypożyczać filmów na własne nazwisko. Pojedziemy do mnie?

Zaskoczyła mnie nagła zmiana tematu i nastroju.

– Do mnie jest bliżej.

Ale chciałem zobaczyć, jak on mieszka.

Nie miałam ku temu zbyt okazji. Zaraz po wejściu do mieszkania udałam się do łazienki, a kiedy wyszłam, usłyszałam, jak Paddy woła mnie z jakiegoś pokoju:

– Lola! Tutaj.

Kierując się jego głosem, pchnęłam drzwi. Nie był to salon, jak się spodziewałam, lecz sypialnia.

Paddy leżał w poprzek łóżka, zupełnie nagi. Coś czytał. Czasopismo. Zdjęcia. Podeszłam bliżej. Nagle się zatrzymałam. Osłupiała. To było porno. Wtedy zobaczyłam jego erekcję, olbrzymią i purpurową, wyrastającą z gęstych, ciemnych włosów łonowych.

Cofnęłam się. Poczulałam się urażona. Natychmiast chciałam stąd wyjść.

– Nie odchódź. – Roześmiał się. Naprawdę. – Spodoba ci się.

– Nie spodoba.

Ale choć było mi przykro, czułam też ciekawość. Nawet odrobinę... podniecenia. Poklepał łóżko.

– Chodź i zerknij na to.

Nie poruszyłam się. Moje nogi miały problem z podjęciem decyzji.

– No chodź – powiedział nagle. – Bardzo ci się spodoba.

Jakaś część mnie mu uwierzyła. Ostrożnie podeszłam do łóżka i przysiadłam skromnie na brzegu.

– Spójrz – rzekł. – Spójrz na nią.

Magazyn otwarty był na zdjęciu młodej Azjatki z długimi czarnymi włosami i dużym biustem.

– Piękna, prawda?

Zawahałam się.

– Tak.

Leżał na boku i dotykał się. Dotarło do mnie, że się masturbuje. Ponownie osłupiałam.

– Chciałabyś się z nią pieprzyć? – zapytał mnie.

– Nie!

– Nie? Ja tak.

Jego ręka poruszała się szybciej. Szybciej i szybciej. Był już spocony. Przyglądał mi się uważnie.

– Chętnie zobaczyłbym ciebie i ją razem w łóżku – powiedział.

Czułam się zazdrosna i skalana, byłam bliska mdłości i wbrew rozsądkowi mocno podniecona.

– Zaraz dojdę – powiedział ochryplym głosem. – Zaraz dojdę.

– Nie! – rzekłam ostro.

Odepchnęłam jego rękę, podniosłam magazyn i cisnęłam nim przez pokój.

– Dojdiesz dopiero, gdy ci pozwolę! Gdzie gumki?

– Tam – odparł z błędnym wzrokiem. Otworzyłam szufladę, znalazłam gumkę, nałożyłam ją tak szybko, jak jeszcze nigdy, uchwyciłam jego erekcję niczym dźwignię skrzyni biegów i zsunęłam się na niego, czując pierwsze fale przyjemności.

Sobota, 25 października, 13. 25

Zadzwoiłam do Bridie. Kazałam jej powiedzieć wujowi Tomowi, że liczba transek w jego domu uległa podwojeniu.

– Przekażę mu. Wątpię, by miał coś przeciwko. Przespałaś się już z tym surferem?

14. 01

Cmentarz w Knockavoy

– Mamo, co powinnam zrobić z tym surferem? Cholerna Bridie musiała się spytać akurat o to!

Czasami, kiedy zadawałam mamie pytanie, nie od razu otrzymywałam odpowiedź, ale tym razem natychmiast usłyszałam jej głos:

– Zabaw się trochę, Lola. Nie podchodź do tego zbyt poważnie.

– Dlaczego nie mam podchodzić do tego zbyt poważnie? Ty też uważasz, że jest dla mnie zbyt przystojny?

– Wcale nie! Jesteś piękną dziewczyną. Możesz przebierać wśród mężczyzn.

– Dzięki, mamo, ale ty jesteś moją mamą, nie jesteś bezstronna.

– Zabaw się trochę, Lola – powtórzył jej głos.

– Mogę cię o coś zapytać, mamo? – Czasem mnie to dręczyło. – Nie siedzę sama na cmentarzu i nie mówię do siebie jak świr, prawda? Jesteś tutaj?

– Oczywiście, że tak! Jestem twoją mamą. Zawsze jestem przy tobie.

15. 30

Supermarket

– Wyzwanie dla ciebie, Brandon. Potrzebuję filmu o zemście, w którym będą bardzo ładne ubrania.

1533

Telefon od Bridie.

– Wuj Tom mówi, że o ile nikt nie zepsuje znowu toster, to możecie robić, co wam się żywnie podoba.

Niech więc tak będzie.

15. 39

Kafejka internetowa

Znalazłam fantastyczną stronę z kosmetykami do makijażu opracowanymi specjalnie dla mężczyzn. Złożyłam spore zamówienie. Stać mnie było na to dzięki hojności Blanche.

418

Obiecano dostawę w czterdzieści osiem godzin, nawet do Knockavoy! Jeśli mam być szczerą, to niesamowicie się cieszyłam na myśl o przemienieniu Blanche z Kopciuszka w księżniczkę.

Poniedziałek, 27 października, 9. 45

Z Dublina przyjechała Sarah Jane Hutchinson.

– Żyjesz teraz na dwóch wybrzeżach! – wykrzyknęła, wyskakując z samochodu (niezwykle długiego jaguara).

Pracowity dzień: przymierzanie sukien, butów, dodatków w celu skomponowania czterech odpowiednich dla niej zestawów. W końcu, pomimo przeszkód (np. nieładne kolana Sarah Jane; niezdrowe przywiązanie Sarah Jane do koloru koralowego), zadanie zostało wykonane. Podpowiedziałam, jakie

fryzury i kolory w makijażu będą pasować do każdego z zestawów. Wszystko napisałam na kartce i zapewniłam, że może dzwonić do mnie po konsultacje.

Bardzo mi się to wszystko podobało. Strasznie brakowało mi mojej pracy.

Sarah Jane wypisała mi czek na okrągłą sumkę – pokrywającą koszt strojów – i wręczyła zwitek banknotów.

– Nasz mały sekret. Fiskus nie musi wiedzieć o wszystkim.

Opływam w gotówkę! **19. 07**

U pani Butterly

Rossa Considine i Fretka siedzieli przy barze i pili po jakimś drinku. Znów byli razem, co wiedziałam od Bossa, Mossa i Profesora. Miałam ochotę, by sobie poszli.

– Wciąż mam w głowie tę piosenkę, Lola – odezwał się Considine.

– Jaką piosenkę? – Wtedy przypomniałam sobie. – Nic nie mów!

Za późno.

– *Achy Breaky Heart.*

– Dzięki – powiedziałam ponuro. – Teraz przez cały tydzień będę ją miała w głowie.

Wtorek, 28 października, 11. 39

Przyjechał Niall z DHL, by zabrać pozostałe rzeczy dla uroczej Marilyn Holt z Dublina.

Środa, 29 października, 11. 15

Kurier z DHL przywiózł męskie kosmetyki!

Czwartek, 30 października, 11. 22

Kurier z DHL przywiózł damskie ubrania dla Blanche!

13. 15

Kurier z DHL przywiózł nowe peniuary dla Noela! Niall zapomniał o nich wcześniej. Musiał przyjechać po raz drugi. Nie zabawia mnie już przydługimi pogawędkami. Właściwie to zachowuje się dość gburowato. Super!

22. 35

Leżałam na sofie i czytałam thriller, kiedy usłyszałam dziwne odgłosy. Stukanie, jakby padał grad. No ale przecież nie padał.

Kiedy odgłosy się powtórzyły, wstałam z sofy, otworzyłam drzwi i wyjrzałam na dwór. Tam ktoś był! Mężczyzna. Jake. Mój wzrok przyzwyczał się do ciemności w samą porę, bym zobaczyła, jak bierze garść żwiru i rzuca nim w okno na piętrze.

– Dlaczego rzucasz kamykami w moje okno?

Zaskoczyłam go.

– Żebyś mnie wpuściła. – Powiedział to tym swoim charakterystycznym mrukliwym głosem, nie dosłyszałam konkretnych słów, ale z rytmu zdania wyłapałam sens.

– Mogłeś po prostu zapukać.

Podszedł bliżej i szeroko się uśmiechnął.

– Tak jest bardziej romantycznie.

Faceci jego pokroju, którzy romansują z mężatkami, muszą być przyzwyczajeni do stosowania podstępów. Do wymykania się oknem, chowania w szafie, obywatnia się bez dzwonka itp.

Zbliżył się do mnie i stanął zbyt blisko: nasze ciała niemal się stykały.

– Mogę wejść?

Odsunęłam się na bok, by go wpuścić. Stanęłam na środku pokoju, a on ponownie umiejscowił się naprzeciwko mnie, jakbyśmy zostali razem zamknięci w żelaznej klatce. Rzekł z uśmiechem:

– Czekałem na ciebie. Nie wróciłaś do mnie.

–Nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Nie udawałam wstydlivej.

Rzeczywiście nie wiedziałam.

– Cieszysz się, że tu jestem?

Zastanowiłam się.

–Tak.

– Możemy zacząć w miejscu, gdzie wtedy skończyliśmy?

Ponownie się zastanowiłam.

–Tak.

Całowanie, całowanie, przyprawiające o zawrót głowy całowanie. Niespieszna droga do sypialni, w ślad za nami zostawały ubrania: na podłodze, schodach, w końcu w łóżku.

Nie mogłam się powstrzymać, by nie porównywać. Zupełnie inne ciało niż u Paddy'ego. Bardziej opalone, bardziej gibkie, mniej owłosione. W przeciwieństwie do Paddy'ego, który zawsze pachniał świeżością, Jake lekko śmierdzał. Nie w sposób nieprzyjemny. Piżmowo, tak naprawdę to pachniał seksem.

Świetnie sobie radził w różnych pozycjach; robiliśmy to, gdy leżałam na brzuchu, gdy leżałam na boku, gdy siedziałam na nim twarzą do niego, gdy siedziałam na nim tyłem do niego. Objął mnie w talii, gdy na nim siedziałam,

ostrożnie usiadł, bardzo się starając nie wysunąć ze mnie. Oboje siedzieliśmy teraz na skraju łóżka, on zerkał przez moje ramię i przyglądał się nam w lustrze. Dłonie trzymał na mych biodrach i powoli poruszał się w górę i w dół.

– Jesteś cudowna – wymruczał do mojego odbicia.

Skrzywiłam się. Dość miałam tego rodzaju rzeczy. Luster i perwersji. Czemu tak trudno załapać się na zwykłe, normalne bzykanko?

I tak to szło dalej, jedna pozycja, druga pozycja, a kiedy jakimś cudem on wylądował na mnie w pozycji klasycznej, wydawał się zaskoczony. Od razu chciał mnie podnieść i przejść do innej pozycji, ale go powstrzymałam.

– Zostań tak, jak jesteś.

Miałam ochotę czuć na sobie ciężar mężczyzny. Chwyciłam go za pośladki, by nie mógł uciec.

– Podoba mi się tak – rzekłam.

0. 12

Leżeliśmy po wszystkim przytuleni. Błogość.

– Myślisz czasami o wszechświecie? – zapytał Jake.

–Nie.

– O tych wszystkich ludziach i wszystkich rzeczach, które musiały się wydarzyć, zanim nasze ścieżki się skrzyżowały?

– Nie. – Ziewnęłam.

Jakie to słodkie. Próbował ze mną rozmawiać po stosunku.

– W porządku – powiedziałam. – Daję ci szóstkę za to, że nie przekreśliłeś się na bok i od razu nie zasnąłeś. Jesteś wspaniały. Ale nie musisz do mnie mówić.

Piątek, 31 października, 7. 38

Kolejna błogość.

– O kurczę – rzekłam. – Sześć nieprawdopodobnych pozycji przed śniadaniem.

Jake wyskoczył z łóżka.

– Szalony seks, a nie ma jeszcze ósmej. – Wyrzął przez okno. – Jest przypływ. Muszę lecieć.

– Pa – powiedziałam sennie.

Wyszedł. Leżałam w łóżku i myślałam. No więc to było pierwsze bzykanko po Paddym. Doskonały nastrój? Nie, głęboki smutek – jakby uprawianie seksu z surferem oznaczało, że to naprawdę koniec. Wylałam w poduszkę morze łez.

Jednak dobrze jest wiedzieć, że tam na dole wszystko normalnie funkcjonuje.

10. 20

Zadzwoiłam do Bridie.

– Uprawiałam seks z Jakiem.

Cisza. Po chwili jęk.

– Tak ci zazdrozczę – miauknęła. – Tak ci zazdrozczę. Jak było?

– To demon, jeśli chodzi o zmiany pozycji.

– Och! – zawyła. – Teraz to mi naprawdę dokuczyłaś!

W ciągu dnia

Dobre słowa napływały od wszystkich, którzy się dowiedzieli o mnie i Jake'u.

16. 12

Supermarket

Kupiłam smakołyki na dzisiejszy wieczór z transkami. Miniroladki i tym podobne.

Miałam pytanie do Kelly i Brandona. Już od jakiegoś czasu nie widziałam na plaży tej zrozpaczonej kobiety.

– Gdzie ona jest?

– Jennifer? Polepszyło jej się – odparła Kelly. – Wróciła do domu. Zostawiła tu swoje wszystkie koślawe wyroby garncarskie.

– Przeleciał ją Frankie Killoorie – dodał Brandon. – Przywrócił jej uśmiech na twarzy.

– Kto to taki?

– Mieszka przy drodze na Miltown Malbay. Stolarz. Wie, co robić z rękami. – Znaczący chichot.

– W Dublinie Jennifer by nawet na niego nie spojrzała, ponieważ od 2001 roku nie kupił sobie nic nowego do ubrania, ale tutaj świetnie się spisał!

Brandon i Kelly zaśmiali się sprośnie, ale mnie to podbudowało. Zwycięstwo jednostki jest zwycięstwem nas wszystkich.

– Każda doświadcza tu tego samego – rzekł nonszalancko Brandon. – Płacze, spaceruje bez końca po plaży, udaje artystkę. Wraca do domu, kiedy przeleci ją jakiś napalony facet pracujący na roli.

– Albo na morzu – dorzuciła swoje trzy grosze Kelly, unosząc zbyt wyskubane brwi.

– Albo na desce! – Brandon naprawdę dał mi kuksańca! Zrobiłam wyniosłą minę, gdy tymczasem oni parsknęli śmiechem. Zero tajemnic w tym mieście, zero. Odkaszlnęłam. Pora na zmianę tematu.

– Masz dla mnie film o zemście i ciuchach? Brandon położył na ladzie pudełko.

– *Zabawna buzia?* – zapytałam. – A od kiedy *Zabawna buzia* to film o zemście? To przecież Audrey Hepburn!

Brandon nic nie powiedział. Po prostu położył na ladzie jeszcze jeden film. *Bez przebaczenia*.

– Dwa filmy – rzekł. – *Zabawna buzia* i *Bez przebaczenia*. Więcej nie jestem w stanie zrobić, Lola. Nie ma czegoś takiego, jak film o zemście i ciuchach.

18. 59

No i się zjawili. Punktualne te transki.

Zaszyli się od razu w kuchni, gdzie wyłożyłam nowe nabytki.

– Blanche! – zawołałam przez zamknięte drzwi. – Jeśli potrzebna ci pomoc we wciśnięciu się w nową bieliznę, to mnie zawołaj.

Perspektywa wciskania męskości Blanche do specjalnych majtek bynajmniej nie napawała mnie entuzjazmem, ale byłam przecież profesjonalistką.

– I nie róbcie sobie makijażu. Mam dla was coś specjalnego.

Muszę przyznać, że to był nadspodziewanie udany wieczór. Blanche była otwarta na moje sugestie. Pozwoliła mi, abym ubrała ją w piękne nowe ciuchy, pomalowała paznokcie, zademonstrowała, w jaki sposób robić dyskretny makijaż i udzieliła lekcji odpowiedniej postawy i poruszania się.

– Widzę Jackie Kennedy – mówiłam. – Widzę Johna w Gabinetie Owalnym, Jackie u jego boku w prostej, klasycznej sukience i pojedynczym sznurze pereł. Widzę idealną fryzurę, dyskretnie umalowane usta, mięciutki kaszmirowy kardigan. – (Tego typu rzeczy trzeba mówić, gdy jest się stylistką. Tego od ciebie oczekują.)

Blanche urzeczona moim monologiem. Gdy skończyłam się nią zajmować, okazała się być zupełnie inną osobą. Właściwie to mogłaby nawet

ujść za grubokościastą kobietę w męskim typie. (W świetle emitowanym przez trzydziestowatową żarówkę.)

Wypiliśmy wspólnie butelkę wina, podzieliliśmy się jedną minioladką i rozplýwaliśmy się nad Audrey Hepburn.

Co jakiś czas Noel zrywał się z sofy i tańczył po pokoju w swym tandetnym stroju imprezowym. Z rozdrażnieniem mówił, że bardzo chciałby móc pójść na dyskotekę.

22.20

Transki pojechały. Podniesiona na duchu własną dobrocią postanowiłam skoczyć do Dębu na szybkiego drinka. Za barem stał Brandon. Chwila dezorientacji. Czy ja przypadkiem nie weszłam do supermarketu?

– Dobrze trafiłaś! – zawołał Brandon. – Naprawdę jesteś w pubie.

– Gdzie jest... ? – Kurdemol, jak miał na imię Śliwkowe Oczy? – Ibrahim.

– Osama? Ma wolne. Pracował dziewięćdziesiąt dwa dni z rzędu bez żadnej przerwy.

– Dziewięćdziesiąt dwa dni! A zawsze jest taki pogodny.

– No więc czemu mu żałować kilku godzin w Ennis w kinie?

– Ja mu niczego nie żałuję, Brandon. Jestem jedynie zaskoczona.

23.37

W domu

Pukanie do drzwi. Jake. Dość mocno mnie zaskoczył. Nie spodziewałam się, że się jeszcze spotkamy. Bardzo, bardzo, bardzo seksowny. Oczy, włosy, usta, ciało.

– Co tutaj robisz? – zapytałam. – Znowu wpadłeś na seks, co?

Urażony.

– Wcale nie. Cholernie za tobą szaleję.

– Niezły tekst, proszę pana.

Znowu urażony.

– To żaden tekst. Pokażę ci, że mówię poważnie.

Natychmiast zaczęliśmy się całować. Nie przerywając, cofnęliśmy się do domu, pozbywając się w międzyczasie ubrań. Płonęło we mnie pożądanie.

Seks jednak okazał się frustrujący. Kiedy ja zaczynałam wpadać w rytm i było mi całkiem przyjemnie, Jake obracał mnie niczym pałeczkę mażoretki i zupełnie zmieniał pozycję.

W końcu zapytałam:

– Jake, czy twoją misją jest przerobienie wszystkich pozycji z *Kamasutry* w dwa dni?

No i znowu urażony.

– Chciałem jedynie, żeby ci było dobrze. – W jego olśniewających oczach widniała szczerłość. Wzruszył mnie tym. Paddy był taki inny, zwłaszcza pod koniec. Zdążyłam zapomnieć, jak to jest, kiedy mężczyzna jest dla mnie miły.

Ostatecznie osiągnęliśmy kompromis: nie więcej niż cztery pozycje podczas jednego bzykanka. Wszyscy zadowoleni.

Sobota, 1 listopada, 7. 32

Poranny seks, a potem Jake wyszedł, by „złapać jakieś fale”.

8. 14

Telefon od Bridie.

– Kontaktował się z tobą?

– Tak, wczoraj wieczorem znowu do mnie wpadł, mając ochotę na seks.

Jęknęła tak głośno, że aż mnie zaswędziało ucho.

– Byłaś już w magicznej sypialni? – zapytała.

– Nie. Ale możliwe, że stanie się to dziś wieczorem. Szykuje dla mnie kolację.

13. 15

Dąb

Pogratulowałam pierwszego wolnego wieczoru od dziewięćdziesięciu dwóch dni.

– Pojechałam do Ennis do kina. Seans dwóch filmów Wima Wendersa. Niezwykle miło.

– No i dobrze!

Nagła zmiana zachowania. Śliwkowe Oczy odkaszlnął. Opuścił wzrok na bar, po czym ponownie uniósł głowę. Minę miał dość poważną.

– Ach! Yyyy... Lola, nie chciałabyś mi towarzyszyć w przyszły piątek? Początek sezonu z Ingmarem Bergmanem.

– Piątkowy wieczór? Och, Ibrahim, nie mogę. Każdy inny wieczór w tygodniu, nie ma problemu, ale nie piątek.

– Ale piątek to mój jedyny wolny wieczór. A może następny piątek?

– Każdy piątek mi nie pasuje, Ibrahim. – Paskudna cisza. Czułam, że muszę coś powiedzieć. Chodziło o to, że był samotnym Egipcjaninem z dala od domu, w kraju niemuzułmańskim z osobliwą pogodą i zakorzenioną kulturą picia alkoholu. No ale co mogłam powiedzieć? Nie mogę się z tobą spotkać, ponieważ urządzam imprezę dla transek? – A gdybyś przełożył swój wolny wieczór na czwartek? Albo na sobotę? Albo na jakikolwiek dzień poza piątkiem?

Pokręcił głową, a jego śliwkowe oczy pełne były smutku.

– To musi być piątek. To jedyny wieczór, kiedy Brandon może mnie zastąpić. Ponieważ to jedyny wieczór, kiedy matka Kelly może pomóc w supermarkecie.

15. 15

Poszłam do supermarketu, by oddać filmy. Od razu gdy weszłam, naskoczył na mnie Brandon.

– Słyszałem, że nie pojedziesz do kina z biednym Osamą. Dlatego, że jesteś rasistką?

Przełknęłam ślinę.

– Nie jestem rasistką. Bardzo lubię Osamę, ale piątkowe wieczory mam zajęte.

– Zajęte czym? Oglądaniem filmów o ciuchach i zemście?

W tym mieście nie można mieć ani odrobiny prywatności!

– A może pozwolisz Osamie oglądać z tobą te filmy? On kocha kino.

– Sorry, ale to nie wchodzi w rachubę.

– Czemu?

Kurdemol.

16. 03

Loch

Nawet nie weszłam. Przechodziłam obok, kiedy Boss wrzasnął do mnie:

– Słyszałem, że dałaś kosza biednemu Osamie. Nie mieliśmy cię za rasistkę, Lola.

19. 48

Z butelką wina w objęciach zjawiłam się pod domem surferów. Jake otworzył drzwi, ale nie pozwolił mi wejść do środka. Zamiast tego zesliśmy po schodkach na plażę, gdzie na piasku stał stolik i dwa krzesła, a biały obrus

powiewał na wietrze. Kandelabr, kwiaty, małe ognisko, wino chłodzące się w wiaderku z lodem, wieczorne niebo skrzące się od gwiazd. Dostrzegłam Cecile i jej małą turkawkę, stojących w dyskretnej odległości.

– Co oni tu robią? – zapytałam.

– To nasi kelnerzy.

Nie mogłam się przestać śmiać.

– To już za wiele – rzekłam. – Jesteś przezabawny. Jesteś jak mężczyzna z marzeń.

Wieczór całkiem chłodny, ale mnie było ciepło dzięki ognisku, kaszmirowemu kocykowi, którym miałam otulone ramiona i ciepłym uczuciom, jakie buzowały w moim wnętrzu.

– Pyszne jedzonko – pochwaliłam.

– Cecile pomogła. Cóż... – Mina lekko zawstydzona. – Cecile wszystko zrobiła. Za cholerę nie umiem gotować.

– Dzięki Bogu. A więc nie jesteś tak do końca idealny. – I znowu wybuch niekontrolowanego śmiechu.

W końcu udaliśmy się do magicznej sypialni – tak magicznej i zapierającej dech w piersiach, jak to sobie wcześniej wyobrażałam – gdzie uprawialiśmy przyjemny, „czteropozycyjny” seks.

Niedziela, 2 listopada

Cały dzień w magicznym łóżku.

Poniedziałek, 3 listopada

Tak samo.

Wtorek, 4 listopada

Tak samo.

Środa, 5 listopada, 16. 17

Musiałam wstać i iść do domu. Miałam obowiązki, a mianowicie: dostawy ubrań dla transek. Przez ostatnie dwa dni nic mnie nie obchodziło to, że Niall z DHL może przybyć z kartonami z żelowymi poduszeczkami do staników i błyszczącymi sandałkami w rozmiarze czterdzieści pięć i pół. Tak cudownie mi było, że wszystko inne miałam gdzieś.

Jake oplótł mnie rękami i nogami i nie chciał wypuścić. Przyjemnie było napierać na niego i czuć twarde mięśnie.

– Muszę lecieć – rzekłam. – Naprawdę. Muszę. Ale możemy się przecież spotkać wieczorem.

Lekkie wahanie. Poluznienie uścisku.

– Lola, zrobmy sobie parę dni przerwy na złapanie oddechu.

Spojrzałam na niego ostro. Czy on mnie rzucał? Z jego oczu nic się nie dało wyczytać. Mocno ścisnęło mnie coś w żołądku. Ale po chwili zniknęło. Uświadomiłam sobie jedną cudowną rzecz, związaną z byciem zniszczoną przez Paddy'ego: inni mężczyźni nie mogli mnie już zranić.

– Złapanie oddechu? – zapytałam. – Tak właśnie zrobmy.

Udałam się spieszenie do domu. Nie miałam zamiaru rozmyślać o Jake'u. Miałam na głowie inne sprawy. Czarne scenariusze. A co, jeśli Niall zostawił paczki z ubraniami dla transek przed drzwiami i częściowo zjadły je krowy?

Przed domem nie znalazłam żadnych paczek, lecz liścik od Rossy Considine'a: moje przesyłki z trzech dni czekały u niego.

Zerknęłam. Jego ekoauto stało na podjeździe. Znaczący się był w domu.

17. 29

Considine jak na niego był wyjątkowo uprzejmy. Pomógł mi zanieść do domu pudła z ciuchami dla transek. (Naturalnie nie powiedziałam mu, co znajduje się w pudłach, a on nie pytał.)

– Wiszę ci drinka – rzekłam.

19. 29

U pani Butterly

Okazja, by kupić drinka Considine'owi, pojawiła się szybciej, niż się spodziewałam. Siedział u pani Butterly i pił piwo. Ani śladu Fretki.

Pani Butterly zrobiła mi kanapkę z szynką, przywołała mnie skinieniem i głośnym szeptem zapytała:

– Czy to prawda, że zgodziłaś się wyjść za Osamę z Dębu, a potem nie dotrzymałaś obietnicy, ponieważ jest muzułmaninem?

– Że co? – Kurdemol, czy ta historia nadal krąży po okolicy? – Nie! Nie! Zaprosił mnie do kina, jako przyjaciółkę! Ale piątkowe wieczory mam już zajęte. To wszystko!

– Wiedziałam! Nie sądziłam, by to była prawda! Jesteś miłą dziewczyną, Lola, tak im właśnie powiedziałam.

– Komu?

– Och, nikomu. Wścibskim ludziom wtykającym nos w nie swoje sprawy.

Zerknęłam na Roszę Considine'a. Wzrok utkwiony miał w swoim piwie.

Podniósł głowę. Miał minę skrzywdzonego niewiniątka.

– No co?

– To ty powiedziałaś pani Butterly o mnie i Osamie?

Wzruszył ramionami.

– Oczywiście, że nie. – Po czym dodał, według mnie niepotrzebnie: – To czym się zajmujesz, to twoja sprawa.

Poczułam konsternację. Do czego on pił? Do Jake'a? Zmrużyłam oczy.

– To nie on – mruknęła pani Butterly.

Rossa Considine dopił piwo i zsunął się ze stołka.

– Uciekam.

– Ach, zostań – rzekła pani Butterly. – Nie wychodź w złości.

– Nie w złości. Umówiłem się z Gillian.

– To w takim razie miłego wieczoru.

1. 01

Ani słowa od Jake'a.

Czwartek, 6 listopada, 11. 15

Zadzwoiła Bridie.

– Bóg Miłości już cię rzucił?

– Tak.

– Co takiego?

– Rzucił mnie.

– Ja tylko żartowałam. Ale, sorry, Lola, to było nieuniknione. On był...

– Tak, wiem. Zbyt przystojny dla mnie.

– Smutno ci?

Westchnęłam.

– Czymże jest życie, jak nie ulotnymi chwilami szczęścia nanizanymi na łańcuszek rozpaczy?

– Ale czy jest ci smutno?

– Ciężko to opisać. Żałuję, że w ogóle z nim coś zaczęłam. No bo tak naprawdę to nawet mi się nie podobał. Teraz czuję się... nie wiem... gówniano. Ale i tak czułam się okropnie. Ujmę to tak: nie czuję się gorzej.

12. 11

Desperacki telefon od Sarah Jane Hutchinson.

– Lola, poznałam mężczyznę...

– Gratulacje.

– ... i na Boże Narodzenie i Nowy Rok jedziemy do Sandy Lane, a ja nie mam się w co ubrać. W sklepach pełno błyszczących czerwonych sukni!

– Spokojnie, spokojnie. Kolekcja kurortowa.

– Kolekcja kurortowa?

– Tak. Każdy projektant z prawdziwego zdarzenia tworzy o tej porze roku specjalną kolekcję właśnie w tym celu. Nazywa się to kolekcją kurortową. Albo czasami kolekcją rejsową. Ale nic się nie martw, nie musisz płynąć w rejs, żeby ją nosić.

Wykonałam mnóstwo telefonów. Do Dublina, Londynu, a nawet Mediolanu.

17. 57

Loch

Boss i jego ekipa odkryli drink o nazwie Baby Guinness (kieliszki do shotów z Kahlua i kilkoma kroplami Baileys), który ich urzekł. Kupili mi ich nieprawdopodobną ilość. Mdlące, ale mocne.

W drodze powrotnej o mały włos a wybrałabym trasę obok domu Jake'a. Jakoś to sobie wyperswadowałam.

Pomimo słodczy drinków czułam się nieco rozgoryczona.

14. 22

Supermarket

Brandon mocno podekscytowany.

– Mam film o zemście i ciuchach! *Legalna blondynka*. Po pierwsze mnóstwo w nim ciuchów, a po drugie bohaterka mści się na ludziach.

Widziałam *Legalną blondynkę* i wiedziałam, że to bardziej dostanie za swoje niż zemsta sama w sobie, ale nie szczędziłam Brandonowi pochwał. Dobrze zachęcać tych, którzy się trochę wysilili.

– To nie ja go znalazłem – przyznał Brandon. – To Osama!

– Cóż... eee... dziękuję mu.

– A czemu nie zaprosisz go dzisiaj? Jest samotny i uwielbia filmy. Czy to, co robisz w piątkowe wieczory, jest takie niemoralne, że nie może przyjść?

Co ja mogłam na to powiedzieć? Straszliwy konflikt wewnętrzny. Paskudne poczucie winy w stosunku do Osamy, ale strach przed ujawnieniem sekretu Blanche i tym, że Noel przestanie przysyłać mi zasiłek...

14. 44

W drodze do domu

Kobieta, której nawet nie znam, zawołała z drugiej strony ulicy:

– Dlaczego nie pozwalasz Osامية oglądać z tobą filmów? To przecież uchodźca. Nie masz w sobie chrześcijańskiego miłosierdzia?

Odkrzyknęłam niepewnie:

– On nie jest uchodźcą, ma zezwolenie na pracę i w ogóle. Tej kobiety to nie przekonało.

Byłam zrozpaczona. Wszyscy mnie nienawidzą.

19. 02

Przyjazd transek. Pozwoliłam im się przebrać, po czym przedstawiłam tę całą sytuację z Osamą.

– Moglibyśmy przenieść nasze spotkania z piątku na inny wieczór? Jakikolwiek?

Ponuro pokręcili głowami. Noel musiał odrabiać lekcje z dziećmi, a Blanche mruknęła coś, że musi wstawać bardzo wcześnie codziennie z wyjątkiem sobót. Nie do końca to pojmowałam – czy to znaczyło, że krowy w soboty śpią sobie dłużej? Niuanse rolniczego życia były mi kompletnie obce.

– W takim przypadku będziemy musieli pozwolić Osamie przyłączyć się do naszej małej grupy.

– Nie ma mowy. – Noel zacisnął usta.

– Całe Knockavoy uważa mnie za rasistkę! Nikt nie jest w stanie pojąć mojej niechęci. Lepiej będzie ustąpić i nie zwracać już na siebie uwagi.

– Wstrzymam ci zasilek.

– No to wstrzymaj – powiedziałam ze znużeniem. W tamtym momencie nagle poczułam się rozczarowana zniknięciem Jake'a. – Może już czas, bym wróciła do Dublina. Mam dość tego wszystkiego.

Blanche przerażona. Zaczęła płakać.

Noel także się nieco przeraził, kiedy zobaczył, że jego „kryjówka” znika. Doświadczylam chwili satysfakcji, w zasadzie to delektowałam się nią.

Cisza. Słysząc było jedynie pociąganie nosem Blanche. Odezwał się Noel:

– Umie trzymać buzię na kłódkę? Ten cały Osama?

– Naprawdę nie wiem. Sprawia wrażenie przyzwoitego gościa, ale zawsze istnieje pewne ryzyko.

Noel i Blanche odbyli długą szeptaną rozmowę.

– ... pewny, że można go deportować, jeśli komuś powie...

– ... nie mogę wrócić do dawnego życia. Potrzebuję tego...

– ... nie może nas zobaczyć po cywilnemu...

– ... cały boży dzień patrzę na krowie zadki... W końcu podjęli decyzję.

– Okej – rzekł do mnie Noel. – Zaproś go. Ale ma się zjawić dopiero wtedy, gdy się przebierzemy. Nasza tożsamość musi pozostać tajemnicą.

22. 56

Żadnej wiadomości od Jake'a.

Sobota, 8 listopada, 12. 30

Dąb

– Ibrahim, musimy odbyć prywatną rozmowę. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Nigdy nie twierdziłem, że jesteś rasistką, Lola.

– Nigdy cię o to nie podejrzewałam. Jak zapewne wiesz od Brandona, w piątkowe wieczory prowadzę w moim domu... klub.

– Klub filmów o zemście!

– Eee, tak. – Tak jakby. – Możesz do nas dołączyć. Jedyнным warunkiem członkostwa jest to, że musisz przebrać się za kobietę. Ale nie możesz powiedzieć o tym NIKOMU, ani teraz, ani nigdy.

Długa chwila milczenia. Wreszcie Ibrahim odezwał się:

– Aby znaleźć się w twoim klubie filmowym, musiałbym ubrać się w kobiece rzeczy?

– I zachować to w tajemnicy. Zastanawiał się przez chwilę.,,

– Dobrze.

– Dobrze?

– Dobrze. Dobrze...

0. 16

Żadnej wiadomości od Jake'a.

Niedziela, 9 listopada, cały dzień

Żadnej wiadomości od Jake'a.

Poniedziałek, 10 listopada, 11. 17

Przybyła kolekcja kurortowa dla Sarah Jane. Stroje kąpielowe, pareo, zwiewne tuniki, spodnie palazzo, pantofle na wysokich koturnach, dziwaczne kapelusze od słońca, wielkie okulary przeciwsłoneczne i wiele, wiele innych strojów DVF. (Kimonowe sukienki Diane von Furstenberg. One są dobre na każdą okazję.)

Tyle ślicznych rzeczy. Torba plażowa Prady ozdobiona konikami morskimi. Najlepsze ze wszystkiego – sandały zdobione także konikami morskimi! Turkusowy strój kąpielowy Lisy Bruce z pareo do kompletu. Malinowe okulary przeciwsłoneczne Gucciego i przyprawiające o zawrót głowy klapki w tym samym kolorze z drewnianymi podeszwami. Oślepiająco jaskrawe kolory, cudowne antidotum na posępną i szarą zimę.

Niall z DHL oficjalnie mnie nienawidzi. Mówi, że tak często pokonuje trasę z Ennistymon do Knockavoy, że aż mu się śni ona po nocach. Kiedy pokwitowałam odbiór przesyłek, spojrzął na fale i oświadczył:

– Ile bym dał za to, żeby już nigdy nie zobaczyć tego cholernego widoku!

Nadal żadnej wiadomości od Jake'a.

Wtorek, 11 listopada, 19. 07

Szaleńcze pukanie do drzwi. Jake! Nie. Considine.

– Szybko, szybko! – Był rozgorączkowany. – Włącz telewizor!

– Nie mam.

Pokazał na telewizor.

– To wygląda jak telewizor.

– Nie, to mikrofalówka. – Zbyt skomplikowane, by to teraz wyjaśniać.

– No to chodź do mnie. Szybko. Zakładaj buty!

– Dlaczego?

– W telewizji jest Colin Farrell. Reportaż o tym, jak przemieszczając się, tańczył country i western.

Magiczne słowa.

Wsunęłam stopy w chińskie satynowe klapki. Nie nadawały się do nierównego terenu, ale miałam to gdzieś. Przebiegliśmy przez łąkę, daliśmy nura pod ogrodzeniem z drutu, przebiegliśmy kolejną łąkę i wpadliśmy do domu Rossy Considine'a. Przysiedliśmy na sofie i obejrzelśmy program o Colinie Farrellu, ale nie było w nim nic o tańczeniu. Tylko o tych wszystkich dziewczynach, z którymi spał. Strasznie długi był ten program.

Kiedy się skończył, Rossa Considine rzekł obronnie:

– Wcześniej było o tańczeniu country i western.

– Jasne. – Wpadłam w żartobliwy nastrój. – Chciałeś mnie tu po prostu zwabić. – Wtedy przypominałam sobie o dziewczynie w sukni ślubnej, którą być może więził w swojej sypialni. Na krótką chwilą ogarnął mnie strach. Nie miałam już ochoty na żarty. – No to uciekam.

– Jak sobie dajesz radę bez telewizji? – zapytał.

– Och, czytam, robię inne rzeczy. W ogóle mi jej nie brakuje. – Lekceważąca. Zadowolona z siebie. – W nagłym przypadku, kiedy muszę zobaczyć jakiś program dokumentalny czy coś innego, mogę zajrzeć do znajomej.

– Racja. Pani Butterly coś wspominała o tym, że co wieczór oglądasz z nią seriale.

Środa, 12 listopada, 9. 45

Przyjechała Sarah Jane Hutchinson.

Cudowny dzień. Przebywanie wśród fantastycznych ciuchów miało na mnie pozytywny wpływ. Obie byłyśmy w świetnej formie. Wszystko się udawało..

– Sarah Jane, widzę niebieskie prążki na białym tle, leżaki, słone powietrze, pisk mew...

– Ja też, Lola, och, ja też!

Sporządziłam szczegółową listę tego, co Sarah Jane ma nosić każdego dnia: na śniadanie; przy basenie; na obiad; na imprezę sylwestrową z tańcami.

Próbowała mnie odwieść od pisania tej listy.

– To wakacje. Relaks. Przecież mogę chyba mieszać i dopasowywać?

– Nie! Nie! Błagam, nie popełnij tego błędu! Pamiętaj, Sarah Jane, możesz nosić strój kąpielowy Missoni razem z sarongiem Missoni, ale NIGDY z sandałkami czy kapeluszem Missoni.

– Dlaczego? – Buntowniczy ton.

– Niepisana zasada. Nie umiem tego wyjaśnić. Wiem jedynie, że jeśli to zrobisz, staniesz się pośmiewiskiem.

To zadziało. Sarah Jane nie chciała stać się pośmiewiskiem. Wystarczyło jej to, co przeszła po tym, jak jej mąż uciekł z młodym Filipińczykiem, wielkie dzięki.

Czwartek, 13 listopada

Żadnej wiadomości od Jake'a. Ale zapomniałam zwrócić na to uwagę.

Piątek, 14 listopada, 10. 14

Pojechałam z Bossem i Mossem do Ennistymon na podpis. W ogóle nie miałam na to ochoty. Miałam sporo gotówki dzięki Blanche i Sarah Jane, ale Boss nawet nie chciał o tym słyszeć.

– To twoje prawo, Lola – upierał się. – To twoje prawo. Dzień targowy. Mnóstwo brudnych ciężarówek; tamujące ruch bydło robiło kupę na środku ulicy; rolnicy w przedpotopowych trzyczęściowych garniturach i kapeluszach z szerokim rondem pluli sobie na ręce i dobijali targu. Obrzydliwe. Bardzo pewny siebie rolnik zbliżył się do mnie pewnym krokiem. Nasze spojrzenia skrzyżowały się, normalne oczy i pewne siebie oczy. Dlaczego moje spojrzenie krzyżuje się z pewnymi siebie oczami pewnego siebie rolnika? I wtedy już wiedziałam! To była Blanche. Pewny siebie rolnik to Blanche!

12. 23

Boss i Moss wyrzucili mnie pod domem.

– Masz gościa – powiedział Boss.

Spojrzałam. Na schodkach przed drzwiami siedział oszałamiająco przystojny mężczyzna. Jake.

Akurat wtedy, kiedy ja uznałam, że już mi na nim nie zależy. Typowe, psiakrew.

Wysiadłam z vana, który natychmiast odjechał. Moss i Boss zakrzyknęli jak jacyś sprośni kowboje:

– Ji–ho!

Jake wstał ze schodków.

– Mogę wejść? – zapytał.

–Nie.

– Och... Mogę porozmawiać z tobą tutaj?

– Byle szybko. Zimno jest.

– Och... Gdzie się podziewałaś? – zapytał. – Nie wpadłaś do mnie, nie pytałaś o mnie Cecile...

– Chciałaś przestrzeni dla złapania oddechu.

– Tak! Ale myślałem, że ty... – Głośne, sfrustrowane westchnienie.

Nagle wszystko zrozumiałam. Jake przyzwyczajony był do kobiet od „przestrzeni dla złapania oddechu”, które nachodziły go i we łzach kręciły się wokół jego domu, tak jak to miało miejsce ze mną i Paddym.

– Czekałem na jakąś wiadomość od ciebie – powiedział.

– Ty mogłaś się skontaktować ze mną.

Bardzo złe, pełne ognia uczucia. Jake to zepsuty bachor, zbyt seksowny, by wyszło mu to na dobre.

– Wróćmy do siebie – rzekł.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – Wyraźnie speszyło go moje pytanie. Doświadczyla uczucia ogromnej satysfakcji. – Ponieważ szaleję za tobą. Miałem wiele dziewczyn, ale ty jesteś inna.

– Jedyne różnica to taka, że nie uganiałam się za tobą.

– Nie! Nic z tych rzeczy. Dlatego, że jesteś słodka. Urocza. Jesteś jak kociak. Jak trochę dziwny kociak. Od razu gdy cię poznałem, wiedziałem, że jesteś inna. Poprosiłem o przerwę dla złapania oddechu dlatego, że przestraszyłem się swoich uczuć. Zbyt silnych, zbyt szybko.

Albo przeczytał podręcznik zdobywania kobiet, albo mówił szczerze.

– Proszę, daj mi drugą szansę.

– Nie. – Ale słabłam. Całkiem mi schlebiały te jego męczarnie.

– Proszę.

–Nie.

– Mogłabyś chociaż powiedzieć, że to przemyślisz? Długo kazałam mu czekać na odpowiedź.

– Okej. Przemyślę to.

19. 01

Przyjechali Noel i Blanche. Zniknęli w kuchni, by się przebrać.

19. 47

Pukanie do drzwi.

– Pewnie Osama – rzekłam.

Ale to nie był Osama. To była kobieta, od stóp do głów opatulona czarnym materiałem. Nie było jej widać nawet twarzy.

– Witam – rzekłam, myśląc: A co to takiego? Halloween było dwa tygodnie temu!

– Lola! To ja! – odezwała się kobieta. – Ibrahim!

– Ibrahim! Co ty masz na sobie? Och! Już rozumiem, to burka!

– To jedyny damski strój, jaki mam. Niezupełnie strój, po prostu płachta malarska, która została po malowaniu pubu.

– Wchodź, wchodź.

No i wszedł, a razem z nim powiewające akry czarnego materiału. Skinął głową wystrojonym transkom, podziękował Noelowi za propozycję „małego drinusa” i zerknął w stronę telewizora, wyraźnie nie mogąc się doczekać początku filmu.

19. 54

Noel próbował nakłonić Ibrahima, by ten wypróbował czarny eyeliner.

– To kohl. Egipski, część twojej kultury. Ibrahim stanowczo odmówił.

Włączyłam film.

20. 13

Pukanie do drzwi.

Zamarliśmy. Powietrze gęste od strachu. Gdybyśmy byli zwierzętami, zjeżyłaby nam się sierść.

– Na górę, na górę – syknęłam do trzech mężczyzn.

– Cicho.

Kiedy zniknęli na górze, wzięłam się w garść. Odkaszlnęłam. Otworzyłam drzwi. Na progu stała piękna kobieta.

– Czy to impreza wyłącznie dla zaproszonych gości? – zapytała seksownym, chropawym głosem. – Czy też może do was dołączyć każda dziewczyna?

Oniemiałam. Niczym robot otworzyłam szeroko drzwi, zapraszając ją do środka. Ta istota była olśniewająca. Wysoka, elegancka, błyszczące ciemne włosy, koktajlowa sukienka z czarnej satyny, rękawiczki do łokci, szal z tafty i naszyjnik z kryształkami jak od Swarovskiego.

Nie wiem, w którym dokładnie momencie dotarło do mnie, że to mężczyzna. Być może zdradziła go lekka niezgrabność w wysokich szpilkach. Ale uświadomienie sobie tego jedynie uczyniło tę postać jeszcze bardziej oszałamiającą.

– Jestem Chloe – rzekła, uśmiechając się promiennie. Jej niebieskie oczy błyszczały. Pomalowane perfekcyjnie eyelinerem! Nawet ja tak nie umiem! Rzuciła okiem na telewizor.

– Wiedziałam, że to nie mikrofalówka! .. Słucham... ?

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, że tak się tutaj zjawiłam.

– Nie, nie, im więcej osób, tym weselej. – Nie mówiłam poważnie. Noel tym razem przesadził. – Pójdę po resztę. Dziewczęta, możecie już zejść!

Chloe narobiła pozostałym wstydu. Przy jej wypielegnowanej urodzie oni wyglądali w swoich przekrzywionych perukach jak murarze.

– Jestem Chloe. – Chloe wyciągnęła elegancką dłoń.

– Natasha – chrząknął nieśmiało Noel.

– Blanche. – Biedna Blanche nie była nawet w stanie nawiązać kontaktu wzrokowego.

Osama jeszcze bardziej zakrył się burką i wycofał na skraj tej małej grupki.

– Lola, jedno słówko. – Noel chwycił mnie za ramię, odciągnął kawałek i cichym, gniewnym głosem rzekł: – Nie mówiłaś, że dołączy dziś do nas jeszcze jedna pani.

– Że niby... ? O co ci chodzi? Ja jej nie zaprosiłam. To znaczy wy się nie znacie?

Pokręcił głową. Wezbrał we mnie nagły strach. Skąd ta Chloe się tu wzięła? Czy chata wuja Toma leżała na świętej trasie transek? Czy z każdym piątkiem będzie się tu pojawiać ich coraz więcej, przywoływanych siłą silniejszą od nich? Gdzie się one wszystkie pomieszczą?

– Proszę! Pozwólcie, że wyjaśnię – odezwała się Chloe.

– Tak, byłabym bardzo zobowiązana!

– Zobaczyłam, jak dziewczęta przebierają się w kuchni. Widziałam to przez kilka ostatnich tygodni. Przed pojawieniem się chciałam mieć pewność.

– Ale jak to zobaczyłaś? Kuchnia znajduje się na tyłach domu. Dlatego ją wybrałyśmy.

– Stamtąd. – Skinęła elegancko głową w stronę domu Rossy Considine'a.

– Znasz Rossę Considine'a?

Długa chwila ciszy.

– Lola – rzekła bardzo, bardzo łagodnie. – Ja jestem Rossa Considine.

20. 27

Totalny szok. Musiałam kilka razy powtórzyć te słowa, nim dotarł do mnie ich sens.

Przyjrzałam się tej pięknej kobiecie, i kiedy już wiedziałam, czego szukam, gdzieś tam z całą pewnością widać było Rossę Considine'a.

– O mój Boże! To ty jesteś dziewczyną w sukni ślubnej Very Wang!

– Tylko w kopii, nie w prawdziwej Verze Wang, ale tak! Sądziłam, że cały czas wiedziałaś o tym, że jestem crossdresserem!

– Dlaczego? Skąd miałabym wiedzieć?

– Za każdym razem gdy się spotykamy, ty zachowujesz się sarkastycznie.

Ja? Nieprawda. W ogóle nie należałam do osób sarkastycznych. Choć właściwie musiałam przyznać, że w Rossa Considine rzeczywiście wyzwał we mnie coś sarkastycznego...

– I przyłapałaś mnie na paleniu ubrań.

– O co w tym wszystkim chodziło?

– Oczyszczenie.

Noel i Blanche pokiwali głowami i powtórzyli:

– Oczyszczenie.

I zaśmiali się ze smutkiem.

– Co to do diaska jest oczyszczenie? – zapytałam.

– Kiedy postanawiamy, że na dobre porzucamy crossdressing i palimy wszystkie kobiece rzeczy.

– Coś powtarzającego się regularnie?

– O, tak! – Śmiech. – Zawsze tego żałuję! – Znowu śmiech. – Ale nic nie jestem w stanie z tym zrobić. Nienawiść do samego siebie. Postanowienie, by

już nigdy tego nie robić. Zawsze robię. Wtedy zobaczyłam, jak dziewczęta szykują się w kuchni co piątek i poczułam, jakby spełniły się wszystkie moje marzenia. – Na jej twarzy pojawiło się nagłe zawstydzenie. – Przepraszam! Powinnam była poczekać na oficjalne zaproszenie, a nie tak zwałać ci się na głowę. Poniosło mnie.

– Ale ty masz dziewczynę – rzuciłam oskarżycielsko.

Uśmiechnęła się.

– Tak, mam dziewczynę.

– I chodzisz po jaskiniach. Widziałam cię z linami i tym całym sprzętem.

– Jestem mężczyzną. – Kolejny uśmiech. – I czasami lubię robić coś męskiego.

– Oooo–keeeej. – Jestem przecież otwarta.

– A czasami lubię nosić piękne rzeczy.

– Podaj mi jakiś przykład.

– Lubisz Alexandra McQueena?

– Tak!

Pochłonęła nas płomienna rozmowa. Przekonałam się, że mam dużo, dużo wspólnego z Chloe – podziw dla Alexandra McQueena, tajska kuchnia, etui na paszport firmy Smython, nurofen forte, jawory, *Prawo i porządek*...

– *Prawo i porządek!* UWIELBIAM *Prawo i porządek* – oświadczyłam. – To najlepszy program w telewizji.

– Tak! „To są ich historie”...

– Du–du! – wykrzyknęłyśmy wspólnie. (Du–du to odgłos młotka sędziowskiego na początku każdego odcinka. Bardzo mnie ucieszyło to, że Chloe go zna. Nie jakaś fanka dyletantka *Prawa i porządku*, ale prawdziwa.)

– Tylko prawdziwy fan zna ten odgłos – rzekłam.

– Bo ja JESTEM prawdziwym fanem.

– Powiedz mi, co tam się wydarzyło – poprosiłam. – Nie oglądałam go od września.

– Dlaczego? Jak to jest naprawdę z tą twoją telewizyjną mikrofalówką?

– Odtwarza tylko filmy na DVD.

– No to musisz koniecznie przychodzić do mnie na *Prawo i porządek!* Prawdziwy fan powinien móc oglądać każdy odcinek. Czwartek wieczorem, dziesiąta. Jesteśmy umówieni!

– Jestem umówiona z tobą, Chloe, czy tobą, Rossą Considine'em?

Cisza.

– Ze mną, Rossą Considine'em. W ciągu tygodnia zazwyczaj nie jestem Chloe. Za dużo pracy.

– Hmm.

– Jakiś problem?

Równie dobrze mogłam się przyznać. Ona już też zdążyła uczynić na ten temat aluzję.

– Być może. Kiedy jesteś Rossą, my... – Jakby to powiedzieć? – Nadeptujemy sobie na odcisk.

Chloe zastanawiała się nad tym. Nie zaprzeczyła. Podziwiałam jej uczciwość i dojrzałość.

– Potraktujmy to jako eksperyment. Jeśli to się nie sprawdzi, każda ze stron może się wycofać.

– Świetnie. W takim razie czwartek o dwudziestej drugiej.

Pozostałe transki głośno domagały się Chloe, pragnąc wysłuchać jej historii, więc przekazałam ją im.

I wiecie co? To był fantastyczny wieczór. Entuzjastyczne dyskusje na temat ciuchów. Tylko Osama nie sprawiał wrażenia, jakby się dobrze bawił. Bardzo się starał usłyszeć film – dużo nas uciszał – ponad wesołymi, wydawanymi przez nas okrzykami.

22. 13

Rozmyślania nad tym, co się wydarzyło

Transki sobie poszły. Rozmyślałam nad dziwnymi rewelacjami z dzisiejszego wieczoru, a mianowicie: Rossa Considine to transka. NIGDY by się nie zgodło, patrząc na niego. Kiedy był mężczyzną, wyglądał tak, jakby się nawet nie cesał.

22. 23

Dalsze rozmyślania nad tym, co się wydarzyło

Jake. Dalibyście wiarę? Czy tak nie jest zawsze? W chwili kiedy ty zdecydujesz, że już ci nie zależy na jakimś facecie, on się pojawia z pokorną miną. Postanawiam zdecydować, że już nie zależy mi na Paddym, ot tak, tytułem eksperymentu.

Wyobraziłam sobie siebie za jakiś czas w przyszłości, prowadzącą rozmowę z jakąś niewidzialną osobą:

– Och, tak, szaleńczo zakochana w Jake'u. Tak, w Bogu Miłości. Oczywiście, że zawsze będę myśleć ciepło o Paddym. Ale muszę przyznać, że nigdy nie potrafiłbym tak naprawdę kochać mężczyzny z takimi napuszonymi włosami.

Przyjemna myśl. Podnosząca na duchu.

Zadzwoił telefon, wyrywając mnie z zadumy.

Spojrzałam na wyświetlacz. Rozpoznałam numer. Wpatrywałam się w niego. Zastanawiałam się, czy w końcu nie sfiksowałam.

Poblądłymi ustami rzekłam:

– Lola Daly.

– Lola? Tu Paddy.

Ryczała mi w uszach. Nadzieja. Jeszcze nigdy nie czułam tak wielkiej nadziei.

– Ja... – powiedział zdławionym głosem. –... naprawdę mi ciebie brakuje.

TTLR

Jesteś głupią, beznadziejną dziwką i to wszystko jest twoją pieprzoną winą. – Dyszał z wysiłku, gdy stał nad nią, zwiniętą w kulkę. – Powiedz to. Jesteś głupią, beznadziejną dziwką i to wszystko jest twoją pieprzoną winą.

Zamachnął się nogą, by jeszcze raz kopnąć. Nie. Nie sądziła, by zniosła jeszcze jeden cios i nadal żyła. Czubek jego buta walnął w jej brzuch, dociskając go do kręgosłupa. Miała straszny odruch wymiotny, ale nie zostało w niej nic oprócz żółci.

– Powiedz to!

– Jestem głupią, beznadziejną dziwką – wyszeptała, a po jej twarzy płynęły łzy. – I to wszystko jest moją winą.

– Twoją pieprzoną winą. Czy ty nic nie potrafisz zrobić dobrze?

GRACE

– Och, oto i Paddy – powiedziała Dee Rossini. – Muszę zamienić z nim parę słów. Powiedziałam mu, że tu będziemy.

Przez chwilę sądziłam, że po prostu drażni się ze mną. Z niepokojem uniosłam głowę. Chryste. A jednak tam był, stojąc w drzwiach pubu, zaciemniając pomieszczenie.

Wezbrała we mnie panika. Musiałam stąd uciec, ale znalazłam się w pułapce; były tu tylko jedne drzwi, a w nich stał on. Obracałam głowę, szukając jakiejś drogi ucieczki. Toaleta – możliwe, że było tam okno, przez które się mogłam wyslizgnąć. W najgorszym wypadku mogłabym się tam chować, dopóki sobie nie pójdzie.

– Dee, będę musiała się zbierać...

Ale ona pomachała ręką i zawołała:

– Paddy, tutaj!

Nie usłyszała mnie.

Paddy omiótł pub niszczycielskim spojrzeniem błękitnych oczu, dostrzegł Dee, a chwilę potem mnie, siedzącą obok niej, znieruchomiałą niczym królik oświetlony reflektorami samochodowymi. Przez długą, neutralną chwilę patrzył na mnie, po czym zdecydował się na swój olśniewający uśmiech.

Wybuchł kolejny skandal z Dee Rossini w roli głównej, ale ten akurat był dużo, dużo gorszy od tych wcześniejszych: jej chłopak – tak, miała przez ten cały czas sekretnego chłopaka, powinnam to była wiedzieć, co ze mnie za dziennikarka? – sprzedał swoją historię do „Sunday Globe”, prawdopodobnie najbardziej ordynarnego z brukowców. I pełna była ona niezwykle żenujących

szczegółów dotyczących ich życia seksualnego. Według jego słów (nazywał się Christopher Holland i twierdził, że opowiada o tym wszystkim, ponieważ zmęczyło go „życie w kłamstwie”) Dee „szalała za tym”. Zawsze i wszędzie. (Słowa „wszędzie” użyto dlatego, że raz – raz – zrobili to w jej ogrodzie.) Twierdził, że szczególnie upodobała sobie pozycję „na pieska”.

Na pierwszej stronie nazywano ją „Perwersyjną Dee”, ale żeby przypadkiem nie uznano jej za seksowną kokietkę, pojawiły się także inne, nawet bardziej paskudne informacje: goliła nogi nie częściej niż raz na dwa tygodnie; jej stanik i figi rzadko do siebie pasowały; pięty miała tak twarde i żółte, że gdyby wystarczająco długo pocierała nimi o siebie, wzniciłaby ogień; miała cellulit na brzuchu. Innymi słowy była normalną czterdziestokilkulatką.

Dowiedziałam się o tym w niedzielę rano, kiedy w kiosku ujrzałam krzyczący nagłówek: „PERWERSYJNA DEE I JA”. Niczym zahipnotyzowana wzięłam ze stojaka gazetę i szybko przebiegłam wzrokiem tekst. Poziom szczegółów był bezprecedensowy. Musieli zapłacić krocie temu Christopherowi Hollandowi, by wypaplał wszystko w tak zdradziecki sposób. Żal mi było Dee tak, jak jeszcze nigdy nikogo i wstydziłam się tego, że jestem dziennikarką. Zawstydział mnie nawet fakt, że znałam tego dziennikarza, który podpisał się pod artykułem – to był Scott Holmes, ten Nowozelandczyk, z którym się umawiałam, kiedy próbowałam wyleczyć się z Damiena.

Myśl, że sama musiałabym znieść coś takiego, sprawiła, że doznałam bolesnego skurczu jelit. Czy ktokolwiek zniósłby to, że szczere informacje – i mam na myśli te szczere i nieprzyzwoite, a nie wygładzone i niby-szczere – dotyczące jego życia seksualnego opublikowano na pierwszej stronie niedzielnej gazety? Chryste najświętszy, nie umarłoby się wtedy ze wstydu?

Otworzyłam gazetę – i dosłownie się wzdrygnęłam. Na całej stronie numer trzy umieszczono fotografię, na której głowę Dee dokleiono do ciała kluchowatej kobiety z zarośniętą linią bikini i bielizną nie do kompletu. To tysiąckrotnie pogarszało całą sytuację. Od tej chwili kiedy ludzie będą myśleć o przewodniczącej Nowej Irlandii, przed ich oczami pojawiać się będzie właśnie to zdjęcie.

To było katastrofalne. Znacznie gorsze od historii „korupcyjnych”, ponieważ choć Dee była kobietą wolną i miała prawo uprawiać seks, z kim tylko chciała, jak można było oglądać ją w telewizji, wymieniającą uściski dłoni ze sławami i nie zastanawiać się, czy jej figi pasują do stanika?

– To nie biblioteka – rozległ się głos.

Odwróciłam się szybko. Mężczyzna za ladą patrzył na mnie surowo. Pokazał na „Sunday Globe”.

– Zamierza pani za to zapłacić?

– Tak, ale... – Nie byłam w stanie oderwać się od artykułu na tyle długo, by iść do lady i sięgnąć do portfela. Ta frapująca historia trzymała mnie w śmiertelnym uścisku. Nie przerywając czytania, wyjęłam z portfela garść drobniaków i położyłam je obok kasy. – Proszę się poczęstować – rzekłam.

– Dziękuję bardzo – odparował i zaczął odliczać monety.

Był dla mnie znacznie miłszy, kiedy jeszcze paliłam. Stanowiłam wtedy pewne źródło dochodu, ale odkąd ja i Damien rzuciliśmy fajki, nieważne jak dużo wydawaliśmy na zastępcze słodycze – a Bóg mi świadkiem, że to znacząca kwota – on prawdopodobnie musiał pożegnać się z willą w Portugalii na stare lata.

Czytałam dalej, osłupiała z powodu kolejnych informacji: w dniu, w którym Dee otrzymała nominację na ministra edukacji, „zażądała” seksu sześć

razy; uwielbiała, gdy się nad nią dominowało; nie przepadała za seksem oralnym, uważała go za „nudny”.

Cieężko będzie jej się z tego wykaraskać. Zawsze sprawiała wrażenie silnej, niezależnej i sprawującej nad wszystkim kontrolę; teraz wydawała się zwyczajna i pełna wad – i nie znała się na ludziach, skoro wybrała sobie tak nielojalnego faceta.

(Najgorszy według mnie był ten cellulit na brzuchu. Wstyd mi się było przyznać, ale to trochę przyćmiło dla mnie jej blask – a ja ją przecież uwielbiałam. Jaki więc musi mieć to wpływ na ludzi, którzy mieli do niej stosunek bardziej ambiwalentny?)

Od czasu gdy przeprowadziłam z nią wywiad, byłyśmy swego rodzaju kumpelami, ponieważ wpadałyśmy na siebie często przy półkach z czerwonym winem w naszym lokalnym monopolowym, a parę razy wyskoczyłyśmy do Kenny's na szybkiego drinka. Zaledwie przed tygodniem zaprosiła nawet mnie i Damiena na kolację i podjęła nas swym drogim makaronem. (Nie okazał się wcale lepszy od tego zwyczajnego, jeśli chcecie znać moje zdanie, niemniej jednak wzruszyło mnie to, że musi mieć o nas wysokie mniemanie.)

Stojąc przed kioskiem i marznąc – było pioruńsko zimno jak na połowę listopada – zadzwoniłam do niej.

– Dee, wiem, że odsiewasz teraz telefony, ale to ja, Grace Gildee, i chcę tylko, byś wiedziała...

Odebrała.

– Grace, to ja.

– Jak się czujesz?

– Trochę niepewnie – odparła. Drżał jej głos. – Ale przeżyłam już znacznie gorsze rzeczy.

– To dranie – oświadczyłam z ogniem w głosie. – Wiedziałaś, że się na to zanosisz?

– A skąd. Piątkowy wieczór spędziłam z Christopherem i nie pisałam ani słowa. No a jakżeby inaczej – dodała z pełnym gorzkiego śmiechem.

– Będę cię wspierać, jak się tylko da. – Miałam na myśli zarówno wsparcie osobiste, jak i zawodowe.

– Dzięki, Grace. Nie przeszkadza ci mój cellulit na brzuchu?

– Nie – odparłam zdecydowanie. (Cóż mogło zaszkodzić niewinne kłamstwo?) – Nie przeszkadza. Wszystkie kobiety mają cellulit; poczują ulgę, gdy się dowiedzą, że ma go nawet ktoś tak olśniewający jak Dee Rossini.

– Tak, ale ja mam na brzuchu, Grace. To nie są uda, na udach wszyscy mają. Cellulit na brzuchu jest prawie tak samo okropny, jak posiadanie go na... na... powiekach. Albo na uszach. Można go mieć na uszach?

– Dee, przeżyłaś przemoc w rodzinie, pomagasz setkom innych kobiet, założyłaś partię polityczną i jesteś siłą, z którą należy się liczyć. Nie pozwól, by odrobina cellulitu na brzuchu stała się ważniejsza od tych wszystkich osiągnięć.

– Okej, masz rację. – Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić. – Poza tym naprawdę nie ma go dużo i widać tylko wtedy, gdy się ściśnie.

– Chcesz, żebym wpadła do ciebie? – zapytałam. Przekaz był jasny: proponowałam to nie tylko jako przyjaciółka, ale także jako obłąkany dziennikarz. Mogła w ten sposób przekazać pełnej zrozumienia osobie swoją wersję tej historii.

– Chętnie się z tobą spotkam – odparła. – Ale nie u mnie. Chodźmy do Kenny's. Nie zrobiłam niczego złego.

– Jeśli jesteś pewna. – Boże, ona była niesamowita. Twarda jak żołnierski but. – No to do zobaczenia za pięć minut.

Zadzwoiłam do Damiena.

– Co tak długo? – zapytał. – Gdzie moje rzeczy?

– Zbieram materiał.

– Że co? Wyszłaś do sklepu tylko po słodycze.

Zdałam mu szybką relację z zaistniałej sytuacji. Zdziwiło mnie to, że o niczym jeszcze nie wiedział. Damien był maniakałnym łowcą newsów.

– W ten jeden, jedyny ranek, kiedy dłużej sobie leżę w łóżku... – mruknął.

Mieliśmy w planach spokojny dzień, spędzony w łóżku na czytaniu gazet, generalnie leniwy. Oboje marnie się czuliśmy. Wczoraj były chrzciny małego Maximilliana i poczucie niższości, jakie odczuwaliśmy w towarzystwie cieplej, bystrej, wspaniałej, przerażającej rodziny Damiena oznaczało, że rano obudziliśmy się wykończeni – i muszę to przyznać, dręczeni przez dziwne uczucie niepokoju, niemalże strachu. Zbyt długi kontakt z rodziną Damiena tak na mnie wpływał.

(A może to był po prostu kac. Wypiliśmy strasznie dużo martini na imprezie u Christine i Richarda.)

– Spotykam się z Dee w Kenny's – powiedziałam. – A potem jadę prosto do redakcji.

Damien jęknął.

– No to paskudnie. A co ze mną? Co z moimi żelkowymi węzami?

– Będziesz się musiał obejść smakiem. Przykro mi.

W czasie gdy rozmawiałam z Damienem, Jacinta Kinsella nagrała mi się na pocztę głosową. Oddzwoniłam. Od samego początku Jacinta wyśmiewała

moją znajomość z Dee, ale za to teraz, kiedy to miało znaczenie, kiedy każda gazeta w kraju potykałaby się o własne nogi, by porozmawiać z Dee Rossini, ja miałam nieograniczony do niej dostęp.

– Wydój z niej wszystko – powiedziała, a w tle słychać było piski i krzyki dzieci. – A ja porozmawiałam z Big Daddym o pierwszej stronie.

Gazeta dużego formatu, nawet tak umiarkowana w swoich poglądach jak „Spokesman”, zazwyczaj nie poświęciłaby pierwszej strony na coś, co w gruncie rzeczy było błahą historią na temat prywatnego życia jakiegoś polityka, ale ta sprawa była zbyt poważna, by można ją zignorować.

– Przyjedziesz później, Jacinta?

– Ja? – Wydawała się zaszokowana. – Grace, to ty jesteś głównym dziennikarzem Artykułów. Nie mogę cię cały czas trzymać za rączkę.

– Dobrze, dobrze. Leniwa suka.

Pojawienie się Dee w Kenny's wywołało lekkie poruszenie. Ale niezbyt duże, jako że dziesięć po dwunastej w niedzielę w pubie siedziało jedynie kilku facetów mających problem alkoholowy.

– ... na pieska...

– ... robiła to z psem?...

– ... nie, jak pies...

– ... szczekała?...

– ... tak jest, i jeszcze gryzła kaptcie i aportowała patyki. A jak ci się wydaje, ty kretynie...

Dee dobrze wyglądała: ciemne dzinsy, świeżo wyprasowana biała koszula, elegancki, drapowany przy szyi kardigan i matowa czerwona szminka. I jeśli do jej uszu dotarły te komentarze, postanowiła ich nie słyszeć. Stara z niej wyjadaczka.

Zamówiła kawę.

– Nie mogę się pokazać teraz z czymś mocniejszym, choćbym i chciała. Okej, oto jak się sprawy mają.

Rozmawiała z Sidneyem Brollym, rzecznikiem prasowym Nowej Irlandii, który zarządził, że udzieli ona tylko jednego wywiadu. Mnie. I owszem, ucieszyło mnie to. Sytuacji, w jakiej znalazła się Dee, nie życzyłabym nikomu, ale stało się tak, jak się stało, a ja mogłam pomóc w ograniczeniu szkód. Nie miało być żadnych prób obalania oskarżeń odnośnie do cellulitu czy twardej skóry na piętach, zaś osobę Christophera Hollanda miał otaczać mur milczenia. Zachowanie spokojnej godności oraz skupienie się na wszystkich pozytywach Dee Rossini – oto, czego nam dzisiaj trzeba.

– Jutro w Dail będą mnie wzywać do rezygnacji – oświadczyła ponuro.

– A z jakiego powodu? Takiego, że masz owłosione nogi?

Zacisnęła powieki.

– Z powodu utraty zaufania publicznego. Zachowania nieprzystającego osobie na moim stanowisku. W zasadzie dlatego, że uprawiam seks.

– Ale przecież nie jesteś zameżna. I zakładam, że ten Christopher też jest stanu wolnego? No więc co złego uczyniłaś?

– Nic, teoretycznie. Ale w praktyce... – Zamilkła, po czym wykrzyknęła:

– Och, Grace, ja naprawdę nie chcę odejść! Jest tak mało kobiet w polityce. I powinnaś zobaczyć nasz nowy program wyborczy, mamy wspaniałą politykę przyjazną kobietom, naprawdę dalekosiężną: dłuższy urlop macierzyński, rozbudowany program opieki przedszkolnej...

– Co by się stało, gdybyś została zmuszona do rezygnacji ze stanowiska?

– Najczarniejszy scenariusz: całą Nową Irlandię tak by zdyskredytowało moje życie seksualne, że Napletki zmuszone by zostały do wyjścia z koalicji.

Ale Napletki nie mają wystarczającej ilości posłów, by pozostać przy władzy, więc rząd uległby rozwiązaniu, zaś kraj musiałby się udać do urn teraz, zamiast za rok. Krótko mówiąc, mój cellulit na brzuchu mógłby doprowadzić do upadku rządu.

– Ale to jest do dupy! Nie rezygnuj. Po prostu to przetrzymaj. Powtarzaj sobie, że nie zrobiłaś niczego złego.

Zadzwoiła jej komórka. Dee zerknęła na wyświetlacz.

– To Sidney. Lepiej odbiorę.

Słuchała w milczeniu, a jej twarz stawała się coraz bardziej wściekła.

– Skoro tak musi być – rzekła w końcu i rozłączyła się. – Sidney chce mi zafundować sesję zdjęciową – wyjaśniła gniewnie. – Wystylizować mnie do dodatków weekendowych. Uważa, że to konieczne, by zneutralizować to pieprzone zdjęcie na trzeciej stronie.

– Ma rację. – Zastanawiałam się, czy wkurzy się na mnie.

Bardziej ze smutkiem niż gniewem odparła:

– Nie jestem członkinią girls bandu, ale politykiem. Nie powinno mieć znaczenia to, czy mam trzy głowy całe w cellulicie, o ile tylko porządnie bym wykonywała swoją pracę.

– Mężczyźni nigdy by się to nie przytrafiło. Wtedy właśnie powiedziała:

– Och, oto i Paddy.

No i oto był, garnitur, szerokie ramiona, stał w drzwiach, wywołując we mnie stan lekkiej paniki. Wcześniej wyszłam z łóżka, nie spodziewając się, że spędzę poza domem więcej niż pięć minut. Nawet się nie uczesałam.

Zazwyczaj to Damien chodził w niedzielę do sklepu. Jedynym powodem, dla którego dzisiaj wyszłam ja, było to, że twierdził, iż ma problem z

chodzeniem po tym, jak w piątkowy wieczór zranił się w kolano podczas gry w piłkę nożną.

Zaczęłam kulić się w sobie, gdy Paddy szedł między mężczyznami z problemem alkoholowym, roztaczając wokół ostry zapach swej wody kolońskiej. Gardziłam sobą za to, że przejmuję się tym, co on sobie pomyśli; nie musiał mnie uważać za atrakcyjną, ale nie chciałam, by oglądał mnie taką bezbronną.

– Dee – powiedział i obdarzył ją krótkim uściskiem. Tryskał energią, tak jakby koncentrowało się w nim więcej sił witalnych niż w zwykłych ludziach, jakby otrzymał ich podwójną dawkę.

– Dzięki, że przyjechałeś – rzekła. Wskazała mnie. – Znacie się?

Na chwilę zapanowała straszliwie niezręczna cisza. Ja czekałam, by Paddy wypowiedział jakiś frazes, a on czekał na mnie.

– No więc? – zapytała Dee.

– Oczywiście, że się znamy – odparł swobodnie Paddy. – Witaj, Grace, cudownie cię widzieć.

Nachylił się, by mnie uprzejmie pocałować w policzek. Wstrzymałam oddech. Nie chciałam go poczuć.

Dotknął wargami mego policzka, po czym – czy ja to sobie wyobraziłam? – dmuchnął lekko. Czy rzeczywiście miał tyle tupetu?

Jego oczy śmiały się.

Jego dotyk pozostał na mojej twarzy, nieznośnie swędząc. Miałam ochotę natychmiast go zetrzeć.

– Nie jest dobrze, Paddy – rzekła Dee, przechodząc od razu do spraw służbowych.

Pokręcił głową.

– To komplement. Boją się ciebie. Biorą cię na poważnie.

– Ale kim są ci „oni”? Christopher nie zrobiłby tego z własnej inicjatywy.

Kto go do tego namówił? Pora, byśmy na serio się tym zajęli.

Oparłam głowę na dłoni, próbując pomalutku i ukradkiem wytrzeć rękawem policzek.

Paddy przyglądał mi się, przesuwając spojrzenie od rękawa do policzka.

On wiedział.

Dee poszła do toalety, pozostawiając mnie samą z Paddym. Sprawiał wrażenie stanowczo zbyt dużego jak na niewielki stołek, na którym siedział. Żadne z nas nie odezwało się ani słowem. Zerknął przez ramię, sprawdzając, czy Dee jest już wystarczająco daleko, po czym odezwał się niskim głosem:

– Grace, ja...

– Jak twoje plany weselne? – przerwałam.

– Grace, czy my nie możemy...

– Nie – odparłam zbyt głośno. Paru pijaczków podniosło głowy.

Zniżyłam głos. – Odpowiedz po prostu na to pytanie.

Wpatrywał się w moje usta.

– Nie odbierasz moich telefonów.

To było dla niego typowe: wcześniej nie dzwonił przez całe tygodnie.

– Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? – zapytał. Sposób, w jaki wpatrywał się w moje usta, wprawiał mnie w zakłopotanie.

Nagle rzekł:

– Czuję cię, Grace. I wiesz, czym pachniesz? Wiedziałam, co ma zamiar powiedzieć.

– Pachniesz seksem.

Przez moje schowane pod dressem ciało przebiegł gorący dreszcz, zaś sutki natychmiast stwardniały.

– Zamknij się – rzekłam cicho. – Po prostu się zamknij.

– Jak sobie chcesz – odparł lekko. – Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

– Powiedziałbyś to bez względu na to, czym bym pachniała: rozpuszczalnikiem, jagnięcym curry...

Wzruszył ramionami. W tym garniturze miał piękne ramiona.

Wzięłam się w garść.

– No to powiedz mi, Paddy. Jak tam twoje plany weselne?

– Świetnie. Ale to właściwie Alicia się nimi zajmuje.

– A jak się ma urocza Alicia?

– Doskonale. Ale dziwne było to twoje przedstawienie jej sylwetki, Grace. Była rozczarowana tym, że nie zachowywałaś się... ciepłej.

Zaśmiałam się krótko i nieprzyjemnie.

– Cóż, Alicia nalegała, abym to ja przeprowadziła wywiad, czego się więc Alicia spodziewała?

– Spodziewała się, że zachowasz się jak profesjonalistka. Przyznaję, że ja także się tego spodziewałem.

Popatrzyłam na niego z pogardą.

– I tak się właśnie zachowałam.

– Spodziewaliśmy się, że powstrzymasz na wodzy swoje osobiste uczucia.

– Tak zrobiłam.

W ogóle nie chciałam przeprowadzać z nią tego wywiadu, ale kiedy zostałam zmuszona, uznałam, że najlepiej z tym sobie poradzę, jeśli będę

udawać, że nie znałam jej wcześniej. Ale ona nie kryła nawet zadowolenia z siebie i poczucia triumfu i chyba w odpowiedzi ja nie utrzymałam rozgoryczenia w zamknięciu. Co wcale nie znaczy, bym napisała coś strasznego. Po prostu nic szczególnie miłego.

Papierosy wszystko wyznaczały; ogłaszały początek czegoś i ogłaszały koniec. Zawsze gdy siadałam do pisania artykułu, najpierw zapalałam papierosa. Odkąd rzuciłam palenie, nie byłam w stanie niczego napisać bez dręczącego uczucia, że wymknęłam się przed sygnałem startera, że nie powinnam jeszcze zaczynać. A kiedy kończyłam pracę, nie miałam poczucia ukończenia, ponieważ nie było papierosa, który ogłosiłby koniec zadania. W ciągu tych siedmiu tygodni, odkąd rzuciłam palenie, nieustannie prześladował mnie ciężar niedokończenia, poczucie, że przeciągam wszystkie zadania.

Ale choć było mi ciężko, nie mogłam się poddać, ponieważ choć nie należałam do osób przesądnych, nie opuszczał mnie blady strach, że jeśli wrócę do papierosów, to Bid umrze.

Kiedy – w końcu – skończyłam pisać artykuł o Dee, podjechałam do kina – mieli tam największy wybór – i kupiłam Damienowi wielką torbę żelków: o smaku coli, w kształcie dinozaurów i truskawek, aby mu wynagrodzić porzucenie w niedzielę, kiedy miał rozwalone kolano, głód nikotynowy i zero słodyczy.

Siedział na sofie. Z ponurą miną oglądał całodobowy kanał o drugiej wojnie światowej – nie wiem, czy tak się właśnie nazywał, ale na okrągło puszczano w nim programy dokumentalne o procesie norymberskim i zbombardowaniu Drezna – a nogę miał opartą na krześle.

Oderwał spojrzenie od ziarnistego obrazu, przedstawiającego oddziały lądujące w Normandii.

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić!

– Przepraszam. Wyłączyłam komórkę. Musiałam się skupić.

– Przyniosłaś mi coś?

Położyłam mu torbę na kolanach.

– Prezent.

– Poważnie? – Uśmiechnął się. – Tylko żartowałem, ty mi nigdy nic nie przynosisz.

– Nic dziwnego, skoro taki z ciebie niewdzięcznik.

Przekopywał się przez zawartość torby.

– Pierwszorzędny towar, Grace. Żelki świnki! Prawdziwy rarytas. Niełatwo je dostać.

– Jak kolano?

– Koszmarnie boli – odparł z buzią pełną różowych świnek. – Mamy lód, żeby je obłożyć? Hej, łap. – Rzucił mi żelkowego nietoperza, a ja wychyliłam się i udało mi się go złapać zębami.

– Chryste. – Widać było, że zrobiło to na nim wrażenie. – Cofam wszystko, co powiedziałem.

Omiótł mnie spojrzeniem i coś nagle uległo zmianie. Patrzył na mnie tak, jak być może nie patrzył już od jakiegoś czasu: jakby chciał uprawiać ze mną seks. A we mnie niepokój został zastąpiony przez uczucie ulgi.

– Chodź tutaj – rzekł, a ja zamiast odparować, by mi nie rozkazywał, jak to mam w zwyczaju, zbliżyłam się. Atmosfera przesycona była obietnicą seksu. Wtedy Damien zapytał: – Hej, dowódco bombowca, tak się zastanawiam, czy my coś robimy w piątek wieczorem?

Wrócił niepokój.

– A czemu pytasz?

– Kolacja z Juno i jej mężem.

Zdanie to zawisło między nami. Wcale nam to nie było potrzebne.

Miesiąc temu rzeczywiście wybrał się na zjazd swojej klasy – Damien, człowiek, który często powtarzał, że „szczerze współczuje” tym, którzy odczuwają taką potrzebę – i podobno odbył z Juno fantastyczną wycieczkę do świata wspomnień, śmiejąc się do łez z tych wszystkich kłótni, jakie wynikały, kiedy on się upierał przy pracy, a ona chciała gdzieś wyjść i się bawić.

Wszystko to było dość niewinne i jedynym, co wzbudzało mój niepokój – i nie, nie był to fakt, że byli kiedyś zakochanym w sobie małżeństwem – było to, że Juno pali.

Dużo, według słów Damiena, który wrócił ze zjazdu pijany i rozrzewniony i rozplątywał się nad nałogiem Juno (czterdzieści fajek dziennie), i opowiedział mi rozwlekłą, niespójną historię o tym, jak wypaliła ukradkiem papierosa przy stole i uruchomiła instalację tryskaczową, która przemoczyła do suchej nitki jakiegoś biednego durnia zwanego „Nolanem Bez Jaj” i okłamała kierownika hotelu, kiedy zapytał, czy paliła i jakie to wszystko było zabawne, myślał, że się posika...

Jako że rzuciliśmy fajki z dnia na dzień, oboje byliśmy rozdrażnieni z powodu głodu nikotynowego, ale podejrzewałam, że Damien dodatkowo żywi do mnie z tego powodu urazę: to moja ciotka zachorowała na raka płuc, to moja matka zawstydziała nas tak, że przestaliśmy palić.

Nagle, niczym liny ratowniczej, uchwyciłam się pewnej myśli.

– A czy w piątek nie będziesz przypadkiem na Węgrzech? – Zdając relację z tamtejszych wyborów.

– Zdamę wrócić. Przylatuję w piątek po południu. Kuźwa.

– Grace, wszystko w porządku? – zapytał. – Wyglądasz trochę...

– W porządku. Poklepał sofę.

– Usiądź przy mnie i poczęstuj się butelkami coli. Mogę ci zaproponować zarówno gazowaną, jak i nie.

Mój nastrój balansował na krawędzi i mógł pójść w obu kierunkach – masłem do góry, masłem na dół – ale postanowiłam się uśmiechnąć. Reagowałam paranoicznie. Nie miałam do tego skłonności (z wyjątkiem niezbyt częstych przypadków, kiedy cierpiałam na napięcie przedmiesiączkowe i włączałam *Ostatnie dni Stalina*). Przewinęłam do tyłu swój dzień w poszukiwaniu powodu kiepskiego humoru: Paddy de Courcy.

– A skoro już zjadłeś swój przydział cukru i konserwantów – powiedział Damien – to czy mogę zaproponować nieco lekkiej aktywności seksualnej?

Pocałował mnie. Jego usta miały smak sztucznej truskawki. A po chwili smakował już sobą. Rozpaliła się we mnie iskra. Zawładnęła mną nagle potrzeba i poczułam, jak odpowiada na nią wygłodniałe.

– Wow – rzekł. – Co to się stało?

Ponownie mnie pocałował i po chwili całowaliśmy się jak nastolatki. Przegięcia szyi i zmiany kierunku, i ciągnięcie za ubrania: niemal nie mogliśmy się zdecydować, co zdjąć najpierw.

Sięgnął do sprzączki i uwolnił swój zwiedziony członek. Ja pozbyłam się bluzy i rozpięłam stanik.

Sięgnął do moich brodawek i zawołał:

– Chryste! Moje kolano.

– Siedź, jak siedzisz. – Jak najlepiej mogliśmy to zrobić?

Ponieważ nie było takiej opcji, byśmy tego nie zrobili.

– Usiądę na tobie.

– Jak ludzie uprawiają seks, kiedy są w gipsie? – wydyszał.

– Dla niektórych jest to nawet fetysz. – Wstałam i szybko zdjęłam spodnie od dresu i majtki. – Bycie całym w gipsie. Nazywa się ich „gipsiarzami”. Kiedyś pisałam o nich artykuł, pamiętasz?

Nie wiem, dlaczego mówiłam mu to wszystko, mało mnie to obchodziło.

Położył ręce na moich biodrach, by nakierować mnie na siebie.

– Moglibyśmy postarać się o jakiś fetysz?

– Teraz? – Otoczyłam kolanami jego uda. Oddychałam płytko. – Ty to masz wycucie chwili.

– Nie teraz. Kiedyś.

– Jasne. Coś ci przychodzi do głowy? – Jego czubeczek ledwie mnie muskał.

– Tak na zawołanie to nic.

– Cóż, w takim razie zastanów się. – Wpychał się we mnie, ja opuszczałam się na niego. Opór wystarczający, bym czuła się opuchnięta i ciasna. Jęknął. Wchodził we mnie i wychodził, i wchodził. – Daj mi znać, jeśli przyjdzie ci do głowy coś dobrego.

– Gdzie idziesz? – zapytał Damien, kiedy wymykałam się na palcach z sypialni. – Czemu nie śpisz?

– Idę tylko po plaster nikotynowy.

W ciemnym salonie pogrzebałam w torbie i wyjęłam z niej telefon. Włączyłam go. Wiedziałam, że do mnie zadzwoni. Dlatego właśnie przez cały dzień miałam wyłączoną komórkę.

Na poczcie głosowej miałam trzy wiadomości. Przyłożyłam telefon do ucha i słuchałam. Dwie od Damiena pytającego, gdzie się podziewam.

Potem usłyszałam jego głos. Tylko cztery słowa:

– Zadzwoń do mnie. Proszę.

Dni z zieloną torbą były w zasadzie najgorsze. Choć czarna (bezlitosna postawa negatywna; skłonność do rozpacz) była zła, podobnie jak i czerwona (niepohamowana wściekłość), wiedziało się przynajmniej, na czym się stoi. Co nie znaczy, by beżowa była przyjemna – choć kolor był łagodny, to czynił z niej radosną mądrą.

Ale zielona – z zieloną nigdy nic nie było wiadomo. Zielona ostrzegała nas, by spodziewać się enigmatycznych uwag, nagłych zmian opinii, nieustannego modyfikowania reguł gry. W dniu z zieloną torbą mogła pochwalić cię i mówić poważnie. Albo mogła cię pochwalić, a potem wrzasnąć:

– Jeśli w to wierzysz, to znaczy, że nadal wierzysz w Świętego Mikołaja!

Nie było tak źle, kiedy krzyczała na mnie albo TC – potrafiliśmy to znieść – ale krępowało nas patrzeć, jak wrzeszczy na Oscara, swego pięcioletniego syna, w dniu pod tytułem „Przyprowadź swego syna do pracy”.

Był poniedziałkowy ranek i moje nazwisko znajdowało się na pierwszej stronie „Spokesmana” – co prawda nazwisko Jonna Fido z wiadomości także, ale to wcale nie ujmowało blasku temu faktowi. Sprawienie, by twoje nazwisko znalazło się na pierwszej stronie, było niczym nagranie płyty, która dotarła do pierwszego miejsca list przebojów. Głównymi rozgrywającymi świata prasy codziennej byli oczywiście dziennikarze od „mocnych” wiadomości – każde stare gówno uplasowałyby ich w czołówce. Ale w przypadku autorów obszernych artykułów, takich jak ja, nie zdarzało się to tak często, dzięki czemu tym większą się miało satysfakcję, gdy rzeczywiście do tego doszło.

Dodatkowo na stronie drugiej i trzeciej zamieszczono mój obszerny artykuł przedstawiający sylwetkę Dee. A na stronę piątą napisałam odważny felieton zatytułowany „Coś takiego nigdy by się nie przytrafiło mężczyźnie”.

TC przyglądał się, jak idę do swojego biurka.

– „Spokesman” według Grace Gildee – rzekł.

– Jesteś przebojem dnia – stwierdziła Lorraine. – Jacinta będzie tobą zachwycona.

Zgodnie prychnęliśmy z powodu znikomego prawdopodobieństwa czegoś takiego, ale nic nie było w stanie zepsuć mi humoru. Byłam zakochana w swojej pracy. Radowało mnie to wszystko – dzwoniące telefony, odgłosy stukania w klawiaturę, rozmowy. Byłam przekonana, że nawet w żyłach czuję szum działania.

– Jaki kolor torebki? – zapytał TC.

– Zakładamy się o pieniądze? – zapytała Lorraine. – Czy tylko dla zabawy?

– Dla zabawy.

– Zielony – oświadczyła Lorraine.

– Zielony – zgodziła się Tara.

– Nie żółty? – Mój mały żarcik. Żółty oznaczał lody, czasami nawet colę z gałką lodów.

– Czarny – powiedziała Clare.

– Ach, nie – zaprotestował TC. – Nie, nie. Jest szefową Artykułów. To, że Grace tak świetnie poszło, dobrze świadczy o jej imperium.

– Ale dobija ją to, że musi uznać sukces kogoś innego, nawet jeśli jest to ktoś z jej ludzi – stwierdziła Clare. – Nie mówię, że to zła kobieta...

– Teraz może i nie – wtrąciła Tara. – Ale musiałybyś się usłyszeć w Dinnegans w piątkowy wieczór po trzech wódkach z tonikiem.

– Ja stawiam na zieloną – powiedziała Lorraine.

– Ja też.

– To Tara.

– I ja – dorzucił TC.

– I ja – rzekłam i ja.

– A ja pozostaję przy czarnej – stwierdziła Clare.

– Uważam, że wszyscy zachowujecie się niemądrze – oświadczyła Joanne. – To tylko torebka.

Wszyscy zdawali się nieco odsunąć od Joanne. Tak naprawdę to nigdy tu tak do końca nie pasowała.

Do: Gracegildee@spokesman.ie

Od: Pattilavezzo@oraclepr.com

Temat: Wywiad z Madonną

Proszę o przesłanie szczegółowych danych demograficznych czytelników „Spokesmana”. Proszę także o dane dotyczące nakładu za osiem ostatnich kwartałów.

Kobieta z PR Madonny wcześniej poprosiła już o przykłady moich prac. Potem o kilka dodatkowych. Następnie musiałam napisać esej na temat powodów, dla których uwielbiam Madonnę. Skoro przeszła do sprawdzania nakładu, musiało mi dobrze pójść. Wyglądało to bardzo obiecująco. Boże! Ogarnęło mnie połączenie przerażenia i euforii. A jeśli do tego dojdzie? A jeśli naprawdę do tego dojdzie? Poznałabym Madonnę. Madonnę!

– Jest Jacinta – wyszeptał TC.

– Nie widzę torby, ksero ją zasłania.

– I na dodatek przykryła ją płaszczem.

– Chyba zielona.

– Nie, czarna.

– Nie, zielona. Była zielona.

– Dobra robota z tą sylwetką Dee Rossini – oświadczyła z werwą Jacinta.

Nie odzywając się, czekałam na szpilę.

– Kot odgryzł ci język? – zapytała.

– Nie.

– No więc co się stało z „dziękuję”?

– Dziękuję.

Udałam się za nią do jej gabinetu.

– Niech ci się nie wydaje, że możesz spocząć na laurach i dzisiaj się objąć. Jesteś taka dobra, jak twój następny artykuł. Co masz dla mnie?

– Romansowanie podczas biurowych imprez bożonarodze...

– Mamy dopiero siedemnasty listopada!

– Średnia kwota wydawana na gwiazdkowe pre...

– Nie!

– Bezdumni w Boże Narodzenie.

– To coś podnoszącego na duchu?

– Nie. Są bezdomni.

– I nadal mamy dopiero siedemnasty listopada. Nie! I mówię poważnie...

– mruknęła. Jej spojrzenie umknęło w bok i to co zobaczyła, sprawiło, że zamarła, jakby się zamieniła w słup soli.

Obejrzałam się. To Casey Kaplan, w swoich obcisłych czarnych dżinsach i z potarganymi włosami. – Co ty tu, u licha robisz? – zapytała ponuro Jacinta.

– Pracuję tutaj. – Uśmiechnął się wyzywająco.

– Sądziłam, że masz alergię na światło dzienne. Jeszcze nigdy nie mieliśmy przyjemności gościć cię o tak wczesnej porze.

Casey wniósł ze sobą aurę papierosów i pubów i dobrej zabawy. Widać było, że przyszedł tu prosto z imprezy albo jakiegoś klubu.

Kiedy ten zapach dotarł do Jacinty, zerwała się na równe nogi.

– Cofnij się! – Zamachała rękami. – Ty śmierdzisz!

– Ktoś za ciasno zapiął ci rano bluzkę, Jacinta. – Casey zaśmiał się, po czym oddalił się niespiesznie.

– Dzięki, Casey – mruknął TC. – To z całą pewnością ją uspokoi.

Usłyszałam, jak na końcu biura Casey pyta:

– Dobry, Rose. Jest Coleman?

– Tak – odparła nerwowo Rose. Była osobistą asystentką Big Daddy'ego i strażniczką drzwi do jego gabinetu. – Ale nie chce, by mu przeszkadzano.

– W porządku. Wysłał mi esemesa. Spodziewa się mnie.

Zadzwoił telefon. Numer moich rodziców. Nie wiedziałam czemu, ale zawsze gdy dzwonili, sygnał wydawał się bardziej niecierpliwy niż normalnie. Zawsze udawało im się przykuć moją uwagę.

– Chodzi o Bingo – powiedział tata.

– Na rany Chrystusa.

– Jest w Walii.

– W Walii? Po drugiej stronie morza? Jak to możliwe?

– Popłynął promem.

– Jak?

– Zakładamy, że dostał się do terminalu i wsiadł na prom razem ze wszystkimi. I zszedł z niego razem ze wszystkimi. Porządny walijski obywatel

znalazł go na drodze prowadzącej w stronę Caernarron i zadzwonił pod numer na jego obroży.

– Nie poproszono go o bilet, kiedy wsiadał na prom?

– Zakładamy, że przyłączył się do jakiejś rodziny, uznano go za jej członka i tak oto znalazł się na promie.

Milczałam. Ten pies zasługiwał na podziw. Powinni zmienić mu imię na Marco Polo.

– Szybki prom odpływa z Dun Laoghaire o czwartej – rzekł tata. – Do Holyhead płynie jedynie pięćdziesiąt pięć minut. Tak jest podane w rozkładzie. Ale podejrzewam, że to ideał stachanowski, opracowany w celu skuszenia łatwowiernych podróżnych. Postawiłbym pieniądze, gdybym je oczywiście miał, na to, że w rzeczywistości błąd człowieka, niekompetencja, niesprzyjające warunki pogodowe itd. wydłużają ten szacunek o czas nieokreślony.

– Przyjemnej podróży.

– Komu tego życzysz?

– Tobie. Mamie. Bid. Temu, kto popłynie.

– Ale czy ty nie... ?

– Ja. Jestem. W. Pracy. Wy. Jesteście. Na. Emeryturze. To. Wasz. Pies.

– Ty. Jesteś. Naszą. Córka. My. Jesteśmy. Ludźmi. Starszymi. I.

Biednymi.

– Zapłacę. Za. Wasze. Bilety. Do. Widzenia.

Zadzwonił telefon. Ponownie tata.

– Co znowu? – zapytałam.

– Za ile osób?

– Za ile osób co?

– Za ile osób zapłacisz? Tylko za mnie czy za całą naszą trójkę?

– Za trójkę, oczywiście; trójkę, jak najbardziej. Zasłonił ręką słuchawkę i zawołał z podekscytowaniem:

– Wszyscy możemy płynąć!

Usłyszałam radosne piski mamy i Bid. Biedne paskudy. Jak łatwo ich było zadowolić. Zwłaszcza teraz, gdy Bid była taka chora.

– Masz dobre serce, Grace – oświadczył tata. – Tak ja i Damien potrafisz być brutalna podczas wykonywania swoich obowiązków, w tym się akurat świetnie dobraliście, ale w głębi duszy jesteś dobra i życzliwa.

Kiedy ponownie zadzwonił telefon, odebrałam odruchowo. Spodziewałam się, że to jeszcze raz tata z zapytaniem, czy dostaną kieszonkowe na herbatę i kanapki na promie.

– Grace Gildee, słucham?

Nie! Fatalny błąd! Nigdy nie odbieraj telefonu, jeśli nie wiesz, kto dzwoni! Teraz będę musiała odbyć długą i trudną rozmowę z kimś z PR, kto będzie próbował mnie przekonać do opisanego jego książki/gadżetu/organizacji charytatywnej.

– Kto dzwoni?

– Susan Singer.

– W jakiej sprawie?

– W sprawie mojej mamy. Ja i moja siostra, Nicola, nasza mama, pani Singer? Była pani u nas we wrześniu i rozmawiała z nią o biopsji? Przesłała nam pani zdjęcie.

– Tak, oczywiście!

– Umarła. Wczoraj w nocy.

– Boże! To takie smutne! Strasznie mi przykro.

– Pomyślałam, że może chciałaby pani... wiedzieć. Była pani wtedy miła, no i przysłała nam pani zdjęcie. Mama oprawiła je w ramkę. Pogrzeb jest jutro rano.

– Zjawię się. Dziękuję, że zadzwoniłaś.

Zjeżdżałam do baru kanapkowego po lunch (było dziesięć po jedenastej, ale nie mogłam czekać ani chwili dłużej) i zanim drzwi zdążyły się zasunąć, do windy wślizgnął się Casey Kaplan.

– Powiedz mi – rzekł. – Jacinta ma rację? Śmierdzą?

– Tak.

– Czym śmierdzą?

Pociągnęłam nosem i przez chwilę się zastanawiałam.

– Rozpustą.

Wydawał się zadowolony.

– Dobra robota z Dee Rossini, Grace, to był niezły artykuł. – Drzwi windy rozsunęły się i wyszliśmy do holu. – No ale co z tym Chrisem? Kto mógł przypuszczać? – I dodał w zamyśleniu: – Zawsze go uważałem za gościa godnego zaufania.

– Chris?

– Christopher. Holland. Chłopak Dee.

– Znasz go? – Mój głos był wysoki i pełen udreki. Wzruszył nonszalancko ramionami.

– Taa.

– Wiedziałaś, że to jej chłopak? – Nikt inny na całym świecie nie wiedział, że w ogóle istnieje jakiś chłopak.

– Taa. Zawsze myślałem, że to świetny koleś. Ale – dodał ze smutkiem – „Globe” sychnął kasą i podejrzewam, że z tymi swoimi długami karcianymi nie

umiał się oprzeć. Jak to ktoś kiedyś powiedział, pieniądze mają siłę przekonywania...

Usłyszałam dość. Nie zniosłabym więcej jego popisywania się. Zostawiłam go w połowie rozmowy i ruszyłam szybkim krokiem w stronę drzwi, obserwowana przez Yusufa i panią Farrell, radośnie szturchających się łokciami.

Wszystko pokazano w wieczornych wiadomościach.

Tego ranka w Dail przewodniczący Postępowych Chrześcijan, Brian „Gruchot” Brady (był właścicielem doskonale prosperującego imperium komisów samochodowych; irlandzcy politycy sami zachęcali do tego, by nadawano im przydomki, aby się wydawali przez to bardziej „ludscy”), wstał i oświadczył:

– Jeśli wolno mi udzielić mojej szanownej koleżance, przewodniczącej Nowej Irlandii, pewnej rady... – Po czym schylił się i podniósł z krzesła coś różowego. Rozległ się śmiech tych, którzy znajdowali się na tyle blisko, by zobaczyć, co to takiego. – Ten oto przedmiot – uniósł go nad głowę, a śmiechy przybrały na sile – to damska golarka. – Zerknął na napis na opakowaniu. – Jestem pewny, że gwarantuje ona jedwabście gładkie nogi”.

Tłum ryknął śmiechem. Ci ludzie wyglądali jak wariujące małpy.

Gruchot skinął głową i rzekł:

– Ofiarujemy ci to, pani minister Rossini, jako prezent od Postępowych Chrześcijan, w nadziei, że się pani przyda.

– To było wstrętne. – Damien był tam wtedy, na galerii dla dziennikarzy.
– Przepychanki rodem z piaskownicy. A to jeszcze nie koniec.

Wstał przewodniczący Partii Pracy.

– To był cios poniżej pasa ze strony przewodniczącego Postępowych Chryścijan – oświadczył. – Partia Pracy pragnie zaoferować pani Rossini swoje wsparcie. W formie tegoż przydatnego przedmiotu. – Wyjął coś z kieszeni.

– Co to? – zapytałam Damiena.

– Maść do stóp Scholla.

Nawet Partia Zielonych ofiarowała Dee buteleczkę olejku lawendowego na cellulit.

– Partia Socjalistyczna nic nie dała – zauważyłam, wzruszona wyrozumiałością jej członków. Zastanawiałam się, czy w następnych wyborach nie powinnam na nich zagłosować.

– Prawdopodobnie dlatego, że nie mieli na to funduszy – powiedział Damien. – Gdyby udało im się złożyć na tubkę kremu do stóp, możesz być pewna, że by to zrobili.

Dee podejrzanie błyszczały oczy, ale wstała i przyjęła wszystko, a nawet udało jej się uśmiechnąć i efekt był taki, że rząd przetrwał.

– Ale otrzymała ostatnią szansę – rzekł Damien. – Jeszcze jeden skandal i po niej. A razem z nią odejdzie partner koalicyjny Napletków. Co oznacza, że nie ma rządu. Ile par skarpetek muszę spakować?

– Na ile nocy jedziesz?

– Wtorek, środa, czwartek, trzy.

– No więc ilu par potrzebujesz?

– Trzech.

– Doskonale. Łap.

Jedną po drugiej rzuciłam trzy zwinięte pary skarpetek przez pokój. Z gracją łapał je jedną ręką i wrzucał do torby, jedna, druga, trzecia.

- Biedna Dee – rzekł Damien..
- Kto robi jej coś takiego? – zapytałam.
- Postępowi, a któż by inny? Tylko oni odnieśliby z tego korzyści.
- Ale wiesz kto konkretnie? Gruchot? Ktoś na górze czy kto?
- Nie wiem.
- Ale nawet gdybyś wiedział, tobyś mi nie powiedział.
- Nie mógłbym. – Musiał chronić swego informatora.
- Dlaczego uwzięli się właśnie na Dee?
- Ponieważ już próbowali dokopać Napletkom. Pamiętasz „pożyczki” Teddy'ego?

Przewodniczący Nacjonalistycznej Partii Irlandii został przyłapany na braniu osobistych „pożyczek”, które sięgały dziesiątek tysięcy, „pożyczek”, które miał od ponad dekady i których nie spłacił. Ale on to przetrzymał i nie zgodził się odejść.

– Napletki i Teddy są pokryci warstwą teflonu. Opozycji pozostało jedynie zaatakowanie ich partnera koalicyjnego. A w przeciwieństwie do pozostałych, Dee jest honorowa. Jeśli wystarczająco się ją przyciśnie, to w końcu zrezygnuje. Zimno będzie na Węgrzech?

– A kim ja jestem? Pogodynką?

Pokręcił głową nieomalże z dumą.

– Jesteś straszną zrzędą.

Oboje się zaśmialiśmy.

– To ty mnie wszystkiego nauczyłeś – powiedziałam. – Jest listopad.

Krótkie spodenki zostaw w domu.

– Boże, popatrz, Grace. – Patrzył na ekran telewizora. Uprawdzono wielką ciężarówkę z papierosami. Dwóch złodziei wyrzuciło z szoferki kierowcę i odjechało na północ, jak nic zrywając boki ze śmiechu.

– To moglibyśmy być my – rzekł Damien. Na jego twarzy widać było głód nikotyny. – Cała ciężarówka. Kiedy byśmy już byli pewni, że nikt nas nie goni, zjechalibyśmy do zatoczki, weszlibyśmy na pakę i palili do nieprzytomności.

– Moglibyśmy otworzyć setki paczek... – zawołałam.

– ... i rzucać garście papierosów do góry i spadałyby one na nas...

– ... i zapalilibyśmy kilkanaście i wypalilibyśmy je tylko do połowy...

– ... albo palilibyśmy sześć na raz...

– ... i uprawiali szalony nikotynowy seks, kotłując się na łóżku z papierosów. Boże... – Westchnęłam.

Następnie on westchnął i z rezygnacją wrócił do pakowania. Przypomniała mi się *Dziewczynka z zapalkami* i to, że kiedy płomień gaśnie, jej piękna wizja znika.

Wsunęłam mu do walizki awaryjny zapas słodczy i przez chwilę chciałam też włożyć kartkę z napisem „Kocham cię”, ale to byłoby tak bardzo nie w moim stylu, że jeszcze by się przestraszył.

– Dobroczynność.

– Nie! – Jacinta automatycznie mówiła tak teraz bez względu na to, co proponowałam. – Zrobiłaś się taka... dobrotliwa. Najpierw wykorzystywane kobiety i bezdomni, a teraz ta dobroczynność.

– Trzy albo cztery sylwetki różnych obliczy dobroczynności. – Kontynuowałam, jakby tryskała entuzjazmem. – Kobieta ze śmietanki towarzyskiej, która chodzi na wszystkie imprezy dobroczynne; administrator,

który sprawuje kontrolę nad funduszami dla krajów rozwijających się; pełna współczucia osoba, która rzuca na sześć miesięcy pracę, by karmić głodujących.

Spodobało jej się. Najbardziej ta „kobieta ze śmietanki towarzyskiej”.

– Hej, Declan, kto jest królową dobroczynności? – zawołała.

Declan O'Dowd zerknął na nas.

– Rosalind Croft. Żona Maxwella Crofta.

– Wiedziałam – syknęła z triumfem Jacinta. – Spędzę z nią cały dzień, śledząc jej każdy krok. Słyszałam, że jest bardzo szczodra. Może podaruje mi torebkę. Nagraj to, Grace.

– A ja mam się zająć tymi nudnymi?

– Tak, tak, cudownie spędzisz czas z kimś o miękkim sercu, kto jeździ do Afryki. Będziecie mogli ponarzekać razem na globalizm, spodoba ci się! Spróbuj znaleźć kogoś, kto nie wyjdzie na zdjęciu jak kaszalot.

– A administrator?

– Jak chcesz, to wyślij TC. Albo sama się tym zajmij. Ale niech to będzie ktoś przystojny. Gdzie się wybierasz?

– Na pogrzeb.

Kościół był pełen posepnych ludzi. Dwie córki, Susan i Nicola, obie w ciemnych płaszczach, siedziały w pierwszej ławce obok pobladłego mężczyzny, który zakładam, był ich ojcem. Głowa bolała mnie od niewypłakanych łez.

Pan Singer z wielką czułością opowiedział o swojej żonie. Następnie jego miejsce zajęły Susan i Nicola i w sposób formalny pożegnały się z mamą, i to wszystko było tak bardzo smutne, iż myślałam, że ciśnienie rozsadzi mi czaszkę. Strasznie szkoda, że artykuł o pani Singer nigdy się nie ukazał. Nie

wyleczyłby jej, nie zmieniłby biegu zdarzeń, ale może dziewczynki poczułyby się choć trochę lepiej.

– Teraz wstajemy – wyszeptał siedzący obok mnie starszy mężczyzna. Podjął się udzielania mi wskazówek, ponieważ ja nie znałam tej całej sekwencji siadania/wstawiania/ klęknięcia podczas mszy.

Kiedy wszyscy wstaliśmy, w kościele rozległ się odgłos butów szurających po drewnianej podłodze. Pomiedzy poruszającymi się ciałami, kilka rzędów przede mną, na krótką chwilę mignęły mi charakterystyczne ramiona. Ale to nie mógł być on, co on by tutaj robił?

Przedemną znajdowała się ściana pleców i nie widziałam niczego innego, dopóki starszy pan nie szepnął:

– Teraz klękamy.

Wierni upadli na kolana, a ja zostałam w pozycji stojącej na tyle długo, by się przekonać, że to rzeczywiście Paddy.

– Klękamy, klękamy! – syknął staruszek. – Na kolana!

Uklękłam, nim trafiła go apopleksja.

Co na pogrzebie pani Singer robił Paddy? Znał ją? Wtedy nagle pojęłam: to był jego okręg wyborczy. Politycy zawsze się pojawiali na pogrzebach swoich wyborców, by uważano ich za bardziej ludzkich.

Przed kościołem przyglądałam mu się, jego płaszczowi, wzrostowi i charyzmie. Pochylił głowę, składając dziewczynkom kondolencje. Pamiętałam, jak pani Singer mówiła, że mają czternaście i piętnaście lat – mniej więcej w tym wieku Paddy stracił matkę.

Widać było, że choć zmarła im mama, i tak podekscytowane były tym, że sławny Paddy de Courcy pojawił się na jej pogrzebie.

Biedne dziewczynko–kobiety, pozbawione mamy w tak bezbronny wieku. Ale wyglądało na to, że mają przynajmniej kochającego tatę. Nie tak, jak Paddy.

– O mój Boże... – Marnie zatrzymała się, jakby uderzyła głową w ścianę.

Był pogodny czerwcowy wieczór. Nazajutrz ja i Marnie miałyśmy zdawać maturę z historii i mama i tata wyciągnęli nas na spacer po moło w Dun Laoghaire w nadziei, że świeże powietrze doda nam skrzydeł, tak bardzo potrzebnych na sali egzaminacyjnej.

Przechadzka po moło była krótka; słoneczne wieczory zawsze przyciągały tu mnóstwo ludzi, no i wielu innych rodziców wpadło na ten sam pomysł, co mama i tata.

– Plan Marshalla wyglądał tak, jakby stanowił pomoc, ale w rzeczywistości był to perfidny spisek mający na celu...

– Tata „pomagał nam w powtórce”. Zatrzymał się i obejrzał się na Marnie, która została parę metrów za nim. – Dlaczego się zatrzymałaś, Marnie? Co się stało?

– Nic. – Jej twarz zrobiła się nagle blada.

– Co? Nie możesz powiedzieć, że „nic”. Zaraz zemdlejesz?

– Nie patrzcie – mruknęła. – Nie mówcie niczego, ale to tata Paddy'ego.

– Gdzie?

Mama i tata przesuwali spojrzeniem po pijaczkach na ławkach, korzystających z ostatnich promieni słońca.

– Tam, ale proszę, nie patrzcie! – Marnie pokazała wysokiego, wyprostowanego mężczyznę z krótko obciętymi, szczeciniastymi siwymi włosami, ubranego w idealnie wyprasowaną jasnobrązową koszulę i spodnie w takim samym kolorze. Wyglądał jak wojskowy.

–On?

Mama i tata nie spodziewali się czegoś takiego. Wiedzieli, że pan de Courcy to ojciec najczęściej nieobecny, ale jako że Paddy nigdy nie wdawał się w szczegóły, doszli do całkiem rozsądnego wniosku, że problem tkwi w alkoholu.

Marnie schowała się za mną.

– Nie pozwól, by mnie zobaczył.

– Wygląda na całkiem miłego – rzekła mama.

– Masz na myśli czystego – odparła Marnie.

– Wcale nie! – Mama była urażona. – Od kiedy to lubię czystych ludzi?

– Wygląda, jakby był wojskowym. A jest nim? – zapytał tata.

Marnie pokręciła głową.

Tata zadowolony z tego, że nie będzie się fraternizował z zamordystami, ujął mamę za łokieć.

– Powinniśmy się przedstawić.

– Nie, proszę! – zaprotestowała Marnie. Odciągnęła ich.

– Ale dlaczego? Jego syn i nasza córka od roku „chodzą” ze sobą. Byłoby to czymś grzecznym.

– Ty nie rozumiesz. Chwileczkę. – Przywołała nas do siebie, tak że tworzyliśmy zbitą grupkę. – Nie patrzcie! Nie pozwólcie, by widział, że patrzycie!

Rzucaliśmy dyskretne spojrzenia w stronę pana de Courcy.

– O co chodzi? – zapytał tata. – Widzę, że ma mikrofon. Czy on śpiewa?

Marnie zawahała się, przełknęła ślinę, po czym rzekła:

– Czasami tak.

– A więc jest piosenkarzem – powiedziała mama. Lubiła piosenkarzy, muzyków, ludzi sztuki, generalnie każdego, kto nie miał stałych dochodów. – Paddy nigdy nic o tym nie wspominał.

– On nie jest piosenkarzem.

Marnie opowiedziała mi kiedyś o panu de Courcy, ale zagroziła, że jeśli pisnę choć słowo, ona rozpowie wszystkim, że jeszcze nie straciłam dziewictwa. (Co było żenujące, gdy miało się prawie osiemnaście lat.)

Rozumiałam, dlaczego tak chroniła Paddy'ego. Marnie i ja wstydziliśmy się naszych rodziców: taty z jego nosem i jego komuchowatych poglądów, mamy i jej szyku sawantki i tendencji do uszczęśliwiania wszystkich na siłę. Ale ojciec Paddy'ego to była zupełnie inna sprawa.

Dla mnie osobiście elektryzująca była świadomość, że w końcu mogę zobaczyć człowieka, o którym tak wiele słyszałam. Miał szeroką szczękę, którą poruszał, jakby tylnymi zębami gryzł surowe ziemniaki. Jego skóra wyglądała na wrażliwą i delikatną, jakby zgolił trzy lub cztery dodatkowe jej warstwy po to tylko, by dać twarzy nauczkę. Oczy miał równie niebieskie jak Paddy, ale jego spojrzenie było szkliste.

– Wyjmuje je na noc i poleruje – rzekła Marnie, czytając w moich myślach. – Możemy już wracać? Wystarczająco się nachodziliśmy.

– Podejźmy po prostu i się przywitajmy.

– Nie, mamó. Nie polubiłabyś go.

– Nie możesz decydować za nas – rzekł tata.

– My lubimy wszystkich – upierała się mama. – Słuchajcie, on włącza mikrofon. Chyba zaraz zacznie swój występ.

– On nie jest ulicznym artystą – powiedziała Marnie z nutką desperacji w głosie.

– Ćśś, posłuchajmy – rzekł tata, odwracając wyczekująco głowę w stronę pana de Courcy.

Czego się tata spodziewał? Dowcipów? Ballad? Coverów Sinatry?

Do głowy mu nie przyszło, co rzeczywiście usłyszy.

Pan de Courcy dziewięć lub dziesięć razy zacisnął tylne zęby, zbliżył mikrofon – trzymany w dłoni z białymi knykciami – do ust i zawarczał:

– Wysłuchajcie mnie! Bóg tak umiłował świat, że zesłał nam swego jedyne go syna, by nas ocalił. Swego jedyne go syna. By ocalić nas, nędznych grzeszników. Tak, panią po prawej w niebieskiej kurtce i tak, pana tutaj. A czy okazujemy mu za to wdzięczność? Okazujemy? – zapytał zaskoczonego mężczyznę uprawiającego jogging. – Nie, z całą pewnością nie. W jaki sposób odpłacamy mu za ten wielki akt poświęcenia? Grzesząc. Grzechy rozpusty cielesnej! Nieczystość! Chciwość, łakomstwo, gniew, zazdrość, ale przede wszystkim nieczystość!

Mężczyźni wyprowadzający psy, młode matki z wózkami, rodziny spacerujące w ostatnich promieniach słońca – ta inwektywa dosięgła ich wszystkich. Wyglądali na zaskoczonych, zaniepokojonych, czasami urażonych. Takie niezależne kazania były czymś wysoce niezwykłym. Dla tego typu spraw Irlandia miała kanały oficjalne – armię księży, którzy obsługiwali zamknięty zakład pracy.

Mamę i tatę zamurowało. Na ich twarzach malował się tak wielki szok, że wyglądali jak konwertyci.

– Możemy iść? – zapytała błagalnie Marnie, ciągnąc mamę za łokieć. – Boję się, że mnie zobaczy i zacznie krzyczeć o nieczystości.

– Tak, tak, oczywiście.

Mama i tata opiekuńczo poganiali nas w stronę wyjścia, aż w końcu głos pana de Courcy ucichł. Być może sprawił to zakręt albo kierunek wiatru, ale kiedy byliśmy już niemal na końcu mołu, Marnie wyszeptała:

– Teraz śpiewa.

Nastawiliśmy uszu i usłyszeliśmy bardzo wyraźnie:

– To szatańska kobieta, w jej duszy samo zło. – Śpiewał powoli, na modłę pieśni żałobnej, pozbawiając piosenkę wszelkiej dziarskości. – Strzeżcie się szatańskiej kobiety, dopadnie was niespodziewanie.

Tata wpatrywał się w miejsce, skąd dochodził głos.

– To tragedia – rzekł.

– Muszę przyznać, że spodziewałam się pijącego nieudacznika – powiedziała mama. – I żeby tylko.

– Ale on jest nieudacznikiem – odparła Marnie. – Zwolniono go z pracy i nie próbował znaleźć sobie innej. Nie zarabia żadnych pieniędzy. To jedyne, czym się teraz zajmuje.

– Biedny Paddy. A jego matka nie żyje. Nie ma nikogo, kto by się nim opiekował.

– Biedny Paddy.

– Biedny Paddy.

– Biedny Paddy.

– Damien! Damien Stapleton! Ty wielki, seksowny przystojniaku, tutaj!

– Oto i ona – rzekł Damien.

Kobieta przy odległym stoliku stała i machała: wysoka, biuściasta, jasnowłosa, głośna; to ten typ, który wykrzykiwał słowa powitania z odległości pięciu kilometrów.

– To jest Juno?

– Zgadza się – odparł radośnie, chwytając moją dłoń i prowadząc nas przez restaurację. – Nie martw się. Jesteście do siebie podobne. Świetnie się będziecie dogadywać.

Nie tego się spodziewałam i dlatego ogarnął mnie duży niepokój. Nie znosiłam, kiedy moje uprzedzenia były obalane. Oczyma wyobraźni widziałam Juno jako damulkę, która lubi ubierać się na białą i głodzi się tak, że ma początki osteoporozy. No bo przecież pracowała kiedyś w PR, dla Browning and Eagle, czy można mnie winić? W rzeczywistości była krzepka i postawna i miała na sobie dzinsy i koszulę do rugby z uniesionym kołnierzem. Wiele rzeczy mnie irytuje – nie przeczę, że jestem mało tolerancyjną osobą – ale koszule rugby noszone z uniesionym kołnierzem sprawiały, że w moim wnętrzu niczym toksyczny czarny dym wzbierała wściekłość.

– Nadal najbardziej spóźnialski człowiek w Irlandii – zbeształa go, po czym dała mu szybkiego całusa – ku memu zaniepokojeniu – w usta.

– To wina Grace – odparł Damien. – Została dłużej w pracy.

Dzięki, ty nielojalna cholero.

– Trzęsienie ziemi w Pakistanie – wyjaśniłam. – Ofiary to głównie kobiety i dzieci. Cóż za bezmyślność z ich strony, by zginąć w piątkowy wieczór, kiedy ja wybieram się na kolację. Cha, cha, cha – dodałam z przymusem, bezowocnie próbując pokazać, że mam dobry humor.

– Praca! – wykrzyknęła Juno. – Rzuć ją, mówię ci! Niech mężczyźni harują, a my siedzmy w domu i wydawajmy pieniądze!

Próbowała zachowywać się przyjacielsko – widziałam, że doznała takiego samego szoku jak ja – i to była moja szansa na to, bym w dobrej wierze odparła coś w rodzaju: „Tak, faceci, leniwi dranie! Dość tego dobrego. Dostaną nauczkę za rzucanie brudnych skarpetek na podłogę!”.

Ale nie mogłam.

Spojrzał na puste krzesło obok niej.

– Gdzie jest twój mąż?

– Licho wie – odparła, odrzucając do tyłu głowę i śmiejąc się.

– Co masz na myśli?

– Na imprezie firmowej w Curragh. Spędził tam całe popołudnie.

Właśnie do mnie dzwonił. – Pokazała na swój telefon. – Zbyt pijany, by prowadzić. Możliwe, że dotrze później, ale kto to wie, w jakim będzie, kurwa, stanie. Ma u mnie przerażane, przegrał dwa tysiąki na wyścigach. Jeśli w ramach przeprosin nie dostanę jakichś przyzwoitych brylantów, to nie ja przez najbliższy miesiąc będę spać w pokoju dla gości!

– Ryknęła śmiechem. Damien także.

Jej męża nie będzie?

Wcześniej wcale nie miałam ochoty na tę kolację. W tym pozbawionym nikotyny okresie była to komplikacja, bez której spokojnie mogłabym się obejść. Jednakże spotkanie grupowe, włączając mnie i męża Juno, wydawało się dość niewinną propozycją. Teraz wszystko uległo zmianie i wiedziałam, że kilka następnych godzin spędzę, siedząc jak dureń, gdy tymczasem Damien i Juno będą się bawić w „A pamiętasz, jak byliśmy... ”

I dlaczego Juno wybrała wieczór imprezy firmowej Warnera?

I dlaczego nie przeprosiła?

Czy to nie było... niegrzeczne?

Od kiedy coś takiego zaczęło mi przeszkadzać?

Pojawił się kelner.

– Aperitif?

– Kufel guinnessa – powiedział Damien.

– Dla mnie też – rzekła Juno.

Piła piwo? Powiem wam, że nowością było dla mnie poczuć się dziewczęco i skromnie.

– Ty i te twoje kufle guinnessa – rzekł wesoło Damien.

– Zaczyna mi się przypominać nasza zmarnowana młodość.

Pamiętasz? Kiedy nie mieliśmy pieniędzy i jedno piwo musiało nam wystarczyć na jak najdłużej?

– Tak – wtrąciłam. – Ja też coś takiego robiłam. A najtańszym piwem, jakie można było wtedy kupić...

– Grace? – Damien wskazał na kelnera. – Co pijesz?

– Przepraszam. – Tak desperacko próbowałam się dostosować, że zapomniała o nim. – Poproszę gin z tonikiem.

– Duży?

– A czemu by nie?

– Wskoczę na rakotwórczego lizaka. Nie skusisz się... – Juno uśmiechnęła się do Damiena. Pokręcił z żalem głową.

– Jak się ze sobą dogadujecie, odkąd rzuciliście palenie?

– Dobrze – odparłam.

– Skaczemy sobie do gardeł – rzekł w tym samym czasie Damien.

– Wcale nie – zaprotestowałam. – Ależ tak. W ogóle się nie dogadujemy – upierał się

– Czyżby?

– Owszem.

– Dogadujemy!

– Nie.

– Tak!

–Nie!

Juno zamachała nam przed oczami paczką marlboro, jakby to była odznaka FBI.

– Nie chciałabym wam przerywać – rzekła z błyskiem w oku – ale wyjdę na dwór, wy tymczasem ustalcie wspólną wersję.

– Dlaczego powiedziałeś, że jest podobna do mnie? – zapytałam gniewnie, gdy jechaliśmy taksówką do domu.

– Ponieważ to wygadana kobieta. Nie pozostaje nikomu dłużna. Tak jak ty.

– Tak jak ja! Nic nas nie łączy. Ona nie pracuje.

– Ma dwoje dzieci.

– Ma nianię! Gra w hokeja. Jeździ konno. Mówi: „Rozbierzmy się wszyscy!”. – (Puenta jakiejś bezsensownej anegdoty o całodziennym orgii alkoholowej i basenie.)

– Jest zabawna. Nieprawda.

– Skoro jej nie lubisz – rzekł – to nie musisz się już z nią spotykać.

– Ale ty owszem, tak?

– Możliwe...

– Damien, to twoja była żona.

– Ale to przecież nieistotne. To było tysiąc lat temu.

– Tylko mi nie zaczynaj się z nią spotykać. – Pijacko i dziecinnie dodałam: – Nie bądź taki paskudny.

– O co ci chodzi? Kocham cię. Jestem z tobą.

– Co za cholerny uparciuch – mruknęłam. – Robi to tylko z przekory.

– Nie, nie. – Zachowywał się irytująco rozsądnie. – Juno to część mojej przeszłości i cieszę się, że znowu mamy ze sobą kontakt.

– Ale...

Wtedy nagle przypomniała mi się inna nasza rozmowa, którą odbyliśmy wcale nie tak dawno, i z walecznym duchem osoby pijanej, która wie, że przegrała, ale nie zgadza się na utratę twarzy, rzekłam:

– Pieprzyć to, w takim razie dobrze, dobrze, niech będzie, jak chcesz. Przyjaźnijmy się wszyscy z uroczą Juno.

Była **6. 58**, kiedy zadzwonił telefon.

Już nie spałam. W każdym razie musiało to być coś poważnego. Kolejne tsunami? Kiedy miało miejsce coś tak poważnego, wszyscy byliśmy natychmiast wzywani do pracy.

– Jadę właśnie do szpitala! – To Jacinta. – Oscarowi pękł wyrostek robaczkowy!

– Okej.

– Kłęska żywiołowa? – zapytał zaspanym głosem Damien.

– Uspokój się, Jacinta – rzekłam.

– Jacinta – mruknął. – Mogłem się domyślić.

– W dzisiejszych czasach nikt nie umiera od pękniętego wyrostka robaczkowego. Nic mu nie będzie – dodałam.

– Ty nic nie rozumiesz! Dzisiaj miałam przeprowadzić wywiad z Rosalind Croft, a będę musiała siedzieć przy cholernym łóżku Oscara. Że też ze wszystkich cholernych dni wybrał sobie właśnie ten! Nie miej dzieci, Grace, to najbardziej egoistyczne...

– Ale opublikujemy to dopiero w piątek. Przesuń wywiad na jutro albo czwartek.

– Nie, nie! Harmonogram Rosalind jest tak napięty, że to musi być dzisiaj. Dzisiaj! Ty będziesz musiała tam jechać zamiast mnie.

– Okej.

– Okej? Tyle tylko masz do powiedzenia? Nie cieszysz się? – Ach...

– Jeśli da ci coś, na przykład apaszkę czy... czy cokolwiek innego, natychmiast oddasz to mnie.

Mój samochód został odstawiony na parking przez obsługę. Dom z obsługą parkingową.

Odziana w kostium osobista asystentka zaprowadziła mnie do garderoby, która była większa niż mój cały dom, gdzie fryzjer modelował właśnie włosy pani Croft. Miała już zrobiony makijaż. Trudno było określić, ile dokładnie ma lat – może czterdzieści pięć?

Przed przyjazdem tutaj spodziewałam się, że jej nie polubię. Miałam dość krytyczne nastawienie do kobiet ze śmietanki towarzyskiej, zajmujących się pracą charytatywną; podejrzewałam, że to tylko wymówka, by móc kupować mnóstwo sukien. Ale ona uścisnęła mi dłoń i ciepło się uśmiechnęła. Uśmiech ten wydawał się szczery.

– Będiesz dzisiaj moim cieniem, Grace? Mam nadzieję, że się nie zanudzisz na śmierć.

Szczerze wątpiłam. Choć nie pochwalałam stylu życia bogaczy, karygodnie mnie on fascynował.

Ktoś nieustannie wchodził i wychodził, przynosząc jej wiadomości telefoniczne, menu do zatwierdzenia, dokumenty do podpisania. Bycie bogatym to wymagająca praca. Pani Croft była gadatliwa i miła dla wszystkich. Ale może tylko dlatego, że ja tu byłam.

Niezwykle piękna Nigeryjka o imieniu Nkechi kręciła się po garderobie, rozkładając ubrania, przerzucając rzeczy rozwieszane na wieszakach i pokrzykując na inną Nigeryjkę, Abibi.

– MaxMara, MaxMara, powiedziałałam wyraźnie MaxMara. Dlaczego więc dajesz mi Ralpha Laurena?

– Powiedziałaś: kremowe spodnie.

– Powiedziałałam: kremowe spodnie MaxMara, ty kretynko. To kolosalna różnica.

– Dziś rano przewodniczę zebraniu komitetu – rzekła pani Croft, gdy tymczasem Nkechi pomagała jej w zakładaniu niezwykle mięciutkiego kremowego kardiganu. Nie znałam się na wełnie, ale bez względu na to z czego zrobiono ten sweter, był to z pewnością bardzo, bardzo drogi materiał. Układałam sobie w głowie zdania, by później zdać relację Damienowi. „Kardigan wykonany z włosów noworodków”.

– Jakiego komitetu jest to zebranie? Dobroczyнного?

– A są jakieś inne zebrania? – zapytała z błyskiem w oku. – Dziękuję, Nkechi. – Nkechi zapięła kremowe spodnie MaxMara, które były powodem wcześniejszych połajanek. – Słodkie Dzieci. Na rzecz dzieci z cukrzycą. Następnie lunch.

– A jakiego rodzaju lunch?

– Zgadnij. Ponownie dobroczynny. – Opierając się o Nkechi, wsunęła stopy w kremowo-brązowe czółenka na niskim obcasie z lakierowanej skóry. – Dziękuję, Nkechi.

– Ta sama fundacja?

– Nie, nie, inna. Fundacja Serduszko. Dla dzieci z wadami serca. Dziękuję, Nkechi.

Nkechi majstrowała przy szyi pani Croft z kremową apaszką w podkowy i strzemiona.

– No dobrze, wygląda na to, że jesteśmy gotowi.

To była prawdziwa kawalkada. Ja, pani Croft, osobista asystentka, fryzjer, Nkechi, Abibi, dwa samochody, dwóch szoferów i spora ilość walizek Louisa Vuittona.

Pani Croft, osobista asystentka i ja wsiadłyśmy do maybacha („najdroższego samochodu w Irlandii”), gdy tymczasem Nkechi, Abibi, fryzjer i walizki „musieli znieść hańbę” jazdy za nami w mercedesie klasy S.

Pozostałe panie z komitetu okazały się być takie, jak się spodziewałam: świeżo wymodelowane włosy, ubrania w niepraktycznych jasnych kolorach i akcent niczym szlifierka kąтова. Wyglądało na to, że wszystkie należały do tych samych komitetów i wszystkie brały udział w przyjęciach przez nie organizowanych. („Każdy lunch i kolacja muszą wyglądać jak *Dzień świstaka* w kreacjach Chanel”.)

Miała miejsce ożywiona dyskusja na temat jakiegoś nowego motywu przewodniego balu dla Słodkich Dzieci, albo przynajmniej motywu, którego nie wykorzystano w ciągu ostatnich sześciu miesięcy przy okazji innego balu. Propozycje oklaskiwano i odrzucano stosownie do osobistych animozji. Pani Croft miała nad wszystkim kontrolę bez potrzeby podnoszenia głosu i w końcu zdecydowano, że motywem przewodnim będzie Maria Antonina. („Super!”) Kolejnym punktem zebrania było menu.

– Jakby to miało znaczenie – westchnęła pani Croft.

– Słucham? – zapytała jedna ze szlifierek kątowych.

– I tak nikt na tych imprezach nic nie je.

Szlifierka popatrzyła na nią gniewnie.

– Nie w tym rzecz, Rosalind. Tak czy inaczej musimy mieć nowatorskie menu.

– Oczywiście, Arlene, masz całkowitą rację. No więc może kuropatwa?

– Była. Zaledwie przed tygodniem.

– Kurczę?

– Było.

– Słonka?

– Była.

– Kaczka?

– Była.

– Bażant?

– Był.

– Kura?

– Była.

– Gęś?

– Była.

– Dlaczego nikt nie wymyślił jakiegoś nowego ptaka? –jęknęła jedna ze szlifierek. – Co za cholerny kraj.

W hotelowym apartamencie Nkechi pomogła przebrać się Rosalind z ubrań komitetowych w strój odpowiedni na uroczysty lunch. Fryzjer dokonał szybkiej zmiany fryzury, po czym trzeba było zejść do sali balowej.

Potworność. Sto pięćdziesiąt klonów kobiet, które brały udział w zebraniu komitetu. Było niczym w programie przyrodniczym o kolonii mew. I ten hałas!

Kiedy moje sąsiadki przekonały się, że nie da się ze mną rozmawiać o paskudnych korkach w Marbelli czy obniżających się standardach szkół prywatnych, odwróciły się do mnie plecami. Mnie to zupełnie nie przeszkadzało; siedziałam cicho i fantazjowałam na temat magazynu pełnego niezliczonych papierosów. Półka za półką, tak wiele, że trzeba było specjalnej

mechanicznej platformy, by je wszystkie zobaczyć. Papierosowy wszechświat. Papierosy liczone na miliony. Choć ja byłabym szczęśliwa, gdybym mogła wypalić chociaż jednego.

Punktualnie o czternastej trzydzieści asystentka szturchnęła Rosalind, która wstała niczym robot i kawalkada ruszyła dalej. Jeśli mam być szczerą, to czułam się wykończona i nie rozumiałam dlaczego. Przez cały ranek nie zajmowałam się niczym oprócz czynienia w myślach drwiących uwag.

Naszym następnym przystankiem okazała się lekcja jogi z instruktorem, który często występuje w telewizji. Kolejna zmiana ubrań, następnie przymiarka sukni w Brown Thomas. Po niej powrót do domu w Killiney na sesję amatsu*, po której przyszła pora na krótką przerwę na herbatę i wiktuały – dla niej ciasteczka ryżowe, dla mnie zaś domowej roboty ciastka, w nieco budzący grozę sposób podobne do tych, jakimi częstują w wytwornych hotelach.

– Proszę się poczęstować ciastkiem – powiedziałam, patrząc, jak gryzie te swoje styropianowe krążki. – Te ryżowe w ogóle nie mają smaku.

– Dzięki, skarbie, ale jestem na diecie tysiąc dwieście kalorii, właściwie to już od dziewięciu lat, odkąd Maxwellowi się powiodło. Jeśli nie wcisnę się w suknie balowe w rozmiarze trzydzieści osiem, to po mnie. Ale ty jedz śmiało.

**Terapia amatsu pozwala przywrócić równowagę fizyczną i psychiczną, oparta jest na zasadach naukowych z zakresu anatomii i fizjologii. Zajmuje się całym ciałem jako jednością, nie tylko poszczególnymi objawami zaburzeń funkcjonowania organizmu.*

Otworzyła okazałych rozmiarów terminarz.

– Chcesz zobaczyć mój rozkład zajęć na następny tydzień? Proszę bardzo.

Budził podziw: akupunktura, zebrania komitetów, wizyty w hospicjach, terapia czaszkowo–krzyżowa, sesje zdjęciowe, płukanie okężnicy, pilates, wybielanie zębów, kupno prezentów gwiazdkowych dla jej armii pracowników, lunchy, podwieczorki, śniadania biznesowe...

– ... i niekończące się bale, bale, bale. – Jej głos stał się nagle i nieoczekiwanie pełen goryczy. – Przepraszam – powiedziała cicho.

– W porządku – rzekłam. – Nie zawsze to bywa przyjemne.

Jeśli chodzi o mnie, nigdy by to nie było przyjemne. Gdybym jakimś przedziwnym zrzędzeniem losu – jak w *Zagubionym w czasie* – skończyła jako żona z wyższych sfer, trzeba by mnie wyławiać z kanału.

Wtedy coś się stało – nie wiedziałam co, ale sprawiło, że Rosalind zacisnęła dłonie tak, że aż zbieleły jej knykcie.

– Maxwell wrócił. Mój mąż. – Zerknęła na zegarek. – Przed czasem.

Ja niczego nie słyszałam.

W ekspresowym tempie zebrała wszystkie kartki papieru i rzuciła je na biurko.

– Będziemy musiały skończyć na dzisiaj, Grace. – Wstała i obciągając spódnice, przesuwała się w stronę drzwi.

– Ale... – Otrzymałam wytyczne, by chodzić za nią jak cień aż do wieczora.

Na korytarzu rozległ się męski głos:

– Rosalind, Rosalind!

– Tutaj!

Skoczyła, by otworzyć drzwi, ale uprzedził ją ktoś na zewnątrz. Mężczyzna wyglądający na wkurzonego. Maxwell Croft.

– Co ty tu robisz? – zapytał Rosalind.

– Sądziłam, że wrócisz dopiero za godzinę... Ominął ją spojrzeniem i popatrzył zimno na mnie.

– Grace Gildee – powiedziała Rosalind. – Pisze artykuł dla „Spokesmana” o balach dobroczynnych. – Mówiła szybko, połykając słowa.

– Maxwell Croft. Miło panią poznać. – Omiótł mnie szybkim spojrzeniem. – Rosalind każe przyprowadzić pani samochód.

Wszelkie protesty zamarły mi na ustach. Czymże było moje słowo przy jego.

– Co ci dała?

– Nic. Jak się czuje Oscar?

– Dobrze, dobrze. Naprawdę nic ci nie dała?

– Naprawdę.

– Pewnie uznała to za pozbawione sensu. Po co ci dawać torebkę od Hermesa? Cała reszta ciebie wyglądałaby wtedy jeszcze gorzej.

– Jacinta, czy mogłabyś nie zachowywać się tak obraźli...

– Jeszcze nie jest za późno. Może przyśle coś po ukazaniu się artykułu. No dobrze, rozumiem, że widziałaś umowę?

– ... Tak.

Jacinta obiecała Croftom prawo do autoryzacji, co nigdy się nie zdarzało, nawet w przypadku Toma Cruise'a. Dlatego też mój opis pani Croft będzie musiał być superentuzjastyczny.

Dobrze, że ją polubiłam.

To ja ich sobie przestawiłam: Paddy'ego i Marnie. Było to w lipcu, kiedy skończyłam siedemnaście lat i pracowałam w czasie wakacji jako kelnerka w Boatmanie, gdzie Paddy był barmanem.

Właściwie stało się to dokładnie w dniu moich siedemnastych urodzin – i Marnie także. Marnie wpadła razem z Leechy, kiedy skończyłam pracę; miałyśmy zamiar uczcić ten dzień w jedyny nam znany sposób: ostro pijąc.

– Chodź, poznasz Paddy'ego – powiedziałam z lekką dumą.

Paddy był super. Skończył szkołę, rok pracował na budowie w Londynie, a wraz z końcem września rozpoczął studia prawnicze.

Marnie i Leechy dużo się o nim nasłuchały – podobnie jak mama, tata i Bid – ponieważ to jedyny barman w Boatmanie, który był dla mnie miły. Odkąd reszta personelu dowiedziała się, że mieszkam na Yeoman Road, traktowali mnie z wrogością. Niesłusznie sądzili, że pochodzę z zamożnej rodziny i postanowili mi dokuczać. Już pierwszego wieczoru Micko, manager, powiedział:

– Jest telefon do Mike'a Hunta, popytaj, czy ktoś go widział. Dopiero dzięki interwencji Paddy'ego nie musiałam chodzić po pubie i pytać płaczącym tonem:

– Moja cipa*? Czy ktoś widział moją cipę?

– Robią to wszystkim nowym dziewczynom – powiedział. – Nie bierz tego do siebie. Zakładają się o to, kiedy się rozplączesz.

– Nie rozplączę się – odparłam z determinacją. Której mi wystarczyło na jakieś pięć minut. Potem postanowiłam odejść i poszukać pracy gdzie indziej.

** Gra słów słowa „Mike Hunt” wymawianie szybko brzmią jak my cunt czyli „moja cipa”*

– Boją się ciebie – wyjaśnił tata. – Jesteś wykształcona i inna. Dla ciebie to tylko praca wakacyjna, dla nich kariera zawodowa. Okaż współczucie.

– Nie odchodź – mama zgodziła się z tatą. – Coś takiego kształtuje charakter. Pomyśl o Gandhim.

– Pieprz ich – oświadczyła Bid. – Prymitywy! Zamiast tego pracuj w McLibels, będziemy mieć wtedy rodzinną zniżkę.

Jednak napiwki były dobre, poza tym miałam stamtąd tylko parę kroków do domu, więc ostatecznie zostałam. Ciekawe, co by się stało, gdybym tak jednak nie zrobiła?

– Paddy! – zawołałam. Wkładał akurat szklanki do zmywarki. – To moja przyjaciółka, Leechy. A to moja siostra, Marnie. Siostra bliźniaczka.

Przywitał się z Leechy, a potem czekałam, by wyraził obowiązkowe zdziwienie odnośnie do Marnie – bliźniaczka? Wcale nie jesteście do siebie podobne!

Ale on nie odezwał się ani słowem i przez chwilę zastanawiałam się, co się stało. Ale kiedy spojrzałam na niego, zobaczyłam, że z otwartą buzią wpatruje się w Marnie, ona zaś odpowiada mu w taki sam sposób. Coś się działo – było to dosłownie namacalne. Przeszedł mnie dreszcz. Micko odwrócił się od metalowej skrzynki. Na jego twarzy malowała się konsternacja, ponieważ nie wiedział, dlaczego tu spojrzał. Nawet pijana para, skulona w jednym z boksów, przerwała bełkotliwą, pełną oskarżeń rozmowę i wpatrywała się w nas.

Paddy i Marnie natychmiast połączyli swoje życia. W ciągu czternastu godzin Marnie złożyła wypowiedzenie w Piece's Pizza, gdzie pracowała razem z Leechy, i zamiast tego zaczęła pracować w Boatmanie, gdzie tak omamiła Micko, że zsynchronizował jej zmiany ze zmianami Paddy'ego.

Pomimo tego że mieszkała na Yeoman Road, traktowano ją z czułością i uczuciem; tak właśnie Marnie działała na facetów. Poza tym była protegowaną Paddy'ego, a wszyscy uwielbiali Paddy'ego, mimo że był wykształcony i ambitny.

Marnie nie mogła mi się podziękować.

– Ty go dla mnie znalazłaś.

Jeszcze nigdy nie widziałam jej takiej radosnej i czułam ulgę, dlatego że nie mogłam spokojnie oddychać, gdy Marnie nie była szczęśliwa.

Ale nagle stałam się piątym kołem u wozu. Miewaliśmy już innych chłopaków, ale tym razem było inaczej. Nie znaczy to, że czułam się porzucona i samotna. Leechy była dla mnie niemal jak druga siostra, mieszkała zaledwie pięć domów dalej i codziennie do nas przychodziła. No i był jeszcze Sheridan, najlepszy przyjaciel Paddy'ego od czasów przedszkola. Było tak, jakby w wieku lat czterech wybrali się nawzajem, ponieważ wiedzieli, że kiedy dorosną, razem będą mogli uganiać się za spódniczkami: byli mniej więcej tego samego wzrostu i postury (to konieczne w przypadku pary babiarzy, nie brało się ich na poważnie, jeśli jeden był piętnaście centymetrów niższy od drugiego) i obaj byli bardzo przystojni.

Choć prawda była taka, że choć Sheridan był przystojny w taki czysty, nordycki sposób, Paddy miał w sobie coś dodatkowego. Sheridan został wmuszony Leechy i mnie wraz z wykładem Paddy'ego, że to praktycznie jego brat i że mamy się nim dobrze zająć. We trójkę stworzyliśmy lekko skrepowaną swoim towarzystwem grupkę odrzuconych.

Zabawne było to, że miałam tak częsty kontakt z Paddym, jakby był moim chłopakiem. Spotykałam go cały czas w pracy i spotykałam go cały czas w domu. Miałam wrażenie, jakbym nie mogła wejść do jakiegoś

pomieszczenia bez natykania się na niego, biodra w biodra z Marnie, z ręką w jej T-shircie.

Mama i tata zawsze nas zachęcali do tego, byśmy przyprowadzały swoich chłopaków do domu, ale nawet ich słynna tolerancja miała swoje granice.

– Schodzę do kuchni, by ukroić sobie kawałek ciasta – wściekał się tata – a tam oni robią... to.

– To? – zapytała z niepokojem mama. Może i była liberalna, ale bez przesady.

– Nie tego rodzaju to. Ale całowali się. Lizali. Czy też jak to się teraz paskudnie określa. On ciągle tu przesiaduje. A kiedy już w końcu pójdzie sobie do domu, ona i tak przez pół nocy wisi z nim na telefonie. O czym oni rozmawiają? Ten chłopak przyprawia mnie o gęsią skórkę.

– Gęsią skórkę! Dlaczego?

– Za bardzo się stara, by go lubiano.

– Nieprawda! – odparłyśmy z mamą jednym głosem.

– To jeszcze chłopiec! – zaprotestowała mama. – Nie możesz przypisywać takiego cynizmu komuś, kto jest tylko chłopcem.

– Ma dziewiętnaście lat. Jest dla niej za stary.

– To tylko dwa lata.

– W tym wieku dwa lata to bardzo dużo. A na dodatek oni nigdy się nie rozstają. To nie jest zdrowe.

Ale mama nie mogła się powstrzymać przed wzięciem Paddy'ego pod swoje skrzydła. Miała słabość do wszystkich bezpańskich i zabłąkanych stworzeń, a Paddy był idealny: jego matka nie żyła; ojciec rzadko bywał w domu; w jego domu nigdy nie było nic do jedzenia. Mogła przynajmniej nakarmić to biedne stworzenie.

– Uważasz, że teraz jest źle – rzekła Bid do taty.
– Tak, rzeczywiście tak uważam.
– No to poczekaj, aż we wrześniu wyjedzie na studia. Wtedy dopiero się zacznie. Nie będzie miał już czasu dla naszej małej Marnie – przepowiedziała Bid.

„Nasza mała Marnie” musiała dojść do takiego samego wniosku, ponieważ kiedy nadszedł wrzesień, rozpoczęła się seria emocjonalnych wstrząsów, które nadały ton ich związkowi na kolejne trzy lata.

Wstrząs 1:

– Wszystko przepadło! – Przez ścianę słychać było krzyk Marnie. – To lato to był najpiękniejszy okres w moim życiu. A teraz ja muszę wracać do szkoły, a ty musisz jechać na studia. Nie jedź!

Mama skrzywiła się i mruknęła:

– Nie powinna była tego mówić.

Mama, tata, Bid, Leechy, Sheridan i ja siedzieliśmy w kuchni, gdy tymczasem pyskówka miała miejsce w sąsiednim pokoju. Nie dało się ich nie słyszeć. Na początku próbowaliśmy udawać, że ze sobą rozmawiamy, ale w końcu daliśmy sobie z tym spokój i słuchaliśmy.

– Aleja muszę jechać! – zawołał Paddy. – To moja przyszłość, moje życie.

– Sądziłam, że to ja jestem twoim życiem.

– I jesteś! Ale muszę zdobyć kwalifikacje, by zarabiać na życie. Jak inaczej mam się tobą zaopiekować?

– Ale ty nie będziesz chciał. Poznasz tyle innych dziewczyn! Spodobają ci się i zapomnisz o mnie.

– Ona ma rację – odezwała się Bid. – Zawsze uważałam, że lekko przesadza, ale tym razem ma rację.

– Nie zapomnę! – krzyknął Paddy. – Kocham ciebie, tylko ciebie i nigdy nie pokocham żadnej innej.

– Gdyby dawano mi funta za każdym razem, kiedy słyszałam to z ust mężczyzny... – mruknęła Bid.

Wstrząs 2:

– Ćśś, ćśś, nic nie słyszę – rzekła Bid.

– O co poszło tym razem? – zapytał tata

– Nie jestem pewna.

– „Kłóćmy się do szóstej, a potem zjedzmy podwieczorek” – wyrecytował tata. – Tweedledum do Tweedledee. Strona osiemdziesiąta czwarta, *Alicja w Krainie Czarów*.

– Ćśśś!

– Paddy, co się stało? – Głos Marnie brzmiał błagalnie.

– Skoro musisz pytać – odparł oskarżycielsko – to nie ma sensu, żebym ci mówił!

Zjawił się zimny, władczy i bardzo zagniewany i wyglądająca na zdenerwowaną Marnie szybko zamknęła się razem z nim w salonie.

– Wczoraj próbowałem się do ciebie dodzwonić... ale telefon był zajęty... miałaś pilnować, by linia była wolna od ósmej do północy...

– Ale Paddy, w tym domu mieszkają inni ludzie, możliwe, że gdzieś dzwonili.

– Ale to nie byli inni ludzie, prawda? To byłaś ty. Wiem o tym, Marnie, możesz przestać mnie okłamywać.

– Nie kłamię!

– Wiem z kim rozmawiałaś.

– Z kim? – zapytała mama.

– Z Grahamem Higginsem – odparła Leechy. – Jego mama kazała mu do niej zadzwonić, żeby Marnie mu wytłumaczyła wiersze Yeatsa, ponieważ boi się, że nie zda z angielskiego.

– Ten wysoki koleś? Gra w rugby? – zapytała Bid. – Skąd Paddy wie, z kim rozmawiała?

– Leechy mi powiedziała! – krzyknął Paddy. – Wiem o wszystkim!

Mama, tata, Bid, Sheridan i ja odwróciliśmy się zaszokowani i popatrzyliśmy na Leechy.

– Nie wiedziałam, że on nie wie – jęknęła Leechy. – Zadzwonił do mnie. Podstępem wyciągnął to ze mnie.

–Jak?

– Cicho! Nic nie słyszę!

– Ale Graham nic dla mnie nie znaczy! – oświadczyła Marnie.

– Podobasz mu się.

– Nieprawda.

– A on musi podobać się tobie. Rozmawiałaś z nim przez co najmniej siedemnaście minut, gdy tymczasem ja stałem na zimnie w budce telefonicznej, próbując zadzwonić do dziewczyny, którą kocham, której nawet nie chciało się... Pieprzyć to! Wychodzę!

– Och, Paddy, nie! Nie wychodź, Paddy, nie!

– Boże, to takie romantyczne – powiedziała cicho Leechy.

– Głupia jesteś, moje dziecko – orzekła Bid.

– Czy Paddy... płacze? – zapytał tata.

– Ktoś na pewno. – Wyraźnie słychać było szloch.

– Myślę, że oboje płaczą – rzekła mama.

Tak właśnie często kończyły się ich kłótnie. Albo tak, albo jedno z nich opuszczało gniewnie dom. Czasami był to Paddy, czasami Marnie, mimo że to ona tu mieszkała. W każdym razie ten ktoś nigdy nie odchodził daleko. Po kilku minutach dzwonił do drzwi i któregoś z nas musiało je otworzyć i wpuścić go, by kłótnia mogła toczyć się dalej.

Odgłosy płaczu w końcu ucichły. Nastąpiła cisza. To oznaczało, że przeszli do pocałunków na zgodę.

– No to tyle, ludziska – oświadczył tata, wstając z krzesła.

– Czasami są tak dobrzy jak telenowela – stwierdziła Bid. – A skoro już o tym mowa, to mam nadzieję, że zachowują się przyzwoicie, ponieważ zaczyna się mój film i mam zamiar wejść do tamtego pokoju.

Wstrząs 3:

– To koniec – oświadczyła Marnie. – Ze mną i z Paddym. Tym razem jest inaczej.

Rzeczywiście było inaczej. Była spokojna, a nie oszalała z rozpaczy.

– Ale wy się przecież kochacie! – zaprotestowała Leechy.

Marnie pokręciła głową.

– Kochamy się za bardzo. Niszczymy się nawzajem. To musi się skończyć.

Coś w jej spokoju kazało nam zacząć brać jej słowa na poważnie.

– Może masz rację – powiedziała Leechy. – On cię kocha, ale wyzwalacie w sobie nawzajem to, co najgorsze. Cała ta zazdrość... Może ty potrzebujesz innego rodzaju chłopaka, a on potrzebuje innego rodzaju dziewczyny.

Wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że ona miała w planach zgłosić się na ochotniczkę.

– Nie mów tak. – Marnie zgięła się wóół, chwytając za brzuch. – Myśl o nim z jakąś inną...

– Ale ty także poznasz kogoś innego.

Marnie pokręciła głową i przyłożyła do ust dużą zieloną butelkę, z której pociągnęła spory łyk. Absynt taty. Wścieknie się.

– Nie poznam.

– Poznasz, poznasz!

– Ja nawet nie chcę. Dla mnie to koniec. Paddy był tym jedynym. Mam zamiar się zabić.

– Nie bądź szalona. – Leechy była zbulwersowana.

– Ludzie się zabijają. Tak bywa. A ja należę do tego typu osób.

– Idę po mamę.

– Zawsze wiedziałam, że młodo umrę – wyjaśniła Marnie, kuląc się na łóżku.

– Znowu naczytała się sióstr Bronte – wyszeptał gniewnie tata. – I czy to nie przypadkiem mój absynt?

– Nie obrażcie się – powiedziała Marnie do mamy i taty – ale żałuję, że się urodziłam. Zbyt dużo czuję, cały czas, i nienawidzę tego. Ja naprawdę chcę umrzeć.

– W jaki sposób miałabyś się zabić? – zapytała mama, idąc za radą broszurki z informacjami dla rodziców nastolatków ze skłonnościami samobójczymi.

– Podciąłabym sobie żyły.

– Czym?

– Tym. – Marnie wyjęła z kieszeni džinsów skalpel.

– Oddaj mi to! Oddaj mi to!

Niechętnie go oddała.

– Ale, mammo, w łazience są żyletki, w kuchni noże, w mojej torbie jeszcze kilka skalpeli. A jeśli schowasz to wszystko, mogę wejść na dach i rzucić się z niego albo mogę jechać na molo i skoczyć do morza.

Mama i tata stali z nachylnymi ku sobie głowami, próbując opracować jakiś plan.

– Przetrzymajmy tę noc – rzekła mama. – Nawet jeśli to oznacza, że trzeba będzie przy niej cały czas czuwać. A z samego rana poszukamy dobrego psychoterapeuty od Junga.

– Szkoda, że nie mamy synów – powiedział tata. – Z chłopcami nie byłoby tego rodzaju kłopotów.

Pomimo tego, że absynt podobno doprowadzał ludzi do szaleństwa, Marnie wykazywała się przerażająco zdrowym rozsądkiem. Usiadła na łóżku i cicho wyjaśniła, że nie potrafi radzić sobie z uczuciami, z jakimi inni daliby sobie radę.

– Nie zniosę bólu rozstania z Paddym – rzekła.

– Ale każdy musi na jakimś etapie życia mieć złamane serce – odparła mama. – To część bycia człowiekiem. Pamiętam, jak miałam piętnaście lat i myślałam, że już nigdy nie będę szczęśliwa.

– Ale niektórzy ludzie nie są po prostu w stanie znieść bólu towarzyszącego życiu. Myślicie, że dlaczego ludzie się zabijają?

– Tak, ale...

– Brakuje we mnie czegoś, co ma Grace. Przycisku „stop” dla uczuć. Grace to kompletna osoba, a ja to chuchro. To ja powstałam z resztek.

– Nie, Marnie, nie!

– Żałuję, że nie mogłam zdecydować o tym, bym się nie narodziła. Myślicie, że istnieje jakieś specjalne miejsce dla nienarodzonych dusz? Dla nas wszystkich, którzy jesteśmy zbyt ułomni, by się urodzić?

– Nie jesteś ułomna, jesteś idealna!

– Nie wiecie tego, co ja wiem. Nie wiecie, jak to jest być mną.

Mama, tata i ja bardzo się staraliśmy, ale cokolwiek byśmy powiedzieli, ona odpierała to, twierdząc z przekonaniem, że lepiej by było, gdyby nie żyła. W końcu zapadła pełna rozpacz cisza i słuchaliśmy szumu deszczu na ulicy i dachu. Tata zaczynał przysypiać, kiedy na zewnątrz usłyszeliśmy jęk.

– Co to było? – zapytała mama.

– Nie wiem – odparłam. Słuchaliśmy z napięciem. Wtedy usłyszeliśmy wyraźnie:

– Maarnie.

Cała nasza czwórka rzuciła się do okna. Przed domem, na środku ulicy, w ulewnym deszczu stał Paddy w tym swoim płaszczu rosyjskiego żołnierza, w białej koszuli, której brakowało wszystkich guzików i starych czarnych spodniach barmańskich, podartych na kolanie.

– Maarr–nieee. – Rozpostarł ramiona, odsłaniając nagi tors. – Kocham cię!

I wtedy Marnie zbiegła po schodach, wypadła przez drzwi i pobiegła ku niemu. Chwytał ją, obrócił, po czym postawił na ziemi, przyciskając swoją twarz do jej twarzy. Złączeni ustami, opadli na kolana, a ich łzy mieszały się z deszczem.

– To chyba oznacza, że możemy już iść spać – powiedział tata.

– Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś tak romantycznego – oświadczyła nazajutrz Leechy. – To było niczym *Wichrowe wzgórze*.

– Gotyckie brednie – odparł pogardliwie tata. – Nikt jakoś nie pamięta, że Heathcliff był psychopata. Zabił psa Isabel.

Marnie i Paddy leżeli przytuleni na łóżku Marnie, śpiąc spokojnie, jak dzieci po jakimś ciężkim przeżyciu. Pozostali byli zdenerwowani i wykończeni tym emocjonalnym rollercoasterem.

– Wybaczcie mi takie drobnomieszczańskie pytanie – odezwała się mama. – Ale to wszystko, ten wczorajszy wieczór? Czy to normalne?

– Nie – odparł tata. – Grace nie zachowuje się przecież w taki sposób.

– Tylko dlatego, że nie mam chłopaka – powiedziałam, stając natychmiast w obronie Marnie.

– A czemu nie masz? – zapytała Bid. – Co jest z tobą nie tak?

–Ni...

– Jesteś zbyt wybredna, taki jest twój problem. Czy nadal jesteś dziewczicą?

– Bid! Przestań!

– Rozumiem, że tak. No a co z Sheridanem? Przystojniak z niego, może nie taki jurny jak Paddy, ale całkiem do rzeczy – stwierdziła Bid. – Nie „pochodziłabyś” z nim?

– Nie. – Sheridan był dowcipny i ironiczny i owszem, przystojny, ale nie podobał mi się. I ja jemu też się nie podobałam. Jemu podobała się Marnie. Byłam tego pewna.

– Nawet gdyby Grace miała chłopaka, nie byłoby żadnych krzyków – orzekła Bid. – Grace zawsze była nudna. Królowa dramatu to Marnie we własnej osobie.

– Widziałaś to zdjęcie w „Indo”, na którym Kaplan mizia się z Zará Kaletsky? – zapytał mnie TC.

– Z kim? Ach, tą modelką?

– Aktorką, aktorką. Strasznie mi się podobała w *Liffey Lives*. A potem opuściła Irlandię w poszukiwaniu większych ról.

– Wróciła tutaj?

– Jedyne na wakacje.

– No to z Kapłanem nie może to być nic poważnego. Co masz na myśli, mówiąc, że „mizia się”?

– Ręka na jej chudym tyłku. Boże, ona jest taka piękna

– westchnął TC. – Co ona widzi w tym tępaku?

Do: Gracegildee@spokesman.ie

Od: Pattilavezzo@oraclepr.com

Temat: Wywiad z Madonną

Dziękujemy za Pani zainteresowanie Madonną. Niestety zdecydowano, że wywiad przeprowadzi inny dziennikarz.

Gotowa się byłam założyć, że to cholerny „Irish Times”. Rozczarowanie, tak wielkie rozczarowanie. Schowałam głowę w dłoniach.

To było nieznośnie frustrujące. Ja bym zrobiła to lepiej niż „Times”: kochałam Madonnę. Dorastałam z jej piosenkami, rozumiałam ją.

Siedziałam i denerwowałam się, i czekałam, aż poczuję się lepiej i czekałam nieco dłużej, a kiedy rozczarowanie nie chciało mnie opuścić, doznałam olśnienia: zadzwonię do Patti Lavezzo i spróbuję ją nakłonić, by jeszcze raz to przemyślała! Nie miałam nic do stracenia, a jeśli zrobię to wystarczająco przekonująco, być może zmieni zdanie.

– PattiLavezzo. – Zawsze odbierała telefon tak, jakby ktoś mierzył jej czas stoperem.

– Cześć, Patti, z tej strony Grace Gildee ze „Spokesmana” z Irlandii. Czy mogłabyś, proszę, rozważyć ponownie swoją decyzję? – Mówiłam szybko, tak by nie mogła mi przerwać. – Napisałibyśmy fantastyczny artykuł o Madonnie. Mamy największy nakład wśród tego typu gazet w Irlandii. Jesteśmy uczciwi i możemy zagwarantować wnikliwe, inteligentne przedstawienie sylwetki Madonny, ale jednocześnie posiadamy doskonałe wyczucie komercyjne...

– Hej! Zaczekaj! Skąd dzwonicz?

– Ze „Spokesmana”.

– Tak, ale... dajemy ten wywiad właśnie „Spokesmanowi”.

Pojawiła się nadzieja i wyszło słońce, ciepłe i oślepiające.

– Naprawdę? Ale ja właśnie dostałam e-mail...

– Tak, chwileczkę, zaraz to sprawdzę. Tak, już mam. Irlandia. „Spokesman”. Casey Kaplan. Czy to ty?

Poszłam do toalety i rozplakałam się. Potem zadzwoniłam do Damiena i jeszcze trochę popłakałam.

– Utknąłem w Dail – powiedział. – Ale za godzinę mógłbym się wymknąć.

– Nie, nie, rób, co masz do zrobienia. Zobaczą, czy jakiś hulaka stąd pójdzie ze mną do pubu. Mam zamiar albo pić, albo palić i picie wydaje się bezpieczniejszym wyborem.

– Wiesz co, już do ciebie jadę. To może zająć nawet mniej niż godzinę...

– Nie, Damien. – Wzruszyły mnie jego dobre chęci. – Dam sobie radę.

Nie musiałam długo szukać kompana do kieliszka. Choć była dopiero trzecia, Dickie McGuinness chętnie przerwał pracę i poszedł razem ze mną do Dinnegans.

– Dlaczego płakałaś? – zapytał, stawiając przede mną gin z tonikiem.

– Kto powiedział, że płakałam?

– Pani Farrell. Wszystkich obdzwoniła z tą wiadomością. W normalnych okolicznościach zaprzeczyłabym, ale byłam zbyt smutna.

– Kapłan mnie wykołował. Ukradł mój wywiad z Madonną. Wiedział, jak bardzo chciałam go zrobić.

– Wiedział?

– Wszyscy wiedzieli! Wystarczająco źle jest przegrać z inną gazetą, Dickie, ale z kimś z własnej... To zbyt wiele. Nienawidzę go.

– Tak jak i wszyscy inni. Dowiedzieliśmy się, ile mu płacą.

Zawahałam się. Nie byłam pewna, czy jestem w stanie to znieść.

– Ile?

– Na pewno chcesz wiedzieć?

Westchnęłam.

– Mów.

– Trzy razy tyle co tobie.

Pozwoliłam, by dotarło to do mnie.

– Skąd wiesz, ile ja zarabiam?

Postukał się palcem po nosie.

– Znasz mnie, Grace. Dużo wiem.

Ponownie westchnęłam. Cóż mogłam zrobić? Nic. Nie istniała sprawiedliwość na tym świecie. Nic nowego.

– Opowiedz mi coś, Dickie.

– A co byś chciała?

– O twojej pierwszej obciętej głowie. – Czerpało się pociechę z tego, co się znało.

– Proszę cię bardzo. – Rozsiadł się wygodnie i zaczął snuć wspomnienia.

– Byłem wychudzonym młokosem, liczącym całe dziewiętnaście lat, przygotowującym dla „Limerick Reader” relacje na temat każdej wystawy psów i kucyków, kiedy pojawiła się informacja, że znaleziono ciało.

Ale dziennikarz od spraw kryminalnych leżał w szpitalu z raną postrzałową pośladka.

– Ale dziennikarz od spraw kryminalnych leżał w szpitalu z raną postrzałową pośladka i Theo Fitzgibbon, redaktor naczelny, rzekł do mnie: „McGuinness, ty będziesz musiał jechać”. Ja, wymachując notesem i piórem, nastroszyłem się jak paw. „Co wiesz na ten temat, Theo?” – zapytałem. „Dla ciebie pan Fitzgibbon” – odparł Theo. Stara szkoła, żadnego spoufalania się i mówienia sobie po imieniu.

Nigdy nie widziałem go bez krawata.

– Nigdy nie widziałem go bez krawata, Grace. „Zmarłego odkryto w nieużywanej zamrażarce. Młody mężczyzna, martwy na amen” – powiedział Theo. „I jeszcze jedno, on nie ma głowy”. „Głowy? A co się z nią stało?” – zapytałem jak idiota.

Ktoś musiał ją obciąć.

– „Ktoś musiał ją obciąć” – rzekł Theo. „Nie zawieź nas, McGuinness” – dodał. To znaczy...

– ... nie puść pawia na oczach gliniarzy – powiedzieliśmy jednym głosem.

–... Wciąż ją odnajdywał. Nieważne, gdzie się przeprowadziła, jemu zawsze udawało się ją znaleźć. Jej dom był niczym forteca. Miała wszelkiego rodzaju zabezpieczenia. Alarmy, przyciski alarmowe, nawet pomieszczenie, gdzie mogła się w razie czego schronić. Ale w tylnych drzwiach znajdowała się uchylna klapa dla kota.

Siedziałam w biurze organizacji Women's Aid i rozmawiałam z dyrektorką, Laurą Venn. Jacinta zgodziła się w końcu, bardzo niechętnie, bym napisała artykuł na temat przemocy w rodzinie – nie obiecała, że go zamieści, ale że będziemy go mieć w rezerwie na jakiś dzień bez ciekawszych wiadomości.

– No i co z tą klapą dla kota? – zapytałam, czując niepokój w imieniu tej nieznannej mi kobiety.

– Nie miała alarmu, to było jedyne miejsce w domu, gdzie można było wejść niezauważonym.

– No ale przecież taka klapa jest za mała, by wszedł przez nią człowiek?

– Zgadza się. Ale ta kobieta wyjechała na weekend z dziećmi i podczas ich nieobecności on zjawił się z narzędziami i powiększył tę klapę. Zrobił ją na tyle dużą, by się przez nią przecisnąć, ale nie tak dużą, by ktoś zauważył, że coś przy niej majstrowano.

– I co się stało?

– Dostał się do domu. Schował się na strychu.

– I co się potem stało? – Siedziałam na skraju krzesła.

– Och, zabił ją.

– Co? Na śmierć?

Laura uśmiechnęła się półgębkiem.

– Przepraszam – powiedziałam. – Nie było to z mojej strony zbyt mądre.
– Ale ja czekałam na coś w rodzaju odkupienia win, jakby życie przypominało odcinek *Szczęśliwych dni*.

– Kiedy od niego odeszła, przysiągł, że ją znajdzie i zabije, i tak właśnie zrobił. Na oczach ich dzieci.

– I jaki był tego koniec? Ona zginęła?

– Ona zginęła.

Ogarnęło mnie uczucie pustki.

– A jej dzieci nie mają matki? Ojca zresztą też, skoro poszedł do więzienia.

– Nie poszedł do więzienia. Sędziemu zrobiło się go szkoda. Dostał tylko wyrok w zawieszeniu.

–Nie!

– Często tak bywa.

– Ale dlaczego kobiety wiążą się z tymi psycholami? – zawołałam z frustracją. Oczywiście znałam odpowiedź, przynajmniej w teorii, niemniej jednak rzeczywistość doprowadzała mnie do szału.

– Ponieważ ci mężczyźni nie piszą sobie na czole, że są psycholami. – Laura zaśmiała się smutno. – Często ci mężczyźni są niezwykle czarujący. A cały proces przebiega w bardzo subtelny sposób. Początkowe kontrolowanie wydaje się romantyczne, no wie pani, coś w rodzaju: „Zostańmy w domu, tylko my dwoje, tak bardzo cię kocham, że nie mogę znieść myśli, bym miał się tobą dzielić”. Aż pewnego dnia kobieta się przekonuje, że zraziła do siebie przyjaciół i rodzinę i że jest zupełnie odizolowana.

– Dlaczego więc nie zadzwoni na policję?

I znowu znałam odpowiedź, ale nie mogłam nie zadać tego pytania.

– Ponieważ on jej ciągle obiecuje, że się zmieni – odparła Laura. – Że więcej tego nie zrobi. Średnio musi dojść do trzydziestu pięciu aktów przemocy, by kobieta skontaktowała się w końcu z policją.

– Trzydzieści pięć? Nie, to niemożliwe.

– Ależ tak. Trzydzieści pięć razy.

– Grace, skarbie, przykro mi. Naprawdę.

To Casey Kaplan. Stał przed moim biurkiem. Nie musiałam podnosić głowy. Wiedziała, że to on, ponieważ nagle zaczęło śmierdzieć nocnym klubem.

– Z jakiego powodu? – zapytałam.

– Z powodu tego wywiadu z Madonną. Nie ubiegałem się o niego. Sami mi to zaproponowali. Nie wiedziałem nawet, że ty się o niego starałaś.

– To nic takiego. – Nadal nie podniosłam głowy. Widziałam jedynie krok jego dżinsów i wielką, głupią sprzączkę przy pasku w kształcie srebrnego orła.

– Nie wiedziałem nawet, że chciałaś mieć ten wywiad.

– Wzruszył bezradnie ramionami. Wiedziała, że to zrobił, ponieważ jego dłonie pojawiły się na linii mojego wzroku, a po chwili znowu zniknęły. Widziałam je jednak na tyle długo, by dostrzec jego pierścienie. Wielkie, głupie srebrne pierścienie na kilku palcach. – Grace, jestem twoim dłużnikiem. Jeśli mógłbym ci to w jakiś sposób wynagrodzić, daj mi znać... Błagam cię, skarbie.

– Dobrze – wyplułam z siebie. – Jeszcze jedno, Kaplan. – Przerwałam stukanie w klawiaturę i podniosłam głowę.

– Nie mów do mnie „skarbie”.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – rzekł do mnie półgębkiem Dickie McGuinness. – Chcesz po nim zejść?

–Co?

– Mam dla ciebie wiadomość.

– Och, przestań, Dickie! Mów normalnie. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to po prostu zrób to.

– Okej – rzekł, przysuwając sobie krzesło do mojego biurka. – Wiem, kto we wrześnie spalił twój samochód.

Patrzyłam na niego bez słowa.

– Lemmy O'Malley i Eric Zouche. Nic mi nie mówiły te nazwiska.

– A wiesz, dlaczego to zrobili?

– Nie... ?

– Ponieważ im zapłacono, Grace. Trzysta euro na łebka.

– Zapłacono im? – Sądziłam, że to był przypadek, coś, co się przytrafia, kiedy się mieszka w dużym mieście.

– Taa, Grace, zapłacono. To było celowe. Zostałaś namierzona.

Ton, jakim wypowiedział słowo „namierzona” sprawił, że wokół serca zacisnęła mi się niewidzialna pięść.

– Kto im zapłacił? – Z moich ust wydobył się szept.

– Tego to już nie wiem.

– Czemu ich nie zapytałeś?

– Nie zajmowałem się nimi. Ta informacja wypłynęła przy okazji innego... – umilkł, szukając właściwego słowa – dochodzenia. Komu zależało za skórę, Grace?

– Dickie, nie wiem. – I naprawdę się bałam.

– No dalej, Grace, rusz łepetyną.

– Dickie, przyrzekam, że...

Zadzwoił mój telefon. Automatycznie sprawdziłam wyświetlacz. Marnie. Ogarnięta nowym, innym niepokojem, rzekłam do Dickiego:

– Muszę odebrać. Ale nie odchodź. – Chwyciłam słuchawkę. – Marnie?

– To ja, Nick.

– Nick? – Nie. To była bardzo niedobra wiadomość.

Na wpół przytomnie zarejestrowałam fakt, że Dickie odchodzi po cichu i coś do mnie bezgłośnie mówi, pokazując na drzwi i stukając w zegarek.

– Czy to... czy to się znowu stało? – zapytałam Nicka.

– Tak – odparł. Nie. Nie, nie, nie.

– Myślałam po ostatnim razie... Jak bardzo jest źle?

– Bardzo, Grace. Jest w szpitalu...

– Chryste, nie.

– ... trzy pęknięte żebra. Wstrząśnienie mózgu. Krwotok wewnętrzny.

– Jezu Chryste. A minęło zaledwie... ile? – sześć tygodni od ostatniego razu.

Powinłam być wtedy pojechać do Londynu. Zżerały mnie wyrzuty sumienia.

– Przerwy stają się coraz krótsze, a obrażenia coraz poważniejsze – rzekł Nick. – Tak mi właśnie powiedziano, że będzie. Mówiłem ci, Grace.

– Nick, ty musisz coś zrobić. Znaleźć pomoc. Profesjonalną pomoc.

– Robię!

– To nie może się tak ciągnąć!

– Grace, wiem. Próbowałem uzyskać pomoc, robię wszystko, co tylko jestem w stanie...

Nie mogliśmy dojść do porozumienia w sprawie tego, co zrobić i w końcu rozłączyłam się. Siedziałam przygarbiona, z dłońmi uwieczonymi pomiędzy udami.

Powinnam powiedzieć mamie i tacie?

Nie. Mieli wystarczająco dużo zmartwień z Bid: chemia tak wiele ją kosztowała, tak wiele kosztowała ich wszystkich. Pojadę do Londynu i sama się z tym uporam.

TTLRR

Zabrał z samochodu jej torbę i troskliwie pomógł wejść do mieszkania.

– Na co masz teraz ochotę? – zapytał.

– Chciałabym się po prostu położyć.

– Okej. – Uśmiechnął się szeroko. – Mogę się przyłączyć?

– Eee... – Być może coś źle zrozumiała. – Idę od razu spać.

– Daj spokój, dwadzieścia minut cię nie zbawi. – Popychał ją w stronę sypialni. Rozpinał dżinsy i jego cel był jasny. – Zdejmij majtki.

– Ale... nie! Dopiero co miałam aborcję.

– Zawsze masz jakąś wymówkę. – Pchnął ją na łóżko, po czym przygwoździł kolanem i zerwał z niej rajstopy i majtki.

– Proszę, przestań, proszę. Może się wdać zakażenie. Nie wolno mi uprawiać seksu przez trzy tygodnie.

– Zamknij się. – Leżał na niej, wdzierał się w nią, w jej krew i stratę, raniąc ją swym rozgorączkowaniem. Następnie oparł się na rękach, jakby wykonywał pompki, i uderzył ją mocno w twarz.

– Do kurwy nędzy, postaraj się wyglądać tak, jakby ci się podobało.

MARNIE

Grace przyjeżdżała.

– Będzie tu jutro rano. – Nick stanął w drzwiach sypialni. Chłodno przekazał tę wiadomość. Wyglądał, jakby miał się zaraz wycofać. – Potrzebujesz czegoś?

Chciała wiedzieć, jak bardzo rozgniewana była Grace, ale nie mogła o to spytać. Nie patrząc na niego, pokręciła głową.

Nick zostawił ją sam na sam z jej nieznośnym poczuciem wstydu. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, wszystko w pokoju wyglądało jak broń: mogła stłuc lustro i kawałkiem szkła przeciąć sobie tętnicę, mogła wypić środek dezynfekujący z łazienki, mogła wyskoczyć przez okno...

Ale samobójstwo nie wchodziło w grę: wszystkich – jej niewinne niczemu córki, biednego Nicka – traktowała tak podle. Pozostanie przy życiu było jej pokutą.

Już nigdy nie będę pić już nigdy nie będę pić już nigdy nie będę pić.

Tym razem ocknięcie się było horrorem. Przekonała się, że jest w szpitalu, dotykają jej jakieś obce ręce, a do gardła wlewany ma obrzydliwy w smaku ciemnografitowy płyn.

– Żeby cię odtruć – powiedziała pielęgniarka.

– Gdzie ja jestem?

– Szpital Royal Free. Trzy pęknięte żebra, wstrząśnienie mózgu, wewnętrzny krwotok. Niezła była zabawa, co?

W szpitalu. Jezu Chryste, nie. Musiała się stąd wydostać, nim ktoś – Nick – się dowie, gdzie ona jest.

Ale Nick zdążył się już dowiedzieć i był właśnie w drodze do szpitala. A teraz Marnie żałowała, że nie przebywa już w szpitalu, ponieważ odniesienie obrażeń na tyle poważnych, by wymagały hospitalizacji, nawet jeśli nastąpiło ono z jej winy, poruszało ludzi, a na pewno Nicka. Tymczasowo powstrzymało jego gniew i być może w podobny sposób zadziałałoby na Grace.

Ale szpitalne łóżko potrzebne było dla „prawdziwie” chorych ludzi, a nie tych, którzy wypili taką ilość wódki, że uznali, iż dobrym pomysłem będzie przebiec przez ulicę, gdy zdążyły się już zmienić światła, i wpaść pod motor. Wypisano ją po sześciu godzinach i kiedy tylko znalazła się w domu, we własnym łóżku, zniknęła ochrona, jaką dawał szpital i Nick uznał jej stan za wystarczająco dobry, by traktować ją z zimną, milczącą wściekłością.

Lekarz zmienił swoją diagnozę. Marnie nie miała nawet, jak początkowo sądził, wstrząśnienia mózgu: powodem, dla którego nie wiedziała, jaki jest dzień tygodnia, było po prostu to, że była „odurzona alkoholem”. Ten właśnie zwrot usłyszała podczas jego rozmowy z Nickiem i utkwiał jej w głowie.

Odurzona alkoholem.

Odurzona alkoholem.

Dziwne było to, że wcale nie zamierzała się upić. W pracy choć raz było znośnie, a kiedy Rico zaproponował szybkiego drinka w pobliskim pubie, odmówiła. Za każdym razem gdy szła na „szybkiego drinka” z Rico, robiło się nieciekawie.

– Mamy na siebie zły wpływ – rzekła. Zabrzmiało to jak prowokacyjna kwestia z filmu klasy B.

– Jesteśmy po prostu błędnie rozumiani. – Rico wytrzymał jej spojrzenie. Jego oczy psiaka nagle przyprawiły ją o gęsią skórkę.

– Guy mówi, że powinnam trzymać się od ciebie z daleka.

– Guya tu nie ma.

Ale Guy mógłby się dowiedzieć...

– A jeśli mnie zwolni? – zapytała. – Nas zwolni? Rico pokręcił głową.

– Jest po prostu zazdrosny, że wolisz mnie, ale ja jestem jego najlepszym brokerem. I nie ma żadnych podstaw, żeby zwolnić ciebie.

Zawahała się. Nie, nie powinna nawet o tym myśleć.

– Jeden drink, Marnie. Są już prawie święta.

– Mamy dopiero pierwszy grudnia.

– Czy stanie się coś złego? *Czy stanie się coś złego?*

Paraliżował ją brak zdecydowania. Powinna być silna, ale tak łatwo, tak bezboleśnie byłoby się po prostu... wyslizgnąć...

– Tylko jeden – powiedziała.

Może dwa. Z całą pewnością nie więcej niż trzy.

Kiedy piła czwartego, nie miało to już znaczenia. Była szczęśliwa i gadatliwa, za pan brat z całym światem i wolna od wszelkich trosk. Nick wpadnie w szal, kiedy się dowie, że znowu piła, i to w dodatku z Rico, ale to nie miało znaczenia. Guy także się wkurzy, ale – ponownie – to nie miało znaczenia.

Ona i Rico wdali się w rozmowę z jakimiś ludźmi przy sąsiednim stoliku w pubie: mężczyzną w niebieskim dresie i trzema odpicowanymi kobietami. A może były tylko dwie, nawet teraz nie była tak do końca pewna. Chyba spytała jedną z kobiet, gdzie poszła jej siostra, a ona odparła: „Nie, skarbie, to tylko barmanka. Boże, jesteś jeszcze bardziej zalana niż my”. Ale możliwe, że tylko jej się to przyśniło.

Kobiety były mocno opalone i obwieszane biżuterią, mocno tandetne, ale przyjacielskie. A kiedy jedna z nich stuknęła Marnie w pizczel czubkiem buta

z jaszczurczej skóry i powiedziała: „Jedziemy do klubu”, Marnie postanowiła także jechać. Rico próbował ją powstrzymać. Pokłócili się i z tego co pamiętała, byli oboje zbyt pijani, by kłótnia ta była ognista.

– To KRYMinaliści – powtarzał Rico. – To KRYMinaliści. Wydają się zabawni, ale to KRYMinaliści.

I to ostatnie, co pamiętała. Aż znalazła się w szpitalu. Straciła osiem godzin swego życia. Czy pojechała do klubu? Czy została w pubie z Rico? Nie wiedziała. Karetka zabrała ją z Cricklewood, przeciwnego końca Londynu – co ona tam robiła? Nagle zakręciło jej się w głowie z przerażenia.

Nie myśl o tym.

Popatrzyła na swoją komórkę. Mogła napisać do Rico i spróbować poskładać to wszystko do kupy, ale myśl ta napawała ją odrazą. On napawał ją odrazą, a skontaktowanie się z nim oznaczałoby, że to wszystko rzeczywiście się wydarzyło: upicie się, kłótnia w pubie. A jeśli chodzi o to, czego nie pamiętała – wolała, by tak pozostało.

No bo tak naprawdę to wszystko było w porządku. Tak, wszystko było w porządku. Niezależnie od tego co mogło się wydarzyć, ona była teraz bezpieczna w domu. Bezpieczna w domu, co prawda miała obrażenia, ale tylko lekkie – każdemu mogło pęknąć zebro, była pewna, że słyszała kiedyś, iż coś takiego przydarzyło się podczas lekcji jogi, kiedy kogoś poniosło z tym głębokim oddychaniem.

Wszystko było w porządku.

Wtedy Marnie przypomniawszy sobie, że z Dublina przyjeżdża Grace, a Grace wsiadała do samolotu i zjawiała się w Londynie tylko wtedy, kiedy sprawy przybierały bardzo poważny obrót.

Strach wrócił, tak wielki, że groził uduszeniem. Jak bardzo rozgniewana była Grace? Mogła do niej zadzwonić, by się dowiedzieć, ale – ponownie – lepiej było nie wiedzieć.

Do przyjazdu Grace wyłączy się: nie będzie nic słyszeć, nie będzie nic myśleć, nie będzie nic czuć.

Ale przez jej głowę bez końca przelatywały uporczywe zwroty.

Odurzona alkoholem.

Trzy pęknięte żebra.

Mogła zginąć.

Zalała ją nowa fala szoku i nagle, jakby usłyszała o tym po raz pierwszy, przeraziła się rozmiarem swoich obrażeń. Złamane kości! Nie jedynie guzy i siniaki, ale złamane kości. To było poważne, poważne, poważne.

Przynajmniej dzięki temu wszystko stało się dla niej jasne: już nigdy więcej nie może pić. Już nigdy więcej nie będzie pić. To było jasne i proste. Jej zachowanie i jego konsekwencje znacznie przekroczyły to, co było akceptowalne bądź wybaczone lub choćby wytłumaczalne. Była zdeterminowana. Już nigdy ani kropli alkoholu.

W porze kolacji dziewczynki przyszły do jej sypialni, dumnie niosąc miseczkę lodów waniliowych. Marnie przełknęła trzy łyżki i nagle musiała przestać: nie mogła jeść, nigdy nie mogła po tym, jak poszła w tango. A to pijaństwo – musiała przyznać – było chyba najgorsze z dotychczasowych.

Tej nocy spała sama. Nick odmówił dzielenia z nią łóżka. Nie dawały jej spać nieustannie rozbrzmiewające w głowie słowa. Raz po raz, przez całą noc.

Odurzona alkoholem.

Grace przyjeżdża.

Trzy pęknięte żebra.

Co jakiś czas odpływała w spocony, otumaniony półsen, po czym eksplodowała i opadała na materac z takim przerażeniem, że w końcu uznała, iż najlepiej by było, gdyby w ogóle nie zasypiała.

– Marnie! – Grace przeszła spieszenie przez pokój, ale zatrzymała się na widok sińców i bandaży.

Marnie dostrzegła w jej oczach łzy: to znaczyło, że nie jest zła.

Dzięki Bogu dzięki Bogu dzięki Bogu.

Strach, który ciążył jej niczym ciężki kamień, zsunął się i nagle Marnie poczuła się lżejsza, wolniejsza – to absurdalne, ale niemal radosne. Czarne chmury przerażenia, które zbierały się nad nią, odkąd obudziła się w szpitalu, zaczęły się rozpraszać.

– Mogę cię przytulić? – zapytała Grace. – Czy za bardzo cię boli?

Gdyby Grace była na nią zła, pozwoliłaby się przytulić; zrobiłaby wszystko, byle odzyskać jej miłość. Ale w obecnej sytuacji mogła sobie pozwolić na szczerość.

– Za bardzo boli.

Grace usiadła na łóżku.

– No więc co się stało?

– Znasz mnie. Często ulegam wypadkom.

– Nie, chodzi mi o to... znowu bardzo się upiłaś. Dlaczego?

Dlaczego?

Nie wiedziała dlaczego. Nie miała wcale takiego zamiaru.

– Nie słyszałaś? O premii Nicka? Kupił nam ten wielki, cholerny dom, a teraz nie stać go na spłatę kredytu.

Marnie nie obchodził ten dom ani pieniądze. Ale potrzebny był jej jakiś powód. Grace potrzebny był powód.

– Ale wiedziałaś o tym od dawna. – Grace była zdziwiona. – Myślałam, że wydarzyło się coś strasznego. No bo przecież ostatnim razem, kiedy się tak upiłaś... kiedy to było, sześć tygodni temu? Przysięgłaś, że już nigdy więcej nie będziesz pić, pamiętasz? Tak mocno się poturbowałaś, kiedy spadłaś ze schodów u Rico...

– Jej współnika – odezwał się Nick.

– A więc teraz jestem kryminalistką.

Marnie niewiele pamiętała z epizodu, o którym mówili Grace i Nick. Potrafiła przywołać to, co go poprzedzało i to, co nastąpiło po nim, ale brakowało całej reszty pomiędzy.

To miało miejsce mniej więcej sześć tygodni temu, ten koszmary dzień z Wenem–Yi i odkryciem, że pan Li przebywa w Szanghaju, kiedy przyłapano ją na nieudolności i – co gorsza – nieuczciwości. Poczucie wstydu było tak bardzo nie do zniesienia, że kiedy Rico zaprosił ją na drinka, natychmiast ogarnęła ją radość, która zepchnęła na bok wszystko inne. Marnie nie była się jej w stanie oprzeć. Potrzeba picia narastała przez wiele dni i tygodni, próbowała się jej wypierać, nawet kiedy napięcie stawało się coraz trudniejsze do zniesienia – aż jej opór w końcu się złamał. Obiecała Melodie, że wróci do domu przed **18. 15**, by ta mogła się udać do swojej kolejnej pracy, ale nawet kiedy wypowiadała te słowa, wiedziała, że tak się nie stanie i nie czuła niczego: żadnego poczucia winy.

Ona i Rico udali się do nowo otwartego baru w Fulham, daleko od pracy, gdzie pili drinki vodkatini i psioczyli na Wena–Yi. Pamiętała, że byli tam bardzo długo, tak długo, że rzeczywistość ograniczyła się do krótkich przebłysków. Miała w pamięci obraz, jak wychodzili z baru i Rico niechcący upuścił na chodnik butelkę wódki, która rozbiła się, eksplodując srebrzystym

światłem. Pamiętała przesuwanie się szybko budynki – musieli jechać taksówką – i wywiad Larry'ego Kinga z Billem Clintonem. Ale czy rzeczywiście tak było? Czy w mieszkaniu Rico oglądała telewizję? Czy też po prostu wszystko to sobie wyobraziła?

A potem nie było niczego – pustka, pustka, pustka – aż do momentu, kiedy się obudziła we własnej sypialni, której zresztą na początku nie rozpoznała.

Później się dowiedziała – dzięki uprzejmości swego męża – że zniknęła na półtora dnia. Telefon do Melodie wykonała w poniedziałkowy wieczór, a dopiero w środę rano Nick ją znalazł.

Nick – wyczuwszy intuicyjnie, że będzie naprawdę nieciekawie – najpierw pojechał do Basildon i oddał Daisy i Verity pod opiekę swojej mamie. Następnie zadzwonił do Guya po adres Rico.

Kiedy Nick opowiedział o tym Marnie, pragnęła umrzeć ze wstydu – na pewno strasznie się czuł, robiąc coś tak upokarzającego.

W apartamentowcu Rico Nick znalazł Marnie na klatce schodowej: leżała twarzą do podłogi z rozrzuconymi rękami i nogami.

Co ja tam robiłam?

Być może próbowała wyjść?

Miała całą posiniaczoną przednią część ciała, ponieważ – tak wydedukował Nick – przewróciła się na drewnianych schodach prowadzących z mieszkania Rico na pierwszym piętrze. U Rico nikt nie otwierał, ponieważ – o czym Marnie dowiedziała się tydzień później, kiedy wróciła do pracy – on także był zalany w trupa.

Nick zabrał ją do domu, przebrał w bawełnianą koszulę nocną i położył do łóżka.

Kiedy w końcu się ocknęła, nie potrafiła znaleźć słów, by opisać swe przerażenie. Przednią część ciała miała pokrytą zdumiewającą ilością sińców. Guzy i zadrapania zdążyły się stać nieodłącznym elementem jej życia; powrót do rzeczywistości po pójsciu w tango zawsze rozpoczynał się od dokonania oględzin i oceny zniszczeń. Ale tak źle to jeszcze nigdy nie było. Jeden z jej zębów się chwiał i z jakiegoś powodu to właśnie strasznie ją przeraziło.

Jednak gorsze od obrażeń fizycznych było dojmujące poczucie winy z powodu tego, przez co kazała przejść Daisy i Verity, i Nickowi. Sprawilo ono, że miała ochotę – całkiem dosłownie – podciąć sobie żyły, i przysięgła Nickowi – i sobie

– że już nigdy więcej nie zajrzy do kieliszka.

Ale Marnie nie pamiętała nic z tego, co miało miejsce, a ponieważ nie pamiętała, udało jej się udawać, że coś takiego w ogóle nie miało miejsca. Zamknęła to szczelnie w tej części swej świadomości, gdzie przechowywała to, o czym za bardzo wstydzila się w ogóle myśleć.

A teraz znowu do tego doszło. I było jeszcze gorzej, ponieważ tym razem znalazła się w szpitalu. Z połamanymi kośćmi.

I Grace przyjechała.

– Nie ma nad nią kontroli. Potrzebna jej specjalistyczna pomoc w jakimś ośrodku. – Nick nadal stał w progu sypialni.

Marnie ogarnęło bezgłośnie przerażenie. Po raz pierwszy zasugerował coś takiego. Mówił poważnie? Czy tylko próbował ją nastraszyć?

– Masz na myśli... ? – Grace, zawsze taka pewna siebie, wyglądała na niezdecydowaną. Wręcz przestraszona.

– Odwyk, leczenie – odparł Nick. – Nazwij to, jak chcesz.

– Czy to nie trochę... ?

– Trochę jakie?

– ... drastyczne?

– Grace, ona jest alkoholiczką!

Marnie zobaczyła z uczuciem ulgi, że Grace się wzdrygnęła; widać było, że nie daje sobie wciskać tego kitu. Nick zwrócił się do Marnie:

– Spójrz prawdzie w oczy, jesteś alkoholiczką.

– Nie jestem – powiedziała z niepokojem. – Ja przestanę, ja...

– Jest takie miejsce w Wiltshire – powiedział. – Wygląda przyjemnie.

Pozwalają na weekendowe odwiedziny dzieci, więc dziewczynki mogłyby do ciebie jeździć.

Chryste, on... on mówił poważnie!

– Nick, proszę, zaczekaj. – Słowa te wydostały się pospiesznie z jej ust. – Daj mi jeszcze jedną szansę...

– Tak, Nick, uspokój się – odezwała się Grace. – Nie popadajmy w przesadę. Miała dwa przykre wypadki...

– Dwa! – Nick przyłożył dłoń do czoła. – Na litość boską, Grace. Już prędzej dwieście! Nie takie poważne jak ten, zgoda. Ale przerwy stają się coraz krótsze, a obrażenia coraz poważniejsze. Powiedziano mi, że tego właśnie się mogę spodziewać. Mówiłem ci o tym.

Skonsternowana Marnie przysłuchiwała się tej wymianie zdań.

– Kto ci powiedział? – zapytała ogarnięta coraz większym strachem.

– Terapeuta uzależnień – wyjaśniła Grace.

– Jaki terapeuta uzależnień? – Marnie miała odrętwiałe usta. – Jak to możliwe, że ty o tym wiesz, a ja nie?

Grace wydawała się zaskoczona.

– Ponieważ Nick dzwoni do mnie i mówi mi o tobie...

Naprawdę?

– Robi to od kilku miesięcy.

Marnie była ogłuszona.

– Grace... ? Rozmawiasz z Nickiem za moimi plecami?

Grace wyglądała na zaszokowaną.

– Nie robię niczego za twoimi plecami! Pierwsze, co zrobiłam po jego telefonie, to zadzwoniłam do ciebie, by donieść na niego.

Naprawdę?

– Bardzo długo wtedy rozmawialiśmy, ty i ja. Nie pamiętasz? – W głosie Grace słychać było panikę.

Nie. I to nie pierwsza luka w jej pamięci.

– Myślałam, że jesteś pijana. Zapytałam cię o to wtedy – powiedziała niespokojnie Grace. – Ty odpowiedziałas, że nie jesteś.

– Nie byłam! Pamiętam wszystko! – Wtedy Marnie coś zrozumiała. – A więc dlatego tak często do mnie dzwoniłaś?

– Tak bardzo się martwiłam.

– Dlaczego? Zawsze lubiłam sobie wypić. Ile ci razy powtarzałam, że świat wydaje się normalny dopiero po dwóch drinkach?

Widziała, jak Grace walczy ze sobą. Widziała, jak Grace zadaje sobie pytanie, czy ma prawo żałować Marnie tych dwóch drinków.

– Słuchaj, ja potrafię przestać – rzekła uspokajająco. – Potrafię całymi tygodniami obejść się bez drinka.

Ale Grace odwróciła się od niej i spojrzała na Nicka.

– Potrafi? Potrafi całymi tygodniami obejść się bez drinka?

– Może – odparł niechętnie. – Choć bywa i tak, że mówi, iż niczego nie piła, a ja wyczuwam w jej oddechu alkohol. Znalazłem w jej torebce butelki wódki...

Grace wyglądała na zaszokowaną.

– Naprawdę? – zapytała ostro Marnie. – Nigdy nie mówiłaś...

– Raz! Jeden jedyny raz! Ponieważ w monopolowym skończyły się reklamówki. – Wpatrywała się w oczy Grace.

– Potrafię nie pić przez kilka tygodni. Tak właśnie robię.

– A potem znikasz! – zawołał Nick. – Nie wracasz do domu przez kilka dni...

– Nie „dni”! – przerwała mu Marnie. – Nick, to co mówisz, brzmi, jak... Grace, nie słuchaj go. To nie były nawet dwa dni! Najwyżej dwadzieścia cztery godziny.

– Dwadzieścia cztery godziny to dużo czasu – powiedział Nick. – Zwłaszcza jeśli jest się małą dziewczynką.

– Och, no dalej, wzbudź we mnie poczucie winy! Tak jakbym nie czuła się wystarczająco paskudnie!

Nagle z oczu Marnie popłynęły łzy. Nick zacmokał ze zniecierpliwieniem i oświadczył, że jedzie do pracy, ale ku uldze Marnie, Grace miała więcej wyrozumiałości.

– Marnie, proszę, to przybrało stanowczo zbyt poważny obrót. Przewracasz się. Robisz sobie krzywdę. Mogłaś zostać zgwałcona. Masz szczęście, że nie beknęłaś za jazdę po pijanemu. Masz szczęście, że nikogo nie zabiłaś.

– Wiem, wiem, wiem. – Łzy spływały po jej twarzy, przez co szczypały ją skaleczenia. – Ale ty nie wiesz, jak to jest być mną.

Dostrzegła w oczach Grace współczucie i przez to poczuła się jeszcze gorzej.

– Przepraszam. Przepraszam, ale mnie zawsze jest smutno. – Szlochała, czując nagle pełen ciężar swego brzemienia.

– Kiedy piję, ten smutek znika. Tylko wtedy tak się dzieje.

– Ale to tylko wszystko pogarsza – powiedziała bezradnie Grace. – Przecież teraz jest ci jeszcze bardziej smutno, niż zanim się upiłaś?

– Tak, przestanę. To będzie trudne, ale przestanę.

– Nie musisz zupełnie wyrzekać się alkoholu. Po prostu nie popadaj w przesadę. Nadal bierzesz antydepresanty?

– Nie pomagają.

– Nie mogłabyś dostać większej dawki?

– Zapytam. Chyba mam już największą, ale zapytam. Błagam cię, Grace, nie pozwól, by wysłał mnie na odwyk.

– Okej. – Grace przysunęła się bliżej i cicho zapytała.

– O co chodzi z tym całym Rico?

– Rico? – Wytarła ręką twarz. – To tylko kolega.

– Czy coś jest między wami?

Przebłysk ciał, nagich kończyn, Rico na niej, w jej uchu jego przyspieszony oddech. To się nie wydarzyło.

– Nie, nie, jest dla mnie po prostu bardzo miły.

– Ale pijesz z nim?

– W twoich ustach brzmi to tak... jakbyśmy byli kloszardami pociągającymi denaturat. Czasami chodzimy razem na drinka.

Grace weszła do łóżka obok niej. Aby zapobiec dalszym przesłuchaniom, Marnie włączyła telewizor. Leciła akurat *Trisha*; temat dzisiejszego odcinka brzmiał: „Nienawidzę chłopaka mojej córki”.

– Mam przełączyć na coś innego?

Nie spodziewała się, by Grace z tą swoją lewicową wrażliwością miała ochotę na *Trishę*, ale jej siostra siedziała jak porażona.

Były tam krzyki, przekleństwa i oskarżenia o zazdrość i niewierność.

– Gardzę sobą za to, że oglądam tego typu chłam – rzekła Grace. – Ale to jest silniejsze ode mnie.

Teraz już wiesz, co ja czuję.

Kiedy program się skończył, Grace nagle zapytała:

– Marnie, słyszałaś o kimś, kto nazywa się Lemmy O'Malley?

– Nie.

– A Eric Zouche?

– Nie. A czemu pytasz?

– A nic. – Zeskoczyła z łóżka, pełna energii. – No dobrze, musisz zacząć wracać do normalności. Ubierz się, choćby na parę godzin. Która szafa jest twoja?

– Tamta.

Grace otworzyła ją.

– Masz tyle ciuchów. I butów! – Całą podłogę szafy przykrywały kozaki i pantofle. – Jakie buty do konnej jazdy! – Grace przykucnęła, by lepiej im się przyjrzeć.

Nie, zaczekaj. Trzymaj się od nich z dala.

– Śmieszne, nie? – Grace do połowy znajdowała się w szafie i jej głos był przytłumiony. – Takie sztywne, skóra wygląda niemal na plastik.

– Ponieważ ich nie rozchodziłam...

– Boże, ale z ciebie pedantka, wkładasz w nie prawidła, by prosto stały...

Nie dotykaj ich. Zostaw je w spokoju.

– Grace, nie...

Ale Grace włożyła rękę w but i wyraz jej twarzy uległ zmianie. W jej dłoni pojawiło się coś i patrzyła na Marnie z taką miną, jakiej siostra jeszcze nigdy u niej nie widziała, i cichym, spokojnym głosem, tak niepodobnym do Grace, zapytała:

– Dlaczego trzymasz w bucie butelkę wódki?

– Grace, ja... nie...

Wsunęła rękę do drugiego buta i wyjęła drugą butelkę wódki, tym razem pustą. Na jej twarzy malował się ten sam wyraz szoku pomieszanego ze zrozumieniem. Następnie cofnęła się do szafy i zaczęła ją gorączkowo przekopywać.

– Grace, nie!

– Odpierdol się!

Marnie mogła jedynie obserwować dalszy rozwój horroru. Grace przeszukiwała dziko pudełka z butami, kozaki i torebki, wyrzucała je na podłogę sypialni, odwracała do góry dnem, tak że butelki brzęczały i w końcu wypadały ze swych kryjówek.

To się nie dzieje naprawdę to się nie dzieje naprawdę to się nie dzieje naprawdę.

Kiedy Grace skończyła, ustawiła butelki na toalecie, stawiając je z brękiem jedną obok drugiej. Razem dziewięć – pełnych, na wpół opróżnionych, prawie pustych. Marnie trudno było uwierzyć, że jest ich tak wiele. Wiedziała, że była tam jedna czy dwie butelki schowane do czasu, kiedy

będzie się miała okazję ich pozbyć – ale dziewięć? Wszystkie były po wódce i wszystkie były puste z wyjątkiem tej pierwszej.

Grace oddychała ciężko i wpatrywała się w Marnie tak, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

– Piłaś po powrocie ze szpitala?

– Nie, przysięgam!

Mówiła prawdę. Chciała się napić – zwłaszcza wtedy, kiedy się dowiedziała, że przyjeżdża Grace – ale nie byłaby w stanie utrzymać alkoholu w żołądku. Znała swój organizm na tyle dobrze, by wiedzieć, że nawet niewielka ilość wódki doprowadzi do orgii wymiotów, która mogła trwać nawet przez kilka dni.

Wtedy zobaczyła, jak Grace coś sobie uświadamia – prawdę mówiąc, to zobaczyła zmianę w oczach siostry, gdy to się stało – i Grace wypadła z sypialni, pełna strachu i determinacji.

Do Marnie dotarło, dokąd ona zmierza.

– Nie, Grace, proszę!

Wyskoczyła z łóżka, ignorując przeraźliwy ból w żebrach – tym razem musiała ją powstrzymać – i udała się za Grace do różowego pokoju Daisy.

Ale ona zdążyła już znaleźć jedną butelkę. Machnęła nią przed twarzą Marnie.

– W szafie twojej córki. Pięknie, Marnie!

– Nie znalazłaby jej.

– Mnie nie zajęło to dużo czasu.

Następnie poszła do pokoju Verity i znalazła trzy puste butelki pod łóżkiem.

– Nie mów Nickowi – błagała Marnie. – Proszę.

– Jak możesz mnie o to prosić? Jak możesz być taką egoistką?

W domu echem roznosił się odgłos wymiotowania. Znowu i znowu i znowu. Marnie szarpała za klamkę.

– Proszę, Grace, wpuść mnie.

Ale ona zamknęła się i nie odpowiadała.

– Nie rozumiem – powiedziała słabo Grace. Sprawiała wrażenie zdruzgotanej. Marnie jeszcze jej nigdy nie widziała w takim stanie. – Byłaś w stanie przestać podczas waszej ostatniej bytności w Dublinie. Kiedy brałaś antybiotyki.

Nie brała antybiotyków, ale nie pora na wyjaśnienia.

– Niczego nie wypijałaś przez cały weekend – rzekła Grace. Po czym odwróciła się do Marnie, ponieważ zaświtało jej w głowie, że być może jej siostra piła przez cały ten czas w ukryciu. – A może piłaś?

– Nie piłam. Przysięgam!

– Przysięgasz? – Śmiech Grace pełen był goryczy. – Tak, to mnie uspokoiłaś.

– Nie kłamię, Grace. To prawda. Mogę przestać, kiedy tylko chcę.

– „Mogę przestać, kiedy tylko chcę” – powtórzyła gniewnie Grace. – Wiesz, kto tak mówi?

–Kto?

– Alkoholik.

–Ale...

Prawda była taka, że nie piła niczego w Dublinie – ponieważ, choć trudno to wyjaśnić, łatwiej jej było nie wypić nic niż tylko dwa drinki. Dlatego właśnie udawała, że bierze antybiotyki. W ciągu ostatniego roku – może nawet dłużej – przekonała się, że jeśli wypije choćby jednego drinka, ogarnia ją

przemozna potrzeba picia do nieprzytomności, picia tak długo, aż będzie mogła porzucić swe ciało, aż będzie mogła porzucić swe życie, aż będzie mogła porzucić wszystko i pobiec ku zapomnieniu. Nie potrafiła przewidzieć, co się stanie, kiedy zacznie pić, mogła skończyć wszędzie, robiąc dosłownie wszystko, a nie mogła ryzykować, przebywając tak daleko od domu.

– Przepraszam, że nie powiedziałam ci wszystkiego – rzekła teraz. Nie mogła tego znieść: Grace była na nią zła. Co gorsza, Grace była rozczarowana.

– Przepraszam, że trzymałam cię w nieświadomości.

– Tu nie chodzi o mnie! Chodzi o to, że jesteś... alkoholiczką. – Grace niełatwo było wypowiedzieć to słowo.

– Nie alkoholiczką, a tylko...

– Marnie! – Grace otwierała i zamykała usta jak ryba i pokazała na butelki na toalecie. – Popatrz na nie, proszę cię, popatrz na nie.

– Nie jest tak źle, jak ci się wydaje. Proszę, pozwól mi wytłumaczyć. Są tu schowane od niepamiętnych czasów. Proszę, Grace, posłuchaj mnie...

Nagle Grace oświadczyła:

– No dobrze, dość tego! Zapisujesz się do AA.

– Że co? Anonimowi Alkoholicy? W żadnym razie.

– Mam zamiar tam zadzwonić. Natychmiast. Gdzie macie książkę telefoniczną?

– Nie mamy.

Bardzo cicho Grace powiedziała:

– Lepiej ze mną nie zagrywaj, dobrze ci radzę!

– W szafce na korytarzu.

Grace wyszła z sypialni, a kiedy wróciła, rzekła:

– O pierwszej jest mityng w domu kultury w Wimbledonie. Ubieraj się.

– Grace, to szaleństwo – błagała Marnie. – Przestanę, przysięgam, że przestanę, nie każ mi chodzić na AA, jeszcze nie jest tak źle, ja tylko muszę podjąć decyzję, że przestanę, słuchaj, właśnie to robię, podjęłam ją, zrobione! – Widziała, że Grace się waha. – No i nie mogę tak jechać. – Pokazała na skaleczenia i bandaże.

Na twarzy Grace wahanie ustąpiło niepokojącej pewności.

– Nic nie szkodzi. Pewnie są do czegoś takiego przyzwyczajeni.

– A jeśli zobaczy mnie ktoś z pracy?

– Może i tak już wiedzą, co się z tobą dzieje. Właściwie to założę się, że wiedzą. Ucieszyliby się pewnie, że robisz coś ze swoim problemem alkoholowym.

Problem alkoholowy.

Pod okiem Grace ubrała się. Przy każdym ruchu krzywiła się z wyolbrzymionym bólem – ale nie udawała, że trzęsą się jej ręce. Nie potrafiła zapiąć džinsów. To było coś nowego.

Mimowolnie zerknęła na szafę, skrywającą jeszcze przynajmniej jedną butelkę, której nie znalazła Grace. Łyk, może dwa, mógłby ją uspokoić. Ale gdyby nawet Grace zostawiła ją samą na trzy sekundy, teraz nie mogła ryzykować. Poza prawdopodobieństwem wystąpienia wymiotów, gdyby jej siostra dowiedziała się o tym, Marnie jeszcze dzisiaj wylądowałyby na odwyku.

Prowadziła Grace. Marnie pozwoliła jej zaplatać się w labiryncie ulic jednokierunkowych, mając nadzieję, że tak dużo czasu stracą na jeżdżenie w kółko, że nie zdążą na mityng. Ale zapomniała – jak mogła, zważywszy na to, że znała ją od urodzenia – jak bardzo jej siostra jest kompetentna.

– To ta ulica – powiedziała Grace, jadąc powoli i zerkając na niewysokie budynki. – A to... jest to miejsce.

Marnie nie była zaniepokojona: tutaj nigdy nie uda im się zaparkować.

– Czy oni odjeżdżają? – zapytała Grace. Opuściła szybę i wypowiedziała bezgłośnie do kierowcy: „Odjeżdżacie?”. Kiwnięcia głową i uśmiechy, i uniesione kciuki i po chwili Grace znalazła się na miejscu ich samochodu.

Jak to się mogło stać?

Nie myśl o tym nie myśl o tym nie myśl o tym.

– Wsiadaj – poleciała Grace.

Marnie odpięła pasy i wyszła z samochodu. Miała wrażenie, jakby jej nogi należały do kogoś innego; szła po raz pierwszy, odkąd obudziła się w szpitalu i była to dla niej nowa czynność. Prawdę mówiąc...

– Grace, chyba zemdleję.

– Oddychaj – kazała jej Grace. – I oprzyj się o mnie, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Nie, naprawdę... czuję się naprawdę...

– Marnie, idziesz na ten mityng AA i koniec. Mam gdzieś, czy przewrócisz się i umrzesz.

Marnie nie sądziła, by jej serce mogło stać się jeszcze cięższe, ale kiedy dotarło do niej, że to jest to samo miejsce co ostatnio, ledwie się była w stanie ruszyć, ogarnięta coraz większym przerażeniem.

W pomieszczeniu ustawiono w kręgu osiemnaście, może dwadzieścia krzeseł. Ludzie gawędzili ze sobą i śmiali się, zaś na stole stały herbata i herbatniki.

Gdy Grace podprowadziła ją do głównego stołu, Marnie widziała, że jest niepewna, niemal zdenerwowana.

– To jest Marnie. – Grace przedstawiła ją jakiejś kobiecie, która wyglądała, jakby tu dowodziła. – To jej pierwszy mityng.

Właściwie to nie pierwszy, lecz drugi, ale nie mówiła o tym Grace, ponieważ wtedy to już by naprawdę uznała ją za alkoholiczkę. Rozejrzała się ukradkiem, mając nadzieję, że nie ma tutaj Jules, tej kobiety, którą spotkała wtedy w kinie. Gdyby teraz do niej podeszła i się przywitała, Marnie zostałaby zdemaskowana.

Ludzie – alkoholicy – byli bardzo przyjacielscy; pamiętała to z poprzedniego razu. Nie wprawiali jej w zakłopotanie, pytając o jej obrażenia i obdarzali ciepłymi, powitalnymi uśmiechami.

– Herbaty?

Marnie kiwnęła głową. Było jej tak zimno, że coś ciepłego dobrze jej zrobi. Ale ku wyraźnemu przerażeniu Grace jej dłonie nie były w stanie utrzymać kubka. Gorący płyn przelał się, parząc jej palce. Mężczyzna, który podał jej kubek, bez zbędnego zamieszania wziął go od niej i odstawił na blat.

Utrata kontroli nad własnym ciałem była tak bezprecedensowa, że Marnie uznała, iż po prostu nie miała miejsca.

– Wszyscy przez to przeszliśmy – powiedział życzliwie mężczyzna.

Może ty tak, ty zapijaczona ofiara losu, ale ja nie.

– Herbatnika? – zaproponował.

– Okej.

Jej żołądek błagał o jedzenie, ale miała wrażenie, jakby te sygnały dochodziły z odległości stu kilometrów. Odgryzła mały rozek herbatnika, ale już tak dawno niczego nie jadła, że aż jej się to wydawało nienaturalne. Przełknęła, zmuszając okruszki do przeciśnięcia się przez gardło, a jej soki żołądkowe zapiszczały z radości.

– Usiądźmy – zasugerowała Grace. Przy jej pomocy usiadła na twardym krześle.

To się nie dzieje naprawdę to się nie dzieje naprawdę to się nie dzieje naprawdę.

Łamała maleńkie kawałki herbatnika, pozwalając, by rozpuszczały się w jej ustach i co jakiś czas wyłączała się, podczas gdy alkoholicy biadolili. Nazywali to „dzieleniem się”, co za żenujące słowo. Grace na pewno się to nie spodoba. No bo przecież na pewno nie będzie miała czasu dla organizacji, która używa tego rodzaju określenia?

– ... picie było dla mnie pracą na pełny etat. Przemycanie alkoholu do domu, ukrywanie butelek, udawanie, że wyprowadza się psa, by można podrzucić puste do koszy sąsiadów. Potem zaczęto pobierać opłaty za wywóz śmieci i przyłapano mnie...

– ... kiedy urządzałam u siebie przyjęcia, zawsze trzymałam w szafce w kuchni dodatkową butelkę, bym mogła sobie łyknąć podczas na przykład przynoszenia brudnych naczyń...

– ... sądziłam, że piję, ponieważ lubię pić, a piłam, by zabić ból towarzyszący moim uczuciom...

– Butelki miałam pochowane dosłownie wszędzie. Nawet w swojej szafie.

To wyznanie sprawiło, że Grace szturchnęła łokciem Marnie. *Widzisz, sugerował jej gest, jesteś taka sama jak oni, tu jest twoje miejsce.*

– Trzymałam butelki w kieszeniach moich zimowych płaszczy – kontynuowała kobieta, a Marnie poczuła, jak Grace cała się spina, ogarnięta nagłym podejrzeniem.

Kurwa kurwa kurwa.

– ... potrafiłem przestać, nie stanowiło to problemu. Mogłem wytrzymać bez drinka tydzień, może dziesięć dni. Trudne okazało się wytrzymanie dłużej. Nie potrafiłem tego...

– ... straciłem wszystko przez picie, pracę, rodzinę, dom, szacunek dla samego siebie, i miałem to gdzieś, pragnąłem jedynie pić...

– Marnie... – mruknęła Grace.

– Hmm? – Wyrwawszy się z otepienia, Marnie przekonała się, że uwaga wszystkich zebranych tu osób skupia się na niej. Kobieta przewodząca mityngowi uśmiechała się życzliwie.

– Marnie, chciałabyś coś powiedzieć?

– Co? Kto, ja? – Opuściła wzrok na stopy. – Och, nie.

– Śmiało – wyszeptała do jej ucha Grace.

– Mam na imię Marnie.

– Cześć, Marnie – rozbrzmiał chór głosów. Boże, czuła się tak głupio.

– I... cóż, i oto jestem.

– Powiedz, że jesteś alkoholiczką – szepnęła Grace. Nie zrobi tego. Nie zrobiła. Ponieważ nią nie była.

– Tak dla twojej informacji – rzekła Grace w drodze do domu. Jest usta tworzyły ponurą linię. – Nie trzeba pić każdego dnia, żeby być alkoholikiem. Ta kobieta mówiła, że wielu ludzi przestaje pić na długie okresy, dokładnie tak jak ty. Ignoruj ją ignoruj ją ignoruj ją.

– No więc co sądzisz o tych ludziach? – zapytała Grace po dłuższej chwili milczenia.

– Są mili.

– Są dziwaczni.

– Pójdiesz tam jeszcze?

- Mmm, w przyszłym tygodniu.
- A może jutro?
- Jutro? A to nie trochę... ekstremalnie?

Grace nie odpowiedziała, a kiedy wróciły do domu, udała się na górę prosto do sypialni Marnie, gdzie otworzyła na oścież drzwi szafy i zaczęła się przez nią przekopywać. Nie minęło wiele czasu, a wyłowiła w połowie pełną butelkę wódki i zademonstrowała ją z teatralnym gestem, niczym magik wydobywający białego królika kapelusza. Wróciła do przeszukiwania szafy jak polawiacz pereł, macając kieszenie płaszczy zimowych i po chwili miała już drugą butelkę.

Kiedy liczba butelek zwiększyła się do czterech, zapytała:

- Ekstremalnie? Nie, to nie jest, kurwa, ekstremalnie.
- Opadła na kolana i schowała głowę w dłoniach, po czym wstała.
- Grace... gdzie idziesz?
- Do łazienki. Znowu wymiotować. – Stała w drzwiach, odwróciła się i zapytała ostrym tonem: – Śmieszne, nie?

Marnie wzdrygnęła się.

– To ty upiłaś się do nieprzytomności – zawołała Grace. – Ale to ja teraz rzygam!

Grace wróciła z łazienki i skuliła się na łóżku obok Marnie. Leżały w milczeniu.

- Co robiłaś w Cricklewood? – zapytała nagle Grace.
- Słucham?
- W Cricklewood. Nick mówi, że stamtąd właśnie zabrała cię karetka.
- Tak, wiem... – Ale nie wiem, co tam robiłam.
- Co się wydarzyło tamtego wieczoru?

- Nic. Po prostu poszłam z Rico po pracy do pubu.
- Nie w Cricklewood?
- Nie, w Wimbledonie. Niedaleko pracy.
- Obawiam się, że nie znam Londynu aż tak dobrze. – Czy w głosie Grace słychać było sarkazm? – Czy Wimbledon leży niedaleko Cricklewood?
W żadnym razie. To drugi koniec miasta.
- Nie.
- No więc ty i Rico... ?
- Wypiliśmy po kilka drinków.
- A potem?
- Poznałam paru ludzi, wybierali się do klubu, pojechałam razem z nimi.
- Tak mi się wydaje.
- Gdzie był ten klub? W Cricklewood? Proszę cię, skończ już z tym Cricklewood.
- W Peckham. – *Peckham?* Co ona sobie wtedy myślała? Peckham to getto.
- Czy to niedaleko Cricklewood?
- Nie.
- Znasz kogoś, kto mieszka w Cricklewood?
- Nie.
- No więc jak myślisz, dlaczego znaleziono cię w Cricklewood?
- Grace, jeśli jeszcze raz powiesz Cricklewood, to ja idę do monopolowego.
- Cricklewood, Cricklewood, Cricklewood. Którego monopolowego? Tego w twojej szafie? – Grace przerzuciła nogę przez Marnie, by ta nie mogła się ruszyć. – Nawet o tym nie myśl.

– Żartowałam.

– Wiem. Spójrz tylko na mnie, wpadam w histerię.

Przez chwilę panowała ponura cisza, po czym Grace odezwała się:

– Nie sądzisz, że to trochę... ?

–Co?

– Leżałaś sama na poboczu, poturbowana, zalana w trupa, w części Londynu, której nie znasz, zupełnie nie pamiętając, w jaki sposób się tam dostałaś ani co tam robiłaś.

Nim Grace zdążyła wypowiedzieć więcej niż pięć słów, Marnie przestała słuchać i zamiast tego szykowała sobie w głowie odpowiedź. Kiedy zobaczyła, że Grace skończyła, powiedziała:

– To się już nie powtórzy.

– Ale...

– Zgadzam się z tobą, kiepsko to wygląda, kiedy to ujmiesz w taki sposób. Ale to był wypadek, jednorazowy wypadek, który już się nie powtórzy.

– Jest trzecia. – Grace ześlizgnęła się z łóżka. – Jadę do szkoły po dziewczynki. Za dwadzieścia minut będę z powrotem.

– Dzięki, Grace. – Melodie w końcu odeszła; obecnie nie mieli żadnej niani. Gdyby nie było tu Grace, Marnie nie wiedziała, jak dziewczynki wróciłyby do domu. Być może któraś z mam...

Usłyszała odgłos zamykanych drzwi i uruchamianego samochodu. Oparła się o poduszki. Chciało jej się teraz spać. Ale gdy już–już miała zasnąć, w jej głowie rozbrzmiały słowa Grace: „Leżałaś sama na poboczu, poturbowana, zalana w trupa, w części Londynu, której nie znasz, zupełnie nie pamiętając, w jaki sposób się tam dostałaś ani co tam robiłaś”.

Och.

Otworzyła się maleńka szczelina, przez którą można było dostrzec całą masę ukrytych, przerażających zdarzeń. Marnie gorączkowo próbowała usiąść, walcząc o oddech. Serce waliło jej jak młotem. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła takiego przerażenia.

Leżała sama na poboczu z trzema pękniętymi żebrami, o piątej rano.

To ona była tą osobą.

Zawsze lubiła sobie wypić – nigdy się z tym nie kryła – ale prawda była taka, że знаła umiar. Kiedy siedziała w domu, wychowując dzieci, nigdy nie piła w ciągu dnia. Nie pochwałała czegoś takiego. Zasada była taka: zero alkoholu przed szóstą. Przez cały dzień opiekowała się dwójką maluchów, ale kiedy tylko wskazówki kuchennego zegara ustawiały się, tworząc prostą linię, nalewała sobie wódkę z tonikiem. Niecierpliwie czekała na ten moment, nie zamierzała temu zaprzeczać, ale czy coś takiego było karane?

Może i mogła zaczynać wcześniej – być może niektóre matki tak robiły – ale zasady to zasady. Zero alkoholu przed szóstą.

Z wyjątkiem tego dnia w październiku dwa lata temu – a może trzy? – po zmianie czasu na zimowy, kiedy była piąta, a wydawało się, że to już szosta. Było ciemno i dzień długo się ciągnął i czekanie zdawało się być niepotrzebne, zwłaszcza że Nick nie przestawił jeszcze zegara. Wskazówki rzeczywiście pokazywały szóstą, a gdyby to było wczoraj, byłaby teraz szosta. Więc tego konkretnego dnia znalazła wymówkę, by napić się o piątej. A – być może dlatego, że świat się nie zawalił, kiedy złamała zasadę godziny szóstej – kilka dni później o czwartej trzydzieści. Później tego miesiąca o drugiej piętnaście. Następnie o pierwszej. Kiedy pierwszy raz zrobiła sobie drinka rano, poczucie wolności przyprawiło ją o zawrót głowy; zaskoczona była tym, że tak wiele lat dawała się ograniczać sztucznym barierom. Czas był jedynie pojęciem – czy

miało znaczenie to, kiedy się napiła, jeśli należycie wywiązywała się ze swoich matczynych obowiązków?

A rzeczywiście należycie się z nich wywiązywała. Dziewczynki były jej światem, żyła po to, by je karmić, ubierać, zabawiać, rozpieszczać i pocieszać. One były na pierwszym miejscu. Taką zawarła umowę z samą sobą.

Zasada godziny szóstej łamana była wyłącznie w ekstremalnych przypadkach: Marnie musiała się czuć wyjątkowo smutna, znudzona lub samotna, by móc to usprawiedliwić.

No ale przecież komu robiła krzywdę tym, że piła przed szóstą? Nikomu. Prawdę mówiąc, wszyscy na tym korzystali, ponieważ kiedy kilka drinków zabierało ją z jej życia i przenosiło do szczęśliwszego miejsca gdzieś w jej głowie, odczuwała wielką ulgę. Robiła dokładnie to, czego chciała, tylko wtedy była naprawdę sobą. A to czyniło ją lepszą matką. Z pewnością tak właśnie było.

Niemniej jednak żywiła podejrzenie, że Nick nie postrzegałby jej picia w ciągu dnia w taki sam sposób jak ona. Kiedy zaczął się głośno zastanawiać, dlaczego wódka z ich barku tak szybko znika, Marnie zaczęła kupować własne butelki i trzymać je we własnych, sekretnych miejscach. Wcale nie zamierzała zrobić sobie w szafie składziku z alkoholem, ale potrzebna jej była świadomość, że może pić bez ograniczeń.

Pilnowała się, by nigdy nie popaść w stan zamroczenia przy Daisy i Verity. Ale czasami ją to przerastało i zaczęła dawać im kolację o czwartej trzydziści i kłaść je do łóżka, gdy jeszcze było jasno, pozostając głuchą na ich zaskoczone skargi.

Kiedy Nick wracał do domu z pracy, jej zwyczajem stało się to, że miała otwartą butelkę wina i skromnie sączyła pierwszy kieliszek. Podwójna korzyść:

tłumaczyło to zapach alkoholu w jej oddechu, a poza tym mogła się jeszcze bardziej zrelaksować dzięki dalszemu picciu.

Czasami zaskakiwało go to, jak bardzo pijana się wydawała, i jak szybko.

– Wypiłaś tylko dwa kieliszki – mówił wtedy. – Masz strasznie słabą głowę.

– Nie kosztuję cię wiele – żartowała zadowolona, że jej wybieg się sprawdza.

Ale najbardziej tęskniła za wieczorami, kiedy dziewczynki leżały w łóżkach, a Nick miał wrócić późno z jakiejś imprezy służbowej. Tylko wtedy mogła naprawdę się poddać, nalewać sobie drinki jeden za drugim, w cudownym zapamiętaniu, aż łóżko się przechylało, a pokój wirował wokół niej, zabierając ją do krainy zapomnienia.

Czasami – zazwyczaj w środku nocy, kiedy wszyscy spali – widziała pełen kalejdoskop swego sekretnego życia, widziała go tak, jak inni go mogli widzieć, i wtedy zamierała z przerażenia.

Co to oznacza? Co będę musiała zrobić?

Ale ja jestem dobrą matką.

Jestem dobrą żoną.

Jestem dobrym człowiekiem.

Każdemu jest ciężko, każdy radzi sobie, jak potrafi.

Dobra matka, dobra żona, dobry człowiek: to tylko jest ważne.

Dobra matka, dobra żona, dobry człowiek: kwestie zasadnicze były na właściwym miejscu.

Martwiła się tymi informacjami, obracając i zmieniając zło w dobro, aż potłuczone obrazki w kalejdoskopie zaczynały się układać w coś mniej brzydkiego i Marnie była w stanie zapaść w płytki, niespokojny sen.

Aż w końcu została przyłapana. Nie rozumiała, jak mogła do tego dopuścić. Nick miał wrócić z pracy o szóstej trzydzieści, nie był to jeden z wieczorów, kiedy mogła zmniejszyć czujność, i choć pierwszego drinka wypła minutę po jedenastej, przez cały dzień miała na wszystko baczenie. Z całą pewnością była wystarczająco trzeźwa, by o czwartej odebrać dziewczynki z przedszkola. Po powrocie we trójkę ułożyły się na miękkiej sofie, by oglądać bajkę. Sączyła powoli drinka, mając do powrotu Nicka mnóstwo czasu na uprzątnięcie wszelkich dowodów.

Ale musiała zasnąć, a kiedy nagle się obudziła z mocno walącym sercem i uczuciem paskudnej suchości w ustach, nad nią pochylał się Nick. Chaos; brzydki zapach; okropny piszczący dźwięk; czarny, dochodzący z kuchni dym. Nawet w obecnym stanie wiedziała, że powinna zacząć szybko myśleć.

– Co się stało? Jesteś chora?

Kiwnęła głową.

– Co ci jest?

Próbowała odpowiedzieć, ale wydobywające się z jej ust słowa brzmiały niewyraźnie.

Wyraz jego twarzy zmienił się.

– Marnie, jesteś zalana!

–Nie, ja...

– Tak, jesteś pijana. – Był w oczywisty sposób zaniepokojony i skonsternowany. – Wyszłaś gdzieś na lunch?

Ale ona wiedziała, że on wiedział, że nigdzie nie była; w środku dnia rozmawiali przez telefon. A poza tym od kiedy wychodziła gdzieś na lunch?

Zniknął na korytarzu i po chwili piszczący dźwięk ucichł. Czujnik dymu; Nick musiał wyjąć baterie.

Wrócił. Pokazał z wściekłością palcem w stronę kuchni.

– Stały na krzesłach obok kuchenki i piekły na patelni makaronowe kółka.

A więc stąd ten dym.

– Jak włączyły gaz? – zapytał ostro. – Co się dzieje, Marnie? Piłaś?

Raczej nie miało sensu zaprzeczać.

– Sama! Dlaczego?

Dlaczego? Ponieważ lubiła to robić. Tylko taka odpowiedź przychodziła jej do głowy, ale wiedziała, że to nie przejdzie.

– Było... było mi smutno.

Widziała, jak mięknie.

– Dlaczego, kotku?

– Myślałam o twoim tacie. – Kilka miesięcy wcześniej zdiagnozowano u niego raka prostaty. Łagodną odmianę. Mógł z tym żyć jeszcze wiele lat.

– No ale wiemy o tym już od dawna.

– Chyba dopiero teraz to do mnie dotarło. – Nie wiadomo skąd pojawiły się łzy. – Twój biedny tata. Biedny człowiek, to po prostu takie smutne.

– Ale on już doszedł do siebie, i mama, i my wszyscy.

Nick pogłaskał ją po głowie i łagodnie się z nią obchodził przez resztę wieczoru. Ale Marnie wiedziała, że jej wymówka nie zadziałała. Obudziła coś w Nicku, podejrzenie, czujność.

Zaledwie kilka dni później miał miejsce „incydent z Fioną Fife”.

Daisy i Verity bawiły się w domu Alannah Fife, a Marnie miała popołudnie dla siebie. Cena była taka, że w niedalekiej przyszłości przez kilka godzin będzie mieć na głowie czteroletnią Alannah. Ale teraz nie myślała o

tym. Miło spędzała czas w krainie marzeń; a kiedy zadzwonił telefon, pozwoliła, by włączyła się automatyczna sekretarka.

– Marnie? – To była Fiona, matka Alannah. – Jesteś tam?

Chwyciła za słuchawkę.

– Przepraszam, już jestem.

– Zła wiadomość. Mój samochód nie chce zapalić.

– Koszmarna sprawa.

– Więc...

– Więc... ?

– Nie mogę odwieźć Daisy i Verity do domu. Możesz po nie przyjechać?

To za daleko, by szły pieszo.

– O Boże, tak, przepraszam! Będę za dziesięć minut.

Marnie zaczęła szukać w torebce kluczyków do auta i przez chwilę zastanawiała się, czy powinna prowadzić. Nie piła dziś dużo i jej umiejętność oceny sytuacji nie była nadwątlona, ale prawdopodobnie przekroczyła dopuszczalny limit.

Będzie jechać wyjątkowo ostrożnie.

Ale przed domem Fiony jakimś cudem przejechała miejsce parkingowe, na którym planowała się zatrzymać. Dała po hamulcach, a one w proteście głośno i natarczywie zapiszczały. Dwie sekundy później blada, nieładna twarz Fiony pojawiła się w oknie, po czym niemal natychmiast zniknęła – jednak Marnie zdążyła zauważyć niepokój Fiony.

Prawie od razu drzwi otworzyły się i stanęła w nich Fiona, patrząc, jak Marnie wychodzi z samochodu i idzie w stronę domu. Szok na twarzy Fiony powiedział Marnie, że wcale nie jest taka trzeźwa, jak jej się wydawało.

– Marnie, wszystko w porządku?

– Tak! – Nie, za głośno. – Tak. – Tym razem lepiej.

– Czy jesteś... ? – zapytała Fiona. – Czy ty piłaś?

– JA? Żartujesz? Ja nigdy nie piję przed szóstą.

Nie chciała, by zabrzmiało to tak wojowniczo – i nie powinna była kłamać; później to sobie uświadomiła. Powinna była udawać, że była z kimś na lunchu, powinna była chichotać i użyć słów takich, jak „podchmielona” i „wesolutka”, a wszystko by było dobrze.

Fiona wyszła na dwór i podeszła do Marnie. Bardzo blisko, niemal się z nią zderzając, i choć wódki nie powinno być czuć, zaczęła wachlować ręką, jakby zaatakowały ją jakieś opary.

– Tak myślałam, że dziwnie ze mną rozmawiałaś przez telefon – rzekła oskarżycielskim tonem.

– Cześć, mamó. – Daisy i Verity wypadły z domu, zakładając kurtki i ciągnąc za sobą plecaki.

– Nie po raz pierwszy to zauważyłam – powiedziała cicho Fiona.

Marnie odwróciła się.

– Chodźcie, dziewczynki. – Głos jej drżał. – Wszystko zabrałyście?

– Powinnam ci pozwolić prowadzić?

Marnie nie wiedziała, co powiedzieć. Powinna przyjąć pozycję obronną? Skruszoną?

– Pożegnajcie się z Alannah. – Pociągnęła Daisy i Verity w stronę samochodu.

Tej nocy obudziła się przed świtem, zmarznięta, trzeźwa i przerażona, na nowo przeżywając to, co się stało. Słyszała swój własny głos: „Ja nigdy nie piję przed szóstą”.

Ja nigdy nie piję przed szóstą.

Jak mogła coś takiego powiedzieć, skoro oczywiste było, że Fiona wie, iż Marnie jest pijana?

No i te wyrzuty sumienia z powodu dziewczynek! Były takie cenne, a ona naraziła je na niebezpieczeństwo, wioząc je, kiedy była... nie pijana... nie było aż tak źle, ale trzeźwa także nie. Gdyby coś się stało...

Choć nie było przecież tak, że to sobie zaplanowała. Gdyby wiedziała, że będzie miała prowadzić, nic by nie wypila – a przynajmniej niezbyt dużo. Poczucie winy przekształciło się w uzalanie się nad sobą: dlaczego akurat tego konkretnego dnia samochód Fiony musiał odmówić posłuszeństwa? Normalnie o takiej porze byłaby trzeźwa.

Już od kilku tygodni nie czekam do szóstej.

Od wielu tygodni.

Przez chwilę miała wrażenie, jakby jej serce przestało bić i to był pierwszy raz, kiedy pomyślała: muszę przestać.

– Dlaczego Fiona Fife zapytała mnie, czy z tobą wszystko w porządku? – zapytał Nick.

Kurwa.

Patrzyła mu prosto w oczy.

– Nie mam pojęcia.

– Co się stało?

– Nie wiem, o czym mówisz.

Ani przez chwilę nie przyszło jej do głowy, że Fiona może ją sypanąć.

– Marnie, proszę, powiedz mi. Zaufaj mi, możemy spróbować wszystko naprawić...

– Nie ma nic do naprawiania – odparła szczerze. Dobra była w kłamaniu. Ale tym razem się nie udało.

Widać było, że Nick zaczyna dodawać dwa do dwóch, łączyć fakty. Patrzyła, jak obejmuje pamięcią ich niedawną przeszłość i widziała, jak wszystko faluje i chybotze się, zmieniając pozycję i w końcu układając się w prawdę. Wiedział.

Wiedziała, że on wie. A on wiedział, że ona wie. Nic nie powiedział.

Ale zaczął nieustannie ją obserwować.

– Co z twoją pracą? – zapytała Grace.

– No właśnie. Jak mogłabym pójść na odwyk? Mam pracę. Stały dochód, którego potrzebujemy.

– Chodzi mi o to, czy nie przeszkadza im, że ciągle cię nie ma?

– To przecież wcale nie „ciągle”...

– Och, zamknij się, właśnie, że tak. Dlaczego jeszcze cię nie zwolniono?

– Mój szef...

– Guy?

– Tak, Guy, myślę, że... mnie lubi.

– Co to znaczy lubi? Podobasz mu się?

– Nie. Bardziej jak... brat.

– Brat – parsknęła Grace.

Rok temu o tej porze tak bardzo była podekscytowana powrotem do pracy. Nick nie otrzymał premii i powinna to uznać za katastrofę, ale wtedy widziała w tym ratunek. Nagle miała cel; nie będzie już odczuwać potrzeby picia – a przynajmniej nie w taki sposób jak do tej pory, w samotności. Jej praca była bardzo towarzyska, Marnie chodziła na spotkania z potencjalnymi klientami, zaprawiane alkoholem biznesowe lunche, a po pracy z kolegami do pubu. Po raz pierwszy od bardzo dawna dobrze się bawiła.

Ale mijały dni, a ona nie pozyskała ani jednego nowego klienta. Dni przekształciły się w tygodnie i blask jej nowego życia zaczął przygasać. Wtedy poszła na lunch z potencjalnym klientem i sądziła, że wszystko zmierza w dobrym kierunku; najpierw był gin z tonikiem i wino, potem porto, potem grappa, i pili równo, drink w drink, i nie rozumiała, dlaczego ona jest taka pijana i bezradna, gdy tymczasem on był w stanie jeszcze się z niej śmiać. Maitre d' był na tyle uważny, by zadzwonić dla niej po taksówkę, a następnego dnia Marnie wdzięczna była za niekończące się wymioty, które uchroniły ją przed pójściem do pracy i zmierzeniem się ze wstydem. Nakłoniła Nicka, by zadzwonił i powiedział Guyowi, że ma zatrucie pokarmowe; Guy odparł, że dzwonił maitre d' z informacją, że wczoraj nie była sobie w stanie przypomnieć swojego pinu i ma do uregulowania należność za lunch.

Po dwóch dniach wróciła do pracy i przetrzymała dobrodusze pokpiwania; jedynie Guy się do nich nie dołączył. Przeprosiła i obiecała mu, że to się nie powtórzy. Ale jeszcze tego samego wieczoru poszła razem z chłopakami do pubu i wódką zalała swój wstyd, na tyle, by mogła się czuć szczęśliwa i otepiała. To Rico pomógł jej wsiąść do taksówki.

Minął kolejny tydzień bez żadnego klienta i Marnie zaczęła się budzić z uczuciem strachu. Kiedy jeszcze kolejny bezowocny dzień dobiegał końca, szukała kogoś, z kim mogłaby pójść na drinka; miała w sobie tyle strachu, który musiała zalać. Czasami do pubu zaglądał Craig lub Henry, ale po jednym lub dwóch drinkach dawali sobie spokój; cieniasy. Jediną osobą, na której mogła w tej kwestii polegać, był Rico.

Liczba wieczorów, kiedy późno wracała do domu, zataczając się, rosła w zastraszającym tempie.

Na początku Nick reagował wściekłością, aż pewnego niedzielnego popołudnia posadził ją przy stole w jadalni i oświadczył złowieszczo:

– Musimy porozmawiać.

Kiedy powiedział jej, że „potwornie się martwi” tym, jak dużo Marnie pije, ona miała już przygotowaną odpowiedź: większość służbowych spraw załatwiała na gruncie towarzyskim; nie wychodziła po to, by się bawić, ale po to, by pracować.

W takim przypadku, błagał Nick, czy mogłaby robić to z umiarem.

Uznała, że to rozsądna prośba: od teraz granicą będą trzy drinki. Ale pomimo szczerych zamiarów, podczas wypadów po pracy do pubu nadal piła chaotycznie i zbyt dużo. Nie potrafiła tego zrozumieć – po paru drinkach to wszystko zdawało się zaczynać żyć własnym życiem.

Zaczęła nie pojawiać się w pracy; wróciła zaledwie dwanaście tygodni temu, a wzięła już pięć dni zwolnienia. I nie pozyskała w tym czasie ani jednego klienta.

Jej życie zaczęło być pełne ostrych krawędzi, znikąd nie miała pocieszenia: nie znosiła przebywać w domu z powodu czujnego gniewu Nicka; nie znosiła przebywać w pracy z powodu swej porażki jako brokerki; jedynym miejscem, w którym pragnęła przebywać, był pub, a jedyną osobą, w towarzystwie której czuła się swobodnie, był Rico. Był jedyną osobą, która jej w żaden sposób nie osądzała. Poza tym nie robił tajemnicy z tego, że uważa Marnie za atrakcyjną, a jej to schlebiało. Był młody – w każdym razie młodszy od niej – i bardzo przystojny: ciemnowłosy i ciemnooki.

Po upływie niecałych dwóch tygodni Nick odbył z nią kolejną poważną rozmowę. I znowu Marnie obiecała poprawę, i mówiła to jak najbardziej

poważnie. Naprawdę miała taki zamiar. Sądziła, że już się bardzo stara, ale przysięgła Nickowi, że postara się dużo, dużo bardziej.

Tydzień później ponownie musiał ją prosić; była skonsternowana tym, że nie udało jej się dotrzymać obietnicy, niemniej jednak po raz kolejny dała mu słowo.

– To się nie sprawdza – powiedział Guy.

Tyle czasu minęło, nim uznał tę oczywistą prawdę, że Marnie prawie udało się przekonać samą siebie, że może nigdy do tego nie dojdzie.

– Jesteś w pracy już od czterech miesięcy – kontynuował. – A nie podpisałaś ani jednej umowy.

– Przepraszam – wyszeptała.

– Myślisz, że gdybyś nie była pod taką presją, to tyle byś nie piła?

Wzdrygnęła się. Zabolało ją bardziej, niż gdyby ją uderzył.

– Bea odchodzi. Mamy wolną posadę kierowniczkę biura. Chcesz ją przyjąć?

Zrobiłaby wszystko, by zyskać jego aprobatę.

– Jeśli ty tego chcesz – mruknęła. – Mogę spróbować.

– Nie powinnaś mieć z tym żadnych problemów. Jeszcze jedno. Chcę, byś poszła na mityng AA. Anonimowych Alkoholików.

Uniosła głowę i nagle wrócił jej głos.

– O mój Boże, Guy, nie jest ze mną tak źle.

– Taka jest umowa. Jeśli chcesz mieć pracę, pójdziesz na mityng.

– Nie, Guy...

– Tak, Marnie.

No więc poszła tam – Guy nie dał jej przecież wielkiego wyboru. Zgodnie z jej przewidywaniami było dziwnie i okropnie. Ci ludzie rzucili się

na nią, dusząc ją swoją życzliwością. Kobieta o imieniu Jules była tak przyjacielska, że Marnie przyprawiało to o gęsią skórkę: wcisnęła jej swój numer i błagała Marnie, by zadzwoniła następnym razem, kiedy poczuje ochotę na drinka.

Sprawą nadrzędną było to, aby Nick nie dowiedział się o tym, gdzie ona była. Nie mogła ryzykować, że w jego głowie zakiełkują jakieś niedorzeczne pomysły.

Guy był bardzo ciekawy, jak jej poszło na tym spotkaniu.

– Było... Przepraszam, Guy, nie wiem nawet, co powiedzieć, ponieważ to było takie... – Szukała odpowiedniego słowa. – Nie na miejscu, że ja tam byłam. To są alkoholicy. Nie powinnam była ich tam śledzić.

– Powinnaś iść na kilka następnych mityngów – rzekł Guy. – Po to chociaż, żeby się wczuć.

Marnie niesłuchanie zaskoczyły jego słowa.

– Przyznaję, że być może miałam krótki okres, gdy dużo piłam, ale teraz, kiedy mam nową, mniej stresującą posadę, wszystko zmieni się na lepsze.

– Jeszcze jedno spotkanie. Spróbuj jeszcze jeden raz.

Guy był uparty, ale nie tak bardzo jak Marnie. Wszystko w niej krzyczało, że to ona ma rację, a nie on.

Przerzucali się argumentami przez ponad pół godziny. W końcu Guy poddał się ze słowami:

– Zobaczymy, jak to będzie przez najbliższe miesiące. – Wyglądał na wykończonego.

Przekazała Nickowi wieści o swej nowej, podrzędnej pracy administracyjnej – a on ukrył twarz w dłoniach i kiwał się w przód i w tył.

– Dzięki Bogu, dzięki Bogu, dzięki Bogu – jęknął.

Marnie wpatrywała się w niego z bezbrzeżnym zdziwieniem. Spodziewała się, że będzie rozczarowany jej niskimi zarobkami – co nie znaczy, by wcześniej otrzymała jakąkolwiek prowizję, ale można było oczekiwać, że kiedy w końcu do tego dojdzie, będzie to całkiem spora sumka.

– Tak bardzo się martwiłem – powiedział Nick. – Twoim pić. Ale teraz możesz przestać.

Marnie poczuła się tak, jakby otrzymała cios w klatkę piersiową: Nick miał rację. Miała teraz pracować od dziewiątej do szóstej, bez obowiązku umawiania się na spotkania z klientami. Będzie kończyła pracę punktualnie o szóstej i nie istniał powód, dla którego dwadzieścia minut później nie miała się znaleźć w domu.

Guy będzie pilnował jej w pracy, Nick będzie pilnował jej w domu: została złapana w pułapkę.

To było wyczerpujące: planowanie, kiedy może kupić, kiedy może wypić, jak może ukryć zapach, jak może ukryć skutki i jak może pozbyć się pustych butelek.

Jej życie stało się jeszcze bardziej zablokowane, kiedy Nick zwolnił ich pełnoetatową nianię i zatrudnił nową, na pół etatu, która wymagała, aby Marnie wracała do domu przed siódmą; wydatków związanych z nianią na pełny etat nie usprawiedliwiała już nowa pensja Marnie.

Problem stanowił Rico. Prawie każdego dnia próbował namówić ją na drinka po pracy i czasami mu się udawało – może raz na trzy tygodnie albo raz na dwa tygodnie albo raz na tydzień, i choć Marnie nigdy nie zamierzała wypić więcej niż dwa drinki, po raz kolejny i kolejny przekonywała się, że wraca do domu dopiero wtedy, gdy jest pijana w sztok.

Nienawidziła siebie. Kochała Nicka. Kochała dziewczynki. Dlaczego im to robiła?

Nick wściekał się i błagał, a ona obiecywała, że już nigdy więcej tak nie zrobi, ale Rico nie ustawał z zaproszeniami, a ona nie zawsze mu była w stanie odmówić.

Nieuchronnie nadszedł ten wieczór, kiedy Rico rzucił się na nią. Zdumiona uchyliła się.

– Rico, jestem mężatką.

Nie zniechęciło go to i spróbował znowu. I znowu. I w końcu – nie była do końca pewna dlaczego – pozwoliła mu. To były niezdarne, niewprawne pieszczoty, ich języki zderzały się ze sobą, oboje byli zbyt pijani, by mogło to lepiej wyglądać.

Następnego ranka w chłodnym świetle dnia załapała ją fala mdłości. Pocałunek liczył się jako zdrada i chociaż ona i Nick przechodzili teraz trudny okres, kochała go. Zasługiwał na jej lojalność.

Ale kiedy następnym razem Rico zaprosił ją na drinka, zgodziła się. To dziwne, ponieważ choć był przystojny, czasami – często – przyprawiał ją o gęsią skórkę.

Ale musiała go lubić. No bo przecież nie chodziło się do pubu z kimś, kogo się nawet nie lubi; jakiego rodzaju osobę to z ciebie czyniło?

Ich niania odeszła, kiedy któryś z kolei wieczór musiała zostać dłużej. Nick znalazł nową, która co prawda nie była droga, ale wymagała, by Marnie wracała przed szóstą trzydzieści. Marnie przyrzekła, że tej niani nie da powodu do rezygnacji.

Nadszedł ranek, kiedy się obudziła – ku swemu ogromnemu przerażeniu – naga, w łóżku Rico. Nie wiedziała, czy do czegoś doszło, a jeśli tak to do czego. A zbyt była wstrząśnięta wyrwą w swojej pamięci, by zapytać o to jego.

Jedyne, o czym myślała, to Nick. Posunęła się stanowczo za daleko. Tym razem naprawdę mogła go stracić. I choć paraliżował ją strach, miała świadomość tego, jak bardzo go kocha. Z przerażeniem popędziła do domu. Cała się trzęsła.

Kiedy pojawiła się w drzwiach, Nick wpadł w szal – nie spał całą noc, czekając na nią – ale ona kłamała, kłamała, kłamała; wymyśliła skomplikowaną historię o wieczorze spędzonym w towarzystwie Lindki (ledwie знаła Lindkę, niemniej jednak później tego ranka udało jej się wydusić z niej obietnicę, że przysięgnie Nickowi – gdyby ją o to zapytał – że Marnie spędziła noc u niej), niedziałających telefonach, rozładowanych komórkach, braku taksówek.

Musiała sprawić, by Nick jej uwierzył. Nie mogła go stracić.

Nie sądziła, by rzeczywiście jej uwierzył, ale nie był w stanie jej złamać. W przypadku każdej znalezionej przez niego luki w jej historii, Marnie wyskakiwała z czymś jeszcze mniej przekonującym; w końcu tak go wyczerpała, że po prostu się poddał.

Później tego dnia zerknęła w biurze na Rico i coś w niej się zagotowało.

Byłam pijana, a ty mnie wykorzystałeś.

Wtedy inny głos w jej głowie rzekł: Nikt mnie nie zmuszał do picia tych drinków...

Jedno było jednak pewne: spędzenie tej nocy u Rico było największym błędem w jej życiu. Ryzykowała swoje małżeństwo tylko dlatego, że zbyt dużo wypijała. To już się nigdy nie powtórzy.

Trzy tygodnie później powtórzyło się. Było niemal identycznie.

A potem znowu.

Nowa niania odeszła, a Marnie czuła, jak wyrzuty sumienia wbijają się w jej pierś niczym rozgrzany nóż. Nienawidziła siebie i tego, że potrafi niszczyć wszystko, czego się tknie.

Miała wrażenie, jakby jej życie zawijało się coraz bardziej do środka i czasami czuła się rano tak okropnie, że dzięki kilku łykom czegoś mocniejszego łatwiej jej było wyjść z domu. A czasami przerażenie towarzyszące przebywaniu poza domem było tak dotkliwe, że zaczęła na wszelki wypadek nosić butelkę w torebce. Aż w końcu Nick ją znalazł.

Zaczął sprawdzać jej oddech; udawał, że robi coś innego, na przykład pomaga jej zdjąć płaszcz, ale ona wiedziała, co robi. Jeśli spóźniała się dziesięć minut, wpadał w panikę, przekonany, że poszła w tango.

Kolejna niania odeszła.

Czułość Nicka przybrała na sile. W odpowiedzi na to Marnie stała się jeszcze lepsza w stosowaniu wybiegów.

Ale nawet wtedy gdy jej życie coraz bardziej i bardziej obracało się wokół alkoholu, szamotała się, by uciec. Modliła się do Boga, w którego nie wierzyła, o siłę, by przestać pić raz na zawsze, regularnie obchodziła dom, wydobywając z kryjówek butelki i wylewając ich zawartość do zlewu. Odwracała wtedy głowę, ponieważ zbyt wielkim smutkiem napawał ją widok srebrzystego płynu znikającego w odpływie.

Proszę niech przestanę proszę niech przestanę proszę niech przestanę.

Za namową Nicka spróbowała akupunktury, by powstrzymać pragnienie; próbowała medytacji, która miała działać wyciszająco; faszerowała się

tryptofanem i chromem; męczyła swoją lekarzkę o recepty na lepsze antydepresanty; próbowała bieganiem wywołać w sobie stan zadowolenia.

Ale gdy nie dręczyło jej poczucie winy, nie była w stanie znieść skrywającego się w niej smutku. Potrafiła wytrzymać w trzeźwości powiedzmy tydzień, ale depresja sprawiała, że czas ten był dla niej niczym chodzenie po ostrzach. Stop, start, stop, start. Start, zawsze od nowa start.

Kochała alkohol miłością, która była dzika i wygłodniała. Alkohol – wódka – był wszystkim, czego pragnęła i nic nie mogło się równać z tym pierwszym łykiem. Smak taki czysty; lodowate zimno i buchające gorąco, płynące jej przełykiem, emanujące ciepłem na całą klatkę piersiową, wypalające sobą cały strach i niepokój w brzuchu. Było tak, jakby od góry do dołu obsypał ją gwiazdny pył, a ona nagle stawała się czujna, a mimo to spokojna, pełna nadziei, lecz pogodzona. Następnie kręciło jej się w głowie i czuła się wolna, wolna, wolna. I czuła ulgę.

– Muszę wracać do Dublina – powiedziała Grace. – Muszę w weekend odpracować te dni wolne, które wzięłam, by tu przyjechać.

– Wiem, rozumiem. Dobra jesteś, że przyjechałaś, bardzo dobra.

– A teraz słuchaj, mam przemowę przed wyjazdem. Nie próbuję cię nastraszyć, ale wiedz, że Nick już długo tego nie wytrzyma. To naprawdę dobry człowiek.

– Wiem – mruknęła Marnie.

– Zawsze go lubiłam, ale... chyba uważałam za przeciętniaka. Myślę, że oceniałam go po ubraniach. W każdym razie zmieniałam zdanie. Jest fantastyczny. Och, i nie powiedziałaś mi o tym, że nie dostał w tym roku premii z powodu zbyt wielu nieobecności w pracy z twojego powodu.

Marnie skryła twarz w poduszce, tak bardzo było jej wstyd.

– Musiał wcześniej wychodzić z pracy, by wasza niania mogła iść do drugiej pracy, prawda? Ponieważ ty rzadko zjawiałaś się w domu na czas? A rano musiał zostawać dłużej, by zawieźć dziewczynki do szkoły, kiedy ty byłaś zbyt skacowana, by się tym zająć? I tak, Marnie, wiem, że rodzice powinni dzielić się obowiązkami, ale prawda jest taka, że Nick robi piętnaście razy tyle, co ty.

Marnie wiedziała. Skinęła głową.

– Posłuchaj mnie, Marnie, to ważne. Gdyby do tego doszło, to Nick dostałby prawo do opieki nad dziećmi.

Nick od ciebie odejdzie.

Stracisz prawo do opieki nad swoimi dziećmi. Mam ochotę na drinka.

– Przy twoim picu żaden sąd w tym kraju... Co to? Dzwonek? – Grace zbiegła po schodach i zjawiała się chwilę później.

– To twój szef.

–Guy?

– Tyczkowaty, wytworny facet? Taa.

–Że co? Tutaj?

– W salonie. Załóż szlafrok. Uczesz się.

– Mam dla ciebie propozycję – powiedział Guy.

Marnie szybciej zaczęło bić serce i nagle zrobiło jej się za gorąco.

– Troszczę się o ciebie, Marnie.

Przyglądała mu się bez słowa. Czy to się działo naprawdę? Jaka będzie cena utrzymania jej posady? Jednorazowe bzykanko? Czy regularne, trzy razy w tygodniu?

Tak czy inaczej mógł o tym zapomnieć.

– Mimo że czasami jesteś, prawdę mówiąc, koszmarna – dodał.

Kiwnęła głową. Wiedziała. To nadal nie oznaczało, że się z nim prześpi.

– Nigdy nie mówiłem o tym nikomu w pracy – powiedział. – Ale... moja matka była taka jak ty.

– To znaczy? – Edyp z przyklapniętymi włosami. Chryste, jeszcze tego jej było potrzeba.

– Była pijaczką.

Pijaczka. Słowo to uosabiało półludzi ogrzewających się przy koksowniku i bijących o butelkę.

– Co? – zapytał Guy. – Nie podoba ci się to słowo?

– Jest... prymitywne.

– Prymitywne? – Popatrzył znacząco na jej połamane zębra. – Okej, tak jak i ty, moja matka była alkoholiczką. Tak lepiej?

– Proszę. – Była tak bardzo tym wszystkim zmęczona.

– Przepraszam, Guy. Jest mi tak strasznie, strasznie wstyd i przepraszam i obiecuję, że to już się nigdy nie powtórzy.

– Mogę ci coś powiedzieć? Kilka słów prawdy?

Wzięła głęboki, głęboki oddech – dlaczego wszystko musi być takie trudne i bolesne, i brutalne? – i westchnęła.

– Śmiało, Guy, jeśli dzięki temu lepiej się poczujesz. – Zasługiwał na to, by pozwoliła mu powiedzieć, co myśli.

Przyglądał jej się; Marnie widziała, że próbuje zdecydować, czy to zrobić czy nie.

– Za rzadko się myjesz – powiedział.

Nie poczuła niczego. Niczego, niczego. Tysiące kilometrów stąd inna Marnie paliła się ze wstydu, ale ta nie czuła niczego.

– Nie masz racji – rzekła.

Ale miał rację, nie wchodziła codziennie pod prysznic, już nie. Bywało, że wstanie z łóżka i ubranie się kradło tyle chęci do życia, że nie zostawało jej nic na to, by czuć igiełki wody na zimnym, zimnym ciele.

– Ale to część bycia alkoholikiem – powiedział niemal życzliwie.

Skrzywiła się.

– Widziałem to u mojej matki. Depresje, kłamstwa, użalanie się nad sobą...

– Użalanie się nad sobą?

– Wyniszcza cię to. Coś jeszcze, Marnie. Ten, kto ci powiedział, że wódki nie czuć, wprowadził cię w błąd. I ostatnia sprawa: trzymaj się z dala od Rico. Albo oboje zostaniecie bez pracy.

– Hej, Guy, chwileczkę! Jestem dorosła. To co robię z Rico, to nie twoja sprawa.

Pokręcił głową.

– Jestem twoim pracodawcą. To jest moja sprawa.

– Nie jest...

Guy westchnął.

– Rozumiesz, że Rico jest także alkoholikiem?

Marnie nie wiedziała dlaczego, ale to nią wstrząsnęło do głębi. Rico nie był alkoholikiem, on po prostu lubił sobie wypić. Tak jak ona, dokładnie tak jak ona. Zapytała z oburzeniem:

– Zakładając, że to prawda, a nie jest, to dlaczego zatrudniasz alkoholików?

– Nie wiem – przyznał. – Nie jest to coś, co sobie zaplanowałem. Eksperci by powiedzieli, że ciągnie mnie, by wam pomagać, tak samo jak musiałem pomagać swojej matce.

Boże, pomyślała, w dzisiejszych czasach każdy się uważa za cholernego psychoanalityka. Nawet ci wytworni faceci.

– Ta sama dynamika sprawia, że alkoholicy, tacy jak ty i Rico, znajdujecie siebie nawzajem. Pewnie po prostu odstraszaście tych, co piją z umiarem, i stajecie się dla siebie jedynymi kompanami od kieliszka.

Nie. Działo się tak dlatego, że podobała się Rico i on chciał ją upić, by ona wtedy...

– Jednakże Rico nie będzie cię już niepokoił. Rozmawiałem z nim. I nie powinnaś mieć problemu z pozostałymi. Oni nawet nie chcą chodzić z tobą do pubu, ponieważ przynosisz im zbyt duży wstyd.

Palily ją policzki. Rzeczywiście zauważyła, że koledzy z pracy jej unikają.

– Moja propozycja jest taka: masz pracę pod warunkiem, że chodzisz na mityngi AA i nie pijesz.

– Marnie, otrzymałaś ostatnie ostrzeżenie – powiedział Nick.

– Skoro nie zgadzasz się pójść na odwyk...

– Nick, naprawdę nie ma takiej potrzeby.

– ... w takim razie musisz znaleźć jakiś inny sposób na to, by przestać. Zrobię wszystko, co będziesz chciała, by ci pomóc. Wszystko, Marnie, wszystko. Ale jeśli znowu będziesz pić, będę musiał odejść i zabrać ze sobą dziewczynki.

– Mamo? – Daisy wślizgnęła się do sypialni. Miała dziwnie rozbiegane oczy.

– Tak, kochanie?

– Mamo. – Weszła na łóżko i wyszeptwała: – Stało się coś strasznego.

– Co takiego?

Daisy oparła czoło na kolanach i zaczęła płakać. Marnie usiadła wyprostowana. Daisy dumna była z tego, że nigdy nie płacze.

– Wszystko w porządku, skarbie, cokolwiek by się stało, będzie dobrze.

– Mamo, ja... – Tak bardzo zanosiła się płaczem, że nie dało się zrozumieć jej słów. Wtedy wykrztusiła całe zdanie: – Zsiusiałam się do łóżka!

Marnie ogarnęło tak olbrzymie poczucie winy, że jej żołądek złożył się w pół.

– Mam prawie siedem lat – wykrztusiła Daisy. Jej śliczna buzia zmoczona była łzami. – A zsiusiałam się do łóżka!

Marnie wpatrywała się w Daisy tak, jakby uderzył w nią piorun. To była ta chwila. W końcu nadeszła. Chwila, w której zrozumiała z mistyczną pewnością, że musi przestać.

Zadawała się z kryminalistami, połamala się, zmuszono ją do chodzenia na mityngi AA, ale właśnie czegoś takiego potrzebowała, by się opamiętać.

Kochała swoje córeczki aż do bólu. Jej picie miało na nie niszczący wpływ i nie mogła tego robić – poczucie winy było mordercze.

Kocham je bardziej od alkoholu. Prosta sprawa.

Prawdopodobnie lata całe przywiodły ją do tego punktu, ale decyzję zdawała się podjąć w jednej chwili. Była spokojna i pełna determinacji.

Już nigdy więcej nie będę pić.

Poniedziałek. Weszła do biura z podniesioną wysoko głową. Nie czuła się tak paskudnie jak zazwyczaj, gdy wracała po nieobecności związanej z piciem. Tym razem była nowym człowiekiem z nowym planem na życie i dobrze się z tym czuła. Była czysta i porządna, oddana matka, kochająca żona, lojalny pracownik.

Craig się z nią przywitał, Wen–Yi kiwnął głową, Lindka zawołała: „Dobry!”. Nikt nie czynił uwag na temat jej siniaków czy prawie tygodniowej nieobecności w pracy, co znaczyło, że wszyscy wiedzieli, co się stało. Guy musiał im powiedzieć, by udawali, że wszystko jest w porządku. Krępowало ją to, ale przynajmniej był to ostatni taki ranek.

Rico już był. Uśmiechnął się do niej z zażenowaniem, a jej żołądek ścisnął się z odrazą. Przez ten tydzień wysłał jej ogromną ilość esemesów, ale ona odpowiedziała tylko raz: szorstko napisała, że żyje.

Prawdopodobnie uprawiałam z nim seks.

Czy zdradą było to, czego się nie pamiętało?

012. 45

do jej biurka podszedł Guy.

– Pora zbierać się na spotkanie.

Mityng AA. Przez cały ranek zastanawiała się, czy Guy będzie się trzymał swojej wcześniejszej groźby.

– Guy – powiedziała cicho. – Nie ma takiej potrzeby. Postanowiłam, i mówię poważnie, że już nigdy więcej nie będę pić. Z powodu moich córek. Zobaczyłam, jaki mam na nie niszczący wpływ...

– Wspaniale. Te spotkania pomogą ci wytrwać w twoim postanowieniu.

– Ale skoro rzuciłam picie, to nie jestem alkoholiczką, dlaczego więc muszę...

– Zbieraj się. – Nie zamierzał ulec. – Nie musisz się spieszyć. Zostań tam całą godzinę.

– No i? – Na twarzy Guya malowała się nadzieja, kiedy piętnaście po drugiej Marnie wróciła do biura. – Jak poszło?

– Dobrze, dzięki.

– Pomogło?

– O, tak.

Bardzo pomogło. Godzina w Topshopie zdecydowanie poprawiła jej nastrój.

Czwartek. Przerzucała wieszaki, szukając rozmiaru trzydzieści sześć, kiedy poczuła, że ktoś się jej przygląda. Podniosła głowę. Lindka. W jej oczach wrogość. Cholera.

– Nie miałaś być teraz na mityngu AA?

– Słucham? – Czy cały świat wiedział o jej prywatnych sprawach?

– Przez cały tydzień Guy dawał ci dodatkowe pół godziny, byś mogła chodzić na mityngi.

– Słuchaj, Lindka... – Czula się w jej towarzystwie nieswojo od czasu, kiedy błagała Lindkę o to, by skłamała Nickowi, że Marnie spędziła noc u niej.

– Właśnie się tam wybieram.

– Jest dwadzieścia po pierwszej. Mityng rozpoczyna się o pierwszej.

Skąd Lindka o tym wiedziała? Czy całe biuro wiedziało o wszystkim?

– Byłaś na którymkolwiek z nich? – zapytała oskarżycielsko Lindka.

Tak się akurat złożyło, że nie. Podczas każdej przerwy na lunch zabijała czas, chodząc po sklepach. Dlaczego miała spotykać się z alkoholikami, skoro wiedziała, że ona już nigdy nie tknie alkoholu? To był dobry tydzień, świetny tydzień. W domu panowała radosna atmosfera, naprawdę dobrze jej było z Nickiem i dziewczynkami, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów ugotowała obiad i nie chciała się napić, ani razu. Była gorąco wdzięczna za swoją rodzinę, za cierpliwość Nicka, za dwójkę ślicznych dzieci.

– Chodź – powiedziała Lindka. – Pójdę tam teraz z tobą.

Na litość boską. Ale za bardzo bała się Lindki, by się jej sprzeciwić.

Szły zimną ulicą w pełnym napięcia milczeniu, a kiedy dotarły do domu kultury, Marnie rzekła:

– To tutaj.

– Która sala? – Lindka weszła razem z nią na korytarz. Marnie nie odpowiedziała. Traktowano ją jak dziecko.

– Która sala? – zapytała ostrzej.

– Ta. – Marnie pokazała na zamknięte drzwi.

Lindka otworzyła je, wsadziła głowę i rozejrzała się. Wyraźnie usatysfakcjonowała ją to, co zobaczyła.

– Wchodź do środka, Marnie, a kiedy wrócisz do pracy, powiesz Guyowi, gdzie cię znalazłam.

– Proszę, Lindka...

– Jeśli ty mu nie powiesz, ja to zrobię.

Marnie wślizgnęła się na salę i usiadła na krześle. Wiele osób uśmiechnęło się do niej i przywitało z nią bezgłośnie. Biadolenie było w pełnym toku.

– ... Próbowałem sam przestać pić, ale nie potrafiłem. Pomogło mi dopiero chodzenie na te mityngi...

– ... Nie potrafiłam znieść własnych uczuć. Zawsze byłam zła albo zazdrosna, albo przygnębiona, albo się bałam, więc piłam...

– ... Miałem śliczną dziewczynę. Kochałem ją. Błagała, żebym przestał. Próbowałem to zrobić dla niej, ale nie potrafiłem. Odeszła ode mnie i smutek prawie mnie zabił, ale nie wystarczył, by powstrzymać mnie od picia. Prawda była taka, że bardziej od niej kochałem alkohol...

– ... Obwinałem wszystkich innych o moje picie: żonę o to, że się mnie czepiała, szefa o to, że kazał mi zbyt dużo pracować, rodziców o to, że

niewystarczająco mocno mnie kochali. Ale jedynym powodem, dla którego piłem, było to, że byłem alkoholikiem, a odpowiedzialność za to ponosiłem ja sam...

– ... Zawsze byłam inna, nawet jako nastolatka, właściwie to nawet jako dziecko...

Skoro już tu była, chętnie by się napiła herbaty i zjadła ciastko; może szybciej wtedy zleci czas. Rozejrzała się i przypadkiem napotkała spojrzenie mężczyzny przy stole.

– Miło znowu cię widzieć – rzekł. – Chciałabyś coś powiedzieć?

Pokręciła głową.

– Jak masz na imię?

Na litość boską!

– Marnie.

– Witaj, Marnie.

Wyczekująca cisza. Oczekiwano od niej, że powie: „I jestem alkoholiką”.

Ale nią nie była, więc nic nie powiedziała.

Za pięć drugą wymknęła się. Biadolenie jeszcze nie ustało, ale ona miała dość. Tak bardzo pragnęła stąd uciec, że drogę do drzwi wyjściowych pokonała biegiem.

– Marnie?

Co? Obejrzała się. Za nią wyszła pełna wdzięku kobieta. Różowa bluza z kapturem, włosy zebrane w kucyk, szeroki uśmiech.

– Nie wiem, czy mnie pamiętasz. Jestem Jules. Spotkałyśmy się już tutaj.

– Och, tak.

– Jak ci idzie?

– Świetnie, tak, świetnie. – Przez szpary w drewnianych drzwiach sączyło się światło. Była tak blisko...

– Oto mój numer. – Jules podała jej wizytówkę. – Jeśli pomyślisz o picciu, dzwoń do mnie w każdej chwili, naprawdę, w dzień czy w nocy. Mówię poważnie. – Uśmiechnęła się ciepło. – A ty chcesz mi dać swój numer?

Marnie nie wiedziała, jak odmówić, nie wydając się przy tym niegrzeczną; niechętnie podyktowała swój numer Jules, która zapisała go w swoim telefonie.

Czy mogę już iść?

– Guy, muszę ci się do czegoś przyznać.

Na jego twarzy pojawił się strach.

– Piłaś?

–Nie!

– Nie byłaś na mityngu?

– Byłam, ale nie na całym. Najpierw poszłam na zakupy.

– Nic nie szkodzi. – Ulga pozwoliła mu na bycie wielkodusznym. Wtedy zauważył, że Lindka im się przygląda. – Co ma z tym wspólnego Lindka?

– Znalazła mnie w sklepie.

Chwilę trwało, nim zrozumiał.

– To znaczy, nie poszłabyś, gdyby ona cię nie znalazła?

– Poszłabym.

Widać było, że jej nie wierzy. Sfrustrowana wybuchnęła:

– To się po prostu wydawało głupie, skoro wiem, że już nigdy nie będę pić. Tym razem jest inaczej, ja nawet nie mam ochoty na drinka.

Przygarbił się.

– Nie byłaś na żadnym ze spotkań, prawda?

Zastanawiała się, czy nie skłamać. Ale to się musiało skończyć. Nie mogło być tak, że do końca swej pracy tutaj przerwę na lunch będzie spędzać na przemykaniu chyłkiem po Topshopie.

– Nie, Guy. Nie było takiej potrzeby.

Wypuścił z płuc powietrze.

– Okej.

– To znaczy... ?

– Okej. Nie chodź już tam. To znaczy nie udawaj już, że tam chodzisz.

Powinna się poczuć lepiej. Jednak kiedy wróciła do swego biurka, czuła się paskudnie. On chciał dobrze i choć do szału doprowadzało ją to, że nic nie rozumiał, nie cieszyła się, że sprawiła mu przykrość. Nagle zła była na niego, że wpędzał ją w poczucie winy. I była zła na Lindkę, że ją wrobiła. I była zła na Nicka. I na Rico. Pieprzyć ich. Pieprzyć ich wszystkich. Za kogo się oni, kurwa, uważali, próbując rządzić jej życiem? Traktując ją jak dziecko. Upokarzając ją.

Była dorosłą kobietą. Mogła pić, jeśli miała na to ochotę.

Tak, pić.

Nie miała ochoty się napić od tamtego poranka, kiedy Daisy wyznała ze wstydem, co się stało. Czuła się wolna. Była dumna ze swojej decyzji.

Pić.

Teraz.

Teraz teraz teraz teraz teraz teraz.

Całe jej ciało ogarnięte było pragnieniem – skąd to się wzięło? Każda komórka w jej ciele czuła nieodparte pragnienie. Mokra była od potu, krew szybko krążyła jej w żyłach, a w głowie dokonywała kalkulacji: Idź do

monopolowego kup butelkę wódki wypij ją w toalecie daj mi pocieszenie ulecz mnie.

Potrzebuję tego potrzebuję tego potrzebuję tego teraz. Daisy i Verity? Co z Daisy i Verity? Ale jej myśli tylko się po nich prześlizgnęły. Praktycznie ich nie znała.

– Zaraz wracam. – Chciała, by zabrzmiało to lekko, ale w jej głosie słychać było strach.

– Gdzie idziesz? – Guy był czujny, wiedział, że coś się dzieje.

– Do apteki.

– Po co?

– Tampony. – Wpatrywała się w niego bez mrugnięcia okiem.

– Jesteś zajęta. Te dokumenty trzeba wysłać jeszcze dzisiaj.

– Nie będzie mnie tylko pięć minut.

– Ja mam tampony – odezwała się Lindka. – Nie musisz wychodzić.

– Wolałabym swoją markę.

– Nie wiesz nawet, jakie ja mam.

Teraz przyglądało jej się już całe biuro. Uczucie paniki sprawiło, że Marnie kręciło się w głowie.

– Nie czuję się dobrze. Chyba wolałabym pójść do domu. – Wyjdzie stąd, nie obchodziło jej, co sobie o niej pomyślą. Zwolnij mnie, mam to gdzieś.

– Jest wpół do czwartej – powiedział Guy. – Spróbuj wytrzymać jeszcze dwie godziny.

Wpatrywali się w siebie, zakleszczeni w milczącym pojedynku, i ucisk w jej klatce piersiowej nieco zelżał.

– Okej – szepnęła i wróciła na swoje miejsce. Opuściła głowę i próbowała wrócić do pracy, ale nie była w stanie czytać. Nie widziała tego, co się przed nią znajduje.

Pragnienie wróciło, jeszcze bardziej dojmujące niż wcześniej. Rosło, rozpychało się, puchło, przybierało na sile, nie była go w stanie znieść.

Zerwała się na równe nogi i chwyciła torebkę.

– Toaleta – zawołała, kiedy podniosły się głowy.

Znalazła się na ulicy, bez płaszcza, biegła, kątem oka zarejestrowała mijane sklepy i biurowce, zimny wiatr smagał ją po twarzy. Monopolowy znajdował się na samym końcu ulicy. Nogi miała ciężkie, w drogę wchodziły jej dzieci, wpadła biodrem na wózek, ze sklepów wylewała się na ulicę tandetna świąteczna muzyka, ludzie patrzyli na nią i przeklinali.

I wtedy pojawił się pub. Tuż przed nią, jakby zesłano go prosto z nieba. Drzwi, a potem bar.

– Wódka z tonikiem. – Plątał jej się język. – Duża.

Zlana potem. Trzęsąca się. Kostki lodu, duże i szkliste, w metalowym pojemniku. Patrzyła. Świat ograniczył się do tych kostek lodu. Jedna wpadła do szklanki. Barman chwycił szczypcami następną.

– Nie! Doś. – Mówiła tak, jakby już była pijana.

– Słucham?

– Lód. Doś.

– Nie chce pani w ogóle? – Barman przechylił szklanekę, by wyrzucić kostkę.

– Fposzaku! Tocojesmoszebyć!

Wódka, wódka, wódka, wlej tę cholerną wódkę. Jakby celowo psuł jej szyki, podszedł do tacy z plasterkami cytryny.

- Besytryny!
- Bez cytryny?
- Nienie. – Chryste. – Tylko..

Kiwnęła głową w stronę wódki. Dozownik. Nareszcie. Przechylił butelkę i uwolnił ten ciekły kryształ. Przyglądała się temu, wstrzymując oddech.

- Mówiła pani, że chce dużą?

Na chwilę stanęło jej serce. Powinna wziąć małą? Czy czekać dodatkowe dwie sekundy na dużą?

- Małajesokej.
- Mówiła pani duża.
- Dobrzenotoduża!

Powoli butelka znowu się przechyliła. Następnie barman pochylił się, stawiając szklanekę poza jej zasięgiem. Co znowu?

- Dietetyczny czy normalny? Tonik.

Zdusiła jęk.

- Normalny.
- Wygląda na to, że skończył nam się normalny. Będę musiał zejść na dół.

Bała się, że zacznie krzyczeć.

- Nieważne – rzekła z desperacją. – Możebyćdietetyczny.
- To żaden kłopot. I tak muszę tam zejść.
- Nie, proszę! Wystarczy... – Sięgnęła po szklanekę.

I w końcu znalazła się w jej dłoni i wódka spływała do jej gardła, i w brzuchu zrobiło jej się gorąco, a gwiazdny pył obsypywał ją całą, zachwycając swoją magią, odsuwając kurtynę i odsłaniając lepszą, czystsza, bardziej błyszczącą wersję wszystkiego. ,

Szklanka uderzyła w drewniany bar.

– Jeszcze jeden.

Wypiła drugiego drinka przy barze, trzeciego zabrała do stolika. Ponownie była w stanie oddychać i zastanawiała się, co zrobić.

Mogła wrócić do biura, nie spaliła za sobą żadnych mostów, nie było jej dopiero kilka minut, ale w sumie uznała, że tego nie robi. Wściekły głód ustąpił, właściwie to czuła się dobrze, a nawet świetnie, ale podobało jej się tutaj, wołała dalej pić. A czemu by nie? Za dwa tygodnie będą święta.

Marnie pociągnęła kolejny łyk srebrzystego płynu i rozsiadła się wygodnie, delektując tym ciepłem, jakie odczuwała.

Jeszcze nigdy nie wyszła z pracy w połowie popołudnia.

Zawsze musi być ten pierwszy raz.

Ukłucie wyrzutów sumienia. Dokumenty, które trzeba dzisiaj wysłać? Skoro były takie ważne, ktoś inny się nimi zajmie.

A Daisy i Verity? Nic im nie będzie. Wszystko było w porządku, w porządku, cudownie i w porządku.

– Jeszcze jeden. – Marnie machnęła szklanką w stronę zachowującego kamienną twarz barmana.

Wszystko super, tylko że fajnie by było mieć z kim porozmawiać. A kto nadawał się do tego lepiej niż Rico? Przez cały tydzień zgodnie z obietnicą Guya trzymał się od niej z daleka, ale prawdę powiedziawszy, ona bardzo lubiła Rico, niesamowicie go lubiła i nagle zapragnęła go zobaczyć.

Poszukała w torbie komórki.

– Jak się nazywa ten pub? – zawołała.

– Wellington.

W Wellington. W & T?

Trzymała w ręce telefon, czekając na odpowiedź. No dalej, poganiała go. Dalej.

Bede za 5 min!

Pięć minut! Fantastycznie! Zamówiła dla niego drinka i obserwowała drzwi, myśląc o tym, jak jest fajnie, i oto pojawił się w nich Rico! Podszedł do niej spiesznym krokiem, uśmiechając się szeroko.

– Nie powinienem z tobą rozmawiać.

Roześmiała się.

– Ja z tobą także nie. Proszę, to twój drink.

Wypił go jednym haustem i oboje zanieśli się szaleńczym śmiechem.

– Tobie też kazał chodzić na mityngi AA? – zapytała.

– Taa, ale wieczorem, musiały być w innych godzinach niż twoje. To szalone, nie? Cała ta sprawa? Guy ma nie po kolei w głowie. – Kiwnął na barmana. – Jeszcze dwa.

Zdażyła już zapomnieć, jak bardzo Rico jest przystojny. Musnęła nosem jego szyję.

– Tęskniłam za tobą, wiesz?

– Ja za tobą też. – Przycisnął swe usta do jej ust i wsunął w nie język.

Miło. Seksownie. Tak jakby.

Pub powoli wypełniał się ludźmi.

– Która godzina, Rico?

– Dziesięć po piątej. Chyba nie zamierzasz mnie tu teraz zostawić?

Powinna jechać do domu, czekano tam na nią. Ale miała męża i nianię, którzy mogli zająć się dziećmi.

– Ja? Nie, nigdzie się nie wybieram.

Kolejne nieproszone ukłucie wyrzutów sumienia. Powinna do nich zadzwonić, nieładnie było ich martwić, no ale przecież tak bardzo dali jej niedawno w kość, a ona czuła się teraz taka szczęśliwa, a tak rzadko czuła się szczęśliwa...

– Hej, hej, hej, muszę ci powiedzieć o... – Pociągnęła długi łyk ze szklanki, kostki lodu uderzały o jej zęby, a kiedy ją odstawiła, przed nią zmaterializował się Guy. Choć była nieźle wstawiona, okazało się to dla niej szokiem. –... Guy, ja... – Szukała jakiejś wymówki, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Górował nad nimi, wysoki i wyniosły, gdy tymczasem ona i Rico patrzyli na niego niczym pełni skruchy uczniowie.

– Marnie. – Podał jej białą kopertę. – I dla ciebie także – rzekł do Rico. Po czym wyszedł.

Ona i Rico popatrzyli na siebie szeroko otwartymi oczami.

– Jak nas tu znalazł?

– Boże. – Parsknęła śmiechem. – Jesteśmy zwolnieni. Zwolnił nas!

Rozerwała kopertę i pochylili się razem. Słowa tańczyły na białej kartce. „Pijana... ” „cierpliwość... ” „ostrzeżenia... ” „zwolnienie ze skutkiem natychmiastowym... ”

– To prawda, zrobił to, zwolnił mnie. – Nie mogła przestać chichotać.

Rico z ponurą miną rozerwał swoją kopertę i przebiegł wzrokiem po kartce.

– Nie wierzę, kurwa. Mnie też zwolnił.

– Mówiłam ci.

– Nie sądziłem...

– Dlaczego miałby zwolnić mnie, a ciebie nie?

– Ponieważ jestem kurewsko genialny.

– A ja nie?

Przewrócił oczami.

– Cóż, nie.

– Cóż, pieprz się.

– I ty też. Przez ciebie straciłem pracę.

– Przeze mnie?

– Gdyby nie czuł do ciebie mięty, miałby gdzieś, co robię.

– Słuchaj, on nie mówił poważnie. – Przejechała dłonią po udzie Rico, zatrzymując ją tuż obok krocza. – Nie jesteśmy zwolnieni, on tylko próbuje nas nastraszyć.

– Skąd wiesz?

– To oczywiste! – A nie?

– Jesteś pewna?

– Jestem pewna. Słuchaj, czy ja marnuję tutaj swój czas?

– Bębniła palcami o górną część jego uda.

– Och.

Przyciągnęła tym jego uwagę. Dyskretnie zaczęła głaskać materiał, dotykając palcami jego erekcji. Pocałował ją ponownie, mocno i głęboko, i wsunął dłoń za pasek jej spódnicy, pod rajstopy i figi, by ścisnąć pośladek.

Pili i całowali się, i pili, i dotykali się, a kiedy nad stolikiem pochylił się barman, Marnie myślała, że przyszedł po puste szklanki. Wtedy się odezwał.

– Proszę, abyście stąd wyszli – powiedział cicho. *Że co?*

Proszę, abyście stąd wyszli. Policzki płonęły jej z zażenowania.

– Dokończcie swoje drinki i wyjdźcie.

– Słuchaj... – zaczął groźnie Rico.

– Daj spokój – wtrąciła. – Chodźmy stąd.

– Pieprzyć ich, idziemy do mnie.

Odwracając ze wstydem oczy, dopili drinki i zebrali swoje rzeczy.

W drzwiach Rico nagle zatrzymał się i zawołał przez ramię:

– Pieprzcie się. Nie piłbym w tej wstrętnej norze, nawet gdyby mi za to płacili.

– My przecież piliśmy w tej wstrętnej norze. – Marnie nie potrafiła się przestać śmiać i wiedziała, że denerwuje tym Rico. Im bardziej się irytował, tym głośniejsze się śmiała.

– Pieprzcie się. – Naśladowała jego głos. – Nie piłbym w tej wstrętnej norze, nawet gdyby mi za to PŁACILI.

– Przymknij się.

Potknęli się na progu mieszkania Rico i Marnie przewróciła się na podłogę, pociągając go za sobą, przez co mocno walnął łokciem w twardą powierzchnię.

– Chryste! Na litość boską, Marnie, to kurewsko bolało!

– Zamknij się, ty fajtlapo. Mam TRZY PEKNIĘTE ŻEBRA. Wiem, co to znaczy ból.

– Przestań się śmiać. Wstawaj i się rozbieraj. – Popchnął ją w stronę sypialni, pociągając za jej spódnicę.

– Chcę drinka. – Położyła się na łóżku i zawołała wesoło: – CHCĘ DRINKA.

– Nie ma nic. – Oczy miał przymknięte, a usta rozchylone. Alkohol nie działał korzystnie na jego wygląd, stawał się taki jakiś rozmemłany. – Będę musiał wyjść i coś kupić.

– Co to znaczy, że nie ma? – zawołała. – Naprawdę? Nic? Dlaczego?

– Wszystko wypilem.

– Uch! Ty pijusie.

– Marnie, jeśli nie przestaniesz się śmiać, to przysięgam, że cię trzasnę. –

Pochylił się nad nią i przycisnął mocno do niej, wbijając boleśnie sztywny członek w jej kość łonową. Próbowwała skupić się na nim: jego twarz wyglądała, jakby się roztopiała.

Otarł się o nią i wsunął język aż do jej gardła. Nie podobało jej się to i nie wiedziała dlaczego.

Nie była wystarczająco pijana. W tym właśnie tkwił problem. Zbyt wcześnie wyproszono ich z pubu.

– Przestań. – Odpychała jego głowę i próbowała wydostać się spod niego.

– Co? Dlaczego? Dlaczego?

– Jestem mężatką.

Odsunął się zdumiony.

– Wcześniej ci to nie przeszkadzało.

A więc jednak z nim spała. O nie, nie, nie. Nie powinna się zachowywać tak, jakby to dla niej była nowość.

– A powinno było. – Chciała stąd natychmiast wyjść. Czuła do niego odrazę. – Kocham mojego męża.

– Co? – Widać było, że jest zaszokowany.

Kocham Nicka i kocham moje dzieci i nie wiem, co tutaj robię.

– Rico, chcę wyjść.

– No to sobie idź.

Gdy znalazła się na ulicy, taksówka z żółtym światłem zwolniła, po czym ponownie przyspieszyła, kiedy kierowca podjechał na tyle blisko, by lepiej jej się przyjrzeć. Marnie stała na rogu ulicy, drżąc z zimna i przeczesując

wzrokiem samochodu. Jeździło dużo taksówek, ale pełne były biurowych imprezowiczów: mężczyzn z fałszywie brzmiącymi trąbkami i kobiet w tanich sukienkach z czerwonej satyny. Kiedy pojawiła się w końcu wolna taksówka, Marnie z zimna straciła już czucie w stopach. Ale ten kierowca także nie chciał jej zabrać!

– Zamarzam – błagała.

– Jesteś narabana – odparł i odjechał.

Patrzyła za nim; nie miała innego wyjścia, jak wrócić do biura i wsiąść we własny samochód. Nie było to zbyt daleko, może z półtora kilometra, ale droga zajęła jej dużo czasu; wszędzie było pełno ludzi wylewających się z pubów, śpiewających, rozpychających się i pokrzykujących.

Kiedy w końcu znalazła się na parkingu, przez chwilę zastanawiała się, czy jest na tyle trzeźwa, by prowadzić – i uznała, że owszem. Ta droga otrzeźwiłaby i George'a Besta*. I choć lekko otarła samochodem o filar, gdy wyjeżdżała ze swojego miejsca parkingowego, uznała, że to nawet dobrze, ponieważ dzięki temu będzie pamiętać, by jechać wyjątkowo ostrożnie.

Ruch był duży, jak to przed świętami. Kierowcy jeździli jak szaleni, a przechodnie wychodzili na ulicę niemalże pod jej kółka. Droga do domu była niczym tor z przeszkodami. A potem utkwiała przed radiowozem, spieszącym się do jakiegoś przestępstwa: migły niebieskie koguty, wyły syreny. Jechał tuż za nią, strasznie ją dekoncentrując.

Zwolniła.

– No dalej! – zawołała z frustracją. – Wyprzedź mnie.

** Irlandzki piłkarz mający problemy alkoholowe.*

Nie będąc w stanie znieść dłużej tego wycia, Marnie zatrzymała się na przystanku autobusowym, by radiowóz mógł jechać dalej.

Ale kiedy zatrzymał się za nią, wypełniając jej auto niebieską poświatą, prawda była niczym cios w sam brzuch. Oni jechali po nią. Po nią.

Było ich dwóch, mężczyźni. Opuściła szybę.

– Proszę wysiąść z samochodu. – Policjanci spojrzeli na siebie. – Czy pani piła?

Do domu przywiózł ją radiowóz. Przejechała na czerwonym świetle. Aresztowano ją za jazdę po pijanemu. Była dwudziesta trzecia. Nick wpadnie w szal.

Dzięki Bogu światła były pogaszone. Wszyscy poszli już spać. Może jej się to jakoś upiecze. Cicho weszła do domu i udała się prosto do szafki pod kuchennym zlewem; parę miesięcy temu do butelki po środku dezynfekującym przelała całego smirnoffa. Na wszelki wypadek. Na górze w szafie też coś było, butelka, której nie znalazła Grace, ale obudziłaby Nicka, gdyby teraz zaczęła jej szukać.

Kiedy szukała szklanki i butelki toniku, zauważyła, że o młynek do pieprzu oparta jest jakaś koperta, ale wzięła ją do ręki dopiero wtedy, gdy usiadła przy stole z drinkiem w ręce. Widniało na niej tylko jej imię.

Może jeszcze jedno pismo od Guya? Przywracające ją na stanowisko?

Wspomnienie tego, jak pojawił się w pubie, było niczym chmura przesłaniająca słońce. A potem poproszono ich o to, by wyszli...

Boże.

Otworzyła kopertę. Pismo wydrukowane było na grubym, kremowym papierze i nadawcą nie okazał się Guy, ale Kancelaria Adwokacka Dewey, Screed i Hathaway.

Co to było?

Nie chodziło o jej pracę.

Miało to coś wspólnego z Nickiem.

Zmusiła oczy do tego, by skupiły się i przestały podwójnie widzieć, by mogła odczytać, co tam jest napisane.

Nick od niej odszedł. Zabrał ze sobą dzieci. Dom wystawiony był na sprzedaż.

Tak jej się wydawało, że dziwnie się czuje w tym domu, a teraz już wiedziała dlaczego – nikogo w nim nie było.

Popędziła na górę do pokoju Verity. Pusty. Szarpnięciem otworzyła szafę, wisiały w niej tylko puste wieszaki. Następnie pobiegła do pokoju Daisy; łóżko pościelone i puste. We własnej sypialni weszła na krzesło i otworzyła najwyższą szafkę: to będzie dowód. Kiedy go zobaczyła, wciągnęła gwałtownie powietrze: zniknęły wszystkie gwiazdkowe prezenty dla dziewczynek. Choć to niemożliwe, ta pusta szafka zdawała się pulsować.

Odszedł od niej, drań. I zabrał dziewczynki.

Usiadła na górnym schodku, raz po raz przełykając ślinę, próbując zmoczyć swe suche usta.

Wróca, próbowali ją tylko nastraszyć. Ale to było bardzo, bardzo nieładne z ich strony.

Usłyszała własny krzyk i zerwała się na równe nogi, zabierając od niego swoją dłoń, nawet nie wiedząc dlaczego.

Papieros. Zgasił papierosa na wierzchu jej dłoni. Chwycił jej dłoń tak mocno, że aż zachrzęściły kości, i przytknął czubek papierosa do jej środka.

Przed jej oczami fruwały czerwone plamy. Nic nie widziała.

Wpatrywał się w jej dłoń, w okrągłą czerwoną ranę, wokół której widać było jeszcze popiół. Czuć było dziwny zapach, a nad raną unosiła się cienka smużka dymu.

– Dlaczego... to zrobiłeś? – Jej zęby uderzały o siebie.

– To był wypadek. – W jego głosie słychać było zdumienie. – Sądziłem, że to popielniczka.

– Jak?

Ból był tak przemożny, że nie potrafiła ustać w miejscu.

– Zimna woda.

Wstała i cała krew odpłynęła z jej głowy.

– Mam jałowe bandaże – powiedział. –I antyseptyk. Nie możemy pozwolić, by wdało się zakażenie.

Opatrzył jej ranę, zaaplikował kodeinę, przyniósł kolację do łóżka i karmił łyżką po łyżce. Jeszcze nigdy nie był dla niej taki czuły.

LOLA

Czwartek, 11 grudnia, 21. 55

Cicho otworzyłam drzwi i wyszłam na paluszkach w ciemną noc. Rozejrzałam się ukradkiem. Ani śladu Boga Miłości Jake'a, uff. Choć możliwe, że krył się gdzieś w cieniu, gotowy, by schwytać mnie w zasadzkę swej surferskiej miłości.

21. 56

Schylając się, przeszłam pod drucianym ogrodzeniem i zapukałam do drzwi Rossy Considine'a.

– W samą porę – przywitał mnie. – Wchodź. Skrepowani, rozmawialiśmy zdawkowo, pijąc piwo i czekając na rozpoczęcie się *Prawa i porządku*.

Odkaszlnęłam.

– Wszystko gotowe na jutrzejszy wieczór transek? – zapytałam, starając się, by zabrzmiało to pogodnie.

Chciałam jedynie coś, cokolwiek, powiedzieć, a tu moja przypadkowa uwaga zaowocowała rewelacją: transka to nie to samo co crossdresser!

– Transki to geje – wyjaśnił Rossa. – Crossdresserzy są hetero.

Teraz już rozumiałam, dlaczego Zasiłkowy Noel tak się odżegnywał od określenia „transka” i reagował tylko na „crossdressera”!

– Jeśli mam być szczerą, to myślałam, że to po prostu dwa różne określenia tego samego..

– Jak Snickers i Marathon?

– Właśnie. Jak Ulay i Olay.

– Jak biały ser i twaróg?

– Proszę cię, Rossa Considine, nie mów „twaróg”, irytuje mnie to słowo.

– Czemu?

– Nie potrafię tego wyjaśnić. Po prostu irytuje. Atmosfera stała się nagle napięta. Rossa Considine przy–

kleił spojrzenie do telewizora. Coś długa ta przerwa na reklamy przed *Prawem i porządkiem*.

Kiedy prawie cztery tygodnie temu Rossa Considine tak niespodziewanie pojawił się na progu mego domu jako „Chloe”, byłam zaszokowana, oczarowana, ogłuszona – wiele uczuć. Zdumiało mnie to, że taką kiepską byłam obserwatorką – kilka tygodni mieszkałam po sąsiedzku z transką (najmocniej przepraszam, z crossdresserem) i niczego się nie domyślałam. Jeszcze bardziej zdumiał mnie fakt, że małomówny – a czasami wręcz gburowaty – facet mógł się przemienić w olśniewającą kobietę, całą w uśmiechach, rozgadaną i wyperfumowaną.

Byłam nią olśniona i ochoczo przyjąłam zaproszenie na oglądanie *Prawa i porządku*, z tym oczywiście zastrzeżeniem, że jeśli będziemy działać sobie na nerwy, skończy się to na jednym razie. Nalegała, byśmy wymieniły się numerami telefonów, by w razie potrzeby można wypowiedzieć tę naszą umowę esemesem. Powiedziała, że to miłszy sposób.

Ale! Och tak, ale! W następny czwartek, gdy ukradkiem wymknęłam się z domu (wtedy nocne czajenie się Jake'a było już czymś nagminnym) i prześlizgnęłam się pod ogrodzeniem, które oddzielało mnie od Chloe/Rossy, uświadomiłam sobie, że czuję onieśmienie. Niezwykle dziwna sytuacja, totalnie bezprecedensowa. Zaproszenie otrzymałam od uroczej Chloe – ale to zaniedbany Rossa otworzył drzwi i wziął ode mnie paczkę chipsów tortilla i puszki z piwem. Dziwne to było. Niczym randka ustawiona przez kogoś trzeciego. Bardzo, bardzo dziwne, jeśli zbyt długo się nad tym zastanawiałam.

Postanowiłam więc tego nie robić. Miałam zresztą inne sprawy na głowie (do czego dojdziemy – tak, tak, dojdziemy).

Pomimo niekwestionowanych napięć między nami pierwszy czwartek okazał się udany. *Prawo i porządek* obejrzone, rozmowa lekka i przyjemna.

Drugi czwartek także można było zaliczyć do udanych. I trzeci też. Teraz jednak był to już czwarty czwartek – być może nie staraliśmy się wyjątkowo dobrze zachowywać? – i zanosilo się na to, że przez moją uwagę na temat twarogu możemy natrafić na trudności.

– Będziesz się teraz dąsał, Rosso Considine?

– Czemu miałbym się dąsać, Lolo Daly?

– No bo tak już masz. – Coś mi przyszło do głowy. – A przynajmniej jako mężczyzna. Ale jako kobieta jesteś uosobieniem czaru. Być może przez cały czas powinieneś być kobietą.

– Nie mógłbym w szpilkach chodzić po jaskiniach.

– To postawa defetystyczna. Mogę ci zadać jeszcze kilka pytań na temat tej dychotomii transka – crossdresser?

– Proszę, nie mów „dychotomia”, Lolo Daly, to irytujące słowo.

– Co? A, to żart. Uważaj, bo prawie się uśmiechnąłeś. Kąciki jego ust wyraźnie się unosiły.

– No dalej – namawiałam – pokaż nam zębki.

– Nie jestem dzieckiem – odparł szorstko.

– Jak chcesz. No dobrze. Będę szczera, Rosso Considine. Wszystkie moje „dziewczeta” są hetero, to znaczy są cross-dresserami. Ale mnie się podoba słowo „transki”. I co mam teraz zrobić?

– Sue to gej.

– Naprawdę?

(Sue była nowa. Noel/Natasha znalazł ją w Internecie i tydzień temu zaprosił do nas – ku mojemu przerażeniu. „Żadnych więcej transek, Natasha”, błagałam, kiedy pojawili się razem. „Żadnych więcej”. Ale Noel postrzegał nasze piątkowe wieczory jako przystań crossdresserów. Wszyscy byli mile widziani, bez względu na to ile – jak mało – było u mnie miejsca.)

– Okej – zaczęłam raz jeszcze. – Wszystkie moje dziewczęta z wyjątkiem Sue są hetero, to znaczy są crossdresserami. Ale ja lubię słowo „transki”. Co mam zrobić?

– Nauczyć się z tym żyć.

– Nie. Raczej się nie nauczę.

– Nieważne, co bym powiedział, ty i tak zrobiłabyś dokładnie na odwrót.

Przez chwilę myślałam o tym, co powiedział. Chciałam właśnie zaprzeczyć, kiedy uświadomiłam sobie, że tym samym przyznałabym mu rację.

– Pewnie tak bym zrobiła, Rosso Considine, i nie bardzo wiem dlaczego. A więc chociaż to nie oddaje prawdy, nadal będę nazywać ich wszystkich transkami.

– Im się to nie spodoba.

– Nikt ich nie zmusza do spędzania u mnie piątkowych wieczorów. – Prężyłam muskuły władzy. Tak jak pani Butterfly, niewpuszczająca osób, które jej się nie podobały.

– Władza deprawuje – powiedział Rossa Considine.

– Podobno. A władza absolutna deprawuje absolutnie. – To jakiś cytat. –

Kto tak powiedział?

– Konfucjusz?

– John le Carre?

– Duran Duran?

– Ktoś – stwierdziliśmy zgodnie. całą pewnością ktoś.

23. 01

Koniec Prawa i porządku

Zgodnie przyznaliśmy, że to był pierwszorzędny odcinek. Mroczny, naturalistyczny, frapujący.

Wstałam. Strzepałam z sukienki okruszki tortilli i patrzyłam, jak opadają na dywan. Zerknęłam na Rossę Considine'a. Też patrzył, jak okruszki opadają na dywan.

– Będę to musiał posprzątać – powiedział. Wiedziałałam, wiedziałałam, po prostu wiedziałałam, że będzie się dąsał!

– Przepraszam, przepraszam, daj mi szczotkę. Sama od razu to zrobię.

– Nie trzeba, nie trzeba, jesteś gościem.

– Tyle że wydajesz się wkurzony.

– Nie jestem wkurzony.

– No to nadąsany?

– Zamknij się, Lolo Daly.

– Dziękuję ci za to, że podzieliłeś się ze mną swoim telewizorem – rzekłam. – Przepraszam za okruszki. Do zobaczenia jutro, kiedy będziesz transka?

– Crossdresserem. Nie musisz tak od razu uciekać, Lolo Daly.

– Chyba jednak muszę – odparłam. – Lepiej nie kuśmy losu.

23. 04

Z powrotem w domu, unikając konfrontacji z Bogiem Miłości Jakim

Zmywałam akurat mleczkiem twarz, kiedy zadzwonił telefon i wszystkie moje nerwy podskoczyły. Na tym etapie te biedactwa całe już były poszarpane i wykończone od podskakiwania.

Sprawdziłam wyświetlacz. Nie Paddy. To jedyne, co musiałam wiedzieć.

Od czasu jego niespodziewanego telefonu, prawie cztery tygodnie temu, byłam kłębkim nerwów, niemal tak jak w sierpniu, kiedy się okazało, że bierze ślub z inną.

Kiedy odebrałam telefon i przekonałam się, że to rzeczywiście on, zapewniający, jak bardzo za mną tęsknił, nie mogłam w to po prostu uwierzyć.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam – powiedział do mego osłupiałego ucha. – Mała Lola, tak okropnie cię potraktowałem. To, w jaki sposób dowiedziałaś się o Alicii... Tak bardzo cię przepraszam. Prasa podłapała plotki i wszystko to eksplodowało, nim zdążyłem z tobą porozmawiać.

Z jego ust wydobywały się dokładnie te słowa, o których tyle fantazjowałam.

– Nawet Alicia nie wiedziała, że za mnie wychodzi, dopóki nie usłyszała o tym w wiadomościach.

Nie byłam zbytnio zainteresowana słuchaniem o Alicii.

– Tak bardzo za tobą tęsknię – powiedział. – Przez te wszystkie miesiące nie byłem w stanie przestać o tobie myśleć.

Czy to się działo naprawdę?

– Mogę się z tobą zobaczyć – oświadczył. – Proszę, Lola. Mam przysłać po ciebie Johna Hiszpana?

– Nadal się żenisz? – zapytałam. Nie byłam już taką uległą idiotką jak kiedyś.

– Och, Lola. – Ciężkie westchnienie. – Wiesz, że tak. Muszę. To odpowiednia kobieta dla kogoś na moim stanowisku. – Wydawał się taki przygnębiony, że przez chwilę autentycznie dzieliłam z nim jego dylemat. –

Ale to ty jesteś kobietą, której naprawdę pragnę, Lola. To beznadziejna sytuacja. Czuję się strasznie rozdarty. Będę szczery, to najlepsze, co ci mogę zaoferować.

Pozwoliłam, by informacja ta dotarła do mnie. Przynajmniej był ze mną szczery.

– Mam przysłać Johna Hiszpana? – zapytał.

– Nie ma mnie w Dublinie.

– Och? – Zmiana tonu. – Gdzie jesteś?

– Hrabstwo Clare.

– Clare. No tak. Ale mogłabyś przyjechać do Dublina. De zajęłaby ci droga?

– Trzy godziny. Może trzy i pół.

– Tak długo? Nawet z obwodnicą Kildare?

Mówią o obwodnicy Kildare tak, jakby to była jakaś magiczna dziura w hiperprzestrzeni. To zabawne, o czym się myśli, kiedy jest się w szoku. Myślałam także o czymś jeszcze. Myślałam o tym, że jest dwudziesta druga trzydzieści. Nawet gdybym zasuwała jak mały parowozik i dostała mandaty za przekroczenie prędkości i punkty karne i wezwanie do sądu, a moje nazwisko pojawiłoby się w lokalnej gazecie, do Dublina dotarłabym najwcześniej o pierwszej w nocy. Za późno. Nie tak powinno to wyglądać.

– Paddy. – Sięgnęłam w głąb siebie, przekopując się przez szufladę z rzadko używanymi uczuciami, aż znalazłam i wytarłam z kurzu szacunek dla samej siebie. – Jest już wpół do jedenastej. Zadzwoń rano i wtedy ustalimy jakiś dogodniejszy termin.

– Och... dobrze... rozumiem. – Wydawał się zaskoczony. A ja byłam z siebie zadowolona.

- Grace Gildee nadal cię nęka? – zapytał.
- Eee... – Nagła zmiana tematu. – Nie. Już dawno przestała.
- To dobrze. Powiedz mi, Lola, nienawidzisz mnie?

Czasami nienawidziłam. Miałam przebłąski zły, palącej nienawiści. Ale teraz kiedy zadzwonił z takim udręczeniem w głosie, wszystkie złe, pełne ognia uczucia zniknęły.

- Nie nienawidzę cię, Paddy.
- To dobrze. Świetnie. No to nie zawracam ci już głowy.

Pragnęłam, byśmy dalej rozmawiali, pragnęłam bez końca przeciągać te cenne, cenne chwile. Ale wiedziałam, że najlepszym sposobem na ich przeciągnięcie będzie ich zakończenie. (Paradoks.)

- Tak. Porozmawiamy rano, Paddy.
- Tak, porozmawiamy rano.

Ogarnięta uczuciem triumfu natychmiast zadzwoniłam do Bridie, która kazała mi powtórzyć całą rozmowę słowo po słowie. Słuchała, nie przerywając, a kiedy skończyłam, zapytałam:

- No i co myślisz?
- Co ja myślę? Ja myślę, że nie zadzwoni rano. Ani już nigdy – dodała.
- Niepotrzebne okrucieństwo, Bridie! – zawołałam.
- Czasem trzeba być okrutnym dla czyjegoś dobra.
- Pozostań lepiej przy życzliwości!
- Jeszcze mi za to podziękujesz.
- Słowa pociechy, proszę, Bridie, nalegam na słowa pociechy!

– Jedyne słowa pociechy, jakie mam dla ciebie, Lola, to: „Duże dawki witaminy B”. Zwłaszcza B₆ i B₁₂. Może także B₅ i B₂. Twój centralny system nerwowy będzie się przez następne dwa tygodnie wykańczał za każdym razem,

kiedy zadzwoni telefon, wzbudzając fałszywą, tak, najzupełniej fałszywą nadzieję, że to Paddy de Courcy. Witaminy mogą uchronić cię przed załamaniem.

– Zadzwoni jutro.

– Lola! Zadzwonił, bo chciało mu się bzykać. To OCZYWISTE.

– Powiedział, że za mną tęskni.

– Tęskni za kimś, kogo będzie mógł przykuć do łóżka i odgrywać swoje fantazje o gwałcie. Chyba nie sądzisz, by końska twarz mu na to pozwalała, co?

– Końska twarz jest stłamszona. Ja jestem seksualnie rozwinięta.

– Wychodzi na jedno i to samo.

– Żałuję, że zadzwoniłam, by przekazać ci dobre wieści. Dobranoc, Bridie.

Rozłączyłam się i położyłam na sofie, gdzie jadłam smakowite przekąski i myślałam o tym, jakie to wszystko dziwne – życie, trajektorie miłości, kształt chrupek Monster Munch. W jednej chwili zostałam odrzucona przez dwóch mężczyzn

– Jake'a, Paddy'ego – a w następnej obaj padali przede mną na twarz i błagali o przebaczenie. O co w tym wszystkim chodziło? Wszechświat to przekorna diwa.

Gdy tak leżałam i sobie dumałam, zadzwonił mój telefon i zaczęłam niemal lewitować nad sofą. To tylko Bridie.

– Powiedziałam B₅? – zapytała.

– Tak, tak, tak. Nie blokuj, proszę linii Paddy'emu de Courcy.

– Najsilniejsza dawka w aptece, pamiętaj. Następnego ranka obudziłam się o szóstej i czekałam, aż

Paddy zadzwoni. Wiedziałam, że to zrobi. Oparłam mu się, odmówiłam mu. A on lubił to, czego nie mógł mieć.

Kiedy o **9. 16** zadzwonił telefon, to choć włosy stanęły mi na chwilę dęba, uśmiechnęłam się do siebie. Opłaciło się wczorajsze poświęcenie.

Ale nie! Nie opłaciło się wczorajsze poświęcenie! To była tylko Bridie.

– Witam – rzekła. – Niech zgadnę. Mocno wali ci serce, w ustach masz sucho. Gdybyś tylko wiedziała, co to wszystko robi twojemu biednemu centralnemu układowi nerwowemu. Szkoda mi tych twoich synaps.

– Czego chcesz, Bridie? – W moim głosie chłód.

– Sprawdzam, czy wszystko w porządku.

– Nie sprawdzasz. Triumfujesz.

– Nie triumfuję. Troszczę się, tak, troszczę się, Lola, troszczę się. A więc jeszcze nie zadzwonił?

– Jak mógł zadzwonić, skoro nieustannie blokujesz tę cholerną linię?

Nagłe stukanie do drzwi.

– Bridie, ktoś jest przy drzwiach! To pewnie Paddy!

– Skąd wie, gdzie jesteś?

– To potężny człowiek. Umie dowiadywać się takich rzeczy. Do widzenia, Bridie, do widzenia.

Pobiegłam do drzwi i otworzyłam je na oścież, przekonana, że o ościeżnicę będzie opierać się Paddy. Ale to nie był Paddy. Jake. Potargane włosy, opalenizna, srebrzyste oczy, duże usta.

Druzgocące rozczarowanie. Patrzyłam na niego i patrzyłam, nie mogąc uwierzyć, że to nie ten mężczyzna.

– Mogę wejść? – wychrypiał.

Usiadł na sofie z rękami wiszącymi między kolanami. Był w oplakanym stanie.

– Zastanowiłaś się nad tym, czy moglibyśmy do siebie wrócić?

Popatrzyłam na niego i pomyślałam: kurdemol.

I tak się z niego wyleczyłam, kiedy poprosił o „przestrzeń” i oburzył się, że go nie nękałam, ale teraz, kiedy uczucie do Paddy'ego odżyło, resztki pożądania, jakie czułam do Jake'a, zniknęły niczym ślady stóp na piasku.

O zgrozo – już nie uważałam, że Jake to najprzystojniejszy mężczyzna na naszej planecie. Prawdę mówiąc, wyglądał – strasznie coś takiego powiedzieć o innym człowieku – na lekko zdeformowanego. Te usta. Nie były seksowne. Wcale nie. Zamiast tego wyglądały tak, jakby nie powiódł się zabieg ich powiększania. Były zbyt napuchnięte, jakby go w dolną wargę ugryzła osa.

Jednocześnie przekonałam się, że wyleczyłam się z jego zapachu. Wcześniej podobał mi się jego naturalny zapach, wydawał się autentyczny i całkiem męski. Ale teraz otaczała go chmura słabego, studenckiego zapachu niepranych skarpetek.

Przyciągnął mnie do siebie i rzekł:

– Proszę, Lola. – I mówiąc to, wsunął dłoń za gumkę moich spodni od pizamy. Wzdrygnęłam się! Miałam gęsią skórę na pupie, tak bardzo nie chciałam, by mnie dotykał, a perspektywa wielopozycyjnego seksu nie wydawała mi się już ani trochę kusząca. Jake przycisnął swego sztywnego Wacka do cienkiego materiału mojej pizamy i wyszeptał: – Czujesz, jak bardzo cię pragnę?

Fuj! Tak, fuj! Nawet mnie zaskoczyła skala mojej niechęci. Ujął moją dłoń, by pocierać nią o wacusia, ale odsunęłam się od niego, uwalniając mój tyłek od jego napawającego mnie wstrętem dotyku. Na jego twarzy widać było

przeogromne zdziwienie. Popatrzyłam w jego srebrzyste oczy i pomyślałam: Jaki dziwny kolor oczu. Co jest nie tak z piwnymi czy orzechowymi?

– Nie chcesz, żebym cię dotykał, Lola? – zapytał.

Zobaczyłam zdezorientowanego chłopca w ciele mężczyzny i dotarła do mnie zimna prawda. Wiedziałam, że muszę być z nim brutalnie szczerą. W przeciwnym wypadku skończy się to tak, że z dobroci serca prześpię się z nim, a wszystko się we mnie wzdrygało na myśl o takim scenariuszu.

– Jake – powiedziałam. – Bardzo mi przykro, ale nic z tego, z naszego związku. Było fajnie, ale na tym poprzestańmy.

– Przyznaję, że byłem głupim pierdołą. Ale przeprosiłem i chcę się zmienić.

– Nie trzeba – odparłam. – To nie ma sensu. Jest ktoś inny. Inny mężczyzna.

– Już poznałaś kogoś innego?

– Nie, nie. Ten ktoś był przez cały czas.

– Fajnie, że mi o tym powiedziałaś!

– Ale to, co łączyło mnie i ciebie, to była tylko zabawa! Ty też tak uważałeś!

– Tak, ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, że się w tobie zakocham.

– To nie moja wina – powiedziałam z rozdrażnieniem.

– Bardzo dojrzałe, Lola! – Szyderczy ton. – Bardzo odpowiedzialnie.

– Ale gdybym to ja zakochała się w tobie, a ty nie zakochałbyś się we mnie, powiedziałbyś: „To była tylko zabawa, przykro mi, że się we mnie zakochałaś, a teraz odczep się”. – Taka była prawda. Często mi się to przytrafiało w przypadku innych facetów.

Byłam już zmęczona.

– Jake, patrz! Jest przyływ! Musisz iść na deskę.

Wyjrzał przez okno. Na szczęście łatwo było odwrócić jego uwagę. Było tak, jakbym pomachała smyczą i zawołała: idziemy na spacer!

– Okej, idę – powiedział. – Ale ty jeszcze zmienisz zdanie.

– Nie. – Staralam się, by brzmiało to życzliwie. – Przysięgam, że nie zmienię.

Kiedy pozbyłam się Jake'a, wróciłam do czuwania przy telefonie. Równo o dziesiątej zadzwonił. Ale to też nie był Paddy! Tym razem Treese. Głos miała ponury.

– Słyszałam o twoim wieczornym telefonie od pana de Courcy. Posłuchaj mnie, Lola. Koniecznie zejdź się z tym surferem.

– Za późno, Treese, właśnie pokazałam mu drzwi – odparłam beztrąsko.

Jęknęła – najwyraźniej – z rozpaczą.

– Paddy de Courcy wszystko ci niszczy.

– Co niszczy? – Byłam tego naprawdę ciekawa.

– Z wyjątkiem twojej kariery zawodowej i zdrowia psychicznego? Niemal zniszczył twoją przyjaźń ze mną, Bridie i Jemem.

– Co?... Jak? – Byłam przerażona. Co ona opowiadała? Treese westchnęła.

– W ogóle cię nie widywaliśmy. Przestałaś z nami wychodzić. Zawsze byłaś z nim. Lub, co gorsza, czekałaś na niego.

O tak, znana śpiewka. Już to wszystko słyszałam.

– Tak, ale, Treese...

– Wiem, Lola, tak, wiem, że pracował dużo i w nieregularnych porach. Gdybym otrzymywała jedną latrynę za każdym razem, gdy mi to mówiłaś,

każdy dom w Malawi posiadałby własne urządzenia sanitarne. Ale on nie spotykał się z tobą w każdy wieczór, prawda?

– Nie w każdy.

– Ale ty byłaś dla niego dostępna w każdy wieczór? Odparłam z zażenowaniem:

– Wiesz, jak to jest, kiedy jest się zakochanym.

– Tak. Wiem. – Miała na myśli Vincenta (fuj). – A mimo to spotykam się z moimi przyjaciółmi.

– Ale, Treese, Paddy jest politykiem. Sesja w Dail potrafi się skończyć naprawdę późno. Nigdy tego nie wiadomo.

– Tym bardziej powinnaś mieć własne plany na te wieczory, kiedy on nie może ci niczego zagwarantować.

– Nie, tym bardziej powinnam być gotowa, by się z nim spotkać na koniec jego długiego, stresującego dnia.

– Zrobił ci pranie mózgu.

Zdumiała mnie ostrość jej tonu. Autentycznie zdumiała. Powiedziałam jej to.

– Lola, tak bardzo się o ciebie martwiliśmy. Uwolnienie się od niego to najlepsze, co ci się mogło przytrafić.

Wstrząsnął mną ten wrogi telefon od Treese. Wróciłam do wpatrywania się w komórkę, ponaglając ją, by zadzwoniła.

Minał ranek bez telefonu od Paddy'ego. Zadzwonił oczywiście Jem.

– Zamykam kolumnę – powiedział. – Wzywając cię, na rozkaz Bridie, do okazania rozsądku.

O **1. 17** zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem czegoś opacznie nie zrozumiałam. Być może ja i Paddy umówiliśmy się, że to ja zadzwonię do

niego, a nie on do mnie. (Znałam oczywiście prawdę. Nie byłam głupia. Jedynie karmiłam się złudzeniami.) Zadzwoiłam na jego komórkę, telefon domowy, do biura.

Poczta głosowa, poczta głosowa, poczta głosowa.

I wszystko to było straszliwie znajome.

Paddy nie zadzwonił tego dnia. Ani następnego. Ani następnego. Ani następnego. Darowałam sobie próby skontaktowania się z nim.

Zaakceptowałam trudną do przełknięcia prawdę. Bridie miała rację. Zadzwoił, bo miał ochotę na bzykanko. Próbowałam, ale nie potrafiłam odtworzyć tego magicznego stanu, który wywołałby jego telefon – Paddy zadzwoni do mnie *tylko wtedy, jeśli mi nie będzie na nim zależeć*. Ale dopóki pragnęłam, by zadzwonił, znaczyło to, że zależy mi na nim, dlatego też nie zadzwoni. Wszechświat bywa szalenie skomplikowany.

Tak, w końcu rzeczywiście uległam silnym dawkom witaminy B – wręczyłam Bossowi szczegółową listę i wysłałam go do Ennistymon. Co nie znaczy, by rzeczony witaminy mi pomagały. Nadal podskakiwałam jak oparzona za każdym razem, kiedy odzywała się moja komórka.

Inne interesujące zachowanie ze wszechświata – jakby próbując mi zademonstrować, jak nieciekawa jest nieodwzajemniona miłość, Jake wpadł w obsesję na punkcie odzyskania mnie. Wciąż do mnie przychodził, usilnie przekonując, że powinniśmy „spróbować jeszcze raz”.

– Ale, Jake, to szaleństwo – powtarzałam. – Ja nawet ci się wcale aż tak bardzo nie podobałam.

– Wiem.

– Nie jestem nawet w twoim typie.

– Wiem.

– Nie jestem równie ładna jak twoje inne dziewczyny.

– Wiem.

– Ani tak dobra w łóżku. – (Zgadywałam.)

– Wiem.

– Dlaczego więc mnie chcesz?

– Bo chcę.

Dreńczony katuszami wyglądał czarująco, ale serce miałam z kamienia. Jake był rozpuszczony, niedojrzały, zbyt łatwo mu zawsze wszystko przychodziło i pragnął mnie tylko dlatego, że nie mógł mnie mieć.

Przyda mu się trochę rozczarowania. Coś takiego kształtowało charakter. No bo spójrzcie tylko na mnie, jaki mam ukształtowany charakter.

Szkoda mi go było. Ale miałam stuprocentową pewność, że gdybym nagle wykrzyknęła: „Masz rację, Jake, przekonałeś mnie! Bądźmy znowu razem i szalejmy na swoim punkcie i uprawiajmy seks przez całą noc i kupmy jakąś ładną lampę i jedźmy sobie z dzióbków”, spędzilibyśmy trzy szczęśliwe dni, po czym on zmarkotniałby i w końcu przyznałby, że „to nie to, Lola”.

Nie cieszyłam się z tego, że zadawałam mu ból. Ale jeśli miałam wybrać siebie lub jego, niestety to on musiał odejść.

Czwartek, 11 grudnia, 23. 04

Koniec snucia wspomnień

Dzwonił telefon.

Sarah Jane Hutchinson. Czemu dzwoniła tak późno?

– Doskonała wiadomość, Lola! Dokonałam nie lada wyczynu. Zara Kaletsky będzie główną mówczynią na mojej imprezie dobroczynnej. Wiem, co sobie myślisz, Lola, że Zara Kaletsky to nikt ważny.

Zgadza się. Zara była niesamowicie miłą dziewczyną, ale trudną ją zaliczyć do ważnych celebrytów.

– Mam dojdźcie do informacji poufnych. Zara Kaletsky właśnie dostała rolę w nowym hicie Spielberga. Główną rolę. Jermond (nowy absztyfikant Sarah Jane) współfinansuje ten projekt. Zgarnęłam Zarę jeszcze przed pojawieniem się komunikatu prasowego o tym filmie. Przed chwilą dzwoniłam do niej do LA. Jest na topie, na topie, na topie, i jest moja, moja, moja. Te wszystkie inne zdziury będą musiały oddać mi pokłon!

Ucieszyłam się. W imieniu Sarah Jane. Także w imieniu Zary.

– Mieszka teraz w LA? Myślałam, że przeprowadziła się do Afryki Południowej?

– O Boże, nie! Bel Air, Bel Air! Chcę, żebyś wystylizowała nas obie na ten lunch. Potrzebuję czegoś ekstrawyjatkowego. Zostało tylko dziesięć tygodni. Wysil swoje szare komórki!

Piątek, 12 grudnia, 7. 04

Obudziło mnie szaleńcze walenie do drzwi. Jakiś czas próbowałam je włączyć do swego snu, ale w końcu poddałam się i wstałam. Kto się do mnie dobijał o tak nieludzko wczesnej porze?

Pewnie Jake, by mi powiedzieć, jak bardzo mnie kocha. To cholernie absurdalne. Była siódma rano. Zbiegłam po schodach i szarpnięciem otworzyłam drzwi.

Tak, na progu stał Jake, emanując lekceważeniem. Jakiś czas temu zdumiewałoby mnie jego piękno. Teraz myślałam jedynie, że chciałabym, aby:

- a) przyłożył do ust paczkę mrożonego groszku, by już mu tak nie puchły,
- b) umył się,
- c) odchrzanił się.

– Wczoraj wieczorem uprawiałem seks z Jaz – oświadczył. Wokół ust miał kropelki śliny. – I co ty na to?

– Dobrze, cudownie, wspaniale.

– Cieszysz się?

– Niesamowicie. To super, że mnie przebolełaś. Odwrócił się, obraz nędzy i rozpaczy.

Już niemal zamknęłam drzwi, kiedy wrzasnął:

– Jesteś płytką suką!

Och, a więc teraz czas na wyzwiska?

To znak, że dochodził do siebie. Jak wtedy, kiedy rana zaczyna swędzieć.

12. 19

Dąb

– Dzień dobry, Lola. – przywitał mnie Osama – Wszystko dobrze?

– Dobrze, tak, a u ciebie?

– Świetnie, dzięki!

– To fantastycznie, tak, fantastycznie!

Jeśli mam być szczerą, to relacje ze Śliwkowymi Oczami były nieco sztywne od tamtego wieczoru, kiedy dołączył do grupy transek. Przyszedł tylko raz i nie dał się namówić na powtórkę, twierdząc, że powodem był kaliber filmów. Powrócił do jeżdżenia w piątkowe wieczory solo do kina w Ennis. A tymczasem nadal był idealnie miłym barmanem i nadal się śmiał, kiedy w związku z zupą dnia pytałam: „Ma grudki?” – ale być może już nie tak serdecznie jak kiedyś.

Rozejrzałam się, gdzie by usiąść. Oprócz mnie jedynymi klientami pubu byli Considine i Fretka. Zdziwiłam się na ich widok – Considine w piątek

zazwyczaj był w pracy. On i Fretka prowadzili rozmowę wyglądającą na poważną.

Considine zobaczył mnie.

– Lola! – zawołał. – Przysiadź się do nas.

Nie bardzo miałam na to ochotę. Considine trochę mnie onieśmielał, poza tym nigdy nie zostałam oficjalnie przedstawiona „Fretce” Gillian.

Czułam się jednak zobowiązana do tego, by usiąść i uścisnąć dłoń Gillian, która wyglądała dokładnie jak kreskówkowa fretka. Ci rysownicy byli naprawdę utalentowani. Potrafili narysować każde zwierzę – psa dingo, byka, fretkę – i to w taki sposób, że ich postać nie tylko zachowywała cechy swego gatunku, ale była także urocza. Gillian naprawdę była bardzo ładna. Ale niewątpliwie z wyglądu przypominała fretkę.

– Jak się masz, Lola? – zapytał Considine.

– Pierwszorzędnie. – Nie wiem czemu, ale jego obecność zawsze uwalnia we mnie sarkazm. – A ty?

– Także pierwszorzędnie. – Tak, on także był sarkastyczny.

Odezwała się Gillian.

– Lola, Rossa chciałby cię prosić o przysługę.

A ja pomyślałam: „O Matko słodkiego, cierpiącego Jezusa, co teraz? Nie wystarczy, że raz na siedem dni oddaję swój dom transkom? Czego oni jeszcze chcą?”.

– No mów. – Gillian do Rossy.

– Czy mogę pożyczyć twój przepychacz?

– Chodzi ci o takie coś do mycia butelek?

– Nie – odparła Gillian. – O ten inny. Mam problem z moją instalacją.

– To eufemizm na kobiece wnętrzności?

– Boże, nie. Domową instalacją wodno–kanalizacyjną.

(Próbowała mi wyjaśnić. Miało to coś wspólnego z „przewodami”. Nie potrafiłam przyswoić dalszych informacji. Kiedy tylko słyszę słowo „przewody”, wyłączam się.)

– Przepychacz jest u ciebie pod zlewem – powiedział Rossa. – Już go kiedyś pożyczałem od Toma Twoomeya.

Wręczyłam mu klucz do domu.

– Idź. Weź sobie to paskudne urządzenie. Zrób to, co musisz zrobić. Odłóż to tam, skąd wzięłeś. Ale, proszę, nie angażuj mnie w to, bo zemdleję.

No i poszedł, zostawiając mnie sam na sam z Gillian.

– Powinien być w pracy – rzekła. – Wziął dzień wolnego, żeby mi pomóc.

– Miło z jego strony. Cisza. Po czym powiedziała:

– Cudowne jest to, co robisz.

Nie do końca miałam pewność, o co jej chodzi. Przepychacz? Piątkowe wieczory?

– To fantastyczne ujście dla potrzeb Rossy. A może powinnam powiedzieć Chloe?

– Eee, tak. I tobie to nie przeszkadza... ?

– Są gorsze rzeczy, które mógłby robić. Postawa godna podziwu.

– Ja niestety nie przydaję się na tym polu – stwierdziła. – Kocham dzinsy i w ogóle się nie maluję.

Tak, jej mała fretkowata twarz pozbawiona była wszelkich sztucznych maści.

– To zabawne, że znacznie lepiej prezentuje się jako kobieta niż mężczyzna.

– Tak? – Uśmiech Gillian zbladł. Właściwie to lekko się nabzdyczyła. – Nie uważasz Rossy za przystojnego mężczyznę?

Kurdemol! Właśnie obraziłam jej chłopaka!

– Oczywiście, że jest przystojny. Chodziło mi po prostu o to, że jako kobieta jest bardziej zadbany. Muszę lecieć. Mam spotkanie w Galway.

Na szczęście rzeczywiście miałam spotkanie w Galway, ale i tak pojechałabym te sto kilometrów na plac Eyre Square (centrum Galway), byle wypłatać się z tej niezręcznej sytuacji.

14.30

Wielki, błyszczący amerykański bank, Galway

Trochę pracy stylistki. Ta akurat praca pojawiła się z nieoczekiwanego źródła – Nkechi. Nie miała ochoty jechać aż tutaj z Dublina, a ja znajdowałam się w stosunkowo niewielkiej odległości. Obu nam to pasowało.

Dyrektor generalna miała robione zdjęcia do firmowego prospektu. Moim zadaniem było sprawienie, by wyglądała na kobietę ciepłą, kompetentną, kobiecą, przystępną, pracowitą, dowcipną i śmiertelnie poważną. Łatwizna.

(Kwestia odpowiedniego doboru dodatków.)

18. 39

Okropne korki. Piątkowy exodus z Galway. Bałam się, że się spóźnię na wieczór z transkami

W końcu dojechałam do domu i wyskoczyłam z samochodu, po czym się przekonałam, że nie mam klucza! Zatańczyłam limbo pod ogrodzeniem i popędziłam do domu Rossy Considine'a.

– Klucz. – Pomachał nim. – Odłożyłem przepychacz na miejsce. Stokrotne dzięki.

– Oszczędź mi dalszych szczegółów. Od czegoś takiego cierpie mi skóra.

– Hej, Considine! – Jakieś zamieszanie przy furtce! Ktoś krzyczał w ciemności. – Słuchaj, koleś, nie zawracaj sobie nią głowy, okej? Ona lubi tylko podpuszczać, wiesz?

Rossa i ja, zaskoczeni, wyteżaliśmy wzrok, by dojrzeć coś w ciemnościach, skąd dochodził głos.

Jake pojawił się w snopie światła rzucanym przez otwarte drzwi, niczym bohater kiepskiego thrillera. Popatrzył na mnie i zaśmiał się szyderczo.

– Nie marnowałaś czasu. Nie minie go dużo, a prześpisz się z każdym facetem w Knockavoy.

– Zostaw ją w spokoju – powiedział spokojnie Rossa. – Ja tylko pożyczyłem od niej przepychacz.

– Taa. – Jake zaśmiał się złośliwie. – Mnie też przez jakiś czas pożyczła przepychacz.

– Teraz to już... – zaczął Rossa.

– Daj spokój – przerwałam mu.

Trzeba przyznać, że to było fascynujące – klasa mistrzowska, jeśli chodzi o to, w jaki sposób kogoś nie odzyskać. Gdyby w moim sercu została choć odrobina uczucia dla Jake'a, tymi głupotami zdecydowanie by ją usunął.

– Chcesz, żebym cię odprowadził? – zapytał Rossa.

– Nie, nie, to tylko kilka metrów. A ty musisz się wyszykować na dzisiejszy wieczór.

– Ale twój facet sprawia wrażenie nieco... stukniętego.

– Jest nieszkodliwy.

– Wolalbym cię jednak odprowadzić.

- Ale on będzie na nas krzyczał.
- Rzucam monetą.
- Okej, to ja wybieram reszkę.
- A ja orła.

19. 27

Przez ostatnie tygodnie zwróciłam uwagę na interesujące zjawisko – wieczory rozkręcały się dopiero wtedy, gdy pojawiła się Chloe.

Natasha, Blanche i Sue – ta nowa dziewczyna – przebierały się w kuchni, ale miałam wrażenie, jakby robiły to także po to, by zabić czas.

Sue była kawalerem i chłopem małorolnym mieszkającym „niedaleko drogi”. (Wyglądało na to, że to funkcjonuje jako jego rzeczywisty adres.) Naprawdę nazywał się Kartofel Conlon. Zakładałam, że naprawdę nie miał na imię „Kartofel”, ale powstrzymałam się od wypytywania go, dlaczego mówią na niego Kartofel. Zakładałam, że powodem musiało być to, iż:

- a) jadł kartofle,
- b) uprawiał kartofle,
- c) ... eee...

Był wychudłym mężczyzną z pałakowatymi nogami, który miał spore braki w uzębieniu. Długo go trzeba było namawiać, by zdjął w końcu swoją czapkę z daszkiem. Przypominał mi kurczaka z kraju Trzeciego Świata (sorki, z kraju rozwijającego się), takiego, jakiego by się widziało, jak dziobie przy drodze, gdyby się przejeżdżało tamtędy swoim klimatyzowanym jeepem. W niczym nie przypominał dobrze wypasionych irlandzkich kurczaków i zdecydowanie był to ptak, gdzie nieźle by trzeba grzebać widelcem, by znaleźć chociaż mały kawałek mięsa.

- Gdzie Chloe? – zawołał z kuchni Noel. – Musi mi zrobić paznokcie.

– Zaraz będzie...

No i oto pojawiła się Chloe z błyszczącymi oczami, uśmiechami, życzliwymi uwagami i gotowością niesienia pomocy pozostałym dziewczętom. Bardzo, bardzo sympatyczna. Gdyby naprawdę była kobietą, chciałabym mieć ją za przyjaciółkę.

– Śliczna fryzura, Chloe.

Długa, ciemna peruka, jaką zazwyczaj nosiła, ale lekko utapirowana i podpięta.

– Widziałam Jacqueline Susann – odparła.

Skoro już Chloe o tym wspomniała, to ja też widziałam właśnie Jacqueline Susann. (Niepokojąco jest być stylistką, to znaczy osobą, która zarabia na życie, przewidując trendy i je wprowadzając, która została wyprzedzona przez transkę.)

W przeciwieństwie do pozostałych transek, które miały swój styl i trzymały się go (Natasha: deseń w cętki, Blanche: dopasowana klasyka itd.), Chloe co tydzień pojawiała się w zupełnie innym wcieleniu. Tym razem miała na sobie czarne legginsy, błyszczące grafitowe balerinki i fantastyczną metaliczną swetro-suknię opuszczaną na jedno ramię, również w kolorze grafitowym.

Prawdopodobnie naprawdę można by ją wziąć za kobietę. Wysoką, owszem, i nie chudą, zdecydowanie nie chudą – ale też nie postawną jak latryna (w przeciwieństwie do, powiedzmy, biednej Blanche).

Zgrabne nogi – być może nieco zbyt umięśnione łydki i uda, gdyby się chciało czepiać, ale ja nie chciałam – i naprawdę urocza twarz. Bardzo ładne ciemne oczy podkreślone wprawnym makijażem i gęste ciemne rzęsy.

W kuchni podniosły się krzyki.

– Jest już Chloe? Jest już Chloe! Chloe, chodź tutaj, musisz mi pomóc z tymi moimi brwiami...

Chloe pobiegła nieść pomoc pozostałym dziewczętom. Miała szeroką wiedzę specjalistyczną, ponieważ odbyła roczne „ekologiczne” szkolenie w Seattle, mieście z „pokaźną” populacją crossdresserów. Znała się na „męskim” podkładzie, gęstej maści o konsystencji mokrego cementu, która wypełniała szczeliny i całkowicie zakrywała dowody posiadania zarostu, zapewniając naturalne, atrakcyjne wykończenie. Udzielała pozostałym porad na temat woskowania torsów, golenia wierzchów dłoni, pomagała przyklejać sztuczne paznokcie itp.

Ale pomimo szczodrego dzielenia się swoją wiedzą, ona wyglądała jak księżniczka, gdy tymczasem pozostałe dziewczęta w najlepszym wypadku można było uznać za Brzydkie Siostry z bajki.

Plan na wieczór: obejrzymy film *Diabeł ubiera się u Prady* (świeża dostawa u Kelly i Brandona), potem zaś odbędzie się „lekcja poruszania się”, podczas której będziemy ćwiczyć kobiecy chód. (Miałam książkę o tej tematyce.)

19.57

– Gotowe na film? – Moja ręka zawisła nad pilotem.

– Jeszcze tylko zrobię siusiu...

– A ja poprawię szminkę...

– Muszę poszukać w torebce okularów...

Dziewczęcy zgiełk w końcu ucichł. Wcisnęłam „play”, zaczęła się piosenka – po czym rozległy się cztery głośne stuknięcia do drzwi!

Jake? A jeśli nie Jake, to kto? Chyba nie kolejna cholerna transka?

– Dziewczęta, czy któraś z was zaprosiła jakąś przyjaciółkę, nic mi o tym nie mówiąc?

Pokręciły z lękiem głowami.

– Na pewno? Ponieważ jeśli otworzę drzwi i na progu będzie czekać szukająca schronienia transka, to nieźle się wkurzę.

– Nie. Słowo honoru.

– W takim razie kryjcie się. Wszystkie.

Czmychnęły na górę, a ja otworzyłam drzwi. I na progu ujrzałam potężnego, groźnie wyglądającego policjanta w granatowym mundurze z mosiężnymi guzikami. Koniec zabawy.

Mieszane uczucia. Niezaprzeczalna ulga, że piątkowe wieczory dobiegły końca; ten obowiązek dość mocno mi ciążył. Ale poczułam także smutek z powodu transek. Bałam się, że napytają sobie biedy, że ich nazwiska zostaną wymienione w „Clare Champion” i że staną się pośmiewiskiem na całe hrabstwo.

– Jestem Garda* Lyons, mogę wejść? – zahuczał niski głos spod czapki.

– A w jakim celu?

– Mam podejrzenie, że w piątkowe wieczory organizowane są tu imprezy dla crossdresserów.

Blask bijący od jego ogromnych, wypolerowanych czarnych butów niemal mnie oślepił.

– To nie jest niezgodne z prawem. – Drżał mi głos. – Nie robimy niczego złego. Tom Twoomey wie o tym i nie ma nic przeciwko.

** Policjant w Irlandii.*

(Pytałam go o pozwolenie za każdym razem, gdy dołączała do nas nowa dziewczyna. Niezmiennie odpowiadał, że o ile tylko nikt nie zepsuje znowu tosterka, to możemy robić, co tylko chcemy.)

– Nikt nie mówi, że to niezgodne z prawem. Mogę wejść?

– Nie. – Nagły sprzeciw. – W środku są transki. Denerwują się. Muszę chronić ich tożsamość.

– Proszę posłuchać. – Nagle przyciszył głos. – Chciałbym się przyłączyć.

Och, na litość boską! Nie mogłam w to uwierzyć. Po prostu nie mogłam w to uwierzyć. Kto by przypuszczał, że tyle transek jest w hrabstwie Clare? Co tam, w całej Irlandii?

– Jesteś transką, Gardo Lyons?

– Nie jestem gejem. Ale owszem, lubię się przebierać w damskie ubrania.

– No to wchodź w takim razie – rzekłam z ciężkim sercem.

20. 03

Pobiegłam na górę. Transki czekały schowane w moim pokoju, ich twarze mocno zaniepokojone.

– Jest tu policjant.

– Nie! – Noel zaczął jęczeć. – Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie! To koniec, jestem udupiony, jestem zrujnowany, jestem...

– Przestań. To jeden z nas. Z was. To crossdresser. Uszmkowane usta otworzyły się szeroko ze zdumienia.

Stukając obcasami, zeszyły na dół i z podejrzliwością otoczyły Gardę Lyonsa, niczym stado hien z wytuszowanymi rzęsami. Dokonałam wzajemnej prezentacji.

– Skąd o nas wiesz? – zapytał Noel lekko wyzywającym tonem.

– Szczęśliwy zbieg okoliczności, Natasha, szczęśliwy zbieg okoliczności.

Garda Lyons mówił powoli i z namaszczeniem, jakby składał zeznania w sprawie o kradzież.

– Wyjaśnij to, proszę. – Nastawienie Noela było wyraźnie napastliwe.

Garda Lyons odkaszlnął i wstał.

– We wtorek drugiego grudnia, w godzinach porannych pewna gospodyni domowa, zwana dalej panią X, zamieszkała w miejscowości Kilfenora, w północnej części hrabstwa Clare, niesłusznie przyjęła przesyłkę dostarczoną przez firmę kurierską An Post.

– Proszę usiąść – mruknęłam. – To nie sąd. Wy też usiądźcie, napijcie się po małym drinusu. Tak, dziękuję, Gardo Lyons, kontynuuj.

– Pani X, kobieta zajęta, matka trojga dzieci w wieku poniżej lat czterech, nie zwróciła uwagi na to, że przesyłka nie jest zaadresowana do niej, ale do niejakiej Loli Daly z Knockavoy...

– Wścibska małpa – wtrącił Noel.

– ... i otworzyła ją „nim zdała sobie sprawę z tego, co czyni”. Cytat.

– Wścibska małpa.

– Po otwarciu przesyłki gospodyni domowa odkryła w niej dziwną bieliznę, sztuk cztery. Do jej opisu użyła słowa „zboczona”. Mocno rozstrojona wezwała proboszcza, który skropił bieliznę wodą święconą i poradził gospodyni domowej, by zaniósła ją na lokalny posterunek policji. Gdzie tak się akurat złożyło, że dyżur miałem ja.

(Tak mi się wydawało, że zamówiona bielizna nie dotarła. Ale przychodziło do mnie tyle przesyłek, niemal każdego dnia, że tak do końca nie byłam pewna.)

– W związku z moim szczególnym zainteresowaniem tematem – kontynuował Garda Lyons – rozpoznałem, co to takiego: po prostu ochraniacze

na genitalia. Nie było w nich nic „zбочzonego”. Nie wyjaśniałem tego tej kobiecie. Schowałem po prostu te rzeczy i pudełko zaadresowane do panny Daly i zobowiązałem panią X do zachowania tajemnicy...

– Jak? – zapytał ostro Noel. – Skąd wiesz, że będzie trzymać buzię na kłódkę?

– Ponieważ mam na nią haka. Każdy ma swoje tajemnice, Natasha. Pani X będzie trzymać buzię na kłódkę.

– Och. Cóż, to dobrze. To dobrze.

– Następnie zająłem się wypytywaniem o pannę Lolę Daly i odkryłem, że pod jej adresem w Knockavoy w każdy piątek o dziewiętnastej odbywają się zebrania. „Dodałem dwa do dwóch” i doszedłem do wniosku, że piątkowe zebrania i ochraniacze na genitalia są ze sobą związane. Mój wniosek okazał się prawidłowy.

– To naprawdę niezwykle! – Noel zupełnie zmienił ton. – Już trzy dziewczyny zjawily się u ciebie, Lola, przypadkiem. Ja. Chloe. A teraz... ?

– Dolores – powiedział Garda Lyons. – Mam na imię Dolores.

– Witaj, Dolores! Tak, witaj, witaj.

– Wszystko pięknie – odezwałam się. – Ale co z moją przesyłką?

– Skonfiskowana. Spisz ją na straty. Zrzuć winę na An Post.

20. 32

Dolores Lyons była bardzo wysoka. Metr dziewięćdziesiąt albo coś koło tego. Potężna i ze sporą nadwagą, ale nie wyglądała z nią najgorzej. Rozpięty mundur ukazał olbrzymi brzuch podpięty pod niesamowicie szeroką klatką piersiową i pomyślałam: To moje największe wyzwanie.

22. 07

Poszli wszyscy z wyjątkiem Chloe, która pomagała mi posprzątać.

– No i mamy piątkę – powiedziała Chloe, wstawiając kieliszki po winie do zlewu. – Wygląda na to, że masz powołanie, Lola.

– Nie chcę żadnego powołania...

– Ale tak już jest z powołaniami, ty ich nie wybierasz, to one wybierają ciebie. – Chloe rozbawiona była moją sytuacją. – Pomyśl o Matce Teresie. Kiedy doradca zawodowy zapytał ją: „Kim chciałabyś być, kiedy dorośniesz, Matko Tereso?“, może odparła: „Chciałabym być stewardesą“. Nie sądzisz, że to mało prawdopodobne, by powiedziała: „Chciałabym bratać się z trędowatymi“. Mało prawdopodobne, prawda, Lola?

– Cieszę się, że dla ciebie jest to takie zabawne.

– Może Matka Teresa nawet nie lubiła trędowatych. Może żywiła do nich niechęć, ale trędowatych nic to nie obchodziło i przybywali tłumnie do niej.

Chloe mocno rozbawiona. Ustawiłam puste butelki po winie kolo drzwi, by je zabrać, kiedy będę jechać do banku butelek z Rossą Considine'em.

– Tak jak transki przybywają tłumnie do ciebie, Lola. ... *jechać do banku butelek z Rossą Considine'em...*

– Święta Lola, patronka crossdresserów. *Chloe to Rossa Considine...*

Dlaczego życie jest tak cholernie dziwaczne?

Sobota, 13 grudnia, 11. 22

Zadzwoiła Bridie.

– Czuję się jak borsucza dupa – oświadczyła zachrypniętym głosem. – Wczoraj wieczorem mieliśmy w firmie imprezę gwiazdkową. Szczęściara z ciebie, że pracujesz na własny rachunek...

– Nie pracuję.

– Nie musisz brać udziału w żadnej imprezie gwiazdkowej. O Boże, Lola, czuję się jak borsucza dupa.

- Gdzie usłyszałaś to określenie?
- W telewizji. Dobrze, no nie?
- O tak, bardzo dobre.
- Tak sobie myślałam. O Paddym de Courcy. Mężczyzna taki jak on mógłby zadzwonić po seks praktycznie do każdej.
- Do czego zmierzasz, borsucza dupo?
- Nie zadzwonił do ciebie z myślą o szybkim numerku.
- A w takim razie po co? – zapytałam podejrzliwie. Mało prawdopodobne, by Bridie odpowiedziała: „Ponieważ wciąż cię kocha”.
- Starał ci się przypodobać.
- Dlaczego Paddy miałby chcieć mi się przypodobać?
- Masz na niego haki. Kilka tygodni temu gazety rozpisywały się o Dee Rossini i jej życiu seksualnym. Mało brakowało, a musiałyby odejść ze stanowiska. Ty mogłabyś puścić gazetom farbę o tym całym dziwnym seksie, do którego namawiał cię Paddy. To dopiero byłaby bomba.
- To nie był dziwny seks.

Mogłam przyjąć postawę moralizującą, ponieważ nie tak dawno Bridie zdradziła mi strasznie wstydliwą tajemnicę. Od czasu gdy ona i Barry wzięli ślub, ich „relacje” uległy redukcji. Barry dokonał oceny podsumowującej rok (pracuje w HR) i oświadczył jej, że w minionym roku kalendarzowym uprawiali seks tylko piętnaście razy – raz w miesiącu plus dodatkowy numerek w jego urodziny, rocznicę ślubu i w dniu, w którym Kildare wygrało mistrzostwa Irlandii w piłce nożnej. (Dziwne, bo żadne z nich nie było fanem Kildare. Być może miało to związek z tą obwodnicą?)

– Ależ był, Lola. Przyznaję, że wtedy w porównaniu z tobą czułam się jak seksualny cymbał. Ale patrząc wstecz... Niewiele uczucia było w tym

seksie, który uprawiałaś z Paddym de Courcy. I założę się, że nie opowiedziałaś mi nawet połowy.

Zdumiałam się. Bridie chodziła na kurs czytania w myślach?

– Powiedział, że za mną tęskni. – Chwytałam się wszelkich sposobów.

– Jasne, że tęskni! Mało prawdopodobne, by końska Alicia podzielała jego upodobanie do perwersyjnego seksu.

– Nie perwersyjnego. Erotycznego.

– Perwersyjnego. Perwersyjnego, perwersyjnego, perwersyjnego.

Bridie to największa uparciucha, jaką znam.

12. 04

Kafejka internetowa

Wpadłam, by zobaczyć się z Cecile. („Wpadłam”. Nie lubię tego określenia. Przywodzi ono na myśl małostkowe, odpicowane mamusie w nieskazitelnie czystych lnianych spodniach w pastelowych kolorach. Będę się powstrzymywać przed jego używaniem.)

Kiedy odrzuciłam awanse Jake'a, bałam się, że Cecile się na mnie obrazi, zwłaszcza że to ona była naszą pośredniczką. Ale jej reakcja była dokładnie odwrotna. Triumfująco poinformowała mnie o ponurym nastroju Jake'a. Oświadczyła, że „czas najwyższy”, by „ten lichwiarz” otrzymał „to, na co zasłużył”.

– Ten płacziwy picuś nie połapał się, że trafiło mu się coś jak ślepej kurze ziarno – stwierdziła. – Na drugi raz sześć razy pomyśli, nim coś zrobi.

Fascynujące (aczkolwiek zaskakujące) użycie kolokwializmów.

15.27

Powrót z miasta do domu

Rossa Considine „majstrował” coś przy samochodzie.

- Hej! – zawołałam do niego. –Hej.
- Jak to możliwe, że nie łazisz dzisiaj po jaskiniach?
- Jutro jadę.
- Aha. Słuchaj. Tak sobie myślałam.
- O... ? – Oderwał się od majsterkowania i wyszedł na drogę do mnie.
- Niedługo będą święta. Powinniśmy urządzić przyjęcie gwiazdkowe.

Nasza piątkowa grupa.

– Skąd ten pomysł? Sądziłem, że niechętnie bierzesz udział w spotkaniach crossdresserów, sorki, transek.

– No bo tak jest. Ale rozmawiałam z moją przyjaciółką Bridie. Wczoraj była na takim przyjęciu. Ciągłe powtarzała, że czuje się jak borsucza dupa. Urzekło mnie to określenie.

– Możesz się upić dowolnego wieczoru.

– Potrzebuję wymówki. Jeśli zacznę się upijać bez wymówki, obawiam się, że na okrągło będę pijana.

– No więc co ci przychodzi do głowy?

– Przyszły wtorek? Dzień przez Wigilią.

– Co robisz w święta?

– Jadę na cztery dni do Birmingham. Mój tata tam mieszka. A potem razem z Bridie i Treese jadę na sylwestra do Edynburga. Do Knockavoy wracam dopiero czwartego stycznia, więc lepiej urządzmy to przyjęcie we wtorek dwudziestego trzeciego. Bo będzie za późno. Mogę zorganizować babeczki z bakaliami, grzane wino, zabawki z niespodzianką, tego rodzaju rzeczy.

– Ale narobisz sobie przez to dodatkowej roboty. Obgadam to z pozostałymi.

Transki stworzyły swego rodzaju nieformalną sieć i kontaktowały się ze sobą w tygodniu drogą e-mailową. Ja nie zostałam włączona do tej sieci. I dobrze.

– PŁYTKA SUKA!

To był Jake. Pojawił się nie wiadomo skąd na rowerze. Nie miałam pewności, co było bardziej denerwujące. Jego nagłe pojawienie się czy fakt, że jechał na rowerze. (Jazda na rowerze nie przydawała mu seksapilu. Zdecydowanie nie był typem rowerzysty.)

– Owszem, płytka, ale nie suka! – zawołałam za nim.

Uświadomiłam sobie, że mnie nie słyszy, ale musiałam się jakoś bronić, więc odwróciłam się do Rossy Considine'a.

– Nie jestem suką – rzekłam. – Dochodziłam do siebie po innym związku.

– Czemu mówisz, że jesteś płytka?

– Z powodu mojej pracy. Wszyscy twierdzą, że stylistki to płytke kretynki. Kiedyś usłyszałam świetne zdanie: za pomocą kokainy Bóg ci mówi, że masz za dużo pieniędzy. Tak samo można powiedzieć, że kiedy stylistki mają kupę roboty, kraj być może za bardzo się wzbogacił.

– Masz więc teraz mnóstwo zleceń?

– Nie, ale to moja wina. Mam uroczą klientkę, Sarah Jane Hutchinson, poleciła mi nową klientkę, ale nie mogłam jechać do Dublina, więc ją straciłam.

– Czemu nie mogłaś jechać do Dublina? Pomijając fakt, że to miasto to totalne dno?

– Bo mieszka tam mój były chłopak. Kiedy ostatni raz byłam w Dublinie, zobaczyłam go w towarzystwie jego koniowatej narzeczonej. Prawie że puściłam pawia na ulicy, a potem było już tylko gorzej.

– No to pracuj zdalnie z hrabstwa Clare. Pokręciłam głową.

– Nie dałoby się tak na dłuższą metę. Większość bogatych kobiet mieszka w Dublinie. Większość dobrych sklepów znajduje się w Dublinie. Owszem, kurier może dostarczyć mi tu rzeczy, ale to dużo więcej kosztuje, niż gdybym miała sama pochodzić po dobrych dublińskich sklepach i powybierać to, co najlepsze.

– Rozumiem.

– Stylizacja to profesja, w której dużo jest strachu. Tak, naprawdę, Rosso Considine. Widzę, że nie jesteś przekonany. Oczywiście nie jest to tak ważna praca jak twoje ekologowanie. Ale dla ludzi, którym pomagam, jest ważna.

– Hej, komu to mówisz? Znam wartość tego, co robisz, Lola.

Spojrzałam na niego twardym wzrokiem.

– Sarkazm, Rosso Considine?

Westchnął ciężko.

– Nie sarkazm. Opowiedz mi więcej o strachu wiążącym się z twoim zawodem.

– Cóóó... Ż, jeśli zjawiam się na sesji i widzę, że nie trafiłam w oczekiwania klientki albo klientka skłamała w kwestii rozmiaru – dzieje się tak nagminnie, mówią trzydzieści osiem, gdyż zbyt wstydzą się przyznać, że noszą czterdziestkę dwójkę – nic się nie da zrobić. W Dublinie mogę pobiec po więcej ciuchów, ale tutaj nie ma możliwości zaradzenia tej sytuacji. Sesja okazuje się katastrofą.

– Rozumiem, co masz na myśli. – Na jego twarzy malowały się życzliwość i zainteresowanie. Niezwykła reakcja. Cóż, pewnie dlatego, że był transką.

– Kurdemol, Rossa, zmykam do domu, stopy mi skostniały. Strasznie długo staliśmy i gadaliśmy.

– Masz ochotę wejść do mnie na herbatę?

– O nie, nie. – Nagle poczułam się onieśmielona.

Poniedziałek, 15 grudnia, 19. 29

U pani Butterly

Więści radujące serce! Dowiedziałam się od pani Butterly, że Osama nie jest już sam. W piątkowe wieczory razem z nim do kina do Ennis jeździć będzie Fretka Kilbert. Ma samochód, więc Osama nie będzie musiał tłuc się autobusem. Poza tym będzie miała jakieś zajęcie w czasie, kiedy jej chłopak przebiera się w damskie ciuchy. (Choć tego to akurat pani Butterly mi nie powiedziała. To było moje prywatne spostrzeżenie.)

Zadziałał duch wspólnoty.

Wtorek, 16 grudnia, 11. 22

Leżąc w łóżku i rozmyślając

Gdybym była mężczyzną, podobałaby mi się Chloe.

Środa, 17 grudnia, 12. 23

Przechodząc obok kafejki internetowej

Cecile mnie dojrzała i pomachała, bym do niej weszła. Odmachałam wesoło, ale poszłam dalej.

Wstyd się do tego przyznać, ale zaczęłam unikać Cecile: jej dialekt rodem z hrabstwa Clare stawał się coraz trudniejszy do zrozumienia. Podejrzywałam, że więcej bym zrozumiała, gdyby mówiła po francusku. Z

tych niewielu zdań, które zrozumiałam wynikało, że Jake i Jaz są parą. („On mówi do niej: Chcesz utonąć razem z moimi ludźmi?“). Bardzo mnie to ucieszyło. Mam nadzieję, że to zakończy jego rowerowe wyzwiska.

19. 07

Wybierając się do miasta na kolację

Rossa Considine wrócił z pracy. Zawołał do mnie:

– Operacja Borsucza Dupa rozwija się pomyślnie!

– To dobrze, dobrze.

Piątek, 19 grudnia

Rossa Considine mnie okłamał! Operacja Borsucza Dupa wcale się nie rozwija pomyślnie! Kontrolę nad Operacją Borsucza Dupa przejęła Natasha.

– Nie mamy ochoty spędzać naszego przyjęcia gwiazdkowego tutaj, oglądając *To wspaniałe życie* i jedząc ciasto z owocami – oświadczyła wyzywająco. – Chcemy się wszystkie wybrać na tańce.

– Trochę rozsądku, Natasha, błagam cię! – zawołałam. – W Bakaracie nas zlinczują. – (Bakarat to miejscowa dyskoteka.)

– Nie. – Natasha pokręciła głową. – Znam miejsce, które jest „wyzumiałe” dla naszych potrzeb. W Limerick.

– I w czym tkwi problem?

– Potrzebny nam minivan. I ktoś będzie musiał być kierowcą.

– Ja mogę nim być – powiedziała Chloe. (W tym tygodniu miała na sobie niewiarygodnie stylową sukienkę bez pleców. Z Topshopu! Prawdziwa damska sukienka, tyle że w rozmiarze czterdzieści sześć.)

– Nie, ty nie będziesz kierowcą – warknęła Natasha.

– To nasze przyjęcie gwiazdkowe, a jeśli Lola nie będzie kierowcą, to Lola może mieć problem z wypłatą zasiłku dla bezrobotnych.

– To szantaż! – Chloe była zgorzonna. – Natasha, Lola sama zaproponowała, by zorganizować to przyjęcie!

Ale Natasha zdążyła już przekabacić pozostałe transki, naopowiadawszy im o dyskotecę, gdzie mogłyby swobodnie tańczyć z takimi jak one.

– Proszę, Lola? – odezwała się Blanche. – Bardzo bym chciała jechać.

– Ja też bardzo bym chciała jechać – dodała Sue.

– I ja też, proszę, Lola – błagała Garda Dolores Lyons, patrząc na mnie żałośnie.

– No dobrze – powiedziałam gburowato. Co za cholerne transki...

– Nie, Lola – zaprotestowała Chloe.

– W porządku – odparłam. – To moje powołanie. Zrobię to.

– Żartowałam, kiedy mówiłam, że masz powołanie.

– Ale wygląda na to, że to prawda. Święta Lola od Transek.

– Crossdresserów – warknęła Natasha.

– Transek, transek, transek, transek, transek. – Nie byłam w humorze. – Przymknij się albo nie będę kierowcą.

– Przepra... !

– Czy mogłabym zaproponować pewne rozwiązanie?

– Chloe próbowała przywrócić spokój. – Lola, moglibyśmy wyjść gdzieś razem kiedy indziej, co ty na to? Na miejscu, tak że niepotrzebny byłby kierowca. Po świętach? Kiedy wrócisz z Birmingham. Wleję w ciebie mnóstwo drinków i będziesz się czuła jak borsucza dupa. Panie nie muszą brać w tym udziału. Możemy zaprosić twoich innych znajomych z Knockavoy.

– Na przykład kogo?

– Surfera? Jake, tak ma na imię? – Błysk w oczach Chloe.

– Tak, moglibyśmy zaprosić Jake'a. – Zaczął bulgotać we mnie śmiech.

– Mógłby stać na drugim końcu pubu...

– ... i wykrzykiwać na nas.

Wybuchnęliśmy śmiechem, zgromieni wzrokiem Natashy.

22. 13

Poszli wszyscy z wyjątkiem Chloe.

Stało się zwyczajem to, że Chloe zostawała dłużej, by pomóc mi posprzątać.

– Myślisz, że żona Noela rzeczywiście wierzy w to, że on w każdy piątkowy wieczór spotyka się z kolegami? – zapytałam, wyrzucając do kosza resztki przegryzek.

– Trudno powiedzieć. Może łatwiej jest jej po prostu udawać, że w to wierzy.

– Ty to masz szczęście – rzekłam. – Gillian jest naprawdę super. W ogóle się tym nie martwi.

– Mam duże szczęście – przyznała Chloe, wchodząc za mną do kuchni. – Gillian jest zaskakująco wyrozumiała. Mówi, że gdyby miała wybierać, to wolałaby już, żebym zrezygnowała z chodzenia po jaskiniach. Twierdzi, że to zbyt niebezpieczne. – Chloe spryskała płynem do mycia naczyń brudne kieliszki, po czym wypaliła: – Miałaś kiedyś chłopaka crossdressera?

Cisza. Długa cisza. Zbyt długa, ponieważ odpowiedź była krótka.

– Nie – powiedziałam. – Ale... –Ale...

– ... miałam chłopaka, który miał inne... zainteresowania.

Chloe przestała nalewać gorącą wodę do zlewu.

– Zainteresowania?

– No wiesz... seksualne.

Uważnie przyglądałam się Chloe. Nic się nie dało wyczytać z jej twarzy.

– Wszystko jest do przyjęcia – rzekła – o ile tylko akceptują to obie strony.

– Było... interesująco. Dobrze jest przesuwac granice, no nie?

– Tak... jeśli obojgu wam to odpowiada.

Niespodziewany przeblysk wspomnień. Przypomniałam sobie, jak Paddy zabrał mnie do Cannes. Prywatnym samolotem. Na lotnisku czekała na nas limuzyna. Olbrzymi apartament w hotelu Martinique. Gdy się tam zjawiliśmy, zarzuciliśmy łozko torbami firmowymi z drogich butików na Croisette. Ja biegalam od pomieszczenia do pomieszczenia i piszczalam z zachwytu, aż znalazłam się twarzą w twarz z piękną Rosjanką w kostiumie Chanel, czekającą w salonie.

Co ona tu robila? Przez krótką chwilę sądziłam, że to może sekretarka. Możliwe, że Paddy musiał przez weekend trochę popracować.

Wtedy on powiedział:

– To Alexia. Na czas pobytu w Cannes będzie naszą... przyjaciółką.

Przyjaciółką? *Przyjaciółką?*

O nie. A Paddy z drapieżnym uśmiechem rzekł:

– O, tak.

Na to wspomnienie zrobiło mi się niedobrze.

– Lola, wszystko w porządku? – zapytała Chloe z troską w głosie.

– Tak, dobrze, dobrze, tylko... ten chłopak, o którym wspomniałam...

– Tak...

– ... kazał mi uprawiać seks z prostytutką. Rosjanką. Potem on uprawiał z nią seks, a ja musiałam patrzeć.

– Eee... a ty dobrze się z tym czułaś?

– Wtedy sądziłam, że tak.

– A teraz?

– Nie. – Miałam zduszony głos i cała się trzęsłam. – Teraz uważam, że to było okropne. Żenujące. Upokarzające. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam. To wcale nie było przesuwanie granic. To nie było seksualne wyzwolenie. Po prostu dałam się upokorzyć. – Mój głos stawał się coraz wyższy. Nie mogłam złapać tchu.

– Chodź, usiądziemy.

W salonie wzięła mnie na kolana, jak matka małe dziecko, i tuliła mnie tak mocno, aż w końcu przestałam się trząść. Chwytałam powietrze ustami, przeciskałam je do płuc, aż w końcu mój oddech wrócił do normy. Oparłam się o Chloe. Bardzo mi było dobrze w jej ramionach i pomyślałam: Jakie miłe i wielkie są jej dłonie.

– Mogłam mu odmówić – wykrztusiłam. – Pewnie powinnam była.

– Ale nie mogłaś. Ponieważ gdybyś mogła, tobyś to zrobiła.

– Tak. Tak. – Taka byłam jej wdzięczna za to, że mnie rozumie. – Bałam się. Bałam się, że on... że mnie wyśmieje. Bałam się, że nie będzie mnie kochał. Bałam się... po prostu się bałam.

Były też inne okazje, inne okropne sytuacje. Nie wiedziałam, dlaczego akurat to zdarzenie tak bardzo mnie teraz poruszyło.

0. 44

W łóżku

Nie mogłam zasnąć.

Myślałam o tym, co wyznałam Chloe. O tym, że trójkącik z prostytutką kiedyś wydawał mi się czymś niemal normalnym.

Ale teraz już nie. Teraz wydawał się obrzydliwy i dziwny.

Właściwie to teraz było dla mnie oczywiste, że od samego początku seks z Paddym był obrzydliwy i dziwny. Wyobraźcie sobie tylko, że zabranie na pierwszej randce do sex shopu uważałam za erotyczne! Teraz rozumiałam, że to był test. Sprawdzał mnie, by się przekonać, jak daleko gotowa jestem się posunąć. I uznał, że zrobię wszystko.

I choć w Cannes zrobiłam to, co chciałam, musiałam wiedzieć, że coś jest nie w porządku, ponieważ nikomu o tym nie powiedziałam. Był czas, że chełpiłam się seksualnymi wyczynami z Paddym.

Ale nadszedł taki moment, że przestałam opowiadać o tym Bridie i pozostałym. Wychwyciłam zmianę w ich nastawieniu. Przestali zdumiewać się i mi zazdrościć, a zaczęli... cóż, chyba zaczęli się martwić.

Sobota, 20 grudnia, 8. 33

W drodze do Tipperary, gdzie stylizowałam przed przyjęciem gwiazdkowym

Rossa Considine wyjmował z bagażnika liny i tego typu sprzęt.

Podszedł do oddzielającego nas płotu i zapytał: . – Jak się dziś czujesz?

Miał bardzo życzliwy wyraz twarzy i przez chwilę zastanawiałam się, co jest tego powodem. Zupełnie zapomniałam, że opowiedziałam mu o Paddym i Alexii. Ponieważ, no jasne, nie opowiedziałam tego jemu, lecz Chloe.

Zła byłam, że on o tym wie. Tak jakby Chloe nadużyła mojego zaufania i mu powiedziała, jakby Rossa był jej bratem bliźniakiem.

– Dobrze. Muszę jechać.

Gdzieś mógł sobie wsadzić to swoje współczucie, życzliwe spojrzenie i całą resztę. Gdybym chciała życzliwości Rossy Considine'a, opowiedziałabym o tym Rossie Considine'owi.

19. 17

Przechodząc obok Lochu

– Ho, Lola Daly! Prosimy na słówko! – Boss czatował na mnie.

Weszłam do środka i zgodziłam się wypić szybkiego drinka.

– Czy to prawda – zapytał ostro Boss – że Fretka Kilbert w piątkowe wieczory dotrzymuje towarzystwa Osamie, gdy tymczasem wy latacie po domu w babskich szmatkach?

Byłam przerażona! Zdumiona i przerażona!

– Skąd wiecie o babskich szmatkach? To ma być tajemnica...

– W takim miasteczku jak Knockavoy nic się nie utrzyma w tajemnicy, Lola Daly. Nie na długo. Tak do końca to nie uwierzyłem w tę twoją historyjkę o klubie filmów o zemście i ciuchach, więc wczoraj wieczorem pobawiliśmy się z chłopakami w detektywów. We trzech zakradliśmy się i podglądaliśmy was przez okna. Dziwne, że nie słyszałaś naszego śmiechu i pisków.

– Mało brakowało, a wypadłby mi drugi dysk – wtrącił Profesor. – Tak mocno się śmiałem.

Kurdemol do kwadratu!

– Boli mnie to, że mi nie zaufałaś, Lola – oświadczył Boss. – Sądziłem, że jesteście przyjaciółmi...

– Jesteśmy przyjaciółmi, Boss, jesteśmy. – Wstyd mi się zrobiło. Boss był dla mnie miły, zmusił mnie do starania się o zasiłek, kupował witaminę B itd. – Ale to nie była moja tajemnica.

– Wiem, kim jest każda jedna z twoich „pań”. Sprawdziłem tablice rejestracyjne. – Kiwnął głową w stronę Mossa. – Moss ma znajomości. Zdobył nazwiska i adresy.

O Boże. Jeśli Noel się dowie, że jego piątkowe zajęcia są powszechnie znane, dostanie napadu szału. A jedną z moich „pań” był stróż prawa...

Położyłam dłoń na ramieniu Bossa. Nie było to coś, co normalnie bym zrobiła, najwyżej w sytuacji kryzysowej.

– Nie możecie o tym nikomu powiedzieć – rzekłam błagalnie. – Błagam was... Ci biedni faceci... to jedyne dla nich wyjście...

– Komu miałbym powiedzieć?

– Wszystkim!

– Jasne, przecież nie robią nic złego. Nie kręcicie tam przecież filmów porno. No i dzięki wam mieliśmy ubaw aż po same pachy.

– Koniec z tym. Nie ma śmiania się z transek!

– Właściwie – odezwał się Profesor pompatycznym tonem wskazującym na to, że zaraz nastąpi wykład – to nie należy ich nazywać transkami, jako że żaden z nich nie jest gejem.

– Kartofel Conlon jest.

– Nie jest.

– Jest.

– Pijacki numererek podczas zejścia na ląd w Singapurze się nie liczy.

Nastąpiła długa rozprawa Profesora na temat seksualności i crossdressingu.

Niedziela, 21 grudnia, 20. 47

Dąb

Choć to niedzielny wieczór, pub pełen ludzi. Powodem był niewątpliwie okres przedświąteczny. Całe wieki musiałam czekać na moją pozbawioną grudek zupę dnia. Biedny Osama zwijał się jak w ukropie.

Considine siedział w dużej grupie facetów w typie macho, nogi miał szeroko rozstawione, a w męskich dłoniach dzierżył kufel z piwem. To pewnie byli ci jego koledzy od jaskiń. Gdyby tylko wiedzieli, w kogo Considine zmieniał się w piątkowe wieczory... Ale może wiedzieli. Gillian przecież wiedziała.

Drugą grupę tworzyli surferzy, włącznie z Jakiem. Przygotowałam się na wyzwiska, ale on mnie zignorował. Zbyt był zajęty wymienianiem śliny z Jaz. To była ta dziewczyna z tatuażami z imprezy w domku surferów. Ta, która do mnie rzekła: „Zapamiętaj moje imię”, a ja je od razu zapomniałam.

Jake uśmiechnął się do mnie szyderczo, po czym zwiększył natężenie obłapianek i wsunął dłoń w spodnie Jaz, otwarcie ściskając jej pośladek.

Uśmiechnęłam się życzliwie. Miałam nadzieję, że będą szczęśliwi. Przeraziłam się, kiedy dotarło do mnie, że moje życzenia są szczerze. Jak to możliwe, że widok jego z inną kobietą nie robił na mnie żadnego wrażenia? Czy wcześniej on w ogóle nic dla mnie nie znaczył? Czy byłam sparaliżowaną, dziwną, wybrakowaną dziwaczką, która już nigdy nie wejdzie w normalny związek? Nie. Przypomniałam sobie w duchu: szalałam na punkcie Jake'a, dopóki nie zaczął wykazywać oznak tego, że planuje ze mną zerwać.

Poza tym nie zapominajmy, że dochodziłam do siebie po innym związku.

Poniedziałek, 22 grudnia, 5. 05

Nie mogłam spać. Czekałam na nadejście świtu.

Dręczyły mnie wspomnienia związane z Paddym. Prawdę mówiąc, to właśnie one mnie obudziły.

Próbowałam myśleć o czymś weselszym – Operacja Borsucza Dupa była zapięta na ostatni guzik. Minivan czekał zarezerwowany w Gregan's w Ennistymon. Chloe się tym zajęła.

Nastrój mi się jednak nie poprawiał. W tych ciemnych godzinach przed świtem czułam się samotna, samotna, samotna i żałowałam, że nie mogę porozmawiać z Chloe. Ona mnie zrozumiała, kiedy jej opowiedziałam o Paddym. Nie osądzała mnie. Po prostu otoczyła życzliwością.

Niesamowicie dziwna sytuacja. Chloe była dla mnie dostępna tylko przez jeden wieczór w tygodniu, niczym piątkowy Kopciuszek. A w międzyczasie nie mogłam do niej przecież zadzwonić ani wpaść.

Zamknęłam oczy, próbując jeszcze zasnąć. Ale nie mogłam się otrząsnąć z tych okropieństw.

– Mamo? – zapytałam.

Ale zamiast usłyszeć jej głos, w mojej głowie pojawiło się paskudne wspomnienie Paddy'ego.

– Mamo? – zawołałam ponownie. Ale te okropne obrazy za nic nie chciały opuścić moich myśli.

Zachorowałam na ciężką odmianę grypy. Tak kiepsko się czułam, że na kilka dni przeniosłam się do mieszkania Paddy'ego. Rankiem przed wyjściem do pracy dawał mi gripex i lucozade i czynność tę powtarzał wieczorem, kiedy wracał do domu.

Jednego wieczoru usłyszałam, jak wraca. Włączył światło i wybudził mnie ze spoczonego, majaczącego snu. Śniło mi się, że chodzę po wielkim domu, szukając łazienki. Na wpół rozbudzona uświadomiłam sobie, że rzeczywiście chce mi się siusiu i po kilku chwilach marzenia o cewniku zwlokłam się z rozgrzanego łóżka i poczłapałam do łazienki.

Siedziałam na sedesie, z czołem opartym o chłodne płytki, kiedy zobaczyłam, że do łazienki wszedł Paddy.

Nie było to nic wielkiego. Od samego początku należał na politykę otwartych drzwi w łazience. Nie do końca byłam do czegoś takiego przekonana, ale zważywszy na wszystko inne, co razem robiliśmy, upieranie się przy prywatności podczas siusiania wydawało się bezsensowne.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Do dupy. Jak ci minął dzień?

– Ach, no wiesz.

Wstałam, spuściłam wodę, umyłam ręce w rozkosznie zimnej wodzie, a kiedy próbowałam wyjść, na drodze stanął mi Paddy.

– Czego chcesz? – zapytałam.

– Ciebie. – Przycisnął mi plecy do krawędzi zlewu. On chyba nie... W moim stanie... ?

Ale wyczuwalna przez spodnie twardość jego wzwiedzonego członka nie pozostawiła mi wątpliwości: tak, chciał seksu. Ledwie byłam w stanie stać.

Jego dłonie znajdowały się na moich ramionach. Całował mnie w szyję.

– Paddy – powiedziałam. – Nie teraz, nie czuję się dobrze.

Wsunął ręce pod górę od pizamy i ścisnął sutki, by stwardniały. Zwalczyłam w sobie ochotę, by zacząć krzyczeć.

Po chwili jego penis znalazł się na wierzchu. Paddy pociągnął za moje spodnie od pizamy.

– Nie – powiedziałam, tym razem głośniej. – Paddy, jestem chora.

Próbowałam wywinąć się z jego uścisku, ale był dużo ode mnie silniejszy.

– Paddy. – Jeszcze głośniej. – Nie chcę tego robić.

Ale spodnie od pizamy miałam opuszczone do kolan, uda pokryte gęsią skórą, a on wchodził we mnie raz za razem, pomimo mego suchego oporu. Bolało. Krótkie, brutalne pchnięcia, a każdemu towarzyszyło stęknienie.

– Proszę...

– Zamknij. Się. – Wypowiedział te słowa z zaciśniętymi zębami.

Natychmiast przestałam się wyrywać i pozwoliłam mu pastwić się nad sobą, a krawędź umywalki boleśnie wbijała mi się w plecy.

Stękanie stało się głośniejsze, pchnięcia jeszcze bardziej kłujące, a potem on zadrżał i jęknął. Rozluźnił się i oparł całym ciężarem na mnie, tak że twarz miałam skrytą w jego klatce piersiowej. Ledwie byłam w stanie oddychać. Ale nie skarżyłam się. Czekałam, aż on zrobi wszystko, na co ma ochotę. Po jakimś czasie odsunął się i uśmiechnął do mnie czule.

– Chodź, położymy cię z powrotem do łóżka – rzekł.

Potykając się, wróciłam do sypialni, a ponieważ nie wiedziałam, co o tym myśleć, zdecydowałam, że najlepiej będzie w ogóle nie myśleć. Dzień lub dwa później uznałam, że jego zachowanie było zrozumiałe. Ponieważ zawsze zgadzałam się na wszystkie perwersje, musiał sobie pomyśleć, że mój popęd jest równie duży jak jego, i że nie zmniejsza go nawet atak grypy.

Wtorek, 23 grudnia, 19. 30

Zjawiała się Chloe. Uściskała mnie. Odkąd wyznałam jej wszystko o Paddym i rosyjskiej prostytutce, coś takiego wydawało się naturalne.

– Jestem wcześniej – rzekła. – Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. Chciałam jedynie się upewnić, że nadal chcesz być dzisiaj kierowcą. Że znasz trasę itd. Jak chcesz, to mogę sobie pójść i wrócić o ósmej trzydzieści, razem z pozostałymi.

– Nie, wejdź, proszę.

– Jak się czujesz? – zapytała. – Po tym, co opowiedziałas mi w piątek? Mam nadzieję, że nie czułaś się zakłopotana? Ani nie żałowałaś, że mi opowiedziałas?

– Nie, Chloe. Prawdę mówiąc, przypomniały mi się jeszcze inne rzeczy.

I opowiedziałam jej o tym razie, kiedy miałam grypę. A potem pojawiły się inne wspomnienia.

Chloe życzliwa. Nie powiedziała: „Dlaczego od niego po prostu nie odeszłaś?”. Nie zadawała żadnych pytań. Jedynie słuchała, mocno mnie tuliła i pozwalała się wyplakać.

20. 30

Leżałam na łóżku, a na powiekach miałam dwa waciki nasączone tomkiem ogórkowym, tak były spuchnięte od płaczu. Z dołu dobiegały podekscytowane piski i krzyki: transki przebierały się w swoje błyszczące szmatki.

21. 15

Operację Borsucza Dupa można oficjalnie uznać za rozpoczętą. Natasha, Blanche, Chloe, Sue i Garda Dolores Lyons siedziały w minivanie, Chloe z przodu obok mnie. Wszystkie w odświeżonych toaletach (z wyjątkiem Dolores, która przebrana była za policjantkę). Czułam się znacznie lepiej. Nie ma to jak porządne wyplakanie się.

22. 30

Klub HQ, Limerick

Zaparkowałam samochód. Wysypaliśmy się na parking. Nastroje nerwowe. Połączenie wyczekiwania i niepokoju.

Dla wszystkich będzie to pierwsze publiczne wyjście jako pań (z wyjątkiem Chloe, która robiła to wiele razy w Seattle). A co, jeśli Natasha

otrzymała błędne informacje i ten cały Klub HQ był normalną, wolną od transek dyskoteką? Nie uszlibyśmy stamtąd z życiem.

Ale sądząc po kalibrze innych kobiet na parkingu, kierujących się w stronę wejścia do klubu – poprawiających peruki i miejsca intymne, przeklinających męskimi głosami, kiedy się potykały z powodu wysokich obcasów – uznałam, że trafiliśmy we właściwe miejsce.

– Chodźcie. – Chloe i ja kroczyłyśmy dumnie jako pierwsze, za nami podążały pozostałe panie.

Niewielki, słabo oświetlony klub. Lustrzana kula. Na ścianach przesuwające się kolorowe wzorki. Głośna muzyka. Mnóstwo olśniewających kobiet i wyraźnie zadowolonych mężczyzn.

– Hej, seksowna damo – rzekł jeden z zadowolonych mężczyzn do Natashy. – Uwielbiam rudzielce. Założę się, że temperamentna z ciebie laska. Zatańczymy?

– Czemu nie? – odparła Natasha i oddaliła się z nieznajomym.

A ledwie zdążyliśmy przekroczyć próg!

Istniało nawet określenie na mężczyzn, którym podobają się transki – „adoratorzy” – i Klub HQ był ich pełen. Jako druga na parkiet poszła Dolores. Jej facet oświadczył:

– Podobają mi się kobiety w mundurze. Masz ochotę powywijać?

Chwilę później przyszła kolej na Blanche.

Sue, Chloe i ja znalazłyśmy półkę, na której mogłyśmy postawić nasze różowe drinki. Obserwowałyśmy parkiet. Niektórzy crossdresserzy wyglądali jak prawdziwe kobiety.

– No bo to są kobiety – zawołała Chloe, przekrzykując muzykę. – Żony i dziewczyny crossdresserów, które przychodzą, by ich wspierać.

Zafascynowało mnie to. Wcześniej wydawało mi się, że każda kobieta czułaby odrazę, gdyby jej facet przebierał się w damskie ciuchy. Pewnie dlatego, że dla mnie coś takiego było odpychające. Nie odpychające jako takie. Ale odpychające u mężczyzny, z którym jestem w związku. Jak mógłby mi się on znowu wydawać seksowny, gdybym go przyłapała na noszeniu różowych majteczek z falbankami?

– Nadchodzi kawaler – zawołałam do ucha Chloe. – Poprosi cię do tańca.

Ale tak się nie stało. Zamiast Chloe wybrał Sue, a ja mocno się zdumiałam. Chloe była jedyną z moich dziewcząt, której nie poproszono jeszcze do tańca, a z całą pewnością była najładniejsza i najlepiej ubrana – w bordową portfelową sukienkę z połyskującego materiału (zarazem seksowną i stylową), rajstopy w zygzakowaty wzór i botki do kostek na niesamowitych obcasach.

– Wysyłasz niewłaściwe sygnały – zawołałam do niej. – Trzymasz się zbyt blisko mnie. Idź na parkiet.

– Nie, wszystko w porządku... Jezu! – Chloe patrzyła na parkiet z buzią otwartą ze zdumienia. – Czy to Sue?

Wyciągnęłam szyję, by lepiej widzieć. I otworzyłam buzię tak samo jak Chloe. Oczom nie mogłam uwierzyć. To zdumiewające, że w każdym z nas drzemie jakiś talent! W jednym życiu Sue to małomówny chłop małorolny uprawiający ziemniaki i nierozstający się z czapką z daszkiem. W drugim życiu to niezwykle utalentowana tancerka. Jej ciało poruszało się niczym połyskująca rtęć. Gibkie, sprężyste, głowa w jedną stronę, ramiona w drugą. Nogi, które normalnie były chude jak u kurczaka, w błyszczących rajstopach wyglądały szczupło i zgrabnie. Budziła na parkiecie niezłą sensację.

– Ona się rzeczywiście świetnie bawi – powiedziała z podziwem Chloe.

– Kto by pomyślał?

Pomimo urody Chloe nikt nie poprosił jej do tańca i w końcu rzekła:

– Zatańczmy, Lola. Nie będziemy przecież podpierać ścian.

– Okej.

Chloe świetnie tańczyła. Super było. Już dawno tak się nie wybawiłam.

Przerwało nam dwóch adoratorów, ale szybko się wycofali, kiedy się przekonali, że naprawdę jestem kobietą.

– A ona? – Jeden z nich pokazał kciukiem na Chloe.

– Nie, to facet.

Przyjrzał się Chloe powątpiewająco.

– Ech, dajmy im spokój.

2. 07

Cała nasza szóstka z powrotem w minivanie. Pora była wracać do domu. Fantastycznie nastroje. Paplały jak najęte, wymieniając się historiami o adoratorach, otrzymanych komplementach i o tym, jak to przyjemnie pokazać się publicznie jako kobieta. Wszystkie zadowolone.

Choć to już druga w nocy, na drodze było mnóstwo samochodów. Imprezy świąteczne i tym podobne.

Jechaliśmy powoli.

Jechaliśmy wolniej.

W ogóle przestaliśmy jechać.

Ciąg samochodów jak w porze korków. Przed nami widać było światła.

– Co się dzieje?

– Policyjny punkt kontrolny – odparła Garda Dolores Lyons. Pokazała na walkie-talkie. To niemądre z mojej strony, ale wcześniej sądziłam, że to tylko element przebrania.

– Akcja Trzeźwe Świąta.

Policyjny punkt kontrolny! Wszystkich obleciał nagły strach. Nie dlatego, bym była pijana – nie byłam. Ale wiozłam samochód pełen transek, jedna z nich była policjantem, a co gorsza była przebrana za policjantkę. (Mógł beknać za podawanie się za policjantkę?) Wiedziałam, co sobie teraz myślą

– zostaniemy wyciągnięci z samochodu, każą położyć ręce na dachu i obmacają nas między nogami. Poinformują nasze rodziny. Do prasy przeciekną nazwiska. Byliśmy ugotowani.

Odwróciłam się do Chloe. Nasze spojrzenia skrzyżowały się. W tej samej chwili sięgnęłyśmy po leżącą na podłodze mapę.

– Zawracam – powiedziałam, ale ona już to wiedziała.

– Ja cię będę pilotować.

Wykonałam szybki skręt i ruszyłam z powrotem w stronę Limerick, byle dalej od policji. Ale Dolores miała kolejną złą wiadomość.

– Przed nami jeszcze jeden punkt kontrolny.

– To znaczy?

– To znaczy, że przed nami jest jeszcze jeden cholerny punkt kontrolny!

– Dla podkreślenia swych słów pomachała walkie-talkie. – Jedziemy prosto na niego.

Znaleźliśmy się w pułapce.

– Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie – jęknęła Natasha.

– Weź się w garść! – krzyknęła Dolores.

– Mam wiele do stracenia!

– Musimy zjechać z głównej drogi – powiedziała Chloe, studiując mapę.

– Ty masz wiele do stracenia? Ja jestem przedstawicielem cholernego prawa! Jak myślisz, że się czuję?

Kiedy tak przekrzykiwały się na tylnym siedzeniu, która z nich ma więcej do stracenia, na nocnym niebie pojawiła się luna światła drugiego punktu kontrolnego. Samochody zaczęły zwalniać.

– Cholera – mruknęłam.

– Lola – powiedziała Chloe – według tej mapy zaraz powinna być boczna droga w lewo... jest! Tutaj!

Nie było żadnego znaku i droga ta wyłoniła się z ciemności tak nagle, że musiałam wykonać gwałtowny skręt kierownicą. Kiedy skręcałam, rozległ się pisk opon na tyle głośny, by zwrócić uwagę policjantów stojących na środku drogi i oświetlonych niczym kosmici wychodzący ze statku kosmicznego. Nawet gdy wjeżdżałam w ciemną drogę, miałam świadomość tego, że patrzą za nami. Rozległy się jakieś krzyki.

– Kurwa! Zobaczyli nas.

– Po prostu jedź, Lola – powiedziała spokojnie Chloe. – Za czterysta metrów będzie skręt w prawo.

– Jada za nami! – zawołała Dolores. – Słyszę ich przez walkie-talkie.

– Serio?

– Tak, tak! Dwóch policjantów w radiowozie.

Byłam zaszokowana. Jechałam samochodem, który ścigała policja. Jak do czegoś takiego doszło?

– Będą znać boczne drogi lepiej od nas – odezwała się Sue. – Już po nas.

– Po prostu jedź, Lola – powtarzała Chloe spokojnym, spokojnym głosem, kiedy jechałam wąską, krętą i wyboistą drogą. – No dobrze, panie, posłuchajcie mnie uważnie. Zaraz się zatrzymamy i wy wtedy wysiądziecie. Tak szybko, jak się tylko da. A potem się ukryjecie. Lola i ja będziemy jechać

dalej, a oni będą jechać za nami. – Oby, słyszałam, jak myśli. – Wrócimy po was, kiedy to będzie możliwe. Skręć teraz w prawo, Lola.

Moja reakcja była natychmiastowa. Przerazenie to fantastyczna sprawa.

– Chloe, ty też wysiądź... – Dlaczego miałyby zostać ze mną i zebrać cięgi?

– Nie ma mowy, byś jechała sama.

– O mój Boże. Czy to syreny?

Tak. Boże święty, co gorsza, widziałam nawet reflektory radiowozu. Było tu tak ciemno, że zależnie od skrętu drogi czasami mi nawet oświetlały drogę.

– Okej, Lola – powiedziała Chloe. – Zaraz się zatrzymasz. A wyszukujcie się do wyskoczenia z auta.

Droga była zbyt wąska, by ukryć cztery transki. Nie rozumiałam, jak wyrzucenie ich z auta mogło ocalić im tyłki. Ale skręciłam we wjazd do czegoś. Transki wyskoczyły niczym spadochroniarze. Zatrzasnęły się drzwi. Odjechałam, a spod opon wyskakiwał żwir.

– Co to było?

– Kamieniołom.

– Skąd wiesz?

– Z mapy. Z mapy.

– Jezus, większość kobiet nie odróżnia góry mapy od dołu. Radiowóz ciągle za nami jedzie?

Ale wiedziałam, że tak, ponieważ nadal słysząc było wycie syreny.

– Zbliża się jakaś wieś. Zatrzymamy się?

– Okej.

– Pamiętaj, nie zrobiliśmy niczego złego. Okej, zatrzymaj się tutaj.

Zaparkowałam obok ciemnego pubu. Denerwowałam się. Gliniarze zatrzymali się za nami. Wysiadło ich dwóch i wyglądali na bardzo, bardzo złych. Ten wyglądający na bardziej złego nakazał:

– Wsiąść z samochodu.

Chloe i ja wysiadłyśmy.

– Jakiś problem, panie władzo? – zapytałam tak niewinnym głosem, jak tylko byłam w stanie.

– Dlaczego odjechała pani sprzed punktu kontrolnego?

– Jakiego punktu kontrolnego?

Spojrzał na mnie znacząco. Myślał, że przyłapał mnie na jeździe po pijaku.

– Dlaczego nie zatrzymała się pani, kiedy usłyszała syrenę?

– Zatrzymałam się. W najbliższym bezpiecznym miejscu.

Kolejne groźne spojrzenie.

– Proszę dmuchnąć w balonik – powiedział do mnie ten mniej zły, po czym uśmiechnęli się do siebie mściwie, obiecując sobie, że będą postulować o karę pozbawienia wolności dla mnie.

Ku ich ogromnemu – i mocno nieprzyjemnemu – zdziwieniu okazało się, że jestem trzeźwa, a nie mogli zagiąć mnie na niczym innym. Prawo jazdy w porządku. Samochód nie zgłoszony jako skradziony. W bagażniku nie było żadnych zwłok. Ani narkotyków. Jedynie dwie dziewczyny wracające z dyskoteki.

Piętnaście minut później

Policjanci bardzo niechętnie dali nam spokój. Wiedzieli, że coś przed nimi skrywamy, ale nie mieli jak przyprzeć nas do muru.

Powoli wrócili do radiowozu, przez cały czas patrząc na mnie ze złością.

– Lepiej niech nie wchodzi mi już pani w drogę, pani Daly – powiedział na pożegnanie ten bardziej zły.

– Panu także życzę wesołych świąt, panie władzo.

Usłyszałam, jak Chloe chichocze cicho. (Muszę przyznać, że powiedziałam to dlatego, że chciałam się popisać przed Chloe. Sama okazałabym znacznie więcej szacunku.)

Radiowóz w końcu odjechał. Patrzyłam za nim, dopóki nie zniknął z pola widzenia, po czym zapytałam:

– Odjechali?

Chloe wpatrywała się w ciemną drogę. Czerwone tylne światła zniknęły. Nie było nawet słychać silnika. Idealna cisza.

– Odjechali. Udało nam się. Udało nam się!

Nagle eksplodowała we mnie adrenalina, radość, uczucie ulgi i radość.

– Chloe, byłaś doskonała! Skręć w prawo, zatrzymaj się...

– Nie, to ty byłaś doskonała.

– Zaraz będzie skręt w lewo...

– A ty zachowałeś spokój i udało się!

– Thelma i Louise, oto, kim jesteśmy!

Miałam ochotę przybić z nią piątkę, uściskać ją, unieść i obracać dokoła.

Ostatecznie zaczęłam ją całować.

GRACE

Casey Kaplan rozerwał zębami torebeczkę z cukrem.

– Kuźwa – mruknęłam. Byłam zdumiona, niemal uradowana tym, że Kaplanowi udało się znaleźć kolejny sposób na to, by mnie irytować.

– Taa, kuźwa – zgodził się TC. – Nie mógłby tego robić palcami?

– Wiem, jak to może zabrzmieć – powiedziałam półgębkiem. – Ale ja niemalże lubię go nienawidzić.

– Ja też.

Biurko Kaplana znajdowało się nieco na uboczu, na tyle daleko, byśmy mogli na niego psioczyć, ale na tyle blisko, byśmy musieli to robić po cichu. Dyskretnie obserwowaliśmy, jak wysypuje cukier do kawy, a potem – co nas zelektryzowało – miesza ją niebieskim długopisem.

– Kuźwa – stęknął TC.

– Taa, kuźwa – odszepnęłam. – Nie mógłby robić tego łyżeczką?

– Mógłby po prostu zawołać do Colemana Briena, by mu ją przyniósł, a Coleman uczyniłby to z radością, a nawet zaoferował się, że zamiesza mu kawę...

– ... swoim fiutkiem...

– ... taa, swoim fiutkiem...

Nagle pomiędzy mną a TC pojawiła się wiedźmowata twarz Jacinty.

– Ja też go nienawidzę – syknęła gniewnie. – Ale bierzcie się w końcu do roboty.

Atmosfera w pracy była napięta. Połowa redakcji wraz z pierwszym dniem stycznia rzuciła palenie. Minęło osiem dni, groziło to wybuchem. Ponieważ ja przeżyłam początki w październiku, teraz nie czułam się aż tak źle. Co nie znaczy, bym nie tęskniła za papierosami – bo tęskniłam – ale nie doskwierał mi stan niemalże wściekłości, jak pozostałym.

I wcale nie pocieszała mnie myśl, że teraz jest nas więcej, dlatego że wiedziałam, jak to się potoczy: jutro był piątek, a po pracy wszyscy pójdą do Dinnegans i trzy czwarte tych, którzy rzucili palenie, wróci do papierosów pomiędzy trzecim a czwartym drinkiem. Pozostała część złamie się podczas

weekendu, a w poniedziałek rano odzyskam swoją pozycję samotnego niepalącego. (Czy też raczej niepalącego palacza. W sumie jedna czy dwie osoby w redakcji nigdy nie paliły, ale nie czułam z nimi żadnej więzi.)

– Grace! – pogoniła mnie Jacinta. – Do roboty!

Niechętnie wróciłam do mojego artykułu, a kiedy zadzwoniła mi komórka, poczułam dreszcz – mały, bo mały, ale zawsze to dreszcz. Każde odwrócenie uwagi było dziś mile widziane. Zerknęłam na numer. Mogłam odebrać? Dickie McGuinness.

– Z tej strony McGuinness.

Zakłócenia na linii były tak duże, że ledwie go słyszałam. Słysząc go było, jakby dzwonił z Marsa. Co oznaczało, że najprawdopodobniej siedzi pięćdziesiąt metrów od redakcji w Dinnegans.

– Dickie, tęsknimy za tobą!

Od początku tygodnia Dickie „zbierał materiał”. Super się musi pracować w sekcji kryminalnej. Wystarczy, że parę razy w roku napisze się jakiś nic niewarty artykuł demaskatorski, a resztę czasu można było spędzać na leżeniu do góry brzuchem.

– Grace, mam coś dla ciebie. – I znowu zakłócenia.

– Aż boję się myśleć. – Dickie potrafił być bardzo wulgarny, zwłaszcza po kilku głębszych.

– Chcesz... czy nie?

– A co to?

– Chcesz czy nie chcesz?

– Tak! A co masz?

– Nazwisko osoby, która zapłaciła tym dwóm typkom, by ci spalili samochód.

Serce na chwilę mi zamarło i przycisnęłam telefon tak mocno do ucha, że aż mi coś w nim zachrzęściło.

Kierowany intuicją wścibskiego dziennikarza TC przestał stukać w klawiaturę i spojrzał na mnie.

– Słuchasz? – zapytał ostro Dickie.

– Tak!

– Chcesz czy nie chcesz?

– Oczywiście, że tak! – Połowa redakcji uniosła głowy i spojrzała w moją stronę.

– Czy jestem... *aaa... iii...* tu sam?

– Nie, Dickie, jestem cały czas, to tylko kiepskie łącze. Mów.

– John Crown...

– Powtórz.

– John Crown. C–r–o–w–n. Jak korona cierniowa*. John. J–o–h–n. Jak Jan Chrzciciel**.

– Nigdy o nim nie słyszałam.

– ... *iii... eee...* Salome.

– Nie. O Johnie Crownie. Nigdy nie słyszałam o kimś takim.

– Idę na górę... *eee... aaa...* tańce. – Na linii coś głośno zaryczało, po czym nagle nas rozłączyło.

** Crown (ang.) – korona. "John (ang.) – Jan.*

Niezdarnie oddzwoniłam do niego i usłyszałam wysoki dźwięk, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałam. Może rzeczywiście przebywał na Marsie. Spróbowałam ponownie i usłyszałam ten sam dźwięk. I jeszcze raz. Wpatrywałam się w telefon, zastanawiając się, co się dzieje. Dzwoniłam pod niewłaściwy numer? Zepsuł mi się telefon? Czy też był to po prostu „efekt

Dickiego"? Bardzo się starał, by otaczała go aura tajemnicy i trzeba przyznać, że czasami mu się udawało.

– Co się dzieje? – zapytał TC.

– Nic. – Wystukałam szybkiego esemesa do Dickiego z prośbą o telefon.

– Zapytam raz jeszcze. Co się dzieje?

– Nic.

Chciałam, żeby zamilkł. Moje myśli goniły jak szalone. John Crown? John Crown? Kim on był? Znałam go? Co mu zrobiłam? Napisałam o nim coś złego? Szukałam gorączkowo w pamięci, ale niczego nie byłam sobie w stanie przypomnieć.

Drżały mi uda i przycisnęłam stopy do podłogi, by je uspokoić. Znajomość nazwiska człowieka, który nienawidził mnie na tyle, by spalić moje auto, działała na mnie wybitnie rozstrajająco. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak się czułam. Przez tych pięć tygodni, odkąd Dickie mi powiedział, że to nie był wypadek, znajdowałam się w stanie tak wielkiego szoku, że nie byłam pewna, czy w to wierzę. Pełnię swego przerażenia odczuwałam wcześniej rano – w sześć na siedem dni o **5. 30** budził mnie strach. Jednak poznanie nazwiska tego człowieka wywołało we mnie prawdziwe przerażenie.

– Widać, że nie jest to nic. – TC nie dawał za wygraną. – Wyglądam na głupka?

– Tak. Prawdziwego głupka. Zwłaszcza kiedy rozwiązujesz sudoku. Dociskasz wtedy językiem górną wargę i wszyscy możemy oglądać te zabawne czarne punkciki pod twoim Językiem, a ty nawet nie wiesz, że to robisz. – Podniosłam głowę znad telefonu i popatrzyłam mu w oczy. – Przepraszam, TC.

– Kim jest John Crown? – zapytała Tara.

– Właśnie, kim jest John Crown? – Oprócz zrzędliwości miejsce pracy pozbawione nikotyny charakteryzuje także głód rozrywki.

– Nie wiem.

– Wiesz!

– Tak, wiesz!

– Powiedz nam, ty wiesz!

Lorraine o nic mnie nie pytała: pierwsza się złamała i wróciła do fajek już trzeciego stycznia.

Joanne także nie zadawała mi pytań. Ona nigdy nie paliła. (Jak często zauważano, tak naprawdę nie pasowała do tego miejsca.)

– Masz czerwone ucho – powiedział TC. – Dziwnie to wygląda.

I bardzo mnie ono bolało. Złamałam je? Czy można złamać sobie ucho?

– Do roboty! – Jacinta zasyczała jak gęś. – Wszyscy wracać do roboty!

– Możemy zamówić tort? – zapytała Tara.

– O, tak! Prosimy, Jacinta, tort!

– Nie, nie, nie możemy zamówić żadnego cholernego tortu!

Nie byłam w stanie pracować. John Crown? Kto to taki? Dlaczego zapłacił, by skradziono mi samochód? Dlaczego zupełnie obca mi osoba miałaby zrobić coś takiego? A może mnie z kimś pomylił? Ale w jaki sposób miałam się tego dowiedzieć?

Bez słowa wstałam i udałam się w stronę wyjścia ewakuacyjnego.

Potrzebowałam jakiegoś miejsca, gdzie mogłabym spokojnie pomyśleć. A zimne powietrze może dobrze zrobić na moje czerwone ucho.

Schodki przeciwpożarowe – zasłane grubą warstwą niedopałków – były puste. Usiadłam na metalowym stopniu. Było zimno, mgliście i ze wszystkich

stron otaczał mnie cichy ryk miasta, ale przynajmniej nikt mi nie skamlał do obolałego ucha o tort.

Wzięłam głęboki oddech. Damien mógł wiedzieć, kim jest John Crown. Mogłam go o to zapytać. Ale coś – i nie wiedziałam co – mnie powstrzymywało. To samo coś powstrzymało mnie przed powiedzeniem mu tego, co mi wcześniej zdradził Dickie – że mój samochód został spalony umyślnie. Zazwyczaj mówiłam Damienowi wszystko; cóż, prawie wszystko. No bo nie wiedział, że każdego miesiąca tuż przed miesiączką muszę wyrywać z okolic ust trzy długie włoski. Trudno to było nazwać tajemnicą państwową – gdyby zapytał mnie o to, powiedziałabym mu prawdę, ale sama nie zamierzałam wyrywać się z tą informacją.

W każdym razie nie wiedziałam, dlaczego nie powiedziałam mu, że ktoś ma coś do mnie.

Może się bałam, że gdyby wiedział, stałoby się to rzeczywiste?

Ale to przecież było rzeczywiste.

Ponownie zaczęłam się trząść, ale tym razem winę mogłam przynajmniej zrzucić na panujące na dworze zimno.

Boże, co za życie. Nie wystarczyło, że odchodziłam od zmysłów z powodu Marnie? Krótco po tym, jak się widziałyśmy, rozegrał się najczarniejszy scenariusz: straciła pracę, Nick od niej odszedł, zabierając ze sobą dziewczynki, i wystawił ich śliczny wielki dom na sprzedaż. Nie został jeszcze sprzedany tylko dlatego, że był środek zimy, ale styczeń kiedyś się przecież skończy.

Tegoroczne święta okazały się strasznie smutne. W Wigilię skończyła się czwarta chemia Bid, ale nie wiadomo było, czy cokolwiek pomaga. Podobno nie działała ona w sposób stopniowy, a efekty leczenia można było poznać

dopiero po zakończeniu całej serii. Dopóki w lutym nie zrobią Bid badania USG, nie wiadomo, czy będzie żyć czy nie.

Biedni rodzice okazywali zmęczenie i smutno było na to patrzeć, ponieważ normalnie Boże Narodzenie dodawało tacie energii. Był wyznawcą teorii spiskowej, której analizę rozpoczynał wraz z nadejściem grudnia. Rozprowiał z każdym, kto go chciał słuchać, o tym, że kościoły chrześcijańskie pozostają w zмовie z wielkimi przedsiębiorstwami, zmuszając ludzi do wydawania krociowych sum na wymyślne skarpety do prezentów, sos żurawinowy i ajerkoniak.

W innych domach zbliżające się Boże Narodzenie sygnalizowało zniesienie ze strychu ozdób świątecznych. W naszym pierwsza tyrada taty na temat jego teorii spiskowej.

Ale w tym roku nie wysłuchaliśmy niczego poza mało entuzjastyczną przemową na temat bezużyteczności potpourri.

Marnie przyjechała do Irlandii – oczywiście bez dzieci – i przebrnęła przez „świętowanie” niczym pobladła lunatyczka. Aż do tamtego czasu jakoś udało mi się nie wtajemniczać mamy i taty w jej problem alkoholowy, ale gdyby Marnie zdecydowała się pójść w tango, tajemnica by się wydała.

Ona jednak nie piła. No ale także nie jadła, nie spała ani nie odzywała się.

Nieśmiało pozwoliłam sobie mieć nadzieję, że być może w końcu dotarła do samego końca. Być może sprawił to szok po odejściu Nicka.

To Damien zasugerował, bym zadzwoniła do Nicka i powiadomiła go o postępach Marnie. On jednak nie cieszył się tak jak ja.

– Dziesięć dni bez alkoholu? Nie wystarczy. Trzeba, by nie piła znacznie dłużej.

– Ale Nick, gdyby miała twoje wsparcie...

– Nie, Grace, nie mogę robić tego dziewczynkom.

– Ale...

– Nie.

Nie podobało mi się to, ale poniekąd go rozumiałam.

Postanowiłam, że kiedy trzydziestego grudnia Marnie wróci do Londynu, ja pojedę z nią, by pomóc jej poradzić sobie z sylwestrem.

– Trzeba przyznać – powiedziałam do Damiena – że w sylwestra to nawet Dalajama by się napruł.

Damien zaofiarował się, że pojedzie z nami i przyznaję, że była to kusząca propozycja. Pragnęłam być razem z nim – czułam się, jakbym od kilku tygodni w ogóle go nie widywała, choć przecież razem mieszkaliśmy – ale zmusiwszy go do rzucenia palenia z powodu jednego członka mojej rodziny, uznałam, że prośba o niańczenie drugiego byłaby z mojej strony przeciąganiem struny. I na dodatek jeszcze w sylwestra.

– Wyjdz gdzieś – namawiałam go. – Zabaw się. Wrócę za dwa dni.

– „Zabawiłem” się tyle, że wystarczy mi do końca życia – odparł ponuro.

– Wystarczy już tej świątecznej radości.

Jego rodzeństwo przepadało za Bożym Narodzeniem i urządzało w grudniu rozmaite imprezy. W połowie grudnia Christine i Richard wyprawili uroczysty Bal Białoruski. Na zaproszeniach widniała adnotacja, by ubrać się na biało.

– Bo jak nie, to co? – Damien zadał pytanie tekturowemu prostokątowi. – Wyślą nas na Syberię?

Dwa dni przed świętami wezwała nas do siebie Deirdre.

– Rodzinny obiad – oświadczyła. – Jako że pierwszy dzień świąt spędzimy w gronie własnych rodzin.

Swoją jadalnię przekształciła w świąteczną grootę: podłoga była pokryta sosnowymi igłami, migotały kinkiety i Deirdre zaserwowała tradycyjny, trzydaniowy obiad dwunastu osobom dorosłym i dziesięciorgu dzieciom, ani na chwilę nie przestając się uśmiechać.

W Wigilię te kuzynki, które miały mniej więcej od dziewięciu do jedenastu lat, urządziły „bożonarodzeniową rewie” z samodzielnie wykonanymi kukielkami. Z jednej strony nie było to najgorsze z rodzinnych spotkań, ponieważ rozmowy musiały zostać ograniczone do minimum, aby słyszeć dialogi kukielek. Jednak z drugiej było ono dziwnie przygnębiające. Co za dziwaczne dzieci. Nie powinny teraz zwędząć błyszczaków z Bootsa?

Odbyło się także sporo „nieplanowanych” „małych spotkań”, od „zrzutkowych kolacji” do imprez pod hasłem: „Będziemy w Dropping Well od **9. 30.** Przyjdźcie koniecznie”.

Damien i ja musieliśmy pokazać się chociaż na części tych imprez, w przeciwnym razie – o czym się przekonaliśmy w poprzednich latach – dzwoniła do nas mama i oświadczała, że wszyscy się o nas martwią.

– Święta to samo dno – stwierdził Damien. – Wiem, że mówimy tak co roku, ale wyjedźmy gdzieś za rok, Grace. Do Syrii lub jakiegoś kraju muzułmańskiego, gdzie nie obchodzi się Bożego Narodzenia.

– Świetnie. – Zrobiłabym to w tym roku, gdyby nie Bid. I Marnie.

– Ale choć święta są fatalne – kontynuował – to sylwester jest jeszcze gorszy. Dosłownie go nienawidzę.

– Nie ty jeden. Ale gdziekolwiek się wybierzesz i tak będzie to lepsze od siedzenia w twierdzy Marnie i picia sprite'a.

– Juno urządza imprezę – powiedział.

Zrobiło mi się nagle ciężko na sercu. Juno dosłownie bombardowała nas zaproszeniami. Od tego wieczoru, kiedy Damien i ja byliśmy z nią na kolacji, próbowała nas skusić na setki różnych imprez. (Właściwie kiedy się skupiałam na konkretnej ich liczbie, okazało się, że były tylko trzy, co mocno mnie zaskoczyło.)

Damien przekonał mnie, byśmy wybrali się na jedną z nich – w piątek przed świętami, popołudniowe grzane wino.

Poszłam tam tylko dlatego, że drzemało we mnie podejrzenie, iż Juno i jej mąż musieli się rozstać. No bo z jakiego innego powodu miałyby się tak niespodziewanie zainteresować ponownie Damienem?

Ale kiedy się zjawiliśmy, na schodkach przed domem stał palący papierosa korpulentny, czerwony na twarzy mężczyzna, który z pijacką serdecznością uściśnął mi rękę i przedstawił się jako:

– Warner Buchanan. Mąż Juno, cholerny mąż, na moje nieszczęście!

Wtedy rozpoznał Damiena i przysięgam na Boga – wcale nie zachowywałam się paranoicznie – że na jego twarzy pojawiła się nieufność.

– Ty jesteś ten pierwszy! Pierwszy mąż.

Damien grzecznie przyznał, że to rzeczywiście on, a Warnerowi zrzęda mina. Poważnie, wcale sobie tego nie wyobraziłam. Przy przystojnym Damienie Warner wyglądał niechlujnie i nieco żałośnie – i w mojej głowie pojawiła się myśl, że skoro ja porównywałam Damiena i Warnera na korzyść tego pierwszego, to czy coś powstrzymywało Juno przed robieniem tego samego?

Warner objął ramieniem Damiena i wprowadził go do domu.

– Ty i ja powinniśmy wymienić się opowieściami ze strefy wojennej – huknął.

Ale mnie nie przekonał ten przejaw kumplowskiej solidarności. To właśnie bym powiedziała, gdyby ktoś mnie zapytał. Ale tak się nie stało, bo nikt się mną nie zainteresował. Juno – jakby szóstym zmysłem wyczuła nasze przybycie – wypadła na korytarz i wrzasnęła na Warnera:

– Zabierz swoje tłuste łąpska od mojego ślicznego Damiena!

Pocałowała Damiena – ponownie w usta – a potem mnie, ale nie w usta.

– Grace! Nie jesteś w pracy?

– Jestem – odparłam. – Ale udało mi się opanować sztukę przebywania w dwóch miejscach naraz.

Nikt się nie roześmiał. Ponieważ nikt mnie nie słuchał.

– Jest tu cała masa ludzi, których znasz ze szkoły – powiedziała Juno do Damiena. – Chodź, napij się czegoś.

Była to tego rodzaju impreza, gdzie alkohol lał się strumieniami, gdzie ludzie wpadali na ściany i zasypiali na podłodze w łazience i trzeba ich było kłaść do łóżka w pokoju dla gości. Choć wielką miałam ochotę przyłączyć się do świętowania i zalać się w pestkę, to ja byłam dziś kierowcą.

Znalazłam sobie krzesło i siadłam ze szklanką soku porzeczkowego w dłoni, gdy tymczasem Juno oprowadzała zarumienionego Damiena po pokoju.

– Mój pierwszy mąż. – Słyszałam jak raz po raz to powtarza. – Przystojniak z niego, co? Popatrzcie, jak przy nim wygląda Warner. Jak cholerne straszycie, no nie?

Uznałam, że musi mieć naprawdę mocno w czubie, skoro w taki sposób wyrażała się o mężu. Ale nie wyglądała na pijaną. W seksownej, ozdobionej koralikami sukni w kolorze szampana – dzisiaj nie było mowy o paskudnej bluzie z podniesionym kołnierzem – i jasnymi włosami połyskującymi w sztucznym świetle wyglądała promiennie i ładnie.

Właściwie to powiem wam, jak wyglądała: olśniewająco.

W drodze do domu Damien oświadczył, że strasznie się cieszy, iż tam był i wyraził pijaną wdzięczność, że dotrzymałam mu towarzystwa. (Zupełnie inaczej wyglądał następny ranek. Mieliśmy stawić czoło dzikim tłumom i kupić prezenty dla jego wielkiej, cholernej rodziny, ale było mu tak niedobrze, że nie dał się zwlec z łóżka.)

– No więc Juno urządza sylwestra – powiedziałam. – Czemu mnie to nie dziwi? Czy ta kobieta zajmuje się czymkolwiek innym poza urządzaniem imprez?

– Nie pójdę, jeśli ty tego nie chcesz – odparł Damien. – Nie znoszę sylwestra. I nie znoszę imprez!

Musiałam się roześmiać – aby udawać, że wcale nie jestem zaborcza. Ale jednak nie wytrzymałam.

– O co chodzi Juno? Dlaczego tak nagle pojawiła się znikąd z tym swoim, kurde, filmem? Dlaczego tak bardzo chce się z tobą przyjaźnić? W co ona sobie pogrywa?

– W nic.

To było krótkie, proste zdanie, dwa słowa, nie więcej. Więc jak Damienowi udało się wtłoczyć w nie tyle przekory? A może tylko mi się wydawało.

– A dlaczego ty chcesz się spotkać z nią?

– Mnie wcale aż tak bardzo na tym nie zależy – odparł Damien.

–Nie?

– Nie. Poważnie.

– W takim razie masz moje błogosławieństwo i idź tam.

Tak więc Marnie i ja poleciałyśmy do Londynu i pierwsze, co zrobiłam, to przetrząsnęłam dom. No i we wszelkiego rodzaju kryjówkach znalazłam sporo butelek wódki.

– Wylej je – rzekła Marnie. – Pozbądź się ich.

Tak jakbym chciała zaproponować, abyśmy się napiły.

Sylwestrowe popołudnie spędziłyśmy z Daisy i Veriry. Bardzo się starałyśmy, ale Chryste... Daisy straciła cały swój blask; od dnia narodzin była czarującym, ślicznym dzieckiem, a teraz była bezbarwna, nieładna i posępna. Natomiast biedna Verity stanowiła kłębek nerwów i tików. Ciągłe pytały – dosłownie ciągle – dlaczego nie mieszkają z Marnie i kiedy wrócą do domu.

– Niedługo – obiecywała Marnie. – Niedługo.

Kiedy przyjechał po nie Nick, obie rozdzierająco płakały i myślałam, że eksploduje mi głowa.

Ale ich łzy były niczym w porównaniu z rozpaczą Marnie. Łkała i szlochała tak strasznie i długo, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam zadzwonić po lekarza.

– Jedyne, czego w życiu pragnęłam, to być matką – wyrzuciła z siebie. – Jak do czegoś takiego dopuściłam? Zabrano mi dzieci wyłącznie z mojej winy.

– Musisz jedynie przestać pić – powiedziałam. – Wtedy je odzyskasz.

– Wiem, wiem, Grace, o Boże, wiem i nie potrafię po prostu zrozumieć, dlaczego ja wciąż... Powiem ci, co jest najgorsze, Grace. Jedyne, czego w tej chwili pragnę, to drink.

– Cóż, ode mnie go nie dostaniesz – rzekłam ponuro. – Zjedz krowiaka z mięsem i jakoś to przeżyj.

Gdy na zegarze wybiła północ, Marnie w końcu przestała płakać. Od dwóch tygodni była trzeźwa.

– Nowy rok, nowy początek – powiedziałam, gdy stuknęłyśmy się szklankami sprite'a. – Wszystko będzie dobrze.

– Wiem.

Następnego dnia, kiedy wsiadałam do taksówki, która miała mnie zawieźć na lotnisko, rzekła cicho:

– Naprawdę będzie dobrze.

Uśmiechnęła się do mnie tak słodko, że przeniosło mnie to natychmiast z powrotem w błogi stan ducha, z czasów kiedy nie chodziłam przez cały czas po ścianach ze zgryzoty. Zdążyłam już zapomnieć, jak to jest czuć się normalnie. Było cudownie. Teraz musiałam się martwić jedynie moją umierającą na raka płuc ciotką. I kimś, kto żywił do mnie taką urazę, że aż mi spalił samochód. I była żoną mojego faceta. Wspaniale!

Ale godzinę później, kiedy już zgłosiłam się do odprawy, postanowiłam zadzwonić do Marnie, a ona nie odebrała; i wiedziałam już, stojąc w terminalu numer i, pośród tłumu wracających do domu ludzi, że znowu zaczęła pić.

Zawróciłam na pięcie – tak, wiem, że brzmi to dramatycznie – i udałam się z powrotem do niej.

Byłam taka wściekła, że ledwie widziałam na oczy.

– W co ty, kurwa, sobie pogrywasz? Wszystko na nic!

– Przepraszam, Grace. – Po jej policzkach spływały łzy. – Bycie z dala od dziewczynek... ten ból jest straszny...

– A czyja to wina? Jesteś po prostu egoistyczną suką i mogłabyś przestać, gdybyś się postarała.

Zacisnęłam zęby, chwyciłam za telefon i obdzwoniłam szesnaście centrów odwykowych – kto by pomyślał, że to taki prężny biznes? – i ze zdumieniem przekonałam się, że w wielu z nich mają komplet.

– Gorący okres – jeden z facetów zaśmiał się niewesoło. – Szczyt sezonu.
– Jakbyśmy rozmawiali o wakacjach na Malediwach.

Może powinien pocieszyć mnie fakt, że nie jestem sama, ale prawdę mówiąc, zaszokowało mnie odkrycie, że na świecie jest tyle innych egoistycznych suk. Nawet gdyby w którymś z tych centrów dysponowano wolnym miejscem, żadne nie przyjęłoby Marnie, dopóki ta nie przyznałaby, że jest alkoholiczką – a ona tego nie robi. Jak na kogoś z pozoru tak kruchego, potrafiła być wyjątkowo niewzruszona.

– Grace, przechodzę trudny okres. Nie mogę przestać właśnie teraz. Potrzebuję alkoholu, by pomógł mi go przetrwać, ale on minie...

– Jak minie?

– Nick i dziewczynki wrócą, wszystko będzie dobrze i wtedy nie będę już musiała tak dużo pić.

– Ale Nick i dziewczynki nie wrócą. – Niemalże płakałam z frustracji. – Odeszli z powodu twojego picia. Dlaczego miałiby wrócić, skoro nadal pijesz?

– Stanę się silniejsza, a kiedy będę silniejsza, to przestanę. Ból nie będzie taki wielki. A będę pić mniej.

Ale dzięki telefonom do centrów odwykowych dowiedziałam się paru rzeczy.

– Będzie jedynie gorzej. Jesteś alkoholiczką.

Pokręciła głową.

– Jestem po prostu nieszczęśliwa.

Przerażało mnie to, że ona nie ma nic do stracenia; wszystko straciła; dlaczego miałyby przestać pić?

Później tego wieczoru wróciłam samolotem do Dublina. Musiałam. Nazajutrz wypadał mój dyżur w pracy.

– Ale w weekend wrócę – zapowiedziałam Marnie.

– Jest już czwartek.

Rzeczywiście. Przez przerwę świąteczną straciłam rachubę czasu.

– Okej – powiedziałam z ponurą wesołością. – W takim razie wrócę jutro wieczorem. I – kontynuowałam, zaskakując samą siebie, ponieważ wcześniej nie miałam tego w planach – w najbliższym czasie będę tu spędzać każdy weekend.

– Dlaczego? – zapytała.

– Aby cię trzymać z dala od tej pieprzonej wódki. A myślałaś, że dlaczego?

Ale nazajutrz – w zeszły piątek – kiedy się u niej zjawiłam, znalazłam Marnie nieprzytomną w kuchni, śmierdzącą moczem, a kiedy niosłam ją na górę, wydawała się lekka jak dziecko. Po raz pierwszy dotarł do mnie prawdziwy powód, dla którego postanowiłam przyjeżdżać w każdy weekend: nie chciałam zostawiać jej samej zbyt długo, ponieważ bałam się, że może umrzeć. Wszystko mogło się zdarzyć: mogła spaść ze schodów i skrzyć kark; jej organizm mógł po prostu nie wytrzymać takiej ilości alkoholu i niedożywienia – a poza tym zawsze miała skłonności samobójcze.

Próbowałam przemówić jej do rozsądku, ale przez cały weekend trzymała się swojej mantry: przestanie, kiedy będzie lepiej. Szalałam z frustracji. Ale kiedy wyjeżdżałam w poniedziałek rano, dostrzegłam w niej coś innego: strach. Czego się bała? Przecież to ona piła na umór i świetnie się bawiła.

Ale kiedy w mojej głowie ucichł ten sarkastyczny dialog, dopadły mnie myśli, że być może Marnie nie była obłąkańczo egoistyczna. Że być może nie

potrafiła przestać pić. I że bez względu na to, jak głośno temu zaprzeczała, ona także o tym wiedziała.

Kiedy od siedzenia na schodkach przeciwpożarowych straciłam czucie w tyłku, uznałam, że lepiej będzie wrócić do środka. Lodowate powietrze nie pomogło jednak memu uchu; właściwie to jeszcze bardziej mnie teraz bolało, jakby całe było w ogniu.

Kiedy wróciłam do swego biurka, Tara podniosła z nadzieją głowę.

– Przyniosłaś tort?

– Eee... nie.

– Myśleliśmy, że poszłaś po tort.

– Przykro mi. Nie.

– Nie przyniosła tortu? – zapytała Clare.

– Nie przyniosłaś ciasta? – TC wpatrywał się we mnie oskarżycielsko. –

Gdzie się więc u licha podziewałaś?

– Ale ja nie mówiłam...

– Na miłość i rany Jezusa! – Jacinta rzuciła pióro na biurko. – Jeśli dzięki temu zajmiecie się dziś w końcu pracą, to kupię wam ten cholerny tort! – Chwyciła torebkę (oczywiście czarną, był przecież styczeń) i ruszyła gniewnie w stronę drzwi wahadłowych.

– Ale nie kupuj z pomarańczowym kremem!

– Ani kawowym.

Odwróciła się na pięcie twarzą do nas, rozstawiła szeroko nogi niczym jakiś superbohater i wrzasnęła:

– Wezmę taki krem, jaki mi się, kurwa, będzie chciało!

Jedna osoba z całą pewnością wiedziała, kim jest John Crown. Wiedziała, ponieważ była przemądrzałym dupkiem, który wie wszystko. Ale jej o to nie zapytam. Prędzej zabiorę swoją niewiedzę do grobu, niż ją o to zapytam.

Nie zamierzałam patrzeć. Prawdę mówiąc, to miałam patrzeć na mój kawałek tortu (orzechowo–kawowego, Jacinta kupiła najgorszy, jaki mieli w sklepie), ale moje oczy działały niezależnie od pozostałej części ciała i popatrzyły w kierunku Caseya Kaplana. Rozmawiał akurat przez telefon i kiedy dosięgło go spojrzenie moich zdradzieckich oczu, uśmiechnął się i mrugnął.

Oderwałam od niego wzrok i skupiłam się na moim torcie; może gdybym wyjęła orzechy, nie byłoby tak źle...

Po czym chwyciłam telefon i ponownie spróbowałam dodzwonić się do Dickiego. Nadal na Marsie.

– Kaplan. Możemy zamienić słowo?

Nogi miał na biurku i wyglądał jak szeryf w filmie kowbojskim. Strasznie mnie to irytowało. Opuścił nogi na ziemię i siadł prosto.

– Grace Gildee, możesz mieć wszystko, czego tylko zażadasz. Czy to prywatne słowo? Powinniśmy udać się do Dinnegans?

– Zamknij się. Znasz wszystkich, no nie?

– Cóż, nie wszys...

– Nie musisz zgrywać skromnego, wszyscy wiemy, że jesteś wspaniały. Potrzebna mi twoja pomoc.

Znieruchomiał, a kiedy ponownie się odezwał, nie było śladu po jego kpiarskim tonie.

– Mała rada, Grace. Kiedy potrzebujesz czyjejś pomocy, bardzo by ci pomogło, gdyby udało ci się być miłą.

Wpatrywałam się w niego lodowato.

– Milszą – poprawił się.

– Ukradłeś mi wywiad z Madonną. Jesteś moim dłużnikiem.

Przechylił głowę.

– Jeśli tego właśnie trzeba, by to zrównoważyć...

– Czy mówi ci coś nazwisko John Crown.

–Taa.

–Taa?

–Taa.

– Kto to?

Przyglądał mi się.

– Nie wiesz, kto to?

– Nie pytałabym cię, gdybym wiedziała.

– Rzekłbym, że go znasz.

– Nigdy o nim nie słyszałam!

– Dlaczego chcesz to wiedzieć?

– – To moja sprawa. – Ogarnęło mnie nagle przygnębienie.

– Świetnie. Jasne. Sorki. John Crown to kierowca bogatego gościa, kombinator.

Nadal się w niego wpatrywałam. Musiałam dowiedzieć się czegoś więcej.

– Ale możliwe, że znasz go lepiej jako Hiszpana Johna. Hiszpan John?

Kierowca Paddy'ego.

– Pracuje dla Paddy'ego de Courcy.

Zrobiło mi się niedobrze. To stało się tak szybko: odpływ krwi, przyływ żółci do gardła, mrowienie w stopach i palcach. (I w uchu też, cokolwiek to znaczyło.)

Paddy zapłacił, by spalono mój samochód. To było niewiarygodne – jakbym przypadkiem zapędziła się do świata przestępczego – ale wiedziałam, że to prawda, ponieważ zgadzało się to czasowo. Sześć dni wcześniej...

– Grace, wszystko w porządku?

– Tak, ja... – Pobiegłam do toalety i pozbyłam się lunchu. Mój żołądek zaciskał się tak długo, aż w gardle czułam już tylko żółć.

Kiedy już się dowiedziałam, było tak, jakbym wiedziała o tym od samego początku.

Powinłam była wiedzieć. Nie byłam głupia i wiedziałam, jakim człowiekiem jest Paddy. A on wiedział, jak bardzo kochałam swój samochód. Widział, jak śmigam nim z dumą i przyjemnością.

Wstałam i na trzęsących się nogach podeszłam do umywalki. Spojrzałam w lustro i zapytałam swe woskowe odbicie: Co mogę zrobić?

Nic.

Zapomnij o tym, poradziłam samej sobie. Stało się, było, minęło. Najrozsądniejsze z mojej strony byłoby udawanie, że to w ogóle nie miało miejsca.

Potrzebna nam była nowa sofa. W tej, którą mieliśmy, pękła rama.

– Grace – powiedział Damien. – Wolałbym dać sobie odciąć nogę, niż spędzać sobotę na wyprzedazach, włóczęc się po sklepach meblowych, ale w ten weekend musimy kupić sofę.

– Nie mogę – odparłam z rozpaczą. – Muszę lecieć do Londynu. Nie mogę zostawić Marnie samej.

Krótkie, króciutkie wahanie.

– Wiem, wiem. Rozumiem.

– Przykro mi, Damien.

– Polecę z tobą do Londynu – zaoferował się. – Dlaczego nie chcesz mi na to pozwolić?

– Ponieważ byłoby to dla ciebie okropne. Czułabym się paskudnie z tym, że ty też masz zepsuty weekend.

– Nic nie zepsułoby go bardziej niż wybranie się do Świata Skóry.

Westchnęłam i pokręciłam głową.

– Zepsułoby.

– Dlaczego nie pozwolisz mi sobie pomóc? – Nagle w jego głosie słysząc było gniew. – Jesteś taka... niezależna.

– Sądziłam, że to właśnie ci się we mnie podoba. – Próbowałam się uśmiechnąć.

– Zmieniłem zdanie.

– Damien, to po prostu... to, że muszę przez cały czas pilnować Marnie, jest takie... wstrętne. I takie przytłaczające.

I podejrzewałam, że Marnie nie ucieszyłaby się, gdybym zabrała ze sobą Damiena. Nie znaczy, by przy mnie czyniła jakieś postępy, ale czułam, że obecność Damiena tak by ją zawstydziła, że piłaby jeszcze więcej niż teraz.

– Przekonajmy się, jak mi z nią pójdzie w ten weekend – powiedziałam. – Możemy to uznać za swoisty kompromis?

– Okej.

W piątek wieczorem, kiedy znalazłam się w domu Marnie, bardzo się cieszyłam, że wybiłam Damienowi z głowy pomysł przyjazdu do Londynu. Marnie leżała na korytarzu, naga – Bóg jeden wie dlaczego? – i tak pijana, że nie można się z nią było porozumieć. Napoiłam ją wodą i nafaszerowałam witaminą B (tak mi poradono, gdy zadzwoniłam na infolinię), otrzeźwiłam i nie pozwoliłam już nic więcej wypić. Następnie spałam z jednym okiem

otwartym (a przynajmniej tak mi się wydawało), a w sobotę rano zawiozłam ją na mityng AA. Po południu zmusiłam ją do spaceru, wieczorem zrobiłam kolację i znowu spałam z jednym okiem otwartym. (Tym razem drugim, dla odmiany.)

Ale w niedzielę rano jakimś cudem udało jej się dorwać alkohol. W jednej chwili prowadziłyśmy najzupełniej normalną rozmowę na temat ud Sienny Miller, a w następnej zauważyłam, że Marnie mówi coraz wolniej i mniej wyraźnie. Zdumiałam się – sądziłam, że pozbyłam się wszystkich butelek z domu – a potem ogarnęło mnie rozczarowanie tak gorzkie, że pragnęłam się po prostu położyć i spać bez końca.

– Skąd to wzięłaś? – zapytałam.

– Nic nie wzięłam – mruknęła. – Posuchajmy muzyki.

W zdumiewającym tempie – musiała wypić bardzo dużo tego czegoś – odpłynęła.

Zła, sfrustrowana i strasznie przygnębiona zadzwoniłam do Damiena.

– Jak Marnie? – zapytał.

– W stanie śpiączki.

– Co? Myślałem, że idzie ku lepszemu!

– Ja też. Ale myślę, że ma butelkę schowaną w łazience, a nie mogę jej znaleźć. Zajrzałam wszędzie, nie ruszyłam jedynie wanny z podestu, a mimo to nie mogę jej znaleźć.

Westchnął.

– Wracaj do domu, Grace, nie pomagasz jej.

– Nie mów tak, Damien.

Na linii zapanowała cisza. W końcu zapytałam:

– Jak tam wczorajszy poker u Billy'ego?

- Zjawił się Hugh.
 - Twój brat Hugh?
 - Zgadza się. Wpadł na Billy'ego na jakimś pogrzebie. Wprosił się.
 - Oj. – Hugh był niczym radioaktywny terier. Ostre zęby i głód wygranej. Jego duch rywalizacji potrafił przekształcić spokojny wieczór przy kartach i piwie w coś zupełnie innego. – Wygrał?
 - Musisz w ogóle pytać? Całe pięćdziesiąt jeden euro i siedemdziesiąt centów.
 - Przecież on nawet nie potrzebuje tych pieniędzy.
 - Nie tak jak my.
 - Wiesz, Damien, pewnego dnia wszystko rozpadnie się z hukiem.
 - Kontynuuj. – Damien lubił się w to bawić.
 - Dzieci Hugh. – Agrippa, Hector i Ulysses, biedaczyska. – Przyłączą się do Kościoła Zjednoczenia.
 - Powiedz...
 - Hugh...
 - ... albo Brian...
 - ... albo najlepiej obaj, zostaną nakryci na uprawianiu seksu z przebywającą w narkozie pacjentką na stole operacyjnym.
- Damien zaśmiał się cicho.
- To podoba mi się najbardziej.
 - Zostaną pozbawieni prawa wykonywania zawodu i skończy się to wielkim skandalem. A tymczasem ty zostaniesz redaktorem naczelnym „Press”, najmłodszym w historii.
 - Taaaaa... – Westchnął nieco smutno.

Pora zakończyć obsmarowywanie jego rodziny. Osobiście mogłabym to robić i robić, ale Damien czułby się wtedy nieswojo. Ponieważ – trzeba to przyznać uczciwie – nigdy celowo mu nie dokopywali.

– No i co dzisiaj robisz? – zapytałam.

– Idę kupić nam nową sofę.

– Nie! Nie. Proszę, Damien... Bóg jeden wie, z czym wrócisz do domu. – Byłaby to pewnie ogromna sofa z czarnej skóry. – Weź katalogi. Weź próbki. Ale, Damienie Stapletonie, ostrzegam cię, byś niczego nie kupował.

– Nie ufasz mi?

– W kwestii kupna sofy? Nie! Wieczorem zadzwoń i złóż raport. I powtarzam ci raz jeszcze, jeśli coś kupisz, to na własne ryzyko.

W poniedziałek rano obudziłam się o piątej trzydzieści w łóżku Marnie. Wzięłam najkrótszy z możliwych prysznic – nienaturalna pora na mycie – a kiedy się ubrałam, próbowałam uraczyć Marnie porywającą przemową w stylu „nie będziesz pić” i „uda ci się”. Ale było za wcześnie i za zimno i nie potrafiłam wykrzesać z siebie energii. Błagałam ją więc jedynie:

– Po prostu nie pij, proszę cię, Marnie, proszę. Wrócę w piątek, spróbuj do tego czasu nie pić.

Do Dublina wróciłam samolotem o **7.45**, a do pracy pojechałam taksówką – i trafiłam na dzień z czarną torbą. Z rozkoszą ujrzałabym każdy inny kolor, nawet czerwony. Byłam taka zmęczona, a czarny był taki męczący.

– Pomysły – zarządziła Jacinta, emanując paskudną, negatywną energią.

– Rywalizacja wśród rodzeństwa?

– Nie!

– Powrót popularności pokera?

– Nie!

– Alkoholizm u trzydziestoletnich kobiet?
– Nie! Wracaj do pracy.
– Świetnie. – Kiedy tylko odeszła od mojego biurka, zadzwoniłam do Damiena. Wczoraj do mnie nie zadzwonił i bałam się, że to oznaczało, iż jakiś obleśny sprzedawca sof namówił go do kupna przecenionego, zleżącego szkaradziejstwa. – Czemu wczoraj nie zadzwoniłeś? – zapytałam.

– Ponieważ...

– Nie kupiłeś sofy, co?

– Nie.

– Jesteś pewny?

– Tak.

– W takim razie w porządku.

– To było straszne, Grace. Sklepy opanowały kłócące się pary i było tam koszmarnie gorąco i strasznie tłoczno. Jak w piekle. No ale upolowałem katalogi i próbki.

– Może dzisiaj je pooglądamy. Kiedy wrócisz ze swojego wieczoru z chłopakami.

– Nie muszę iść.

– A to czemu?

– Bo nie widziałem cię cały weekend.

– Nie, idź. Rutyna jest ważna, kiedy wszystko się pieprzy. Poza tym jestem zbyt wykończona, by być miłym towarzystwem. Do zobaczenia w łóżku.

Przetrwałam ten dzień tylko dzięki nieprzyzwoicie dużym ilościom kawy i cukru. Po pracy ludzie wybierali się do Dinnegans, co było dość niezwykle,

jako że mieliśmy dzisiaj poniedziałek, ale ja postanowiłam jechać do domu, ponieważ nie było mnie tam od piątku rano.

Ale gdy tylko przekręciłam w zamku klucz i weszłam do domu, wiedziałam, że coś jest nie tak. Czułam to.

Chodziłam od pomieszczenia do pomieszczenia, wachając, koncentrując się, próbując ustalić, co to takiego.

Nie było tego tutaj, kiedy w piątek rano wychodziłam z domu; cokolwiek by to było, pojawiło się podczas weekendu.

Wpatrywałam się w leżące na stole w kuchni katalogi z sofami. Czy to one? No ale czy to je bym tak wyczuwała?

Weszłam po schodach i to wrażenie zniknęło. Coś mi się musiało przywidzieć. Byłam po prostu zmęczona, bardzo zmęczona i wyczerpana nerwowo. Kiedy jednak weszłam do naszej sypialni, znowu to wyczułam. Ale czy rzeczywiście?

Długą chwilę siedziałam na skraju łóżka, wachając powietrze i analizując. Czuję czy nie czuję? To tylko moja wyobraźnia czy coś rzeczywistego? A jeśli tak, to co?

Musiałam pogadać o tym z Damienem. Później go zapytam.

Albo jutro, kiedy nie będę taka zmęczona.

Usiłowałam się wyrwać, ale wyczerpanie spychało mnie z powrotem w otchłań snu. Musiałam się obudzić, musiałam oprzytomnieć, dlaczego to było tak cholernie trudne? Jaki dziś dzień? Może sobota, przyjemny dzień, i mogłam opaść w tę otchłań? Ale wtedy przypomniało mi się, że jest wtorek. Musiałam wstać i jechać do pracy, ale byłam tak bardzo, bardzo zmęczona.

I na dodatek bolał mnie nos. Wczoraj czytałam w łóżku nowego Iana Rankina – któreś z rodzeństwa Damiena, nie pamiętam które, podarowało mi

pod choinkę wydanie w twardej oprawie – i zasnęłam, zaś książka wylądowała na mojej twarzy, a to cholerstwo ważyło chyba z tonę.

Otworzyłam oczy i jęknęłam:

– O Boooooooże.

Z łazienki wyłonił się Damien. Biodra miał owinięte ręcznikiem i był już częściowo ogolony.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Jestem koszmarne zmęczona.

– Kiedy wczoraj wróciłem, byłaś nieprzytomna.

– Uczę się od Marnie.

– Chcesz czegoś?

Mnóstwa rzeczy. Aby moja siostra przestała pić. Aby moja ciotka wyzdrowiała. Aby nigdy nie poznała Paddy'ego de Courcy.

– Kawy.

Ruszył w stronę drzwi sypialni, by zejść do kuchni.

– Hej, Damien – zawołałam słabo. – Czy w weekend ktoś u nas był?

Odwrócił się w moją stronę.

– Nie.

Ale w jego twarzy coś drgnęło. Minimalnie, ale ja to natychmiast wychwyciłam. Mocno waliło mi serce.

– Co się stało?

–Nic.

– Widzę, że nie jest to nic.

– Okej. – Westchnął. – Spotkałem się z Juno.

Myślałam, że zaraz puszczę pawia. Zmęczenie, szok...

– Ale nie było jej tutaj. Poszliśmy jedynie w niedzielę wieczorem na szybką kolację do Hindusa. Warner wyjechał. – Po czym dodał, a ja nie byłam pewna, czy w jego głosie słychać wyzwanie: – I ty też.

– Czemu mi o tym nie powiedziałaś?

– Bo to nie było nic ważnego. Mówię teraz, bo nie chciałem mówić ci tego wczoraj przez telefon, gdy byłaś w pracy.

– Ale skoro nie chciałeś mówić mi tego przez telefon, w takim razie z całą pewnością nie jest to nic takiego.

– Zachowujesz się niemądrze – oświadczył stanowczo, Naprawdę?

Gdyby naprawdę coś się między nimi działo, nie powiedziała by mi o tym, że się z nią spotkał. A może powiedziała by? Czy zacierał po prostu za sobą ślady na wypadek, gdyby ktoś widział ich razem? Czy w ogóle by mi cokolwiek powiedział, gdybym nie odgadła, że coś się stało?

A może po prostu zaczynałam wariować?

Sądziłam, że mogę ufać Damienowi.

Ale czy jeden człowiek rzeczywiście mógł ufać drugiemu?

– Kocham cię – powiedział. – Ona nic dla mnie nie znaczy.

– Po co się w takim razie z nią spotykasz?

Po chwili milczenia odparł:

– Już więcej się z nią nie spotkam.

– Okej. – Nie miałam w sobie energii na jakieś cięte riposty.

–Co?

– Okej, no to nie. Nie spotykaj się z nią.

– Okej. – Kiwnął głową. – Załatwione.

MARNIE

Kanał Sky News był jej jedynym przyjacielem. Przekazywał podstawowe informacje, nie osądzając jej przy tym. Powiedział jej, że dzisiaj jest czwartek, piętnasty dzień stycznia, godzina **11.40**. (Także o tym, że był zamach w Tajlandii, ale to ją akurat nieszczególnie interesowało.)

Ostatnim pamiętanym przez nią dniem był poniedziałek. Grace wyszła z domu dziesięć po szóstej, a kiedy tylko jej taksówka zniknęła za rogiem, Marnie ogarnęło takie poczucie winy i osamotnienia, że natychmiast poszła po wódkę, którą schowała w łazience. Od tamtej pory miała bardzo rzadki kontakt z rzeczywistością, ale teraz wytrzeźwiała.

Była roztrzęsiona, przestraszona i było jej niedobrze – ale nie miała ochoty na drinka. Tak to właśnie wyglądało. Powtarzał się pewien cykl: zaczynała pić i nie była w stanie przestać; a potem, niemalże w jednym momencie – choć nigdy nie umiała przewidzieć, kiedy to się stanie – ochota na picie mijała.

Dzisiaj pragnęła jedynie swoich córek. Pragnęła poczuć zapach skóry Daisy, poczuć, jak mała rączka Verity wsuwa się w jej dłoń...

Och, poczucie winy. Boże, poczucie winy, poczucie winy, poczucie winy. One były takie małe, takie wrażliwe...

Jak to możliwe, że jej życie tak właśnie wyglądało? Jak doszło do tego, że ona mieszkała w tym wielkim, pustym domu, a jej córki i mąż w mieszkaniu trzy kilometry stąd?

To było takie dziwne, tak bardzo nie przypominało jej dawnych planów, że trudno było uwierzyć, iż to się dzieje naprawdę. A może to wcale nie było

naprawdę. Może nigdy nie wyszła za mąż? Może nigdy nie urodziła dzieci? Może wyobraziła sobie swoje całe życie? Może w ogóle się nie urodziła...

Tak bardzo przestraszyła samą siebie tym tokiem myślenia, że wstała i zaczęła chodzić po domu, próbując posłuchać głosu rozsądku. Zachowywała się niemądrze. Gorzej niż niemądrze. Ale myśli te nie dawały jej spokoju.

Nie jestem prawdziwa.

Nigdy się nie urodziłam.

Musiała z kimś porozmawiać. Ale z kim? Wszyscy by pomyśleli, że jest stuknięta.

Jestem prawdziwa, jestem prawdziwa. Walcząc o oddech, zadzwoniła do Grace.

– Jestem prawdziwa, Grace?

– Och, na rany Chrystusa! Co się z tobą dzieje?

Marnie najlepiej, jak umiała, wyjaśniła jej, o co chodzi.

– Czy ja zaczynam wariować, Grace?

Bardzo cicho Grace odparła:

– Wygląda na to, że dopadło cię DT.

– Nie, wcale nie...

– Delirium? Tremens?

– Tęsknię po prostu za moimi dziećmi.

Kiedy tylko Marnie skończyła rozmawiać z Grace, uczucie paniki wróciło, pozbawiając ją tchu. Trzymała się kurczowo myśli o Daisy i Verity. Jeśli one istniały, znaczyło to, że i ona jest prawdziwa.

Być może powinna porozmawiać z Nickiem. Być może on mógłby potwierdzić, że Daisy i Verity istnieją naprawdę.

Jednak choć zżerał ją paskudny strach, wiedziała, że nie może zadzwonić do Nicka, kiedy jest w takim stanie. Wystarczająco źle miał o niej zdanie. Ale strach dusił ją coraz mocniej i mocniej i w końcu chwyciła telefon i zadzwoniła do jego biura. I nawet gdy pytała, czy może z nim rozmawiać, ogarniało ją przerażenie, że jakiś głos powie: „Nick Hunter? Nikt o takim nazwisku nigdy tu nie pracował”.

Odezwał się ktoś, kto miał głos Nicka i kto zdawał się wiedzieć, kim ona jest. Chmury przerażenia rozproszyły się – po czym natychmiast wróciły. Przez jedną szaloną chwilę zastanawiała się, czy roli Nicka nie odgrywa przypadkiem jakiś aktor.

– Nick, muszę zobaczyć dziewczynki. – Potrzebny był jej namacalny dowód.

– Są teraz w szkole.

W szkole. To musiało znaczyć, że istnieją naprawdę.

– Mogę jechać je zobaczyć?

– Nie, nie! – Po czym spokojniej dodał: – Nie, Marnie. To je zdenerwuje.

– Nie widziały mnie od tygodni.

– A czyja to wina?

Kiedy Nick od niej odszedł – odszedł – zarządził, że ich wyznaczonym czasem będzie niedzielne popołudnie. Ale w pierwszą niedzielę bezprecedensowa dziwność towarzysząca temu, że otrzymuje zaledwie jedno popołudnie ich obecności – ona, ich matka, która wydała je na świat – zmusiła ją do wypicia drinka przed ich przyjazdem. A potem drugiego. Kiedy w drzwiach zjawił się Nick – sam, odbywając rekonesans, gdy tymczasem dziewczynki zostały w samochodzie, Marnie była już pogodzona z taką

sytuacją. Ale Nick oświadczył, jak jakiś samowładca, że jest pijana i że jej widok w takim stanie wytrąciłby Daisy i Verity z równowagi.

– Wstydz się – powiedział jej wtedy.

Zmienił ich porę odwiedzin na sobotni ranek. Potem na piątkowy wieczór.

– Podłe zagrywki – oświadczyła Marnie Grace. – Mąci mi w głowie. Traktuje dzieci jak pionki.

– Nie. Próbuje chyba znaleźć najlepszą porę, kiedy będziesz trzeźwa!

Podłe zagrywki.

Marnie doznała objawienia, które natychmiast przegnało panikę: zabierze dziewczynki do zoo! Pojedzie teraz do ich szkoły, zabierze je z zajęć i we trzy pojedą do zoo. Będą zachwycone. Cóż, Daisy będzie zachwycona. Verity bała się zwierząt. No i było bardzo zimno – może nie najlepsza dziś była pogoda na wycieczkę do zoo. Ale takie myślenie było defetystyczne!

Tak, pojedą do zoo i kupi dziewczynkom słodycze, T-shirty z logo zoo, wszystko, co tylko będą chciały, żeby wiedziały, jak bardzo je kocha, jak bardzo jest jej przykro, że namieszała im w życiu. A potem pojedzie do Nicka i nakłoni go do powrotu.

Kiedy decyzja została podjęta, Marnie zaczęła gorączkowo myśleć o tym, co musi zrobić, nim po nie pojedzie. Bez czego mogła się obejść? Nie musiała jeść. Nie musiała się myć. Nie, może jednak lepiej to zrobi. Pomknęła pod prysznic i natarła się żelem, ale kolejna fala niepokoju kazała jej wyjść spod prysznic. Nie było czasu na splukiwanie piany.

Owinęła się ręcznikiem i zajrzała do szafy po coś do ubrania. Pierwszym, co wpadło jej w ręce, była powiewna sukienka, której jeszcze nie miała na sobie. Równie dobrze mogła założyć ją teraz. Następnie z małej rzeźbionej

szkatułki, która stała na parapecie, wyjęła zwitek banknotów. Nick zastrzegł jej karty kredytowe, ale ona – dużo wcześniej – zdążyła wypłacić z bankomatu kilka tysięcy, które poukrywała po całym domu; kto by pomyślał, że okaże się taka sprytna?

Wyszła z domu i wsiadła do samochodu, a kiedy przejeżdżała przez bramę, pomyślała, jak wyglądałoby jej życie, gdyby zabrano jej prawo jazdy. Gdyby tamta sprawa trafiła w końcu do sądu.

Ale dlaczego miano by je zabrać komuś takiemu jak ona? Nie była przestępcą. Poza tym miała dwoje małych dzieci, potrzebny był jej samochód.

Gdy zatrzymała się na światłach, zobaczyła sklep monopolowy. Cóż, nie jakiś tam monopolowy. Był czas, kiedy chodziła na zmianę do pięciu czy sześciu, nie częściej do jednego niż raz w tygodniu. Teraz niezmiennie chodziła do tego, który znajdował się najbliżej domu.

Zaskoczyła samą siebie, zatrzymując się – uznała, że to siła przyzwyczajenia – i wchodząc do sklepu.

– Pięć butelek Absoluta – powiedziała do Bena. Z zakłopotaniem dodała:
– Urządzam przyjęcie.

– Nie jest pani zimno w tej sukni? – zapytał Ben. – Na dworze jest mróz.

– Eee... nie.

Zaczerwieniła się ze wstydu. To była lekka, letnia sukienka. Bez rękawów. I nie wzięła żadnego płaszcza. Gdzie ona miała głowę?

Chwyciła reklamówki i niespokojnie wróciła do samochodu. W chwili gdy siadła na fotelu, zerwała banderolę z szyjki jednej z butelek, przechyliła głowę i wlała w siebie ten magiczny płyn. Przełknęła go, po czym odsunęła butelkę od ust, zaczerpnęła tchu i znowu odchyliła głowę. Po kilku sekundach

upokorzenie zniknęło i napędzana gwiazdym pyłem pojechała szybko do szkoły.

Z rosnącą pewnością siebie wkroczyła przez dwuskrzydłowe drzwi. Na korytarzu pojawiły się dwie kobiety. Marnie rozpoznała jedną z nich.

– Pani dyrektor! Dzień dobry. Przyjechałam po moje dziewczynki.

– Pani Hunter, dziewczynki mają teraz lekcje.

– Wiem. Ale chcę im zrobić niespodziankę.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe.

Aha! Nagle zrozumiała, co się dzieje.

– Powiedział wam, że tu przyjadę? Mój mąż? Ale wszystko jest w porządku, jestem ich matką.

– Pani Hunter...

– Proszę mi pozwolić się z nimi zobaczyć.

– Czy mogłaby pani mówić nieco ciszej? Zapraszam do mojego gabinetu, tam o tym porozmawiamy.

– W których są klasach? Okej, no to niech mi pani nie mówi. Sama je znajdę!

Fizycznie ją obezwładniły! Powstrzymały ją, kiedy próbowała biec korytarzem, otwierając drzwi do klas. Próbowwała wywinąć się z ich uścisku.

– Proszę zabrać ręce!

Zamieszanie sprawiło, że z klas zaczęły wyglądać głowy. Na korytarz wyszli zaalarmowani nauczyciele, a za nimi zaciekawione, chichoczące dziewczynki.

Wtedy zobaczyła Daisy.

– Daisy! To ja, mama. Jedziemy do zoo. Idź po Verity!

Daisy stała niczym wrośnięta w ziemię.

– No już! Szybciutko!

Jedna z chichoczących dziewczynek zapytała:

– Daisy, to twoja mama?

–Nie.

Kiedy się ocknęła, znajdowała się w swojej sypialni. A obok niej Grace. Czy był już weekend? Ile dni straciła?

– Która godzina? – wychrypiała.

Grace podniosła głowę znad książki.

– Dziesięć po dziewiątej.

Rano czy wieczorem? Jakiego dnia?

– Czwartek wieczór, piętnasty stycznia. Mam ci powiedzieć także rok?

– Co tu robisz?

– Przyleciałam po pracy. Wezmę jutro dzień wolny i zostanę na weekend.

Marnie nagle już uświadomiła sobie, dlaczego Grace znalazła się w Londynie. To przez ten wcześniejszy telefon – trudno uwierzyć, że wykonała go tego samego dnia – kiedy zapytała Grace, czy jest prawdziwa.

O Boże, nie. Zachowała się jak obłąkana i tak mocno nastraszyła siostrę, że ta wsiadła w samolot. Tak wielki czuła wstyd, że ledwie była w stanie wykrztusić z siebie przeprosiny.

– Grace, przepraszam, byłam trochę... niespokojna... ale czuję się już dobrze.

To było kłamstwo: potrzebowała teraz drinka. To pragnienie sprawiało, że trzęsła się i pociła. Nie było sensu sprawdzać butelki obok łóżka – Grace ją na pewno opróżniła. Ale miała jedną schowaną na strychu nad łazienką. Jeśli stanęła na krawędzi wanny, była w stanie dosięgnąć prostokątnej płyty pilśniowej i ją wyciągnąć.

Przez jej głowę przemknęło wspomnienie, kilka sekund, podczas których krzyczała i przepychała się z dyrektorką szkoły dziewczynek; wołała do Daisy, że jadą do zoo; dyrektorka odebrała jej kluczyki od samochodu; do domu odwiózł ją jeden z nauczycieli.

Nie, to się nie wydarzyło.

Wygramoliła się z łóżka i podeszła do okna – jej samochód stał sobie spokojnie na podjeździe! Poczowała taką ulgę, że aż jej się zakręciło w głowie. A więc wszystko to jej się tylko przyśniło.

– Przyprowadził go jeden z nauczycieli – odezwała się Grace. – To się wydarzyło, to wszystko jest prawdą.

Zataczając się ze wstydu, Marnie przypomniawszy sobie twarz Daisy. Malowała się na niej nienawiść.

Nie mogła pozwolić, by Grace zobaczyła, jak się czuje; uchwyciłaby się tej słabości i już nie puściła. Ale tym większą czuła teraz potrzebę, by się napić. Nie dało się jej zignorować, unikać, oprzeć; była zbyt dojmująca.

– Grace. – Jej głos drżał. – Muszę iść do łazienki.

– Pójdę z tobą.

– Nie. Ja muszę tylko siusiu. Zaufaj mi.

– Zaufać tobie? – W głosie Grace słychać było pogardę.

– Błagam cię. – Po policzkach Marnie zaczęły nagle płynąć łzy. – Pozwól mi samej pójść do łazienki.

– Nie. Wiem, że chowasz tam wódkę.

– Padnę na kolana, Grace, będę cię błagać. Czy tego właśnie chcesz?

Upadła na kolana, a Grace chwyciła ją za łokieć i pociągnęła mocno w górę, by wstała.

– Wstawaj, wstawaj, Marnie! Na litość boską, wstawaj! – Teraz Grace także płakała. Marnie musiała przyznać, że to nowość. – Spójrz tylko na siebie! Marnie! Łamie mi to serce.

– Proszę, Grace. Proszę, przestań tu przyjeżdżać. – Obejmowały się, częściowo przepychając, częściowo tuląc. – Nie potrafię się zmienić. Przestań próbować, nie rób tego sobie. Masz własne życie. A co z Damienem? Nie przeszkadza mu to, że ciągle tu jesteś?

– Nieważne – odparła ze znużeniem Grace. – Wzloty i upadki, każdy je ma.

Nie minęło dużo czasu, a Grace poruszyła temat odwyku. Można było według tego ustawiać zegarek.

– Gdybyś chociaż spróbowała, Marnie, może coś by to dało.

Ale Marnie wcale tego nie chciała: właśnie tego najbardziej się bała. Tylko alkohol pomagał jej przetrwać kolejne dni.

Grace w końcu poddała się i zmieniła temat.

– Rico odzywał się do ciebie przez ten czas, kiedy już nie pracujesz?

– Nie – odparła szybko Marnie. Był to epizod tak karygodny, że nigdy nie pozwalała sobie o nim myśleć. Nigdy. Gdy myśli o Rico pojawiały się w jej głowie, natychmiast przeganiała je alkoholem.

– A Guy?

Guy.

Zalała ją fala wyrzutów sumienia. Guy był życzliwy i zdumiewająco cierpliwy; nie miał wyjścia i musiał ją zwolnić.

– Nie.

– Martwi cię to?

Proszę, skończmy ten temat.

W piątek w porze lunchu Grace zawiozła Marnie na mityng AA. Zmuszała ją do brania w nich udziału za każdym razem, gdy przylatywała do Londynu, ale nie wchodziła już tam razem z nią. Zamiast tego czekała na pełnym przeciągów korytarzu, ponieważ – Marnie to wiedziała – bała się, że swoją obecnością hamuje Marnie przed dokonaniem Wielkiego Wyznania. Wyznania, że jest alkoholiczką.

Ale jeśli chodzi o Marnie, Grace mogła darować sobie twardą ławkę i zimny korytarz. Równie dobrze mogła siedzieć w ciepłym pomieszczeniu, pić herbatę i jeść ciastka razem z alkoholikami, ponieważ nie dojdzie do Wielkiego Wyznania.

No i dobrze, pomyślała Marnie, rozglądając się po sali, no bo gdyby rzeczywiście miała ochotę wyrzucić coś z siebie, niełatwo by jej było wejść im w słowo. Gadatliwi byli ci alkoholicy.

– ... piłam, ponieważ nienawidziłam siebie...

– ... sądziłam, że jestem najbardziej wyjątkową osobą na ziemi, tak skomplikowaną, że nikt nie jest mnie w stanie zrozumieć. A potem ktoś mi powiedział, że alkoholizm nazywany jest chorobą „Nieuleczalnej Wyjątkowości”...

– ... winę zawsze zrzuciałem na kogoś innego...

– ... pewnego dnia obudziłem się i po prostu nie mogłem tak dłużej żyć. Nie wiem, co w tym dniu było takiego innego, może po prostu dość miałem traktowania siebie i moich bliskich jak śmieci...

– ... sądziłem, że robię wszystko co w mojej mocy, by przestać pić. Ale prawda była taka, że próbowałem wszystkiego, by nadal pić. Kochałem to bardziej niż kogokolwiek lub cokolwiek innego i wtedy właśnie uświadomiłem

sobie, że tak naprawdę nie potrafię przestać, że nie mam już możliwości wyboru...

– Marnie, chciałabyś coś powiedzieć?

No dobrze, jeśli miała byś szczerą, to musiała przyznać, że zawsze ją zapraszano do „dzielenia się”, ale ona niezmiennie kręciła głową i wpatrywała się w podłogę.

Ale dzisiaj rzekła:

– Tak, właściwie to tak.

Na sali dało się wyczuć atmosferę wyczekiwania: myśleli, że przyzna się do tego, że jest alkoholiczką.

– Chciałabym tylko powiedzieć, że mój mąż odszedł ode mnie i zabrał moje dwie córki i nie pozwala mi ich widywać. Zastrzegł moje karty kredytowe i sprzedaje mój dom.

Kiedy mityng dobiegł końca, przed nią wyrosła Jules. Jej kucyk wesoło podskakiwał.

– Hej, Marnie, masz ochotę wyskoczyć na kawę?

– Tak, tak, ma! – Grace pchnęła ją w stronę Jules niczym zdeterminowana matka. – Idź, wrócę po ciebie za pół godziny.

W kafejce po drugiej stronie ulicy Jules postawiła przed Marnie smoothie i zapytała:

– Jak się czujesz?

– Nie za dobrze. Tęsknię za moimi córeczkami. – Wylała z siebie całą historię.

– Mój partner także ode mnie odszedł z powodu mojego picia – powiedziała Jules. – Zabrał ze sobą dzieci. Cóż, było naprawdę super. Mogłam

pić, ile tylko chciałam i nikt nie suszył mi głowy. Miałam tak doskonałą wymówkę. Całe to uzalanie się nad sobą.

– Ale to nie jest uzalanie się nad sobą, nie w moim przypadku.

– Pewnie, mówię tylko, że tak było ze mną. Tak – rzekła w zamyśleniu Jules. – Piłam czerwone wino i płakałam, i dzwoniłam do nich, kiedy byłam pijana i mówiłam im, że je kocham i że to wina ich tatusia, że nie są ze mną. Było to pewnie trochę jak oglądanie łzawego filmu, płkanie z niewłaściwego powodu, ale mnie się podobało. Oczywiście straszne było to, co robiłam dzieciom, ale nie potrafiłam się powstrzymać.

Marnie słuchała jej zafascynowana: Jules upadła znacznie niżej od niej. Ona przynajmniej nie dzwoniła do dziewczynek i nie szkalowała Nicka. Cóż, niezbyt często.

– Skoro tak było z tobą kiepsko, Jules, to jak przestałaś pić?

– Dzięki tym mityngom.

– Więc jak to możliwe, że mnie nie pomagają?

– Jesteś alkoholiczką?

– ... Nie, nie, właściwie wprost przeciwnie. Jestem po prostu bardzo nieszczęśliwa, a alkohol pomaga mi to przetrwać.

– No to masz odpowiedź – odparła pogodnie Jules. – Dlaczego miałyby ci pomóc, skoro nie jesteś alkoholiczką?

– Ale... – Marnie zmarszczyła brwi. Co tu się działo? Jules próbowała ją podejść jakimś przebiegłym sposobem, tak? Ale ona nie miała zamiaru dać się na to złapać.

– Sorki, muszę lecieć – powiedziała Jules. – Muszę odebrać dzieci. Widzimy się jutro?

– Prawdę mówiąc to nie, Jules. – Marnie właśnie podjęła decyzję. – Nie sądzę. Mam zamiar przestać przychodzić na te spotkania.

Grace zrobi z tego wielką aferę, ale...

– One mi nie pomagają – dodała ze znużeniem.

– Ale czemu miałyby być inaczej? Jak powiedziałaś, nie jestem alkoholiczką.

– Właściwie ty to powiedziałaś.

– Nieważne. W każdym razie już tu nie przyjdę. Tracę tylko czas.

Jules pokiwała życzliwie głową.

– Będzie mi ciebie brakowało.

– Mnie ciebie też – odparła uprzejmie Marnie, choć nie było to prawdą. Nie znaczy to, by Jules nie była miła. – Mogę cię o coś zapytać, zanim pójdziesz? Twoje dzieci? Komu przyznano opiekę? Tobie czy jemu?

– Nie spodoba ci się to. – Na twarzy Jules pojawił się szeroki uśmiech. – Mój partner i ja zesłaliśmy się. Kiedy przestałam pić.

– Nie! – Marnie zakryła dłońmi uszy. – Nie chcę słuchać tej twojej propagandy. Przestań pić, a wszystko będzie cudowne!

Ale Jules się jedynie zaśmiała.

Przekonała się, że leży na podłodze na korytarzu. Dom wydawał się przeogromny i zimny.

Przesunął się po niej czarny cień, jak ptak drapieżny.

Co to było? Szybko przesuwaną się chmura za drzwiami? Przejeżdżająca ulicą ciężarówka?

Miała uczucie, jakby to była śmierć.

LOLA

Piątek, 16 stycznia, 10. 07

Zadzwoił telefon – Nkechi. Znowu! Dwa pierwsze tygodnie stycznia spędziła w Nigerii (dla stylistki to jedyny autentycznie spokojny czas w roku), ale odkąd wróciła, nieustannie do mnie wydzwaniała. Zameęczała mnie, jeśli chcecie znać prawdę. Była w trakcie „odseparowywania” swoich klientek od moich. *Odseparowywania?* Od kogo się nauczyła tego słowa? Na pewno nie ode mnie.

Zgodnie z jej przewidywaniami – choć była taka cudowna i w ogóle (nie jestem sarkastyczna, może jedynie trochę) – nie każda klientka chciała się „odseparować” razem z nią i Abibi, część wołała zostać ze mną. Właściwie to całkiem spora liczba klientek. Mocno podniosło mnie to na duchu. Przyjemna jest świadomość, że ktoś ma o tobie wysokie mniemanie.

Ale Nkechi – wracając do swojej obietnicy – nie chciała puścić niektórych „moich” pań. Te, które najmniej liczyły się z pieniędzmi, chciała zostawić sobie. Ciągle do mnie wydzwaniała. Negocjowała.

– Nkechi? – zapytałam tonem, który miał mówić: „Co, kurde, tym razem?”.

– Co powiesz na to?

Nastawiłam uszu. Jaki obraźliwy, jednostronny interes proponowała tym razem?

– Dam ci Adele Hostas, Faye Marmion i Drusillę Gallop, jeśli będę mogła zostawić sobie Nixie Van Meer.

Co za tupet! Adele Hostas miała węża w kieszeni, Faye Marmion za cholerę nie dało się zadowolić, a Drusilla Gallop była z nich wszystkich

najgorsza: nosiła suknie, ale udawała, że nie, po czym próbowała je „zwrócić”, gdy tymczasem śmierdziały fajkami i Coco Chanel, a na kołnierzu nosiły ślady podkładu. Nixie z kolei była nadziana, ekstrawagancka i sympatyczna.

– Trzy klientki – namawiała Nkechi. – Za cenę jednej. Umowa stoi czy nie?

– Nie – odparłam. – Nixie Van Meer nie jest na sprzedaż.

– Jeszcze się przekonamy – mruknęła gniewnie Nkechi i rozłączyła się.

Kurdemol. Schowałam głowę w dłoniach w geście znużenia. Walczyłam teraz o środki do życia. No więc – pytanie to już od dawna od siebie odsuwałam – co ja jeszcze robiłam w Knockavoy?

Mój czas na wygnaniu dobiegł końca, odsiedziałam tu swoje i w końcu byłam wolna. Musiałam wracać, jeśli chciałam utrzymać przy sobie jakiegokolwiek klientki. Byłam za nie odpowiedzialna – kobieta ze śmietanki towarzyskiej pozbawiona stylistki była niczym człowiek z jedną nogą, startujący w konkursie kopania tyłka. Moje panie wykazały się wielką cierpliwością w kwestii mojego jesiennego „urlopu naukowego” (czy też „załamania”, jeśli wolno mi swobodnie mówić) i jeśli niedługo nie pojawię się w Dublinie, pomyślą, że już nigdy nie wrócę i znajdą sobie kogoś innego.

Nkechi, wyczuwając moją słabość, krążyła wokół mnie niczym rekin. Ponieważ prawda była taka, że wcale nie miałam ochoty – tak, tak właśnie było – wyjeżdżać z Knockavoy.

Zadomowiłam się na wsi? Nie pasowałam już do wielkiego miasta? Co nie znaczy, by Dublin był jakimś wielkim miastem. Nie mówimy tu o Sao Paulo (dwadzieścia milionów ludzi) czy okręgu moskiewskim (piętnaście milionów).

10. 19

Znowu zadzwonił telefon. Zebrałam się w sobie, by przeciwstawić się naciskom Nkechi. Jednak nie była to Nkechi, lecz ciotka Bridie, Bunny (wspominałam wam o tym, że ich rodzina specjalizuje się w dziwacznych imionach? Nawet Tom to nie jest prawdziwe imię wuja Toma. Naprawdę ma na imię Coriolanus. Upierał się przy „Tomie”, ponieważ nie chciał, aby ludzie próbowali zdrabniać Coriolanusa i wołać na niego „Anus”^{*}. Naprawdę tak było). Powiedziała mi, że chciałaby spędzić w chacie wuja Toma tydzień wielkanocny.

– Tutaj trzeba szybko rezerwować sobie miejsce! – oświadczyła.

– Tak, oczywiście, cha, cha, cha. Popularne miejsce, tak, choć nie ma telewizora.

Rozłączyłam się. Przełknęłam ślinę. Koszmarny szok. Katastrofalny wręcz. Aż poczułam mrowienie w uszach.

Moje dni tutaj były policzone. Wszechświat udzielił mi jednoznacznej odpowiedzi. Musiałam wracać do Dublina.

Wiedziałam oczywiście, że nie mogę tu zostać na zawsze. Wiedziałam oczywiście, że niedługo nadejdzie wiosna i myśli dużej, wielopokoleniowej rodziny Bridie pofruną ku długim weekendom, świeżemu powietrzu, ozonowi. Wiedziałam oczywiście, że mam szczęście, iż mogłam mieszkać tu bez przeszkód tak długo. Nie byłam głupia, a jedynie świetna w okłamywaniu samej siebie. Przez tych kilka miesięcy pozwoliłam sobie na lekkie wyparcie. Gdybym udawała, że nigdy nie będę musiała wyjechać, wtedy nigdy nie musiałabym wyjechać.

^{*} *Anus (ang.) – odbył.*

Ale wyparcie to wiarołomny i marny przyjaciel i nie zapewnia żadnej ochrony przed prawdą, kiedy ta postanowi cię w końcu dopaść.

Okej, przyznaję się, choć mi wstyd. Rozważałam rodzący się w mojej głowie pomysł pozostania w Knockavoy. Tak! Przyznaję, że było to zaskakujące. Tak sobie fantazjowałam, że jakimś cudem udałoby mi się zatrzymać najmilsze i/lub najbardziej dochodowe (rzadko chodziło to w parze) dublińskie klientki, dojeżdżałabym do stolicy, by zaspokajać ich potrzeby, a w międzyczasie tworzyłabym sobie bazę klientek tutaj, na zachodnim wybrzeżu. Szczegóły miałam jeszcze niedopracowane, ale wiedziałam, że nie byłoby łatwo. Wymagałoby to spędzania mnóstwa czasu w samochodzie, przypochlebiania się klientkom nerwowym jak konie wyścigowe, które zazwyczaj upierały się przy tym, by na okrągło trzymać je za rączkę, no i nigdy nie zarobiłabym tyle, co mieszkając w Dublinie – szczęście było jednak tego warte, no nie?

Ale wszechświata to nie przekonało. Wszechświat wyganiał mnie z uroczego, małego domku i nakazywał mi swym długim, kościstym palcem kostuchy wracać do wielkiego miasta.

Pogrążyłam się w rozpacz, niemal tak wielkiej, jak podczas ponurego obiadu świątecznego z tatą i wujkiem Francisem.

Przyjechałam do Knockavoy, by uciec przed chaosem życia, by ukryć się, dopóki nie wróci mi równowaga psychiczna, ale nieoczekiwanie zaczęłam być tutaj szczęśliwa. Tyle że dostrzegłam to dopiero teraz, kiedy mój pobyt w chacie wuja Toma dobiegał końca. Cholernie typowe, oczywiście.

11. 22

Weszłam do kuchni, stanęłam przy oknie i popatrzyłam na dom Considine'a. Ciekawe, czy Chloe zjawi się dzisiaj na wieczór transek.

W zeszłym tygodniu nie przyszła. Był to nasz pierwszy piątek po przerwie świątecznej. Nie otrzymałam zaproszenia na kolejne odcinki *Prawa i porządku*. W zasadzie to nie widziałam jej od tamtej nocy Thelmy i Louise.

Niezmiernie martwiłam się tym, że mój spontaniczny pocałunek mógł narobić kłopotów Considine'owi i Gillian i nieodwracalnie zniszczyć moją przyjaźń z Chloe.

Nie po raz pierwszy całowałam się z kobietą – już Paddy tego dopilnował – ale po raz pierwszy robiłam to nie w obecności wielkiego owłosionego faceta, który patrzył i masturbował się.

Chloe całowała wyjątkowo: powoli i słodko, i seksownie. Całowała całymi ustami, nie uprawiając rozszalałej szermierki twardym językiem, którą wielu ludzi uważa za doskonałe pocałunki.

Czułam lekkie zawroty głowy i zaczynały mi mięknąć kolana – wtedy Chloe zeszywniała jak deska i wyrwała mi się. Szokująca rzeczywistość tej sytuacji była niczym kubeł kostek lodu wysypanych na głowę.

– Zapomniałam... – wyjąkałam. – Gillian.

Biedna mała Fretka. Myślała, że jej chłopak spędza niewinny wieczór na tańcach, przebrany w damskie ciuchy, a on tymczasem obściskiwał się ze mną.

– Chloe, przepraszam, przepraszam...

– Nie, Lola! To także moja wina...

– Po prostu mnie poniosło, przyływ adrenaliny, to już się nigdy nie powtórzy...

– Tak, mnie też, adrenalina!

Wsiadłyśmy do samochodu i bez słowa wróciłyśmy po dziewczęta.

Następnego ranka udałam się do Birmingham na cztery dni mordegi z tatą i wujkiem Francisem. Mówię wam, ci dwaj nie potrafiliby się dobrze

bawić nawet wtedy, gdyby im przystawiono pistolet do głowy. Następnie pojechałam z Bridie, Barrym i Treese do Edynburga, gdzie zatrzymaliśmy się u jednego z wielu, wielu kuzynów Bridie, i gdzie przez kilka dni oddawaliśmy się pijackiej rozpuście, śpiewając *Kwiat Szkocji* i robiąc dziwne rzeczy z bryłkami węgla. (Choć – wydaje mi się, że już o tym wspominałam – nie jestem amatorką węgla, nie okazało się to problemem.)

Wyglądało na to, że po sztubacku zadurzyłam się w Chloe, co było tym bardziej niemądre, że Chloe nie była prawdziwą kobietą. Ale najgorszym aspektem całej tej sprawy była Gillian. Strasznie mi było wstyd. Przystawianie się do kogoś zajętego to karmiczna strefa zakazana. Choć nasz pocałunek był niezwykle przyjemny, bardzo żałowałam, że do niego doszło.

Próbowałam zwierzyć się Bridie i Treese w przygnębiającej próbie rozplatania swych zablokowanych uczuć, ale nie doczekałam się współczucia.

– Twoje życie jest dosłownie jak opera mydlana! – oświadczyła Bridie, po czym opowiedziała moją historię wszystkim swoim kuzynom. Kuzynowie przekazali ją dalej wszystkim swoim znajomym i tak to szło, aż znała ją cała Wielka Metropolia Edynburga. Wciąż natrafiałam na rozmowy na mój temat: „... No więc łąduje w łóżku z tym surferem, który podobno jest SUPERPRZYSTOJNY i SZALEJE za nią, mimo że wygląda lepiej od niej. I czy ona się z tego cieszy? NIE! Zamiast tego zaczyna jej się podobać sąsiad, transwestyta. Tak, zgadza się. Sąsiad wuja Toma! Ta transka ma stałą dziewczynę. Ale najlepsze w tej całej historii jest to, że Loli nie podoba się transka, kiedy jest w męskich ciuchach, ale tylko wtedy, kiedy ma na sobie damskie ciuchy! Tak, wiem! A ona nie jest nawet lesbą!\".

Kiedy na jakiejś popijawie facet w kraciastym berecie szkockim zaczął mi opowiadać o „zbzikowanej przyjaciółce Bridie\", historia ta zdążyła już

zmutować na tyle, że Jake był teraz żeglarzem, który opłynął świat, a Rossa Considine transseksualistą, który uciął sobie fujarkę, by w ten sposób zdobyć moje względy.

– I co, jesteś zadowolona? – zapytałam Bridie.

– Ach, sorki, Lola, ale to była taka smakowita historia...

Wróciłam do Knockavoy czwartego stycznia. Byłam niespokojna i nie mogłam doczekać się piątku, by przekonać się, jak mają się sprawy z Chloe.

Ale nadszedł piątek, a Chloe nie pokazała się. Pojawiła się Natasha i Blanche, po nich Sue i Dolores. Ale ani śladu Chloe.

– Może nie wiedziała, że już zaczęliśmy – rzekła Natasha, marszcząc nieładnie czoło. – Może sądzi, że spotykamy się dopiero za tydzień.

Tak jakby wieczory transkowe były kursem wieczorowym.

– Może. – Było mi niedobrze.

Oczywiście, że nie przyszła! Chloe była lojalna wobec Gillian.

Ale ja tak bardzo pragnęłam obiecać Chloe, że pocałunek Thelmy i Louise już się nie powtórzy, że to była jednorazowa reakcja na niezwykłą, mocno napiętą sytuację. Musiałam wziąć byka za rogi (wiejskie powiedzenie, które teraz rozumiem – byki są przerażające), ale nie potrafiłam wykrzesać z siebie wystarczającej odwagi, by udać się do drzwi Considine'a i poprosić o audiencję.

Za bardzo się bałam – tak, to prawda – że powie mi bez ogródek, bym się odchrzaniła, i że tak to się wszystko skończy.

Miałam nadzieję, że jeśli zostawię to przeznaczeniu, to może wpadnę gdzieś na niego w weekend. Rozglądałam się nerwowo, ale nigdzie go nie widziałam. Przyszło mi do głowy, że może wyjechał na długi weekend, by chodzić po jakiejś odległej jaskini. Ale w poniedziałek rano obudziło mnie

trzaśnięcie jego drzwi. Wskoczyłam z łóżka i przyglądałam się ukradkiem, jak idzie do swego ekoauta, po czym odjeżdża do pracy. Nie podniósł głowy i wtedy miałam już pewność, że coś jest nie tak. Nienawidziłam siebie. Pograżona byłam w rozpacz.

Szpiegowałam go we wtorek, środę, czwartek i dzisiaj, a on ani razu nie spojrzął w stronę mojego okna. To oczywiste, że mnie unikał. Ale ja nadal żywiłam nadzieję, że Chloe pojawi się dziś jak zawsze.

16. 01

Wskoczyłam na cmentarz, nim zdążyło się ściemnić.

– Mamo, nie chcę wracać do Dublina.

– Wszyscy musimy robić to, czego nie chcemy. Myślisz, że ja chciałam umrzeć i cię zostawić?

– Nie, ale...

– Przecież twój pobyt w Knockavoy z zamierzenia był tymczasowy.

– ... Okej. – Moja komunikacja z mamą prawdopodobnie wcale nie miała miejsca. Ja jedynie słuchałam głosu w swojej głowie i w gruncie rzeczy mogłam robić dokładnie to, czego chciałam...

– Po co mnie pytasz o zdanie, skoro nie masz zamiaru brać go pod uwagę? – wykrzyknął głos mamy.

... Choć oczywiście mogłam się w tym względzie mylić.

– Przepraszam. A skoro już tu jestem, to powiesz mi, co się stanie z Chloe? Zjawi się dzisiaj?

Cisza.

– Mamo? Mamo?

– Będziesz musiała poczekać i się przekonać.

18. 29

Zadzwonił telefon. Bridie.

– Pakuj się, Lolo Daly, twój czas się skończył! Słyszałam, że wyrzucają cię z domu.

– Tak.

– No więc pytanie brzmi: czy czujesz się na tyle dobrze, by wrócić do domu, czy nadal świrujesz? Moje zdanie jest takie, że pogorszyło ci się. Pojechałaś do Knockavoy jako miła, heteroseksualna dziewczyna, a teraz wracasz jako półlesba.

– Czy dzwonisz w jakimś konkretnym celu, Bridie? – W moim głosie chłód. – Czy też robisz to tylko po to, by sobie ze mnie drwić?

– Tylko żartuję. W Edynburgu wydawałaś się w miarę rozsądna. No więc co czujesz w kwestii pana de Courcy?

– Nie wiem.

– Dobrze mu życzysz? Czujesz, że mogłabyś rzucać konfetti na jego ślubie? Można powiedzieć, że przebolełaś się faceta dopiero wtedy, kiedy jest się w stanie rzucać konfetti na jego ślubie.

– Z całą pewnością tak się nie czuję.

Ale nie poświęcałam już Paddy'emu wszystkich swoich myśli i nie śniłam o nim każdej nocy. Minęły dni, kiedy szalałam, ponieważ nie mogłam z nim być. Właściwie to wcale nie chciałam się z nim spotkać. Naprawdę. Już nigdy. To było dla mnie coś nowego.

Czułam jeszcze coś innego, ale nie potrafiłam tego zidentyfikować. Smutek? Nie. Pragnienie? Nie. Żal? Nie. Gniew? Ciepłej. Nienawiść?... Mmm, może, ale nie do końca... niezupełnie... coś... co to było? Strach? Mógł to być strach? Tak, to mógł być strach.

19. 01

Przyjechały Natasha i Blanche.

19. 15

Przyjechała Dolores.

19.27

Przyjechała Sue.

Gdy ją wpuszczałam, szalałam z niepokoju.

– Gdzie Chloe? – zapytała Sue.

– Nie będzie jej dzisiaj – odparła Natasha. – Tak, Lola, sorki, zapomniałam ci powiedzieć. Chloe przysłała mi ese-mesa. Nie da dziś rady.

– Dlaczego? – Mój głos brzmiał piskliwie. I dlaczego nie napisała do mnie? Miała przecież mój numer.

– Nie napisała dlaczego. No dobra, czy mój penis bardzo się w tym odznacza?

19. 56

Posadziłam dziewczęta na sofie i poinformowałam je o tym, że nasz obecny układ zbliża się do końca.

– Rodzina Toma Twoomeya chce mieć dla siebie ten dom. I pora, bym wracała do Dublina do pracy.

– Och – powiedziała Natasha. – Kiedy wyjeżdżasz?

Rzeczywiście: kiedy?

– Mniej więcej w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

Teraz nic już mnie nie powstrzymywało przed wyjazdem – w dziesięć minut uwinęłabym się z wrzuceniem ciuchów do walizek – ale potrzebowałam trochę czasu, by się z tym pogodzić.

Dziewczęta wymieniły spojrzenia i jedna z nich powiedziała:

– Zawsze wiedzieliśmy, że to nie będzie mogło trwać wiecznie.

Zaskakująca reakcja. Spodziewałam się jęków, zgrzytania zębami i błagania o to, bym została. Zamiast tego atmosfera dojrzałej akceptacji. Dlaczego? Dyskoteka przed świętami, oto dlaczego. Pokazałam transkom, że istnieje wielki, wspaniały świat transek. Nie byłam już im potrzebna.

– Wyrosłyście ze mnie – powiedziałam, po czym wybuchnęłam płaczem.

– Zjawiliście się u mnie jako małe, opierzone pisklaki, a teraz... teraz...

WSZYSTKIE DOROSŁYŚCIE!

– Myślałam, że się ucieszysz – stwierdziła kwaśno Natasha. – Przez cały czas tylko narzekałaś.

Sobota, 17 stycznia, 10. 15

Wstałam, ubrałam się i wyszłam z domu. Po bezsennej nocy w końcu robiłam to, co należy. Zamierzałam porozmawiać z Rossą Considine'em.

Ekoauto stało na podjeździe, miałam więc nadzieję, że jest w domu, a nie w jakiejś jaskini. Miałam także nadzieję, że nie leży teraz w łóżku z Gillian. Choć nie wydawali się być parą, która spędza cały dzień w łóżku. Należeli do tych ludzi, którzy lubią spędzać czas poza domem.

Considine otworzył drzwi, jakby się mnie spodziewał. Zaprowadził mnie do salonu, gdzie usiedliśmy na brzegu sofy, czując skrepowanie i smutek. Panowała dziwna atmosfera, jakbyśmy kiedyś byli w sobie zakochani, ale teraz wszystko było skończone.

– Nie przyszedłeś wczoraj? – odezwałam się.

– Nie. Kazałem Noelowi powiedzieć ci o tym.

– Powiedział. Rossa, jeśli chodzi o moje zachowanie tamtej nocy, kiedy uciekliśmy gliniarzom, to zapewniam cię, że już się nie powtórzy...

– W porządku...

– Przepraszam, Rossa, szczerze cię przepraszam. I Gillian także. Z całego serca przepraszam. Tak mi wstyd. Ale to się nie powtórzy. To była po prostu szalona, nabuzowana adrenaliną chwila. Proszę, wróć, tęsknimy za Chloe.

– Przykro mi, Lola – odparł z żalem. – Chloe na razie odeszła.

– Obiecuję, że nawet jej palcem nie tknę...

– Nie chodzi o ciebie, Lola. To nie twoja wina. Po prostu jedna z tych rzeczy... najlepiej będzie...

– Ale... – W moich oczach łzy! Z powodu nieistniejącej postaci!

– Przykro mi, Lola – powiedział Considine z bezgraniczną życzliwością.

– Wiem, jak bardzo ją lubiłaś. Proszę, nie płacz, Lola, chodź tutaj. – Wziął mnie na kolana, tak jak kiedyś Lola, a ja moczyłam mu łzami koszulkę.

– A wróci?

– Prawdopodobnie tak, w którymś momencie, po prostu... no wiesz....

Nie wiedziałam. Musiało mieć to związek z Gillian. Może w końcu zaczęła mieć dość tego, że jej chłopak przebiera się w damskie ciuchy.

– Ale kiedy Chloe wróci, mnie już nie będzie.

– Co? – Słowo to wydobyło się z jego ust niczym warknięcie. Usiadł prosto, niemalże zrzucając mnie na podłogę. Jego ciało było całe napięte i już nie było wygodnie się o nie opierać.

– Tak, Considine. Muszę wracać do Dublina. Rodzina Twoomey chce z powrotem ten dom, a ja muszę wracać do pracy. – Na myśl o wyjeździe jeszcze bardziej się rozplakałam. Tak strasznie mi było smutno.

– Kiedy jedziesz?

– Nie wiem. Jeszcze nie zdecydowałam. Nie mogę się do tego zmusić. Ale niedługo. W ciągu dwóch tygodni.

– No tak.

Jego ciało oklapło i choć znowu było wygodnie się na nim opierać, było inaczej, nie tak przyjemnie – miałam wrażenie, jakbym siedziała na sofie, która miała już swoje lata. Czułam ciężar jego głowy, opierającej się o moją. Dziwny, żałobny nastrój. Jakbyśmy oboje opłakiwali utratę Chloe. Wiem, że głupio to brzmi, ale mówię wam po prostu, jak było.

Considine klepał mnie po plecach i płakałam coraz mniej, aż przestałam. Zamknęłam oczy. Czułam się już trochę spokojniejsza. Było mi ciepło. Miły zapach z szyi Considine'a. Z głębi mnie wydobyło się duże, głośne westchnienie. Odsunęłam się.

– Lepiej będzie, jak wstanę. Jeśli zostanę dłużej, to zasnę.

– Lola, przykro mi, że cię zmartwiłem...

– W porządku, w porządku. – Zrobiłam, co mogłam. Poza tym i tak wyjeżdżałam z Knockavoy. Zostawiałam za sobą te całe transkowe dyrdymały.

– Chcesz przyjść w środę na *Prawo i porządek*? – zapytał. – Ostatni raz?

– Myślałam, że jest w czwartki.

– Nowy rok. Nowa ramówka. Teraz leci w środowe wieczory.

Przyjdiesz?

– Okej... – Nie otrzymałam tego, po co tu przyszłam, ale okej...

12. 12

Główna ulica Knockauoy

Zobaczyłam wielkoustego Jake'a przechadzającego się po drugiej stronie ulicy krokiem Boga Miłości. Przygotowałam się na wyzwiska. Ale on pomachał mi wesoło i nie było w tym goryczy, obsesji czy szaleństwa. A więc to prawda! Według słów mego informatora (Cecile) znowu był pewnym siebie pyszałkiem. Zrobił Jaz w balona, w okresie świąteczno-sylwestrowym z nudów próbował się wmieszać między Kelly a Brandona, a teraz wdał się w

romans z jakąś zaręczoną kobietą z „zła drogi Liscannor”. To ostatnie było dla mnie językową zagwozdką.

12. 16

Supermarket

Nowy „Vogue”! Kelly zamawiała go specjalnie dla mnie. Czułam się w obowiązku powiedzenia jej, by już tego nie robiła, jako że wracam do Dublina. Wyraziła smutek z powodu mego rychłego wyjazdu, po czym zainteresowała się szokująco wysoką ceną „Vogue'a”.

– Prawie dziesięć euro! – zawołała, wydając mi resztę. – A nie ma w nim nic oprócz reklam! Hej! – Podekscytowana. – Skąd masz ten ślad?

– Jaki ślad?

– Ten. – Pokazała na okrągłe, lśniące różowe znamię na środku mojej dłoni. – To ślad po przypaleniu? Okaleczasz się? – zapytała gorliwie. Kelly fascynowało życie gwiazdek, o którym czytała w tanich gazetach: drobnych dziewczynach z wielkimi torebkami, bulimią i pobytem na odwyku przed ukończeniem osiemnastego roku życia. – Bardzo bym chciała poznać kogoś, kto sam się okalecza.

– To znamię – powiedziałam przeproszającym tonem. – Urodziłam się z nim. – Po czym dodałam, ponieważ wyglądała na tak bardzo rozczarowaną: – Sorki.

13. 15

Mijając Loch

– Ho, Lola Daly! Prosimy na słówko.

Weszłam do środka.

– Mam dla ciebie plotkę – oświadczył Boss.

– Niezłą – dodał Moss.

– Mocno niezłą – potwierdził Profesor.

Przeszył mnie karygodny dreszcz. To trio wiedziało wszystko. Bez względu na to, co od nich usłyszę, będzie to prawdą.

– Jesteś gotowa? – zapytał Boss.

Kiwnęłam głową.

– Gillian Kilbert...

– ... znana także jako Fretka...

– ... i barman Osama... –... są parą.

Totalny szok.

Gillian i Osama? Ogarnęło mnie przerażenie. To przeze mnie? Wbiłam klin pomiędzy Gillian i Considine'a, pchając Gillian do „odegrania się”?

– Rossa wie? – zapytałam.

–Nie.

– No to skąd wy o tym wiecie?

– Spodziewaliśmy się tego. Obserwowaliśmy z zainteresowaniem tę sytuację od ich pierwszej wyprawy w piątkowy wieczór na duńskie filmy.

– Uznałem, że oboje do tego dojrzeli – oświadczył Profesor. – Ptaszki ćwierkają, że Considine i Fretka nie wywiązują się ze swych łóżkowych obowiązków już od wielu tygodni. Właściwie od tamtego wieczoru, kiedy się na nowo zesзли.

– Skąd to u diabła wiesz? – Złe, pełne ognia uczucia z powodu pogwałcenia prywatności Considine'a.

– To małe miasto. W każdym razie zamiast wrócić z Ennis prosto do domu, Gillian i Osama zaparkowali auto jakiś kilometr stąd i się obściskiwali jak szaleni.

– Wczoraj wieczorem w ogóle nie pojechali na film – powiedział Boss. – Tylko od razu zaparkowali w swoim ulubionym miejscu... i... cóż, co ja ci będę mówił.

Złe, pełne ognia uczucia przybrały na sile.

– Nie macie nic lepszego do roboty od szpiegowania innych?

Zaskoczenie.

– Co się stało, Lola? – Boss zasmucony. – Myślałem, że lubisz wiedzieć, co w trawie piszczy.

– Nie powinno być tak, że ja to wiem, a Rossa nie.

– Ktoś mu niedługo o tym powie. – Moss zdawał się uważać, że to dobry pomysł.

Wcale nie!

Ogarnęło mnie nagle i głębokie współczucie dla Considine'a. Dumny mężczyzna. I choć czasem marudził, był z niego porządny gość. Ja w swoim czasie także musiałam znieść ból odrzucenia.

Powinam mu o tym powiedzieć.

Ale czy mogłam? Pogardzałam wścibskimi, udającymi współczucie ludźmi, którzy mówili: „Uznałem, że powinieneś wiedzieć... ”.

Choć moje współczucie nie było udawane.

A gdybym powiedziała mu o tym, już na zawsze by mnie znienawidził. Za złe wieści obwinia się posłańców. Nie chciałam, by już na zawsze mnie znienawidził. Odkryłam w sobie zaskakujące uczucie sympatii do niego.

– Wychodzisz? – zawołał Pijacki Kącik, kiedy wstałam.

– Tak. – Musiałam się nad tym zastanowić. Wyszłam z pubu, słysząc jeszcze, jak Boss mruczy:

– Nie wiem, co ją ugryzło.

Jeżu Chryste! Kiedy wyszłam na ulicę, pierwszą napotkaną osobą okazała się Gillian. Wrosłam w ziemię z powodu wyrzutów sumienia, szoku, a potem jeszcze większych wyrzutów sumienia.

– Cześć, Lola, szczęśliwego nowego roku. – Zatrzymała się, by pogadać. Sprawiała wrażenie beztroskiej i zadowolonej.

– Eee...

– Wszystko w porządku... ?

Kurdemol. Próbowałam zdecydować, co powinnam zrobić. Gillian znalazła się na mojej drodze – to raczej nie mógł być przypadek. Ale nie było mi łatwo. A) I kto to mówi? Przecież to ja dobieierałam się do jej chłopaka, mimo że to nie nim byłam zainteresowana, lecz jego kobiecym alter ego. B) Wtrącanie się w sprawy innych było rzeczą wyklętą dla ludzi z dużego miasta, takich jak ja.

– Gillian. – Odkaslnęłam. – To nie moja sprawa i niczego nie osądzam, naprawdę, ale słyszałam... słyszałam, że ty i Osama, to znaczy Ibrahim...

Co ja jej miałam powiedzieć? Wszystko brzmiało paskudnie. Wymienialiście ślinę w zatoczce?

– Wiesz, do czego zmierzam? – zapytałam z zażenowaniem.

Wpatrywała się we mnie oczami pełnymi strachu.

– Ludzie o tym mówią – powiedziałam. – Rossa się dowie. Byłoby pewnie lepiej, gdyby dowiedział się tego od ciebie.

– Gdzie o tym usłyszałaś? Nie tutaj? – Kiwnęła głową w stronę wejścia do Lochu, a jej drobna twarz była biała jak mleko.

Niechętnie skinęłam głową.

– Kurwa – szepnęła. – Okej. – Kiwnęła głową, jeszcze raz kiwnęła, i jeszcze raz, po czym przeszła przez ulicę i dała nura do Dębu, niewątpliwie w celu skonsultowania się ze Śliwkowymi Oczami.

15.37

Nie szpiegowałam. Nie. Tak się po prostu akurat złożyło, że myłam okna w ramach przygotowywania się do wyjazdu, kiedy zobaczyłam, że drogą idą Fretka i Śliwkowe Oczy. Emanowała od nich determinacja. Skręcili na ścieżkę wiodącą do domu Considine'a. Zapukali do drzwi i po krótkiej chwili zostali wpuszczeni do środka. Drzwi zamknęły się za nimi.

Nasłuchiwałam, spodziewając się może jakichś krzyków i odgłosu tłuczenia naczyń, ale nic nie usłyszałam.

16. 19

W drzwiach pojawili się Fretka i Śliwkowe Oczy z głowami opuszczonymi, jak mniemam, ze wstydem. Niczego więcej nie udało mi się dostrzec.

18. 24

Myłam piecyk, choć prawie w ogóle go nie używałam podczas pobytu w Knockavoy, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi.

O framugę opierał się Rossa Considine. Wyglądał ciut niechlujnie.

– Borsucza dupa – oświadczył.

– Tak się czujesz?

– Twój wieczór borsuczej dupy. Obiecaliśmy ci go, a nigdy do niego nie doszło. Co powiesz na dzisiejszy wieczór? Teraz?

– Fantastyczny pomysł! Tylko zdejmę fartuch. Staralam się, rzecz jasna, być po prostu miła. Considine'owi potrzebna była wymówka, by wyjść i w alkoholu utopić ból związany ze zdradą Fretki, i udawał, że to prezent dla

mnie. Byłam jednak dumna – a owszem, przyznaję się bez bicia – że wybrałam mnie, a nie swoich jaskiniowych kumpli. No ale znając tych facetów w stylu macho, można się spodziewać, że drwiliby z niego niemiłosiernie. „Cha, cha, słyszeliście o Considine? Jest tak beznadziejny w łóżku, że jego dziewczyna uciekła z zamachowcem samobójcą. CHACHA–CHACHACHA!”.

18. 37

Stojąc na głównej ulicy Knockavoy

– Który pub? – zapytałam.

– Dąb.

Dąb? Dziwicie mi się, że spodziewałam się bojkotu Dębu?

Trzeba mu oddać to, że był wielkoduszny. Chyba że planował dać w pysk Osamie?

Nie. Żadnego walenia po pysku. Kupił drinki od Osamy. Zachowując się przy tym grzecznie. Postawa godna podziwu. Rossa Considine niczym Gandhi! Z kolei Osama przemykał się chyłkiem ze spuszczonym wzrokiem. Emanowały z niego wyrzuty sumienia. Dziś wieczorem nie było mowy o promiennych uśmiechach.

Parę drinków później Considine pękł i powiedział mi o Gillian i Osamie. Zachowywałam się tak, jakbym dopiero teraz się o tym dowiedziała.

– To tragiczne – rzekłam. I tak właśnie myślałam. Rozstania innych ludzi sprawiały mi ból, niemal tak, jakby dotykały mnie samą. – Jak się czujesz?

– To koniec pewnej ery – odparł. – Ale tak to się musiało potoczyć. W ogóle nie powinniśmy byli wracać do siebie po tym pierwszym rozstaniu. Powody, dla których się wtedy rozstaliśmy, wcale nie zniknęły. Mnie nadal nie interesowały jej przygnębiające filmy, a ona nie interesowała się moim... jak ty to nazywasz? Transkowaniem. Ani eksploracją jaskiń. A oni są szczęśliwi.

– Nie jest przyjemnie zostać odrzuconym – podsunęłam. Trochę miałam już dość facetów wypierających się swoich uczuć.

– Nie jest. Ale przeżyję.

– Nie musisz robić dobrej miny do złej gry. Bycie rogiaczem – (Margery Allingham) – jest upokarzające.

Odwrócił się, by na mnie spojrzeć. I ze zdumieniem rzekł:

– Ty chcesz, żebym był zrozpaczony?

– Nie. Chcę, żebyś był ze mną szczery.

– Jestem.

– Nie jesteś.

– Jestem, Lola, jestem. Pomiędzy mną a Gillian popsuło się już dawno temu i ja też... też... nieważne... chciałem coś z tym zrobić. Miałem nadzieję, że będzie lepiej. Albo miałam nadzieję... miałem po prostu nadzieję, że nie będę musiał jej ranić.

– Nie mów mi, że ci ulżyło!

– Nie ulżyło. To nie jest takie proste. Ale zbliżał się czas podjęcia decyzji. I teraz została ona podjęta. Prawdę powiedziawszy to tak... kiedy o tym wspomniałaś, to czuję, że mi ulżyło.

– Na litość boską – mruknęłam pod nosem. – Jeszcze jednego drinka?

20. 49

Nadal w Dębie

– Jak się teraz czujesz, Considine?

– Jak borsucza dupa.

– Niepoprawne użycie tego zwrotu. Nie mamy się czuć jak borsucze dupy teraz! Mamy się czuć jak borsucze dupy jutro rano.

– Wiem, wiem. – Zaskakująco atrakcyjny uśmiech. Przez chwilę wyglądał tak podobnie do Chloe! – Ale jutro rano się nie zobaczymy. – Małe zająknięcie się. – Więc powiedzmy to teraz.

– Eee... – Chwilę trwało, nim otrząsnęłam się po tym zająknięciu, po czym zawołałam radośnie: – Okej. Czuję się jak borsucza dupa!

21. 17

Nadał w Dębie

Przyszli Brandon i Kelly na kielicha po pracy. Nieufnie przyjrzeni się mnie i Considine'owi – widać, że dotarły do nich wieści o przyprawieniu mu rogów.

– Lola, Rossa. Jak się macie?

– Jak borsucza dupa!

21. 21

Nadał w Dębie

Podeszła do nas Cecile, by się przywitać.

– Niech Bóg błogosławi wszystkim tu obecnych – zaświergotała. – Jak tam?

– Jak borsucza dupa!

Wszystkim napotkanym osobom oświadczyliśmy, że czujemy się, jak borsucza dupa". Płakałam ze śmiechu. To było naprawdę bardzo zabawne, a poza tym miałam już nieźle w czubie.

– Jesteśmy bandą borsuczej dupy! – oświadczył Considine.

– Ciesząc się złą sławą bandą borsuczej dupy. Chodźmy do pani Butterly, zanim pójdzie spać.

21. 40

U pani Butterly

– O, witajcie, Lola, Rossa, jak się macie?

– Jak borsucza dupa, pani Butterly!

– Nie wyrażajcie się. I nie krzyczcie. – Wyglądała na niemal zatrwożoną, kiedy Considine i ja wspięliśmy się na jej stołki barowe, ogarnięci niesłychaną wesołością. –I powiedzcie mi, czemu się tak chichracie.

Próbowaliśmy jej to wytłumaczyć. Ale za bardzo się śmialiśmy. Poza tym co jest takiego zabawnego w mówieniu „borsucza dupa” osiemset razy? Bardzo się starała zrozumieć, ale w końcu pokręciła głową i oświadczyła:

– Nadal nie wiem, co w tym takiego zabawnego. Eddie Murphy, on to dopiero jest śmieszny. Widzieliście go w *Agencie XXL*?

Odezwała się komórka Considine'a.

– To Gillian – wyszeptał konspiracyjnie, mimo że jeszcze nie odebrał telefonu, więc Gillian nie mogła nic słyszeć. – Chce wiedzieć, jak się czuję. Gotowa?

–Tak!

Otworzył telefon.

– Gillian? – Słuchał przez chwilę. – Powiem ci, jak się czuję. – Kiwnął do mnie radośnie głową i oboje wrzasnęliśmy do głośnika: – JAK BORSUCZA DUPA!

– Wiecie co, idźcie wy sobie do domu – powiedziała z poirytowaniem pani Butterly. Miała już dosyć. – Idę do łóżka.

– Oglądać Eddiego Murphy'ego w *Dr Doolittle!* – parsknął Considine.

– Albo *Gliniarza z Beverly Hills!*

Considine i ja tak się śmialiśmy, że prawie pospadaliśmy ze stołków.

22. 01

Główna ulica Knockavoy

Szliśmy drogą, zataczając się. Zataczając się nie z powodu upojenia alkoholowego, lecz śmiechu. Bardzo wolno posuwaliśmy się naprzód, jako że co cztery sekundy musieliśmy się zatrzymywać, by skręcać się ze śmiechu.

– Ho, Lola Daly, Rossa Considine! Słyszałem, że dajecie czadu!

Wezwanie z mrocznego wnętrza Lochu.

No więc weszliśmy. Postawiono nam wiele, wiele, och, tak wiele drinków.

Ale zajebisty wieczór.

Niedziela, 18 stycznia, 10. 03

To, jak się czułam, mogłam opisać tylko w jeden sposób – jak borsucza dupa. Już dawno nie miałam takiego kaca.

Martwiłam się o Considine'a. Mocno prawdopodobne, że borsucza radość towarzysząca wczorajszemu wieczorowi ulotniła się i że czułam się teraz paskudnie – był skacowanym rogaczem. Nie ma nic gorszego niż obudzenie się dzień po tym, jak się zostało porzuconym. Zwłaszcza jeśli smutki topiło się w morzu alkoholu.

Postanowiłam wysłać mu esemesa. Trochę niemądrze i po wielkowiejsku – esemesować do kogoś mieszkającego po sąsiedzku, skoro mogło się po prostu wstać z łóżka i porozmawiać osobiście, ale nie chciałam wtrącać się bezceremonialnie w jego sprawy.

Bałam się także, że jeśli usiądę, to puszcze pawia.

Hej. Czuje się jak borsucza dupa. Ty? Szybko otrzymałam odpowiedź.

Też jak borsucza dupa. Wysłałam drugiego esemesa.

Ty w jaskini? Błyskawiczna odpowiedź.

Chodzi ci o prawdziwa czy emocjonalna? Chodziło mi o prawdziwą, ale to było ważne pytanie.

Emocjonalna? Odpowiedź natychmiastowa.

Nie, chyba tylko kac.

Cholerni faceci! Właśnie wtedy, kiedy tobie się wydaje, że zaczynają się przed tobą otwierać!

Postanowiłam jeszcze sobie pospać.

15. 10

PI-BIP, PI-BIP. Obudził mnie sygnał nadejścia wiadomości. Sięgnęłam po omacku po telefon. Esemes od Considine'a.

Idziesz na plażę? Woz albo przewoz?

Oryginalny pomysł. Normalny człowiek leczy kaca tabletkami przeciwbólowymi, wygazowaną colą, drogimi chipsami, sofą i kołdrą. Niemniej jednak odpisałam:

A co mi tam! Za 20 min u Ciebie. –

15. 30

Oto i on, w poważnie wyglądającym polarze i traperkach. Włosy nieuczesane, jakby dopiero co zwał się z łóżka. No i był blady, o tak, naprawdę blady. Kiedy tylko zobaczyłam jego i jego bladozieloną twarz, ogarnęła mnie trudna do opanowania wesołość. Aż się musiałam zatrzymać.

On także śmiał się tak bardzo, że aż się trzymał za brzuch. Kiedy w końcu był w stanie coś powiedzieć, zawołał:

– Jak się czujesz, Lolo Daly?

– Jak borsucza dupa, Rosso Considine. A ty?

– Jak borsucza dupa.

Był to tego rodzaju kac, kiedy wszystko wydaje się zabawne.

16. 27

Koniec spaceru, dzięki ci, Boże.

– Czuję się o niebo lepiej – powiedział radośnie Considine. – A ty?

– Nie. Boli mnie ucho od wiatru, a na kaca nie pomoże mi nic z wyjątkiem fanty i chipsów.

– Dąb?

– A może pójdziemy gdzieś indziej? – Chciałam oszczędzić mu zgrywania się na macho, podkreślającego swoją obecnością w Dębie, że ani trochę, ani trochę nie przeszkadza mu to, że jego dziewczyna zostawiła go dla Osamy. – Pierwszy Dołek?

– To już wolałbym się podpalić.

17. 03

Dąb

Piłam drugą fantę. Przede mną stał talerz z chipsami. Planowałam, że po nich zjem sernik dnia (truskawkowy). Odezwała się komórka Considine'a.

– Esemes od Gillian – powiedział. – Sprawdza, czy nie skończyłem ze sobą.

Wzdrygnęłam się z poczuciem winy. Czy już do końca moich dni będzie się dziać tak za każdym razem, kiedy ktoś wymieni jej imię?

Considine to zauważył.

– Co się dzieje?

Musiałam zapytać. Musiałam wiedzieć. Jakoś wydusiłam z siebie pytanie:

– ... Czy ty... i Gillian... rozstaliście się z powodu... tamtego incydentu z Chloe i ze mną?

– Nie. Ciągłe ci to powtarzam. Nasz związek był martwy od łoża wie jak dawna.

– Czy Gillian kiedyś... mówiła coś o mnie?

– Nie – odparł, ale wyczułam w jego głosie wahanie.

– Mówiła! – zawołałam. – Mówiła! Mów mi natychmiast.

– Co? Żebyś czuła się jeszcze bardziej winna?

– Po prostu mi powiedz, Considine.

– Powiedziała, pamiętasz tamten dzień z przepychaczem? Że było między nami... napięcie, coś jakby napięcie seksualne.

Że co? A to beczelna małpa z tej Gillian Kilbert!

– Myśli, że może odwrócić uwagę od swego cudzołożnego romansu, oskarżając ciebie i mnie o napięcie o charakterze seksualnym! – oświadczyłam.

– Nie mam w zwyczaju kopać leżącego, Considine, ale ty mi się nie podobasz.

– Jej wcale o to nie chodziło – powiedział cierpliwie Considine. – Mówiła o tym, co działo się między tobą a Chloe.

– Ale skąd Gillian przyszło coś takiego do głowy? Kurdemol, nie powiedziałaś jej o pocałunku, prawda? – Zakryłam dłońmi oczy.

– Nie. Zwłaszcza że miało to miejsce dopiero po dniu z przepychaczem.

– Śmiał się. – Powiedziała, że byliśmy wobec siebie sarkastyczni.

– A ty co na to?

– Że byliśmy wobec siebie sarkastyczni, ponieważ tak naprawdę to nie lubimy się. Najbardziej oczywiste rozwiązanie jest zazwyczaj tym właściwym.

GRACE

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedział Damien.

Zrobiło mi się zimno.

– Mam ci coś do powiedzenia.

Chryste przenajświętszy. To miał być miły, romantyczny wieczór. Rano przyleciałam z Londynu – byłam tam długo, od czwartku, kiedy Marnie wykonała do mnie ten zatrważający telefon – i Damien uparł się, by odwołać swój poniedziałkowy wieczór z pokerem, żebyśmy mogli spędzić nieco czasu razem.

Ale choć zapaliłam moją cenną jaśminową świeczkę i wypiliśmy butelkę czerwonego wina, romantyczny nastrój jakoś nie chciał się pojawić. Byłam zbyt zmęczona, a jako że sofę mieliśmy zarwaną, ja zajmowałam jedyny fotel, Damien zaś siedział sztywno wyprostowany na twardym, kuchennym krześle.

Za obopólną zgodą w końcu daliśmy sobie spokój z rozmową i włączyliśmy telewizor. Leciał akurat program dokumentalny o niezwykle brutalnych gangach w brazylijskich więzieniach – tego rodzaju tematami zazwyczaj się delectowaliśmy – ale żadne z nas nie zwracało na niego uwagi.

Ja myślałam o Marnie, o tym, że jest z nią coraz gorzej, że zaczyna zachowywać się dziwnie nawet wtedy, gdy jest trzeźwa. Nie mogłam pozbyć się okropnego uczucia, że zmierza to ku końcowi.

Damien także pogrążony był we własnych myślach, wyraźnie coś analizując, rozwiązując i – powodem czego musiało być moje koszmarne zmęczenie – zamiast bombardować go pytaniami, jakbym to normalnie zrobiła, pozwoliłam mu zajmować się tym w spokoju.

– Grace, muszę ci coś powiedzieć – powtórzył. Zabrzmiało to tak, jakby w końcu podjął jakąś decyzję i nagle ogarnęło mnie przerażenie.

Czy to się działo naprawdę?

Uświadomiłam sobie, że czekałam na coś takiego, nie będąc tego nawet świadomą.

Kiedy wieczorem weszłam do domu, wydawało mi się, że znowu czuję tę dziwną obecność. Nie miałam pewności, ponieważ bardzo się starałam coś wyczuć. Chodziłam od pokoju do pokoju, zmieniając co chwila zdanie. Może tak. Może nie. Nie potrafiłam zdecydować, czy coś, ktoś był tu podczas weekendu. Ktoś, kto nie powinien.

A teraz Damien miał mi zamiar coś powiedzieć i poczułam, że ze strachu cała się spociłam.

– Chodzi... – Mój głos brzmiał chrypliwie, więc odkaszlnęłam. – Chodzi o Juno?

– Co? – Damien zmarszczył brwi. – Juno? Nie.

Nie chodziło o Juno?

W takim razie o co? O kogo?

Nie przyszłoby mi do głowy, że mogę bać się jeszcze bardziej niż przed dwudziestoma sekundami, ale tak właśnie było.

– Dowiedziałem się przypadkiem... – zaczął Damien.

Dowiedział się czego?

– Ale teraz, gdy o tym wiem...

Wie co?

– Chodzi o Dee.

Byłam tak zaskoczona, że przez chwilę nie potrafiłam wydobyć z siebie głosu.

– Dee Rossini?

– Taa. W pracy szykują artykuł na jej temat. Wygląda na to, że ukrywa nielegalnych imigrantów.

– Och... – Wiedziałałam, że to prawda. Widziałam to na własne oczy. Ale ze strachu nadal nie byłam w stanie nic powiedzieć.

– To będzie coś dużego – kontynuował Damien. – Gdy ta historia ujrzy światło dzienne, Dee już się nie wywinie.

Wpatrywałam się w jego oczy, szukając... czego? Drugiej warstwy prawdy? Tego, czego nie powiedział na głos?

– To wszystko? – zapytałam. – To wszystko, co mi chciałeś powiedzieć?

– Ryzykuję swoją karierę, mów... Czemu? Co myślałaś, że mam zamiar powiedzieć?

– ... Nic...

– Nie Juno? – zapytał ze złością. – Ty nadal o tym? Nie mówiłem ci, że więcej się z nią nie spotkam?

– Tak, tak, tak.

– Nie wiem, dlaczego myślisz, że mógłbym w ogóle się z nią w coś wplątać.

– Wiem, że mnie kochasz...

– Tak, kocham cię, oczywiście, że cię kocham. Ale nawet gdybym nie kochał, to po tym wszystkim, co mi Juno zrobiła? – Jego głos przepełniała frustracja. – Wiesz, że już nigdy bym jej nie zaufał.

Wpatrywał się we mnie gniewnie, ja wpatrywałam się w niego gniewnie, a potem oboje zaczęliśmy się śmiać.

– Chcesz o tym usłyszeć czy nie? – zapytał.

– Chcę.

Wyjaśnił mi wszystko. Jego gazeta, „Press”, miała informatora, który wyjawiał im, że Dee Rossini stanowi część niewielkiej, tajnej grupy, która pomaga młodym kobietom, najczęściej Mołdowiankom, które nielegalnie trafiły do Irlandii. Te kobiety traktowano jak niewolnice, ludzie, którzy je tutaj sprowadzili, bili je, głodzili i zmuszali do prostytucji, ale one nie mogły szukać pomocy, ponieważ przebywają tu nielegalnie.

– No więc Dee i jej radosna gromadka dobrodziejów pomagają im. Zapewniają tym kobietom pomoc lekarską, zaopatrują je w nowe dokumenty, udzielają schronienia, dopóki nie są bezpieczne.

– A potem wysyłają je do domu?

Nie byłoby to takie złe: gdyby Dee pomagała nielegalnym imigrantom w wyjeździe z Irlandii. Damien pokręcił głową.

– Nie odsyłają ich do domu, ponieważ podobno tam mają tak samo przechlapane, jak tutaj. Próbują załatwić im jakąś pracę z zakwaterowaniem, na przykład jako niania. Niektóre z tych kobiet wysyłają do Wielkiej Brytanii. Co zdziała cuda na linii stosunków irlandzko–brytyjskich – rzekł ze znużeniem. – Minister irlandzkiego rządu ułatwia wjazd nielegalnych imigrantów do Wielkiej Brytanii. Lubię Dee, bardzo ją lubię. To prawdziwa idealistka. Ale czasami...

– Kto pracuje nad tym artykułem?

– Dział aktualności. Angus Sprott i Charlie Haslett. Otrzymał Czarny Kod.

– Macie kody? Wy wszyscy w „Press” jesteście tak bardzo macho. Jak więc się dowiedziałeś?

– Charlie włamał się do moich plików. Ciekawiło mnie, dlaczego nie mógł mnie po prostu zapytać o to, co mu było potrzebne. Doszedłem do

oczywistego wniosku, że pracuje nad czymś śliskim. – Wzruszył ramionami. – Jak mogłem się oprzeć?

– Nie może to być w takim razie Czarny Kod, skoro udało ci się włamać do jego plików.

– Jego dziecko ząbkuje. Charlie bardzo mało ostatnio sypia. Pewnie zapomniał je zabezpieczyć.

– Jak bardzo jest to zaawansowane? Kiedy planują opublikować artykuł?

– Jak tylko zdobędą zdjęcia.

– A kiedy to nastąpi?

– Kiedy następnym razem jakaś kobieta trafi do domu Dee. Fotografowie obserwują jej dom dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Byłam zaszokowana. Dee pod nieustannym nadzorem? Jak terrorysta?

Zadałam pytanie, które pojawiał się zawsze, kiedy Dee miała kłopoty:

– Kto za tym stoi? Nie wiesz może, kto był informatorem?

– Informatorem?

– Jasne. Wiem. – Nigdy nie ujawniano tożsamości informatorów, ponieważ wtedy nie byłoby już żadnych więcej informatorów. – Nie denerwuj się.

– Taa, sorki. Muszą stać za tym Postępowi, ponieważ to uderzy nie tylko w samą Dee, ale w całą NowąIrlandię. Chodzą plotki, że niedługo zostaną zarządzane wybory powszechne. Prawdopodobnie w marcu. Tak jak ostatnim razem Napletki nie zdobędą wystarczającej ilości miejsc, by utworzyć własny rząd. Ale jeśli NowaIrlandia pograży się w chaosie, nie będą mieć partnera koalicyjnego. A to otworzy drogę Postępowym.

– Damien, muszę powiedzieć Dee.

– A myślisz, że czemu ci o tym powiedziałem?

– Ale jeśli ktoś się dowie, że to wyszło od ciebie...

Straciłby pracę.

Zawahał się.

– Myślałem o tym. Zaryzykujmy.

– Damien, jesteś... jesteś dobrym człowiekiem.

– Dee, kto o tym wie?

Udało mi się dotrzeć do niej wcześniej rano, przed pracą. Zjawiłam się w jej kancelarii w Leinster House, kazałam usiąść i opowiedziałam jej o tym, co wiem od Damiena. Z jej pięknej twarzy odpłynęła cała krew.

– Skąd... ?

– To ja cię pytam. Kto o tym wie?

Rozpuściła włosy spięte w kok, przeczesła palcami loki, po czym ponownie chwyciła sprężyste pasma razem, skrzyła je i upięła jeszcze ciaśniej niż poprzednio.

W końcu się odezwała.

– Tylko te dziewczęta. I garstka innych ludzi. Ale jest nas tak niewielu i wszystkim nam zależy na tym samym... – Nagle skupiła swoje spojrzenie na mnie. – I ty wiesz, Grace, ale skoro przysłaś mnie ostrzec, zakładam, że to nie ty.

– A inni ludzie? Damien mówił, że jest jakiś lekarz? I osoba, która zajmuje się dokumentami? Mógł to być któryś z nich?

– Mają do stracenia równie dużo jak ja.

– Kto mógł się przez przypadek dowiedzieć? Kto przychodzi do twojego domu? Masz chłopaka?

Pokręciła stanowczo głową.

– Wcześniej też mi tak mówiłaś, a miałaś.

- Przepraszam cię za tamto, ale teraz naprawdę nie mam.
- Twoja córka?
- Mieszka w Mediolanie.
- Gospośia?
- Byłaś w moim domu. Wygląda tak, jakbym miała gosposię?
- Przyjaciele? Zapraszasz przyjaciół na ten dziwnie wyglądający makaron. Zaprosiłaś Damiena i mnie.

Położyła obie dłonie na biurku. (I znowu bardzo ładny lakier do paznokci. Wyblakły wrzos. Z lakierami Dee tak już było, że na żywo były znacznie ładniejsze, niż gdy się miało je opisać.)

– Posłuchaj, Grace, tak to działa. Wszystko jest zaplanowane. Niełatwo jest pomóc takiej dziewczynie i możliwości są bardzo ograniczone. Zawsze wiem z wyprzedzeniem, najczęściej kilkuniedniowym, że pojawi się taka dziewczyna. Przygotowuję więc grunt. Upewniam się, że w tym czasie nikogo nie będzie u mnie w domu.

- Ale Elena...
- Elena była nagłym przypadkiem. To nie zdarza się często.
- Prawda jest taka, Dee, że ktoś o tym wie i ktoś się wygadał.
- To są jeszcze dzieci – rzekła ze smutkiem. – Młode dziewczyny. Nie uwierzyłabyś, jakich okropności muszą doświadczać. Są gwałcone, głodzone, bite, łamie się im kości, gasi papierosy na ich waginach...

- Przestań.
- Nie mogłam im nie pomagać.
- Dee, jestem po twojej stronie, ale ty przecież łamiesz prawo! Nie mówię, że to prawo nie jest okrutne, ale ty jesteś ministrem w rządzie tego kraju. Jeśli nie chcesz stracić stanowiska, kariery i swojej partii – a tak właśnie

się stanie, kiedy to wyjdzie na jaw – lepiej dowiedz się, kto za tym stoi. I zrób to szybko, ponieważ w „Press” aż przebierają nogami, by to opublikować.

- To musi być Gruchot Brady i jego Postępowi Chrześcijanie.
- To oczywisty wniosek. Ale który z Postępowych Chrześcijan?
- To duża partia. Wielu mogło to zrobić.
- Nie, Dee, musisz się skupić. Komuś podpadłaś?

Przewróciła oczami.

- Każdego dnia podpadam wielu osobom.
- Chodzi mi o to, Dee, że jesteś tak przyzwyczajona do bycia napiętnowaną ze wszystkich stron, że zapomniałaś, iż paskudne rzeczy nie przytrafiają się dlatego, że przypadkowe macki zła mieszają gdzieś w eterze, ale że paskudne rzeczy przytrafiają się dlatego, iż czynią to konkretni ludzie.

Prawdę mówiąc, uważałam, że to była świetna przemowa. Ciekawe, czy zrobiła na niej wrażenie.

Dee wyglądała tak, jakby walczyła ze sobą, by się nie uśmiechnąć. A przecież nie powinno jej być do śmiechu! Na chwilę w mojej głowie pojawił się film szpiegowski z cyklu „zdrajca czai się wszędzie” i „nikomu nie można ufać” i pomyślałam, czy przypadkiem sama Dee nie była tym informatorem.

– Dee?

– Grace, ja się nie śmieję. Jestem ci bardzo wdzięczna. Przemyśle wszystko, porozmawiam z pozostałymi, dowiem się, kto to zrobił.

– Dee, musisz dowiedzieć się tego szybko i powstrzymać publikację artykułu. A tymczasem nikt, żadna dziewczyna, nie może pojawić się w twoim domu. Kiedy tylko „Press” zdobędzie zdjęcia, zabawa się skończy.

– Dzień dobry, dobry, dobry, dobry, dobry – przywitałam się z TC, Lorraine, Clare, Tarą i – tak – nawet z Joanne.

– Nadal paskudna zimnica? – TC bardzo lubił utyskiwać ogólnie na życie i zazwyczaj ja mu wiernie wtórowałam.

– Nadal zimnica – odparłam z werwą, przebiegając wzrokiem po komunikatach prasowych, jakie zalały moją skrzynkę mailową. Nie marnując czasu na zastanawianie się, czy są dobre czy złe, wybrałam pięć potencjalnych tematów dla Jacinty, po czym, obserwowana przez podejrzliwego TC, zaczęłam do notatnika wpisywać nazwiska: Dee Rossini; Toria Rossini; Gruchot Brady; mąż Torii Rossini; Christopher Holland; Ja; Damien; Paddy de Courcy; Sidney Brolly; Angus Sprott; Scott Holmes, dziennikarz, który napisał ten paskudny wywiad z Christopherem Hollandem.

Wpisywałam wszystkich, którzy według mnie mogli mieć związek z Dee w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

– Co robisz? – zapytał TC.

– Nic. – Zasłoniłam kartkę ręką.

Robiłam coś, o czym czytałam w kryminałach Val McDermid: tam detektywi zapisywali wszystko, co wiedzieli na temat danej sprawy, łącznie ze wszystkimi niewyjaśnionymi szczegółami, i szukali jakiegoś schematu lub połączeń między nimi. Ale może w prawdziwym świecie tak się nie działo. Może prawdziwi detektywi nie potrafili się także włamywać do domów przy użyciu karty kredytowej. Może prawdziwi detektywi na Hawajach nigdy nie mówili: „Zakajdankuj go, Danno”.

Ale nie znałam żadnego innego sposobu. Uderzałam długopisem o kartkę. Kto jeszcze? Oczywiście były mąż Dee. Gdy bezmyślnie błądziłam wzrokiem po redakcji, szukając natchnienia, David Thornberry wstał zza biurka i oddalił się z paczką papierosów w ręce. On też, pomyślałam i zapisałam jego nazwisko. To on przygotowywał „skandal z niezapłaconym

weselem córki Dee", na co nie pozwolił mu Big Daddy. A skoro już byłam przy nim, to zapisałam także Colemana Briena.

Następnie w różnych miejscach kartki powypisywałam pytania, starając się na razie nad nimi nie zastanawiać. „Kto pomalował dom Dee?”, „Gdzie się odbyło przyjęcie weselne jej córki?”, „Kto polecił jej ten hotel?”, „Gdzie Dee poznała Christophera Hollanda?”, „Z jaką kobietą spotykał się przed Dee?”, „Kto powiedział Dee o dziewczętach z Mołdawii?”, „Kto załatwiał dla nich dokumenty?”, „Znały kogoś z Postępowych?”, „Znały Christophera Hollanda?”

Wpatrywałam się w zapisaną stronę. Zakładając, że zawarłam tu wszystko, co miało znaczenie – a Bóg jeden wiedział, czy to zrobiłam czy nie – gdzieś tutaj musiał być jakiś związek, wskazujący na osobę lub osoby celujące w Dee.

Rysowałam strzałki, łącząc nazwiska z pytaniami, starając się być otwartą, starając się, by to inna energia prowadziła moją rękę.

Ale nie wierzyłam w energię. Nie wierzyłam w intuicję. Nie wierzyłam w przeczucia.

Nie należałam do tego rodzaju dziennikarzy. Ja specjalizowałam się w łamaniu oporu, ciosaniu kołków na głowie tych biedaczysk i niepoddawaniu się, dopóki w końcu nie pękali i nie dawali mi tego, co chciałam po to, żeby się mnie w końcu pozbyć.

Przyglądałam się wynikom: nieszczególnie zachęcające. Jeśli wierzyć moim strzałkom, Gruchot Brady pomalował dom Dee, Christopher Holland był własną poprzednią dziewczyną, a córka Dee poślubiła mnie.

– To jest dobre – powiedział TC, pochylając się i pokazując, jakby pomagał mi w rozwiązywaniu sudoku. – Patrz, tutaj. „Paddy de Courcy” połączony z „Kto polecił malarzy?”. To ma sens. Mógł to być on.

– Jest już! – Lorraine zobaczyła, że w drzwiach pojawiła się Jacinta. – Boże, nie, dziś ma czerwoną!

– Czerwoną!

Trzy tygodnie czarnej były mocno męczące, ale z czerwoną będzie jeszcze gorzej. Ta torebka zapowiadała napady wściekłości, podniesione głosy, i nie było co liczyć na żaden tort.

Schowałam złożoną kartkę do kieszeni i przygotowałam się na gniew Jacinty.

Chciała, żeby zająć się końcówkami styczniowych wyprzedaży. Jak bardzo ceny spadały? Co się działo z niesprzedaną odzieżą? Niszczono ją? Zwracano do producentów? Ładowała w TK Maxx?

– Dowiedz się, jak to jest w Missoni – poleciła. – Na wyprzedaży w Brown Thomas jest jeszcze cała masa rzeczy, a twardo nie schodzą poniżej czterdziestu procent.

Coś mi kazało podejrzewać, że Jacinta pozostaje osobiście zainteresowana tym właśnie tematem.

Włócząc się po sklepach odzieżowych, które oferowały końcówki karnawałowych kreacji, wciąż myślałam o Dee i jej zbiegłym chłopaku, Christopherze Hollandzie. On miał, cytując Herculesa Poirota, sposób, motyw i okazję. Skoro już potraktował Dee tak, że nigdy nie uzyska jej przebaczenia, cóż go miało powstrzymać przed doniesieniem, że udziela ona schronienia nielegalnym imigrantom? Casey Kaplan wspomniał coś o tym, że miał długi karciane, a choć wolałam uważać Kaplana za dupka, możliwe, że Christopherowi rzeczywiście potrzeba było więcej pieniędzy.

Często bywał w domu Dee; cokolwiek by mówiła o podejmowanych przez siebie środkach ostrożności, bez większego problemu mógł się natknąć

na którąś z dziewcząt. Przecież nawet ja wiedziałam o tym, że Dee pomaga kobietom. A byłam jedynie przypadkową dziennikarką, która tak się akurat złożyło, zjawiała się w tym samym dniu, kiedy sypialnię Dee zajmowała ciężko pobita kobieta. Na szczęście lubiłam Dee. Ale mogła tego dnia udzielać innego wywiadu, jakiś inny dziennikarz mógł zapukać do jej drzwi, siedzieć w jej kuchni i jeść domowej roboty makaroniki, a potem iść na górę i... i... co? Co to było? Coś w mojej głowie sprawiło, że poczułam przypływ adrenaliny. Z nagłą czujnością zatrzymałam się na ulicy w pół kroku i jakiś mężczyzna wpadł na mnie.

– Przepraszam, przepraszam! – zawołałam, gdy tymczasem on mruczał coś o cholernych bęcwałach, którzy w ogóle nie szanują innych...

Zeszłam na bok i przewinęłam do tyłu swoje ostatnie myśli.

„Jakiś inny dziennikarz”? Nie, nie to.

„Siedzieć w jej kuchni”? Też nie.

„Jeść domowej roboty makaroniki”? Tak, to było to!

Domowej roboty makaroniki. Ja się nie poczęstowałam, ale Dee mi powiedziała, że nic nie szkodzi, ponieważ później na kolację roboczą wpadnie Paddy i on je zje.

Zakładając, że Dee tego nie odwołała i zakładając, że przed jego przybyciem Elena nie opuściła jej domu, Paddy przebywał w domu Dee w tym samym czasie co Elena.

Skoro Paddy wiedział o Elenie, to kto jeszcze mógł wiedzieć?

Wyciągnęłam telefon.

– Dee, pamiętasz ten dzień, kiedy przeprowadzałam z tobą wywiad? Wieczorem miał na kolację przyjść Paddy de Courcy. Paddy mógł zobaczyć

Elenę. Mógł zrobić to, co i ja. No wiesz, otworzyć drzwi sypialni i ją zobaczyć.

No więc widział ją?

– Dlaczego pytasz?

– Odpowiedz mi po prostu na to pytanie?

Po długiej chwili rzekła:

– Może. Nie mam do końca pewności, ale może.

Poczułam mrowienie w opuszkach palców.

– Dee, pamiętasz ten twój skandal z malowaniem domu?

Westchnęła.

– Ustalmy pewne fakty. – (Znałam wszystkie fakty, wypowiadałam je głośno dla niej.) – Pewna firma pomalowała ci dom, nie przysłała rachunku, a kiedy ty z własnej inicjatywy przesałaś jej w końcu czek, nie został on spieniężony, więc w zasadzie pomalowano ci dom za darmo. A więc osoba, która chciała cię wrobić, musiała wejść w kontakty z tą firmą po tym, jak zdecydowałaś się na jej usługi. Albo ta osoba była już z nią w zмовie i namówiła cię, byś malowanie zleciła właśnie tej firmie. Powiedziałaś mi, że ktoś ci polecił tę firmę. Tak? Cóż, kto w takim razie to zrobił?

I znowu długa chwila milczenia.

– Czy to był Paddy? Paddy de Courcy?

Westchnienie.

– Tak.

– To on, Dee.

– To nie on – powiedziała Dee. – Nie bądź głupia. Jeśli ja się pogrązę, pogrąży się i partia, a jeśli pogrąży się partia, to także on.

– Słuchaj ja wcale nie mówię, że to idealny plan. – Zauważyłam, że w swoim podekscytowaniu mówię zbyt głośno i że słucha mnie połowa klientów

Kenny's. Lepiej by było odbyć tę rozmowę w jakimś miejscu prywatnym, ale nie chciałam iść do domu Dee, żeby ukryci fotografowie nie wzięli mnie przypadkiem za mołdawską kobietę, i nie chciałam, by Dee przychodziła do mnie, na wypadek gdyby to miało zwrócić czyjąś uwagę na Damiena.

– Bombardowanie precyzyjne – wyszeptałam. – Usunąć ciebie, ale integralność partii zachować nienaruszoną. To właśnie próbuje zrobić.

– Bombardowanie precyzyjne – powtórzyła i pokręciła głową z lekką drwiną.

Uświadomiłam sobie, jak melodramatycznie to zabrzmiało.

– Przepraszam... to nie jest, co prawda, *Helikopter w ogniu*, ale nie wiem, jak inaczej ci to powiedzieć.

– To dla niego zbyt ryzykowne – stwierdziła.

– On jest ryzykantem.

– Skąd wiesz?

Pokręciłam głową.

– To opowieść na inny raz. – Wzięłam głęboki oddech. – Dee, przykro mi, ale Paddy de Courcy nie jest tym uroczym człowiekiem, za jakiego go uważałaś.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem i poczułam żal, że musiałam rozwiać jej złudzenia, ale to było konieczne, jeśli to on był osobą, która ją wrabiała.

– Nigdy nie uważałam Paddy'ego de Courcy za uroczego człowieka – oświadczyła.

– Naprawdę? Cóż, to dobrze, bo...

– Paddy de Courcy to bezwzględny, zdradziecki, zachłanny, pazernie ambitny, wyjątkowo nieprzyjemny człowiek. Sprzedałby własną babcię, gdyby

pomogło mu to kupić parę głosów i nie przebijając w środkach, pewnego dnia zostanie liderem Irlandii.

Milczałam oszołomiona. Zdanie Dee na jego temat było niemal gorsze od mojego. I nigdy nie wspomniała o tym ani słówkiem. Ech, ci politycy!

– Dlaczego więc z nim pracujesz?

– Wszyscy pracujemy z ludźmi, których nie lubimy. Jest to przydatne dla partii: ludzi, którzy mi nie ufają, ponieważ jestem pyską feministką, uspokaja to, że moim zastępcą jest przystojny, charyzmatyczny mężczyzna.

– Przyznajesz, że on chce zostać premierem?

– Boże, tak, zawsze miał na to chrapkę, ale nigdy nie sądziłam, by planował tego dokonać poprzez objęcie przywództwa nad Nową Irlandią. Wykorzystuje nas, bo jesteśmy mali, ale potrafimy gryźć. To gruba ryba w Nowej Irlandii i został zauważony, ale jesteśmy tylko szczeblem w jego karierze. Jego kolejnym ważnym posunięciem będzie przejście do Napletków.

– Powiedz to jeszcze raz, Dee. „Bezwzględny, zdradziecki...”

– „Bezwzględny, zdradziecki, zachłanny, pazernie ambitny, wyjątkowo nieprzyjemny człowiek”.

– I powiedz jeszcze to o jego babci.

– „Sprzedałby własną babcię, gdyby.

– „... pomogło mu to kupić parę głosów” – odpowiedziałam.

– „... pomogło mu to kupić parę głosów” – powtórzyła. Po raz kolejny ogarnęło mnie zdumienie.

– Myślałam, że się przyjaźnicie.

– Teraz już znasz prawdę.

– I uważam, że nie masz racji. Uważam, że on rzeczywiście chce zostać przewodniczącym Nowej Irlandii. Wtedy przynajmniej zdobyłby stołek ministerialny.

– Co Paddy ci zrobił? – zapytała nagle.

– Eee...

– Coś zrobił, prawda? Coś złego? Ale, Grace, nie próbuj tylko naginać faktów, by móc uznać go za winnego.

Czy ja właśnie to robiłam?

Czy moje osobiste sprawy wchodziły w drogę rzeczywistości? Czy próbowałam obwiniać Paddy'ego de Courcy za wszystko? Globalne ocieplenie? Niszczenie lasów deszczowych? Ataki na Dee Rossini?

Może. Gotowa byłam przyznać, że istnieje taka mała, maleńka możliwość.

Ale kiedy tylko spróbowałam dać mu spokój i umieścić inną osobę – na przykład Christophera Hollanda – w przegródce z napisem „Winny”, mój mózg natychmiast odmawiał współpracy.

Potrzebowałam jeszcze jednego ogniwa, łączącego Paddy'ego z nagonką na Dee. Kogo mogłam zapytać? Nie było sensu dzwonić do Angusa Sprotta z „Press” i pytać go, czy to Paddy de Courcy jest jego informatorem. Po pierwsze, nigdy by mi tego nie powiedział, a po drugie, wsypałabym Damiana. A po trzecie, Paddy i tak nie uczyniłby tego osobiście. Kazałby Hiszpanowi Johnowi zapłacić komuś, kto zapłaciłby komuś innemu, by to zrobił: tak by trop w żadnym razie nie prowadził do niego.

– To wesele twojej córki, kiedy tyle rzeczy poszło nie tak, myślisz, że komuś w hotelu zapłacono, by to spieprzył? By „zgubił” tort weselny? By doprowadził w kuchni do chaosu i braku wystarczającej ilości jedzenia?

– Teoretycznie mogło tak być. Ale nie ma możliwości udowodnienia czegoś takiego.

Wcale nie musiałyby to być takie trudne. Musiałabym porozmawiać ze wszystkimi, którzy w dniu wesela pracowali w tym hotelu. No ale to było pięć miesięcy temu, a rotacja personelu w hotelach była wysoka. Ale warto się było nad tym zastanowić.

– To nie Paddy – powiedziała Dee. – Ale mógł to być Christopher. Naprawdę mógł to być on.

– Okej. – Postanowiłam dać temu szansę. (W kryminałach Val McDermid detektywi twierdzą, że trzeba zachować otwartą głowę i nie mieć uprzedzeń.) – Dlaczego sprzedał historię o swoim związku z tobą?

– Przypuszczam, że „Globe” dużo mu za to zapłacił.

– Przypuszczasz? Nie zapytałaś go o to?

Popatrzyła na mnie, jakbym była szalona.

– Nie rozmawiałam z nim od czasu ukazania się tamtego artykułu.

– Ani razu? Nie kusilo cię, żeby zadzwonić do niego i obrzucić go wyzwiskami?

–Nie.

– Albo uzyskać odpowiedzi na kilka pytań?

–Nie.

– Nawet któregoś wieczoru, kiedy byłaś pijana?

– Ja się nie upijam.

– Naprawdę?

– No dobrze, czasem. Ale czemu miałabym na niego marnować przyjemny czas alkoholowego upojenia? Zawiódł mnie. Wiedziałam, że tak będzie. Tacy już są mężczyźni.

- Czemu więc w ogóle zawracałaś sobie nim głowę?
- Bo miał dużego fiutka i potrafił to robić trzy razy jednej nocy.
- Eee... naprawdę?
- Tak, czasami nawet cztery.

Chryste przenajświętszy, co za fantastyczna babka.

– Nikt, prawie nikt nie wiedział, że masz faceta. Skąd w „Globe” wiedzieli, że w ogóle istnieje taki ktoś, kogo można spróbować skusić pieniędzmi? Ktoś musiał im powiedzieć. Paddy wiedział o Christopherze?

Zawahała się.

– Być może. Raz Christopher pojawił się w mojej kancelarii. Szybko się go pozbyłam, ale Paddy zapytał mnie o niego. Powiedziałam, że to kolega Torii. Nie byłam do końca pewna, czy mi uwierzył – przyznała. – Paddy niczego nie przeoczy. Ale sądziłam, że porzuciliśmy temat Paddy'ego.

– Ja też.

Czysta ciekawość zmusiła mnie do zadania następnego pytania:

– Casey Kaplan mówił, że zna Christophera. To prawda? Czy też jest z niego totalny dupek?

– To prawda. – Zaśmiała się na widok mojej kwaśnej miny. – Christopher i Casey są dobrymi znajomymi, chodzili razem do szkoły. On naprawdę zna wszystkich. To po prostu jeden z tego typu ludzi.

– To mógł być Casey Kaplan.

– To nie był on. On nie oddałby tej historii Scottowi Holmesowi, ale sam by się nią zajął. Poza tym to nie on, bo on jest naprawdę kochany.

– Nie chciałaś przypadkiem powiedzieć, że to palant?

– Okej, absurdalne ciuchy, dumny krok, żargon gwiazd rocka... Ale to słodziak. To główny powód jego koneksji: wszyscy go lubią.

– Ja nie lubię.

– No to z wyjątkiem ciebie.

– Dzwonię do Scotta Holmesa – oświadczyłam. – Może coś mi powie.

– Nie powie.

– Zobaczymy – odparłam, wyławiając z torebki telefon. Miałam nadzieję, że mam jeszcze numer Scotta.

– Scott? Z tej strony Grace Gildee.

– Gracie! – Przez chwilę prowadziliśmy rozmowę w stylu „Jak leci?“, po czym rzekłam: – Scott, potrzebna mi twoja pomoc. – (Dobrze jest tak powiedzieć. Zgrywać bezradną. Szybciej się wtedy otrzyma to, czego się chce.)

– Aj, Gracie, dzwonisz do mnie tylko wtedy, gdy czegoś chcesz.

– W listopadzie robiłeś duży wywiad z Christopherem Hollandem, chłopakiem Dee Rossini. Pamiętasz?

– Jasne.

– Początkowy kontakt? Sam Christopher Holland? Czy też pośrednik?

– Aj, daj spokój, Grace, to informacje poufne.

– Scott, nie mówimy przecież o porozumieniu wielkopiątkowym*. Czy to był Paddy de Courcy?

– Co? Oszalałaś?

– John Crown?

– Jego kierowca?

Nie. Na linii syczała cisza.

** Porozumienie pokojowe zmierzające do rozwiązania konfliktu w Irlandii Północnej, zawarte 10 kwietnia 1998 roku przez rządy Republiki Irlandii i Wielkiej Brytanii, a kontrasygnowane przez główne partie polityczne Irlandii Północnej.*

– Grace, powiem ci tyle, brał w tym udział pośrednik, ale nigdy nie poznałem jego nazwiska. Nigdy się z nim nawet nie spotkałem.

Kuźwa.

– Jak więc skontaktowaliście się? Ktoś objawił ci się we śnie?

Roześmiał się.

– Komórka.

– Możliwe, że gdzieś jeszcze masz ten numer?

– Pewnie i tak został już wyłączony. Zazwyczaj używany jest tylko tak długo, jak załatwiana jest sprawa.

– Dziękuję ci, Scott, ja także jestem dziennikarką i wiem to wszystko, niemniej jednak daj mi go.

– Ale znasz warunki? Nie otrzymałaś go ode mnie itd. itd. Poszukam go.

– Chwilę słyszałam klikanie i szelesty, po czym podyktował mi ciąg liczb.

– Dziękuję ci, Scott, porządny z ciebie facet.

– Spotkajmy się któregoś wieczoru – powiedział.

– Jasne – odparłam i szybko się rozłączyłam. – Masz jakieś drobne? – zapytałam Dee. – Muszę zadzwonić.

„, Podała mi swoją komórkę.

– Nie, to musi być telefon publiczny. Nie możemy zostawić elektronicznego śladu.

– Teraz Tożsamość *Bourne'a*, tak?

Wyjęła monetę pięćdziesięciocentową, a ja udałam się do ponurej wnęki, gdzie w Kenny's wisiał automat telefoniczny. Wystukałam numer, który podał mi Scott i czekałam, wstrzymując oddech.

Spodziewałam się różnego rodzaju odgłosów – ale nie sygnału dzwonienia. Dzwonił! Zadzwonił trzy razy, po czym ktoś odebrał. Męski głos powiedział:

– Ted Sheridan, słucham? Natychmiast się rozłączyłam. Trzęsły mi się ręce.

Ted Sheridan. Sheridan.

Dowód, którego potrzebowałam. Wróciłam do Dee.

– To był Paddy? – zapytała.

–Nie.

– Mówiłam ci.

– Chodź. Zrobimy sobie przejażdżkę.

– *Ojciec chrzestny? Chłopcy z ferajny?*

W czasie jazdy zadzwoniłam do mamy.

– Chcę, żebyś znalazła pewne zdjęcie. Z czasów, kiedy Marnie spotykała się z Paddym de Courcy.

Dee, siedząca obok na miejscu dla pasażera, spojrzała na mnie ostro.

– Nie takie, na którym są tylko we dwoje. Muszę mieć zdjęcie z Sheridanem. Wiem, że gdzieś musi ono być.

Znalezienie go nie powinno zająć mamie dużo czasu. Rodzice za żałośnie drobnomieszczańskie uważali uwiecznianie każdej rodzinnej okazji na ogromnej ilości zdjęć. Nie mieli nawet własnego aparatu, a tych kilka zdjęć, jakie mieli z czasów, gdy ja i Marnie byłyśmy nastolatkami, zrobiła i podarowała im Leechy.

– Co my robimy? – zapytała Dee.

– Zabieramy zdjęcie przyjaciela Paddy'ego, Teda Sheridana, a potem pokażemy je Christopherowi Hollandowi i zapytamy go, czy to ten człowiek nakłonił go do ujawnienia tych wszystkich informacji.

– Ja nie... Nie ma mowy, żebym rozmawiała z Chrisem...

– Nie musisz z nim rozmawiać, ale musisz tam być. Jak inaczej ci udowodnię, że za tym wszystkim stoi de Courcy?

Ponieważ zrobiło się późno i ulice były puste, na Yeoman Road zajechałyśmy w dziesięć minut. Pobiegłam do domu, a Bingo zawył z radości na mój widok. Mama znalazła zdjęcie: Marnie, Paddy, Leechy, Sheridan i ja staliśmy na nim zbici w gromadkę i śmialiśmy się.

– Dzięki, mamó, jesteś wielka. Ale nie mogę zostać. – Próbowałam strząsnąć z nogi Bingo. – Odczep się ode mnie, na miłość boską!

– Chodź, Bingo – wabiła go mama.

W końcu uwolniłam się od pełnego uczucia uścisku Bingo. Wsiadłam do samochodu i podałam zdjęcie Dee.

– Trzymaj je. No dobrze, gdzie mieszka Christopher Holland?

Miała taką minę, jakby nie zamierzała mi tego powiedzieć, po czym ustąpiła.

– Inchicore.

Przyglądała się ze zdumieniem zdjęciu.

– Paddy wygląda tak młodo, lepiej teraz niż wtedy. No a ty w ogóle się nie zmieniłaś! Kim są ci ludzie? – Uważnie przyglądała się Leechy. – Czy to... chyba nie..

– Kto? Pokaż. O, tak.

– Nie wiedziałam, że ją znasz.

– Już nie. Słuchaj, zadzwoń do Christophera Hollanda. Sprawdź, czy jest w domu. Powiedz mu, że chcesz się z nim spotkać.

– Nie chcę się z nim spotkać.

– Cóż, udawaj. Jakbyś nie zauważyła, to próbujemy teraz uratować twoją karierę.

– A jeśli on nie będzie chciał się zobaczyć ze mną?

– Powiedz: „Przynajmniej to jesteś mi winien”. Zawstydz go tak, żeby się zgodził.

Wyjęła z torby telefon, ale siedziała ze spuszczoną głową.

– Dzwoń!

Z wyraźnym brakiem entuzjazmu w końcu zadzwoniła. Musiał odebrać, ponieważ powiedziała:

– Tu Dee. Muszę się z tobą zobaczyć. Teraz. Za dziesięć minut.

Po czym się rozłączyła i wzdrygnęła.

– Znajdziesz się w jego mieszkaniu. Możesz coś zbić. Coś cennego – kusiałam.

Drzwi w domu Christophera Hollanda natychmiast się otworzyły, a on od razu zaczął przeproszać:

– Dee, przepraszam, ja...

Wtedy dostrzegł mnie i cofnął się o krok, nagle nieufny.

Był niesamowicie seksowny i wiedząc to, czego dowiedziałam na temat jego dużego członka i wytrzymałości, oj, skusiłabym się, skusiła. (Tylko w teorii i gdybym nie była z Damienem itd., itd.)

– Grace Gildee, Christopher Holland. – Dee szybko nas sobie przedstawiła. Weszliśmy do środka, po czym udałam się za Dee do salonu.

– Dee, nie powinienem był tego robić...

Machnęła ręką.

– Nie przyszłam tu po to, byś mnie przeproszał. Muszę się jedynie dowiedzieć, czy sprzedałeś mnie z własnej inicjatywy, czy ktoś cię do tego namówił.

– Namówił – odparł, wyraźnie pragnąc oczyścić się z zarzutów. – Sam bym nie zrobił niczego takiego. Dee, pieniądze były takie duże. Odmówiłem i wtedy zaoferowali jeszcze większą sumę. Znowu odmówiłem i znowu mnie namawiali. To była najtrudniejsza decyzja w moim życiu...

– Łamiesz mi serce – powiedziała Dee. – Grace, pokaż zdjęcie.

Podalam mu je.

– Jest stare, wiem, ale czy widzisz na nim swojego... – zakaszlałam sarkastycznie – „namawiacza”?

Kopę lat nie widziałam Sheridana. Miałam nadzieję, że paskudnie się nie zestarzał ani nie poddał się jakiejś poważnej operacji plastycznej.

Christopher wpatrywał się w zdjęcie.

– Czy to Paddy de Courcy? – Zaśmiał się. – A niech mnie!

– Mniejsza z nim.

– A to ty? – Zlustrował mnie spojrzeniem. – Niewiele się zmieniłaś.

– Czy zechciałbyś... – Pokazałam mu palcem na zdjęcie.

Przyglądał mu się tak długo, że aż się zaczęłam pocić.

– Tak? – zapytałam zachęcająco.

– Nie. – Pokręcił głową. – Przykro mi. – Wyglądał na autentycznie zasmuconego.

– Wiem, że jest stare, ale spróbuj sobie wyobrazić tych ludzi siedemnaście lat później. – Zaczynała mnie ogarniać desperacja. – Pomyśl o

innych włosach, może ich mniejszej ilości, być może bardziej obwisłych policzkach...

Przysunął zdjęcie bliżej twarzy i wpatrywał się w nie, zamykając najpierw jedno oko, potem drugie.

– Wow! No jasne, teraz to widzę! Trzeba przyznać, że teraz ona wygląda kompletnie inaczej, znacznie szykowniej...

Ona? Ona?

–Kto?

– Ona. – Pokazał na Leechy. – Alicia Thornton? Kobieta Paddy'ego? Kiedy się tu zjawiała, owinięta była jakimś wielkim szalem, próbując zmienić swój wygląd, ale ja wiedziałem, kto to taki. Znałem ją z gazet. Czy to nie o niej mówicie?

Odwróciłam się do Dee. Obie byłyśmy w szoku.

– Chcesz mi powiedzieć... – syknęła Dee do Christophera Hollanda – że nie tylko zdradziłeś całemu krajowi wszystkie szczegóły naszego życia seksualnego, ale na dodatek nie powiedziałeś mi, że to mój najbliższy współpracownik chce mnie pogrążyć?

– Ja...

– Tylko mi nie mów, że sądziłeś, iż Alicia Thornton robi to z własnej inicjatywy. Nie każ mi myśleć, że jesteś aż tak głupi.

– Jakoś tak czułem... – wyjąkał Christopher. – Tak bardzo ci zaszkodziłem tym wywiadem. Nie sądziłem, by cokolwiek mogło ci jeszcze bardziej zaszkodzić.

– Rozumiem. Głupi, zdradziecki i jeszcze arogancki. Tak dla twojej informacji, Christopher, to moja kariera znaczy dla mnie znacznie więcej niż kiedykolwiek ty znaczyłeś. Chodź, Grace.

Wyrwałam zdjęcie z ręki Christophera, po czym wyszłam pośpiesznie za Dee. Wsiadłyśmy do samochodu, ale nie przekreśliłam kluczyka w stacyjce. Tak byłam poruszona, że musiałam odsapnąć.

– To Paddy – powiedziała Dee.

Kiwnęłam głową.

– To z całą pewnością Paddy – powtórzyła. Odwróciła głowę i spojrzała na mnie. – Prawda, Grace?

– Na to wygląda.

– Dobrze się czujesz, Grace?

– Mmm, tak.

Ale wcale tak nie było. Nagle się przekonałam, że zastanawiam się jeszcze raz nad sensownością tego całego przedsięwzięcia. Aż do teraz to było – niemalże – jak zabawa; bawiłam się w panią detektyw podczas luźniejszego dnia w pracy. Z powodu tego, co zrobił mi Paddy, satysfakcję sprawiało mi śledzenie dalszych dowodów jego podłości. Ale teraz miałam dowód i nagle oprzytomniałam. Co ja sobie myślałam, zachowując się idiotycznie brawurowo? Powinnam była trzymać się od tego z daleka. To było prawdziwe życie, a wiedziałam przecież, do czego Paddy jest zdolny.

Siedząc w samochodzie, podjęłam decyzję: na tym etapie wycofam się. Od teraz mogła się tym zająć Dee. Była politykiem, będzie dobra w tych wszystkich makiawelicznych sztuczkach.

– Będę musiała iść z tym do niego. – Dee zmrużyła oczy, wyobrażając sobie ten scenariusz. – Ale muszę mieć coś na wymianę. Co masz na niego, Grace? Jakie trupy chowają się w jego szafie?

– Żadne.

– Co? – Odwróciła się do mnie ze zdumieniem. – Ale ja myślałam... ? O nie, Grace. Nie możesz!

– Dee, nie jestem tego typu osobą, dziennikarzem... nieważne. Sądziłam, że jestem, ale okazuje się, że nie. Przepraszam – dodałam.

– Chodzi ci o to, że boisz się Paddy'ego?

– ... Chyba tak.

– Ale to dobrze! To znaczy, że wiesz coś o nim. Coś, co może mi pomóc.

– Tak, ale...

– Bez względu na to, co on ci zrobił, nie chcesz przedstawić swojej wersji?

–Nie.

– Nie taką Grace znam.

– Ja też – powiedziałam posępnie.

– Grace, jesteś moją jedyną nadzieją. Od ciebie zależy moja kariera polityczna. Bez ciebie już po mnie.

Oparłam czoło o kierownicę.

– Nie mów tak.

– A jeśli ja pójdę na dno – powiedziała łagodnie Dee – to razem ze mną tysiące irlandzkich kobiet. Kobiet, które żyją w strachu. Kobiet, w imieniu których nikt nie zabiera głosu. Kobiet, którym nikt nie daje prawa głosu, by mogły wypowiedzieć swoje najgłębiej skrywane nadzieje.

MARNIE

Kanał Sky News nadal był jej jedynym przyjacielem. Nawet jeśli miał tendencje do powtarzania programów mniej więcej co piętnaście minut. Dzisiaj mówił jej, że jest środa, dwudziesty pierwszy stycznia. (Nudził także o jakichś transferach piłkarskich, ale wtedy Marnie się wyłączała.)

Kiedy zadzwonił telefon, przyjrzała mu się ze strachem. Z przyzwyczajenia. Z biegiem dni telefon stał się zwiastunem wyłącznie złych wiadomości i w końcu przestała go odbierać.

Włączyła się automatyczna sekretarka.

– Marnie, to ja, Grace, jesteś tam?

Podniosła słuchawkę.

– Jestem.

– Jesteś trzeźwa?

– Tak. – Ale tylko dlatego, że czekała, aż otworzą monopolowy; w domu nie została ani kropla wódki. Nie wiedziała, jak do czegoś takiego dopuściła.

– Naprawdę jesteś trzeźwa? – W głosie Grace słychać było niepokój. – To ważne.

– Naprawdę jestem. – Serce Marnie ścisnęło się ze smutku; nie mogła winić siostry za to, że jest podejrzliwa.

– Okej. No dobrze, chciałabym cię prosić o przysługę. Obudzę wspomnienia. Przygotuj się. Paddy de Courcy. – Marnie wzdrygnęła się. Zawsze tak się działo, gdy słyszała jego imię. Nawet teraz.

– Nie chcę, żebyś czuła, że wywieram na ciebie presję – kontynuowała Grace. – Nie rób niczego, czego nie chcesz. Ja robię to tylko dlatego, by pomóc komuś innemu, więc nie chodzi o to, że mogłabyś mnie zawieść.

Marnie miała mętlik w głowie.

– Chcesz, żebym pomogła Paddy'emu?

– Chryste, nie! Wprost przeciwnie.

– Okej. – A więc Paddy nie chciał, by mu pomogła. Poczula dziwne rozczarowanie.

– Stosuje różnego rodzaju brudne polityczne zagrywki – wyjaśniła Grace.

– Powiedziałam, że spróbuję pomóc tej osobie, którą on wrabia.

Marnie była zaskoczona. To wszystko brzmiało bardzo dramatycznie. I niepokojąco.

–I przyszedł mi do głowy ty.

–Ja?

– To jak cię kiedyś... bił i w ogóle. Myślę, że mógł to robić także innym kobietom. Gdybym takie znalazła, to byłabyś zainteresowana tym, żeby połączyć swe siły z nimi? Wywrzeć na niego presję?

– Presję? – Jakie to bardzo, bardzo dziwne. Paddy de Courcy, po tylu latach. Wywrzeć na niego „presję”?

– Jeśli się nie wycofa, ty i inne kobiety pójdziecie do gazet ze swoimi historiami.

– Do gazet!

– Najpewniej do tego nie dojdzie. Wystarczy mu zagrozić.

– Och. Okej. Ale, Grace, co ci u licha każe sądzić, że są też inne kobiety?

– Jedna lub dwie rzeczy. Jeszcze tego do końca nie sprawdziłam.

Najpierw chciałam się przekonać, czy ty byś na to poszła. – Po chwili dodała: – Nie musisz tego robić, Marnie. Pytam cię tylko dlatego, że obiecałam to tej osobie, Dee. Ale ostatnio życie daje ci w kość i może to jest ta ostatnia rzecz...

– Nie chcesz, żebym przyjechała?

– Jeśli mam być szczerą, to chyba jednak nie. Pytam cię tylko dlatego, że powiedziałam, iż to...

– Już to mówiłaś. – Marnie niemal się roześmiała. – Ale przyjadę. – Już zdecydowała. Wciąż ciągnęło ją do Paddy'ego, nawet po tych wszystkich latach. Boże, była żalosna. Ale to już akurat wiedziała.

– Nie sądzisz, że to jeszcze... – Grace zawahała się –... pogorszy wszystko?

Marnie zrozumiała, że chodzi jej o picie.

– Wiesz co, Grace, właściwie to może mi to pomóc.

– Możliwe – zgodziła się Grace, ale w jej głosie słyhać było powątpiewanie.

– Rozliczenie się z przeszłością.

– Mmm, może... – Po czym ton głosu Grace uległ zmianie. Powiedziała delikatnie: – Chodzi o to, Marnie, że jeśli do tego dojdzie, będziesz musiała przylecieć do Dublinu. Będziesz musiała wsiąść do samolotu.

Marnie zrozumiała: jej siostra uważała, że Marnie mogłaby nie wytrzymać tak długo w trzeźwości, by poradzić sobie z podróżą. Ale kto mógł ją winić za takie myślenie?

– W porządku, Grace, dam sobie radę, obiecuję. A więc kiedy mam się zjawić?

– Jeśli do tego rzeczywiście dojdzie, to niedługo. Możliwe, że już jutro. I jesteś pewna, że chcesz tego?

–Tak.

Paddy de Courcy. Już dawno o nim nie myślała. Zabraniała sobie tego. Ale dziś rano nie była w stanie bronić się przed niechcianymi wspomnieniami. Oto czały się, ostre i wyraźne, a ona przypomniała sobie przyprawiającą o

zawrót głowy ulgę, jaką poczuła, kiedy poznała Paddy'ego. Ulgę, że w końcu znalazła brakującą część siebie samej.

Aż do tamtej chwili jej życie było niepełne i wypaczone i z radością się przekonała, że on był równie głodny i pusty jak ona.

Jego ukochana matka zmarła, a ojciec był zbyt dziwny, by zapewnić mu miłość. Paddy był samotny i uczucie, jakie żywiła do niego Marnie, było tak wyjątkowe, że ledwie je była w stanie znieść.

Było tak, jakby nadawali na częstotliwości, którą słyszeli tylko oni. Nikt inny – a już na pewno nie Grace, z którą ją nieuchronnie porównywano – nie żył z tak bolesną intensywnością jak ona. Nawet mama i tata czasami przyglądali jej się z konsternacją, jakby nie wiedzieli, skąd ją wytrzasnęli.

Paddy był taki jak ona. Doświadczał życia z taką samą intensywnością uczuć, zarówno tych dobrych, jak i złych. Nie była już dłużej jedyną w swoim rodzaju dziwaczką.

Nie umieli znieść rozłąki. Nawet jeśli cały dzień spędzili razem, pierwsze, co robili po powrocie do domu, to dzwonili do siebie.

– Pragnę wczłgać się pod twoją skórę – mówił jej. – Pragnę wciągnąć cię pod swoją i zapiąć nas razem.

Kiedy pierwszy raz zabrał ją do swego domu, okazał się on tak pozbawiony ciepła i miłości, że pękało jej serce. Nie było w nim nic do jedzenia i nie działało ogrzewanie. W kuchni było zimno, stół był lepki, kosz pełen śmieci. Widać było, że jest to kuchnia, w której nigdy się nic nie gotuje, a mleko pije prosto z kartonu.

Brak w tym domu kochającego rodzica nappełnił Marnie niepokojącą pewnością, że gdyby matka Paddy'ego nie zmarła, on nie zakochałby się w niej. Przed śmiercią mamy był inny, powiedział jej o tym, i Marnie wiedziała –

nawet jeśli on nie zdawał sobie z tego sprawy – że to wydarzenie zmieniło go w osobę na tyle bezbronną, by jej potrzebował.

Kazało jej to podejrzewać, że nie tylko go wykorzystywała, ale że była niewystarczająco dobra, by związać się ze zdrowym mężczyzną. Tylko ten załamany zainteresowałby się nią, ponieważ ona także taka była, a – co najbardziej ją przerażało – załamanie Paddy'ego można było wyleczyć, gdy tymczasem u niej był to stan permanentny.

Próbowała opowiedzieć to Grace, ale ona przewróciła oczami i zawołała:

– Ty nie potrafiłabyś być szczęśliwa, nawet gdyby od tego miało zależeć twoje życie, no nie? Kogo obchodzi, dlaczego on cię kocha? Po prostu kocha i już, okej? Nie widzisz, jaka z ciebie szczęściara?

Spokorniała Marnie bardzo starała się cieszyć z tego, co ma: Grace miała rację, to co łączyło Marnie i Paddy'ego, było rzadko spotykane i wyjątkowe.

Lubili leżeć na łące i malować chmury albo patrzeć w gwiazdy i planować przyszłość.

– Zawsze będziemy razem – obiecywał Paddy. – Nic innego nie ma znaczenia.

Ciemną stroną jego miłości była zazdrość. Choć Marnie przysięgała, że nigdy go nie przestanie kochać, wszystkich innych mężczyzn na świecie traktował jak potencjalnych rywali. Nie było w zasadzie tygodnia, żeby jej nie oskarżał o flirtowanie z Sheridanem albo „patrzenie” na jakiegoś innego faceta na imprezie, albo niespędzanie z nim wystarczającej ilości czasu.

Raz, kiedy popełniła błąd i powiedziała, że uważa Nicka Cave'a za seksownego, wpadł w furję i podarł na strzępy zdjęcia z gazety, które spowodowały wygłoszenie tej uwagi. Przez kilka kolejnych miesięcy wstawał i wychodził z pokoju, gdy w radiu puszczano piosenki zespołu The Bad Seeds.

Jego paranoja udzieliła się jej i – niemal tak, jakby go chciała zadowolić – stała się równie podejrzliwa jak on. Na porządku dziennym były u nich pełne pasji sprzeczki. To było niczym gra, ten rytuał dramatycznych oskarżeń, po których następowały wzruszające pojednania; ich sposób na demonstrowanie tego, jak bardzo się kochają.

Zdarzało się, że oskarżała go o to, że podoba mu się Grace. A nawet Leechy. Leechy nie była zbyt ładna – w jej rysach było coś końskiego. (Nawet jej własny ojciec mówił do niej: „Dlaczego masz taką pociągłą twarz?”. Marnie i Grace były tym zbulwersowane. Pytały się nawzajem: „Możesz uwierzyć, że tak jej powiedział? Jej własny tata?”.) Ale Leechy była słodka i miła i zaczęła się pojawiać po częstych zatargach Paddy'ego i Marnie, by go pocieszać i mu doradzać. Marnie zaskoczyła ta śmiałość, ale kiedy zaprotestowała, Leechy oświadczyła, że kierowało nią współczucie.

– Był zdenerwowany. Tak bardzo cię kocha, a nie ma z kim porozmawiać.

– Ma Sheridana.

Leechy skrzywiła się z lekceważeniem.

– Sheridan to chłopak.

Od czasu do czasu emocjonalne gierki przeradzały się w coś fizycznego: pchnięcie tu, uderzenie tam, a podczas jednego wyczerpującego nerwowo wieczoru uderzenie w twarz.

Kiedy Grace wyraziła swe zaniepokojenie, Marnie powiedziała:

– Nie jest tak źle, jak to wygląda. Jego uczucia są tak przemożne, że czasami to jedyny sposób na to, by je wyrazić.

Nawet oparzenie po papierosie na jej dłoni znajdowało wytłumaczenie.

– Naznacza mnie już na zawsze. To jest jak tatuaż. Ale nie mów mamie – dodała.

Wyrósł z niej, tak po prostu. Stało się to oczywiste dopiero z perspektywy czasu. Rozkład ich trzyletniego związku dawało się zawęzić do pięciu ostatnich miesięcy, które zbiegły się z jego pięcioma ostatnimi miesiącami w college'u, od stycznia do maja. Gdy spojrzeć obiektywnie, to miało sens: wielkimi krokami zbliżało się prawdziwe życie; Paddy nie był już tym osieroconym, na wpół zdziczałym chłopcem, lecz mężczyzną planującym karierę adwokata.

Podczas tamtej wiosny być może kłócili się jeszcze częściej niż zwykle. Być może Marnie, czująca podświadomie, że on jej się wymyka, stała się jeszcze bardziej bluszczowata. A jako że on pragnął wolności, jawnie ją lekceważył.

Powiedział Marnie, że już jej nie kocha. Ale za każdym razem kiedy choć trochę się spierali, mówił jej, że jej nienawidzi.

I że tym razem mówi poważnie. Ale on zawsze tak mówił.

Podczas jego końcowych egzaminów w maju Marnie mocno ograniczyła swoją paranoję. W żaden sposób nie chciała mu przeszkadzać. Nawet gdy dowiedziała się od Sheridan, że Paddy'ego odwiedza Leechy, nic się nie odzywała.

Ale w wieczór, który nastąpił po jego ostatnim egzaminie, pozwoliła sobie na wykrzyczenie wszystkich nagromadzonych oskarżeń.

– Co ty i Leechy robicie podczas jej wizyt domowych? Uprawiacie seks?

To była po prostu sprawdzona i przetestowana metoda na wydebienie z niego deklaracji miłości, której zresztą sam jej nauczył.

– Zgadza się – odparł.

– Nie, pytam poważnie, co wy robicie?

– Właśnie ci powiedziałem.

Myślała, że sobie żartuje. Inna interpretacja była niewyobrażalna.

– To prawda, Marnie. Pieprzyłem ją każdego dnia od rozpoczęcia egzaminów. To koniec, ty i ja. Kiedy mnie wreszcie posłuchasz?

Kiedy dotarło do niej, że to rzeczywiście prawda, zgięła się wpół i zawyla jak zwierzę – ale nadal nie rozumiała, że to koniec. Lata później, kiedy była w stanie spojrzeć na to z pewnej perspektywy, dotarło do niej, że to nie była jej wina. Jego sypianie z Leechy strasznie ją raniło, ale stanowiło część ich układu, w którym ranili siebie nawzajem, ponieważ tak bardzo się kochali.

– Mówiłeś, że zawsze będziesz mnie kochał. – Miała dzikie spojrzenie.

– Kłamałem. Słuchaj, byliśmy po prostu studencką parą.

Nieprawda. On był miłością jej życia, miłością, na którą się czeka całe wieki.

Rzucając się niczym pojmane w pułapkę zwierzę, zastanawiała się, co musi zrobić. Była tak rozstrojona, iż uznała, że kolejnym logicznym krokiem będzie przespanie się z najlepszym przyjacielem Paddy'ego.

Namówienie do tego Sheridan nie okazało się takie trudne, jak się spodziewała. Ale kiedy było po wszystkim, jego natychmiast ogarnęły wyrzuty sumienia.

– Nie mów Paddy'emu – powiedział.

Spojrzała na niego niemal z litością. Nie mówić Paddy'emu? Czy on nie domyśla się, że właśnie dlatego się z nim przespała?

– Paddy, zapytaj mnie, gdzie byłem wczoraj wieczorem.

– Gównu mnie to obchodzi.

– Po prostu mnie o to zapytaj.

– Okej, Marnie. – Zapytał monotonnym głosem: – Gdzie byłaś wczoraj wieczorem?

– W łóżku. Z Sheridanem.

Była pewna, że jego zazdrość przyciągnie go z powrotem do niej, jeszcze bardziej oddanego niż do tej pory.

– Z Sheridanem? – zapytał ostro.

– Tak, przespałam się z innym mężczyzną.

Ale okazało się, że jemu nie chodziło o to, że przespała się z kimś innym; przejął się tym, że przespała się właśnie z Sheridanem.

– Z Sheridanem? – Twarz Paddy'ego wykrzywiły dzikie emocje. – To jedyna osoba na świecie, której ufam, a ty... ty go zdeprawowałaś.

Nie była zaskoczona, kiedy ją uderzył. Wpadła na ścianę, a on uderzył ją ponownie, tym razem przewracając na podłogę. A kiedy kopnął ją w brzuch, wiedziała, że posunęła się za daleko.

Szalejąc, kopął ją w żebra, w klatkę piersiową, w twarz. Próbowwała osłonić rękami głowę, ale oderwał je i przydepnął jej prawą dłoń.

– Jesteś głupią, beznadziejną dziwką i to wszystko jest twoją pieprzoną winą. – Dyszał z wysiłku, gdy stał nad nią, zwiniętą w kulkę. – Powiedz to. Jesteś głupią, beznadziejną dziwką i to wszystko jest twoją pieprzoną winą.

Zamachnął się nogą, by jeszcze raz kopnąć. Nie. Nie sądziła, by zniosła jeszcze jeden cios i nadal żyła. Czubek jego buta walnął w jej brzuch, dociskając go do kręgosłupa. Miała straszny odruch wymiotny, ale nie zostało w niej nic oprócz złości.

– Powiedz to!

– Jestem głupią, beznadziejną dziwką – wyszeptała, a po jej twarzy płynęły łzy. – I to wszystko jest moją winą.

– Twoją pieprzoną winą. Czy ty nic nie potrafisz zrobić dobrze?

Kiedy ocknęła się w szpitalu, podłączona do różnych urządzeń, spodziewała się, że Paddy będzie siedział przy jej łóżku, ze spuszczoną głową winowajcy.

Ale obecna była tam tylko Grace.

– Gdzie Paddy? – wychrypiała.

– Nie wiem.

Marnie uznała, że po prostu wyskoczył na papierosa albo po coś do picia.

Miała złe przeczucia. Ciężko im będzie otrząsnąć się z tego. Będzie musiał coś zrobić, iść na terapię, skorzystać z profesjonalnej pomocy, by mieć pewność, że coś takiego już nigdy się nie powtórzy.

Potem się przekonała, że Paddy nie wyskoczył na papierosa. Jego nie było w szpitalu. W ogóle go tu nie było.

– Wie, że tu jestem? – zapytała.

– Jestem pewna, że wie, iż jesteś w szpitalu – odparła Grace. – To jedyne miejsce, gdzie mogłaś się znaleźć. Zakładając, że jeszcze żyłaś.

Marnie nie rozumiała.

– Nie zadzwonił?

– Nie.

– Nie?

Pomyślała, że za bardzo się wstydził tego, co zrobił. Lista jej obrażeń ciągnęła się na dwie strony. Grace nalegała, by ją przeczytała: pęknięty knykieć (od stanięcia na jej dłoni); stłuczenia wątroby; krwotok ze śledziony; rozległe sińce w okolicy żeber i obojczyka.

W jej głowie pojawiła się straszna myśl.

– Grace, mama i tata wiedzą?

– Nie. Nie mogłam się z nimi skontaktować.

Dzięki ci, Boże.

Rodzice byli na wakacjach we Francji razem z Bid.

– Grace, proszę, nic im nie mów.

– Oszalałaś? Oczywiście, że powiem.

– Nie możesz, nie możesz! Zabronią mi być z nim. – W jej głowie pojawił się jeszcze bardziej przerażający scenariusz. – Ty nie... nie powiedziałaś policji?

– Nie... ale...

– Grace, nie, nie, nie możesz! – Z jej oczu popłynęły łzy paniki i frustracji. – Proszę, to byłaby najgorsza z możliwych...

– Ale pielęgniarka mówi, że on może zrobić to znowu.

– On tego nie robi znowu. Grace, ty nie rozumiesz. Tak już po prostu z nami jest.

– Ale spójrz tylko na siebie! Wylądowałaś w szpitalu. On to zrobił.

– Grace, nie możesz. To tak, jakbyś doniosła na członka rodziny. Paddy należy do rodziny!

– Ale spójrz tylko, co ci zrobił.

– Grace, błagam cię, przyrzeknij mi, że nie powiesz nic policji. Ani mamie i tacie. Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze, to się już nigdy nie powtórzy, przysięgam ci.

W końcu wymogła na siostrze niechętną obietnicę, ale Grace odmówiła, kiedy Marnie poprosiła, by pomogła jej wstać i zaprowadziła na korytarz do telefonu.

– Masz krwotok wewnętrzny – oświadczyła. – Nie powinnaś stać.

Marnie zaczekała, aż Grace pójdzie do domu, po czym ciągnąc za sobą kroplówkę, doczłapała z ogromnym bólem do telefonu. Ale w domu Paddy'ego nikt nie podnosił słuchawki.

Nazajutrz rzekła:

– Grace, on nie odbiera telefonu. Proszę cię, pójdziesz do jego domu?

–Nie.

– Proszę, Grace, muszę się z nim zobaczyć.

– Nie. Nie powiem mamie, co zrobił, ale do niego nie pójdę.

Marnie wytrzymała jeszcze dwadzieścia cztery godziny, nim wewnętrzny przymus okazał się silniejszy. Pozbyła się kroplówki i nic nikomu nie mówiąc, wymknęła się ze szpitala i pojechała taksówką do domu Paddy'ego. Drzwi otworzył jego dziwaczny ojciec. Sprawiał wrażenie zaszokowanego sińcami i bandażami Marnie i na jej desperackie pytania odpowiedział, że Paddy'ego nie ma od środy.

– Od środy? – Cztery dni!

– Spakował torbę i wyszedł.

– Spakował torbę? Widział go pan? Dlaczego go pan nie zatrzymał?

– Jest dorosły.

– Gdzie poszedł?

– Nie mam pojęcia.

– Ale pan musi to wiedzieć!

– On mi nic nie mówi.

– Muszę zajrzeć do jego pokoju. – Kuśtykając, weszła po schodach.

Pokój pachniał nim, ale zniknęły jego ubrania i książki.

– Grace, powinniśmy pójść na policję?

– Dobry pomysł. Powinno się go aresztować.

- Nie, chodzi mi o zgłoszenie zaginięcia.
- On nie zaginał. Wyjechał. Jego tata go widział.
- Ale gdzie on jest?
- Na pewno i tak niewystarczająco daleko.
- Mógł pojechać do Londynu. – Myślała już o tym, by tam jechać.
- Nie – oświadczyła Grace. – Nie możesz za nim jechać. Mógł cię zabić.

Nie zadał sobie nawet trudu, by się dowiedzieć, czy żyjesz...

- To dlatego, że jest przerażony, dlatego właśnie wyjechał...
- Nie, dlatego, że ma cię gdzieś.

– Muszę zobaczyć się z Sheridanem. On będzie wiedział. Ale Sheridan albo nie wiedział, albo nie chciał powiedzieć. Niewykluczone, że wiedziała to Leechy, więc Marnie schowała dumę do kieszeni i zapytała ją o to, ale Leechy także nie wiedziała. Właściwie to miała tyle tupetu, by wyglądać na niemal równie zrozpaczoną i zdenerwowaną jak Marnie.

Paddy się nie pojawił. Mijały dni, które następnie zmieniały się w tygodnie. Przez całe lato Marnie zachowywała czujność, a jej każdy nerw drżał z napięcia, desperacko pragnąc jego powrotu. Czekala na październik; wtedy będzie musiał wrócić, by zacząć aplikację adwokacką.

Próbował ją minąć na ulicy.

- Nie zbliżaj się do mnie. Napawasz mnie obrzydzeniem.

Szedł szybko, gdy tymczasem ona starała się dotrzymać mu kroku.

- Paddy, już dobrze, wybaczam ci.
- Co?
- To, że... że mnie pobiłeś.
- To? – Na jego twarzy malowało się niedowierzanie.
- To przecież była twoja wina. Tylko i wyłącznie.

Naprawdę? Ale nie miała czasu, by się nad tym zastanawiać, ponieważ tak szybko szedł, a ona była spragniona informacji.

– Gdzie byłeś przez całe lato?

– W Nowym Jorku.

– I co tam robiłeś?

– Dobrze się bawiłem. – Powiedział to tonem sugerującym, iż jego zabawa miała charakter seksualny.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, dokąd pojechałeś?

Zatrzymał się i spojrzał na nią z góry.

– Bo nie i już nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

– Przebolejesz go – powiedziała Grace, jakby to było tak proste, jak decyzja o zmianie pościeli.

– Gdybym umiała, to już bym to zrobiła. – Chętnie odciąłaby sobie rękę, gdyby uznała, że w ten sposób złagodzi ból.

Spodziewała się, że latem jej cierpienie się skończy. Teraz zrozumiała, że może ono trwać jeszcze całą wieczność.

– Miej choć odrobinę szacunku dla samej siebie.

– Bardzo bym chciała – odparła cicho. – Gdybym wiedziała tylko, skąd go zdobyć.

– Musisz jedynie postanowić, że go masz. Pokręciła głową.

– Grace, nie ma nic równie przerażającego... ani upokarzającego, jak kochanie kogoś, kto już cię nie kocha.

– Każdy przez to przechodzi. – Grace była zjadliwie praktyczna.

– Ja nie jestem każdym. Nie jestem normalna.

Była emocjonalnym hemofilikiem. Nie była w stanie wyzdrowieć. Nigdy niczego nie była w stanie przeboleć.

–I spójrzmy prawdzie w oczy, Grace, nawet gdybym nie była popieprzona... – nawet udało jej się roześmiać – nawet gdybym była najbardziej zrównoważoną, pogodną osobą na świecie, Paddy'ego de Courcy i tak niełatwo by mi było przeboleć.

Kolejne dziewięć miesięcy – swój ostatni rok w college'u – przeżyła, jakby opuściła własne ciało. Skończyła studia, ledwie to dostrzegając. Mijał czas. Rok. Dwa lata. Trzy lata, a udręka związana z jego nieobecnością pozostawała najważniejszym faktem jej życia.

Wiele lat później, kiedy wracała myślami do tego okresu, zastanawiała się, dlaczego po prostu się nie zabiła. Ale była zbyt oszołomiona bólem, by mieć siłę choćby do czegoś takiego.

Doszły ją słuchy, że Paddy i Sheridan razem mieszkają i było to dla niej niczym cios nożem: dlaczego wybaczył Sheridanowi, a nie jej?

Tylko jedno minimalnie łagodziło jej ból: Paddy nie był z Leechy.

W tym najgorszym okresie mama i tata zapewniali jej swoje ciche, subtelne wsparcie. Nigdy nie naciskali, by poznać szczegóły końca ich związku, nigdy nie pytali, dlaczego Leechy już do nich nie zagląda. To tata zasugerował, by spróbowała przez jakiś czas pomieszkać w innym mieście i Marnie poczuła ze zdziwieniem, że pomysł ten dodał jej nowej energii. Jej życie w Dublinie było tak paskudne, że nowy początek w jakimś innym miejscu mógłby je oczyścić, doprowadzić do stanu używalności. Zastanawiała się nad przeprowadzką do San Francisco, potem do Melbourne, ale kiedy się okazało, że w obu przypadkach potrzebne są wizy, uszła z niej para i dobrze, że w ogóle udało jej się wylądować w Londynie.

Gdzie zaskoczyła samą siebie, kiedy dostała całkiem porządną pracę jako pośredniczka organizująca pożyczki hipoteczne. Ale Marnie nie pozbierała się

jeszcze po utracie Paddy'ego i wikłała się w jeden skazany na niepowodzenie romans za drugim, odbijając się od mężczyzny do mężczyzny, próbując odzyskać równowagę.

W pogoni za wyzdrowieniem i zyskaniem szacunku dla samej siebie czytała poradniki, chodziła na terapię i słuchała kaset podprogowych i – próbując się nie wzdrygać – powtarzała przed lustrem afirmacje. Jej rany były przeszkodami, które starała się ignorować, ale pomimo jej bohaterskich starań psuły jej szyki, ujawniając się tym ludziom – zazwyczaj mężczyznom – przed którymi próbowała je ukryć.

Po jakimś czasie mama i tata zaczęli raz na jakiś czas wspominać o Paddym, w odniesieniu – niemal z dumą – do jego politycznego pięcia się na szczyt. Widać było, że nie mają pojęcia, jak Marnie cierpi, choćby słysząc jego imię; gdyby wiedzieli, nigdy by jej czegoś takiego nie robili. Sądziło się – najzupełniej rozsądnie – że jej związek z Paddym miał miejsce tak dawno temu, że z całą pewnością już się z niego wyleczyła.

Na pewnym etapie Marnie zaakceptowała fakt, że resztę życia spędzi bez Paddy'ego, ale jakaś maleńka część jej nadal czekała. Wyobrażała ją sobie jako pokój, który zamknięto i w którym wszystko zostało dokładnie w takim stanie, w jakim się znajdowało, gdy on odszedł, i który czekał na stosowne okoliczności, by otworzono drzwi, z mebli zdjęto płachty chroniące przed zakurzeniem i wpuszczono do niego światło.

GRACE

Zadzwoiłam do Damiena.

– Marnie mówi, że to zrobi, jeśli będą jeszcze inne kobiety.

Musiałoby to zabrzmieć ponuro, ponieważ powiedział bardzo łagodnie:

– Grace, nie musisz tego robić.

– Dałam Dee moje słowo. – Nakłoniła mnie, bym obiecała jej, że spróbuję coś wykombinować; a kiedy ja mówiłam, że coś zrobię, robiłam to, nawet jeśli nie miałam na to ochoty.

– Nie powinienem był ci o tym mówić. Sądziłem, że powiesz po prostu Dee. Nie miałem pojęcia, że się w to wszystko uwikłasz. To sprawa Paddy'ego de Courcy.

– Może nie uda mi się znaleźć Loli Daly.

– Może nie.

Wtedy mogłabym odejść z czystym sumieniem.

– Informuj mnie na bieżąco – rzekł.

– Jasne.

Rozłączyłam się, po czym wstałam i z wielką niechęcią podeszłam do biurka Caseya Kaplana.

– Casey, pamiętasz, jak powiedziałeś mi, kim jest John Crown, a ja ci byłam za to bardzo wdzięczna?

– Aż taka wdzięczna to ty wcale nie byłaś.

– Ukradłeś mój wywiad z Madonną. Moja wdzięczność była stosowna do okoliczności. Mógłbyś mi znowu pomóc?

– Zobaczymy.

– Muszę kogoś znaleźć. Nazywa się Lola Daly, jest stylistką.

– Aha, znam ją.

– Wiesz, gdzie ona jest?

– Nie.

Dureń.

– Ostatnio widziano ją w Dublinie we wrześniu – powiedziałam. – Ale potem zapadła się pod ziemię. Nie odbiera komórki, ale numer jest nadal aktywny. To wszystko, co mam. Wiem, że to niewiele, ale czy mógłbyś popytać wśród, no wiesz, modelek i im podobnych, dowiedzieć się, czy ktoś nie korzysta z jej usług?

Powoli skinął głową.

– Okej.

– Naprawdę? – Czy rzeczywiście mógł ją znaleźć? A może tylko się przechwalał? Zależało mi na tej drugiej opcji.

– Może to trochę potrwać. – Oparł się wygodnie na fotelu. – Rzeczy niemożliwe wykonuję od razu. Cuda zajmują mi trochę więcej czasu.

Wróciłam do swojego biurka i wzięłam do ręki telefon, po czym go odłożyłam, kiedy zobaczyłam, że zbliża się Casey.

– Co? – zapytałam ze zniecierpliwieniem. – Nie mam żadnych więcej informacji. Powiedziałam ci wszystko, co wiem.

Położył na moim biurku świstek papieru.

– Jest w hrabstwie Clare. W jakiejś dziurze, która nazywa się Knockavoy. Na dziesięć pełnych sekund zdjęła mnie zgroza, po czym odzyskałam głos.

– Już to wiesz?

– Trafiłem od razu. Za pierwszym telefonem. Czasami ma się szczęście – dodał skromnie. – Wczoraj wieczorem spotkałem Sarah Jane Hutchinson. Świetnie wyglądała. Wspomniała, że obecnie jeździ do stylistki do hrabstwa Clare. Tak mi się wydawało, że to może być ta twoja laska. Znowu nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

– Zadowolona? – zapytał.

– Uszczęśliwiona – odparłam słabo.

Sądziłam, że Loli Daly nie uda się zlokalizować. Nawet w najśmielszych snach nie przewidziałam, że znajdzie się dzięki jednemu, jednemu telefonowi.

Ogarnęła mnie desperacka frustracja. Cholerny Casey Znający–Wszystkich Kaplan. Dlaczego Big Daddy musiał go zatrudnić? Przez niego będę musiała jechać do hrabstwa Clare. A diabli wiedzą, co jeszcze paskudnego mnie czeka.

Oparłam czoło o biurko na krótką chwilę ukojenia, po czym ponownie uniosłam głowę.

– Co się dzieje? – zapytał Kaplan.

– Jak długo... ? – Mój głos był cichy i zachrypły, więc zaczęłam jeszcze raz. – Jak długo zabrałaby mi podróż do, jak się nazywa ta dziura? Knockavoy?

– A bo ja wiem – odparł Kaplan. – W Clare byłem tylko raz, i to w dodatku helikopterem.

Coś pamiętałam, że kiedyś jechałam tam na jeden z długich weekendów; podróż trwała siedem godzin.

– O Boże, nie – wtrąciła Lorraine. – Nie jedzie się już tak długo. Jest o niebo lepiej, odkąd otwarto obwodnicę Kildare.

– Obwodnica Kildare jest super – stwierdziła Tara.

– Dar niebios – zgodziła się Clare.

– Nie wiem, czy rzeczywiście robi to aż taką różnicę – odezwała się Joanne.

– TC? – zapytałam. Dziwne, że TC, to znaczy mężczyzna, nie wyraził swojej opinii na temat tego, jak długo zajmie podróż, zanudzając nas na śmierć szczegółowym omawianiem potencjalnych tras, dróg itp.

TC nie słuchał. Nucił pod nosem, układając równo po kilka wydruków, kładąc je na biurku i traktując dziurkaczem. Skupiony był na zadaniu, które pochłaniało całą jego uwagę.

– Daj mu spokój – powiedziała Lorraine. – Przygotowuje się na swój wielki piątkowy wywiad. Niczego sensownego nie wydobędziesz teraz z niego.

– Żadna nowość – rzekłam, ale nawet to go nie ruszyło.

TC zaczął wkładać swoje kartki do ślicznego czerwonego segregatora.

– Skąd masz ten segregator? – zapytałam. – Nie widziałam takiego w szafce z materiałami biurowymi.

– Zgadza się – odparł pogodnie. – Bo go tam nie było. Sam go kupiłem. Za własne pieniądze.

Pogłaskał czule czerwoną okładkę.

– Z kim masz ten wywiad? Że zadajesz sobie aż tyle trudu?

– Z najpiękniejszą dziewczyną na świecie. – Uśmiechnął się marzycielsko.

– A tą dziewczyną jest... ?

– Zara Kaletsky.

Wrócił do nucenia i głaskania segregatora. Lorraine miała rację: nic sensownego dziś z niego nie wyciągnę. Przez kilka kolejnych sekund patrzyłam w jego kierunku, z niechęcią przyjmując do wiadomości fakt, że nie udało mi się go zirytować.

Po chwili wróciłam do zadreczania się. Wpatrywałam się niewidzącym wzrokiem w monitor. Miałam przed sobą cały dzień pracy. Nawet gdybym wykrzesła z siebie wystarczająco dużo energii, by to zrobić, jak miałam znaleźć czas, aby jechać na zachodnie wybrzeże Irlandii? Mogłabym wyjechać zaraz po pracy, ale pomimo tej zachwalanej obwodnicy Kildare podróż

zająłaby cztery godziny. Osiem godzin w obie strony, a i tak nie wiadomo, czy udałoby mi się nakłonić Lolę Daly do puszczenia farby. Zakładając, że w ogóle miała co puszczać. Zakładając, że rzeczywiście tam była.

Potrzebowałam herbatników. Czegoś, co by mnie wzmocniło przed czekającą mnie udręką. Udałam się do maleńkiej biurowej kuchni, ale nie znalazłam w niej nic do jedzenia.

– Sępy – mruknęłam pod nosem. – Świnie. Żarłoki.

Otworzyłam szufladę i łyżeczki zabrzęczały z oburzeniem, jakbym je wybudziła z głębokiego snu. W drugiej szufladzie nie było nic oprócz okruszków stanowiących dowód na to, że kiedyś rzeczywiście znajdowały się w niej herbatniki. W całej kuchni nie znalazłam ani jednego małego ciasteczka. Będę musiała iść do sklepu. Odwróciłam się i prawie że wpadłam na Caseya.

– Nie chcę się przechwalać – powiedział.

– A więc to bardziej tik, tak? Albo zespół Tourette'a?

–Co?

– Nie masz nad tym kontroli?

Zamknął oczy, odetchnął głęboko i rzekł, wpatrując się w ścianę za mną:

– Nie wiem, dlaczego w ogóle zawracam tym sobie głowę.

– Zawracasz sobie głowę czym?

– Miałem zamiar powiedzieć, że mam znajomego... z helikopterem...
mówi, że mogę z niego korzystać, kiedy tylko chcę...

Helikopter?

– To znaczy helikopter?

–Taa.

– Tak – powiedziałam. – Tak, bardzo by mi to pomogło. – Po czym przypomniałam sobie, by dodać: – Dziękuję.

LOLA

Środa, 21 stycznia, 12. 15

Organizuję się. Zbieram wszystko do kupy. Po zakończeniu negocjacji z Nkechi zostało mi trzynaście klientek. Niezbyt wiele, ale za to te porządne. Choć potrzebowałam znacznie większej liczby pań, pozbyłam się tych mniej sympatycznych i bardziej szalonych, przekazując je pod skrzydła Nkechi. Nie miałam już po prostu tak dużej cierpliwości jak kiedyś.

Wrócę do prostszego, czystszyego życia od tego, które zostawiłam za sobą. Tak, będę także biedniejsza. Ale w końcu zdobędę więcej zleceń.

Moim największym problemem związanym z powrotem do Dublina był powód, dla którego z niego wyjechałam – Paddy de Courcy. Jak się zachowam, kiedy na niego wpadnę? A na pewno do tego dojdzie, Dublin to Dublin. Czy nastąpi powtórka tego incydentu z puszczaniem pawia niemalże na ulicy? Czy przypadkiem będę niszczyć ubrania podczas sesji zdjęciowych?

Pytania bez odpowiedzi.

12. 33

Koło domu przeleciał helikopter, kierując się w stronę pola golfowego. Żadna sensacja. Helikoptery często lądowały na polu golfowym i wysypywali się z nich grubi faceci w czapkach z daszkiem, szykujący się na osiemnaście dołków. Czasem było tu jak w Wietnamie.

Ale od siedmiu do dziesięciu minut później nagły wewnętrzny strach – nie umiem opisać tego w inny sposób – kazał mi zerwać się na równe nogi, pobiec do drzwi, otworzyć je i wyrzeć na dwór. O zgrozo! Drogą szła charakterystyczna Grace Gildee. Pewnym siebie krokiem. Z całą pewnością w stronę chaty wuja Toma.

Dlaczego przyleciała do Knockavoy helikopterem?

Zrobiło się ciemniej, gdyż niebo zasnuły fioletowoszare burzowe chmury. Ogarnęło mnie przerażenie.

Wtedy mnie zobaczyła, stojącą nieruchomo w drzwiach, i pomachała do mnie radośnie, jakbyśmy byli najlepszymi przyjaciółkami.

Nie podobał mi się jej wygląd. Niedbała fryzura. Ładny, miodowy odcień, ale włosy były w nieładzie. Mogły tego dokonać śmigła helikoptera, ale podejrzewałam, że ona zawsze tak miała. Ubrana była w dżinsy, kurtkę w kolorze khaki (być może dostosowywała się do tematyki wietnamskiej), kozaki na płaskim obcasie, a przez ramię przerzuconą miała torbę. Sporo bym miała z nią roboty.

Szła już ścieżką prowadzącą do domu, a na jej twarzy widniał szeroki uśmiech.

– Lola – powiedziała, wyciągając rękę. – Grace Gildee. Miło cię znowu widzieć.

– Czego chcesz? – Głos miałam ochryply i urywany.

– Porozmawiać.

– O Paddym?

– Mogę wejść? Bezsilnie ją wpuściłam.

12. 47

– Wiem, że boisz się Paddy'ego.

– Nie. Nie chcę po prostu ujawniać szczegółów naszego związku. – Żalosa próba sprzeciwienia się.

– Jak często cię bił?

– Bil?

– Wiem, że cię bił, ponieważ bije wszystkie swoje dziewczyny.

– Wyjdź stąd, proszę.

– Moją siostrę, Marnie, stłukł na kwaśne jabłko.

– Odejdź, proszę.

– Alicia Thornton z całą pewnością ma mnóstwo siniaków pod tymi kostiumami od Armaniego.

– Louise Kennedy. Odejdź, proszę.

– Myślisz, że jesteś wyjątkowa, ponieważ cię bił, bo tak bardzo mu na tobie zależało, ale mylisz się.

To ona się myliła. Nie uważałam, że jestem wyjątkowa. Już nie. Może kiedyś byłam na tyle głupia, by myśleć, że skoro mnie ranił, znaczyło to, że żywi do mnie silne uczucia.

– Zrobił ci ten numer z papierosem? – zapytała. – Zgasił go na twojej dłoni?

Nie potrafiłam ukryć szoku. Byłam zdumiona, że ona o tym wie.

Otworzyłam usta, by zaprzeczyć, ale bąknęłam jedynie:

–Ach...

Chwyciła moją prawą dłoń. No i tam je znalazła, na środku wnętrza dłoni, małe, różowe kółko.

Wpatrywała się w nie ze zdumieniem i pomyślałam o jej wcześniejszej pewności siebie, kiedy z takim przekonaniem poinformowała mnie o tym, że wie, iż Paddy mnie bił. Podejrzewałam, że tylko zgadywała. Ale opłaciło się. Bezcelność.

– Wygląda na to, że to jego znak firmowy – powiedziała. – Forma oznakowania.

– Kłamiesz.

– Nie kłamię! Skąd miałabym o tym wiedzieć?

Przez dłuższą chwilę milczałam. Kręciło mi się w głowie. Wcześniej sądziłam, że jestem jedyna. Na całym świecie.

– Przysięgasz, że to przytrafiło się także innym?

– Przysięgam.

– Do niczego się nie zobowiązuję, Grace Gildee, ale czego ode mnie chcesz?

– Żebyś razem z innymi kobietami doprowadziła do konfrontacji z nim.

– Dlaczego?

– Ponieważ on wrabia Dee Rossini i trzeba go powstrzymać. Dee Rossini to przewodnicząca Nowej Irlandii.

– Wiem, kim ona jest. – Zirytowałam się. Brała mnie za totalną ciemniaczkę?

– Zagrozimy, że pójdziemy z tym do prasy, jeśli się nie wycofa.

– Ale co dla mnie znaczy Dee Rossini?

– Pewnie nic, tyle że to dobra, porządna kobieta, która chce dla ludzi tego, co najlepsze. Ale możliwe, że poczułabyś się lepiej, gdybyś wyrównała rachunki z Paddym.

– Ile jest tych kobiet?

– Co najmniej trzy.

Pomyślałam o zetknięciu się z nim twarzą w twarz – prawdziwym, żywym Paddym de Courcy – i ogarnął mnie strach tak wielki i paraliżujący, że z moich ust niemal wydobył się jęk. Czytałam kiedyś o człowieku, którego zamknięto w vanie z trzema głodnymi pitbulami. Możliwość przebywania w jednym pomieszczeniu z Paddym napawała mnie tego rodzaju przerażeniem.

Wstydziłam się do tego przyznać.

– Boję się go.

– Tym bardziej powinnaś wyrównać z nim rachunki.

Łatwo jej było mówić. Ona nawet nie używała błyszczyku. Widać było, że jest nieustraszona.

– Nie, ty nie rozumiesz – wyszeptałam. – Tak bardzo się go boję, że mam ochotę... Trzęsę się na samą myśl o tym. Życzę powodzenia. Idź już. – Musiałam pozbyć się jej z mojego domu, nim się załamie.

– Aby wygrało zło – powiedziała – wystarczy, by dobrzy ludzie nie robili nic.

– Tak, oczywiście, masz rację, powodzenia. – Wstałam i ruszyłam w stronę drzwi, mając nadzieję, że pójdzie za mną.

Wpatrywała się w moje oczy.

– Nie ma się czego bać oprócz samego strachu. Odpowiedziałam jej twardym spojrzeniem.

– Ale ten strach jest przerażający. Żegnam.

Snucie wspomnień

Pierwszy raz zdarzyło się to po tej okropnej, ciągnącej się bez końca kolacji u Treese i Vincenta. Kiedy w końcu udało nam się stamtąd uciec, odjechaliśmy spod ich domu w pełnym napięcia milczeniu. Hiszpan John miał wolny wieczór i często się potem zastanawiałam, czy by do tego doszło, gdyby on z nami był. Wniosek – całkiem możliwe. Z pewnością wiedział, do czego zdolny jest Paddy.

Spokojna uliczka. Paddy zatrzymał samochód. Jak idiotka pomyślałam, że uczynił to po to, byśmy się mogli całować. Odwrócił się do mnie, jedną ręką przytrzymał moje ramię, a drugą uderzył w twarz. Szybko i sprawnie.

– Nigdy więcej mi tego nie rób – powiedział.

Ból był okropny. Szok jeszcze gorszy. Mało brakowało, a zwymiotowałabym. Ale w zasadzie nawet go o to nie obwinałam. To był straszny wieczór, naprawdę straszny. Nie życzyłam go nawet najgorszemu wrogowi.

A potem – niemal natychmiast – zrobił się kochany.

– Jedźmy do domu, by cię opatrzyć. – Podał mi chusteczkę, by mogła w nią wsiąkać lecąca mi z nosa krew. Gdy dotarliśmy do jego mieszkania, przyniósł dobrze zaopatrzoną apteczkę, czule wytarł krew, nałożył środek antyseptyczny na pękniętą wargę. – To cię będzie bolało.

– Powinieneś być to powiedzieć, zanim mnie uderzyłeś – powiedziałam.

Wyglądał na zbolalego.

– Przepraszam, Lola, tak bardzo cię przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Po prostu stres, taka stresująca praca, wyszliśmy, pragnąłem się zrelaksować, ten palant Vincent tak mnie prowokował, że w końcu pękłem. – Przyłożył dłonie do policzków i popatrzył na podłogę. Jęknął. – Boże wszechmogący, nie mogę uwierzyć, że cię uderzyłem, moją słodką Lole, mój mały kwiatuszek. Boże, jak mogłem? Jestem zwierzęciem, cholernym zwierzęciem. – Spojrzał na mnie wzrokiem pełnym desperacji. – Proszę, wybac mi, Lola, błagam cię. Przysięgam, że to już się nie powtórzy. Przysięgam na pamięć mej matki, że to się nie powtórzy. Czy mi wybacysz?

Oczywiście, że mu wybaczyłam. Każdy ma prawo do popełnienia błędu. Był taki zrozpaczony, że pomyślałam: Boże, on naprawdę mnie kocha.

Tamtego wieczoru nie było mowy o perwersyjnym seksie. Zasnęliśmy wtuleni w siebie. Cóż, on zasnął. Ja większość nocy nie spałam, ponieważ każde nabranie powietrza spuchniętym nosem było niczym wdychanie żyłek.

Nazajutrz przysłał mi do mieszkania dwieście białych róż. Nie miałam tylu wazonów, by je wszystkie pomieścić. Musiałam użyć rondli, kosza na śmieci, pustych butelek po winie. To było jak ewakuacja Dunkierki.

Następnym razem było inaczej. Otworzył drzwi, by wpuścić mnie do swego mieszkania i nagle poleciałam na ścianę, odbiłam się od niej i wpadłam na szafkę na korytarzu, a chwilę potem uderzyłam głową w twardą, drewnianą podłogę. Prawdę mówiąc, zobaczyłam gwiazdy.

Leżałam przez jakiś czas na podłodze, oszołomiona i niezdolna do działania. Paddy stał nade mną, dysząc jak byk. Gdy upadałam, szafka się przechyliła i wszystko – książki, klucze, tego typu rzeczy – spadło na ziemię.

Paddy pomógł mi wstać i zaprowadził do salonu. Tam zaczął krzyczeć.

– Lola, nie majstruj, kurwa, przy moich ustawieniach SkyPlus.

– Co? – Ledwie wiedziałam, gdzie się znajduję. – Nie majstrowałam.

– Majstrowałaś. Ustawiłem tak, by nagrał mi się *Prime-Time*, a ty to skasowałaś.

– Paddy, nie dotykałam tego. – Coś kapało mi z policzka. Krew. Musiałam się skaleczyć. – Dlaczego miałabym to robić?

– Z zazdrości. Masz mi za złe, że tyle czasu poświęcam pracy.

To akurat była prawda, ale nie ruszałam jego SkyPlus. Dotknęłam rękawem policzka, by otrzeć krew. Bolały mnie kości. Zwłaszcza ramię.

– Może zapomniałeś to ustawić, Paddy.

– Zapomniałeś! To jest ważne! Jak mógłbym zapomnieć?

– Bardzo, bardzo zły.

– Pchnąłeś mnie! – powiedziałam. Dopiero teraz dotarło do mnie, co się stało.

– Co takiego? Przewróciłaś się! Chryste, tego mi jeszcze trzeba. Pieprzysz mi nagranie, a potem zaczynasz oskarżać o takie rzeczy! Przewróciłaś się! Okej? Przewróciłaś się!

Niespodziewanie rozległ się dzwonek domofonu.

– A to, kurwa, kto? – zapytał ostro Paddy. Wyszedł n korytarz, odbył krótką rozmowę przez interkom, po czym wrócił do pokoju. Tak wściekłego go jeszcze nie widziałam

– To policja.

Policja!

– Zostań tu – syknął.

I poszedł otworzyć drzwi.

– Witam, panowie, co mogę dla was zrobić? – Słodko jak miód.

Niski, pompatyczny głos rzekł:

– Sąsiedzi zgłosili zakłócanie spokoju.

– Którzy sąsiedzi?

– Anonimowe zgłoszenie. Możemy wejść?

Sądziłam, że Paddy się ich pozbędzie. Był przecież czarujący i miał dar przekonywania. Nie mogłam więc uwierzyć, kiedy do pokoju weszło dwóch policjantów. Mężczyzna i kobieta. Mundury, fluorescencja, okropne buty.

Popatrzyli na mnie.

– Chce nam pani powiedzieć, co się dzieje?

Kobieta pełna była życzliwości.

– Jak masz na imię? Lola? Co ci się stało w twarz, Lola?

Paddy stanął za nimi i rzekł:

– Czy moja przyjaciółka i ja moglibyśmy zostać na chwilę sami?

Policjanci spojrzeli po sobie.

– Proszę – dodał autorytatywnie Paddy.

Policjanci ponownie po sobie spojrzeli. Policjantka pokręciła lekko głową, ale policjant powiedział:

– Okej, jedna minuta.

Policjantka spojrzała gniewnie na policjanta, po czym westchnęła i razem wyszli z pokoju.

Paddy'emu oczy płonęły wściekłością. Przez zaciśnięte zęby wysyczał:

– Widzisz, co narobiłaś?

– Niczego nie zrobiłam.

– Masz pojęcie, jakie to jest poważne? Piśniesz choć słowo, a mnie aresztują.

Aresztują!

– Będę miał sprawę w sądzie. O wszystkim napiszą gazety. Pójdę do więzienia.

Więzienie! Więzienie! Nie mogłam go posłać do więzienia. To był mężczyzna, którego kochałam. Ale on mnie pchnął...

Gdyby to się przytrafiło nie mnie, ale jakiejś innej kobiecie i usłyszałabym o tym w radiu, pomyślałabym: Dlaczego nie powiedziała nic policjantom? Dlaczego pozwalała swemu chłopakowi, by spuszczał jej łomot, gdy miał na to ochotę?

Ale kiedy samemu jest się w to zaangażowanym, to zmienia zupełnie postać rzeczy. Kochałam Paddy'ego.

Czasami – często, tak, często, właściwie to prawie zawsze – był dla mnie kochany i pomysł, bym posłała go do więzienia był... prawdę mówiąc... niewyobrażalny. Jak ten, że mieliby go porwać kosmici. Kobiety takie jak ja nie wsadzały swoich chłopaków do więzienia. Było to tak dalekie od tego, co

w moim życiu było normalne, że po prostu nie byłam sobie w stanie tego wyobrazić.

Do mnie należało przekonanie go, by z tym skończył. A nie angażowanie we wszystko policji.

Paddy zbliżył się do mnie, ujął moją dłoń i ją pocałował. Położył na niej czoło i wyszeptał:

– Tak bardzo cię przepraszam.

– Nie powiem nic – rzekłam. – Ale musisz mi obiecać, że już nigdy czegoś takiego nie zrobisz.

Ponownie ucałował moją dłoń.

– Obiecuję – powiedział ochryplym głosem. – Obiecuję, obiecuję. Tak bardzo cię przepraszam. Ta praca jest taka stresująca. Mała Lola, nie zasługujesz na to. Już nigdy, ale to nigdy nie zrobię czegoś takiego, przysięgam na wszystko, co jest mi drogie, jeśli tylko mi wybaczysz. Nie zniósłbym utraty ciebie.

– To twoje ostatnie ostrzeżenie, Paddy. Jeszcze raz mnie dotkniesz, a odejdę.

Paddy zaprosił policjantów ponownie do pokoju i uraczył ich gładką historyjką o tym, jak weszłam na krzesło, próbując sięgnąć po coś z górnej półki w szafie na korytarzu, a potem się poślizgnęłam, spadłam i upadłam na twarz, pociągając za sobą szafkę.

Wiedzieli, że kłamiemy. Jednak policjanta to nie zmartwiło.

– W takim razie zostawiamy państwa.

Ale policjantka była zatroskana. Życzliwe oczy. Niechętnie wyszła.

Następnego dnia w moim mieszkaniu pojawiły się kolejne setki róż. Sąsiedzi uskarżali się na ich zapach.

Byłam zdecydowana zerwać z Paddym, gdyby taka sytuacja się powtórzyła, ale następnym razem, kiedy byłam chora, on upierał się przy uprawianiu seksu. Ponieważ zawsze byłam chętna do wszelkich igraszek, uznałam, że to nie jego wina, iż sądził, że nawet grypa mnie nie zmoże.

Następny raz – incydent z papierosem – był jeszcze bardziej dezorientujący. Jak można było pomylić ludzką dłoń z popielniczką? Jak mało to było prawdopodobne? Ale on tak stanowczo twierdził, że to był wypadek, że częściowo mu uwierzyłam.

Po kolejnym razie nie miałam jednak żadnych wątpliwości. Czekałam w jego mieszkaniu, aż skończy się sesja w Dail. Kiedy usłyszałam odgłos przekręcanego klucza, wiedziałam już, co mnie czeka.

– Gdzie jesteś? – zawołał.

Znalazł mnie w sypialni, wyciągnął z łóżka i rzucił mną o ścianę. Osunęłam się na ziemię, a on kopnął mnie w brzuch. Tak mocno, że aż zwymiotowałam.

Później się dowiedziałam, że w Dail odrzucono tego dnia zgłoszony przez Nową Irlandię projekt ustawy. W ogóle nie wiedziałam, że go zgłoszono. Powinnam była wiedzieć. To mój obowiązek. Tym razem nie było kwiatów. I następnym razem też nie.

Strasznie się martwiłam tą sytuacją. Zastanawiałam się nawet, czy z kimś nie porozmawiać, na przykład z Bridie. Ale – to było szalone, wiem – czułam, że rozmawianie z kimś o Paddym oznaczałoby nielojalność. Musiałam go chronić. Był skomplikowanym mężczyzną z wyjątkowo stresującą pracą.

Bridie nalegałaby, żebym z nim zerwała, a ja nie byłam na to gotowa. W Świecie Bridie wszystko było proste – facet cię bije, to odchodzisz. Ale ta

sytuacja była skomplikowana. Kochałam go, a on kochał mnie. Chyba potrafiliśmy poradzić sobie z problemami, spróbować je naprawić?

Musiałam wziąć na siebie część odpowiedzialności za to, co się działo – do tanga trzeba dwojga. Musiałam bardziej go wspierać w jego pracy. Tak, nudziło mnie to, ale moim obowiązkiem było niesienie mu pomocy.

Poza tym wstydziłam się, tak bardzo wstydziłam się tego, że on mnie bije, a ja nadal z nim jestem. I wstyd nie pozwolił mi nikomu o tym powiedzieć.

A potem wszystko znowu było cudowne. Ulga, ulga, och, miłosierna ulga. Paddy nadskakujący, czuły, uśmiechnięty. Seks, kolacje, prezenty, weekend w Cannes, zakupy, kolejne prezenty, wszystkie perwersyjne, szampan, seks. Co prawda z rosyjską prostytutką. Trójkącik. Powrót do Irlandii. Wszystko w porządku. Nowa Irlandia przegrała dodatkowe wybory. Nikt nie został pobity. Wszystko wróciło do normalności. Nie musiałam nikomu niczego mówić. Byłam uszczęśliwiona.

Pewnego wieczoru uprawialiśmy seks. Paddy jęczał, a ja go ujeżdżałam. Nagle zamilkł. Patrzył na miejsce, gdzie stykały się nasze ciała.

– Masz okres?

Nic mi nie było na ten temat wiadomo. Najwidoczniej dostałam go przed czasem. I co z tego?

– Brudna suka. – Walnął mnie pięścią w szyję.

Tak długo nie mogłam oddychać, że aż zemdlałam, a przez pełne dwa tygodnie czułam ból podczas przełykania.

Miał jednak rację – to było obrzydliwe.

Ten incydent zapoczątkował nową fazę, kiedy Paddy zaczął mnie znowu ranić, częściej niż w przeszłości. Już nie zastanawiałam się nad tym, czy go

zostawić albo zwierzyć się Bridie czy Treese. Zmieniłam się. Moje oburzenie zniknęło i minął czas, kiedy byłam na tyle silna, by od niego odejść.

Desperacko pragnęłam wrócić do naszych początków, kiedy on był we mnie zadurzony, kiedy o nic się mnie nie czepiał. Ale nie umiałam znaleźć drogi powrotnej.

Jeszcze bardziej się starałam, by być seksowną, przewidywać jego nastroje, jego potrzeby, by wiedzieć więcej na temat polityki, by nieustannie być dla niego osiągalną, w dzień i w nocy.

Tak bardzo pragnęłam go uszczęśliwić, że nie byłam już w stanie darzyć uczuciem nikogo innego. Zapomniałam o Bridie, Treese i Jemie, oni zabierali jedynie mój cenny czas.

Próbowałam kontrolować wszystko na całym świecie, tak by nic nie zirytowało Paddy'ego. Ale jego wściekłość potrafiło wywołać dosłownie wszystko – czerwone światło na skrzyżowaniu, ośc w kolacji, to, że zapomniałam przypomnieć mu o czymś, o czym w ogóle nie miałam pojęcia.

A potem wszystko nagle się zakończyło – wyszło na jaw, że Paddy żeni się z inną kobietą i że już mu nie będę potrzebna. Powinnam była skakać z radości, że się od niego uwolniłam. Tak się jednak nie stało. Przy nim czułam się nic niewarta. Ale bez niego tak bardzo się wstydziłam, że myślałam, iż nigdy się z tego nie otrząsnę.

18. 11

Esemes od Considine'a.

Przyjdiesz na kolacje przed Prawem & Porządkiem? U mnie o 8. 30?

20. 39

W kuchni Considine'a, jedząc zdrową potrawkę

W końcu wyjaśniła się tajemnica Considine'a. Okulary pływackie i czepek? Zakładał je, kiedy gotował. Okulary po to, by nie płakać podczas obierania cebuli. Czepek, by jego włosy nie przesiąkły intensywnymi, kuchennymi zapachami.

(Pomyślałam: Skoro tak bardzo się przejmujesz swoimi włosami, Considine, to czemu raz na jakiś czas ich nie uczesz? Ale nie powiedziałam tego na głos, no bo przecież ugotował dla mnie kolację.)

– Pyszna potrawka, Considine.

– Fajnie. – Małomówny mężczyzna.

– Zjawił się dziś u mnie gość – powiedziałam.

Podniósł głowę. Uświadomiłam sobie, że zabrzmiało to tak, jakbym wstydliwie się przyznawała do tego, że dostałam okres. Bardzo szybko dodałam:

– Przyjechała do mnie dziennikarka.

– W jakiej sprawie?

– Chciała... Powiedziała... Pamiętasz tego mojego chłopaka, o którym ci opowiadałam? To znaczy opowiadałam Chloe? No więc ta dziennikarka twierdzi, że nie byłam jedyna... no wiesz... krzywdzona. Chciała, żebym pojechałam do Dublina z tymi innymi kobietami, by... porozmawiać... z nim.

– To fantastycznie!

– Nie, strasznie!

– Dlaczego?

– Bo ja się go boję.

– Ale nie będziesz z nim sam na sam, prawda? Będą tam też inne kobiety.

Milczałam przez dłuższą chwilę.

– Sądzisz, że powinnam jechać?

– Sądzę, że koniecznie powinnaś jechać!

– A jeśli będzie okropnie?

– Co najgorszego mogłoby się przytrafić?

Zastanowiłam się. Coś najgorszego? Że mnie uderzy?

Nie. Że sprawi, że znowu go pokocham? Nie. Że ogarnie mnie pożądanie? Nie.

– Że mnie wyśmieje.

– Czy to takie straszne?

Tak. Naprawdę.

– Sprawiał, że czułam się taka... nic niewarta. Byłam... niczym. Niepotrzebna, bez żadnego znaczenia... Teraz się tak nie czuję. Nie twierdzę, że przechadzam się dumnym krokiem, myśląc, jaka to ja jestem fantastyczna, ale... nie chcę zmienić się z powrotem w tę bezradną, bezwartościową dziewczynę, którą byłam w czasie związku z nim i kiedy mnie porzucił.

– Pomogłoby ci, gdybyś miała towarzystwo? Gdybym cię zawiózł?

Miła, życzliwa propozycja. Kto by się jej spodziewał po zrzędlwym Considine?

– Wiesz, czego bym chciała? – zapytałam. – Żeby mogła ze mną pojechać Chloe.

Cisza pełna zadumy.

– Jeśli tego właśnie trzeba, byś pojechała, to Chloe z tobą pojedzie.

– Nie – odparłam. – Niemądra jestem. Zapomnij, że to powiedziałam. Ale czy powiesz mi, dlaczego Chloe jest obecnie odstawiona na boczny tor? Najpierw myślałam, że to sprawka Gillian, ale tak nie jest, prawda?

– To nie ma nic wspólnego z Gillian. Po prostu nie czuję się z tym dobrze. Już tak bywało. Czasami dobrze mi z Chloe. Innym razem... nie mogę uwierzyć, że ja, dorosły mężczyzna, przebieram się w damskie ubrania.

– Nie ma nic złego w tym, że dorosły mężczyzna przebiera się w damskie ubrania. Ale wydaje mi się, że cię rozumiem. Twoja propozycja jest bardzo miła.

– Ponieważ uważam, że powinnaś jechać do Dublina. To dobra okazja. Będą tam inne kobiety. Nie masz się czego bać. Jeśli nie skorzystasz z tej okazji, będziesz się potem chować po kątach, bojąc się, że na niego wpadniesz. Nie jest dobrze oglądać się zawsze przez ramię. Lepiej po prostu załatwić to raz, a dobrze.

Mężczyźni. Tacy praktyczni!

– Okej – powiedziałam powoli. – Przyjęłam do wiadomości. Nie pogniewaj się, ale potrzebna mi opinia kogoś jeszcze.

Kogo mogłam zapytać? Bridie? Treese? Jema?

Nie. Żadne z nich nie wiedziało o tym, co naprawdę działo się między mną a Paddym. Musiałabym im zbyt wiele wyjaśniać. Za długo by to trwało. Zbyt dużo czasu musiałabym spędzić na przyznawaniu, że Paddy de Courcy to prawdziwy sukinsyn. Straciłabym z oczu prawdziwy cel.

– Moja mama – powiedziałam. – Ona nie żyje. – Nawet po tylu latach czułam ból, gdy to mówiłam. – W normalnych okolicznościach poszłabym na cmentarz, by ją zapytać o zdanie, ale to by zbyt długo trwało.

– Rozumiem. – Considine bez problemu poradził sobie z informacją o potrzebie konsultacji ze zmarłą matką. – Musisz więc otrzymać od niej jakiś znak, tak?

– Tak. – Zdolności dedukcyjne na najwyższym poziomie, Considine.

– No to może... ? Hmmm. Rzut monetą? – zasugerował. Wyjął z kieszeni jedno euro. – Orzeł to znaczy, że twoja mama mówi tak? Reszka, że nie?

Doskonały pomysł.

– Ale daj mi najpierw chwilę.

Podeszłam do ciemnego okna na końcu domu, wyjrzałam na pienne morze i zapytałam: *Mamo, powiedz mi, co powinnam zrobić?*

Odwróciłam się. Considine w międzyczasie oddalił się w stronę drzwi, zachowując należytą odległość.

– Zrób to – powiedziałam.

– Zrobić?

– Tak. Rzuć monetą.

Wyrzucił euro w górę, gdzie wirowało i wirowało, aż ponownie wylądowało na ręce Considine'a. Przykrył je drugą ręką. Wstrzymywałam oddech.

– No i? – zapytałam.

Odsunął dłoń.

– Orzeł – powiedział.

Orzeł. Wypuściłam powietrze.

– Okej, wygląda więc na to, że jadę do Dublina. Dzięki za propozycję, ale pojedę sama. Jednak muszę jechać od razu, nim opuści mnie odwaga. Nie obejrzę więc dzisiaj *Prawa i porządku*.

20. 59

Considine odprowadził mnie do samochodu, życząc szerokiej drogi.

Zrobił mi kawę w termosie, który nie był w kratkę. Miłe to z jego strony. I gustowne.

– Powodzenia – powiedział. – Skop temu gościowi tyłek, zasłużył na to. Jedź ostrożnie.

Stałam obok samochodu. Drzwi były otwarte, ale nie wsiadałam. Nasze pożegnanie zdawało się niekompletne.

– Wyślij mi esemesa – rzekł.

– Okej. Pa, Considine. Wracaj do domu, jest cholernie zimno.

Odszedł kawałek, po czym zatrzymał się i odwrócił.

– Zaczekaj chwilkę.

Zbliżył się do mnie, jakby coś zauważył– może jakiś kłaczek na kołnierzu albo na brwi – i chciał mi to zdjąć. Czekałam. Położył dłoń na mojej szyi.

– Jakaś nitka? – zapytałam.

– Co? – Zmarszczył brwi. Jego czoło znajdowało się bardzo blisko moich oczu, tak blisko, że widziałam, gdzie kończy się skóra i zaczyna nagle ciemna linia włosów.

– Liść we włosach?

– Co? Nie. – Być może jeszcze bardziej zmarszczył brwi, ale znajdował się tak blisko, że miałam zamazany obraz. – Chcę ci coś pokazać.

Bez zbędnych ceregieli pochylił głowę i dotknął ustami mych ust.

A więc na to czekałam! Objawienie – Rossa Considine całował wyjątkowo: powoli i słodko, i seksownie. Całował całymi ustami, nie uprawiając rozszalałej szermierki twardym językiem, którą wielu ludzi uważa za doskonałe pocałunki.

Czułam lekkie zawroty głowy i zaczynały mi mięknać kolana i – chwileczkę! Deja vu! Już tak mnie ktoś kiedyś całował. Tyle że poprzednim razem przerwał wtedy, kiedy naprawdę zaczynało mi się podobać, a tym razem

pocałunek trwał i trwał, robił się coraz cudowniejszy, coraz piękniejszy, czułam mrowienie w całym ciele i...

Considine w końcu oderwał się od mych ust.

– Jedź – powiedział mrukliwym głosem. Seksownym. – Na litość boską, jedź.

– Całujesz zupełnie jak Chloe!

Zaśmiał się i zaczął się oddalać w stronę swego domu.

– Pospiesz się, Lola. Ale jedź ostrożnie.

22. 12

Mijając zajazd Matt the Thrashers

Zadzwoiłam z samochodu do Grace Gildee. (Tak, wiem, że to niezgodne z prawem.)

– Z tej strony Lola Daly. Pójdę z wami do Paddy'ego pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Pozwolisz mi się wystylizować.

– Wystylizować?

– Nie zawsze! Tylko raz. – Za kogo ona mnie uważała? Wolontariuszkę?

– To znaczy wbić mnie w szpilki i wszystko inne?

– Zgadza się.

–I suknię... ?

–I suknię.

– Ale... dlaczego?

Ponieważ to straszne marnotrawstwo, taka potencjalnie atrakcyjna kobieta jak ona.

– Mam nadzieję, że się nie obrazisz – rzekłam – ale zupełnie nie wykorzystujesz swojego potencjału.

Zaśmiała się. Miała gdzieś to, że nie wykorzystywała swojego potencjału. Po prostu miała to gdzieś! Różni są ludzie na tym świecie, jak mawiała mama.

– Okej. Kiedy przyjedziesz do Dublina?

– Już jadę.

GRACE

– To ona? – Marnie dostrzegła kobietę czekającą na chodniku.

– Tak. – Zatrzymałam samochód. – Lola, to ja, Grace. Wskakuj.

Lola usiadła na tylnym siedzeniu. Nerwowo powiedziała:

– Mówiłaś, że będą co najmniej trzy kobiety.

– Będą – odparłam. – Marnie, Lola, Lola, Marnie.

– Cześć – powiedziała cicho Lola.

– Cześć. – Marnie odwróciła się, by spojrzeć na Lolę i nagle zaczęłam się martwić.

Przez cały dzień zamartwiałam się różnymi rzeczami, między innymi tym, czy Marnie nie pojawi się na gazie. Ona była jednak trzeźwa – ale czy to tylko moja wyobraźnia czy też rzeczywiście wykazywała odrobinę zbyt duże zainteresowanie Lolą?

O Jezu. Możliwe, że otworzyłam puszkę Pandory.

– Musimy zawrócić i jechać po Dee – rzekłam.

– Dee też bił? – W głosie Loli słychać było przerażenie.

– Nie, nie, ona jedzie z nami, byśmy mogły się dostać do jego mieszkania. Ale nie wejdzie tam z nami.

Dee i ja zastanawialiśmy się, jaka taktyka będzie najlepsza i – choć niechętnie – zgodziła się ze mną, że lepiej będzie, jeśli ona pozostanie na uboczu. Mogło się zrobić nieciekawie, a gdyby była tam z nami, jej obecność mogłaby doprowadzić do jeszcze większego zaognienia sytuacji.

– Grace. – Z tyłu dobiegł cichy głos Loli. – Będą co najmniej trzy kobiety, tak? Ponieważ nie chcę tego robić, jeśli mam to być tylko ja i Marnie. Za bardzo się boję.

– Lola, musisz mi zaufać. – Staralam się, by zabrzmiało to uspokajająco, a nawet wesoło. Nie mogłam dopuścić do tego, by teraz straciła odwagę!

Zatrzymałam się pod kancelarią Dee i napisałam jej esemesa, że czekamy. Chwilę później pojawiła się i wślizgnęła na tylne siedzenie obok Loli. W niczym nie przypominała radosnej, optymistycznej Dee. Była zdruzgotana, kiedy w samochodzie pod domem Christophera Hollanda opowiedziałam jej o tym, co wiedziałam na temat Paddy'ego. Była tak zbulwersowana, że przez chwilę nie mogła złapać tchu.

– O mój Boże – wydyszała, kiwając się w przód i tył. Wyglądało to tak, jakby płakała, tyle że bez łez. – O mój Boże. Wiedziałam, że Paddy jest... to znaczy wiedziałam, że siebie stawia na pierwszym miejscu i wiedziałam, że jest chorobliwie ambitny... ale myślałam, że jakoś to zniósę, ponieważ cieszy się dużą popularnością wśród wyborców. To cena, jaką trzeba zapłacić. Ale... Grace, ja przecież byłam maltretowaną żoną. I nie miałam pojęcia o Paddym. – Opuściła głowę.

– Mój zastępca to damski bokser. – Spojrzała na mnie. – Nie mam czasu na psychologiczne rozważania – oświadczyła.

– Ani sekundy.

– Ja też nie.

– Ale podobno powielamy wzorce. Czy ja powielam wzorzec? Czy ciągnie mnie do agresywnych mężczyzn? Czy rozpoznaję w nich coś?

– Chryste, Dee, ja też bym nie miała pojęcia... Zamilkła. W końcu się odezwała:

– Co ja mam teraz zrobić? Jest takie powiedzenie, że tragizm to nie jest wybór pomiędzy dobrem a złem, lecz wybór pomiędzy dwoma dobrami. – Tak, znałam to powiedzenie. Mama często je przytaczała. Zwłaszcza wtedy, kiedy się zastanawiała, co zrobić na obiad. – Ale – kontynuowała Dee – w tym przypadku to wybór między dwoma złami.

– Jak to?

– Jeśli nie zrobię nic, Angus Sprott opublikuje artykuł, moja kariera będzie zrujnowana i wtedy nie będę mogła nikomu pomóc. Ale jeśli sprzedam prasie Paddy'ego, utonę razem z nim i wtedy nie będę mogła nikomu pomóc. Ale jeśli go zwolnię, nie podając do wiadomości publicznej powodu, utracimy zaufanie wyborców, którzy nie zagłosują na nas w kolejnych wyborach i wtedy nie będę mogła nikomu pomóc. A jeśli uda mi się nakłonić go do tego, by przestał mnie sabotować i dalej będziemy razem pracować, to będzie znaczyć, że świadomie dzielę się władzą z damskim bokserem.

– Właściwie to już cztery zła – zauważyłam.

– Cóż, no więc widzisz sama. Tak wielki jest tragizm tej sytuacji.

Oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy.

– Polityka to brudna gra – mruknęła. – Ja pragnęłam jedynie pomagać ludziom. Ale nawet jeśli ci się wydaje, że jesteś nieprzekupny, nawet jeśli uważasz, że twoje motywy są czyste jak łąza, i tak kończysz... skalany. – Otworzyła oczy i wyprostowała się, pełna nowej energii. – Nie należę do osób, które chowają głowę w piasek, Grace.

Zaczełam się robić niespokojna. Miałam przeczucie, że kiepsko na tym wszystkim wyjdę.

– Jakie jest najmniejsze zło? – Spojrzała na mnie. – Takie, że odłożę na bok swoje osobiste urazy i dogadam się z Paddym.

– Dogadasz się, że... ?

– Że jeśli zaprzestanie kampanii oszczerstw, te kobiety nie opowiedzą publicznie swoich historii.

– Ale będziesz musiała nakłonić te kobiety do tego, by się w to zaangażowały.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Nie ja. Ty. Tyje nakłonisz.

O kurwa. Kurwa, kurwa...

– Ale ty je znasz, Grace! Twoja siostra. Ta stylistka...

– Postaram się. Ale niczego nie mogę obiecać, Dee.

– Ale postarasz się najlepiej, jak potrafisz? Przyrzekasz?

Och, na litość boską.

–Tak.

Kiedy już wydobyła ze mnie tę obietnicę, z powrotem popadła w odrętwienie.

– Boże, ależ jest mi smutno.

Nie tylko, kuźwa, jej.

Zabawne było to, że trzy z nas znały kod do bramy Paddy'ego: Dee dzięki wspólnej pracy, Lola z czasów, kiedy się z nim bzykała, a ja od czasu, kiedy przeprowadzałam wywiad z Alicią.

Kiedy już wjechałyśmy, zaparkowałam nie pod blokiem Paddy'ego, lecz trzy budynki dalej, po przeciwnej stronie ulicy. Paddy i Alicia byli na jakimś przyjęciu. Dee, która znała ich terminarz, przewidywała, że wrócą około **22. 45.**

Teraz była **22. 38.**

– Myślę, że stoimy za blisko – powiedziała niespokojnie Lola. – Może nas zobaczyć.

Odjechałam jeszcze dziesięć metrów.

– Czy tak jest dobrze?

– Nie – odparła Marnie. – Teraz my nic nie widzimy. Zdusiłam westchnienie i wróciłam na poprzednie miejsce.

– Jest ktoś! – oświadczyła Marnie.

Przed blokiem Paddy'ego zaparkował jakiś samochód i od strony kierowcy wysiadł mężczyzna.

– To on? – Głos Loli drżał. – To Paddy?

– Nie – odparła Dee. – To Sidney Brolly z jutrzejszymi gazetami.

Patrzyłyśmy, jak zostawia coś pod drzwiami, po czym wraca do samochodu, zawraca z piskiem opon i odjeżdża. Wszystkie popatrzyłyśmy na stos gazet.

– Bezpiecznie je tak po prostu zostawiać? – zapytała Lola.

– Ona ma rację – odezwała się Marnie. – Ktoś mógłby je ukraść.

– Ukradłabyś gazety Paddy'ego de Courcy? – zapytała Dee.

–Nie.

– No więc masz odpowiedź... Jezus! Są! Była **22. 47.**

Instynktownie wszystkie pochyliłyśmy się, jak w jakimś gangsterskim filmie z lat siedemdziesiątych, i obserwowałyśmy, jak saab Paddy'ego, kierowany przez Hiszpana Johna, zatrzymuje się pod blokiem.

Słuchałyśmy, spocone z napięcia (przynajmniej ja byłam spocona, w sumie nie mogę się wypowiadać w imieniu pozostałych), jak drzwi otwierają się i zamykają. A potem Hiszpan John odjechał.

Ukradkiem zerkałyśmy, jak Paddy i Alicia znikają za drzwiami.

– Zaczekamy dziesięć minut – powiedziałam. – Potem wchodzimy.

– Dziesięć to zbyt oczywiste – zaprotestowała Marnie. – Lepiej dziewięć.

– Albo jedenaście – zasugerowała Dee.

Lola nic nie powiedziała. Bałam się, że może puścić pawia. Wciąż przełykała ślinę i oddychała głęboko. Za każdym razem gdy na nią patrzyłam, ogarniały mnie wyrzuty sumienia, że każę jej przez to przechodzić.

– Dlaczego on to robi? – zapytała nagle Lola. – Dlaczego jest taki okrutny?

– Jego matka zmarła, gdy miał piętnaście lat. Może musi karać wszystkie kobiety za to, że porzuciła go matka – powiedziała Marnie. – Długo chodziłam na terapię – dodała.

– Wielu ludziom umiera matka, kiedy są nastolatkami – mknęła Dee. – I nie zmieniają się w żadnym władzy damskich bokserów.

– Moja zmarła, kiedy miałam piętnaście lat – rzekła Lola. – A ja nigdy nikogo nie zbiłam.

W sumie nic dziwnego. Nie wyglądała na taką, co jest w stanie zbić choćby jajko.

– A jego ojciec był emocjonalnie wycofany – kontynuowała Marnie. – Może to odziedziczył. Jak już mówiłam...

– Długa terapia? – zapytała Dee.

– Tak.

Kiedy demokratycznie wybrane jedenaście minut minęło, rzekłam:

– Okej, no to idziemy.

Wszystkie wysiadłyśmy z samochodu i przeszłyśmy przez ulicę. Dee stanęła pod kamerą domofonu i zadzwoniła.

– Paddy, tu Dee. Właśnie tędy przejeżdżałam i pomyślałam, że mogłabym zamienić z tobą słówko odnośnie do jutra.

(Jutro w Dail składano projekt jakiejś ustawy.)

– Jasne, wchodź.

Drzwi otworzyły się i cała nasza trójka weszła na klatkę schodową. Dee życzyła nam powodzenia i Marnie, Lola i ja weszłyśmy po schodach, prowadzących do mieszkania Paddy'ego.

Ustawiliśmy się przed jego drzwiami, ja w środku, Marnie lekko za mną z lewej strony, a Lola lekko za mną z prawej strony.

– Jak *Aniolki Charliego* – szepnęła Lola. Ale bliższe prawdy byłyby *Palantki Charliego*.

Nie byłam przerażona. Byłam bardziej niż przerażona. Zupełnie straciłam wiarę w powodzenie naszej akcji: nasza trójka

– Lola, Marnie i ja – nie nastraszyłyby nawet kulawego psa.

– Możliwe, że Paddy nas nie wpuści, kiedy nas zobaczy – rzekłam cicho, choć podejrzewałam, że to mało prawdopodobne.

Wtedy drzwi otworzyły się i stanął w nich Paddy. Przez krótką chwilę, kiedy zarejestrował, kim jesteśmy, jego źrenice rozszerzyły się, jak u ludzi, którzy wyczuwają niebezpieczeństwo, ale po chwili na jego twarzy gościł już szeroki uśmiech.

– Grace Gildee – rzekł. – A niech mnie. – Ujął moją dłoń i nachylił się, by mnie pocałować. –I przywiozłaś ze sobą Marnie. Marnie, minęło tyle lat. Zbyt wiele. – Pocałunek w policzek dla Marnie, pocałunek w policzek dla Loli,

po czym zaprosił nas do środka. Prawdę mówiąc, wyglądał na autentycznie uradowanego.

Lepiej by było, gdyby próbował zatrzasać nam drzwi przed nosem, gdybyśmy musiały naprzec na nie i siłą wdrzeć się do jego mieszkania; wtedy przynajmniej buzowałaby w nas choć odrobina adrenaliny.

– Wchodźcie i siadajcie – powiedział. – Pozwólcie, że zawołam Alicię, nim zdąży zmyć makijaż. Byłaby na mnie zła, gdyby się z wami nie zobaczyła.

Zniknął na końcu korytarza, a my czekałyśmy w salonie, Marnie na fotelu, a Lola i ja na brzegu sofy.

– Pamiętajcie, co on wam zrobił. Nie zapomnijcie o tym ani na chwilę.

Kolana Loli drżały. Wzięłam ją za rękę.

– Świetnie ci idzie.

– Przepraszam – szepnęła. – Powinam była ubrać dzinsy. Nie wiedziałam, że będę tak przerażona...

– I pamiętajcie: mówienie zostawiacie mnie.

Wcześniej przećwiczyłam to z Dee. Wiele razy. Ona odgrywała mnie, a ja Paddy'ego, następnie ona była Paddym, a ja sobą.

– Alicia zaraz przyjdzie. – W salonie pojawił się Paddy.

– No dobrze, co mogę wam zaproponować do picia?

– Nie, dzięki, Paddy – odparłam. – Jest późno, nie chcemy zabierać ci zbyt dużo czasu. Pewnie się zastanawiasz, co tu we trzy robimy.

– Zawsze się cieszę, mogąc gościć u siebie trzy piękne kobiety – rzekł swobodnie.

Powoli i z lekką nutą groźby w głosie powiedziałam:

– Paddy, chcemy, żebyś wycofał z „Press” tę historię o Dee Rossini, udzielającej pomocy nielegalnym imigrantom.

W idealnym świecie odparłby: „Dlaczego miałbym to zrobić?”. Na co ja mogłabym wtedy odpowiedzieć: „Jeśli ty wycofasz swoją historię, to my wycofamy naszą”.

Ale on zaśmiał się i rzekł:

– Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

– Wycofaj to, Paddy – powiedziałam, starając się wrócić do scenariusza.

– A my wycofamy naszą.

Miał zapytać, jaka jest nasza historia, ale on jedynie rozsiadł się wygodnie w fotelu i uśmiechnął do mnie; uśmiechnął i omiółt niespiesznym spojrzeniem moje ciało, zatrzymując się na chwilę na moich piersiach, a potem schodząc niżej.

Zapadła cisza.

Kątem oka widziałam, jak kolana Loli jeszcze bardziej drżą. Drzwi otworzyły się i Alicia weszła do salonu, a jej uprzejmy uśmiech zamarł. Zapytała niespokojnie:

– Co tu się dzieje?

– Właśnie wyjaśniałam Paddy'emu, że jeśli on wycofa swoją historię, sugerującą, że Dee Rossini pomaga nielegalnym imigrantom, my wycofamy naszą historię o Paddym.

– A jaka to historia? – zapytała Alicia. Dzięki ci, Boże, że chociaż jedna osoba zna tutaj scenariusz.

– Paddy bije kobiety. Zadaje im ciosy pięścią, kopie je i przypala. Ale tego nie muszę ci mówić, Alicio.

Zbladła – sądziła, że była jedyną – i wtedy już wiedziałam, że nam się uda.

– Jakie kobiety? – zapytała szybko Alicia.

Pokazałam na Lolę i Marnie. Paddy zaśmiał się cicho.

– Kto uwierzy tej modowej dziwaczce z fioletowymi włosami?

Zaszokowana Lola wciągnęła głośno powietrze.

– Dlaczego jesteś taki okrutny? – Jej głos drżał.

– Lola, ty nie mogłaś na poważnie... jestem politykiem... – Dodał, niemal życzliwie: – Dobrze się bawiliśmy, prawda?

– Bawiliśmy? Jestem człowiekiem, Paddy, a nie zabawką.

– Dlaczego więc zachowujesz się jak zabawka?

Straciłam Lolę. Celnie wymierzył i ją zestrzelił. Paddy skierował swoją uwagę na Marnie.

– Marnie Gildee? Po tylu latach nadal wariatka?

– Ja...

– Pobiłeś Marnie – powiedziałam.

Westchnął.

– Każdy by pobił Marnie.

– Nie...

– Doprowadzała mnie do szaleństwa. Te płacze, kłótnie, nieustanne wydzwanianie do mojego domu...

– Ale to ty ją do tego doprowadzałeś, i ty też to robiłeś...

– A potem przespała się z moim najlepszym przyjacielem; był dla mnie jak brat.

– Nie zaszkodziło to jednak waszej przyjaźni, skoro w twoim imieniu załatwia brudne interesy z „Globe”.

Powiedziałam to w tym samym czasie, gdy Marnie wykrzyknęła do Paddy'ego:

– Ale ty przespałeś się z Leechy. Ty to zrobiłeś pierwszy.

Paddy przewrócił oczami i odwrócił się w moją stronę, jakbyśmy byli jedynymi dorosłymi, odpowiedzialnymi osobami w tym pomieszczeniu.

– To było dawno, dawno temu, Grace. Byliśmy dziećmi. To nie przejdzie. Czy to jedyne, co masz w zanadrzu? Tę parę?

– Nie, prawdę mówiąc, to nie tylko – odparłam. Nadszedł czas na moją sekretną broń.

Wszyscy – nawet Paddy, co muszę przyznać, sprawiło mi przyjemność – wyglądali na zaskoczonych.

Zerwałam się z sofy i chwyciłam dłonie Alicii. Skierowałam je obie wnętrzami do góry, święcie przekonana, że na jednej z nich widnieć będzie mała, okrągła blizna. Ale nic nie znalazłam. Obie dłonie były gładkie. Podciągnęłam jej rękawy. Żadnych siniaków. Kurwa. Kurwa. Kurwa.

Odsunęłam się natychmiast od Alicii, próbując udawać, że to oglądanie jej dłoni to była spontaniczna, aczkolwiek szybko porzucona próba odczytania jej przyszłości.

Serce waliło mi tak mocno, że aż czułam ból w żebrach. Byłam pewna co do Alicii. Przepadła ostatnia deska ratunku – nie miałam nic oprócz strachu.

Gdybym wyjawiała jedyne sekret, jaki mi pozostał, uczyniłoby to tyle samo dobrego, co i złego. Skutki uboczne byłyby druzgocące; nie mogłam tego zrobić. Kim tak w ogóle była dla mnie Dee? Choć bardzo ją podziwiałam, niewarta była tego, bym rozwaliała sobie całe życie.

Wszyscy nadal patrzyli na mnie wyczekująco, jakby to był jakiś kryminał. Ogarnięta kolejną falą paniki, zastanawiałam się, czy nie chwycić Loli i Marnie i nie pobiec razem z nimi do samochodu. Byłyby oczywiście złe i zdezorientowane. Ale zabrałabym je na pizzę. Na przestrzeni lat przekonałam się, że pizza na większość ludzi wywiera łagodzący wpływ. Także wino. To

dobrze połączenie. Wtedy musiałabym wszystko wyjaśnić. Cóż, nie wszystko. Ale część wszystkiego. Bez zdradzania czegokolwiek. A gdyby znowu zaczęły narzekać, a zjadłyby już pizzę, kupiłabym im tiramisu. I więcej wina. I być może kawę z baileysem...

Ale trzeba było zrobić to, co należało.

A nawet gdyby tak nie było, duma nie pozwoliłaby mi się poddać.

Westchnęłam i poddałam się temu, co miało się wydarzyć.

– Jest ktoś jeszcze – powiedziałam, a słowa te czułam na języku jak kamienie. – Trzecia kobieta. Która jest gotowa o wszystkim opowiedzieć.

– Kto? – zapytała Marnie.

– Tak, kto? – zapytała Lola.

Biedne Lola i Marnie, spodziewały się, że wyciągnę teraz z kapelusza coś naprawdę czarodziejskiego, że w drzwiach pojawi się jakaś kobieta i oświadczy aksamitnym głosem: „Jestem pewna, że nie zapomniałeś o tym razie, kiedy zbiłeś mnie na kwaśne jabłko, Paddy!”.

– Tak, kto? – zapytała Alicia.

Paddy nie odezwał się. Patrzył, a w kącikach jego ust błąkał się uśmiech.

– Ja – powiedziałam.

–Ty?

– Dlaczego miałyby uderzyć ciebie? – zapytała Marnie.

– Ponieważ... – Nie było wyjścia z tej sytuacji. Musiałam to powiedzieć.
– Nie chciałam się z nim przespać.

Zapadła pełna zdumienia cisza. Paddy zamknął oczy i uśmiechnął się do siebie.

– Paddy chciał się z tobą przespać? – zapytała powoli Marnie.

Paddy otworzył oczy i powiedział lubieżnie:

– Och, tak.

Marnie pobladła.

– Zawsze ci się podobała? – wyszeptała. – Nawet kiedy spotykałeś się ze mną?

– Jasne. – Paddy przeciągnął się leniwie. – Zawsze. Kiedy pukałem cię, to myślałem o niej.

– Wcale nie! Nie słuchaj go, on jedynie próbuje nas ze sobą skłócić. – Na litość boską, minęło prawie piętnaście lat, odkąd Marnie spotykała się z Paddym. Kiedy miała zamiar przestać się zachowywać tak, jakby ich związek dopiero co się skończył? – Paddy i ja pracowaliśmy razem nad jego biografią i zaczął się do mnie przystawiać, ponieważ on nie przepuści żadnej kobiecie. A kiedy ja na to nie poszłam, uderzył mnie w twarz, przypalił mi papierosem dłoń i kazał Hiszpanowi Johnowi spalić mój samochód.

– Pracowałaś nad jego biografią? – zapytała słabym głosem Marnie.

– Daj spokój, Grace – odezwał się Paddy. – Niezbyt mocno się opierałaś.

– Kiedy to było? – zapytała Marnie. Głos miała stłumiony.

– W zeszłe lato. Do września.

– Do września – odezwała się Lola. – Ale on w sierpniu zaręczył się z Alicią.

Marnie odwróciła się do Alicii.

– Jak się z tym wszystkim czujesz, Leechy?

– Dobrze – odparła Alicja. – Ponieważ to wszystko jest nieprawdą. I nie mów do mnie Leechy. Nigdy tego nie znosiłam.

– Ale on właśnie ci powiedział, że chciał się przespać z Grace... – wykrzyknęła Lola w tym samym czasie, co Marnie rzekła do Alicii:

– Cóż, to nie ja nazwałam cię Leechy. Ktoś... kto to był? Jakieś dziecko nie potrafiło wymówić Alicia...

– Moja siostra.

– Nie zachowuj się więc tak, jakbyśmy to my postanowiły zmienić ci imię. Wszyscy mówili na ciebie Leechy.

– Teraz jestem Alicia.

– Właściwie – powiedziała Marnie z nietypową dla siebie zjadliwością – to Leechy* bardziej do ciebie pasuje. Ponieważ byłaś pijawką, która przyssała się do Paddy'ego...

Groziło nam, że stracimy z oczu nasz wspólny cel...

– Marnie – wtrąciłam się. – Proszę.

– Wy nigdy nie byliście moimi przyjaciółkami – oświadczyła Leechy. – Zawsze czułam się wyłączona. Zawsze byłaś ty i Grace, a ja gdzieś tam na uboczu...

To wcale nie było prawdą, ale nim dałam się w to wciągnąć, Paddy wstał z fotela.

– Idę do łóżka.

– Zaczekaj, Paddy. – Zatrzymałam go w drzwiach.

– Jeszcze nie skończyliśmy. – Próbowałam jeszcze raz włączyć do mego głosu groźbę. – Jak już mówiłam, wycofaj swoją historię, a my wycofamy swoją.

Zaśmiał się cicho i pokręcił głową. Nie w geście odmowy, ale z powodu tego, w jakiej szopce musiał uczestniczyć. Nie mogłam go za to winić.

* *Leech (ang.) – pijawka.*

Poniosłyśmy fiasko. Dość spektakularne.

Opuściłyśmy jego mieszkanie i zeszłyśmy bez słowa po schodach, by przekazać złe wieści Dee.

Marnie nie wsiadła do samochodu. Na jej twarzy widniało upokorzenie.

Dee i Lola, wyczuwając napięcie między Marnie i mną, oddaliły się, mruczając coś o taksówkach.

– Proszę, wsiądź do samochodu, Marnie.

– To był dla mnie taki ważny związek – powiedziała. – Wyobrażasz sobie, jak ja się czuję, dowiedziawszy się, że chciał być z tobą?

– Nie chciał być ze mną, kiedy spotykał się z tobą. On cię kochał. – Powoli jechałam obok niej. – Proszę, Marnie, proszę, wsiadaj. Jest późno. Nie możesz iść tak sama.

– Nie pojedę do twojego domu.

– W takim razie zawiozę cię do rodziców. Proszę, Marnie, to nie jest bezpieczne.

W końcu wsiadła. Jechałyśmy w milczeniu. Po dziesięciu minutach zapytała chłodno:

– Czy Damien wie o tobie i Paddym?

– Nie przespałam się z nim – odparłam. – Damien nie ma o czym wiedzieć.

– Ale coś było na rzeczy?

Tak, coś było na rzeczy.

– Chciałaś się z nim przespać? Brałaś to pod uwagę? Zaangażowałaś się emocjonalnie?

Nic nie odpowiedziałam, a ona miała już swoją odpowiedź.

– Założę się, że Damien o tym nie wie – rzekła.

– Proszę, nie mów mu. – Mój głos był zduszony.

Nie odpowiedziała i wiedziałam, że może to zrobić. Nie uwierzyłam, że taka sytuacja jest w ogóle możliwa. Marnie i ja zawsze byliśmy wobec siebie lojalne. Ale wszystko się popieprzyło. Marnie czuła się zraniona i sytuacji nie polepszało jej picie. A Paddy de Courcy wmieszał się w to, a on niszczył wszystko, z czym miał kontakt. Kiedy znalazłyśmy się na Yeoman Road, Marnie wysiadła z samochodu i nie żegnając się ze mną, wbiegła po schodkach.

– Gdzie jest Marnie? – Damien czekał na mnie. Na jego twarzy malowało się napięcie i wyczekiwanie. – Jak wam poszło?

– O Boże, Damien... – Nie wiedziałam, od czego zacząć, ponieważ nie wiedziałam, gdzie mogłam skończyć. Nie mogłam powiedzieć mu wszystkiego, bałam się więc powiedzieć mu cokolwiek.

Przytuliłam się do niego i objęłam go za szyję. Tak bardzo się bałam, że mogłabym go stracić, że musiałam przywrzeć do niego ze wszystkich sił.

Objął mnie mocno i położył głowę na mojej.

– Mocniej – powiedziałam.

Posłusznie oplótł mnie ramionami jeszcze ciaśniej.

– To była katastrofa? – zapytał.

Kiwnęłam głową.

– Katastrofa. Ale nie wiem, czy połączy przeciek z tobą, wydaje mi się, że będzie dobrze. – Naprawdę tak uważałam. – Możemy iść do łóżka? – zapytałam.

– Chodź.

Pomógł mi wejść po schodach, jakbym dochodziła do siebie po zapaleniu płuc. W sypialni rozebrałam się, zostawiłam ubrania na podłodze i

wślizgnęłam się pod kołdrę. Po chwili dołączył do mnie Damien i przytuliłam się do niego mocno, bardzo mocno, jakby to była moja ostatnia szansa na coś takiego. Zamknęłam oczy i leżałam nieruchomo, pragnąc, byśmy zostali już tak na zawsze.

Wtedy Damien poruszył się i odsunął na tyle, by spojrzeć mi w twarz.

– Masz zamiar powiedzieć mi, co się tam wydarzyło?

– Nie obraziłbyś się... ? Moglibyśmy to sobie dzisiaj odpuścić? Czuję się taka...

Wyglądał na rozczarowanego, urażonego, i było w nim jeszcze coś dziwnego...

– Przepraszam – wycofałam się. Nie mogłam mu nie powiedzieć. Nie po tym, co zrobił, by pomóc Dee. – Co ja sobie w ogóle myślę? Oczywiście, że ci powiem. – Ale nie mogłam powiedzieć mu wszystkiego i przez to było mi strasznie, strasznie smutno. I strasznie, strasznie się bałam.

– Nie, zostawmy to – rzekł. – Jesteś wykończona. Idź spać. Rano mi o wszystkim opowiesz.

– Zabawne jest to, że tak naprawdę to nie ma nic do opowiadania. Totalnie zlekceważył Marnie i Lolę i okazało się, że Alicii nie tknął nawet palcem. Poniosłyśmy fiasko na całej linii. Jego się nie da nastraszyć.

– De Courcy. – Damien zgasił światło i westchnął w ciemności. – Zadzieranie z nim jest błędem.

– Tak. – Wiedziałam o tym.

Kiedy wracam do tego myślami – a nieczęsto to robię – słyszę podkład muzyczny: gra orkiestra smyczkowa i moment kulminacyjny następuje wtedy, kiedy odwracam się i po raz pierwszy widzę Paddy'ego.

Miałam wtedy prawie siedemnaście lat i tamtego wieczoru, kiedy zaczęłam pracować w Boatmanie, Mick, manager, przedstawiał mnie barmanom.

– To Jonzer – powiedział Mick. – Jonzer, przywitaj się z Grace.

Jonzer wpatrywał się we mnie tak, jakbym była pierwszym człowiekiem, jakiego dane mu było widzieć.

– A to jest Whacker – kontynuował Mick. – Whacker, Grace, nowa kelnerka. Mieszka na Yeoman Road.

Whacker otworzył usta i odsłonił zęby w grymasie, który w zamierzeniu miał być chyba uśmiechem.

– A tam jest Paddy.

I nagle sparaliżowało mnie druzgocące połączenie urody Paddy'ego, jego sił witalnych i oszałamiającego uśmiechu.

Byłam tak onieśmielona, że pomyślałam, iż to Paddy powinien być managerem Boatmana. To, że był tylko barmanem zdawało się przeczyć naturalnemu porządkowi. Pomyślałam sobie wtedy, że gdybym to ja była właścicielem Boatmana, zwolniłabym chuchrowatego, nieprzyjemnego Micka i zastąpiła go Paddym.

Dzięki indoktrynacji mamy nie wierzyłam w miłość od pierwszego wejrzenia. Niemniej jedno spojrzenie Paddy'ego wystarczyło, by zmienić mnie w Królową Frajerów, gorszą nawet od Leechy, oficjalnie największej (co sama przyznała) frajerki, jaką Marnie i ja kiedykolwiek znałyśmy. Pragnęłam go bardziej niż czegokolwiek innego i byłam przerażona tym, że miałabym go nie zdobyć.

Czymś normalnym byłoby o tym z kimś pogadać, ale ja najpierw sama chciałam przeanalizować ten katastrofalny wpływ, jaki miał na mnie Paddy.

Nawet nie pomyślałam o tym, by godzinami omawiać to z Marnie i Leechy, leżąc na łóżku i wymyślając, co tu zrobić, żeby spodobać się Paddy'emu. Moje pragnienie było znacznie bardziej instynktowne i dorosłe od wszystkich wcześniejszych zadurzeń i jednego byłam pewna: tusz z brokatem nie jest w tym przypadku rozwiązaniem.

Drugim powodem, dla którego nikomu nic nie mówiłam, było to, że mama, tata i Bid – zwłaszcza Bid – śmialiby się ze mnie. Wszyscy uważali, że jestem twarda jak stare trapery – a gdy bywałam na tyle głupia, by ujawnić jakąś słabość, reakcją była łagodna wesołość.

Jednakże moja obsesja na punkcie Paddy'ego niemalże wyszła na jaw, kiedy zapytałam mamę i Bid:

– Jak sprawić, by mężczyzna zwrócił na ciebie uwagę? Rada mamy: bądź sobą.

Rada Bid: nie noś stanika. Bądź sobą. Kim więc byłam?

Byłam nieskomplikowana, zdrowa i silna, postanowiłam więc wykorzystać swoje mocne strony. Nie dla mnie kobiece sztuczki. Kiedy Paddy ustawił na tacy dziesięć kufli z piwem i zapytał:

– Potrzebujesz pomocy, Grace?

Ja odparłam stanowczo:

– W żadnym razie.

I dźwignęłam ją z baru, aż poczułam, jak mi mięśnie drżą z wysiłku.

(Później widziałam, jak Marnie odmawia noszenia tacy, na której stały więcej niż cztery kufle, a wszyscy barmani potykali się o własne nogi, by spieszyć jej z pomocą.)

Brałam każdą zmianę, jaką mi proponowano, w nadziei że trafię na Paddy'ego. Niemal się bałam o tym myśleć, ale wydawało mi się, że mnie lubi.

Tego wieczoru, kiedy wsunął mi do koszulki na plecach kostkę lodu i trochę się ze sobą siłowaliśmy, byłam tego niemal pewna.

Najważniejsze, co musiałam ustalić, to czy ma dziewczynę. Leżałam na łóżku, zastanawiając się i planując. Zapytać Jonzera? Zapytać Whackera? Zapytać któregoś z równie okropnych barmanów?

Dotarło do mnie w końcu, że mogę po prostu zapytać Paddy'ego.

– No więc, Paddy... – pstryknęłam kapslem od toniku, złapałam go i rzuciłam przez ramię do kosza –... masz dziewczynę?

– Dobry rzut – powiedział. – Nie. A czemu pytasz? Jesteś chętna?

– Chciałbyś. – Zabrałam tacę i prześlizgnęłam się obok niego.

– Właściwie to tak – rzekł do moich oddalających się pleców.

Zaśmiałam się przez ramię.

– Możesz marzyć dalej.

– Łamiesz mi serce!

Później w domu, kiedy leżałam w łóżku, raz po raz odsłuchiwałam te słowa w mej głowie. *Właściwie to tak. Łamiesz mi serce.*

Nawiązywałam z nim więź, jakbym układała domek z kart, trzęsąc się z przerażenia za każdym razem, kiedy dodawałam nową kartę na wypadek, gdyby całość miała się zaraz rozsypać.

Mieliśmy ze sobą dużo wspólnego: on interesował się polityką; ja interesowałam się polityką. Cóż, może nie do końca, ale wiedziałam, o co w niej mniej więcej chodzi. I byliśmy fizycznie dopasowani – niewiele dziewcząt miało więcej niż metr siedemdziesiąt wzrostu.

W dniu moich – i Marnie – siedemnastych urodzin, dodałam do domku kolejną kartę, proponując, że przedstawię go najważniejszej osobie w moim życiu.

– Później wpadnie tu moja siostra bliźniaczka. Mamy dziś urodziny.

– Bliźniaczka? A więc jesteście dwie? Wystarczy jedna taka Grace Gildee!

Opryskałam mu twarz wodą z kranu, a on wzdrygnął się i roześmiał.

– Wybieracie się później świętować? Jestem zaproszony?

– Dlaczego miałybyśmy zaprosić takiego idiotę jak ty?

– Ach, daj spokój, Grace.

– Nie.

– Ładnie proszę.

– Której części słowa „nie” nie rozumiesz? – (Byłam niemal żałośnie zadowolona z tej akurat kwestii, uważając ją za szczyt wyrafinowanego flirtu.)

Wtedy weszła Marnie i jednym spojrzeniem zgarnęła wszystko, co tak ostrożnie i wytrwale budowałam.

Był taki moment, kiedy czułam, że mam wybór, że gdybym zawalczyła o niego, miałabym jeszcze szansę. Ale szybko się zmitygowałam. Paddy pragnął Marnie. Ale nawet gdyby tak nie było, Marnie pragnęła Paddy'ego, a ja nigdy nie potrafiłam jej niczego odmówić.

Było mi jednak ciężko. Widywałam ich w pracy i widywałam ich w domu: nie miałam dokąd uciec. Musiałam być świadkiem tego, jak ją całuje, trzyma jej dłoń i chichocze razem z nią. Musiałam słuchać jej obrazowych relacji na temat ich fantastycznego seksu. „A potem owinął moje nogi wokół swego pasa i, Grace, przysięgam ci na wszystko... ”.

Ale w końcu przywykłam do uważania go za chłopaka Marnie. Raz na jakiś czas przypominała mi się więź, jaką z nim czułam, ale doszłam do wniosku, że karmiłam się wtedy złudzeniami.

Byli razem już prawie trzy lata i wiedziałam, że Paddy przestał kochać Marnie, jeszcze zanim dowiedziała się o tym ona. To była wiosna przed naszymi dwudziestymi urodzinami, Paddy był na ostatnim roku w college'u, w październiku miał rozpocząć aplikację adwokacką i było oczywiste – przynajmniej dla mnie – że jest gotowy, by rozpocząć kolejny etap swojego życia.

Próbowałam ostrzec Marnie, ale do niej nie dało się dotrzeć. W pewnym sensie było tak, jakby Paddy odkochał się we mnie. Jej ból był moim bólem.

Wtedy Sheridan mi powiedział, że to, co łączyło Paddyego i Leechy to coś więcej niż platoniczne sesje pocieszania. Nie mogłam w to uwierzyć – Leechy była dla mnie i Marnie jak siostra. Ale Sheridan upierał się, że to prawda. I choć nie była to moja sprawa, poszłam do Leechy i kazałam jej się trzymać z dala od Paddy'ego.

Leechy zawsze starała się wszystkich zadowolić. Ale zamiast przychylić się do mojej prośby, oświadczyła zaskakująco stanowczo:

– Nie, Grace. Jestem nową dziewczyną Paddy'ego.

Nową dziewczyną? Byłam zdumiona.

– Ale on ma już... – Wtedy dotarła do mnie cała prawda. – Czy ty... czy ty z nim sypiasz?

– Nie. – Zarumieniła się.

– Sypiasz! O Boże. Boże. O Boże, Boże, Boże – jęknęłam, ogarnięta strachem. Co powie Marnie? Co zrobi Marnie? – Leechy, proszę cię, przestań. Musisz to zrobić. Gdzie twoja lojalność?

– W normalnych okolicznościach byłabym lojalna – odparła. – W normalnych okolicznościach nigdy bym nie odbiła chłopaka innej dziewczynie.

Miałam ochotę powiedzieć: W normalnych okolicznościach nie miałabyś cholernego wyboru! Trudno cię uznać za Cindy Crawford.

– A co z Marnie? – zapytałam błagalnie. – Przyjaźnicie się, odkąd skończyłyście pięć lat!

– Związek Marnie i Paddy'ego zakończył się – powiedziała ze spokojną pewnością siebie. – Ja jestem w jego typie. Jestem rozsądna, opanowana i lubię The Carpenters. To co łączyło go z Marnie, było szczeniackie.

– Leechy, ty sobie to tylko wyobrażasz... – Pragnęłam jej powiedzieć, że kiedyś uważałam, że jego typem jest dziewczyna zdrowa, silna i wyszczekana. Że jestem pewna, iż on jedynie wykorzystuje konsekwencje spania z nią po to, by katapultować się z życia Marnie.

– Kocham go, Grace – oświadczyła z tą samą pewnością siebie i to był koniec naszej rozmowy.

Obwinałam Paddy'ego, ale jeszcze bardziej obwinałam Leechy. Gdyby się z nim nie przespała, Marnie nie wytraciłoby to z równowagi na tyle, by przespać się z Sheridanem, a gdyby nie przespała się z Sheridanem, Paddy nie pobiłby jej do nieprzytomności, które to wydarzenie według mnie zmieniło ją już na zawsze.

Minęły cztery lata, nim znowu go zobaczyłam. Byłam wtedy w pracy na jakiejś promocji czegoś tam, w zatłoczonej hotelowej sali przeznaczonej na tego typu okazje. I nagle zobaczyłam go tam, górującego wzrostem nad wszystkimi. Nie wyglądał już na biednego ani zdziczałego, jego ubrania emanowały nowością i pieniędzmi, ale to był z całą pewnością on. Wpatrywałam się w niego pół sekundy za długo, wystarczająco długo, by mnie zauważył. Na jego twarzy widać było szok. Zbladł.

– Muszę lecieć – powiedziałam do grupy osób, z którymi tu przyszłam.

– Dlaczego... ?

Odstawiłam kieliszek i szłam zygzakiem przez tłum, kierując się ku drzwiom. Nim tam jednak dotarłam, na drodze stanął mi Paddy.

– Grace...

Opuściłam głowę i chciałam go ominąć, on jednak uczynił krok w bok razem ze mną.

– Grace, to ty, prawda?

Odwróciłam się w drugą stronę, ale on znowu znalazł się przede mną.

– Grace, proszę... Czy tak się traktuje dawnego przyjaciela?

– Co? – Uniosłam głowę. – Nie jesteś moim przyjacielem. Popełniłam błąd, patrząc na niego. Na jego twarzy malował się ból.

– Grace, proszę. – Powiedział błagalnie: – Ty i ja zawsze byliśmy przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi? – Czułam odrazę. – Po tym, co zrobiłeś Marnie?

Moje głośne oburzenie przyciągnęło kilka zaskoczonych spojrzeń.

Paddy też je zauważył.

– Możemy porozmawiać? – zapytał cicho.

– Proszę bardzo. – Skrzyżowałam ramiona na piersi. – Cała zamieniam się w słuch.

– Nie tutaj. W jakimś nieco bardziej... ustronnym miejscu. Gdzie mógłbym ci wszystko wyjaśnić?

Nie mogło być mowy o żadnym wyjaśnieniu. Ale ciekawość zawsze brała nade mną górę. Może jednak istniało coś, co nadałoby temu wszystkiemu sens?

– W tym hotelu mają prywatny bar – powiedział. – Poświęcis mi dziesięć minut swego czasu?

W cichym, wyłożonym drewnem barze Paddy postawił przede mną drinka.

– Zostało ci sześć minut – powiedziałam.

– W takim razie lepiej będę się streszczać. Okej... Byłem młody i... i... głupi i bardzo gniewny. Moja matka zmarła, mój ojciec był takim świrem...

– To żadne wytłumaczenie.

– Nie próbuję się tłumaczyć, próbuję jedynie wyjaśnić.

– Spuścił głowę. – Nie miałem domu, tylko tak to mogę ująć.

– Dopiero po chwili znowu się odezwał: – Kiedy poznałem Marnie, ona się stała moim domem. Tak naprawdę to wy wszyscy, ty i Bid, i wasi rodzice.

– Kolejne milczenie. – Ale kiedy tak się złożyło, że przestałem kochać Marnie, to ją obwiniałem. Sądziłem, że przestałem ją kochać dlatego, że była słaba. Gdyby była inną osobą, nadal bym ją kochał, ale nią nie była i po raz kolejny straciłem dom...

Zaskoczyło mnie to, że było mi go odrobinę żal. Wtedy przypomniałam sobie opuchniętą, pokaleczoną twarz Marnie i żal zniknął.

– Prześladowuje mnie wstyd – rzekł.

– I dobrze. A dlaczego mówisz o tym mnie? Powinieneś mówić to Marnie.

Zawahał się.

– Myślałem o tym. Nadal o tym myślę. Ale wiedząc o Marnie to, co wiem, myślę, że kontaktując się z nią, rozdrapałbym dawne rany. Pewnie jeszcze bym tylko wszystko pogorszył.

Najbardziej irytujące było to, że miał rację.

– Ale nie jestem tego do końca pewny, to coś, o czym myślę i zastanawiam się...

– I na tym fascynującym stwierdzeniu... – Wstałam. – ... kończy się twoje dziesięć minut.

– Co u niej? – zapytał.

– U Marnie? W porządku – odparłam. – Znacznie jej lepiej bez ciebie. Potraktowałeś ją... jak gówno.

– Musiałem. Tylko tak mogłem to zakończyć. W przeciwnym wypadku nigdy by się z tym nie pogodziła.

I znowu miał rację.

– To bardzo wyjątkowa dziewczyna – powiedział smutno. – Zostaniesz na jeszcze jednego drinka i powiesz mi, co u niej słyhać?

–Nie.

– Proszę.

– Nie. Och, no dobrze.

Nie miałam nic innego do roboty. Szczerze mówiąc, w taki sposób usprawiedliwiałam się sama przed sobą.

Paddy kupił kolejne drinki i kontynuował temat Marnie: z taką życzliwością, z takim smutkiem opowiadał, jak bardzo była wrażliwa, jak trudno jej było znaleźć szczęście, że – ku swemu ogromnemu zawstydzeniu – częściowo przyznałam mu rację.

Potok słów Paddy'ego przerwał brzęk metalowej beczki.

– Boże, to mi coś przypomina – powiedział. Patrzyliśmy, jak barman zmienia beczkę. – Pamiętasz, jak robiliśmy to w Boatmanie?

Kiwnęłam głową, speszona wspomnieniem, jak taszczyłam beczkę przez cały pub, próbując mu zaimponować. Ależ była ze mnie kretyńka...

– Byłaś jedyną dziewczyną, która umiała zmienić beczkę. Byłaś niczym... niewiarygodna Amazonka.

Zdumiałam się. Zawsze sądziłam, że dźwiganie rzeczy niczym doker było czymś, co go do mnie zniechęciło.

– Nigdy wcześniej nie znałem kobiety takiej jak ty – dumął.

Nie byłam w stanie na niego spojrzeć. Przełknęłam ślinę tak głośno, że oboje to usłyszeliśmy.

– I już nigdy nie poznałem.

Chryste! Zerknęłam na niego z ukosa i kiedy nasze spojrzenia skrzyżowały się, przeskoczyła między nami iskra. Choć byłam temu niechętna – a byłam, wystarczyło, że pomyślałam o spuchniętej, pokaleczonej twarzy Marnie – poczułam, jakbyśmy byli sobie bliscy, jakbyśmy ja i on prawdziwie się rozumieli. Jak w czasach przed jego poznaniem Marnie.

– Jeszcze jeden drink? – zapytał.

– Nie. Idę.

– Na pewno? A może jednak? Zawahałam się, po czym dałam za wygraną.

– Okej, tylko jeden.

Kiedy wrócił od baru, postawił nasze drinki na stole, a potem odwrócił się w moją stronę i rzekł:

– Mam coś do powiedzenia i jeśli nie zrobię tego teraz, to już nigdy.

Domyślałam się, o co mu chodzi.

– Popeliłem błąd – oświadczył. – Wybrałem niewłaściwą siostrę.

Zamknęłam oczy.

– Przestań.

Nawet gdyby nie potraktował tak okropnie Marnie, czymś niedopuszczalnym było wiązanie się z dawnymi chłopakami swojej siostry – lub przyjaciółek. On już zawsze będzie należał do niej.

– Chodź ze mną do domu – powiedział.

Trzęślam się z pożądania. Oddałabym wszystko za jedną noc z nim. Jedną noc jego nagiego ciała, jedną noc sprośnego, czułego, nostalgicznego seksu w każdej możliwej pozycji, jedną noc jego wchodzącego we mnie, z twarzą wykrzywioną pożądaniem do mnie, do mnie, do mnie...

–Nie.

–Nie?

– Nie. – Obraz Marnie w szpitalu nie chciał zniknąć z moich myśli. Chwyciłam torebkę i wstałam, by wyjść.

– Zmienisz zdanie – powiedział. – Przekonam cię.

– Nie mnie – odparłam, zastanawiając się, co zrobi, aby mnie przekonać.

Nic się jednak nie wydarzyło. Nie odezwał się do mnie przez kolejnych jedenaście lat. Miałam mnóstwo czasu, by zastanawiać się nad swoją odmową.

A potem, zeszłego lata, zadzwoniła do mnie Annette Babcock, redaktor prowadząca w Palladian, wydawnictwie specjalizującym się w autobiografiach celebrytów. Całkiem niedawno napisałam dla nich dwie książki. (Historię życia sportsmenki i zgryzoty kobiety, która kiedyś została Miss Irlandii i która przeszła dwadzieścia osiem operacji plastycznych, by pozostać w obiegu jako modelka.)

To praca, którą pismaki często zajmują się na boku, jako że większość sportowców czy modelek – lub nawet polityków – to niemalże analfabeci. Praca była intensywna – a także śmiertelnie nudna, kiedy się próbowało przekształcić czyjeś nieciekawe życie i nużące anegdoty w dobrze czytającą się prozę – ale całkiem dobrze za nią płacono.

– Możesz do mnie zajrzeć? – zapytała Annette. – Mam dla ciebie robotę.

Kiedy siedziałam już przed nią, oświadczyła:

– Wydajemy książkę Paddy'ego de Courcy. Jezu, pomyślałam, Paddy de Courcy...

– Uważamy, że ty byś się do tego najlepiej nadawała. To będzie oznaczać spędzanie w ciągu następnego miesiąca mnóstwa czasu w towarzystwie Paddy'ego, ale to żadna męka, prawda? Prawda? – powtórzyła, kiedy nie odpowiedziałam.

– Co? Przepraszam... Tylko pomyślałam... – Odkasznęłam. Miałam wiele pytań. Pierwsze i najważniejsze: dlaczego ja?

– Tylko nie wyobrażaj sobie za wiele – powiedziała oschle Annette. Widać było, że on jej się podoba. – To nie jest tak, że poprosił o ciebie. Mamy zespół pisarzy, z którymi współpracujemy. Podaliśmy mu kilka nazwisk. Powiedział, że czytał *Życie w biegu*. – (Tę książkę o sportsmencie.) – I że spodobała mu się twoja praca.

– Czy on... ?

Prawda była taka, że w pewnym sensie zapomniałam o Paddym de Courcy. To znaczy nie do końca. Trudno by było to zrobić, skoro pojawiał się często w wiadomościach czy uśmiechał ze stron z rubrykami towarzyskimi. Gdy go widziałam, czasami coś się niespodziewanie we mnie skręcało, ale najczęściej nie czułam nic.

– No więc? – zapytała Annette. – Wchodzisz w to?

– Nie wiem...

– Co takiego?

Nie bardzo wiedziałam, co zrobić. Czy to nie było dla Paddy'ego ryzykowne? Wiedziałam o nim więcej niż jakikolwiek inny dziennikarz. Ale może dlatego właśnie wybrał mnie – ponieważ nie musiałby przyznawać się do

posłania Marnie do szpitala? Może wiedział, że będzie to musiał umieścić w książce, ale uznał, że ja pomogę mu stworzyć jakąś okrojona wersję?

A może za dużo na ten temat myślałam. Może Marnie stanowiła dla niego już tak zamierzchłą przeszłość, że zupełnie wyrzucił z pamięci to, co jej zrobił? Może naprawdę spodobała mu się moja praca nad *Życiem w biegu*? Może naprawdę chodziło mu tylko o moje umiejętności?

– Pieniądze są całkiem niezłe – powiedziała z niecierpliwością Annette. Wymieniła kwotę i musiałam przyznać, że ma rację. – Mogę spróbować wyrwać dla ciebie jeszcze ze dwa tysiące.

– Tak, ale...

Czułam się zagubiona. Dlaczego miałabym pomagać Paddy'emu? Myśl o pracy z nim, pozwalaniu mu na czerpanie korzyści z moich umiejętności pisarskich sprawiła, że poczułam się nielojalna. Wtedy kontrolę przejęła moja wojownicza natura – może po piętnastu latach uzyskam w imieniu Marnie jakieś zadośćuczynienie.

– Okej – rzekłam do Annette. – Zrobię to.

– Może nieco więcej entuzjazmu, moja droga. Mnie robiłoby się mokro na myśl o tych wszystkich godzinach spędzanych z Paddym.

Zamknęłam oczy. Chryste, czy ona naprawdę musiała?

– Teraz posłuchaj mnie, Grace. To ściśle tajny projekt, aby uniknąć nakazów sądowych, zdobytych przez innych polityków przed publikacją. Nikomu o tym nie mów.

– Nie pisnę ani słówka.

W domu od razu powiedziałam Damienowi.

– Jego autobiografia? – W głosie Damiena słychać było podejrzliwość. – Dlaczego? Nie dokonał niczego oprócz posuwania modelek. Nie jest przewodniczącym partii. Nie jest nawet ministrem.

– Świat autobiografii celebrytów uległ zmianie. – Wzruszyłam ramionami. – Nie musisz niczego robić, wystarczy, że jesteś przystojny.

Damien przyglądał mi się uważnie.

– Dlaczego się zgodziłaś, Grace? Po tym, co zrobił Marnie?

– Właśnie dlatego. Zastanawiam się, czy mogę uzyskać... nie wiem... coś w imieniu Marnie. Choćby przeprosiny...

– To miało miejsce dawno temu – powiedział cicho Damien. – Marnie jest teraz mężatką, matką dwojga dzieci. Możliwe, że nie chce, by to zostało ujawnione. Możliwe, że nie chce mieć z nim nic wspólnego.

– No ale możliwe, że chce.

– Być może powinnaś najpierw z nią porozmawiać, a dopiero potem podjąć decyzję.

– Już powiedziałam, że się tego podejmę. Wzruszył ramionami.

– Wolno ci zmienić zdanie. Niczego nie podpisałaś?

– Nie. Wiem. Ale mam po prostu uczucie, że muszę to zrobić... Wiem, że nie jesteś w stanie tego zrozumieć, ale wydaje mi się, że to jest szansa, nie wiem, by... Och, nie wiem, Damien! – westchnęłam ciężko. – By naprawić coś bardzo złego.

Po moich słowach zapadła cisza. Jak miałam sprawić, by mnie zrozumiał? To tkwiło głęboko we mnie. Pomimo moich podejrzeń i strachu, że się okażę nielojalna, musiałam to zrobić.

– Nie bądź taki przygnębiony – błagałam.

Damien zaśmiał się smutno – wiedział o moim młodzieńczym zadurzeniu w Paddym.

– Okej – powiedziałam. – Okej, okej. Jeśli naprawdę nie chcesz, bym się tego podjęła, po prostu to powiedz, a zrezygnuję.

– Grace...

Wtedy zrobiło mi się wstyd. Damien nigdy by mnie o coś takiego nie poprosił, nie należał do tego typu ludzi. Pokręcił głową i zaczął odchodzić.

– Honorarium jest wysokie! – zawołałam za nim.

– Świetnie. Kupimy sobie mnóstwo rzeczy.

Nasze pierwsze spotkanie, którego celem było omówienie struktury książki, odbyło się w gabinecie Paddy'ego. Zdążyłam zapomnieć, jak to jest znajdować się blisko niego. Jego wzrost. Te oczy. Ta prezencja... charyzma, nazwijcie to, jak chcecie. Tak wiele cech skumulowanych w jednym człowieku – jak naprawdę mocna kawa albo najciemniejsza czekolada – że było to niemal nie do zniesienia. Uścisnął mi dłoń i pocałował lekko w policzek.

– Jestem uszczęśliwiony tym, że będziemy razem pracować.

– Boże, ale z ciebie polityk. Gdzie mam usiąść?

– Gdzie chcesz. Na sofie?

Zdecydowałam się na krzesło z twardym oparciem, mrużąc pod nosem, że tak jest prawdopodobnie bezpieczniej. Paddy usiadł za biurkiem, a ja otworzyłam mój żółty notatnik. Rzekłam wyzywająco:

– Najpierw sprawy najważniejsze. Umieścimy w książce epizod z hospitalizacją mojej siostry?

– Nadal ta sama Grace – powiedział Paddy, ale bez urazy w głosie. – Zawsze broniąca sprawy. Ale uważam, że najlepiej będzie, jeśli spuścimy zasłonę milczenia na ten młodzieńczy incydent.

– Och, rozumiem. Dlatego właśnie poprosiłeś o mnie? – Tak jak podejrzewałam. – Jeśli sądzisz, że będę cię chronić, to zapomnij o tym. – Wstałam, by wyjść.

– Nie musisz chronić mnie. Usiądź, Grace, dobrze? Chroń Marnie. Myślisz, że chciałaby o tym przeczytać w książce?

Tak właśnie powiedział Damien...

– Chciałaby? – zapytał raz jeszcze.

Nie wiedziałam. Nie zapytałam jej o to.

Powoli usiadłam. Ale jeśli nie zajmowałam się tym projektem jako orędownik Marnie, co ja tu właściwie robiłam?

– Honorarium jest wysokie – powiedział Paddy, czytając w moich myślach. – No dobrze, Grace, oboje mamy robotę do wykonania. Bierzmy się za nią.

Honorarium rzeczywiście było wysokie. Niedawno kupiłam nowy samochód i miałam do spłacania spore raty.

Wzięłam do ręki pióro i ku memu zdziwieniu pracowaliśmy przez trzy godziny, robiąc całkiem spore postępy. Dotarło do mnie, że to tylko praca i że wszystko będzie dobrze.

Po raz drugi spotkaliśmy się pięć dni później i znowu sporo zrobiliśmy. Zajęliśmy się jego dzieciństwem i doszliśmy do momentu, gdy zmarła mu matka – wtedy Paddy nagle przestał mówić i opuścił głowę. Kiedy ponownie ją uniósł, jego oczy pełne były łez. W normalnych okolicznościach pomyślałabym: płaczący facet, jakie to śmieszne. Ale, być może dlatego, że znałam go w tamtym okresie i wiedziałam, jaki był wtedy zagubiony, nieoczekiwanie zrobiło mi się smutno.

Wyjęłam z torby serwetkę z Burger Kinga i podałam mu. Szorstkim gestem otarł oczy. Po chwili znowu był sobą.

– Trochę to było krępujące. – Zaśmiał się. Spojrzał na serwetkę. – Materiał na pierwsze strony gazet: Grace Gildee była miła.

– Ja jestem miła – powiedziałam obronnie. – Dla tych, którzy na to zasługują.

– Wiem. Wiem, Grace. – Przewiercił mnie spojrzeniem swych niebieskich oczu. – Poszedłem do Palladian z twojego powodu.

Co takiego? A to nagła zmiana tematu.

– Zawsze śledziłem twoje postępy, zawsze wiedziałem, w jakiej pracujesz gazecie, zawsze czytałem twoje artykuły.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Ponieważ przez te wszystkie lata nigdy nie przestałem o tobie myśleć.

Przez moje całe ciało przeszedł mimowolny dreszcz.

– Myślę o tobie każdego dnia. Jesteś jedyną kobietą, która by do mnie pasowała.

Wbrew sobie poczułam, że to mi schlebia. Byłam podniecona. I tym sposobem cofnęłam się do przeszłości.

Obudziła się we mnie nastolatka i byłam rozmarzona i nieobecna, ogarnięta pożądaniem.

Ale tamtego wieczoru nie mogłam zasnąć. Nie było sensu zaprzeczać prawdzie: mój pociąg do Paddy'ego był czymś bardzo, bardzo złym, niebezpiecznym i nieprzyzwoitym.

Minęło tyle czasu, może się zmienił. A co z Damienem?

To co łączyło Damiena i mnie, było rzadko spotykane i dobre.

Instynktownie wiedziałam, co należy zrobić: wypłatać się z tego projektu.

Ale Wedy spotkałam się z Paddym, by mu powiedzieć, aby znalazł innego redaktora, było tak, jakby on to przewidział. Nim zdążyłam otworzyć usta, zamknął drzwi swego gabinetu i rzekł:

– Nie rób tego, Grace. Nie opuszczaj mnie.

– Ale...

– Proszę. Tylko tobie ufam i mówię prawdę. Jesteś mi potrzebna.

Nic nie byłam w stanie na to poradzić – sprawił, że poczułam się dla niego zbyt ważna, by zrezygnować.

Pracy tego dnia i dwa dni później towarzyszył taki stan seksualnego napięcia, że nie potrafiłam rozsądnie myśleć. Nasze wcześniejsze tempo zwolniło niemal do zera, ale nic mnie to nie obchodziło. W myślach nieustannie negocjowałam sama ze sobą. Chciałam jedynie jednej nocy. Jednej nocy, która należała mi się od jedenastu lat. Albo i osiemnastu. To by wcale nie znaczyło, że nie kocham Damiena.

W domu Damien mnie obserwował, ale nic nie mówił, i udało mi się przekonać siebie, że nic nie zauważył. Aż do pewnego wieczoru po pracy, kiedy w skrzynce pocztowej znaleźliśmy broszurę New Age i wybieraliśmy kursy, które uważaliśmy za najgorsze.

– Plemienne Bębny byłyby straszne – powiedziałam, wzdrygając się. – Pomyśl tylko, jacy ludzie tam chodzą.

– Dla mnie – powiedział – najgorszym, ale to najgorszym kursem byłoby... zobaczmy... Proszę bardzo! Uwolnij Swoje Uczucia Poprzez Śpiew. Cały weekend. O Jezu!

– No to już wiem, co ci sprezentować na urodziny.

– Grace, chciałbym ci coś powiedzieć.

Zaalarmowana tą nagłą zmianą tematu, spojrzałam na niego.

– Co się stało?

– Gdyby jedno z nas zdradziło... Chryste, nie znoszę tego słowa – rzekł. – Możliwe, że jakoś byśmy to przetrzymali, ale już zawsze byłoby inaczej. Brakowałoby zaufania. Niewinności.

– Ja... – Oczywiście odpowiedzią byłoby zapytanie, co go skłoniło do wypowiedzenia tych słów. Ale nie mogłam tego zrobić. On mnie o nic nie oskarżył, to było ważne, a ja przecież niczego nie zrobiłam. – Okej, Damien. Wiem o tym.

– To dobrze... ponieważ strasznie bym nie chciał... Ponieważ cię kocham, wiesz?

Najczęściej bywało tak, że kiedy mówił, że mnie kocha, ja go pytałam, czy nie jest przypadkiem chory. Ale tym razem odparłam:

– Wiem. – Po czym, ogarnięta nagłą falą uczucia i wdzięczności, rzekłam: – Ja też cię kocham.

– Spokojnie – powiedział. – Nie chcemy tu odgrywać *Państwa Hart*.

Roześmieliśmy się, oboje nieco nerwowo.

Następnego dnia miałam kolejne spotkanie z Paddym. Był piękny słoneczny dzień i czekał na mnie przed budynkiem, patrząc, jak zajeżdżam na parking. Udało mi się za pierwszym razem, jeden płynny, pewny skręt i mój samochód znalazł się dokładnie pośrodku wyrysowanego kwadratu. Idealne parkowanie moim idealnym samochodem w ten idealny dzień.

– Nieźle – powiedział Paddy, nawet nie próbując ukryć podziwu.

– To wszystko dzięki samochodowi – zaśmiałam się. – Kochasz swój samochód? – zapytał.

– Kocham mój samochód.

W gabinecie usiadłam przy biurku, by zabrać się do pracy, kiedy Paddy zapytał:

– No więc co u ciebie i Damiena?

– To znaczy?

– Nadal zakochani?

– Tak.

– Nie myślisz, żeby z nim zerwać?

– Czemu miałabym to zrobić?

– Żeby być moją dziewczyną. Byłoby nam razem fantastycznie. Słuchaj.

– Napisał na kartce papieru ciąg liczb. – To numer mojej prywatnej komórki. Tej naprawdę prywatnej. Zna go tylko mój osobisty trener. Zastanów się nad tym, co powiedziałem. – Wzruszył ramionami. – Jeśli podejmiesz jakąś decyzję, zadzwoń do mnie. O dowolnej porze dnia i nocy.

Nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu. Ale miał tupet! Jednak ze wstydem musiałam przyznać, że mi to schlebia. Chyba że on tylko uprawiał jakieś gierki... ?

– Mówię poważnie – rzekł. – Wiem, że mi nie wierzysz, ale zamierzam ci to powtarzać, aż w końcu uwierzysz: jesteś jedyną kobietą, jaką znam, która by do mnie pasowała.

Niemal puściłam pawia. Z pragnienia i wstydu, wstydu i pragnienia.

Trzy dni później rozeszły się wieści, że Paddy się żeni i – przyznaję – poczułam się tak, jakby do mego ciała ktoś przyłożył paralizator. Nic mi nie był winien, niczego nie obiecał, ale przecież zachowywał się tak, jakby...

Szok był jeszcze większy, kiedy się dowiedziałam, że jego żoną ma zostać Leechy.

Powtarzałam sobie, że to moje ego. Właśnie tak. Urażone ego, ponieważ sądziłam, że jestem dla niego kimś wyjątkowym.

Zadzwoił do mnie.

– To prawda? – zapytałam.

– Grace...

– Prawda?

– Tak, ale...

Rozłączyłam się.

Zadzwoił raz jeszcze. Wyłączyłam telefon.

Wtedy dowiedziałam się o Loli. Podczas przeprowadzania wywiadu z Marcją Fitzgibbon, wysoko postawioną w świecie biznesu, do cyklu „Mój największy afront”, Marcja narzekała, że jej stylistka ćpa, knoci robotę na prawo i lewo i się upiera, że Paddy de Courcy to jej chłopak.

– Gdybyś tylko zobaczyła tę kobietę – powiedziała mi Marcja. – Przecież jej włosy są fioletowe!

Nietrudno było namierzyć Lolę. Nie potwierdziła, że spotykała się z Paddym, co – paradoksalnie – stanowiło dowód na to, że tak właśnie było.

Czując się jak coraz większa idiotka, zadzwoniłam do Palladian i powiedziałam, że wycofuję się z tego projektu. Nieźle się wkurzyli, ale nic mi nie mogli zrobić, ponieważ nie zdążyliśmy podpisać żadnej umowy.

Przez kolejne dwa lub trzy tygodnie Paddy nadal do mnie wydzwaniał, ale ja nie odbierałam. Aż pewnego dnia, sama nie wiem dlaczego, odebrałam.

– Po prostu mnie wysłuchaj – powiedział i choć nie miałam pojęcia, jak się wytłumaczy z tego wszystkiego, zwyciężyła, jak zawsze u mnie, ciekawość.

– Moje biuro? – zaproponował.

–Okej.

– Przyślę Hiszpana Johna.

– Przejdę się.

Asystentka Paddy'ego wprowadziła mnie do pustego gabinetu. On tam nawet na mnie nie czekał; w ogóle nie powinnam była przychodzić. Zapaliłam papierosa i postanowiłam policzyć do szesnastu. (Dlaczego akurat szesnastu? Nie mam pojęcia.) Jeśli się nie pojawi do tego czasu, wychodzę. Jeden, dwa...

I oto się zjawił. Stanowczym gestem zamknął za sobą drzwi.

– Moje gratulacje. – Wstałam. – Z okazji zbliżającego się ślubu.

– Posłuchaj, wiem. – Wyglądał żałośnie. – Ale to niczego nie musi zmieniać, Grace. Ja jej nawet nie kocham.

Choć pogardzałam Leechy, nie potrafiłam zrozumieć, jak można być tak bezdusznym.

– Jestem politykiem, Grace. Potrzebna mi odpowiednia żona. Przepraszam, że sam ci o tym nie powiedziałem. Byłem u jubilera oglądać pierścionki, sprzedawca ujawnił to mediom, a potem wszystko poszło jak lawina. Możemy kontynuować to, co zaczęliśmy. – Podszedł do mnie na tyle blisko, by zabrać mi papierosa i odłożyć go na popielniczkę. – Kiedy w końcu położysz kres moim katuszom? Tak bardzo cię pragnę. Prześpij się ze mną, Grace, prześpij się ze mną.

Położył dłonie na moich biodrach i lekko uginając nogi w kolanach, przycisnął swój stwardniały członek do mojej kości łonowej. Wymruczał mi do ucha:

– Tak właśnie na mnie działasz. Zawsze, przez cały czas. – Wyszeptał: – Pomyśl, jak by nam było razem w łóżku, Grace.

Jakbym ostatnio myślała o czymkolwiek innym. Czułam się jak zahipnotyzowana i nagle miałam już pewność, że prześpię się z Paddym.

Nadszedł ten moment, o którym fantazjowałam przez tyle lat. Ale dlaczego teraz? Teraz, kiedy on żenił się z inną? Dziwne, ale właśnie to było powodem. Ta szokująca nowina pokazała mi, jak bardzo go pragnę.

Podszedł jeszcze bliżej. Gorący oddech Paddy'ego znalazł się w moich ustach. Zamierzał mnie pocałować... *Ale Damien...* Moje ciało otwierało się w odpowiedzi na zamiary widniejące w oczach Paddy'ego. Niemal mdlejąc z powodu jego bliskości, zamknęłam oczy, a potem jego język znalazł się w moich ustach, a mój w jego i całowaliśmy się... *Co z Damienem... ?* Dłoń Paddy'ego znajdowała się na mojej piersi, palce szukały sutka, jego twarde ciało napierało na mnie... *Damien...* Kolana uginały się pode mną z pożądania – wtedy w mojej głowie pojawił się obraz Marnie, jej posiniaczonej i opuchniętej twarzy.

Otworzyłam oczy i oderwałam się od niego.

– Nie, Paddy. Nie zrobię tego.

To się stało bez ostrzeżenia. Cios otwartą dłonią w moją twarz. Jego siła sprawiła, że upadłam na podłogę. Poczulałam pod lewym okiem coś mokrego i przez jedną upokarzającą chwilę myślałam, że płaczę. Właściwie to mi ulżyło, kiedy przesunęłam dłonią po policzku i przekonałam się, że to krew.

– Pewnie nie będziesz potrzebować szwów – powiedział niemal przepaszająco.

– Skąd wiesz? – zapytałam stłumionym głosem. – Często to robisz?

Miało to zabrzmieć sarkastycznie, ale nagle uświadomiłam sobie, że właściwie tak jest, często to robił. Marnie może była pierwsza, ale od tamtego czasu musiały być inne. Wpatrywałam się w niego, po czym spuściłam wzrok, ponieważ uznałam, że tak będzie bezpieczniej.

– Jeśli komuś o tym powiesz – rzekł – to cię zabiję. Okej? Okej? – powtórzył, tym razem głośniejsze.

Ocierałam z twarzy krew, zdumiona jej ilością i czerwienią.

– Okej.

Uklęknął przy mnie; sądziłam, że ma mi zamiar pomóc wstać i szykowałam się, by go odepchnąć. Jedną ręką wziął z popielniczki mojego papierosa, a drugą zacisnął na moim nadgarstku.

Nasze spojrzenia skrzyżowały się i po krótkiej chwili niedowierzania wiedziałam już, co chce zrobić.

– Nie! – Desperacko próbowałam mu się wyrwać.

– Tak. – Przygwoździł mnie do podłogi, przyciskając kolaniem moje przedramię, po czym przyłożył żarzącą się czerwoną końcówkę do wnętrza mojej dłoni.

To było szybkie i straszne, o wiele, wiele gorsze niż to sobie mogłam wyobrazić. Ale bardziej przerażające od fizycznego bólu było to, że tym sposobem naznaczył mnie już na zawsze.

Nie bardzo pamiętam, jak opuściłam jego biuro. Na ulicy szłam chwiejnym krokiem przez tłum ludzi na Kildare Street, podświadomie kierując się w stronę parku Stephen's Green, gdzie nie będąc w stanie zrobić nic innego, opadłam na ławkę.

Cały świat zwolnił. Wszystkie moje myśli były takie powolne.

Uświadomiłam sobie, że jestem w stanie szoku.

Z policzka nadal leciała mi krew. Nie tak mocno jak na początku, ale jednak. Trzymałam przy ranie chusteczkę, chwilę później patrzyłam na nią i okazywało się, że jest czerwona i że rozpada się, po czym wyjmowałam nową. I tak raz za razem.

Jakie to dziwne, że miałam w torbie paczkę chusteczek, pomyślałam. Nie należę do osób, które je noszą na co dzień. Ale kiedy zajrzałam do torby, one tam były, jak... jak... mali pomocnicy...

Dłoń pulsowała mi z bólu, szokującego, groźnego bólu, tak intensywnego, że o mało nie zwymiotowałam.

A potem przez ból przebiła się moja wściekłość, przywracając mi siłę. Pieprzony Paddy de Courcy. Niedobrze mi było na myśl o tym, co mi zrobił. To było niewiarygodnie upokarzające. Wykorzystał to, że jest ode mnie silniejszy.

Ale teraz był udupiony. Kiedy tylko trochę odsapnę, wezwę taksówkę i każe się zawieźć na najbliższy posterunek policji – na Pearse Street – a potem każe go aresztować za napaść. Pożałuje, że ze mną zadarł. Nie byłam jakąś tam głupią dziewczyną, która tak za nim szalała, że będzie trzymać buzię na kłódkę.

Nigdy o tobie nie zapomniałem, zawsze wiedziałem, gdzie pracujesz, zawsze czytałem twoje artykuły. Teraz byłam pewna, że wszystko to, co mi powiedział, kiedy zaczęliśmy pracę nad książką, było prawdą. Ale nie pochlebiało mi to teraz, uważałam, że były to złowieszcze słowa.

Może nie zależało mu na mnie, kiedy byłam nastolatką, ale miałam pewność, że kiedy jedenaście lat temu nie poszłam z nim do domu, zostawiło to w nim zadrę. Paddy de Courcy zapewne nieczęsto spotykał się z odmową. Od tamtego czasu niewątpliwie uważał mnie za niedokończoną sprawę. Nie priorytetową – nie byłam aż tak ważna – ale odłożoną na później, urazę, za którą trzeba się będzie odegrać, jeśli nadarzy się taka okazja...

Do policzka przyłożyłam ostatnią chusteczkę. Nie mogłam tu dłużej zostać. Musiałam wstać i udać się na Pearse Street.

Wstałam i w tym momencie dotarło do mnie, że nie mogę donieść na Paddy'ego. Wszystkie groźby, jakie pojawiły się w mojej głowie, były jedynie brawurą, ponieważ wiedziałam, jak dokładnie brzmiałaby rozmowa z posterunkowym.

– *Dlaczego pan de Courcy panią zaatakował?*

– *Ponieważ był na mnie zły.*

– *A dlaczego był na panią zły?*

– *Ponieważ nie chciałam pójść z nim do łóżka.*

– *A czy dała pani panu de Courcy jakiś powód, aby mógł sądzić, że może pani z nim pójść do łóżka?*

– *Prawdopodobnie. Tak.*

Nie mogłam tego zrobić. Nie dlatego, że uważałam, iż Paddy miał rację – w żadnym razie – ale dlatego, że wtedy Damien by się o tym dowiedział. Straciłabym go. I dlatego byłam udupiona. Musiałam sama się z tym uporać. I musiałam trzymać buzię na kłódkę.

Ponownie usiadłam, czując, jakby mnie miała rozerwać bezradność, frustracja i wściekłość. Zakryłam lewą dłońią – tą, której nie przypalił – usta i zaczęłam krzyczeć. Krzyczałam, aż z moich oczu popłynęły łzy i w głowie zaczęło mi się przejaśniać i już wiedziałam, co muszę zrobić.

Musiałam wrócić do pracy.

Żadnych doniosłych gestów. Żadnego wzywania taksówki. Żadnego oświadczenia na posterunku, że chciałabym złożyć doniesienie o popełnieniu przestępstwa.

Musiałam jedynie opatrzyć ranę, zachowywać się normalnie i wrócić do pracy.

Ale jak ja wytłumaczę swoją twarz? Rękę?

Co ja powiem ludziom? Co powiem Damienowi?

Próbowałam wymyślić coś wiarygodnego. Ktoś na mnie wpadł? Ktoś biegł i zderzył się ze mną, i mnie przewrócił? Ale wtedy upadłabym na plecy, no nie? I uderzyłabym się w tył głowy? A nie w policzek?

Okej, a może ktoś wpadł na mnie od tyłu? Tak. Lepiej. Wtedy upadłabym na twarz.

Ale jak by to wyjaśniało przypalenie dłoni?

Myślałam i myślałam i w końcu wymyśliłam coś takiego: potknęłam się na obluzowanej płytce chodnikowej, przewróciłam się na twarz, upuściłam papierosa i moja ręka wylądowała na nim?

Gówniana historia, ale będzie musiała wystarczyć.

Wypróbowałam ją na mamusiowatej kobiecie pracującej w aptece na Dawson Street.

– Te chodniki wołają o pomstę do nieba – rzekła. – Paskudnie musiała pani upaść. Możliwe, że ta rana wymagać będzie szycia. Powinna pani iść na pogotowie.

Nie. Nie było aż tak źle. Nie pozwolę na to.

– Mogłaby mi to pani zakleić po prostu plastrem? – zapytałam. – Coś antyseptycznego, a na to plaster? Żeby przestała lecieć krew.

– Jak pani chce. Mówię to tylko dlatego, że taka śliczna dziewczyna nie powinna mieć blizny na policzku.

Wytarła mi policzek wacikiem ze środkiem antyseptycznym.

– Jest pani dzielna – powiedziała. – Sądziłam, że to zapiece.

Zapieкло, ale nie chciałam tego po sobie pokazać, ponieważ – tak, wiem, że to głupie – czułam, że wtedy Paddy wygrałby jeszcze jedną rundę.

W pracy TC, Jacinta i pozostali nie współczuli mi jakoś szczególnie – uznali to za takie zabawne – ale niefrasobliwie łyknęli historyjkę o obluzowanej płycie chodnikowej. Kiedy więc wieczorem zobaczyłam się z Damienem, moja opowieść była gładka, przećwiczona i najwyraźniej przekonująca, ponieważ bardzo się przejął. Ugotował kolację, poszedł do wypożyczalni po film, otworzył butelkę wina i po dwóch kieliszkach zakręciło mi się w głowie z niespodziewanej radości.

Między mną a Damienem wszystko było dobrze.

Nasz związek został uratowany.

Byłam taka głupia. Tak idiotycznie i niesamowicie ryzykowałam, ale już było po wszystkim, to minęło, a Damien i ja byliśmy bezpieczni.

Nie będę myśleć o tym, co zrobił mi Paddy. Nie pozwolę sobie nawet na gniew. Będę po prostu wdzięczna za to, że nadal mam Damiena.

Zadzwonił budzik i obudziłam się, przypominając sobie od razu o porażce, jaką okazał się wczorajszy wieczór, o konfrontacji z Paddym, wściekłości Marnie, pytaniach Damiena...

Czułam, jakby ktoś pobił mnie całą, włącznie z podeszwami stóp. To skutki adrenaliny buzującej we mnie przez kilka ostatnich dni. Wyciągnęłam rękę. Po drugiej stronie łóżka było pusto. Nie było ono nawet ciepłe. Damien musiał już dawno przestawić budzik i wyjść.

Czułam, jakby to był omen.

W chłodnym świetle dnia miałam straszliwą pewność, że Damien się dowie o mnie i o Paddym. Wiedziałam o tym i wczoraj wieczorem, ale dzisiaj wydawało się to gorsze i prawdziwsze.

Marnie była taka zła, że najpewniej powie Damienowi.

Chryste, może już to zrobiła? Może zadzwoniła do niego do pracy? Może on już wiedział? Na tę myśl serce niemal wyskoczyło mi z piersi.

A jeśli Marnie nic nie powiedziała, zrobi to de Courcy. A może już to zrobił? Po tym, co się wczoraj wydarzyło, na pewno jeszcze o nim usłyszymy. Znajdzie jakiś sposób na to, by mnie zranić – ukarać – a najłatwiej było odebrać mi osobę, na której najbardziej mi zależało.

W mojej głowie niczym horror rozegrał się cały przerażający scenariusz – ból Damiena, jego żal, jego gorycz wywołana moją zdradą. Nie będzie mi w stanie wybaczyć, byłam tego pewna. Ze strachu nie mogłam złapać tchu. To się nie mogło wydarzyć. Ale nie znałam sposobu, by do tego nie dopuścić.

Jednego byłam pewna – nie mogłam pozwolić, by Damien dowiedział się o tym od kogoś innego. Sama musiałam mu to powiedzieć.

Może dziś wieczorem?

Ale, o mój Boże, na samą myśl o tym...

Znalazłam się w koszmarnej pułapce. I było to wyłącznie moją winą.

To ja do tego doprowadziłam, prawda? Pomijając tę całą szopkę z Paddym, nie musiałam się angażować, kiedy Damien powiedział mi o „Press” i ich artykule na temat Dee, prawda? Nie musiałam mianować się nieoficjalnym detektywem Dee. Nie musiałam wściubiać nosa w sekretne układy w świecie prasy. Nie musiałam zaganiać do mieszkania Paddy'ego jego byłych dziewczyn.

Ale to zrobiłam.

Lubiłam Dee, podziwiałam ją i wściekała mnie każda niesprawiedliwość. Ale teraz, kiedy przyszło co do czego, zastanawiałam się, kim była dla mnie Dee?

Ogniwem łączącym mnie z Paddym, oto, czym była. Prawdopodobnie powodem, dla którego przed kilkoma miesiącami poprosiłam o przeprowadzenie z nią wywiadu; dla którego tak się ucieszyłam, kiedy zaprosiła mnie i Damiena na makaron. I z całą pewnością powodem, dla którego wplątałam się w te polityczne machlojki.

Ale co u licha było ze mną nie tak? Miałam czelność irytować się na biedną Marnie i jej długotrwałe przywiązanie do Paddy'ego, ale czy sama byłam lepsza? Wiedziałam, do czego jest zdolny, a mimo to uznałam, że sobie z nim poradzę. A teraz – cóż za niespodzianka – moje życie rozpadało się na kawałki.

Wczoraj wieczorem Dee próbowała cytować *Sztukę wojny*.

– Możemy się uczyć na błędach – oświadczyła.

Ale ja w to nie wierzyłam. Wolałam w ogóle nie popełniać błędów. A jeśli już je popełniłam, wolałam je kryć i udawać, że nie miały miejsca.

Boże, tak bardzo się pomyliłam w kwestii Leechy; byłam pewna, że będzie mieć na dłoni bliznę po papierosie. Ponieważ to ona nakłoniła Christophera Hollanda do sprzedania historii o Dee, błędnie sądziłam, że jest po prostu jeszcze jednym pacholkiem Paddy'ego. Tak jak Sheridan i Hiszpan John.

Ale może Paddy traktował Leechy jak równą sobie, może razem wpadli na ten pomysł. Może Paddy znalazł tę jedną kobietę, nad którą nie musi się zniecać. Może rzeczywiście ją kochał.

Byłam prawie godzinę spóźniona do pracy i zastanawiałam się, jak wytłumaczę się Jacincie. Gdy weszłam do redakcji i udałam się w stronę swego biurka, ją pochłaniała jakaś sprzeczka z TC.

To dobrze. Może mogłabym się wślizgnąć i udawać, że siedziałam tu cały czas...

– Nie mogę tego zrobić – mówił właśnie TC wysokim, spanikowanym głosem.

– Musisz. – Głos Jacinty był stalowy i spokojny. TC zobaczył mnie i jego twarz rozbliły nadzieją.

– Grace!

No i mnie zdemaskował. Wyskoczył zza Jacinty. – Zrobisz to, Grace? Proszę, Grace.

– Co zrobię?

– Przeprowadzisz wywiad z Zarą Kaletsky? Straciłem odwagę. Za bardzo ją kocham.

– Ja... – Chryste, czy mogło być jeszcze gorzej?

– TC, błagałeś mnie o ten wywiad – powiedziała Jacinta jednocześnie z rozbawieniem i pogardą. – Więc idź i to zrób.

– Proszę, Grace? – TC wcisnął mi w rękę swój śliczny, czerwony segregator. – Wykonam za ciebie twoją pracę. Zostanę po godzinach. Będę uprawiał seks z Damienem. Zrobię wszystko, co zechcesz.

– Gdzie się u licha podziewałaś? – zapytała mnie ostro Jacinta. Po czym wrzasnęła na TC: – Dlaczego Grace miałyby to robić? – Była w swoim żywiole, mogąc krzyknąć na dwoje ludzi jednocześnie. Podejrzewałam, że odczuwała równie dużą przyjemność, jaką musiał zapewniać masaż na cztery ręce. (Co nie znaczy, bym osobiście miała się o tym okazję przekonać.) – Na litość boską, TC – jej głos ociekał pogardą – bądź mężczyzną.

To właśnie stwierdzenie – niepotrzebne dyskredytowanie – sprawiło, że zmieniłam zdanie. Była z niej taka despotka, a w tej akurat chwili miałam po dziurki w nosie despotów.

– Który hotel? – zapytałam TC.

– The Shelbourne.

Mieli tam smaczne ciastka. Nie jadłam śniadania. Przyda mi się trochę cukru.

– Zrobię to. – Zgarnęłam śliczny czerwony segregator i ruszyłam w stronę drzwi.

–To ja decyduję, kto tu co robi! – Słyszałam, jak woła za mną Jacinta, ale zdążyłam już zniknąć za drzwiami.

Ponury hotelowy korytarz; ściany podpierane przez niezadowolonych dziennikarzy; tradycyjnie nieprzewidywalny proces selekcji – czyli to co zwykle. Usiadłam na plastikowym krześle i przygotowałam się na czekanie. Nikt się nie odzywał. Sekundy zdawały się być godzinami. Zamiast tlenu krążyła desperacja. Pomyślałam, że tak mogłaby wyglądać poczekalnia w piekle.

TC zgromadził tyle materiałów, że mogły rywalizować z *Wojną i pokojem*, ale wszystko wydawało się takie bezsensowne i głupie, że przeleciałam wzrokiem tylko po tym, co było najistotniejsze w odniesieniu do Zary Kaletsky. Jej życie było tak szampowe, że niemalże śmieszne. Była modelką, która przerzuciła się na aktorstwo. Kilka lat temu przeprowadziła się do LA i wypadła z obiegu, a irlandzka prasa prędzej już zrobiłaby wywiad z cynkowym wiadrem niż z nią. Ale potem otrzymała rolę w filmie Spielberga i nagle wszyscy w Irlandii domagali się jej.

Koszmar ubiegłego wieczora – nieposkromiona pycha, upadek, gniew Marnie, łatwe zwycięstwo Paddy'ego – napełnił mnie poczuciem, że życie na

ziemi to jedna wielka beznadzieja, że dobro zawsze zostaje zwyciężone przez zło, że ci u władzy nigdy się jej nie zrzekną, a zwykły człowiek nigdy nie wygra. Wręcz niemoralne wydawało się sławienie kobiety, która szokująco dużo zarabiała na udawaniu innych ludzi.

– Grace Gildee? „Spokesman”?

Wstałam. Czekałam tylko dwie godziny i siedemnaście minut. To chyba mój rekord.

– Trzydzieści minut – syknęła kobieta z podkładką z klipsem, gdy mijałam ją przy wejściu do sanktuarium. – Ani sekundy dłużej.

– Super – syknęłam w odpowiedzi.

Zara była alabastrowo blada, miała krótkie lśniące włosy i oczy tak ciemne i smętne, że niemal czarne. Wstała i uśmiechnęła się. Miała metr osiemdziesiąt wzrostu i była chuda jak patyk.

Machnęłam ręką, żeby siadła.

– Nie wstawaj, nie trzeba. – Otworzyłam notes i postawiłam dyktafon na stole.

– Nie dosłyszałam twojego imienia – powiedziała.

– Och? Grace. Ale to nie ma znaczenia. Nigdy więcej się nie spotkamy. I nie musisz kończyć każdego zdania moim imieniem, by mnie przekonać o swojej szczerości. Już jestem przekonana!

Wyglądała na nieco zaniepokojoną.

– No więc nie siedzi z nami żaden rzecznik prasowy i nie nadzoruje każdego słowa? – zapytałam.

– Nie. Pomyślałam, że to wszystkich krepuje.

– Super. Okej, Zara, wyświadczy sobie nawzajem przysługę. Ty z pewnością masz dość udzielania wywiadów, a ja też nie jestem dzisiaj w nastroju. Zrobimy to szybko. Alergia na pszenicę?

– ... Słucham?

– Alergia na pszenicę? – powtórzyłam, tym razem głośniej. – Tak czy nie?

– ... Nie.

– Naprawdę? W takim razie nietolerancja laktozy, tak? – Zapisałam coś w notesie. – Nie? Na pewno? Okej. Nie obraż się, ale możliwe, że powinnaś się upewnić. Joga? Uratowała ci życie?

– Właściwie to medytacja.

– Na jedno wychodzi – mruknęłam. Przeleciałam wzrokiem po notatkach TC. – Środkowe dziecko. Niech zgadnę. Rodzice bardziej zainteresowani twoim rodzeństwem, bla, zaczęłaś śpiewać i tańczyć, bla, żeby zwrócić na siebie ich uwagę? Tak? Tak? Grzeczna dziewczynka. Zobaczmy, co tu mam. Metr osiemdziesiąt wzrostu w wieku dwunastu lat, brzydkie kaczątko, bla, łabędź, królowa piękności, Miss Donegal, i tak dalej bla. Anoreksja?

– ... Uhm.

– Krótki okres anoreksji? – zapytałam. – Gdy byłaś nastolatką? Tak? – Kiwałam głową razem z nią. – Ale teraz jest super, masz wielki apetyt, strasznie dużo jesz, masz po prostu świetną przemianę materii. – Przeskoczyłam spojrzeniem niżej.

– Lalala, sprawdźmy, co tu mamy, irlandzka telenowela. Wielki sukces. Mmmmmmm, w Irlandii osiągnęłaś wszystko, co było do osiągnięcia, tak? Tak? Tak. Dobrze. Pojechałaś do LA, mając nadzieję się wybić? Na początku

było ciężko, ale w końcu ci się poszczęściło, kiedy w czymś tam zobaczył cię Spielberg.

Powiedzcie mi, dlaczego ci ludzie w ogóle zawracają sobie głowę posiadaniem życia? Skoro żaden z nich nie jest zdolny do choćby jednego oryginalnego czynu? Skoro wszystko zostało już tyle razy napisane na stronach „Hello!”?

– Nie, chwileczkę, ups, prawie to ominęłam. Najpierw pojechałaś do Afryki Południowej, potem do LA. Dlaczego pojechałaś do Afryki? Od kiedy mają tam przemysł filmowy?

– Miałam ochotę zmienić otoczenie – odparła z napięciem.

– Super – powiedziałam pogodnie. – Nie mów mi, nie obchodzi mnie to. Cokolwiek by to było, bankructwo, operacja plastyczna, twoja tajemnica jest u mnie bezpieczna. No więc o czym jeszcze możemy porozmawiać? Mężczyźni? Niech zgadnę. Nikogo wyjątkowego, na razie dobrze się bawisz, ale masz nadzieję się ustatkować, kiedy osiągniesz starczy wiek trzydziestu lat. Tak?

– Mam już trzydzieści trzy lata.

Naprawdę? Świetnie się trzymała. To pewnie dzięki tej truciźnie, jaką wstrzykiwała sobie w czoło.

– Chciałabyś mieć dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Teraz mieszkasz w LA, ale Irlandia zawsze będzie twoją ojczyzną? Tak? Tak. Doskonale! No to mamy z głowy!

Wstałam i wyciągnęłam rękę.

– Miło mi było, panno Kaletsky.

Nie chciała mi uścisnąć ręki. Zadzierająca nosa diwa.

– Śmiało – powiedziałam zachęcająco. – Bez urazy. I ponownie wyciągnęłam rękę.

Patrzyła na nią, ale jej nie ujęła, starając się mnie zawstydzić. Opuściłam ją. – Jak sobie chcesz – powiedziałam. – Miłe spotkanie...

– Skąd masz ten ślad?

– ... Jaki ślad?

Wtedy dopiero dotarło do mnie, że ona wcale nie odmawiała uścisku dłoni, ale że coś przykuło jej uwagę. Obiema rękami ujęła moją prawą dłoń i rozprostowała palce.

– Ten ślad – rzekła.

Obie popatrzyłyśmy na okrągłą różową bliznę we wnętrzu mojej dłoni. – Ja... Wtedy spojrzałyśmy na siebie. Coś między nami przeskoczyło, informacja, której nie trzeba było nawet wypowiadać na głos. Poczułam mrowienie w koniuszkach palców.

Jednym ruchem rozczapierzyła palce swej prawej dłoni, pokazując bliznę, jakby to był dowód tożsamości. Zaniemówiłam. Dosłownie oniemiałam.

– Zobaczmy. – Zara przyjrzała mi się uważnie. – Zawsze uważałaś się za podżegaczkę. Tak? Byłaś redaktorem naczelnym szkolnej gazetki. Napisałaś kilka mało znaczących petycji. Nic szczególnie kontrowersyjnego. Postanowiłaś nie iść na studia, lecz uczyć się na uniwersytecie życia. Tak? Zajmowałaś się twardym dziennikarstwem, aż przekonałaś się, że nie masz do tego zdrowia. W jakimś momencie napotkałaś na swojej drodze Paddy'ego de Courcy, uznałaś, że będziesz tą dziewczyną, która go zmieni, ale skończyło się siniakami na twarzy i oparzeniem dłoni. Tak?

Otworzyłam usta. Zdania tańczyły w mojej głowie, ale żadne z nich nie wydostało się na zewnątrz. W końcu powiedziałam:

– To on jest powodem, dla którego wyjechałaś z Irlandii?

– Popeliłam błąd i poszłam na policję. Był tak wściekły, że myślałam, iż mnie zabije.

Poszła na policję?

– No i co, został postawiony w stan oskarżenia? – Jak udało mu się utrzymać to w tajemnicy przed prasą?

– No coś ty. – Przewróciła oczami. – Ci dwaj grubi idioci pojawili się w tych swoich żółtych kurtkach i kiedy uznali, że to „tylko” rodzinna awantura, kazali nam się pocałować na zgodę, po czym udali się do budki z fast foodem, by kupić sobie frytki i hamburgery. Mogłam jedynie złożyć wniosek o wydanie zakazu zbliżania się do mnie, ale to by zajęło dwanaście tygodni. Do tego czasu już dawno mnie tu nie było.

– Dlaczego Afryka Południowa?

– Uznałam, że tam będę najdalej od niego.

Dlaczego nie pomyślałam o Zarze? Nie wiedziałam. Być może założyłam, że Paddy nie będzie bił sławnych kobiet, tych, których ktoś mógłby wysłuchać.

Zaczęło we mnie wzbierać podekscytowanie. W mojej głowie powoli kiełkował pewien pomysł...

– Nie jesteśmy tylko my, ty i ja – powiedziała Zara.

– Wiem.

– Jest jeszcze Selma Teeley.

– Ta himalaistka?

– Zakończyła karierę. Złamał jej kość w dłoni, która się nigdy dobrze nie zrosła.

– Co takiego? Naprawdę?

– Zadzwoiła do mnie, kiedy zaczęłam się z nim spotykać, próbując mnie ostrzec. Nim odkryłam, że nie była szaloną, prześladowaną mnie była dziewczyną, on zmusił mnie do rezygnacji z pigułek, zaszłam w ciążę, kazał mi ją usunąć, po czym tego samego dnia mnie zgwałcił. – Zamilkła, po czym dodała: – Między innymi, oczywiście. Ale to akurat było najbardziej spektakularne.

– Chryste – szepnęłam.

– A ty poszłaś na policję? – zapytała Zara.

Ze wstydem pokręciłam głową.

– Zresztą i tak by ci nie uwierzono. – Zara uniosła oczy do nieba. – Nie jest to łatwe, kiedy spuści ci manto jakiś koleś, ale jeśli pobije cię rozkoszny Paddy de Courcy, marzenie gospodyń domowych, nie ma nadziei, że ktoś ci uwierzy. Nie wiem, dlaczego w ogóle zawracałam sobie tym głowę. Kto uwierzyłby mnie, a nie Paddy'emu? Mnie, byłej modelce występującej w kiepskiej telenoweli?

– Ale teraz nie jesteś już była modelką występującą w kiepskiej telenoweli – powiedziałam. – Teraz jesteś hollywoodzką gwiazdą.

– Boże, taa, kiedy tak to ujmujesz, to chyba tak jest.

– Jesteś teraz silna, Zaro. Znacznie silniejsza od niego.

– Boże, taa, kiedy tak to ujmujesz, to chyba tak jest.

MARNIE

Leżała na łóżku w swym dawnym pokoju, puszczając płytę Leonarda Cohena, której słuchała, kiedy miała piętnaście lat. Oryginalny winyl.

Niektórzy pewnie by się tym ekscytowali – idiotyczni chłopcy w czarnych T-shirtach.

Ktoś znajdował się przy drzwiach wejściowych – jej pokój mieścił się dokładnie nad nimi, więc wszystko słyszała.

– Grace! – zawołała mama. – Co za niespodzianka. I to w środku dnia!

Grace. Marnie spodziewała się jej pojedynczej wizyty. Właściwie to zaczynała się nawet zastanawiać, dlaczego tak długo to trwa.

– Gdzie Marnie? – W głosie Grace słychać było napięcie.

– Na górze, w swoim dawnym pokoju. Słucha tej przeklętej płyty Cohena. Powinnam była połamać ją w dniu, gdy wyprowadziła się z domu.

Chwilę później rozległo się ciche pukanie do drzwi i Grace zawołała:

– Marnie, mogę wejść?

Marnie zastanawiała się, czy nie odmówić; mogła po prostu odesłać Grace, w ogóle z nią nie rozmawiając. Ale spędziła bezsenność, zdana na łaskę swojej wyobraźni: obrazy w jej głowie były koszmarne. Co dokładnie zaszło pomiędzy Grace a Paddym? Musiała się dowiedzieć.

– Drzwi są otwarte – powiedziała.

Grace wślizgnęła się do pokoju. Wyglądała na zmieszana, ale było w niej coś, co próbowała powściągnąć: energia, podekscytowanie.

– Marnie, musimy porozmawiać. Ja... Mam ci dużo do wyjaśnienia. I zrobię to. Ale coś się wydarzyło i to nie może czekać.

– Mam to gdzieś – oświadczyła Marnie. – Cokolwiek by się działo, będzie musiało poczekać. Chcę się dowiedzieć wszystkiego o tobie i Paddym. Teraz. I – dodała z wrogością w głosie – nie przedstawiaj mi wersji okrojonej, by nie ranić moich uczuć, żebym przypadkiem nie piła.

Grace wzdrygnęła się, po czym zapytała:

– Jesteś trzeźwa? Nie ma sensu, bym ci to wszystko opowiadała, jeśli potem nie będziesz nic pamiętać.

– Jestem. Trzeźwa. – Marnie wyrzuciła z siebie te słowa z lodowatą godnością.

Wpatrywała się gniewnie w Grace, mając nadzieję, że na jej twarzy widać rozgoryczenie, które czuła.

– Jak to możliwe, że nic nie piłaś? – zapytała Grace.

Prawda była taka, że sama Marnie nie miała pojęcia, dlaczego się nie upiła. Odrzucenie, jakiego doświadczyła wczorajszego wieczoru, upokorzenie, nienawiść do samej siebie, uczucie, że jest idiotką i że zawsze nią była – to były uczucia, jakie zazwyczaj wymazywała z pamięci alkoholem. Dodać do tego gniew – gniew na Grace i Paddy'ego – i zalanie się w pestkę można uznać za pewnik. Zamiast tego siedziała w kuchni, rozmawiała z mamą, piła kakao i jadła makowiec, narzekając na to, że ziarenka maku lubią zostawać w szparach między zębami.

– Być może wczoraj wieczorem trochę dorosłam – powiedziała zjadliwie Marnie. – Być może odarto mnie z moich młodzieńczych ideałów na temat ludzi... – *A może po prostu nie mogłam znieść wina pokrzywowego taty.* – No więc, Grace, opowiedz mi o swoim wielkim romansie z Paddym. I pamiętaj, wyczuję, jeśli będziesz kłamać.

– Okej. – Grace usiadła ciężko, otworzyła usta i opowiedziała całą historię, zaczynając od swego pierwszego wieczoru w Boatmanie. Czasami milkła na chwilę, ostrożnie dobierając słowa, ale kiedy wreszcie skończyła, Marnie wiedziała, że siostra niczego przed nią nie ukryła.

Grace była blada jak ściana.

– Strasznie mi wstyd, Marnie. Od pierwszego dnia pragnęłam cię chronić, a to właśnie ja sprawiam ci tak wiele bólu...

– Przestań, Grace, przestań. Wystarczy na razie. – To jeszcze nie był koniec, ale Marnie nie była w stanie znieść więcej.

– Mogę ci więc powiedzieć, co się stało?

Marnie kiwnęła głową. Oczy miała zamknięte.

– Są jeszcze dwie inne kobiety Paddy'ego, a może ich być jeszcze więcej.

Dziś wieczorem wracamy.

– Do Paddy'ego?

– Tak. Pójdiesz z nami?

Pójdzie?

Dlaczego miałyby pomóc Grace? Dlaczego miałyby wrócić tam, gdzie tak bardzo ją upokorzono? Ale prawda była taka, że Marnie ucieszyła ta szansa. Dlaczego? Czy tak lubiła być karana? Ale wczoraj wieczorem było zbyt wiele zamieszania i krzyków. Teraz miała okazję, by zrobić to jeszcze raz, ale lepiej.

– Wszystkie składamy pod przysięgą pisemne oświadczenia – kontynuowała Grace. – Pod przysięgą opisujemy szczegółowo, co on nam zrobił. Dee załatwiła nam prawnika. Wchodzisz w to?

Marnie kiwnęła głową.

– Zajmę się tym. Mogę ci opowiedzieć, jak planujemy to dzisiaj rozegrać?

– Nie. – Pragnęła, by Grace sobie poszła. Była wyczerpana.

Po wyjściu Grace do pokoju Marnie weszła mama. Usiadła na łóżku.

– Wyłącz te pieśni żałobne – poprosiła delikatnie. – Przez niego to nawet Klaun Coco miałby myśli samobójcze.

– Dobrze. – Marnie uniosła igłę i Leonard Cohen zamilkł w pół słowa.

– Tak lepiej – stwierdziła mama. – Chcesz mi powiedzieć, co się dzieje?

Marnie przytłaczał ogrom tej całej sytuacji. Odparła bezradnie:

– Paddy de Courcy...

– Co Paddy de Courcy?

– To... ja... Grace... To naprawdę skomplikowane.

– Był kiedyś twoim chłopakiem. Dawno temu. Teraz jesteś mężatką, masz dwoje dzieci.

– Tak, ale...

– „Jeśli ktoś postrzega wokół siebie jedynie olbrzymy, oznacza to, że wciąż patrzy na świat oczami dziecka” – powiedziała mama. – Anais Nin.

Marnie kiwnęła głową.

– „Rzeczy się nie zmieniają, zmieniamy się my”. Thoreau.

– Celna uwaga.

– „Jeśli na początku coś ci się nie uda, należysz do większości” – powiedziała mama. – M. H. Alderson.

Marnie przestała patrzeć na mamę.

– „Nigdy nie hoduj mostku w miejscu, gdzie powinien być kręgosłup”.
Clementine Paddleford.

Marnie wpatrywała się w swoje kolana.

– „Kiedy życie podsuwa ci cytrynę...”

– Dziękuję, mamó, wystarczy! – oświadczyła Marnie.

To było niczym powtórka ubiegłego wieczoru, tyle że tym razem pojechały dwoma samochodami. Marnie czekała w jednym z Zarą i Selmą. W drugim siedziały Grace, Dee i Lola.

Była za dziesięć jedenasta. Paddy i Alicia mieli się wkrótce zjawić.

Selma przyjrzała się Marnie i Zarze i roześmiała się.

– Paddy z całą pewnością nie gustuje w jednym typie kobiet.

To prawda. Marnie zafascynowały jej dwie towarzyszki. Zara miała prześliczną twarz i była tak chuda, jak normalna osoba, którą rozciągnięto jak gumę. Selma z kolei była niska, szczupła i koścista, miała jasne, kręcone włosy i żylaste ciało sportswomenki. Łydki miała zdecydowanie zbyt umięśnione do szpilek, które założyła.

Nawet osobowości miały krańcowo odmienne: Zara była powolna i sarkastyczna, Selma zaś pewna siebie i wyszczekana.

Gdy czekały w samochodzie na powrót Paddy'ego i Alicii, opowiedziały sobie nawzajem swoje historie.

Zara była jego dziewczyną przez dwa i pół roku. Selma spędziła z nim aż pięć lat – a przez trzy razem mieszkali. Zara zaszła w ciążę i została przez niego zgwałcona. Sportowa kariera Selmy – po tym, jak złamał jej w dłoni kość, która nigdy się dobrze nie zrosła – musiała się przez niego zakończyć.

– To straszne, Selma – powiedziała bez tchu Marnie. – Dlaczego nie poszłaś na policję? – Słowa te wydostały się z jej ust, nim zdążyła się zastanowić, co czyni.

Selma spojrzała na nią twardo.

– Dlaczego ty nie poszłaś na policję?

– Przepraszam, ja... – To było niedorzeczne pytanie, zważywszy na to, co sama Marnie przeszła z Paddym. Ale kiedy się słyszało, że ktoś kogoś skrzywdził, automatyczną reakcją była sugestia, by zgłosić to na policję.

– Ponieważ go kochałaś, tak? – naciskała Selma. – Nie chciałaś, żeby miał kłopoty?

– Selma, przepraszam, ja tylko pomyślałam... – Boże, ta kobieta była przerażająca.

– Cóż, ja też go kochałam – odparła Selma. – Czy też tak mi się wtedy wydawało, ale nie będziemy się w to teraz zagłębiać. W każdym razie ja byłam na policji. Cztery razy.

– Mój Boże! – odezwała się Zara. – Dziwię się, że jeszcze żyjesz. No więc jak mu się udało wykręcić z tych zarzutów?

– Wiecie, jaki on jest – powiedziała pogardliwie Selma. – Zawsze mnie od tego odwiódł, przysięgał na pamięć swej matki, że już mnie nigdy nie dotknie, zrzucał winę na stresującą pracę. A ja, jak jakiś tępak, kupowałam to za każdym razem. Ciągle myślałam, że będzie inaczej. Niekończąca się nadzieja. – Zaśmiała się gorzko, po czym dodała: – Potem nadzieja się skończyła. A kiedy mnie rzucił, wtedy pewnie i mogłam iść na policję, nic mnie nie powstrzymało, ale cóż... ujmę to tak, że nie byłam sobą.

– Totalny brak pewności siebie? – zapytała ze współczuciem Zara. Marnie słuchała zelektryzowana.

– Byłam cholernym wrakiem – odparła Selma. – Minał cały rok, nim byłam w stanie jeść groszek.

– Groszek? – zapytała Marnie. – Dlaczego groszek?

– Bo tak bardzo trzęsły mi się ręce, że nie udawało mi się utrzymać go na widelcu.

– Jak to możliwe, że w gazetach nigdy nie było na ten temat żadnej wzmianki? – zapytała Marnie.

– Dopóki rzeczywiście nie wniesie się zarzutów, nie ma o czym pisać.

– No ale coś w rodzaju „Z powodu zakłócania porządku do domu Paddy'ego de Courcy wezwano policję”?

Zara i Selma zmarszczyły brwi i popatrzyły na Marnie ze współczuciem.

– Bezpodstawne insynuacje? – Zara uniosła cienkie czarne brwi.

– Oszalałaś? – wtrąciła Selma. – W trymiga załatwiłby nakaz sądowy.

– A poza tym ma prasę w kieszeni – powiedziała Zara.

– Świetne relacje z redaktorami naczelnymi i dziennikarzami. Uwielbiają go.

– Mieszkam w Londynie! – Marnie czuła, że musi się jakoś bronić. – Skąd mogłam wiedzieć? – Wstrzymała oddech.

– O mój Boże. Jego samochód.

Cała trójka opuściła się na siedzeniach, mimo że zaparkowały na tyle daleko, by ich nie zobaczył.

Selma nie mogła się powstrzymać, by nie wystawić głowy.

– Patrzcie go, skurwysyn – szepnęła z błyszczącymi oczami.

Postanowiły, że tym razem odczekają trzy minuty; Dee uznała, że wczorajsze jedenaście minut to zbyt długo.

– Wchodźcie szybko i stanowczo – poleciała. – Najlepiej by było, gdyby nie zdążył się nawet wysikać. Nie pozwólcie mu na to, by się odprężył.

Gdy wyszły z samochodów i połączyły swe siły, Marnie patrzyła, jak Selma podchodzi do Grace i pyta: – Po wczorajszej zadymie czy on w ogóle cię wpuści?

– Taa. – Grace westchnęła. – On się nas wcale nie boi. Dee odprowadziła je do drzwi na klatkę schodową i powtórzyła akcję z domofonem.

– *Courage, mes braves* – zawołała za nimi, gdy wchodziły po schodach. – Duchem będę z wami.

Pierwsza szła Grace, następnie Lola, Selma, Zara, a na końcu Marnie. Nogi drżały jej z niepokoju, kiedy ustawiły się przed drzwiami Paddy'ego.

- Zapukaj – powiedziała Selma do Grace.
- Ale on oczekuje Dee, i tak za chwilę otworzy.
- Zapukaj. Bądź aktywna.

Ale było już za późno. Paddy otworzył drzwi, a kiedy zobaczył czekającą na niego grupkę, wybuchnął śmiechem. Prawdziwym śmiechem, pomyślała Marnie, nie udawanym. Dotarło do niej, że za długo czekały. Zdążył się już wysikać.

- Na litość boską! Co tym razem?
- Możemy wejść? – zapytała Grace.

Wzniósł oczy do nieba.

- Ale nie na długo. I nie chcę, by to się stało zwyczajem.
- To będzie ostatni raz – oświadczyła Grace.

Gdy wchodziły jedna za drugą, nie szczędził komplementów.

– Lola, piękna jak zawsze! Selma, wyglądasz wspaniale. – Marnie zauważyła, że dopiero kiedy skupił się na Zarze, stracił odrobinę pewności siebie. –... Muza Spielberga! Cóż za zaszczyt! I oczywiście Marnie.

W salonie usiedli wszyscy z wyjątkiem Grace i Paddy'ego. Tak się złożyło, że Marnie przypadło to samo miejsce, co wczoraj i obawiała się, że to źle wróży. Patrzyła, jak Grace podaje Paddy'emu dużą, grubą białą kopertę. Zignorował ją.

– Powinienem pójść po Alicię? – zapytał z troską Grace. – Będziemy mieć powtórkę tej dziwnej sceny z wczoraj, z podciąganiem jej rękawów?

Grace oblała się rumieńcem i pokręciła głową.

– Nie trzeba tu Alicii.

Raz jeszcze podała mu kopertę i tym razem – ku uldze Marnie – wziął ją.

– Prezent dla ciebie – powiedziała Grace. – Kopie oświadczeń złożonych pod przysięgą przez każdą z nas, opisujących szczegółowo, co nam zrobiłeś. Oryginały są w bezpiecznym miejscu.

Paddy usiadł, otworzył kopertę i przekartkował szybko zawartość, po czym odłożył wszystko na bok, jakby to nie było nic ważnego.

– Jedną oskarżającą kobietę – powiedziała Grace, stojąc na środku pokoju – można zlekceważyć jako wariatkę. Nawet dwie. Ale z trzema to już inna sprawa. A kiedy jest ich pięć, nie wygląda to dobrze dla ciebie. Zwłaszcza że jedna z nich to nowa gwiazda Hollywood.

Paddy roześmiał się.

– I jedynie kwestią czasu pozostaje to, kiedy porozmawiamy z większą liczbą twoich byłych.

Na twarzy Paddy'ego widniał rozbawiony uśmiech.

– Grace Gildee, przynudzasz, mówię ci. Zupełnie zbzikowałaś. – Następnie zwrócił się do Zary: – Zara Kaletsky! Cóż, muszę przyznać, że czuję się zaszczycony, mogąc cię gościć w moich skromnych progach. Opowiedz mi o Los Angeles. To prawda, co mówią? Że tam nikt nigdy nie je?

– Nie przyszedłam tu po to, by rozmawiać z tobą o Los Angeles – odparła zimno Zara.

– Ponieważ jeśli nikt nie je, tobie by to bardzo odpowiadało. – Mrugnął do niej. – Ty i twój... – chrząknął –... dawny problem.

Marnie coś sobie mętnie przypomiwała, że gdzieś czytała o tym, że jako nastolatka Zara cierpiała na anoreksję. Boże, Paddy uderzał od razu w najczulsze miejsca. Będzie powtórka wczorajszego wieczoru. Każdą po kolei zlekceważy, a one się po prostu złamią.

– I Selma. – Uśmiechnął się do niej ciepło. – Jak tam twoja sportowa kariera? Och, zapomniałem. Zaliczyłaś klapę. To musi być trudne. Żadnych dochodów, na pewno nie żyje ci się łatwo... No dobrze! – Popatrzył na wszystkie z szerokim uśmiechem. – Przyjemnie się z wami rozmawiało, dziewczęta, ale miałem dziś długi dzień, więc jeśli mi wybaczycie...

– Paddy, oświadczenia – przerwała mu Grace. – Mówimy poważnie.

Przeciagnął się i głośno ziewnął.

– Mówicie poważnie w jakiej kwestii?

– Pójdziemy z tym do prasy.

– Teraz pójdziecie?

– Chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że... – Grace nabrała powietrza i cały pokój zamarł. Marnie zauważyła, że nawet Paddy, który starał się udawać kogoś, kogo to w ogóle nie interesuje, słuchał uważnie. – Chyba że zrezygnujesz z członkostwa w NowejIrlandii. – Grace odliczała na palcach. – Oświadczysz, że wycofujesz się z irlandzkiej sceny politycznej. Przyjmiesz posadę wykładowcy na amerykańskim uniwersytecie na co najmniej pięć lat... – Paddy zaśmiał się w głos. – Przepraszaj po kolei każdą z nas. Wycofasz z „Press” tę historię o mołdawskich kobietach. Zrezygnujesz ze wszystkich innych planów wrobienia Dee.

Grace skończyła.

– To wszystko? – zapytał Paddy, ciągle się uśmiechając.

– Tak.

Marnie usłyszała w głosie Grace minimalne drżenie. Być może nie słyszał go nikt, ale ona знаła ją tak dobrze...

– Długa ta wasza lista żądań – rzekł sarkastycznie.

– Ty decydujesz – odparła Grace. – Albo się zgodzisz, albo wszystkie pójdziemy z naszymi historiami do mediów, a wtedy i tak będzie po tobie.

– Moje słowo przeciwko waszemu – powiedział.

– Jest nas pięć. Co najmniej. No więc jak będzie?

Paddy usiadł ponownie w fotelu, obserwowany uważnie przez pięć kobiet, po czym zamknął oczy. Marnie wstrzymała oddech.

W końcu Paddy wyprostował się i otworzył oczy. Rozejrzał się po pokoju, zatrzymując wzrok po kolei na każdej z nich.

Napięcie w Marnie przybrało jeszcze na sile; sądziła, że zaraz eksploduje jej klatka piersiowa.

Wtedy Paddy otworzył usta.

– Nie – powiedział.

Nie? Marnie zatopiła paznokcie w dłoniach. Następna katastrofa, gorsza niż wczoraj wieczorem.

– Zrezygnować? – zapytał pogardliwie Paddy. – Porzucić politykę? Wyjechać z kraju? Wykładać na zagranicznym uniwersytecie? Odebrało wam rozum? Nie ma mowy.

– A w ogóle coś dla nas zrobisz? – zapytała Grace.

Marnie uświadomiła sobie, że drżenie w głosie Grace jest teraz naprawdę słyszalne. Na pewno słyszeli je wszyscy, łącznie z Paddym. Marnie pragnęła, by jej siostra zamilkła, przestała je wszystkie upokarzać. Zaśmiał się.

– Nie. Nic dla was nie zrobię.

– Nie odwołasz choćby tej mołdawskiej historii? Ty odwołasz swoją, my zrezygnujemy z naszej. To chyba fair?

– Och, no dobrze! – Paddy nadal się uśmiechał. – Nie wiem, skąd pomyśl, że mam wpływ na irlandzkie media. Jestem przecież tylko skromnym TD. Ale mógłbym szepnąć słówko, zobaczyć, czy jakiś pismak oddałby mi przysługę i się z tego wycofał. – Zachichotał i dodał: – I możecie dostać te swoje przeprosiny. – *Choć co one są warte?* W pokoju zawisły te niewypowiedziane słowa. – Ale to wszystko – rzekł. – To wszystko, co dostaniecie.

– Zostawisz Dee w spokoju i przeprosisz nas? – zapytała beznamiętnie Grace. – I to wszystko?

– To wszystko. Przyjmijcie tę propozycję od razu, inaczej ją cofnę.

– Zgódź się, Grace – powiedziała cicho Selma.

– Nie – odezwała się Zara.

– Zegar tyka – powiedział Paddy.

– Zgódź się, Grace – powtórzyła Selma.

– Nie! – zaprotestowała Zara. – Możemy ugrać więcej.

– Ale on mówi, że nie... – powiedziała Grace.

– To wszystko, co dostaniemy – stwierdziła Selma.

– Nie. – Widać było, że Zara jest wkurzona. – Zaczekajmy. To my tu rządzymy.

Marnie patrzyła, jak Paddy obserwuje ten trójstronny spór. Jego twarz promieniała: wyraźnie mu się to wszystko podobało.

– Czas się kończy, dziewczęta.

– Jak myślisz, Lola? – zapytała Selma.

– Zaczekajmy na więcej. Co najmniej rezygnację.

– Marnie?

Zdziwiła się, że ją o to spytano.

– Zgódźmy się. – Chciałaby usłyszeć przeprosiny. – Trzy... – powiedział Paddy. – Dwa...

– Zgódź się!

– Nie! – Zara rozpaczliwie próbowała przeforsować swoje zdanie. – Poczekajmy na więcej.

– ... Jeden!

Grace westchnęła ciężko i rzekła:

– Decyzja większości. – Zwróciła się do Paddy'ego: – Okej, Paddy. Zgadząmy się.

– Mądra decyzja, bardzo mądra decyzja.

Marnie fascynowało to, że dla niego było to takie zabawne.

– I poproszę o oryginały tych oświadczeń, dziękuję. Dostarcz mi je jutro.

– Okej – odparła Grace, wyglądając na mocno przygaszoną.

Gdyby Marnie nie miała pewności, że Grace nigdy nie płacze, wcale by się nie zdziwiła, gdyby teraz na jej twarzy zobaczyła łzy.

– No to dalej – powiedziała Grace do Paddy'ego.

– Dalej co... ?

– Przepraszaj.

– Co? Kiedy?

– Teraz.

– To znaczy... właśnie teraz?

– A myślałeś, że kiedy?

– Cóż...

– A kiedy indziej? – zapytała Grace. – Teraz wszystkie tu jesteśmy.

Paddy usiadł głębiej w fotelu. Marnie przyglądała się temu z zafascynowaniem: on naprawdę nie chciał tego robić.

– To nie musi być teraz – powiedział.

– Tak będzie najlepiej. Możliwe, że nieprędko się wszyscy razem spotkamy. No dalej – popędziła Grace. – Zaczynij od Loli.

Paddy spojrzał na Lolę. Wyglądało to tak, jakby nie wiedział, co powiedzieć.

– Lola, ja...

– ... przepraszam... – podpowiedziała Grace.

– ... przepraszam, że cię skrzywdziłem.

– I za to, że mówiłeś, że moje włosy są fioletowe — powiedziała cicho Lola. – To molichino.

– Molichino – powtórzył.

Następna była Zara.

– Zara, przepraszam, że cię skrzywdziłem.

Zara uśmiechnęła się sardonicznie i Paddy przeniósł swoją uwagę na Selmę.

– Selma, przepraszam, że cię skrzywdziłem.

– Marnie, przepraszam, że cię skrzywdziłem.

To wszystko stało się zbyt szybko; Marnie spodziewała się wyjątkowych słów, odnoszących się wyłącznie do niej, ale on był już przy Grace.

– Grace, przepraszam, że cię skrzywdziłem.

Po ostatnich przeprosinach Paddy odetchnął z wyraźną ulgą – a ułamek sekundy później w pokoju rozległ się głośny śmiech. Wszystkie – z wyjątkiem Marnie – wyły ze śmiechu.

O co tu chodziło?

– Z czego się śmiejecie? – Paddy sprawiał wrażenie skonsternowanego.

– Z ciebie – odparła Zara. – Śmiejemy się z ciebie.

– Dlaczego? – Zmarszczył podejrzliwie brwi.

– „Przepraszam, że cię skrzywdziłem!” – naśladowała go Selma. – Czy wiesz, jak to jest mieć złamany nadgarstek?

– Albo pękniętą śledzionę! – powiedziała Zara.

– Albo zwichnięte ramię!

– Naprawdę sądziłeś, że spodziewaliśmy się, iż zrezygnujesz i wyjedziesz do Ameryki? – zapytała radośnie Grace.

– Ale dlaczego powiedziałaś... ?

Marnie nagle zrozumiała.

I sądząc po jego minie, Paddy także.

– Najstarsza negocjacyjna sztuczka na świecie – wyjaśniła Grace. – Proś o więcej, niż chcesz. A ty się na nią nabrałeś, bo uważałeś nas za bandę idiotek. Jedyne, czego chcieliśmy, to żebyś przestał sabotować Dee.

– Podobało ci się, jak to rozegrałyśmy? – zapytała wesoło Selma. – „Zgódź się, Grace!”, „Nie zgadzaj się, Grace!”.

A więc one to miały wszystko przećwiczone. Włącznie z drzeniem głosu Grace. Marnie przypomniało się teraz, że wcześniej Grace zapytała, czy chce do nich dołączyć, ale ona była zbyt na nią zła.

– Ale przeprosiny... ? – zapytał słabo Paddy.

– One były dla zabawy!

– Tak jakby twoje przeprosiny były cokolwiek warte! – oświadczyła szyderczo Zara. – Jakbyśmy miały ci kiedykolwiek wybaczyć!

– Wiedzialiśmy, że paskudnie się będziesz czuł, będąc zmuszonym to zrobić – powiedziała Grace. – No bo przecież ty nigdy nie musisz za nic przeproszać.

Paddy wstał; dłonie miał zaciśnięte w pięści.

– Aaaaaaaach! – Cała piątka wykrzyknęła z udawanym strachem, jakby to także było zaaranżowane.

– Ostrożnie, Paddy! – zawołała Grace. – Nie znasz własnej siły. Możesz komuś zrobić krzywdę!

– Trzymajcie go z dala od zapalonych papierosów! – powiedziała Lola i znowu rozbrzmiał głośny śmiech.

Paddy opadł powoli na fotel i jego spojrzenie przesuwano się od jednej kobiety do drugiej, gdy tymczasem one śmiały się z niego. Marnie wiedziała, że nie spodziewał się tego. Według niej wyglądał wręcz na przerażonego.

– Kazałyśmy ci nas przeprosić tylko po to, by cię upokorzyć!

– I popatrz tylko na siebie – powiedziała Grace ze śmiechem. – Udało nam się!

W doskonałych nastrojach zbiegły po schodach do Dee.

– To był triumf! – oświadczyła jej Grace. Przekrzykiwały się – wszystkie z wyjątkiem Marnie

– opowiadając Dee, co się stało.

– ... i Grace udawała, że się denerwuje...

– ... a potem Selma powiedziała „Zgódź się!”, a Zara „Nie!”...

– ... a Paddy uśmiechał się pod nosem, myśląc, że się załamujemy...

– ... i Paddy był taki upokorzony...

– Wszystkie jedziemy do mnie, by się napić! – zarządziła Dee. – Grace, dzwoń po tego swojego faceta, zasługuje na to, żeby świętować razem z nami. Gdyby nie on, w ogóle by do tego nie doszło.

Grace zerknęła niespokojnie na Marnie i powiedziała:

– E, nie, Dee, jest późno, już pewnie jest w łóżku.

– No to wyciągnij go z łóżka! Będziemy świętować!

– Nie, dajmy temu spokój...

Marnie zrozumiała. Grace się bała, że Marnie powie Damienowi o niej i Paddym.

– Zadzwoń do niego – powiedziała cicho do Grace. – Nic mu nie powiem.

Dokonała już tylu zniszczeń, zwłaszcza w przypadku Daisy i Verity. Na świecie zbyt dużo było bólu, nie mogła dodawać go jeszcze więcej. Ale jednak bardzo zła była na Grace. Nie wybaczyła jej. *Może nigdy nie wybaczę.* Ta myśl była zaskakująca. Interesująca.

Pomimo zapewnienia Marnie Grace twierdziła, że nie może skontaktować się z Damienem.

– Nie odbiera – rzekła, zatrzasnąwszy telefon.

– Spróbuj zadzwonić na stacjonarny – poleciła jej Dee.

– Próbowałam.

– Spróbuj na komórkę.

– Próbowałam.

– Spróbuj do pracy.

– Próbowałam.

– Zostaw mu wiadomość. Może później wpadnie – powiedziała Dee. – Okej! Jedziemy.

Marnie wsiadała do samochodu Selmy, ale poprosiła, by zatrzymały się przy postoju taksówek.

– Nie jedziesz do Dee, by świętować? – Selma i Zara były zdumione.

Marnie pokręciła głową. Chciała po prostu uciec. Żałowała, że nie może wrócić od razu do Londynu, ale ostatni samolot już odleciał.

– Skoro jesteś pewna... – powiedziała Selma.

– Jestem. – Marnie wyskoczyła z samochodu i taksówką wróciła do domu rodziców.

Zaczynało do niej docierać całe znaczenie dzisiejszych wydarzeń. Nie miało sensu owijać tego w bawełnę ani uchylać się przed prawdą: była dla Paddy'ego nikim; młodzieńczą miłością, o której dawno zapomniał. Po niej przez jego życie przewinęło się tak wiele innych kobiet, włączając w to jej własną siostrę. Kobiet, które usunęły ją w cień, które były z Paddym dłużej, które z nim mieszkały...

Piekła ją twarz z gorąca, kiedy przyznała przed sobą, że miała nadzieję, iż Paddy będzie się zachowywał, jakby łączyła ich jakaś szczególna więź, wykraczająca poza ramy czasowe; że choć ich miłość była zbyt wybuchowa, by mogła przetrwać, że choć ich drogi się rozeszły, przez cały czas mieli dla siebie w swych sercach szczególne miejsce.

Ale ich miłość wcale nie była wielka. Prawda była taka, że Marnie była neurotycznym, niepewnym popaprańcem, do którego on się na jakiś czas przyłączył, ale potem zmienił zdanie i postanowił, że jednak chce być normalny.

Czuła się upokorzona i zła, ale na kogo była zła? Na Grace? Paddy'ego? Siebie?

Nie wiedziała. Wiedziała jedynie, że rano wraca do Londynu i że nie jest sama.

Czekał tam na nią alkohol.

On nigdy jej nie zawiedzie.

GRACE

Zadzwoił telefon, wyrywając mnie z głębokiego, pijackiego snu. Pół nocy nie spałam, świętując razem z Dee, Selmą i Zarą. Było już po piątej, kiedy chwiejnym krokiem wróciłam do domu i obudziłam Damiena.

– Gdzie byłeś? – Szarpałam go za ramię. – Dzwoniłam i dzwoniłam, żebyś z nami świętował.

– Zbierałem materiał do artykułu – odparł. – A za dwie godziny muszę wstać.

– Ale ja chcę ci opowiedzieć, jak się ubawiłyśmy u Paddy'ego.

– Opowiesz mi innym razem.

Teraz, według budzika, było dziesięć po dziewiątej. Leżałam sama w łóżku. Damien musiał już wyjść do pracy.

Odebrałam telefon, po to choćby, by powstrzymać jego przenikliwe dzwonicie. Nerwy miałam napięte jak postronki. Adrenalina i alkohol przestały działać i po raz kolejny oplatał mnie wyniszczający strach przed tym, że Damien się dowie o Paddym.

Niepewnie zapytałam:

– Halo?

To była Marnie.

– Jestem na lotnisku, zaraz mam lot.

Tak szybko?

– Wczoraj wieczorem mówiłam poważnie: nie powiem Damienowi o tobie i Paddym.

– ... Dziękuję. – Powinnam być uradowana, ale jej głos brzmiał wrogo.

– I przestań przylatywać co weekend do Londynu. Nie chcę się z tobą widzieć.

Ale przecież musiałam do niej nadal jeździć. Tyle złych, fatalnych w skutkach rzeczy mogło jej się przytrafić, gdy była pijana, a nie miała przecież nikogo innego, kto by jej pilnował.

I Bóg jeden wiedział, jak się czuła po załatwieniu tej całej sprawy z Paddym. Wczoraj wieczorem inne dziewczęta wyraźnie rozkwitły, kiedy Paddy został zdegradowany w ich oczach. Zwłaszcza stylistka Lola. Było tak, jakby zrzuciła z siebie strach przed nim i nagle mogła się w pełni wyprostować.

Ale w przypadku Marnie nie było mowy o dobrym nastroju i brataniu się z pozostałymi. Gdy na dworze triumfalnie składałyśmy Dee sprawozdanie, ona trzymała się na uboczu, a potem nie pojechała świętować – sprytnie udawała, że jedzie, wsiadając do samochodu z Zarą i Selmą, ale kiedy one zajechały pod dom Dee, Marnie zdążyła się w międzyczasie ulotnić.

Nie wiedziałam, co Marnie myśli teraz o Paddym – przypuszczałam jednak, że są to dwie skrajności. Albo dotarło do niej, że związek jej i Paddy'go nie był niczym innym jak szczeniacką miłością. Albo dalej wyznawała teorię Miłości Jej Życia. Tak czy inaczej podejrzewałam, że będzie sobie z tym radzić za pomocą alkoholu.

– Trzymaj się ode mnie z daleka – powiedziała, po czym się rozłączyła.

Musiałam przyznać się Damienowi do tego, co zrobiłam. Myśl ta była tak przerażająca, że aż jęczałam w poduszkę. Ale musiałam to zrobić.

Ale tchórzliwy głos w mej głowie wyszeptał: A jeśli wcale nie trzeba mi mówić? A jeśli de Courcy wcale nie miał zamiaru mnie wrabiać? I wtedy niepotrzebnie bym się pospieszyła z mówieniem o wszystkim Damienowi?

Więc może nie powinnam mu mówić.

Ale czy mogłam żyć z wyrzutami sumienia? Ich kłopotliwa obecność dręczyła nas już od zeszłego lata.

Może powinnam po prostu wyprostować ramiona, wziąć się w garść i mu powiedzieć.

Chryste...

LOLA

Sobota, 24 stycznia, 10. 06

Jechałam do Knockavoy. W planach miałam spakowanie się i powrót do Dublina. Nagle chciałam mieć to już za sobą.

W czasie drogi miałam o czym myśleć.

Odkryłam, że cieszę się z tego, iż pojechałam do Dublina. Nie cieszyłam się, oczywiście, po tym pierwszym wieczorze i konfrontacji z Paddym. Kiedy on powiedział: „Kto uwierzy tej modowej dziwaczce z fioletowymi włosami?”, byłam przerażona.

Wszystko nagle zrozumiałam – byłam tylko laleczką, z którą mógł uprawiać perwersyjny seks. Jakbym nie była nawet człowiekiem. Złe, pełne ognia uczucie. Jak mogłam pozwolić, by mnie tak źle traktowano?

Zawsze uważałam, że skoro kochał swoją zmarłą matkę, to był wrażliwym człowiekiem. Ale kiedy tak jechałam, uświadomiłam sobie, że rzeczywiście był wrażliwym człowiekiem. Ale także paskudnym. Ludzie miewają wiele twarzy.

Dobrze coś takiego wiedzieć.

Ale drugi wieczór, z Zará i Selmą i ośmieszeniem Paddy'ego, okazał się wyzwoleniem. Nie wydawał się już taki przerażający. Ani – co było interesujące – taki przystojny. Te jego puszące się włosy to jednak niezbyt fajna sprawa.

Pomogła także świadomość, że krzywdził i inne kobiety. Nie życzyłabym tego najgorszemu wrogowi (formalnie rzecz biorąc Sybil O'Sullivan, mimo że nie pamiętałam nawet, o co się pokłóciłyśmy), ale nie uważałam już, że to była moja wina.

Był pierwszym – i z całą pewnością ostatnim – mężczyzną, który mnie uderzył. On z kolei miał w tym doświadczenie. A więc czyja to była wina? Tak, jego.

Poznałam go w kiepskim okresie swego życia: najlepsi przyjaciele sparowani; mama nie żyje; brak ojcowskiego autorytetu. Właściwie to byłam trochę jak Paddy – ale ja przynajmniej nie prałam ludzi po twarzy.

12. 29

Przyjazd do Knockavoy

Zatrzymałam się przed domem i dwie sekundy później drzwi Considine'a otworzyły się. No więc poszłam prosto do niego.

– Herbaty? – zapytał.

– Tak, tak. Okej, gotowy, by wszystko usłyszeć?

W esemesie co prawda napisałam mu w skrócie, co się wydarzyło, ale bez wdawania się w szczegóły.

– Gotowy? Tak się nie mogę doczekać, że nawet nie pojechałem dzisiaj do jaskiń.

Poświęcenie.

– Od trzech godzin nasłuchuję twojego samochodu.

– Jak samotny wieśniak?

– Dokładnie, jak samotny wieśniak! Doskonale się rozumieliśmy.

– Muszę cię ostrzec, Considine, że nie okryłam się chwałą. Nie stanęłam butnie przed Paddym i nie powiedziałam: „Ha! Kiedyś za tobą szalałam, ale teraz widzę w tobie brutala z puszącymi się włosami, którym naprawdę jesteś!”.

– Szkoda – odparł życzliwie. – Stracona szansa. Ale na pewno powiedziałaś: „Nauczyłam się żyć dalej”? Nie? Nie. – Kiwnął ze zrozumieniem głową. – Za bardzo w stylu *Życia w Hollyoaks*?

– Dokładnie, Considine! Właśnie tak!

– Mimo że rzeczywiście nauczyłaś się żyć dalej.

– Tak, ale nie powinno się tego mówić.

– Gdy to się mówi, brzmi to tak, jakby się *nie* nauczyło żyć dalej.

Paradoks.

– W rzeczy samej, Considine, paradoks. Okej, od początku do końca, oto cała historia.

Wszystko mu zrelacjonowałam. Nawet te nieprzyjemne szczegóły.

– Pierwszego wieczoru prawie w ogóle się nie odzywałam i przez cały czas trzęsły mi się nogi. Jednak drugi wieczór to zupełnie inna historia. – Trochę się przechwalałam. – Kazałam mu cofnąć to wszystko, co mówił o fioletowych włosach! „Molichino”, powiedziałam. Kazałam mu to powtórzyć!

– Stawienie mu czoła to najlepsze, co mogłaś zrobić – zakończył Considine. – Już się nie boisz, że po powrocie do Dublina wpadniesz gdzieś na niego?

–Nie.

Z drugiej strony nie cieszyłam się na myśl o takiej ewentualności, ale czemu miałabym rozmyślać o czymś negatywnym?

Niedziela, 25 stycznia

Spakowałam wszystko. Wysprzątałam dom. Pożegnałam się ze wszystkimi w mieście. Muszę przyznać, że mocno mnie to przybiło. Pięć miesięcy temu przyjechałam tu jako wrak człowieka. Teraz wracałam do dawnego życia, niezupełnie tak dobrego jak to nowe, ponieważ już nigdy nie będę taka, jak przed poznaniem Paddy'ego, ale byłam w całkiem dobrej formie.

Considine przyszedł, by pomóc mi zapakować torby do samochodu. Nie zabrało to dużo czasu. – Wszystko zabrałaś? – Klepnął w bagażnik.

– Tak! Wszystko zabrałam.

– Wrócisz? – zapytał.

– Tak, pewnie tak, na jakiś weekend, może wieczór panieński.

Kiwnął z zakłopotaniem głową. Po chwili milczenia rzekłam:

– Dziękuję, byłaś dla mnie bardzo miły podczas mego pobytu tutaj.

Dzieląc się ze mną telewizorem. Radząc w kwestii Paddy'ego.

Ponownie kiwnął głową.

– Ty dla mnie także byłaś miła. Wieczory transek. Pożyczenie przepychacza. Wieczór borsuczej dupy.

I znowu cisza.

– Przyjeżdżasz czasem służbowo do Dublina?

–Nie.

– Och. Przyjeżdżasz czasem do Dublina do przyjaciół?

–Nie.

–Och?

– Nie mam w Dublinie przyjaciół.

– Ja chyba jestem twoją przyjaciółką? – zapytałam ostro. – A mieszkam w Dublinie.

– W takim przypadku możliwe, że cię odwiedzę.

– To dobrze. Zrobimy powtórkę wieczoru borsuczej dupy.

– Już się nie mogę doczekać. Do widzenia, Lola.

Popatrzyłam na niego. Ciemne oczy. Potargane włosy.

I Boże, wiecie co...

Uczyniłam krok w jego stronę, on uczynił krok w moją. Uniosłam ku niemu twarz, on objął mnie jedną ręką i przycisnął swe usta do moich. Przez chwilę nie ruszaliśmy się, zastygnięci w filmowym pocałunku. Zadrżeliśmy – oboje – naprawdę zadrżeliśmy z pożądania – i ja, i on – po czym zatraciliśmy się w pocałunku. Powolnym, zmysłowym, sprawiającym, że czułam słabość w kolanach. Rossa Considine niesamowicie namiętnie całował.

18. 44

Moje mieszkanie w Dublinie

861

W domu powitali mnie Bridie, Barry, Treese i Jem.

– Pożegnałaś się ze wszystkimi znajomymi z Knockavoy? – zapytała Bridie.

– Tak.

– Smutna?

– Tak.

– Pewnego dnia wybierzemy się tam – obiecała. – Chata wuja Toma powinna być wolna w długi weekend za jakieś siedem lat.

GRACE

Minęła sobota i nie zdobyłam się na odwagę, by przyznać się do wszystkiego Damienowi. De Courcy także mnie nie podkablował. Niedziela minęła w podobnej atmosferze. A potem nadszedł poniedziałek i Damien zadzwonił do mnie z pracy.

– Charlie i Angus dali sobie spokój z artykułem o Dee. – Jego głos aż drżał z podekscytowania.

A więc Paddy dotrzymał słowa. To najpewniej jedyna przyzwoita rzecz, jaką uczynił w swoim życiu. Uwierzyłam w to dopiero teraz, gdy to zrobił. Nawet podczas weekendu częściowo się spodziewałam, że w jednej z gazet przeczytam artykuł o Dee.

– Uratowałyście karierę Dee – powiedział Damien.

– Ty też.

– Mówię poważnie. Niedługo zostaną ogłoszone wybory. Gdyby wszystko poszło po myśli Paddy'ego, rozpocząłby kampanię jako lider Nowej Irlandii.

– To ty ryzykowałeś swoją posadę. – Niespokojnie dodałam: – Nie zwolniono cię?

Roześmiał się.

– Nie. Ani słowa o przecieku. Nikt nie robi z tego wielkiej afery. – Często się przecież zdarzało, że jakiś temat nie wypalał. – Nie będzie żadnych skutków ubocznych – obiecał mi. – Wszystko będzie dobrze.

Pragnęłam mu uwierzyć.

Minione sześć miesięcy było bardzo, bardzo trudne. Od lata desperacko pragnęłam, by między mną a Damienem było jak dawniej.

Może teraz to będzie możliwe. Może ten cały koszmarny epizod z Paddym w końcu dobiegł końca.

Ośmielając się mieć nadzieję, ale nadal wstrzymując oddech, przeżyłam poniedziałek, podczas którego de Courcy nie zniszczył mi życia.

Podobnie było we wtorek.

I w środę.

W czwartek premier Teddy Taft ogłosił wybory powszechne.

To była świetna wiadomość. Paddy będzie teraz pochłonięty kampanią wyborczą. Poza tym za pięć tygodni brał ślub. Nie będzie miał czasu, by zawracać sobie głowę kimś takim jak ja.

Uznałam, że mogę znowu spokojnie oddychać.

LOLA

Poniedziałek, 2 lutego

Wznowiłam pracę. Spodziewałam się, że na początku nie będę mieć wielu zleceń. Ale nie! Wydarzyło się coś dziwnego. Sarah Jane Hutchinson nagle została obwołana królową śmietanki towarzyskiej. Na szczyt doprowadziło ją połączenie jej nowego, bogatego faceta oraz „koneksje” z Zará Kaletsky. Pomimo jej okropnych kolan wszyscy chcieli się z nią przyjaźnić. Wszyscy chcieli udzielać się w jej Komitecie. Wszyscy chcieli korzystać z usług jej stylistki...

Tak! Nie opuściłam jej podczas ciężkich czasów, choć raz w życiu stawiając na właściwego konia, i teraz mogłam zbierać owoce, zakładając, że wezmę się w garść i nie spałę podczas sesji żadnych drogich kreacji.

Telefon zaczął dzwonić.

Pierwszy tydzień lutego

Zawalona pracą.

Zmieniłam zdanie, jeśli chodzi o wystylizowanie Grace Gildee. Ludzie są tacy, jacy są. Nie ma sensu próbować ich zmieniać.

Poza tym nie miałam na to czasu.

Poniedziałek, 9 lutego, 21. 13

W Syjamskich Nocach

Jem zwołał nadzwyczajne spotkanie na szczycie w tajskiej restauracji. Choć zawalona byłam pracą, upierał się, bym ja także wzięła w nim udział.

Spóźniłam się czterdzieści trzy minuty.

– Przepraszam, przepraszam, ale jestem...

– ... tak, zawalona pracą.

Usiadłam. Popatrzyłam na Treese, Bridie i Jema.

– Co przegapiłam?

– Nie chciał nam nic powiedzieć, dopóki się nie zjawisz. – Bridie miała kwaśną minę.

– Przepraszam, przepraszam, ale jestem...

– Nic nie mów.

– Skoro już wszyscy w końcu dotarli – powiedział Jem ze złowieszczą oficjalnością – to mam wam coś do zakomunikowania.

Zamarło mi serce. Żenił się z tą wstrętną Claudią i już na zawsze będziemy na nią skazani. Co gorsza będziemy musiały iść na jej wieczór panieński, możliwe, że nawet go zorganizować. Nie jestem fanką wieczorów panieńskich. Zbyt niebezpieczne.

– No to nam komunikuj – popędziła go Bridie.

Jem uciekł nagle spojrzeniem. Zaczął bawić się swoją szklanką.

– Ja... ach... kogoś poznałem.

Chwila na przetrwanie jego słów.

– Kogoś poznałeś? To znaczy... kobietę?

Kiwnął głową, nadal bawiąc się szklanką.

– Ale ty już masz kobietę! Claudię!

– Tak! Claudię! – potwierdziła Treese.

Jem wykonał szybki, brutalny gest w stylu mafii, przejeżdżając dłonią po szyi.

– Poszła. Claudia poszła!

– Kto ją przegonił? – zapytałam. Z oburzeniem. – Ty?

Skinął głową.

– Dziś śpi z prezenterami wiadomości.

– Co takiego? Wszystkimi? – zapytała Bridie.

Wzruszył ramionami.

– Wcale by mnie to nie zdziwiło.

– A więc pozbyłeś się jej jak przeterminowanego jogurtu? – zapytałam ostro.

– Czemu jesteś zła? – Jem zdziwiony. – Nie znosiłaś jej. Wszystkie jej nie znosiłyście.

Głośne protesty.

– Wcale nie. Nie, to nieprawda. Właściwie to nawet ją lubiliśmy.

– Och, no dobrze – przyznała Bridie. – Rzeczywiście jej nie znosiłam.

Ale ona także mnie nie znosiła.

– Treese? – zapytał Jem.

– Tak, nie znosiłam jej – odparła Treese.

– Lola? – zapytał Jem.

– Tak, nie znosiłam jej. Oczywiście. Soraki, na chwilę się po prostu utożsamiłam z porzuconą kobietą. Chwila minęła. Cholernie się cieszę. Kim jest ta nowa? Mam nadzieję, że jest choć trochę fajniejsza od Claudii.

Mnie by wystarczyło, żeby lubiła Jema, co Claudii chyba się nigdy nie udawało.

Twarz Jema rozpromieniła się.

– Gwen. Poznacie ją. Pokochacie ją. Tak, ale o Claudii też tak mówił.

GRACE

Kiedy mama przekazała mi wieści dotyczące ostatecznej diagnozy Bid, mogłam zadzwonić do Damiena do pracy, ale postanowiłam poczekać i powiedzieć mu to osobiście. Ponieważ z powodu zbliżających się wyborów pracował średnio czternaście godzin dziennie, tkwiąc w partyjnych busach, przygotowując relacje z cholernej kampanii wyborczej.

Była za dziesięć dwunasta, kiedy wrócił do domu.

– Tu jestem! – zawołałam z salonu. – Tutaj.

Otworzył drzwi, a ja radośnie zapytałam:

– Zgadnij, co się stało?

Jego twarz zrobiła się szara. Powoli usiadł na podłodze. (Ciagle bez sofy. Nowej jeszcze nawet nie zamówiliśmy.)

– Po prostu mi powiedz, Grace.

Widać było, że się spodziewa jakiejś złej wiadomości. A ja byłam tak pełna optymizmu... ?

Popatrzyłam na jego zaniepokojoną twarz i miałam przerażający przebłysk, że między mną a nim już nigdy nie będzie dobrze.

Tamten wieczór z Zará i Selmą powinien był wszystko naprawić, ale tak się nie stało i między nami, Damienem i mną, nadal panowało napięcie.

– USG Bid – powiedziałam. – Wszystko jest dobrze.

Nie tego się spodziewał. Niemalże widziałam, jak ulatuje z niego chmura niepokoju.

– Poważnie? – Zaczął się uśmiechać. – Mój Boże, ona jest niewiarygodna, no nie? Nic jej nie zatrzyma.

– Ta stara torba przeżyje pewnie nas wszystkich.

– Myślałem, że jej się nie uda – przyznał Damien.

– Nie wiem, co ja myślałam – powiedziałam. Pewnie po prostu w ogóle nie pozwoliłam sobie na ten temat myśleć.

– Fantastyczna wiadomość.

– Jeszcze bardziej fantastyczne jest to, że znowu możemy zacząć palić. Sześć miesięcy bez papierosa, nie udałoby mi się to bez ciebie. – Dodałam pompatycznie: – To oczywiście nasze poświęcenie utrzymało ją przy życiu, wiesz o tym?

Ale wesołość zdawała się z niego wyparować i nastrój znowu dał nura w dół. Co się u licha działo?

– Muszę ci coś powiedzieć – rzekł Damien ze straszliwym znużeniem. Natychmiast ogarnęło mnie przerażenie. Przybrało jeszcze na sile, kiedy dodał: – Przyznać ci się do czegoś.

Niech to tylko nie będzie to...

– Nie chciałem cię martwić, kiedy nie było jeszcze wiadomo, co z Bid. Ale ja... zawiodłem cię.

Co za straszne słowo: *zawiodłem*.

– Naprawdę się starałem, Grace. – Damien był uosobieniem poczucia winy. – Ale po prostu nie umiałem się oprzeć.

– Z Juno? – Dlaczego zapytałam? Czyż nie wyczułam jej w moim domu? W moim własnym łóżku?

Wiedziałam, że tu była. W głębi duszy o tym wiedziałam. Ale tak bardzo chciałam się mylić, że uwierzyłam Damienowi, kiedy mi powiedział, że między nimi nic nie ma.

– Tak, czasami z Juno.

– Czasami? – Szok i konsternacja. –... To były jeszcze inne? – To gorzej czy lepiej? Trudno powiedzieć, ponieważ to wszystko było takie straszne.

– Grace, zaczekaj – powiedział pospiesznie Damien. – O czym my teraz mówimy?

– Ty mi to powiedz.

– Palilem. Papierosy. Kiedy ty byłaś w Londynie u Marnie.

Chwilę trwało, nim to do mnie dotarło.

– Ty paliłeś?

Kiwnął głową.

– To wszystko?

Właśnie to wtedy czułam: prawie niewyczuwalny zapach dymu. Pomyliłam to z niewiernością.

– Mieliliśmy układ – powiedział. – A ja nie wywiązałem się ze swojej części.

– Ale nic nie szkodzi!

– Okłamałem cię.

– Ale kogo obchodzi kilka ukradkiem wypalonych fajek? Nie zdradziłeś mnie?

– Grace, co za cholerne słowo. Nie, nie zdradziłem.

– O Boże, Damien, myślałam... Tak mi ulżyło, ja... – Powinnam skakać z ulgi, ale nagle poczułam, że chodzi o coś jeszcze.

Skąd to się wzięło? Dlaczego teraz?

I wtedy zrozumiałam, że było to tutaj przez cały czas. Czekają po prostu na odpowiedni moment.

– Co? – zapytałam obronnym tonem. W moich oczach widać było poczucie winy, a w jego odpowiedź. Żadne z nas się nie odezwało i trzeba było coś – cokolwiek – zrobić, by przerwać tę dziwną atmosferę. Postawiłam stopy na podłodze, by wstać, ale wtedy on się odezwał i zamarłam.

– Grace. Ja wiem.

Nie potrafiłam wydobyć z siebie głosu.

– O tobie i Paddym de Courcy.

Strach, jaki poczułam, kiedy myślałam, że Damien przespał się z Juno, był niczym w porównaniu z tym. Ten był nieskończenie, niewyobrażalnie gorszy.

– Skąd? – Jedno niewielkie słowo.

– Kiedy pracowałaś nad jego autobiografią. Tego nie dało się nie zauważyć.

Moje życie wypływało ze mnie. Znikała moja cała egzystencja, rozplywając się w nicość. Prawdę mówiąc, nawet nie byłam w stanie czuć stóp.

– Proszę... – Pragnęłam mu powiedzieć, że do niczego nie doszło między Paddym a mną. Ale to było prawdą tylko przy ścisłej interpretacji tych słów, a ja żywiłam do Damiena zbyt dużo szacunku, by wpychać mu kit.

– A potem twoja posiniaczona twarz, oparzenie po papierosie na dłoni. Ta historyjka o potknięciu się na chodniku. – Damien zaśmiał się cicho i pokręcił głową.

Przeraziłam się. Sądziłam, że mi uwierzył. Jak mogłam być taka tępa?

– Ale dlaczego nic nie powiedziałaś? – Mój głos brzmiał ochryple.

– Skoro miałaś mnie zamiar okłamywać, to po co miałem ci mówić, że wiem?

To był najgorszy moment w moim życiu.

Zalała mnie fala wstydu – czystego wstydu, nie tego, któremu towarzyszy obronna postawa i udawanie, że nie zrobiło się nic złego.

Wiedziałam, że zawiniłam. Damien nie obdarzał łatwo swym zaufaniem, było to coś rzadkiego i cennego, a ja potraktowałam to jak parę starych majtek, których używa się do czyszczenia okien.

– To było sześć miesięcy temu. Jak z tym żyłeś? – To mnie zdumiewało.

– Nie mówiąc mi nic?

– Ponieważ cię kochałem. Pragnąłem być z tobą. Pragnąłem, żeby udało nam się to naprawić.

O Chryste... Zalały mnie kolejne fale wstydu, gdy sobie przypominałam, jak Damien próbował naprawić szkody, które ja wyrządziłam.

Wziął z banku kredyt, żeby mi kupić samochód, który spalił Paddy.

Namówił mnie na wyznaczenie wieczoru randkowego, próbując na nowo rozbudzić łączącą nas więź. Rzucił palenie, żeby moja ciotka mogła żyć. Chciało mi się wymiotować.

– Ale dlaczego nie byłeś na mnie zły?

Spojrzał na mnie. Na jego twarzy widać było zaskoczenie – a potem prawie że pogardę.

– Byłem zły. Jestem zły. – Wyrzucił z siebie te słowa i nagle poznałam pełnię jego gniewu. Nie próbował już go kryć i to było okrutne i straszne.

– Nie obwiniaj siebie za to, że nie byłeś w stanie ukryć swej słabości do pana de Courcy – powiedział zimno. – Nawet gdybym się nie domyślił, de Courcy wziął sprawy w swoje ręce i sam mi powiedział.

Byłam tak zaszokowana, że aż otworzyłam buzię.

– Ten wieczór z Zarą i Selmą? Zadzwoił do mnie od razu, gdy wyszłyście.

A więc dlatego Damien przez całą noc nie odbierał moich telefonów.

– Damien... – Po mojej twarzy zaczęły płynąć łzy. Pragnęłam mu powiedzieć, że na krótko opętało mnie szaleństwo, ale że już jest ze mną lepiej. Pragnęłam błagać go o przebaczenie, ale wiedziałam, że go od niego nie otrzymam. Że nie będzie mógł mi go dać.

Najgorsze i najtrudniejsze do zniesienia było to, że Damien mnie przed tym przecież ostrzegł. W ubiegłe lato, kiedy zapadłam na chorobę zwaną de Courcy, powiedział, że gdyby jedno z nas zdradziło, możliwe, że nasz związek by przetrwał, ale że nie byłoby już tak samo, zniknęłyby niewinność i zaufanie.

– Zniszczyłam to, prawda?

Nie był niepotrzebnie ostry – ale mógł mi udzielić tylko jednej odpowiedzi.

–Tak.

Mama otworzyła drzwi.

– Grace? Co tu robisz?

– Potrzebne mi szesnaście euro, by zapłacić za taksówkę. – Kiwnęłam głową w stronę czekającego na krawężniku samochodu.

– Dlaczego przyjechałaś taksówką? I czemu nie możesz za nią zapłacić?

– Nie mogę znaleźć kluczyków od samochodu. Ani portfela.

– Gdzie my teraz znajdziemy szesnaście euro? Będziemy musiały podebrać kasę twojemu ojcu. – Tata zbierał jednocentówki w słoikach po dżemie.

– Pójdę i powiem taksówkarzowi, że to trochę potrwa. – Postawiłam plecak przy drzwiach i odwróciłam się w stronę schodów.

– Grace, dobrze się czujesz? Wyglądasz trochę...

– Pamiętasz, jak mi powiedziałaś, że zawsze czeka tu na mnie łóżko?

Mama wpatrywała się we mnie, a wyraz jej twarzy się zmieniał, aż pojawił się szok, kiedy zrozumiała sens moich słów.

– Chciałabym skorzystać z tej oferty – powiedziałam.

– Co się stało? – wyszeptała.

– Paddy de Courcy.

– Paddy de Courcy?

Wygrał.

LOLA

Czwartek, 12 lutego, 20. 57

The Horseshow House

Bridie, Barry, Treese i ja czekamy na pojawienie się Gwen, nowej dziewczyny Jema.

– Dlaczego siedzimy w tym cholernym pubie? – zapytała Bridie. – Jest strasznie daleko i są tu sami dziwacy wyglądający jak rugbiści.

– Jem chciał, by „zapoznanie się” nastąpiło na gruncie neutralnym – wyjaśniła Treese. – Nie chciał, by cokolwiek przypominało o Claudii.

– Naprawdę nazwał to „zapoznaniem się”? – zapytałam.

– Tak.

– Kurdemol... Myślicie, że jaka będzie? – zapytałam. – Ta cała Gwen.

– Cóż, niech sobie nie myśli, że może wykołować Jema, tak jak Claudia – oświadczyła ponuro Bridie.

– Taa! – zgodził się Barry. – Właśnie. Będziemy ją obserwować.

– Ćśś! Idą.

Podszedł Jem, uśmiechając się, uśmiechając się, uśmiechając się. Także pocąc się. Także pocierając o siebie dłonie, jakby je mył.

Widać było, że mocno się stresuje.

Wpuścił przed siebie wysoką, ciemnowłosą dziewczynę.

– To jest Gwen.

Jej cycki, na pierwszy rzut oka, nie były sztuczne.

– Tak, witaj, Gwen – zawołaliśmy chórem. – Cudownie cię poznać, tak, cudownie.

Uśmiechaliśmy się, uśmiechaliśmy się, uśmiechaliśmy się ustami, ale nasze spojrzenia były twarde.

– Was też cudownie poznać. – Na linii włosów Gwen widać było maleńkie krople potu. – Tak, gin z tonikiem – powiedziała do Jema. Ciszej dodała: –I poproś o duży.

Zrobiło mi się żal tej całej Gwen. Mało jest rzeczy równie onieśmielających jak „konkurs piękności” z przyjaciółmi nowego chłopaka.

Jednakże nie mogłam pozwolić memu sercu, by zbyt złagodniało. Mogła być przecież dziwką ze sztucznymi cyckami, jak Claudia. No bo ona przecież też nie wyglądała jak dziwka. Wydawała się miłą.

Drinki, rozmowy, anegdoty. Pod pozorem życzliwości Bridie, Barry, Treese i ja ocenialiśmy każdy ruch tej całej Gwen. Dużo się śmiała – piskliwie i niespokojnie. Siedziała na skraju kanapy, nogi miała owinięte wokół siebie trzy razy.

Jem patrzył na nas błagalnym wzrokiem: Proszę, polubcie ją, proszę, polubcie ją.

Jem udał się do baru – znowu – by wlać w nas więcej alkoholu, a kiedy poszedł, Gwen oparła się, wyczerpana.

– Ja pierdołę. – Otarła czoło. – To gorsze niż rozmowa w sprawie pracy.

Ogarnęło mnie współczucie.

– Długo przyjaźniliście się z poprzednią dziewczyną Jema – powiedziała.

– Trudno wam będzie mnie zaakceptować. Ale dajcie mi szansę.

Bridie, Barry'ego i Treese także ogarnęło współczucie.

– Prawdę powiedziawszy, to jej nie znosiliśmy – wyznała Bridie.

– Nie znosiliśmy – potwierdziła Treese.

– Nie znosiliśmy – powiedziałam.

Nagle wszyscy wybuchnęliśmy gromkim śmiechem. Tak, Gwen pasowała do Jema. Właściwie to nawet ich imiona trochę się rymowały.

A więc wszyscy już mieli ustabilizowane życie. Oprócz mnie, rzecz jasna. To nie gorzyc. Nie. Zwykle stwierdzenie faktu.

MARNIE

Nieubłaganie wypływała na powierzchnię.

... Nadal tu jestem... Nadal żyję...

Desperacko pragnąc zapomnienia, próbowała odepchnąć się ponownie w stronę nicości, ale znowu się wynurzyła, podskakując niczym plastikowa butelka na falach. To koniec, wróciła, była przytomna, była – niestety – żywa. Czego jeszcze było trzeba?

Automatycznie rozejrzała się w poszukiwaniu butelki. Ta, którą miała przy łóżku, zdążyła się przewrócić i cała jej zawartość wsiąkła w dywan. Będzie musiała iść i poszukać.

Wstała. Miała wrażenie, jakby jej nogami poruszał ktoś inny, w uszach słyszała niskie buczenie, a język wydawał się gruby i zdrętwiały, jakby pokrywała go warstwa wosku.

Zeszła na dół. Mrugało światelko automatycznej sekretarki. Nie wiedziała kiedy, ale wykształcił się w niej strach przed odsłuchiwaniami wiadomości. (Tak samo było z korespondencją: ledwie była w stanie patrzeć na koperty, nie mówiąc o ich otwieraniu.)

Lepiej będzie, jeśli odsłucha wiadomości, wpadła w ciąg na prawie cztery dni, coś mogło się w tym czasie stać. Kiedy usłyszała głos mamy, przygryzła kciuk, by zwalczyć przerażenie. Ale to była dobra wiadomość: Bid czuła się lepiej.

Była zbyt odrętwiała, zbyt otepiała od kaca, by się cieszyć. Ale wiedziała, że jej ulżyło, ale że jest zbyt znieczulona, by to czuć.

Była jeszcze druga wiadomość. Też od mamy. Damien i Grace rozstali się. Grace wyprowadziła się z ich domu i teraz mieszkała w swoim dawnym pokoju.

– Ma to jakiś związek z Paddym de Courcy – powiedziała mama. – Nie jest w dobrej formie.

To była tak zaskakująca wiadomość, że Marnie osunęła się na zimny parkiet i wysłuchała jej raz jeszcze, by się upewnić, czy dobrze zrozumiała.

Trudno w to było uwierzyć. Grace i Damien wydawali się tacy... dopasowani. Niezniszczalni.

Najwyraźniej Paddy de Courcy był jeszcze potężniejszy, jeszcze bardziej niszczycielski, niż uważała.

Powinna się cieszyć. Cieszyć, że Grace zapłaciła za zadzieranie z kimś, z kim nie powinna. I cieszyć się, że Paddy de Courcy zniszczył nie tylko ją – no bo skoro coś takiego mogło przytrafić się silnej, przerażającej Grace, to mogło przytrafić się każdemu.

Ale poczuła z zaskoczeniem, że coś przedostaje się przez tę barierę, jaka otaczała jej uczucia. Biedna Grace, pomyślała, i okrucieństwo współczucia zaczął ogrzewać jej znieczulone serce. Biedna, biedna Grace.

GRACE

Otworzyłam drzwi mojego pokoju i na podeście spotkałam Bid.

– Gówniano wyglądasz – stwierdziła.

– Tobie też życzę miłego dnia – odparłam ze znużeniem.

– Nie pomalowałabyś się trochę? – zapytała. – Przestraszysz ludzi, jeśli tak wyjdiesz na ulicę.

Bid miała rację – nie wyglądałam jak ja. Trzy noce temu, tej nocy, kiedy Damien i ja się rozstaliśmy, przeszłam we śnie swoistą transformację. Wyglądałam na trzydzieści pięć lat, kiedy kładłam się spać, ale kiedy nazajutrz obudziłam się, oczy miałam zapadnięte i nagle wyglądałam, jakbym chodziła po ziemi od czterech tysięcy lat.

- Chociaż korektor na te cienie? – zasugerowała Bid.
- Nie mam tu żadnego. – Większość moich rzeczy została w domu.
- Mogłabyś tam wrócić i go wziąć.
- Nie dzisiaj.
- Mogłabyś poprosić Damiena, by spakował trochę twoich rzeczy.
- Nie dzisiaj.

Opuściłam nasz dom we wtorek w nocy i kiedy się obudziłam w środę rano, drżąc z zimna w domu rodziców, pomyślałam, że muszę przetrwać ten dzień. Tak samo było z czwartkiem. Teraz nadszedł piątek i w myślach powtarzałam sobie jak mantrę te słowa: po prostu przetrwaj ten dzień.

Siedzący w kuchni mama i tata zerwali się z krzeseł, kiedy mnie zobaczyli.

– Idziesz do pracy, Grace?

A co innego miałabym zrobić?

– Wiesz, że wolno ci znowu palić? – zapytała mama.

Rzeczywiście. Dzięki temu, że Bid uwolniła się od raka, wszyscy mogli znowu palić. Jednak mama, tata i Bid postanowili trzymać się z dala od nikotyny – nie chcieli nawrotu nowotworu Bid. Poza tym myślę, że polubili dodatkową gotówkę. Ale zachęcali mnie, bym wróciła do papierosów.

Nie mogłam. Kiedy rzuciłam je we wrześnie, jakaś część mnie cieszyła się, że odmawiam sobie czegoś, co kocham. Polecenie, bym przestała palić, wydane zostało jakiś tydzień po tym, jak uderzył mnie Paddy; traktowałam to jako rodzaj pokuty. Teraz jeszcze bardziej.

– Nie chcę palić. To znaczy chcę, ale nie zamierzam tego robić. Muszę odpokutować za to, co zrobiłam Damienowi.

Mama wzdrygnęła się.

– Ty się nawet nie wychowałaś jako katoliczka.

– Ach! – powiedział tata. – Jeśli się mieszka w Irlandii, to nie da się uciec przed poczuciem winy. Myślę, że dosypują go do sieci wodociągowej, jak fluorek.

– Jadę do pracy – powiedziałam ze znużeniem.

– Wrócisz tu wieczorem? – zapytała mama.

– Będę wracać tu do końca mojego życia.

Przetrwałam piątek, a potem weekend, w większości go przesypiając. Zadzwoiła Marnie z konwencjonalnymi wyrazami współczucia i gdybym nie czuła się tak fatalnie, ucieszyłby mnie fakt, że jednak ze mną rozmawia.

A potem nadszedł poniedziałek i kiedy obiecywałam sobie, że jedyne co muszę zrobić, to przetrwać ten dzień, drzwi do mojego pokoju otworzyły się i Bid rzuciła w moją stronę małą, beżową tubkę.

– Co to?

– Podkład. Kupiliśmy ci. Zrobiliśmy zrzutkę. Nałóż go na twarz.

Przetrwałam poniedziałek i przetrwałam wtorek, a we wtorek wieczorem, kiedy mama życzyła mi dobrej nocy, powiedziałam:

– To już tydzień. To już cały tydzień.

– Nie odezwał się do ciebie? – Wiedziała, że nie. Pewnie chciała jedynie coś powiedzieć.

– Nie. I ja też tego nie zrobię. Nie będzie zejścia się. To koniec.

Wiedziała, że mi nie wybaczy – ale zaakceptowałam ten fakt.

Znałam Damiana. Cechy, w których się zakochałam – jego niezależność, niechęć do obdarzania zaufaniem – stanowiły główną przeszkodę. Zaufał mi. Nadużyłam jego zaufania. Nie dało się tego naprawić.

Leżałam na łóżku i myślałam o tych dniach z zeszłego lata i pragnęłam – zaciskając dłonie w pięści i marszcząc twarz – móc cofnąć czas i wszystko zmienić.

– Co ty robisz? – zapytała mama. – Z twarzą?

– Żałuję, że nie mogę cofnąć czasu i wszystkiego zmienić. Naprawdę za nim tęsknię – powiedziałam. – Brakuje mi rozmów z nim. Od samego początku byłam w nim beznadziejnie zakochana. Nawet podczas imprez, podczas tych niewielu okazji, kiedy udało mi się go na nie zaciągnąć, był jedyną osobą, z którą naprawdę miałam ochotę rozmawiać.

– Mówiłaś mu o tym?

– Nie. My tacy nie jesteśmy. Ale on wie. Wiedział.

– Skąd więc nagle się wziął w twoim życiu de Courcy? – zapytała mama niemalże ze złością.

– Nie wiem. – Naprawdę nie potrafiłam tego zrozumieć.

Znudzenie? Ciekawość? Uczucie, że mam do tego prawo? Wszystkie powody były jednakowo żenujące.

– My, ludzie – powiedziałam bezradnie – jesteśmy popieprzeni. Dlaczego robimy to, co robimy? – Brzmiałam jak Marnie. Po raz pierwszy naprawdę rozumiałam tę rozpacz, która ją przepełniała.

– „Błądzić jest rzeczą ludzką” – zacytowała mama.

– „Wybaczać boską”. I mam to gdzieś, czy Bóg mi wybaczy czy nie. Pragnę, by to Damien mi wybaczył, ale tak się nie stanie.

Mama uznała ten fakt, nie odzywając się ani słowem.

– Wiem, że wszyscy uważacie go za gburowatego...

Zachowała dyplomatyczne milczenie.

– ... ale to jego wybrałam z wszystkich ludzi.

W końcu zapytała:

- Co masz zamiar zrobić?
- Z czym? Z resztą mojego życia?
- ... Tak, chyba tak. Albo dopóki go nie przebolejesz?
- Nie wiem? A co każdy robi? Jakoś to musi przetrwać.

Łatwo powiedzieć.

LOLA

Poniedziałek, 23 lutego, 19. 11

Mieszkanie Bridie

– Tańcz, siostró, tańcz! – popędziła mnie Bridie.

„VIP” zamieścił specjalną „wkładkę z przedślubnymi zdjęciami Paddy'ego de Courcy”. Bridie wyrwała wszystkie zdjęcia i porozkładała je na podłodze niczym płytki wykładzinowe.

– Dalej, siostró, tańcz!

Puszczala Billy'ego Idola – nie mam pojęcia, skąd Bridie bierze te swoje płyty – i wszyscy tańczyliśmy, i muszę przyznać, że czerpałam przyjemność z deptania po uśmiechniętej twarzy Paddy'ego.

– Kurdemol, spójrzcie na to! – Wymachiwałam nogami tak energicznie, że przekreśliłam jedną z kartek, a na drugiej stronie widniało zdjęcie Claudii na promocji nowego pudru Athlete's Foot. Jej cycki w rozmiarze DDD prawie wyskoczyły ze zdjęcia i walnęły mnie w oko. Pozowała przytulona do prezentera prognozy pogody z TV3. Jak widać jej nowego chłopaka. Podpis głosił: „Claudia i Felix. Bardzo zakochani”.

– No więc możemy się przestać o nią martwić – powiedziała oschle Treese.

Wróciliśmy do tańczenia po twarzy Paddy'ego de Courcy.

– Może się zdarzyć tak, że pogorszy ci się w dzień jego ślubu? – zapytała Bridie.

– Czas pokaże – odparłam.

Bridie niezadowolona.

– Oczywiście, że ci się nie pogorszy!

– Cóż, po co w takim razie pytasz...

– Retorycznie, retorycznie. Przebolałaś go. A może wdrzyjmy się do K Clubu i obrzućmy go konfetti.

– A może nie.

– Nie czujesz się na tyle dobrze, by rzucać konfetti na jego ślubie? – Oczy Bridie zwęziły się.

– Niezupełnie, ale nie mam też ochoty rzucać zgniłych pomidorów.

– No więc po co była ta cudowna ostateczna rozgrywka z nim?

– Stawienie czoła strachowi i tym podobne. Czuję się znacznie lepiej niż wcześniej. Dobrze mi idzie w pracy.

Ogłędnie powiedziane! Zawalona byłam pracą. Zaraz po powrocie byłam niepewna, ale teraz wszystko szło jak z płatka. Mogłam selekcjonować swoje zlecenia, zostawiając sobie te najlepiej płatne, najbardziej interesujące, a nadwyżkę podsylać – tak – Nkechi. Czemu nie? Była fantastyczną stylistką.

Poza tym ona także musiała się zmierzyć ze stratą. Szokująca wiadomość była taka, że Rosalind Croft zostawiła swojego męża, paskudnego Maxwella Crofta. Wydarzenie bez precedensu. Żony ze śmietanki towarzyskiej nigdy nie zostawiały mężów ze śmietanki towarzyskiej, zawsze działało to w odwrotną

stronę. Rosalind Croft nie potrzebowała już stylistki, ponieważ nie miała na nią pieniędzy. Nkechi straciła więc bardzo lukratywną klientkę.

– Pamiętasz ten wieczór z zupą? – zachichotała Bridie.

– Kiedy rozłożyłaś się przed drzwiami Paddy'ego i poprosiłaś mnie, żebym przywozła ci zupę? Boże, ale byłaś stuknięta!

– Cha, cha, tak, w rzeczy samej.

– Było kilka takich miesięcy – kontynuowała Bridie – kiedy sądziłam, że już nigdy nie będziesz normalna!

– Ja też tak sądziłam – odparłam, przypominając sobie, jak okropnie się czułam.

– Ale – powiedziała zdecydowanym tonem Treese – twoje życie zdecydowanie wróciło na właściwy tor.

Wiedziałam, że już nigdy nie będę osobą, jaką byłam przed poznaniem Paddy'ego. Byłam teraz mniej naiwna, mniej ufna – ale może to wcale nie tak źle? Także mniej przestraszona. Nie bałam się tego, że wróciłam do Dublina. Właściwie to fajnie było wrócić do własnego mieszkania, w którym stał podłączony do anteny telewizor, a pod oknami o czwartej nad ranem bili się pijani faceci.

Przejście nie okazało się, rzecz jasna, tak do końca gładkie. Brakowało mi Knockavoy: spokoju, czystości, morskiego powietrza – pomimo jego niszczycielskiego oddziaływania na włosy – i oczywiście moich wielu, wielu znajomych.

Często myślałam o nich z ogromną sympatią. Często wspominałam Bossa, Mossa i Profesora, czemu towarzyszył lekki strach, że spełnią swoją obietnicę i odwiedzą mnie w Dublinie.

Każdego dnia myślałam o pani Butterly, zwłaszcza kiedy słyszałam muzykę z *Coronation Street*.

Codziennie myślałam także o kimś innym. Czasami dwa razy dziennie. Albo i częściej, jeśli na przykład słyszałam w radiu *Achy Breaky Heart* (na szczęście rzadko) albo oglądałam program o borsukach czy mijałam na ulicy ekologicznego priusa.

Albo gdy zauważyłam mężczyznę z nieuczesanymi włosami czy usłyszałam słowo „jaskinia” albo używałam czepka pod prysznic lub jadłam chipsy i zrzucałam okruszki na podłogę.

Albo gdy piłam fantę lub widziałam, jak ktoś rzuca monetą, czy zauważałam *Prawo i porządek* w programie telewizyjnym.

Albo gdy kupiłam nową żarówkę do lampki przy łóżku lub gdy zastanawiałam się, czy powinnam zrobić domowy test na cholesterol albo spróbować smoothie o nowym smaku. (To nie były wspomnienia z Knockavoy, więc nie mogę w ten sposób tłumaczyć tego zjawiska.)

Considine często esemesował, pytając troskliwie o moje postępy.

Zawsze odpisywałam:

Jestem zavalona robotą, Considine.

Na początku lekko wyolbrzymiałam ilość pracy. Ważne było, aby myślał, że dobrze sobie radzę. Walnie przyczynił się do mojej rehabilitacji i zasługiwał na to, by czuć teraz satysfakcję.

Jednakże nic nie wspominał o przyjeździe do Dublina, a – w przeciwieństwie do Bossa, Mossa i Profesora – chętnie bym go tu zobaczyła. Ale tacy już są faceci. Wszyscy są kłamcami.

Nie przemawia przeze mnie gorycz, nie. Po prostu stwierdzam fakt.

GRACE

– Tylko pamiętaj o podkładzie. – Bid weszła do mojego pokoju, jak to miała w zwyczaju robić co dzień. W tym domu nie było mowy o prywatności. Nie było mowy o prywatności, ciepłe i herbatnikach. – Nie wydaliśmy naszych ciężko zarobionych emerytur, byś... Co ci się, na Boga, stało w brodę?

Cała dolna część mojej twarzy pokryta była pęcherzami, z których sączył się przezroczysty płyn.

– To opryszczka – powiedziałam ze znużeniem.

– To nie opryszczka. – Bid była przerażona. – To jakaś choroba. Coś jak stopa okopowa*, tyle że na twarzy. Wyglądasz, jakbyś gniła.

– To opryszczka – powtórzyłam. Często mnie dopadała, kiedy byłam nastolatką. – Po prostu wyjątkowo paskudna.

Bid zawołała z podestu:

– Czy ta rzekoma opryszczka już się zagoiła? – Udawała, że nie jest w stanie znieść widoku mojego oszpecenia.

– Nie. Wciąż ci powtarzam, że opryszczkę ma się przez dziesięć dni, a minęły dopiero cztery.

Jednak weszła.

**Jednostka chorobowa, po raz pierwszy opisana w czasie I wojny światowej podczas walk pozycyjnych w okopach frontu zachodniego, stąd nazwa. Powstaje wskutek długotrwałego ucisku stóp, tamującego krążenie, braku higieny i nadmiernie długiego przebywania w wilgoci Czynniki te powodują przyspieszony rozwój schorzeń grzybiczych i zmian naczyniowych, prowadzących do zakażeń i martwicy stóp.*

– A na brwi masz jeszcze jedną opryszczkę?

Wstałam z łóżka i zerknęłam do lusterka.

– Nie wiem. To może być po prostu pryszcz.

– Już prędzej czyrak. Matko przenajświętsza! Na nogach też je masz.

Zerknęłam w dół. Chryste. Moje kostki otaczały krosty wyglądające jak czyraki.

Niemal się bałam dalszych oględzin, ale musiałam to zrobić. Opuściłam spodnie od pizamy, by potwierdzić obecność sporej ilości krost na udach.

– Słodki Jezu – jęknęła Bid, zakrywając oczy. – Mogłaś mnie uprzedzić, że masz zamiar pokazać bobra. I czemu nie jesteś wydepilowana? I dziwisz się, że miał ciebie dość?

Kiedy obudziłam się następnego dnia, usłyszałam, jak Bid kręci się po podeście.

– Bid! – zawołałam. – Bid!

– Co nowego dzisiaj?

– Bid! Jestem ślepa.

Moje prawe oko tak spuchło z powodu jęczmienia; że nie mogłam go otworzyć. Wezwana została mama.

– Dość tego – oświadczyła. – Zabieram cię do doktor Zwartkop. Możliwe, że masz anemię albo coś podobnego.

– Nie mam. – Wiedziałam, co mi dolega. – Mamo, nie pójdę do lekarza. Muszę jechać do pracy.

Ale ona zadzwoniła do Jacinty i powiedziała, że się spóźnię – miałam trzydzieści pięć lat i mama usprawiedliwiała mnie przed moją szefową – a ja się na to zgodziłam, ponieważ nie wiedziałam, jak stawić jej opór. Zapomniałam już, jak to się robi; kiedyś potrafiłam, ale to było kiedyś.

– To ciekawe – dumiała mama, kiedy siedziałyśmy w poczekalni, czekając na naszą kolej. – Niektórzy ludzie, choćby nasza Marnie, naprawdę pięknieją, kiedy mają złamane serce. Tak dziwnie promienieją. – Po czym zakryła usta dłonią. – Grace, przepraszam cię. Nie pomyślałam!

Mama знаła doktor Zwartkop na tyle dobrze, by mówić jej po imieniu. Priscilla. Znała ją także na tyle dobrze, by się upierać przy wejściu do gabinetu razem ze mną, jakbym miała sześć lat.

– Opryszczka – powiedziała do mnie Priscilla. – Czyraki. Jęczmień. Coś jeszcze?

– Ból w klatce piersiowej – odparłam. – I ból w głowie.

Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

– Doświadczyłaś niedawno jakiejś straty?

– Mój partner... dziesięć lat. Rozstaliśmy się dwa tygodnie temu.

– Nie ma szansy na to, że wróci?

– Nie ma, Priscillo – odparła szybko mama.

– Mogłabym dać ci skierowanie na badanie krwi...

– Ale one nic nie wykażą – powiedziałam.

Priscilla kiwnęła głową.

– Pewnie nie.

– Coś jeszcze możesz zasugerować? – zapytała mama.

– Antydepresanty?

– Antydepresanty? – zapytała zachęcająco mama.

Pokręciłam głową.

– Coś, co pomogłoby ci zasnąć? – zapytała Priscilla.

– Jakieś fajne pigułki nasenne? – zasugerowała życzliwie mama.

I znowu pokręciłam głową. Nie miałam problemów ze spaniem.

– Mogłabyś obciąć włosy. Albo... – Priscilla zastanawiała się. – Albo przeżyć gorący romans. Albo jechać na wakacje. – Wzruszyła ramionami. – Albo zrobić wszystkie te trzy rzeczy naraz.

– Dzięki – odparłam. – Może wakacje... Chodź, mamó, muszę jechać do pracy.

W drodze do pracy skończyła mi się benzyna. Wcześniej wiedziałam, że muszę zatankować, ale przez kilka poprzednich dni wybór na stacji benzynowej był taki duży – premium i superpremium, diesel i niediesel – że musiałam odjechać, przekonując samą siebie, że jeszcze na trochę mi wystarczy.

Kiedy silnik zacharczał i zgasł, nawet się specjalnie nie przejęłam. Zostawiłam po prostu samochód na obwodnicy Blackrock i dalej pojechałam autobusem. Zadzwoiłam do taty i poprosiłam go o zatankowanie kanistra benzyny i przyprowadzenie auta.

Kiedy w końcu dotarłam do pracy, było już południe. Weszłam do redakcji, a wszyscy zawyli ze śmiechu, kiedy zobaczyli mój jęczmień.

– Mamy dla ciebie prezent – oświadczył TC.

Nie wiem dlaczego, ale pomyślałam, że to może tort. Że może chcąc mi wynagrodzić moje oszpecenie i brak benzyny, kupili mi pyszny tort.

To była papierowa torba. Na tyle duża, by można ją założyć na głowę.

– Wycięliśmy otwory na oczy – powiedział TC. Próbowałam się roześmiać, ale – ku przerażeniu wszystkich – do moich oczu napłynęły łzy.

– To był tylko żart – powiedziała z niepokojem Lorraine.

– Może powinnaś zrobić sobie wolne – zaproponował TC. – Ile zostało ci urlopu?

– Dwa tygodnie.

– Jedź gdzieś. Może powygrzewaj się w słońcu.

Poszłam do Jacinty, która nawet okazała zrozumienie.

– Kanary? – zasugerowała. – Lanzarote? O tej porze roku kosztuje to grosze.

Ale nie miałam z kim jechać.

No to pojedę sama. Przyda się nieco praktyki przed dalszym życiem.

Wieczorem do mamy zadzwoniła Marnie. Bardzo długo rozmawiały, po czym mama podała mi słuchawkę.

– Chce z tobą porozmawiać.

– Podobno wybierasz się na urlop – powiedziała Marnie.

– Zgadza się.

– Mogłabym jechać z tobą.

To była gałązka oliwna.

– Nie będę pić – obiecała.

Oczywiście, że będzie, ale było to lepsze niż wyjazd w pojedynkę.

LOLA

Sobota, 7 marca

Paddy się ożenił. We wszystkich wiadomościach o tym mówili. Nie do końca skakałam po mieszkaniu, jakbym właśnie wygrała osiem milionów euro, ale nie pogorszyło mi się. Nie miałam żądań dotyczących pozbawionej grudek zupy, nie jeździłam nieostrożnie po mieście. Dzień minął „spokojnie”.

Niedziela, 8 marca, 17. 05

Zadzwonił telefon. Bridie.

– Chcesz w następny weekend jechać do Knockavoy? – zapytała. – Na Dzień Świętego Patryka?

– Myślałam, że dom zarezerwował kuzyn Fonchy. – (Kolejny krewny o dziwnym imieniu.)

– Zgadza się, ale spadł z drabiny. Tymczasowo ślepy. Nie może prowadzić samochodu. Pojedziemy?

17. 08

Wysłałam esemesy do wielu kumpli z Knockavoy, by ich powiadomić o moim rychłym przyjeździe.

GRACE

Poleciałyśmy na Teneryfę. Mieszkałyśmy w małym apartamencie w kurorcie udającym wioskę rybacką. Zajęta była mniej więcej jedna czwarta miejsc, a Marnie i ja byłyśmy jedynymi osobami poniżej pięćdziesiątki. Każdego dnia wylegiwałyśmy się na leżakach w słabym marcowym słońcu i ja czytałam thriller za thrillerem, Marnie zaś biografie ludzi, którzy popełnili samobójstwo. Co wieczór jadłyśmy kolację w tej samej restauracji i każdej nocy obie spałyśmy pełne dwanaście godzin.

Opiekowałyśmy się sobą, znajdując zgubione książki i okulary przeciwsłoneczne, nacierając się nawzajem balsamem do opalania, ostrzegając przed zbyt długim przebywaniem na słońcu. W ogóle nie rozmawiałyśmy o Paddym czy naszej pełnej goryczy kłótni. Byłyśmy jak dwie słabowite, starsze rekonwalescentki, pomagające sobie w tym, czego nie byłyśmy w stanie zrobić same.

Wcześniej postanowiłam, że nie obchodzi mnie to, czy Marnie będzie pić – ale zgodnie z danym przez siebie słowem nie piła. Może tego właśnie jej było trzeba, pomyślałam cierpko. Dwóch tygodni na Kanarach, by wyleczyć się z alkoholizmu.

Dużo rozmawialiśmy, leżąc na plecach i wystawiając twarze do słońca.

– To zabawne, jak koleje naszego życia są do siebie podobne – stwierdziłam.

– Chodzi ci o to, że obie zostałyśmy porzucone przez swoich mężczyzn?

– Tak, chyba tak.

– Czy to przeze mnie ty i Damien się rozstaliście? – zapytała. – Z powodu tego czasu, który spędzałaś ze mną?

– Nie, oczywiście, że nie.

Ale możliwe, że powodem, dla którego tak bardzo chciałam spędzać weekendy w Londynie z Marnie, była chęć ucieczki od pełnej napięcia sytuacji w domu.

Kiedy dotarliśmy do półmetka wakacji, pewna byłam, że Marnie nie będzie pić. Wtedy, ósmego dnia, odbyła smutną rozmowę telefoniczną z Daisy – i już było po niej. Zaczęła pić na umór.

Przez trzy dni do nikogo się nie odzywałam. Czytałam jedynie książki i leżałam na leżaku, pozwalając, by słońce ogrzewało moje powieki. Co jakiś czas wracałam do apartamentu, aby sprawdzić, czy Marnie jeszcze żyje.

Co pięć lub sześć godzin przytomniała, wstawała, wychodziła, by kupić więcej wódki, wracała, wypijała ją i znowu odpływała. Sumiennie wylewałam to, co zostawało w butelce, ale kiedy wybudzała się ze swojej śpiączki, nie próbowałam jej powstrzymać przed pójściem do minimarketu po więcej.

Po trzech dniach przestała, jakby wyczerpała jej się nienawiść do samej siebie, niezbędna do napędzania alkoholowego ciągu.

– Przepraszam – wyszeptała.

– W porządku. Nie przejmuj się. Czujesz się na tyle dobrze, by wyjść dzisiaj na kolację?

– Może. Nie wiem.

– Mogłabym coś ugotować. Nie jadłaś od kilku dni. Powinnaś coś zjeść.

Była skonsternowana.

– Dlaczego jesteś dla mnie taka miła? – zapytała.

– Ponieważ cię kocham. – Te słowa wydostały się z mych ust, nim zdążyłam je przemyśleć. – Nadal jesteś moją siostrą. Zawsze cię kochałam. I nigdy nie przestanę.

– Dlaczego nie jesteś na mnie zła za to, że piję?

– Bo nic z tym nie mogę zrobić. – To nie znaczyło, że nie łamię mi to serca, ale wiedziałam teraz, że nie mogę zrobić niczego, co by zmieniło bieg wydarzeń. – I, Marnie, ty też nic z tym nie możesz zrobić. Nie masz wyboru. Wcześniej myślałam, że masz, ale tak nie jest. Jesteś bezsilna, równie bezsilna jak ja.

To było bardzo dziwne uczucie – wybaczyłam jej. Ona nie miała zamiaru przestać pić, teraz to wiedziałam. Nic nie było jej w stanie powstrzymać. Będzie pić i pić i – prędzej czy później – to może ją zabić. Ale nawet to już jej wybaczyłam.

LOLA

Sobota, 14 marca, 18. 59

Bridie, Barry, Treese, Jem, Gwen i ja przyjechaliśmy do chaty wuja Toma. Wszyscy razem w nowym SUV–ie Treese. (Prezent od Vincenta.)
(Vincent nie przyjechał.)

19. 03

Otworzyliśmy butelkę wina.

20. 08

Pukanie do drzwi.

– To na pewno Considine.

Ale kiedy otworzyłam drzwi, kogo ujrzały moje oczy? Chloe! Tak, Chloe! Błyski w oczach, lśniące włosy, ubrania modne jak zawsze.

Mnóstwo uścisków. Dumne prezentacje. Bridie, Barry, Jem i Gwen gapili się z przesadnym zainteresowaniem. Treese nieco lepiej je skrywała.

Mocne drinki. Świetny nastrój. Ruszyliśmy w miasto. W Knockavoy pełno przyjezdnych. Nikt nie załapał, że Chloe to transka, wszyscy sądzili, że to – być może dość wysoka i lekko zwalista – dziewczyna z Dublina.

Chloe strasznie się spodobała moim przyjaciółom.

– Pełna życia i radości – powtarzała Bridie. (Nie wiem, skąd wzięła to określenie. Bridie ma skłonność do dziwnych określeń.) – Nie podoba mi się tak jak tobie, Lola, nie mam lesbijskich ciągotek, ale jest pełna życia i radości.

Bridie miała mocno w czubie.

Wszyscy mieliśmy mocno w czubie.

Super, supernoc.

Niedziela, 15 marca, 12. 09

Niezbyt dobrze się czułam. Jem i Gwen zanieśli dla mnie sofę na tył domu – za bardzo byłam skacowana, bym sama mogła to zrobić – gdzie położyłam się pod kołdrą. Kątem oka wciąż zerkałam na dom Considine'a, mając nadzieję, że go zobaczę i mu pomacham, on się jednak nie pojawił. Na pewno pojechał do jaskini.

14. 14

Treese wstała.

14. 22

Treese wróciła do łóżka

17. 01

Z pomocą Barry'ego Bridie przyczłapała na dół. Wymiotowała od wschodu słońca.

– Zdrówko – wyszeptła.

20. 27

Jem i Gwen zrobili kolację. Otworzyliśmy butelkę wina. Pociągnęliśmy niepewne łyki. Nagle wszyscy zaczęli mówić, a na nasze policzki wróciły kolory.

21. 19

Pukanie do drzwi.

– To na pewno Considine.

Ale kiedy otworzyłam drzwi, kogo ujrzały moje oczy? Chloe! Tak, Chloe! Ponownie! Tym razem była inaczej ubrana, ale równie oszałamiająca. Byłam uradowana, tak, uradowana, że znowu ją widzę. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego czuję takie rozczarowanie.

Mocne drinki. Świetny nastrój. Ruszyliśmy w miasto. W Knockavoy pełno przyjezdnych. I znowu nikt nie załapał, że Chloe to transka, wszyscy sądzili, że to – być może dość wysoka i lekko zwalista – dziewczyna z Dublina.

Chloe znowu strasznie się spodobała moim przyjaciołom.

– Pełna życia i radości – powtarzała Bridie.

Postanowiłam liczyć, ile razy Bridie powiedziała „pełna życia i radości”, ale straciłam rachubę po czterdziestym ósmym razie.

Bridie miała mocno w czubie. Wszyscy mieliśmy mocno w czubie. Super, supernoc.

Nieszczególnie dobrze się bawiłam.

Poniedziałek, 16 marca, 6. 14

Spałam tylko dwie godziny, ale już się obudziłam. Myśląc o Considinie. Chciałabym się z nim spotkać. Bardzo bym chciała. Musiałam go dorwać, nim zdąży się zabrać za przyklejanie sztucznych paznokci i znowu przemieni się w Chloe. Równie dobrze mogłam zrobić to teraz. Wyślizgnęłam się z łóżka i, nadal w piżamie, przeszłam przez trawę na jego podwórko.

Zapukałam do drzwi.

Cisza.

Znowu zapukałam, tym razem głośniejsze. Cisza.

Znowu zapukałam, tak głośno, że prawie nie usłyszałam jego protestów.

– Jest środek cholernej nocy!

– Wpuść mnie, Marudo! Tu Lola.

Otworzył drzwi i weszłam do środka. Włosy miał potargane, a oczy zaspane. Miał na sobie niebieskie spodnie od dresu i powyciągany szary T-shirt. (Z ulgą się przekonałam, że zniknęły wszystkie ślady Chloe.)

- Borsucza dupa? – zapytałam ze współczuciem.
- Borsucza dupa. – Kiwnął smętnie głową. – A ty?
- Tak.
- Herbaty?
- Nie.
- Cokolwiek?
- Nie.
- Usiądziesz koło mnie?

Nabrałam śmiałości.

- Położę głowę na twoim ramieniu?
- Tak. Obejmę cię ramieniem?
- Tak.

Usiedliśmy obok siebie w skacowanym milczeniu. Było niesamowicie miło.

– Considine. – Odkaszlnęłam. – Nigdy nie sądziłam, że wypowiem te słowa, ale bardzo się cieszę, że cię widzę. Zaczynałam już się bać, że w ogóle cię przez ten weekend nie zobaczę.

– Myślałem, że lubisz Chloe. Wyciągnąłem Chloe z ukrycia specjalnie dla ciebie.

– Bo lubię Chloe. To miłe z twojej strony, że się kłopotaleś. Ale ciebie też lubię.

Potarł ręką nieogoloną twarz. Seksowny dźwięk.

– Ja ciebie też lubię, Lola – powiedział. Cisza. – Bardzo, bardzo cię lubię.
– Znowu cisza. Ale nie taka normalna cisza. Cisza, podczas której kłębi się mnóstwo emocji. – Bardzo. Tęskniłem, odkąd wyjechałaś.

Cisza, podczas której zastanawiałam się, co powinnam powiedzieć.

– Ja za tobą też tęskniłam.

– Cały czas o tobie myślę.

Znowu cisza.

– Ja też cały czas o tobie myślę.

– Myślę o tobie każdego dnia.

Znowu cisza.

– Ja też myślę o tobie każdego dnia.

Ziewnął. Ziewnęłam.

– Lepiej wróć do łóżka – rzekł. Wyglądał, jakby wpadł mu do głowy jakiś pomysł. Odwrócił głowę, by spojrzeć na mnie. – Chcesz iść ze mną?

Też na niego spojrzałam.

– Eee... tak.

– Super! – Nagle uśmiechnął się szeroko, jak nie Considine, i wziął mnie na rękę! Byłam przerażona.

– Postaw mnie. Uszkodzisz sobie kręgosłup. Mam wielki tyłek.

– Idealny tyłek. – Wchodził po schodach. Ani razu nie sapnął.

– A w tobie skąd tyle siły?

– Chodzenie po jaskiniach.

Kopnął drzwi do sypialni, po czym położył mnie na środku łóżka. Jeszcze ciepłego.

Wszystko działo się zbyt szybko. Straciłam odwagę.

– Prawie w ogóle nie spaliśmy, Considine. Zdrzemnijmy się trochę.

– Jak sobie życzysz.

Weszłam pod kołdrę, ale w piżamie. On też pozostał ubrany.

Przytulił mnie do siebie, owinął nas ciasno kołdrą. Zaczynałam zasypiać, coś mi jednak nie pasowało.

– Za gorąco mi, Considine.

– Mnie też.

– Zdejmuję górę.

– Ja też.

Rozpięłam górę od pizamy. On ściągnął przez głowę T-shirt. Ciepła, gładka skóra dotykająca mojej skóry. Twarde mięśnie. Napięty brzuch. Och, rozkosznie.

Zamknęłam oczy i próbowałam zasnąć.

– Nadal mi za gorąco, Considine.

– Mnie też.

Ale kiedy pozbyliśmy się wszystkich ubrań, zrobiło mi się jeszcze bardziej gorąco. Wolność nieskrępowanych niczym ciał, nogi splecione z jego nogami. Poruszyłam się i na udzie poczułam jego erekcję.

– Sorki – powiedział. – Ignoruj to.

– Wolałabym nie. Jeśli nie masz nic przeciwko.

– Nie mam nic przeciwko. – Rozbawiony. Było cholernie fantastycznie.

Żadnego porno. Żadnych prostytutek. Tylko jedna pozycja.

Skupiony. Poważny. Utrzymując się bez trudu na naprężonych ramionach, jakby robił pompki, wchodził we mnie powoli i wychodził, cały czas patrząc mi w oczy. Myślałam, że umrę.

15. 01

Obudził mnie telefon Considine'a.

Przeczytał esemesa. Podał mi telefon.

– Do ciebie.

Lola, bzykasz się z Considine'em?

Od Bridie. Odpowiedziałam twierdząco. Za chwilę drugi esemes.

Konczcie juz. Pora wracac. Treese chce „wyprzedzić korki”.

– Considine, muszę jechać.

– Zostań – powiedział.

– Nie mogę. Jutro mam duże zlecenie.

– Jutro. Ale ja... – Nie powiedział tego, co miał zamiar powiedzieć. –

Nadal bardzo zajęta?

– Och, bardzo. – Tak, miałam mnóstwo pracy, ale chciałam mu się wydać jeszcze bardziej zajęta niż rzeczywiście byłam.

– Nie zanosi się na większy luz?

– Nie zanosi.

– I czujesz się dobrze?

– Doskonale.

– Cieszysz się, że wróciłaś do Dublina?

– Strasznie.

– Okej. Cóż, Lola, chcę ci coś powiedzieć. To ważne.

– Co takiego?

– Chloe będzie tu na ciebie czekać, kiedy tylko będziesz chciała.

Chloe? Nie to spodziewałam się usłyszeć.

– To miłe z twojej strony – odparłam chłodno. – Sama trafię do drzwi.

15. 38

W samochodzie

– No więc! – powiedziała Bridie. – Ty i twój transkowy facet!

– Nic ważnego – odparłam z irytacją. – Wakacyjny romans.

– Może odwiedzi cię w Dublinie?

Nic nie odpowiedziałam. Considine nic wspomniał ani słowem na temat potencjalnych odwiedzin. Ja też nie.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała Bridie.

–Nic.

Ale to nie było nic. Zabolało mnie to, że Considine zaoferował mi przyjaźń Chloe. Nie powiedział: „Ja będę tu na ciebie czekać, kiedy tylko będziesz chciała”. Gotowy był zaoferować swoje transkowe *alter ego*, ale nie siebie.

GRACE

Wróciłam do domu 19 marca, w dniu wyborów powszechnych.

– Partia Dee Rossini całkiem dobrze sobie radzi – poinformowała mnie mama.

– Świetnie. – Miałam to gdzieś. Nie miałam ochoty słuchać o Dee czy NowejIrlandii, ani mieć z nimi nic wspólnego.

– Damien cię szukał – powiedziała mama.

Serce mi podskoczyło, po czym natychmiast opadło jeszcze niżej, niż znajdowało się poprzednio. Na pewno chciał porozmawiać o tym, co zrobimy z naszym domem.

– Dzwonił, kiedy cię nie było, ale ja nie chciałam zakłócać ci wakacji. Mówił, żebyś zadzwoniła do niego po powrocie.

Postanowiłam, że odczekam parę dni. To będzie bolesna rozmowa i chciałam ją odłożyć. Zresztą on jest na pewno zawałony pracą: wybory. To mogła być moja wymówka. Poczekam, aż wszystko się uspokoi.

Następnego ranka obudził mnie ryk kuchennego radia. Była siódma trzydzieści.

– Przyciszcie je! – wrzasnęłam. – Przyciszcie to cholerstwo!

Ale nikt mnie nie słyszał, zesłałam więc gniewnie na dół.

– To masakra – zapał z zachwytu tata, siedząc przy stole. – Twoja znajoma, Dee Rossini, rozbiła na miazgę główne partie. Wszyscy stracili miejsca na rzecz Nowej Irlandii, nawet te potężne Napletki. Wygląda na to, że teraz będzie mieć w Dail dwa razy tyle miejsc. Napletki będą prosić, by pozostać z nią w koalicji.

– Bardzo dobrze.

Tak mocno przekręciłam gałkę, że aż zabolął mnie nadgarstek, po czym zrobiłam sobie tost i poszłam z powrotem do łóżka. Zjadłam tost i odpłynęłam w dziwny półsen, i obudziło mnie pukanie do drzwi. Mama.

– Ktoś chce się z tobą widzieć – powiedziała.

Serce zabiło mi szybciej z nadzieją i ochoczo wstałam.

– Nie, to nie Damien.

– Och. Okej. – Powoli ponownie położyłam się na łóżku.

– Wstawaj – syknęła mama. – To Dee Rossini.

O, nie. Będę musiała tryskać entuzjazmem.

– Mamo, powiedz jej, że nie mogę...

Ale mama zdążyła już zniknąć na schodach, a po chwili, praktycznie się kłaniając, wprowadziła ją do mojego pokoju.

– Nowa Irlandia formuje rząd koalicyjny z Napletkami. Pani Rossini właśnie otrzymała nominację na ministra finansów i wiceministra – oświadczyła mama. Rozsadzała ją duma. – Dosłownie przed chwilą dzwonił do niej premier. Na komórkę.

Premier? Mama gardziła Teddym Taftem. *Nienawidziła* go, zawsze mówiła na niego Oprych i twierdziła, że jego nos wygląda jak penis.

– Dee nie poszła jeszcze spać – rzekła z podziwem mama.

– Grace. – Dee podeszła do mnie. Po czym uważnie mi się przyjrzała. – O mój Boże! Grace! Wyglądasz na chorą.

– Wielkie dzięki! – odparłam. – Właśnie wróciłam z wakacji! Powinnam świetnie wyglądać. Musiałabyś zobaczyć, jak wyglądałam przed wyjazdem.

– Na pewno nie jesteś chora?

– Na pewno. Poszłam do lekarza. Ona mnie zmusiła. – Pokazałam na mamę, która nadal znajdowała się w pokoju.

Mama też zdała sobie chyba z tego sprawę, ponieważ rzekła:

– Powinnam naprawdę... – W jej głosie słychać było rozczarowanie. – Na pewno macie do omówienia prywatne sprawy. Zostawię was same. – I niechętnie wyszła.

– Moje gratulacje, Dee. – Przypomniałam sobie o dobrym wychowaniu. – Tata mówi, że fantastycznie sobie poradziłaś.

– Gdyby nie ty, Grace, nie byłabym nawet przewodniczącą Nowej Irlandii – rzekła Dee. – Przykro mi, że ty musiałaś tak wiele stracić...

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Dziś wieczorem świętujemy – powiedziała Dee. – Zapraszamy wszystkich członków partii z całego kraju. Organizujemy to wszystko trochę w pośpiechu. I ty też powinnaś się tam znaleźć.

– Dee, nie... Przepraszam.

– Mam dla ciebie niespodziankę.

Niespodziankę? Nie chciałam niespodzianki.

– Chodzi o Paddy'ego.

– Aarrgh! – Uniosłam rękę, jakbym odganiała od siebie złe duchy. Nie chciałam nawet słyszeć jego imienia.

– Przyjdź. Naprawdę. Nie pożałujesz.

MARNIE

Marnie obudziła się we własnym łóżku, we własnej sypialni, czując się nadzwyczaj dobrze. Przespała całą noc bez wybudzania się z koszmaru, pościel nie była skopana i mokra od potu, i czuła nadzieję, a nie swe zwyczajowe przerażenie.

Wczoraj wieczorem wróciła z Teneryfy. Od czterech dni nie piła – od czasu tego ciągu na wakacjach – i podjęła decyzję. Nie było potrzeby ogłaszania tego światu, ale zamierzała ukręcić łeb swemu picciu.

Dokonała tego litość Grace. Po tym, jak oprzytomniała ze swego „ciągu” w środku wakacji, Marnie przygotowała się na wściekłość Grace. Ale jej siostra zareagowała zdumiewającym brakiem gniewu. W jej oczach pojawiło się za to coś nowego – na kształt współczucia, ale nie tak miłego. Litość. Marnie w końcu rozpoznała to uczucie. I mocno ją ono zabolowało.

Interesujące było to, że w te weekendy, kiedy Grace do niej przyjeżdżała, jej gniew w ogóle nie działał na Marnie, a wręcz sprawiał, że jeszcze bardziej się wycofywała w alkoholowy kokon. Było tak, jakby Marnie widziała Grace wymawiającą gniewne słowa, ale ich nie słyszała.

Jednakże litość Grace to było zupełnie coś innego. Litość nie była równoznaczna ze współczuciem: w litości dawało się wyczuć brak szacunku.

Nagle ujrzała siebie taką, jaką widziała ją Grace i inni ludzie: nie inteligentną, nadmiernie wrażliwą osobę, za którą ją zawsze uważano, lecz ciężar. Kogoś, o kogo trzeba się było martwić.

Można powiedzieć, że otworzyło jej to oczy. Dotarło do niej, że za taką właśnie inni ją uważają. Być może tak myślą nawet jej własne córki...

Przez pozostałe trzy dni wakacji w jej głowie pojawiały się słowa: żalсна, budząca litość, tragiczna, smutna.

Marnie czuła się wtedy – jak? Źle rozumiana.

Nie chciała być obiektem litości. Nie była bezradną, tchórzliwą osobą, za jaką najwyraźniej uważała ją Grace.

Zwłaszcza w kwestii alkoholu.

Piła, ponieważ zdecydowała się pić. Nie z jakiegoś innego powodu.

A teraz zdecydowała się nie pić.

Przepełniona energią wyskoczyła z łóżka i zabrała się za rozpakowywanie walizki. Na dnie szafy wylądowały sandały, nieużyte balsamy z filtrami wrzuciła do szuflady, gdzie miały czekać na kolejne wakacje, a do pralki włożyła stroje kąpielowe i sarongi.

Schowała walizkę pod łóżko, po czym wyciągnęła odkurzacz. Dom był zakurzony i trochę dziwnie w nim pachniało po tym, jak przez dwa tygodnie stał pusty. A ponieważ po szkole przychodziły do niej dziewczynki – nie widziała ich już prawie trzy tygodnie – wszystko musiało być idealnie.

Gdy odkurzała korytarz, zobaczyła, że mruga automatyczna sekretarka. Wyłączyła odkurzacz, wzięła głęboki oddech i wcisnęła odtwarzanie wiadomości. Były cztery: nie tak źle. Choć właściwie to było ich zaskakująco – krępująco? – mało jak na dwa tygodnie. Wypadłam z obiegu, przypomniała sobie, wzdrygając się.

Pierwsza wiadomość była od jej dentysty: nie zjawiała się na corocznym przeglądzie i musiała umówić się na nowy termin; druga to telefon od akwizytora, próbującego sprzedać jej ubezpieczenie samochodu; trzecia nagrała się Jules, Jules z AA. „Tak tylko chciałam powiedzieć cześć. Zastanawiałam się, co u ciebie słyszeć. Zadzwoń, jeśli tylko będziesz chciała”.

I czwarta wiadomość także była od Jules z AA. Marnie skasowała ją, nim zdążyła wysłuchać do końca, po czym cofnęła i skasowała także tę drugą wiadomość. Krępowało ją to – niemal gniewało – że dzwonił do niej ktoś z Anonimowych Alkoholików.

No dobrze, jedzenie. W domu nie było nic oprócz prawie pustego pudełka płatków śniadaniowych. Potrzebowała wszystkiego – mleka, chleba, podstawowych produktów, smakołyków dla dziewczynek, czegoś na dzisiejszy wieczór. Ugotuje prawdziwy obiad. Może Nick zostanie.

Tęsknię za Nickiem...

Kto by powiedział, pomyślała z zadowoleniem. To normalne uczucie. Wszystko wracało do normalności. Wszystko będzie dobrze.

Przygotowała krótką listę zakupów, ubrała się, wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę Tesco. Kilka minut później przekonała się ze zdumieniem, że zatrzymała się przed monopolowym.

Co ja tu robię?

Zdażyła już nawet zgasić silnik. *Włącz go, włącz go i odjedź stąd.* Ale nie zrobiła tego.

Me chcę dzisiaj pić. Nie chciałam tu przyjeżdżać.

Wpatrywała się w kluczyk w stacyjce. *Odjedź stąd.*

Otwierała drzwi samochodu.

Mogę tu kupić czekoladę dla dziewczynek.

Wychodziła na chodnik.

Potem mogę jechać do supermarketu.

Pchnęła drzwi do monopolowego.

– Była pani na wyjeździe? – zapytał Ben.

– Mmm. – Wzięła dwie butelki wódki.

– Dziś tylko dwie? – zapytał pogodnie Ben. I jeszcze dwanaście tabliczek czekolady.

Następnie wróciła do samochodu, gdzie rzuciła czekolady i dwie butelki na fotel pasażera.

Popatrzyła na butelki i pomyślała: nie chcę tego. Zwłaszcza nie dzisiaj. Chcę się spotkać z Daisy i Verity. Nie chcę być pijana, kiedy się zjawią. Kocham je. Chcę dla nich jak najlepiej. Nie chcę, żeby widziały mnie pijaną. Kocham Nicka. Nie chcę go znowu rozczarować. Nie chcę obudzić się zmarznięta i zmoczona, próbując sobie przypomnieć, co się wydarzyło, zastanawiając się, jaki jest dzień tygodnia.

Ale wiedziała, że tak właśnie się stanie. Za chwilę weźmie do ręki butelkę i się z niej napije. Będzie pić i pić, i pić, aż będzie zgubiona.

Nie miała wyboru.

– Nie chcę – powiedziała na głos. – Proszę, błagam, nie chcę.

Płakała, przerażona i bezradna, a po jej twarzy spływały gorące łzy.

Dlaczego ja to robię?

Nie miała kogo za to winić. Przestała zrzucać winę na Paddy'ego.

Dlaczego więc to robię? Nie chcę.

ALICIA

– Panie i panowie, członkowie Nowej Irlandii, oto Dee Rossini!

W świetle reflektorów Dee weszła na scenę i trzy tysiące ludzi wstało i nagrodziło jej pojawienie się burzą oklasków. Wielka sala była wypełniona po brzegi: członkowie partii, sponsorzy, sympatycy, dziennikarze i ekipy telewizyjne zarówno z kraju, jak i zagranicy.

Dee zajęła miejsce na rześście oświetlonym podium, zaś Paddy i czterech innych kluczowych graczy NowejIrlandii zgromadziło się za nią, zajmując przypominające tron krzesła.

– Chcę podziękować wszystkim – powiedziała Dee. – Ale przede wszystkim członkom partii. To dzięki waszej oddanej i nieustającej pracy NowaIrlandia uzyskała te bezprecedensowe wyniki. – Uśmiech rozjaśnił jej twarz. – NowaIrlandia przystała na utworzenie rządu koalicyjnego z Nacjonalistyczną Partią Irlandii. Może zainteresować was także to, że zaproponowano mi tekę ministra finansów, którą przyjąłem.

Wszyscy o tym wiedzieli, podano tę informację w wiadomościach, ale i tak wydawali głośne okrzyki, jakby dopiero teraz o tym usłyszeli.

– I... – Dee tryskała radością –... stanowisko wiceministra.

O tym też wszyscy wiedzieli, ale i tak głośno i radośnie klaskali.

– Dzięki naszemu sukcesowi będziemy mogli zadbać o to, by program polityczny i plany, które przedstawiliśmy elektoratowi, stały się częścią programu rządowego. Obiecuję spełnić...

Bla. Alicia miała ochotę się wyłączyć, ale musiała słuchać. Musiała przyglądać się Dee i temu, jak reagują na nią ludzie, by później zdać relację Paddy'emu, gdyby tego chciał. To była teraz jej praca.

– Jak wiecie, nasz wiceprzewodniczący Paddy de Courcy niedawno się ożenił.

Rozległy się wesołe okrzyki, gwizdy i tupanie i Paddy wstał z krzesła i lekko się skłonił.

Alicia – zajmująca miejsce w pierwszym rzędzie – siedziała jak urzeczona. Boże, on był taki piękny: ten wzrost, ramiona, nieschodzący z twarzy uśmiech, błyszczące oczy, perfekcyjnie zawiązany krawat.

I był cały jej. Po tych wszystkich strasznych dniach, tak dawno temu, kiedy musiała odwrócić się od Marnie; po wyniszczającym czekaniu, kiedy zniknęła; po osamotnieniu, jakie czuła, kiedy Marnie i Grace zwały szyki przeciwko niej; po tym dziwnym kompromisie, na jaki przystała podczas swego małżeństwa z Jeremym – okazało się, że było warto. W końcu go zdobyła.

No ale miodowego miesiąca nie było. Naprawdę miała nadzieję, że tym razem się uda, że nie będzie musiała chodzić do barów gejowskich; ale jako że dwa tygodnie po ich ślubie odbywały się wybory, miodowy miesiąc został odłożony na czas nieokreślony.

– Ale zysk Alicii to strata NowejIrlandii – kontynuowała Dee. W mikrofonie był pogłos, a jej słowa powtarzały się ułamek sekundy po tym, jak je wypowiedziała. I tylko ten ułamek sekundy miała Alicia na to, by pomyśleć: O co chodziło Dee? – Paddy – kontynuowała Dee – postanowił odpocząć od polityki.

Co? Co? Alicia sądziła, że się przesłyszała, że to musi być wina tego pogłosu.

Ale na sali rozlegały się pomruki, które jej powiedziały, że inni usłyszeli to samo co ona.

O czym mówiła Dee? Alicia nie rozumiała. Czy chodziło jej o wyjazd Paddy'ego na miodowy miesiąc? Czy zaplanował miodowy miesiąc, o którym ona nic nie wiedziała?

– Tego wieczoru – mówiła dalej Dee – właściwie to tuż przed wejściem na tę scenę, przypadł mi w udziale smutny obowiązek przyjęcia rezygnacji Paddy'ego de Courcy z członkostwa w NowejIrlandii.

Smutny obowiązek... ? Rezygnacja... ? Alicia odwróciła głowę, by spojrzeć na Paddy'ego. Co tu się działo? Czy to było zaplanowane? Dlaczego nic jej nie powiedział?

Paddy siedział na krześle, uśmiechając się idiotycznie. Nagle na trzymetrowych monitorach pojawiła się jego twarz. Pęcherzykowate krople potu – pot, *Paddy de Courcy się pocił* – widniały na jego skroniach, a oczy mrugały jak u schwytanego zwierzęcia, zastanawiającego się, jak uratować skórę.

Do Alicii dotarło, że on nie miał o niczym pojęcia.

Dee Rossini właśnie go zwalniała. Publicznie. Na oczach światowych mediów. A on nie miał o niczym pojęcia. Paddy, który zawsze wszystko wiedział.

Alicia próbowała myśleć, ale była w szoku. Jak Dee Rossini śmiała? Co za zuchwałość. Jak mogła być tak bezwzględna? Tak bezlitosna?

Co prawda Dee wiedziała, że Paddy próbował ją sabotować. Ale Alicia sądziła, że wszystko zostało wyjaśnione, pущzone w niepamięć, i że Dee i Paddy znowu szli do przodu, dzieląc tę samą wizję. Nie spodziewała się, że Dee będzie chować urazę, jak jakiś bezlitosny mafioso. W połowie Włoszka, przypomniawszy sobie Alicia – Dee była w połowie Włoszką. No a Irlandczycy byli mistrzami w chowaniu urazy. Pewnie nawet lepiej im to wychodziło niż Włochom.

Na olbrzymich ekranach ponownie pojawiła się Dee i Alicia ucieszyła się z tego. Być może nikt inny nie dostrzegł konsternacji Paddy'ego, być może ona widziała to tylko dlatego, że tak dobrze go znała, ale lepiej było nie ryzykować.

– Przez te wszystkie lata byłeś dobrym przyjacielem i współpracownikiem. – Dee wygłaszała standardową, naszpikowaną frazesami mowę pożegnalną.

Co my teraz zrobimy?

Alicję ogarnęła panika i próbowała nawiązać kontakt wzrokowy z Paddym, ale on siedział w bezruchu, nadal z tym dumnym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Wtedy dostrzegła, że nastrój tłumu zmienił się z euforii w coś znacznie bardziej powściągliwego i z nagłym przyływem nadziei pomyślała: Wierni członkowie partii na to nie pójda. Oni kochają Paddy'ego.

Ale Dee także kochali. A ona właśnie wygrała bezprecedensową liczbę miejsc w Dail. Była wicepremierem. Była ministrem finansów. Miała znacznie więcej władzy niż do tej pory.

– ... dokonałeś w Irlandii prawdziwych i długotrwałych zmian...

Co my teraz zrobimy?

Alicja zmusiła się do tego, by pomyśleć. Co to oznaczało dla Paddy'ego? Gdyby wierni zwolennicy partii nie podnieśli buntu, co by się dało uratować? Może nie była to taka katastrofa, jakby się mogło wydawać? Dalekosiężny plan był zawsze taki, że Paddy w końcu przejdzie do Napletków.

Ale teraz, przyznała z rozpaczą, nie była to odpowiednia pora. Trudno wręcz o gorszą. Paddy chciał przejść do Napletków, dzierżąc władzę, zajmując stanowisko ministra. Teraz musiałby się tam wpraszać, zwolniony szeregowy deputowany, bez żadnych możliwości nacisku.

I pomyśleć, że gdyby wszystko się udało, gdyby zmusił Dee do dymisji tą mołdawską historią, byłby teraz liderem Nowej Irlandii. Byłby już ministrem. Prawdę mówiąc, to byłby wicepremierem kraju.

Wpadł w szal, kiedy jego plan nie wypalił... Bóg jeden wiedział, co będzie teraz.

– Paddy – kończyła Dee – opuszczasz Nową Irlandię jako człowiek prawy.

Dlaczego nie miałby opuszczać jej jako człowiek prawy? Jak Dee Rossini śmiała sugerować, że Paddy mógłby nie być człowiekiem bez skazy? I jakie to dziwne, że jeśli chce się dać do zrozumienia, iż ktoś jest podstępny, dziękuje się mu za to, że taki nie jest.

To jedno zdanie wystarczyło, by załatwić Paddy'ego. Alicia poczuła, że nastrój tłumu się zmienia, jak szybki wiatr przelatujący przez pole dojrzałej pszenicy. Kątem oka widziała, jak ludzie unoszą brwi i odwracają się do swych sąsiadów. *Brak prawości? To zabawne... Nigdy do końca mu nie ufałem... Zbyt przystojny... Zbyt czarujący...*

Nikt nie mógł niczego udowodnić, pomyślała Alicia. I nikt nie mógł udowodnić, że rzeczywiście został zwolniony. Będą krążyć plotki, ale on się z tego podźwignie. Paddy potrafił podźwignąć się ze wszystkiego.

– Życzymy tobie i Alicii dużo szczęścia.

Alicia automatycznie uśmiechnęła się promiennie, ale przez jej głowę przebiegały myśli: powinniśmy to byli przewidzieć, powinniśmy byli coś zaplanować.

Ale oni naprawdę uważali, że Dee zbyt mocno potrzebuje Paddy'ego.

W głowie Alicii pojawiła się przerażająca myśl – on nie będzie winił jej za to wszystko, prawda? Ani tego, że wzięli ślub, co dało Dee wygodny pretekst, by się go pozbyć?

– Jestem pewna, że jeszcze o tobie usłyszymy. – Dee odwróciła się przez ramię i spojrzała błyszczącymi oczami na Paddy'ego, który nadal siedział

nieruchomo na krześle. – Panie i panowie – ponownie odwróciła się w stronę tłumu – przyłączycie się do mnie w podziękowaniu Paddy'emu de Courcy i życzeniach wszystkiego najlepszego w życiu bez polityki?

Alicia zaczęła klaskać. Uświadomiła sobie, że teraz mieli całe mnóstwo czasu, by wybrać się na miodowy miesiąc. Ale ona nie chciała jechać. Byłoby to niczym chodzenie po skorupkach jajek, Paddy byłby rozdrażniony jak zamknięty w klatce lew i nie mieliby czego planować. Knuć. Nie, „planowanie” było lepszym słowem. „Knucie” brzmiało nieco złowrogo.

Na monitorach zobaczyła, jak grupki ludzi na widowni wstają ze swoich siedzeń. Zgotowali mu owację na stojąco! Dzięki Bogu! Ale gdy mijały sekundy, większość ludzi pozostała na swoich miejscach, a ci, co początkowo wstali, ponownie usiedli, wyglądając na nieco zażenowanych.

Cholera.

Ale Alicia nie okazała rozczarowania. Uśmiechała się i uśmiechała – ponieważ nigdy nie wiadomo, kiedy się znajdziesz w oku kamery – i klaskała jeszcze głośniejsze i mocniej. Z jej ręką było już znacznie lepiej. Prawie w ogóle nie bolała.

GRACE

Wpatrywałam się w scenę z otwartą buzią. Zatkąło mnie. Dee Rossini właśnie zwolniła Paddy'ego de Courcy na oczach światowych mediów. Jakby tego było mało, udało jej się dać do zrozumienia, że miał na sumieniu jakieś przekręty. Było to takie zaskakujące i niesamowite, że miałam ochotę śmiać się w głos.

Dlaczego tego nie przewidziałam? Dee przeżyła przemoc w rodzinie, założyła własną partię polityczną i odniosła razem z nią bezprecedensowy sukces – była kobietą ze stali. Nagle było dla mnie oczywiste, że nie zamierzała dzielić się władzą z kimś, kto próbował ją zrobić, tak jak Paddy. Ani z kimś, kto traktuje kobiety tak jak Paddy.

Niemniej jednak zaskoczyła mnie jej brutalność. Zaskoczyła w pozytywnym sensie.

Była politykiem, krótko mówiąc – równie bezwzględnym, jak pozostali.

Cieszyłam się teraz, że tu przyszłam. Mało brakowało, a bym tego nie zrobiła, ale mama tak długo mnie męczyła, aż w końcu wyszłam z domu po to tylko, by przed nią uciec.

Oklaski zaczęły cichnąć – Paddy nie otrzymał nawet owacji na stojąco! Chryste, to było takie zabawne.

Nie byłam w stanie nawet wyobrazić sobie jego wściekłości i zastanawiałam się, jakie podejmie kroki odwetowe. Ale ja czułam się bezpieczna. Paddy'emu podcięto skrzydła i został pozbawiony większości swej władzy. A nawet gdyby i był u szczytu swych wpływów, nie istniało nic, czym mógłby mnie zranić.

Cóż, teoretycznie oczywiście istniało. Mógł mi znowu spalić samochód. Prawdopodobnie nadal miał wystarczająco dużo wpływów, by mnie zwolnić z pracy. Ale najgorsze już mi się przytrafiło. W porównaniu z utratą Damiena nic innego nie mogło sprawić mi bólu.

Złośliwa satysfakcja, jaką czułam jeszcze przed chwilą, nagle zniknęła. Bez względu na to co przytrafiło się Paddy'emu, ja i tak nie miałam Damiena.

Ludzie wstawali, by wyjść i postanowiłam, że też to zrobię. Chciałam wrócić do domu. Jako że spóźniłam się, stałam teraz blisko drzwi.

Odwróciłam się w stronę wyjścia – a za mną stał Damien, czekając, aż go zauważę. Był to tak nieoczekiwany widok, że aż się potknęłam.

Wiedziałam, że nasze drogi prędzej czy później się skrzyżują. Myślałam, że jestem na to przygotowana, ale sądząc po tym, jak zrobiło mi się niedobrze, nie byłam.

– Pan Brolly powiedział mi, gdzie mogę cię znaleźć... – Damienowi uśmiech zamarł na twarzy, kiedy dokładnie mi się przyjrzał. – Chryste, Grace. Okropnie wyglądasz.

– Zawsze był z ciebie czaruś – wykrztusiłam, po czym zabrakło mi słów.

Po dłuższej chwili rzekł:

– To tyle? To wszystko, co masz mi zamiar powiedzieć?

Czego on ode mnie chciał?

– Sam też nie wyglądasz rewelacyjnie? – zaryzykowałam.

– Tak! Już się przez chwilę martwiłem. Więc byłaś chora?

– Nie, tylko... przybita. Znasz to?

– Taa. – Jego spojrzenie wiele mówiło. – Wiem.

Trzeba przyznać, że on rzeczywiście nie wyglądał rewelacyjnie. Wyglądał jak ktoś, kto od paru lat nie spał.

– Dzwoniłem do ciebie – powiedział.

– Mama mówiła. Chciałam zaczekać, aż skończą się wybory.

Wiedziałam, że jesteś zajęty.

– Grace, nie płacz.

Płakałam? Dotknęłam ręką twarzy, była mokra. Jak to możliwe?

– Wyjdziemy na papierosa? – zapytał.

– Nadal nie palę.

– Poważnie? – Damien zmarszczył czoło. – Odkąd odeszłaś, wypalam osiemdziesiąt dniennie. Jak to możliwe, że ty tak dobrze sobie radzisz, a ja jestem cholernym wrakiem człowieka?

– Nie radzę sobie – odparłam zdławionym głosem. Łzy płynęły szybciej, ludzie na mnie patrzyli, a ja miałam to gdzieś. – Jestem w rozsypce. Jest tak źle, że czasami nawet Bid jest dla mnie miła. – Opuściłam głowę i otarłam ręką mokłą twarz. Musiałam wziąć się w garść. – Damien, lepiej już pójdę. – Jego obecność była dla mnie zbyt bolesna.

– Wróć do mnie, Grace.

Minęła cała wieczność sekund.

– Nie mówisz poważnie.

– Kiedy powiedziałem coś niepoważnie?

– Wtedy, kiedy stwierdziłeś, że mój tyłek nie wydaje się duży w tamtych dzinsach.

– Jedno nieszkodliwe kłamstwo... – Dodał miękko: – Przepraszam, Grace.

– Za co przepraszasz? To ja wszystko schrzaniłam.

– Nie powinienem był pozwolić ci odejść.

– Nie mogłam zostać. Nie zasługiwałam na to.

– Przerażasz mnie teraz. Proszę, Grace, wróć, spróbujmy wszystko naprawić. Moglibyśmy iść na terapię czy coś w tym rodzaju.

– Terapię? – Udało mi się uśmiechnąć.

– No może nie na terapię.

– Nigdy nie uda ci się mi wybaczyć – rzekłam. – Nawet gdybyśmy spróbowali jeszcze raz, to zawsze by tkwiło między nami. Zniszczyłam coś pięknego.

- Ja ci wybaczyłem.
- Jak? – Czy wybaczenie było możliwe?
- Nie wiem, jeśli mam być szczery.

Ale wybaczenie było możliwe. Ja wybaczyłam biednej Marnie. Wiedziałam, że może istnieć gniew, wściekły i niebezpieczny, który potem totalnie znika. Czy coś takiego mogło się zdarzyć w przypadku Damiena?

- I bardzo cię kocham – powiedział. – To pomogło.

Szukałam w jego twarzy prawdy. Czy to były tylko słowa?

Za bardzo by bolało, gdybyśmy spróbowali raz jeszcze i ponownie przegrali. Lepiej było w ogóle nie próbować.

– I nie twierdzę, że chciałbym się z nim bzykać czy coś w tym rodzaju – kontynuował Damien. – Ale w pewnym sensie jestem w stanie zrozumieć twoje zadurzenie. De Courcy ma charyzmę, czy też jak to się nazywa, która jest niemal nieludzka. – Westchnął. – Oczywiście tak samo mówiono o Hitlerze.

Roześmiałam się głośno. To była taka niespodzianka. Przez trzydzieści osiem dni myślałam, że już się nigdy nie będę śmiać.

- No więc, Słoneczko... wrócisz do mnie?

Zawahałam się.

– Lepszej oferty nie otrzymasz – rzekł i to było tak bardzo w stylu Damiena, że nagle wiedziałam, że wszystko będzie dobrze.

– Chyba powinnam ją przyjąć – odparłam. – No bo kto inny wytrzymałby z tobą?

MARNIE

Biadolenie zdążyło rozpocząć się na dobre, kiedy Marnie prowadzona przez Jules, weszła na salę.

– ... jestem taka wdzięczna za czyste, przyzwoite życie jakie wiodę teraz...

–... sądziłem, że jestem wolnym duchem, buntownikiem pijącym, bez pracy, bez zobowiązań, ale byłem więźniem alkoholu, równie dobrze mogłem mieć domek na przedmieściach i dwoje dzieci...

Ostrzyżony na zero Steve pokazał im dwa puste krzesła i ludzie szeptali słowa powitania, gdy Marnie ich mijała.

Ulla cicho przyniosła jej herbatę.

– Trzy łyżeczki cukru, zgadza się?

Marnie kiwnęła z wdzięcznością głową. Pociągnęła łyk i rozejrzała się. Był tu Australijczyk Des, uśmiechający się do niej. I Szanowana Maureen. Seksowna Charlotte pokazała na stopy Marnie.

– Ładne buty – wypowiedziała bezgłośnie z taką zazdrością, że Marnie się roześmiała.

Marnie usiadła wygodnie na krześle i słuchała, trzymając w dłoniach kubek z herbatą.

– ... nadal doświadczam ekstremalnych uczuć, tak jak zawsze, może nie aż takich złych, ale zamiast je zapijać, przychodzę na mityng...

– ... kiedy zaczęłam tu przychodzić, wy mi powiedzieliście, że już nigdy więcej nie będę mogła pić i nie piję...

Jak zwykle po jakimś czasie uwaga wszystkich skupiła się na niej.

– Marnie, chciałabyś coś powiedzieć?

Wszyscy uśmiechali się do niej. Zawsze niezwykle ciepło ją traktowali, mimo że ona zdecydowanie zachowywała dystans.

– Patrz, skarbie, patrz. Siadaj – powiedział ponaglającym tonem Nick.

Poruszyła się na ręczniku i jęknęła.

– Prawie już zasypiałam.

– Spodoba ci się. Spójrz na Verity.

Marnie usiadła na brzegu rzeki i osłoniła oczy przed słońcem. No i zobaczyła Verity, w jej syrenim bikini, przebijającą się przez wodę.

– Mamo, tato! – zawołała Verity. – Patrzcie! Ja płynę!

– Dalej, mała! – odkrzyknął Nick głosem pełnym dumy.

– Dobrze ci idzie! – Marnie pomachała do Verity, która przestała płynąć, by odmachać, i prawie poszła pod wodę.

Śmiała się i pluła.

– Połknęłam trochę rzeki.

Była wtedy zupełnie inna, znacznie zdrowsza i silniejsza od tej nerwowej małej istotki, jaką jest teraz.

– Szybko, mamo, wytrzymaj mnie! – Przybiegła do niej Daisy. Z jej długiego, chudego ciała skapywała woda. – Widziałaś Verity? Już się nie boi.

– Widziałam. Chodź tutaj. – Rozłożyła wielki ręcznik z Myszka Minnie, kazała Daisy przytrzymać jeden koniec, po czym owinęła ją tak, że wyglądała jak zrolowany dywan.

– Wytrzymaj mnie! – Daisy podskakiwała i dramatycznie się trzęsła. – Strasznie mi zimno!

– Królowa dramatu – orzekła Marnie.

– Ciekawe po kim to ma? – Nick posłał jej szelmowskie spojrzenie.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Na pewno nie po mnie, proszę pana!

Energicznie wytarła Daisy do sucha, jej wąskie plecy i nogi tak długie i chude, że były zarazem urocze i śmieszne.

– Boże, Daisy, śliczna jesteś.

– Ty też, mammo.

– Taa, ty też, mammo. – Nick strzelił jej sznurkiem od bikini i patrzyli sobie w oczy tak długo, że Daisy wykrzyknęła:

– To obrzydliwe!

Nagle Marnie znalazła się z powrotem na mityngu AA, ale radość, jaką czuła we wspomnieniu, została.

Odwróciła się i uśmiechnęła do siedzącej obok niej Jules. Jules, która była tak życzliwa, która przyjechała od razu, gdy Marnie zadzwoniła do niej tamtego ranka spod monopolowego.

– Zaczekaj tam – poleciła jej Jules. – I nie ruszaj nawet palcem. Będę za dziesięć minut.

Marnie zamknęła oczy. Otulały ją pozostałości nastroju tamtego dnia nad rzeką. Tam było cudownie. Tyle miłości w każdym słowie i geście, i myśli. Było tam wszystko to, czego zawsze tak bardzo pragnęła.

Ale gdzie to było? Gdy wspomnienie oddaliło się, Marnie uświadomiła sobie, że nie poznaje tego miejsca. Prawdę mówiąc, miała pewność, że nigdy tam nie była. I dziewczynki wyglądały na starsze niż teraz: Daisy brakowało dwóch mleczaków; Verity nie miała już zez. Nawet ona i Nick wyglądali inaczej. Ona trochę przytyła, jej włosy były dłuższe; włosy Nicka były bardziej siwe. Jak to możliwe?

Ale to się wydarzyło, była tego pewna. To nie było marzenie ani sen, ale wspomnienie.

Wtedy wszystko zrozumiała. To było wspomnienie, oczywiście, że to było wspomnienie. To się naprawdę wydarzyło. Tyle że jeszcze się nie wydarzyło.

Otworzyła oczy. Wszyscy nadal się do niej uśmiechali.

– Mam na imię Marnie.

Ich uśmiechy stały się jeszcze szersze.

– Cześć, Marnie.

–I jestem alkoholiczką.

LOLA

Sobota, 21 marca, 7. 01

Zadzwoił domofon. Wyjątkowo wcześnie. Miejscowe dresiarskie dzieciaki zawsze wcześnie wstają. Obudźmy tę głupią dziewczynę z fioletowymi włosami! Najczęściej zaciskam po prostu usta, ale nie dzisiaj. Nie miałam humoru. Byłam bardzo zmęczona. Źle spałam od tygodnia – od zeszłotygodniowego wypadu do Knockavoy. Ta cała sprawa z Considine'em czy Chloe mącała mi w głowie, denerwowała, wytrącała z równowagi. Dużo rozpamiętywałam.

Znowu domofon. Naciągnęłam kołdrę na głowę.

I znowu. Na litość boską! Odrzuciłam na bok kołdrę i wkurzona podeszłam do domofonu.

– Odpierdolcie się, miejscowe dresiarskie dzieciaki, i dajcie mi spać. (Szanują kogoś, kto zna „odzywki”.)

– Przepraszam, że cię obudziłem – odezwał się głos. Nie był to głos miejscowych dresiarskich dzieciaków! Ale seksowny głos, głos Considine'a!

– Co tu u licha robisz? Uważasz Dublin za dno.

– Bo tak jest.

– Dlaczego więc tu przyjechałeś?

– Nie każ mi tego mówić, Lola – mruknął seksownie. – Nie na ulicy.

Banda chłopaków w bluzach z kapturami już się śmieje z mojego samochodu.

– Kazać ci mówić co? – Nie mogłam wyjść ze zdumienia.

Cisza. Ciężkie westchnienie. I znowu seksowne mruczenie:

– Kocham cię, Lolo Daly.

Temu krótkiemu – i zdumiewającemu – wyznaniu towarzyszył wybuch rechotliwego śmiechu i gwizdów. Zapewne miejscowi dresiarze. Jakiś dresiarski głos zapiszczał:

– Wieśniak z gównianą bryką uważa, że kocha Lolę!

– Czy to prawda? – zapytałam. Bardzo wczesnie rano, wszystko bardzo niespodziewane, brak snu zaburzał rzeczywistość. To mogła być wspaniała wiadomość, ale bałam się zaufać...

– Taa! Samochód wieśniaka jest gówniany!

Wystarczy tej trójstronnej rozmowy! Miejscowi dresiarze są okrutni. Musiałam uratować Considine'a. Prosteo wieśniaka.

– Considine – powiedziałam stanowczo – wejdź na górę. Kiedy usłyszysz brzęczenie, pchnij drzwi. Nie ciągnij, pchnij...

– W porządku, Lola. Wiem, jak to działa. – Sarkastyczny wtę. – Czytałem o tym w książce.

Aha! Nasz dawny przyjaciel Maruda jeszcze nie zniknął!

Wcisnęłam guzik, otworzyłam drzwi. Considine pojawił się. Zaniedbany, seksowny. Wszedł do mojego mieszkania. Męskość, mięśnie, ogólnie rozkoszna męskość. Przyciągnął mnie do siebie.

Uniosłam głowę. Jego usta bardzo blisko moich.

– To co powiedziałaś tam na dole – rzekłam. – Mógłbyś powtórzyć?

– Dublin to dno? – Ale się śmiał. Kiedy się śmieje, jest bardzo, bardzo przystojny. Och, bardzo przystojny. – Chodzi ci o tę część, kiedy powiedziałem, że cię kocham?

– Tak, o tę.

– Kocham cię, Lolo Daly.

– Przyznaję, że mnie to zaskoczyło. Chloe...

– Tak, nieporozumienie – rzekł. – Pragnąłem cię skusić do powrotu do Knockavoy za pomocą Chloe. Myślałem, że kochasz Chloe.

– Bo kocham. Ale – i nie jestem w stanie tego pojąć, Considine – ciebie kocham bardziej.

Oboje byliśmy zaskoczeni. Wpatrywaliśmy się w siebie zszokowani. W końcu on powiedział:

– Nie chcę cię straszyć, ale ty właśnie wypowiedziałaś słowo „kocham”.

Powtórzyłam w myślach swoje słowa.

– Tak, powiedziałam.

– Mówiłaś poważnie?

Pomyślałam o tym, jak bardzo za nim tęskniłam, odkąd w styczniu opuściłam Knockavoy, jak każdy drobiazg przypominał mi o nim.

– Tak, Considine, wygląda na to, że tak.

Jeszcze mocniej mnie przytulił.

– Lola, Lola. – Westchnął, jakby mu mocno ulżyło. – Chryste, nie masz pojęcia... – Pokręcił głową. – Po twoim poniedziałkowym wyjeździe nie mogłem przestać o tobie myśleć; jednak nie było to nic nowego, myślę o tobie

przez cały czas, w dzień i w... nocy. – Spodobał mi się sposób, w jaki wypowiedział słowo „nocy”. Seksowne słowo.

– Wiedziałem, że zrobiłem coś złego – powiedział. – Błędnie zrozumiałem to, czego chcesz. Szalałem. Kiepski tydzień. Nie mogłem spać. Wczoraj wieczorem postanowiłem, że dość tego. Musiałem wsiąść w samochód i cię znaleźć. Jechałem całą noc.

Seksowne zdanie.

– Gdybyś jechał całą noc – powiedziałam – to dojechałbyś do Maroka. Droga zajmuje tylko trzy i pół godziny.

Zaśmiał się. Znowu! Jakby tu był jakiś festiwal komedii!

– Mówisz teraz poważnie? – zapytałam.

– Bardziej poważnie niż... próbuję wymyślić coś poważnego.

– Rak jelita? Anna Wintour? Podniesienie się poziom wód?

– Wszystkie trzy.

Imponujące. Według mnie Anna Wintour jest bardzo poważna.

– Chodź. – Wzięłam kluczyki od samochodu.

– Gdzie jedziemy?

– Do mojej mamy.

– Powinienem założyć krawat?

Przyjrzałam mu się. Dżinsy, czarny polar, traperki.

– Nie, dobrze ci w tym, co masz na sobie.

Na cmentarzu troje dzieci grało hałaśliwie w piłkę nad jednym z grobów. Brak szacunku. Po chwili zobaczyłam, że to ich mały brat zmarł i uczynili go teraz bramkarzem.

Życie tak bardzo, bardzo cenne.

Szliśmy między grobami, aż dotarliśmy do mamy.

– Mamo, to jest Considine.

– Miło mi panią poznać, pani Daly – rzekł Considine do jej nagrobka.

Myślę, że mama odpowiedziała: „Ciebie też miło poznać”, ale trudno mi było ją usłyszeć, ponieważ mali piłkarze wykrzykiwali: „Taaak!” i „Nieee!” i inne piłkarskie słowa.

– Mówi, że ciebie też miło poznać – powiedziałam. (Ponieważ prawdopodobnie tak zrobiła, jest niesłuchanie uprzejma.). – No dobra, Considine, muszę z nią teraz odbyć prywatną rozmowę.

– Mam odejść?

– Nie, to rozmowa w myślach. Możesz zostać.

Oboje usiedliśmy na niskim krawężniku i w myślach powiedziałam: „Dobrze mu się przyjrzyj, mamo. Słuchaj, to nie twoja wina, że musiałś umrzeć i mnie zostawić, ale naprawdę potrzebna mi twoja rada. Po Paddym de Courcy boję się zaufać swojemu osądowi. Co sądzisz o tej marudnej transce, która mieszka na drugim końcu kraju?”. Głos w mojej głowie odpowiedział:

– On nie jest marudny.

– Tak, ale...

– Nie jest też transką.

– Prawda...

– Rzeczywiście mieszka na drugim końcu kraju, ale to bardzo mały kraj.

– Proszę, nic nie mów o obwodnicy Kildare.

– Kochasz go?

– Tak, mamo.

– No to daj mu szansę.

Chwila wątpliwości. Czyja mówiłam sobie po prostu to,co chciałam usłyszeć?

- Mamo, naprawdę tu jesteś?
- Tak! – zawołał jeden z chłopców.

Mój niepokój znikł – nie wyobraziłam sobie tego głosu – i w tym samym momencie słońce wyłoniło się zza chmury i opromieniło nas nagłym, żółtym światłem.

- Mamo, powiesz mi szczerze, będzie dobrze?.
- Tak! – ponownie zakrzyknął chłopiec.
- Jesteś pewna?
- Tak, tak, tak!

TWILIGHT